

Antologia pod redakcją Jamesa Lowdera

Krainy Chwały

(tłum. R.Lipski)

PAN NA PODWZGÓRZU

Douglas Niles

Pawldo wyszedł ze swojej norki, by powygrzewać się na słońcu w raczej rzadko spotykany letni poranek; nie było bowiem ani za gorąco, ani wietrznie czy pochmurno, jedynie lekka bryza niosła ze sobą zapach dojrzewających winogron i wilgotnych łąk. O milę dalej skrzyły się w promieniach słońca wody Corwell Firth. Ich z lekka pofalowana powierzchnia, okolona porośniętym zielenią brzegiem, odbijała miliony migoczących niczym drobniutkie diamenty refleksów.

Tęgi halfling stanął przed swoją mocną, bieloną, drewnianą chatą. Zwyczajem halflingów wkopano ją do połowy w trawiaste wzgórze, niemniej był to bez wątpienia największy dom na Podwzgórzu. Aura zamożności bijąca z domu udzieliła się również mieszkańcowi norki.

Długie, z lekka siwiejące włosy Pawlda zwijały się tuż poniżej uszu, dotykając końcami skraju jego eleganckiego, jedwabnego kołnierzyka. Nawet o tak wczesnej porze miał na sobie dobrze skrojone, drogie odzienie. Każdy, kto by go zobaczył, stwierdziłby natychmiast, że ma przed sobą halflinga świadomego piękna i uroków życia. W dole, położone w spokojnej zatoczce poza pasmem żyznych pastwisk Corwell Town już się przebudziło, zaś na ulicach miasta jak zwykle o tej porze rozpoczęła się dostojna krzątania Ffolków, wykonujących swoje ludzkie czynności.

Kuragi rybaków kołysały się już na wodzie poza linią falochronu, a brzęk młotów i szczypiec oznajmiał, że kowal od wczesnego ranka pracował w swojej kuźni. Wory ze świeżymi produktami i mlekiem, jedne ciągnione przez niewielkie kuce, inne zaś przez długonogie, włochate psy, wtaczały się z turkotem do Corwell przez otwartą bramę.

Na szczycie górującego nad miastem pagórka Pawldo dostrzegł niską, szeroką sylwetkę Caer Corwell, otoczonego drewnianą palisadą fortu, siedziby para Randolpha, a w czasie pobytu w nim Tristana i Robyn letniej rezydencji króla i królowej. Pomyślał o swoich dobrych przyjaciółach, z uczuciem radosnego wyczekiwania przypominając sobie zarazem, że za niecałe dwa tygodnie rodzina królewska powróci do Corwell, by spędzić tu letnie święta.

W końcu wzrok otyłego halflinga powędrował nieco bliżej domu, w stronę przytulnego siedliska nor, ziemianek i domków wybudowanych wokół niewielkiego okrągłego wzgórza. Odległe zaledwie o milę od Corwell Town, Podwzgórze było iście

sielankowym miejscem na siedzibę niewielkiej społeczności halflingów, w której Pawldo pełnił zaszczytną funkcję lorda burmistrza.

Opodal kwitły bujne krzewy winorośli i właśnie ku nim ruszył obecnie Pawldo, przyglądając się z nie skrywaną przyjemnością, jak niedojrzałe jeszcze grona, pieszczone promieniami słońca, stają się coraz bardziej krągłe, soczyste i słodkie. Dla jego nagich stóp porośniętych z wierzchu gęstym, jedwabistym włosiem, trawa wydawała się miękka, chłodna i zapraszająca. Rozkoszując się wspomnieniem wina z poprzednich zbiorów w tej winnicy, rozsiadł się wygodnie na skrytym w cieniu splechotku trawy. Będę musiał wysłać do Kingsbay wóz wina z ubiegłorocznego zbioru — skonstatował Pawldo. Perspektywa podróży podniecała go, wprawiając w stan rozmarzenia. Nie wyjedzie dziś, jutro ani zapewne pojutrze, niemniej warto o tym pomyśleć. Prawdę powiedziawszy, przypominał sobie jedną z tamtejszych barmanek, hożą dziewczkę o twarzy anioła, pochodzącą, podobnie jak on, z halflingów, z którą być może zdołałby ubić jakiś korzystny interes.

Prawdę mówiąc, gdyby nadal była mu równie przyjazna, jak pamiętał, stanąłby przed silną pokusą spędzenia kilku dni w tym miłym, rybackim miasteczku.

Niezbyt długo, upomniał się w duchu, gdyż para królewska przybędzie do Corwell z okazji święta Przesilenia Letniego i wówczas będzie musiał być w domu. Poza tym, nie było to zwyczajne święto, lecz również dziesięciolecie rządów Tristana i dziesiąta rocznica jego ślubu z Robyn. Tak czy inaczej okazja wymagała, by należycie ją uczcić.

Na tę myśl pyzata twarz halflinga posmutniała, jakby przez chwilę spowił ją mroczny cień. Chciał podarować im wspaniały prezent, coś odpowiedniego na tę wielką uroczystość. Niemniej jednak Pawldo wątpił, czy w takich miejscach, jak Corwell czy Kingsbay zdoła znaleźć odpowiedni podarunek, coś naprawdę niezwykłego i wspaniałego. Co począć? To pytanie dręczyło go przez ostatnie kilka tygodni, ale mimo wszystko krągłutki halfling nie pozwolił, by brak rozwiązania tej kwestii wprawił go w ponury nastrój. Wymyśli coś, prędzej czy później.

Oczywiście, w chwili gdy uświadomił sobie ów problem, mógł wybrać się w podróż na Wybrzeże Mieczy. Do tej pory wracałby już, zaopatrzony w jakiś rzadki i bajeczny wyraz swej przyjaźni i szacunku. Niestety, równie spontaniczne i zdecydowane działanie nie leżało w naturze halflingów, a teraz miał za mało czasu, by wyruszyć w rejs i zdążyć na uroczysty festyn. Nieco poirytowany — nie na siebie jednak, lecz na kalendarz, Pawldo wyzbył się wszelkich trosk i powrócił do przerwanej czynności oglądania wewnętrznej strony powiek.

— Lordzie burmistrzu! Burmistrzu Pawldo! Wysoki głos dobiegł go zza krzewów winorośli — młody halfling — mężczyzna, sądząc po głosie.

— Tutaj! — odrzekł Pawldo, siadając z głośnym chrząknięciem zaskoczenia.

Podniósł się powoli, gdyż miał świadomość, iż nie poruszał się już tak żwawo, jak dziesięć czy więcej lat temu. Spoglądając ponad linią winorośli rozejrzał się, by sprawdzić, kto przerwał mu rozmyślenia.

Rudowłosy halfling zatrzymał się gwałtownie przed Pawldem i pospiesznie zdarł z głowy czapkę. Z pałającymi rumieńcem wysiłku policzkami i unoszącymi się gwałtownie ramionami, zadyszany walczył o odzyskanie oddechu, podczas gdy lord burmistrz omiół go spojrzeniem od stóp do głów. Młodym halflingiem był jeden z plemienia Włochatostopych, gołowąs nieledwie, ubrany w prosty wieśniaczy strój, przez ramię zaś przerzuconą miał skórzaną sakwę. Nowo przybyły uśmiechnął się z nadzieją, ocierając pot z czoła wolną ręką. Zgodnie z tradycją Włochatostopych nie nosił obuwia.

— O co chodzi? — zapytał Pawldo, podejrzewając, że oto spokojny poranek dobiegł końca. Wbrew sobie czuł jednak narastającą ciekawość.

— Cofwort... bednarz... powiedział... że cię tu... znajdę — rzucił, wciąż jeszcze zdyszany, młody halfling.

— I znalazłeś. A niby kim ty jesteś?

— Och, proszę o wybaczenie — młodzieniec wydawał się zasmucony. — Jestem Stefanik z Llyrath Downs — wyjaśnił pospiesznie.

Pawldo znał tę wspólnotę Włochatostopych, zamieszkujących w ostępach Puszczy Llyrath, o kilka dni drogi na wschód stąd.

— Bo, no, ja... ee... znalazłem to... i nie wiedziałem komu innemu miałbym to zanieść. Bo, znaczy się... wszyscy halflingowie w Gwynneth znają ciebie i twoje przygody! Gdyby nie ty, Darkwalker...

— Dosyć! — zawołał Pawldo, unosząc obie ręce w udawanym geście rezygnacji. — Opowieści bywają często moc-no przesadzone, choć nie przeczę, że odegrałem pewną małą rolę w pokonaniu tego zagrożenia. Owszem, nie przeczę, jest w tym odrobinę prawdy... — Pokręcił głową odpędzając falę nostalgii. — Ale dość tego. Wydaje się, że chciałeś mi coś pokazać?

— O, tak — Halfling gwałtownym ruchem podał Pawldowi zamkniętą sakwę. — Proszę. Co to takiego? Skąd się to wzięło? Jakim cudem znalazło się w lesie?

— Jak na razie na każdą jedną moją odpowiedź masz aż dziesięć pytań — burmistrz zachichotał, biorąc z jego rąk skórzaną sakwę. Okazała się ciężka. W środku znajdował się jakiś spory, sądząc po rozmiarach ciężki, metalowy przedmiot.

— Zobaczmy, co tam masz.

Pawldo rozsunął lekko brzegi sakwy, ale gdy zajrzał do środka, mimo woli wstrzymał oddech ze zdumienia. Lśniący metal połyskiwał nawet w mrocznym wnętrzu skórzanej sakwy; był zbyt czysty jak na srebro — to musiała być platyna? Ujął przedmiot za tępy, zaokrąglony koniec, pozwolił sakwie spaść na ziemię i oczom jego ukazał się sztylet o długim ostrzu. Lord burmistrz dzierżąc sztylet za rękojeść, stwierdził, że był on nieco za ciężki, jak na efektywną broń, ale nie miało to większego znaczenia. Promienie słońca odbijały się oślepiającymi wzorami od połyskującej powierzchni, rzucając różnobarwne refleksy, gdy natrafiały na ścianki zdobionych rękojeść drogich kamieni. Proste obosieczne ostrze sięgało na niemal stopę poza wyłożoną przepysznyimi klejnotami gardę.

— Wiem, że handlujesz różnymi rzeczami — rzadką bronią i skarbami! — ciągnął zasapany Stefanik. — Byłeś w Waterdeep, Baldur's Gate i w wielu innych miejscach. Założę się, że widziałeś więcej niż jakikolwiek inny halfling w Moonshaes! Nawet w Llyrath Downs doszły nas wieści o tym, jak uratowałeś króla przed firbolgiem! Zastanawiałem się, do kogo innego mógłbym się zwrócić, kto jeszcze mógłby odpowiedzieć na moje pytania, ale stwierdziłem, że nie znam nikogo takiego.

— Taa — wyszeptał Pawldo, zbyt pochłonięty pięknem kunsztownego przedmiotu, aby zwrócić uwagę na pochwałę.

— To jakiś nóż — stwierdził zupełnie zbędnie Stefanik.

— Ale jak się tam znalazł? Do kogo należy?

— Jakiś złodziejski sztylet — zauważył Pawldo z cichym gwizdnięciem. — Ostrze jest mało pożyteczne, ale ogólnie przedmiot ma doprawdy wyjątkową wartość. Powiedz no mi, a żywo, młodzieńcze, gdzie to znalazłeś?

— W lesie! W Puszczy Llyrath! — wykrztusił Stefanik.

— Akurat polowałem, głęboko w kniei. Znalazłem sztylet opodal mego obozowiska, u zbiegu dwóch strumieni. Leżał na brzegu, jak go teraz widzisz, tak błyszczący, że nie sposób było tego nie zauważyć! — Dostrzegł wyraz głębokiego skupienia na twarzy Pawlda. — Zrobiłem coś nie tak?

— Nie, raczej nie — nie sędzę. — Pawldo nie odrywał wzroku od srebrzystej powierzchni. Rozpoznał klejnoty — na jelcach gardy widniały wielkie, tłuste rubiny, podstawę rękojeści zdobiły szmaragdy, zaś środek jej pojedynczy, ogromny diament!

Z trudem powstrzymał drżenie dłoni. Nigdy nie trzymał w ręku równie cennego i wspaniałego przedmiotu!

— Nie wygląda, aby leżał tam zbyt długo, co? —, zapytał, usiłując zachować spokojny ton głosu.

— Nie. Ale to zabawne, bo przede mną nikogo tam nie było, a w każdym razie od bardzo dawna. Jestem dość dobrym tropicielem i potrafię odczytywać ślady — dodał Stefanik z buńczuczną szczerością. — Wiedziałbym o tym.

Lord burmistrz obrócił sztylet w dłoniach, przyglądając się ostrzu. Wykonano je również z platyny, a obosieczna klinga, wypolerowana na błysk, dorównywała ostrością brzytwie. Nagle jego wzrok padł na niewielką niedoskonałość przy złączu ostrza i rękojeści. Unosząc sztylet tak, by promienie słońca dokładniej oświetliły to miejsce, przyjrzał mu się uważnie — i zimne ciarki lęku przeszły mu po plecach. Na błyszczącej powierzchni nie było żadnej skazy. Widniał na niej ryt, przedstawiający szczyrzącą zęby trupa czaszkę.

— Co to takiego? — spytał młodzian, podążając za wzrokiem Pawlda.

Przełknął głośno ślinę, kiedy uważniej przyjrzał się ostrzu.

— Nigdy dotąd tego nie zauważyłem! Co to ma być czaszka?

— Powiedziałeś, że znalazłeś to ostrze w kniei Puszczy Llyrath? — spytał znaczącym tonem Pawldo.

— Tak. Ale ja nie... — Stefanik urwał nagle i zbladł, a jego oczy, wskutek nagłego podejrzenia, stały się wielkie niczym spodki. — Pałac Czaszek? — wyszeptał.

— To jedyne wyjaśnienie... jedyne możliwe — skonstatował posepnie Pawldo. — Podobno ma się pojawiać w Puszczy Llyrath raz na pokolenie... ale jedynie w okresie letniego przesilenia księżyca!

— Nowy księżyc nastął zaledwie cztery dni temu — zauważył Stefanik tonem pełnym zdziwienia.

— A ten sztylet... kiedy go znalazłeś? — naciskał Pawldo.

— Trzy dni temu! — wykrzyknął młody halfling, wzruszając ramionami. Następnie zmrużył powieki, a w wyrazie jego twarzy pojawił się dziwnie dojrzały sceptycyzm. — Ale sądziłem, że opowieści o twierdzy czaszek to jedynie legendy! Naturalnie, babka straszyla nas opowieściami o złym księciu Ketheryllu i jego kłątwie, ale teraz jestem już dorosły i nie mogę traktować ich poważnie.

— Czyżby? — urwał oschle lord burmistrz z Podwzgórza.

— Nie uważasz, że w każdej z tych legend może tkwić ziarno prawdy?

Stefanik ponownie wzruszył ramionami.

— Wiem o czym mówią — że Ketheryll nadal mieszka w swojej twierdzy, ale nie jest już człowiekiem. Powiadają, że stał się czymś w rodzaju cienia, który, gdy cię dopadnie, wysysie z ciebie życie i duszę!

— A co z innymi opowieściami? — Pawldo czuł narastające podniecenie wywołane rozważanymi w duchu perspektywami.

— Opowieściami o skarbach, o jakich nikomu się nie śniło, górach bogactwa, wspaniałościach przekraczających wszelkie wyobrażenia, które tylko czekają, by je osiąść... ale tylko do nastania pełni księżyca...

— Masz na myśli skarby takie jak to? — zapytał Stefanik wpatrując się w sztylet. — Sądziś, że to ostrze pochodzi z Pałacu Czaszek?

— Au! — jęknął Pawldo, gwałtownie upuszczając broń i dmuchając na wnętrze dłoni. — Parzy!

— Spójrz! — syknął Stefanik wskazując na sztylet.

Spadł ostrzem do dołu i przez moment kołysał się w tył i w przód, jakby miał zagłębić się w ziemi, jednak w chwilę później odbił się w górę, wylądował na boku i okręciwszy się dookoła, zatrzymał tak, że koniec klingi wskazywał południowy wschód. Platynowa powierzchnia świeciła jaśniej niż słońce.

— Z-z-zupełnie jakby mnie usłyszał — rzekł półgłosem Stefanik. — Rozgrzał się, kiedy wypowiedziałem nazwę tego miejsca.

— I spójrz, w którą stronę wskazuje — dodał Pawldo. Poświata przygasła, więc wyciągnął rękę, by dotknąć stygnącej już rękojeści broni. — Prosto w kierunku Puszczy Llyrath.

— Czy to możliwe, że pochodzi właśnie stamtąd?

— Jak już mówiłem, to jedyne wyjaśnienie! — Umysł Pawlda pracował jak szalony. Warownia oznaczała niewiarygodne wręcz skarby. Tym samym mógł w niej znaleźć odpowiedni prezent dla króla i królowej!

— Czy byłbyś w stanie ponownie odnaleźć miejsce, gdzie wtedy obozowałeś?

— Oczywiście! — rzucił z przekonaniem w głosie Stefanik. — Jestem również doskonałym przewodnikiem. Znam tę puszcę jak własną norkę!

— Wyśmienicie! Zastanówmy się, będziemy potrzebować nieco zapasów i dwóch kuców. Przygotowanie do drogi zajmie mi kilka godzin. Możesz odpocząć w mojej chacie, wyruszymy dziś po południu.

Jego rachuby okazały się zbyt ostrożne. W rzeczywistości dwaj halflingowie wyruszyli Drogą Królów jeszcze przed obiadem, czego strudzony drogą Stefanik w głębi duszy żałował, ale był zbyt nieśmiały, by o tym napomknąć. Noc spędzili w przytulnej gospodzie w Cantrew Court, a następnego dnia narzucili sobie tak ostre tempo, że jeszcze przed wieczorem dotarli do miejsca, skąd, opuściwszy główną drogę i kierując się na

południe, dojechali do skraju lasu. Tam, pośród rzadko rosnących jodeł o uschniętych igłach, natrafili na trawiastą łąkę, gdzie rozbili obozowisko.

Podczas całej jazdy Pawldo czuł wzbierającą w nim sympatię do młodego halflinga. I fakt, iż Stefanik jawnie traktował go jak bohatera, ze wszelkimi wynikającymi z tego tytułu konsekwencjami, w żaden sposób nie zdołał osłabić więzi między nimi, zaś przedłużające się milczenie lorda burmistrza jedynie: wzmogło w młodzieńcu nieco przesadzone przekonanie co do jego umiejętności i dotychczasowych wyczynów.

Gdy nad ich maleńkim obozowiskiem zapadł zmierzch, jeszcze przez pewien czas prowadzili poważną dyskusję, porównując opowieści, jakie słyszeli na temat Pałacu Czaszek. Dla Ffolków z Moonshaes i ich sąsiadów, halflingów, miejsce to było tłem wielu opowieści o męstwie i bohaterstwie, aczkolwiek mało kto wierzył w faktyczne jego istnienie. Pawldo stwierdził, że wersja historii opowiadanej w wiosce Llyrath Downs różniła się nieco od opowieści znanych w innych częściach Moonshaes. Niemniej, jako że mała wioska halflingów znajdowała się bliżej miejsca, w którym miała stać osławiona, prastara budowla, postanowił uznać tę wersję za najbardziej wiarygodną.

— Llyrath Downs — zauważył Pawldo siadając przy ognisku. — Niewielu was tam jest, co? Stefanik wzruszył ramionami.

— Dopóki nie zobaczyłem tak wielkiego miasta, jak Podwzgórze, nie zgodziłbym się z tobą. Ale, gwoli jasności, jest nas w sumie dwanaście rodzin rozrzuconych na zboczach i wierzchołku rozległego wzgórza.

Pawldo stłumił w sobie uśmiech — Podwzgórze — „wielkie miasto” — dobre sobie!

— Mieszkasz w samym lesie? — zapytał.

— Na skraju. Nikt nie mieszka w środku tej mrocznej puszczy. I nie będziemy też mijać mojej wioski — Llyrath Downs jest o cały dzień drogi na wschód stąd. Nie leży przy szlaku do miejsca, gdzie znalazłem sztylet.

— A jeżeli chodzi o legendy, które słyszałeś... czy sytuują Pałac Czaszek właśnie w tej części Llyrath?

— Tak. Mówi się, że szalony książę Ketheryll wznosił w Llyrath wielką twierdzę z czaszek swoich wrogów. Działo się to wówczas, gdy Gwynneth i pozostałe Moonshaes podzielone były na wiele maleńkich państweczek. Ketheryll wszczął wojnę ze wszystkimi sąsiadami. Powiadają, że jego okrucieństwo przewyższała jedynie jego potęga. — Młodzieniec wzruszył ramionami. — Musiał być dość twardy, skoro koniec końców wyparł wszystkich innych ludzi z południowego Gwynneth.

— Wszystkie opowieści potwierdzają, że był bezlitosnym panem — przyznał Pawldo. — Jego podboje przeszły już do historii, choć zawsze uważałem, że jeśli chodzi o jego skłonności do rozlewu krwi, było w tym sporo przesady. Mimo to nikt nie wątpi w opowieści o jego Legionie Przeklętych. — Widząc wyraz zakłopotania na twarzy Stefanika, Pawldo dorzucił — w każdym razie nikt spoza Llyrath. Legion sformował ze swoich poruczników, z których każdy został magicznie napiętnowany znakiem czaszki, będącej symbolem ich pana.

— Słyszałem, że każdy z ludu księcia poprzysiągł oddać życie w jego obronie — przyznał Stefanik — ale nie słyszałem nic o żadnym piętnowaniu. W sumie to nic dziwnego, skoro książe zawsze tak bardzo interesował się magią.

Pawldo roześmiał się.

— I jak na ironię został pokonany przez czarnoksiężnika Flamsterda i jego zaklęcia, a przecież również parął się czarami.

— Taak, przez czarnoksiężnika i Matkę Ziemię. Ludzie powiadają, że bogini zemściła się na Ketheryllu, ponieważ naruszył Równowagę. — Stefanik z powagą skinął głową.

— W opowieściach jakie słyszałem w całych Moonshaes, również pojawia się Matka Ziemia — rzekł starszy halfling.

— Słyszałeś, że Ketheryll poświęcił swą posępną warownię nowemu księżycowi letniego przesilenia? Z tej okazji urządził wielką fetę z udziałem większości swych najbardziej lojalnych popleczników. Ku uciesze księcia i jego złej świty, na arenie śmierci, znanej — o ile sobie dobrze przypominam, pod nazwą Circus Bizarre, zamordowano setki jeńców. Powiadają, że pojmał również młodego króla i królową z krainy ludzi i nakazał ich stracić wraz z pozostałymi.

— Byli to pierwsi monarchowie z rodu ludzi, którzy walczyli pod sztandarem Wielkiego Niedźwiedzia — wtrącił Stefanik.

— Wyobraź sobie — zostali straceni z rozkazu Ketherylla, ale ich symbol przetrwał i stał się talizmanem najpotężniejszych królów z Ffolków. Podejrzywałem, że król musiał zostać pojmany wskutek zdrady, ale teraz uważam, że mógł go porwać Legion Potępionych.

— Legion Przeklętych — poprawił Pawldo.

— Klątwa zaczęła działać właśnie w ową bezksiężycową noc wielkiej rzezi — wyszeptał Stefanik, po czym uniósł wzrok, spoglądając na nocne niebo.

— Tak — zaklęcie czarnoksiężnika w połączeniu z pragnieniem zemsty Matki Ziemi. Od strony lasu napłynęła czarna mgła — rzekł Pawldo ochrypłym szeptem, a jego oczy rozszerzyły się, gdy pospiesznie zlustrował cienie wokół ich ogniska.

— Spowiła zamczysko na dwa tygodnie i przez, cały ten czas Ketheryll i jego legion nie wyściubili nosa za bramę, bojąc się opuścić pałac. I nagle, w noc przesilenia, gdy na nocnym niebie zajaśniał księżyc w pełni, mgła rozwiała się. Pałac Czaszek zniknął, a wraz z nim Ketheryll i wszyscy jego ludzie — skonstatował lord burmistrz.

— Wszyscy oprócz jednego! — wtrącił Stefanik. Kiedy zaskoczony Pawldo uniósł wzrok, by na niego spojrzeć, młody halfling dokończył.

— Przynajmniej tak mówi się w Llyrath Downs. Wśród ludzi Ketherylla był złodziej, nazwiskiem Garius, łotrzyk i obieżyświat. Garius znenawidził swojego szalonego pana — będąc złodziejem tolerował czynienie zła jako sposób na łatwy zarobek, ale pogardzał okrucieństwem dla samego okrucieństwa. Mówi się, że pod osłoną nocy wymknął się z posepnego pałacu i uciekł od swego pana!

— Naprawdę uciekł? — spytał Pawldo zaintrygowany nową wersją legendy.

— Nikt nie wie na pewno — rzekł Stefanik nieomal szeptem. — Wszyscy uważają, że wymknął się, nim klątwa spadła na Ketherylla, ale nikt go więcej nie widział. Niektórzy twierdzą, że uciekł z zamku, lecz nie umknął przed straszliwymi czarami księcia. — Wzruszył ramionami. — Starzy ludzie z Llyrath Downs powiadają, że Garius został przemieniony w coś potwornego — co miało być karą za jego zdradę.

— Może to prawda — mruknął Pawldo, ziewając — ale nigdy się nie dowiemy, czy jakiegokolwiek z tych legend są prawdą, jeśli choć trochę nie odpoczniemy.

— Myślę, że tę rozmowę możemy przełożyć na jutro — rzekł radośnie Stefanik. — Będzie na to czas, ponieważ dotarcie do miejsca, gdzie znalazłem sztylet, zajmie nam większość dnia. Odnalezienie go nie powinno być trudne. Jak już mówiłem, było to u zbiegu dwóch strumieni.

— Doskonale, doskonale — odrzekł Pawldo. Urwał, i po-mimo kilku natarczywych pytań ze strony swego młodego kompana, lord burmistrz z Podwzgórza zaniechał na ten wieczór dalszych rozważań, a w każdym razie nie wypowiadał ich na głos.

Następnego dnia wyruszyli w głąb mrocznej kniei. Wokół nich wznosiły się ciemne, grube pnie drzew, a wysoko w górze nad ich głowami splecione, pokryte mnóstwem liści gałęzie tworzyły gęsty, zielony baldachim. Bujna roślinność nie przepuszczała niżej promieni słońca, toteż dwaj halflingowie jechali j stale w półmroku. Pokrywające ziemię miękkie poszycie z mchu, liści i sosnowych igieł ułatwiało jazdę.

Gdy wjechali pomiędzy gęsto rosnące drzewa, na widok ich grubych, szorstkich pni Pawldo doznał nieprzyjemnego, wręcz klaustrofobicznego uczucia ciasnoty.

Niebawem zaczął tęsknić do otwartych połaci wrzosowisk, gdzie nawet mgła wydawała się odległa i przyjazna w porównaniu z tymi mrocznymi, posepnymi strażnikami.

Powietrze było parne i duszne, wilgoć stale zraszała mu czoło, a wokoło unosiła się wszechobecna woń ziemi i pinii. Brakowało mu podmuchu wiatru, wiecznego kompana wrzosowisk, miast lekkiej bryzy kołyszącej koronami drzew. Około południa dotarli do brzegu głębokiego, chłodnego strumienia.

— Brzozowy Potok — oznajmił Stefanik. — Idąc w górę nurtu dotrzemy do miejsca, gdzie znalazłem sztylet.

Nawet strumień nikał w cieniu zielonego leśnego baldachimu, gdyż drzewa rosnące po obu jego brzegach były tak wielkie i rozłożyste, że szerokość koryta nie mogła powstrzymać ich gałęzi przed spleceniem się. Z mrocznych odmetów wystawały szare głazy — wody strumienia opływały je w niezwyklej, zastanawiającej ciszy.

Przez resztę popołudnia halflingowie podążali wzdłuż brzegów Brzozowego Potoku. Nurt był wartki, ale strumień, zdaniem! Pawłda, zdecydowanie zbyt cichy. I bez wątpienia głęboki; na jego powierzchni można było dostrzec mroczne głębie, w miejscach, gdzie woda spływała po wyżłobionej w skalach rynnie lub niewielkiej stromiźnie. Niemniej nawet przy tych progach Brzozowy Potok nie wydawał głośnych plusków ani nie był tak spieniony, jak można by się tego spodziewać. Weteranowi wielu wędrówek ów płynący bezszelestnie strumień wydawał się o wiele bardziej niepokojący niż otaczająca go mroczna puszcza.

— Tam! — zawołał Stefanik, przynaglając kuca do szybszego biegu. — Widzisz zbieg dwóch strumieni?

— Tak. Dobry z ciebie przewodnik, młodzieńcze — odparł Pawldo zadowolony.

Dwa mniejsze strumienie tworzyły literę Y, łącząc się w szerszy i głębszy Brzozowy Potok. Prawa odnoga spływała majestatycznie po skalistych półkach jak po kamiennych stopniach. Tu i ówdzie wśród gałęzi drzew widniała niewielka luka, dzięki czemu promienie słońca docierały do fal strumienia, odbijając się od nich migotliwymi refleksami. Lewa odnoga strumienia przypominała Pawldowi właściwy Brzozowy Potok — płynęła meandrycznie, a jej koryto nie miało tak stromych brzegów, jak prawe rozgałęzienie.

Pomimo iż prąd był wartki, woda nie rozbryzgiwała się z równą żywotnością, jak w sąsiednim strumieniu.

— Pośrodku — właśnie tam obozowałem. I tam również znalazłem sztylet — wyjaśnił Stefanik.

Gdy podjechali bliżej, Pawldo stwierdził, iż przestrzeń pomiędzy dwoma korytami rzeczywiście wyglądała na idealne miejsce do rozbicia obozowiska. Teren był tu płaski,

pozbawiony korzeni i pni. Kilka sporych kamieni ułożonych w formie kręgu miało chronić ognisko przed wiatrem i ukryć blask płomieni przed oczyma przypadkowego obserwatora.

— Możemy przeprowić się przez prawą odnogę — ciągnął młody halfling. — Jest tam dobry bród.

Dwa kuce wjechały do strumienia — woda sięgała im nieco powyżej pęcin — po czym wyszły na płaską polanę.

Między kilkoma głazami, które wcześniej dostrzegł Pawldo, widać było zwęglone pozostałości starego ogniska.

— To było twoje ognisko? — zwrócił się do Stefanika, kiedy obaj zsiadli już ze swoich wierzchowców.

— Tak. Jest tu stary korzeń brzozy, który wyciągnąłem, zanim położyłem się spać — odrzekł młody halfling, klękając obok pozostałości wygasłego ogniska. — Od czasu mojej ostatniej wizyty nikogo tu nie było.

— Wcale mnie to nie dziwi — mruknął Pawldo. Panujący w lesie półmrok wydawał mu się obecnie nader przytłaczający, niemniej jednak, najlepiej jak potrafił, starał się tłumić w sobie to uczucie. — Gdzie znalazłeś sztylet?

— Tutaj — Stefanik podszedł do lewej odnogi zbiegających się strumieni, wskazując płytkie zagłębienie na samym brzegu. — Leżał dokładnie tutaj. Stąd go właśnie wygrzebałem.

Pawldo ukląkł przy płytkiej jamie. Jej brzegi okalała świeżo odgarnięta ziemia, choć widać już na niej było drobne kępki mchu.

Otwór pasował do długości sztyletu. Przedmiot znajdował się tuż nad poziomem wody, między dwoma kamieniami.

Spoglądając w górę kanału Pawldo dostrzegł majaczący w oddali wśród drzew zarys potężnego skalnego masywu. Strumień wypływał z głębokiej szczeliny pomiędzy dwoma granitowymi ścianami.

Pomimo że pnie drzew znacznie przesłaniały mu widok, zdołał wypatrzeć przejście wśród skał, wąski wąwóz, skąd wypływała lewa odnoga Brzozowego Potoku. Zlustrował uważnie biegnące wzdłuż stromizmy koryto strumienia, począwszy od wąskiej szczeliny w granitowym urwisku, po niewielką sadzawkę stojącej wody u swoich stóp.

Zdecydowanym gestem wyjął sztylet z sakwy i uniósł w wyciągniętym przed siebie ręku.

— Wskaż mi Pałac Czaszek — rozkazał, czekając aż płynąca znikąd fala gorąca rozпали rękojeść. Nic się jednak nie wydarzyło.

— Może powinieneś upuścić go na ziemię — zasugerował Stefanik.

Pawldo wypuścił sztylet z ręki, ale broń upadłszy na ziemię nawet nie drgnęła.

— Co zrobiłeś poprzednio... to znaczy, co zrobiłeś, że zaczął świecić i wskazywać drogę do pałacu Ketherylla? — zastanawiał się głośno Stefanik.

— Nie wiem — uciał Pawldo i nagle umilkł.

— Spójrz — syknął przez zaciśnięte zęby.

Tak jak wcześniej w Podwzgórzu, sztylet zaczął emanować silnym blaskiem. Stojący tuż obok halflingowie wyraźnie czuli bijące od niego ciepło.

Nagle, bardzo powoli, broń zaczęła się obracać. W chwilę potem znieruchomiała wskazując wąską szczelinę wśród skał, skąd wypływał strumień.

— Tam — rzekł Pawldo. — To pochodzi stamtąd.

— Wygląda na to, że jest tam dość ciemno — zauważył z wahaniem Stefanik.

— Rano się przejaśni — oznajmił Pawldo, z widoczną wesołością w głosie. W rzeczywistości wcale nie było mu do śmiechu. Mroczny wąwóz otoczony nieprzebytym lasem wydawał się być złowrogim miejscem. Podjęcie decyzji o przełożeniu poszukiwań na następny ranek zajęło mu nie więcej niż chwilę.

Stefanik rozsiadł kuce, podczas gdy Pawldo zebrał naręczę suchych gałęzi walających się po ziemi w pobliżu obozowiska. Ułożył je przy kamiennym kręgu ogniska i, spojrzawszy na Stefanika, stwierdził, że młodszy halfling zamarł w bezruchu, wpatrując się ze zgrozą w coś, co znajdowało się za plecami Pawlda.

Lord burmistrz odwrócił się, by spostrzec parę nieruchomych, nie mrugających żółtych ślepi, oddalonych o niecałe sześć stóp od niego. Wilczy pysk nie oddawał absolutnie żadnych uczuć. Wąska paszczeka była nieznacznie rozchylona, spomiędzy długich, białych kłów wystawał obwisły różo-wy jęzor.

— Wilk! — syknął Stefanik.

Pawldo zdołał już rozpoznać potężne cielsko drapieżnika. Zwierzę przycupnęło na skale, gotowe do skoku.

Pawldo jęknął ze zdumienia i niezdarnym ruchem sięgnął po swój miecz, ale cofając się stracił równowagę i rymnął ciężko na ziemię. Wilk przez cały czas przypatrywał mu się przenikliwymi, żółtymi ślepiami. Jeszcze nim zdążył do połowy wysunąć swój miecz z pochwy, halfling zorientował się, że zwierzę nie przedstawia dla nich natychmiastowego zagrożenia.

— Wygląda na wygłodniałego — zauważył Stefanik. Na bokach zwierzęcia wyraźnie odznaczały się sterczące żebra, nieznacznie tylko przesłonięte bliznowatymi płatami sparszywiej sierści. Jedno ucho miał oklapnięte i przecięte paskudną, czerwoną raną. Na

dźwięk głosu wilk przeniósł wzrok na twarz młodszego halflinga i nastawił czujnie drugie, zdrowe ucho.

— Daj mu coś do jedzenia! — syknął Pawldo, coraz bardziej zakłopotany własną niezgrabnością i w dalszym ciągu niepewny zamiarów wilka.

— Naści, koleś — rzekł Stefanik, wyjmując z juków cały poć boczku. Rzucił go na ziemię obok zwierzęcia. Wilk spojrzął na boczek, a potem powrócił wzrokiem do Pawlda. W końcu głód zwyciężył. Zwierzę przez chwilę wodziło oczyma, po czym zeskoczyło ze skalnego nawisu. Rzuciwszy kolejne spojrzenie w stronę Pawlda, który wciąż jeszcze nie podnosił się z ziemi, wilk przysiadł na tylnych łapach i białymi, długimi, ostrymi kłami począł rozrywać kawał twardego mięsiwa.

Niebawem naruszył również ich zapas sera. Pawldo, przez cały czas czujnie obserwując wilka, ułożył drewno na ognisko, podczas gdy Stefanik rozwinął śpiwory. Gdy zrobiło się już zupełnie ciemno, usmażyli nieco boczku dla siebie, przy czym nie pominęli także wilka, rzucając mu kolejny kawał mięsiwa. Wreszcie zwierzę złożyło łeb na wyciągniętych przednich łapach i westchnęło z ukontentowaniem.

— Myślę, że znaleźliśmy przyjaciela - rzekł Stefanik, gdy wilk przymrużył ślepią.

— Przypuszczam, że w tych lasach mogliśmy napotkać gorszego towarzysza — stwierdził ostrożnie Pawldo. Perspektywa spania w środku lasu, z tym potężnym drapieżnikiem oddalonym zaledwie o kilka stóp, coraz bardziej go niepokoiła.

— Może powinniśmy mu dać jeszcze kawałek boczku.

— Sądzę, że teraz musi tylko odpocząć. Wygląda na wycieńczonego.

Rzeczywiście, zwierzę wyglądało, jakby dotarło wreszcie do kresu długiej i okropnej wędrówki. Porośnięte sierścią boki, teraz wyraźnie nabrzmiące, unosiły się i opadały w rytm równego oddechu. Pawldo zauważył, że pysk i przednie łapy zwierzęcia również były pokryte bliznami, choć nie tak okropnymi jak ucho. Niektóre z ran wydawały się jeszcze świeże; i wilgotne — upłynęło zbyt mało czasu, by zdażyły się zagoić.

— Czy wilki nie wędrują zwykle stadami? — zapytał młodszy halfling. — To dziwne, że ten jest tylko jeden.

— Widziałeś dużo wilków w Puszczy Llyrath? — zapytał Pawldo.

Stefanik pokręcił przecząco głową.

— Są bardzo rzadkie. Raz czy dwa, jesienią lub zimą widywaliśmy je, jak przebiegały obok wioski — niczym szare leśne duchy. Nie czyniły nam szkody. Prawdę mówiąc, nie atakowały nawet owiec hodowanych przez Siwobrodego Karywethera. Ale

nawet wówczas, kiedy je widywaliśmy, zawsze chodziły stadami — było ich tuzin, dwadzieścia, a nawet więcej.

— Wnioskując z jego wyglądu, musiał ostatnio walczyć o życie. Zastanawiam się, czy nie jest jedynym, jaki ocalał ze stada — zamyślił się Pawldo.

— Nie wiem, co mogłoby zabić tyle wilków — rzekł Stefanik. — Są tu niedźwiedzie, ale wilk bez trudu mógłby przed nimi uciec. Może firbolgi?

Pawldo pokręcił głową.

— Nawet gdyby olbrzymy zapędziły się tak daleko na południe, nie zrobiłyby czegoś takiego. Czasami zdarza się, że porywają wilki, by trzymać je jako swoje ulubione zwierzątka, ale na pewno nie torturowałyby ich ani nie okaleczały.

Niebawem niespokojna para halflingów weszła do swoich śpiworów i skuliwszy się w nich, usnęła. Pawldo obudził się, gdy tylko pierwsze światło szarego świtu zaczęło przezierać przez mgłę unoszącą się nad korytem strumienia.

Wilk — jak zauważył — leżał nadal w tym samym miejscu, ale już nie spał. Żółtymi ślepiami śledził każdy ruch Pawlda, kiedy halfling podniósł się i podszedł do Stefanika, a następnie obudził go silnym kuksańcem. Spakowali swoje rzeczy, w głębi duszy licząc, że wilk pójdzie w swoją stronę. Jednak kiedy ruszyli w kierunku wąskiego wąwozu, wilk wysforował się naprzód, omijając zwinnie pokrzywione korzenie i przeskakując nad potężnymi głazami. Prowadził ich w głąb wąwozu.

Ściany czeluści, potężne granitowe skały, błyszczały wysoko nad ich głowami. Ich naruszoną wiatrem i deszczem powierzchnię porastały pasma mchów i porostów, a chłód bijący od kamieni wysysał z powietrza najmniejszą nawet odrobinę ciepła.

Strumień zwęził się do szerokości zasypanego ułomkami głazów kanału. Mimo to Pawldo nie wątpił, iż miejsce, skąd pochodził bajeczny sztylet, musi znajdować się u źródła tego strumienia.

— Kuce tędy nie przejdą — oznajmił, wskazując stromy i wąski wąwóz. — Uwiążmy je tutaj i postarajmy się wrócić przed zmierzchem.

Stefanik również uświadomił sobie bezcelowość przeprowadzania wierzchowców przez labirynt głazów i zwalonych drzew. Wilk, przycupnąwszy na szczycie potężnego głazu, przyglądał się uważnie, jak zsiadli z wierzchowców, uwiążali je, po czym ; wyjęli z juków kilka niezbędnych przedmiotów które zamierzali zabrać ze sobą — broń, butle z naftą i platynowy sztylet, To zadziwiające, ale zwierzę sprawiało wrażenie, jakby bardziej interesowało się halflingami niż końmi.

Wychudzony wilk ponownie pognął przed siebie, znikając za ogromną skałą. Zrobił jeszcze kilka kroków, po czym czujnie odwrócił łeb, jakby sprawdzał, czy halflingowie nadal podążają jego śladem.

— Tak, tak! Zaczekaj chwilę! — mruknął Pawldo, zirytowany j spokojem, z jakim zwierzę radziło sobie w trudnym terenie.!

— Skoro nam towarzyszy, powinien mieć jakieś imię — zasugerował Stefanik, usiłując przedostać się ponad zwalonym pniem ze sterczącymi ostrymi gałęziami.

— Proszę bardzo — burknął starszy halfling, również pokonując przeszkodę.

— Może by tak — Pół-Ucha? — zaproponował Stefanik biorąc spowodowane frustracją mamrotanie Pawlda za zgodę — Hej, wilku! Hej, Pół-Ucha, może znalazłbyś jakąś drogę, co?

Ale Pół-Ucha tylko spojrzał na nich z wyraźną obojętnością. Przez kilka minut pieli się w milczeniu wzdłuż brzegu strumienia by dotrzeć do miejsca, w którym wilk ostatnio się zatrzymał. Naturalnie w tym czasie drapieźnik wyprzedził ich o kolejnych kilka susów.

Pawldo i Stefanik, jęcząc i klnąc w żywy kamień, pieli się ku górze, brnąc coraz dalej w głąb wąskiego wąwozu. Nie było tu żadnej ścieżki — podłoże wąskiej rozpadliny zaścielały usypiska głazów, zwalone pnie drzew i kolczaste krzewy, co sprawiało, że każdy kolejny krok był uporczywą mordęgą. Pół-Ucha był stale przed nimi, przeczołgując się przez wąskie szczeliny pod kłodami, czego naturalnie halflingowie nie byli w stanie uczynić, i paroma zwinnymi susami pokonując stromiznę zwalonego głazu.

Posuwając się wolno naprzód, dwunożni poszukiwacze przygód z niewiarygodną wręcz ostrożnością kontynuowali wspinaczkę, a tobołki, które mieli ze sobą, wciągali na linach dopiero, gdy sami pokonali kolejny odcinek niebezpiecznej stromizny.

Opodal nich milczący strumień w dalszym ciągu płynął wartkim nurtem wzdłuż głębokiego kanału, nie usłanego ogromnymi głazami tak jak w dolnym biegu. W końcu ściany po obu stronach zaczęły się od nich oddalać i niebawem dotarli do szczytu skalistej rynny.

Wspiąwszy się na kopiec kamieni zaścielający brzeg strumienia, Pawldo zatrzymał się, by chwilę odetchnąć. Pół-Ucha czekał cierpliwie, niezbyt daleko przed nimi, na skraju leśnej polany.

— Otwarta przestrzeń — wykrztusił lord burmistrz, gdy dołączył doń jego młodszy towarzysz. — Wygląda podobnie jak las, który widzieliśmy na dole.

— Matce Ziemi niechaj będą za to dzięki! — jęknął wyczerpany Stefanik, osuwając się na kopiec kamieni, po czym rozejrzał się wokoło.

— Gdzie Pół-Ucha?

— Zaczekaj no chwilę, ty parszywy kundlu! — warknął Pawldo, gdy wilk pognął przez polanę w stronę mrocznego lasu po drugiej stronie. — Daj nam choć... — Szok pochłonął resztę jego żalosalnej skargi.

— Co to takiego? — zapytał Stefanik podążając za wzrokiem swego towarzysza.

W tej samej chwili jemu również głos uwiązł w gardle.

Budowla w lesie przed nimi była ledwie widoczna za gęstą zasłoną z pni drzew. Mimo to wyteżywszy wzrok halflingowie zdołali dostrzec jej kanciasty zarys, prostokątny kształt, przypominający z wyglądu długie, wysokie mury szarego lub może białego koloru. W pierwszej chwili Pawldo pomyślał, że te kontury były zdecydowanie zbyt regularne, by mogły być wzgórzem albo kopcem kamieni.

— T-to jakaś b-b-budowla — rzekł Stefanik, mimowolnie zniżając głos do szeptu — i Pół-Ucha biegnie właśnie w jej stronę!

— Cóż, lepiej, żebyśmy nie zostawiali go samego — mruknął Pawldo, zdziwiony własnym brakiem entuzjazmu. Coś w wyglądzie tej niesamowitej budowli — nie zdołali się jej jeszcze uważniej przyjrzeć — niepokoiło go, i to tak dalece, że nie był w stanie tego zignorować.

— Czy to tylko moje odczucie, czy zaczyna zmierzchać? — spytał Stefanik. Rozejrzał się nerwowo, lustrując otaczającą ich mroczną połąć lasu. Pawldo nie odpowiedział, ale nadciągający zmierzch uświadomił mu, że przejście przez upiorny wąwóz zajęło im prawie cały dzień. Las, i tak zazwyczaj mroczny i posepny, zaczął pograżać się w jeszcze głębszych ciemnościach. Ostrożnie, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku, Pawldo i zaczął przekradać się w kierunku budowli. Przesuwał się chyłkiem j od drzewa do drzewa, za każdym razem obserwując uważnie swój cel. Dopiero upewniwszy się, że jest bezpiecznie, pokonywał kolejny odcinek dzielący go od potężnego gmaszyska.

W przeciwieństwie do niego Pół-Ucha podbiegł wprost do, wejścia do budowli i usiadł, jakby ze zniecierpliwieniem oczekując przybycia kompanów mających towarzyszyć mu w brawurowej wyprawie.

Wkrótce halflingowie znaleźli się na tyle blisko, że mogli już rozróżnić szczegóły gmachu mającego za zasłoną strzelistych sosen. Gdy wyłonili się z lasu, zobaczyli całą budowlę w jej posepnej okazałości i zamarli z wrażenia. Biała powierzchnia, którą dostrzegli w pierwszej kolejności, była frontowym murem i bynajmniej nie tak gładkim, jak się to Pawldowi wydawało. Na całej długości zdołały go blanki i liczne wieżyczki zaś dokładnie pośrodku znajdowała się ziejąca czeluść jedynych otwartych na oścież wrót.

Wilk siedział dokładnie przed nimi.

Pomimo iż sądzili, że z miejsca, w którym poprzednio się zatrzymali, zdołali dostrzec wszystkie sekrety budowli, dopiero gdy zbliżyli się do bramy, zorientowali się, co było budulcem użytym przy wznoszeniu warowni.

— Całe zamczysko jest zrobione z kości! — wyszeptał Stefanik. — Spójrz — czaszki — ludzkie czaszki! Legendy mówiły prawdę!

Na widok muru bezokich czerepów Pawldo poczuł zimny dreszcz, przebiegający mu po plecach. Jak zauważył, większa część zamkowych murów zbudowana została z tych posępnych szczątków, ułożonych starannie, warstwami, jakby ręką mistrza murarskiego. Framugę wrót stanowiły jedynie trzy kości, przypominające udowe, tyle że każda z nich mierzyła dobre 3 metry długości.

— Nawet firbolgi nie mają tak długich nóg! — wymamrotał przerażony Pawldo.

— Czy uważasz, że to właśnie stąd pochodzi ten sztylet? — spytał z wahaniem Stefanik. — Może... ee... pomyliliśmy się co do tego znaku.

— Jestem pewny, że pochodzi z tego miejsca — odrzekł Pawldo i rażno ruszył przed siebie. Pomimo iż kościstobiała budowla obudziła w jego wnętrzu uczucie narastającej zgrozy, parł naprzód, powodowany żądzą nowych odkryć, przygód... a przede wszystkim skarbów.

Jakby nie było, reputację bohatera zyskał stawiając czoła nadnaturalnym niebezpieczeństwom, dużo groźniejszym niż ten widmowy pałac.

— Powiedz no, a co z kucami? — Stefanik, wyraźnie zatroskany, obejrzał się za siebie w kierunku wąwozu, którym tu dotarli. — Nie możemy zostawić ich samych na całą noc.

— Nic im się nie stanie. Mają dość trawy.

— A co z wilkami? — zastanawiał się Stefanik.

— Jestem pewny, iż Pół-Ucha jest jedynym wilkiem w okolicy, a on jest przecież z nami. Powiedziałbym nawet, że wskazuje nam drogę. Chodź — Pawldo ponownie zaczął zmierzać w kierunku mrocznego wejścia. W myślach widział chaotycznie przesuwające się obrazy — stosy monet, migoczących klejnotów, bajecznych przedmiotów. Pół-Ucha poderwał się z ziemi i wyprzedziwszy ich, przeszedł przez bramę.

Dwaj halflingowie — jeden dziarsko, drugi z wahaniem, podążyli za wilkiem, mijając łukowate sklepienie z kości. Promienie słońca przedostające się przez szczeliny w posępnych murach (pomiędzy czaszkami — upominał się w myślach Pawldo) w nieznacznym tylko stopniu były w stanie oświetlić wnętrze budynku.

Zanim halflingowie przebyli trzydzieści kroków, otoczyły ich w niemal kompletnych ciemnościach, więc musieli się zatrzymać, by wyjąć ze swych tobołków lampy.

Niebawem, napełniwszy je naftą i zapaliwszy knoty, ruszyli dalej, oświetlając sobie drogę jasnym blaskiem bijącym z lamp. Główny korytarz, którym szli, był szeroki, a posadzka pod ich stopami gładka jak szkło i najprawdopodobniej wyłożona kamiennymi płytami — co Pawldo przyjął z niewypowiedzianą ulgą. Jednakże ściany z obu stron tworzyły chaotyczną mozaikę bezokich ziejących oczodołów i wyszczerzonych w trupim uśmiechu zębów, jako że wykonano je wyłącznie z samych czaszek.

— Są ich tysiące — wyszeptał Stefanik, gdy dotarli do rozwidlenia i zobaczył przed sobą trzy inne korytarze, podobnie jak pierwszy wyłożone upiornymi czerepami. Powietrze było suche i bezwonne, ale każdy kolejny oddech zdawał się pozbawiać języki i gardła obu halflingów resztek wilgoci. Wypili łyk wody ze skórzanego worka, nie dlatego, by zaspokoić pragnienie, ale po to, by ukoić stargane nerwy.

— Którędy pójdziemy? — spytał Stefanik. Drugie, rzewne spojrzenie młodego halflinga w kierunku głównej bramy wystarczyło, by domyślić się, za czym optował.

— Sztylet! — syknął Pawldo.

Wyjął z sakwy przy pasie platynową broń i wymierzył ją po kolei w stronę każdego z trzech korytarzy.

— Pałac Czaszek — zaintonował lord burmistrz, wyobrażając sobie w duchu stopy wspaniałych kosztowności i złotych monet. Odczekał kilka chwil, przypominając sobie, że poprzednim razem reakcja nastąpiła z pewnym opóźnieniem. Teraz jednak, ponieważ znajdowali się w pałacu, broń nie dała im żadnej wskazówki.

— Będziemy musieli zaryzykować. Spróbujmy tędy — rzekł bez chwili wahania Pawldo. Przeszedł zaledwie kilka kroków w głąb wytypowanego przez siebie korytarza, gdy nagle światło jego lampy odbiło charakterystyczny, kuszący błysk kilku metalowych przedmiotów leżących pod sąsiednią ścianą.

— Złoto! — wykrzyknął lord burmistrz, zapominając o nie- i podnoszeniu głosu.

Błyskawicznie ukląkł, aby w świetle lampy przyjrzeć się swemu znalezisku. Na podłodze leżało kilka tuzinów złotych monet.

— Czy nie powinny być zakurzone? — zastanawiał się głośno Stefanik.

— Nie! — ryknął z rozmarzeniem Pawldo. Był wniebowzięty. | — To zamczysko pojawia się tu tylko na dwa tygodnie] a potem znika! Kiedy miałby się zebrać w nim kurz?

— Ale... — Stefanik umilkł.

Starszy halfling pozbierał monety i czym prędzej wrzucił je do sakiewki. Wypełniony nimi skórzany mieszek nabrał znacznego i zgoła zadowalającego ciężaru.

— Chodź! — ponaglił Pawldo, przyspieszając kroku. Pół-Ucha dreptał tuż obok niego, podczas gdy Stefanik pozostał nieco w tyle.

Minęli ogromną komnatę o wysokim, łukowatym sklepieniu, gdzie blask ich lamp tworzył niewielkie kręgi światła pośród otaczających ich zewsząd otchłani ciemności.

Stefanik chciał już iść dalej, ale Pawldo przywołał go z powrotem.

— Spójrz, niszę wzdłuż ścian. Moglibyśmy je sprawdzić po drodze. — Uniósł latarnię w górę, oświetlając puste pomieszczenie pomiędzy dwoma łukami — małe i prostokątne, o wysokim sklepieniu wspieranym z lekka zakrzywionymi kośćmi.

— Alkowy... może to były kwatery Legionu Przeklętych Ketherylla — wyszeptał Stefanik z przerażeniem w głosie.

— Możliwe — rzekł Pawldo, po czym dorzucił triumfalnym tonem — ale teraz są puste! Nie ma tu żadnych nawiedzonych strażników, tylko czekających, by wysać z ciebie duszę. I to by było tyle, jeżeli chodzi o stare legendy!

— Skarbu też ani śladu — odparował młodszy halfling.

— Cierpliwości, gołowąsie. Dopiero rozpoczęliśmy nasze poszukiwania.

Pawldo ruszył dalej wzdłuż rzędu identycznych, niewielkich komnat. Sprawdził następną i jeszcze jedną, aż w końcu jego wysiłki zostały nagrodzone.

— I co ty na to? — rzucił buńczucznie, klękając, by podnieść z podłogi małą statuetkę przedstawiającą lwa szykującego się do skoku. Podobnie jak złote monety, błyszczała, jakby została świeżo wypolerowana.

— Czyste srebro, z rubinami zamiast oczu!

Pospiesznie wcisnął figurkę do sakwy i podjął przerwane poszukiwania. Zanim skończył przeszukanie tej komnaty, co zajęło mu blisko godzinę, do jego skórzanej sakwy trafiła jeszcze para złotych kolczyków, brosza wysadzana szmaragdami i ozdobiony klejnotami diadem. Włochaty wilk nie odstępował go ani na chwilę, a jego żółte ślepia błyszczały w świetle lampy, jakby on również zdawał sobie sprawę z wartości znalezisk.

— Jeśli w tych komnatach zamieszkiwali lojalni popiecznicy Ketherylla — zauważył Stefanik — to musiało im być okropnie ciasno!

— Spójrz tutaj! — Pawldo pochylił się, by podnieść z podłogi | kolejne błyszczące cacko. — Jeszcze jedna figurka — dorzucił półgłosem, obracając w palcach statuetkę wielkości dłoni, przypominającą wojownika. Przyjrzał się jej z uwagą i nagle wstrzymał oddech. Na karku figurki dostrzegł słaby zarys piętna w kształcie trupiej czaszki.

— Nie powinniśmy już iść? — zapytał Stefanik, podczas gdy Pawldo napełniał swój mieszek.

— Tu jest o wiele więcej pomieszczeń, które powinniśmy spenetrować — odrzekł Pawldo i ze zdecydowaniem pokręcił głową.

To rzekłszy zabrał drugiego halflinga na długą, chaotyczną wędrówkę krętymi korytarzami Pałacu Czaszek. Raz prowadził ich Pół-Ucha, kiedy indziej znów naprzód wysuwał się Pawldo, wiedziony trawiącą go ciekawością i intuicją. Minęli wysoko położone galeryjki i ogromną salę balową, natrafili również na głęboką jamę, która — jak sądził Pawldo, musiała być znaną mu już z opowieści areną śmierci, o nazwie Cir Bizarre. Otaczały ją kręgi ławek wykonanych w całości z rozmaitych fragmentów kości.

Mało brakowało, a Pawldo przeoczyłby dwa pierścienie. W przeciwieństwie do innych błyskotek, pokryte były cienką warstwą kurzu i brudu. Oba ozdobione były grawerowany symbolem Wielkiego Niedźwiedzia. Przyjrząwszy im się pobieżnie stwierdził, iż pierścienie muszą być z czystego złota i natychmiast wrzucił je do swojej sakwy, by dołączyły do innych, znalezionych wcześniej przedmiotów.

— Niedźwiedź to jawny dowód! — rzekł Stefanik. — opowieść jest prawdziwa — on naprawdę zabił króla i królową którzy nosili ten symbol!

Kilka kolejnych cennych przedmiotów znalazło się w ręku nieustraszonych poszukiwaczy przygód, a ściślej mówiąc, w sakach Pawlda, jako że Stefanik prawie przez cały czas z pokojem wpatrywał się w mroczne zakamarki i błagał starszego halflinga, aby się pospieszył. Mimo to lord burmistrz z Podwzgórza nie kwapił się do tego. Znalazł nabijany klejnotami naszyjnik i bransolety, które — o czym był przekonany, dorównywały wartością sporemu domowi. Kilka kroków dalej jego wzrok przykuła mała kryształowa figurka przedstawiająca rycerza na koniu — niewielki bibelot skrzył się ozdobami z rżniętego diamentu, a platynowa, smukła lanca migotała w blasku lampy.

Pół-Ucha dreptał parę kroków przed nim, torując sobie drogę wśród cieni i oglądając się z wyraźnym zniecierpliwieniem na halflinga.

Pokonali kolejny zakręt i natrafili na wiodące w górę schody. Pawldo bez wahania zaczął się po nich wspinać, ale Stefanik sprawiał wrażenie niezdecydowanego — raz po raz przyświecał lampą to tu, to tam, spoglądając rozszerzonymi strachem oczyma na otaczające ich ściany, wyłożone szczyrzącymi zębami nagimi czerepami.

— Zaczekaj! Chyba coś zobaczyłem! — syknął młodzian.

— Co? Gdzie? Jeszcze więcej złota? — spytał Pawldo, odwracając się na schodach.

— Nie — coś się poruszyło — jęknął Stefanik. — Tam, na dole... coś ciemnego

Pawldo podążył wzrokiem w kierunku wskazywanym drżącą dłonią swego towarzysza, ale nie zauważył nic prócz cieni spowijających podnóże schodów. Światło ich lamp zaczęło nagle wydawać się bardzo nikłe w porównaniu z natarczym mrokiem. Gdy Pawldo trzymał przed sobą zapaloną lampę, stwierdził nieoczekiwanie, że w jej blasku musi być doskonale widoczny dla kogoś — lub czegoś, co czaiło się gdzieś tam w półmroku.

Błyskawicznie zakrył naczynie, nakazując Stefanikowi, by uczynił to samo. Czekali, nasłuchując w kompletnej ciemności.

Ich oczy z wolna przyzwyczały się do półmroku. Pomimo że nie byli w stanie rozróżnić szczegółów, niebawem wokół nich zaczęły wyłaniać się rozmyte kontury schodów i ścian.

— Zostań tu! — rozkazał Pawldo, stawiając swoją lampę na podłodze. Wydobył z pochwy krótki mieczyk, a znajomy ciężar w dłoni natychmiast dodał mu odwagi. Następnie, niejako na wszelki wypadek, sięgnął do skórzanej sakwy i wyjął z niej platynowy sztylet.

Trzymając krótsze ostrze w lewej dłoni, uniósł mieczyk i zaczął schodzić po schodach. Czuł obok siebie dodającą otuchy obecność kudłatego szarego wilka. Schodził powoli, krok za krokiem, wymachując mieczem groźniej, niż wskazywałby na to jego stan ducha. Dotarł do podnóża schodów i poczuł pod stopami gładką, kamienną posadzkę korytarza. Rozglądając się na prawo i lewo, z trudem mógł dostrzec rozmyte zarysy korytarza. Rozlegające się tuż obok ziajanie Pół-Ucha współgrało z rytmem przenikającego go na wskroś strachu.

— Tu na dole nic nie ma — wyszeptał. Stefanik nie odezwał się, toteż Pawldo powtórzył swoją uwagę nieco głośniej.

Cisza u szczytu schodów była bardziej przerażająca niż cokolwiek, co mógł sobie wyobrazić w ciemnościach.

— Stefanik! — warknął.

Nadal nie było odpowiedzi.

Pawldo i wilk wbiegli schodami na górę, potykając się o miękki wzniesienie skórzanej sakwy halflinga. Wsuwając miecz do pochwy, sięgnął po lampę i otworzył przesłonę.

Stefanik zniknął, pomimo iż jego lampa stała na stopniu nad skórzaną sakwą. Lord burmistrz spojrzał rozpaczliwie ku górze, lustrując przeciągłym spojrzeniem pozostałą kondygnację schodów — młody halfing nie mógł zejść po schodach nie zauważony, a Pawldo nie dostrzegł w pobliżu żadnych drzwi. Ogarnęło go bezgraniczne przerażenie i dojmujące uczucie nadchodzącej nieubłaganej klęski ich przedsięwzięcia.

Zarzuciwszy sobie torbę na ramię, halfing, aczkolwiek niezdarnie, ujął w lewą rękę lampę. Ponownie wydobywszy swój miecz, pokonał kolejnych osiem lub dziesięć stopni i

znalazł się na podeście, skąd w trzech kierunkach rozchodziły się szerokie, mroczne korytarze.

— Stefanik! — zawołał ponownie.

Pawldo poczuł, że ogarnia go fala straszliwego osamotnienia. Nieoczekiwanie skarby, jakie miał w swojej sakwie oraz pokusa bogactwa, każąca mu iść coraz dalej i dalej w głąb tego posępnego pałacu, stały się niczym w porównaniu z wartością życia jego młodego towarzysza.

Pół-Ucha warknął z cicha. W chwilę potem wilk ruszył naprzód środkowym korytarzem, przystając co kilka kroków by obejrzyć się za halfingiem.

Ściskając ponuro mieczyk w jednej, a sztylet i lampę w drugiej ręce, Pawldo pospieszył w ślad za wilkiem, przemierzając środkowy korytarz, komnatę ozdobioną strzelistymi kolumnami i znajdujące się za nią wąskie, łukowato sklepione wejście. Tu i ówdzie z nisz w ścianach mrugały doń uwodzicielsko złote monety, kiedy indziej zaś barwny błysk klejnotu zdawał się namawiać go do zmiany kursu, ale halfing uparcie maszerował naprzód.

Wszedł do kolejnej przestronnej komnaty; kopułowe sklepienie znajdowało się wysoko ponad jego głową. Przemierzając ją ostrożnie, uniósł trzymaną w dłoni lampę ku górze, usiłując zgłębić otaczające go ciemności. Pół-Ucha szedł obok niego z uniesionym łbem i czujnie wypatrywał. Nagle wilk zatrzymał się, a z jego piersi dobył się głośny, przeciągły warkot. Pawldo dostrzegł niewyraźną postać, stojącą w bezruchu w ciemności, sztywno wyprostowaną i mierzącą nie więcej niż trzy stopy wzrostu.

— Stefanik! — krzyknął Pawldo, zrywając się, by podbiec do młodszego halflinga.

Jednak niemal w tej samej chwili zatrzymał się i znieruchomiał.

Stefanik nie odwrócił się ani w żaden inny sposób nie zareagował na wołanie.

Coś jest nie tak — uznał Pawldo zdecydowanie.

W tej samej chwili cienie za młodym halfingiem poruszyły się, a Pawldo poczuł lodowaty chłód przenikający go do szpiku kości. Przed nim, w ciemności, majaczył jakiś kształt, OGROMNY kształt, i halfing nie zdołał powstrzymać zduszonego jęku zgrozy, jaki dobył się z jego ust. Cienie rozstały się, ale tylko po to, by ukazać jego oczom istotę, zdającą się być ulepioną z samego mroku, istotę niezdarną, ciężką, większą od człowieka, której głowa i ręce sięgały atramentowego sufitu.

Pawldo dostrzegł uniesione ręce, czarne i złowieszcze, a jednocześnie z pozoru słabe i bezcielesne jak dwa bliźniacze słupy gęstego, oleistego dymu. Zauważył również długie, złowrogo zakrzywione szpony na końcach palców tych mrocznych, uniesionych wysoko rąk.

W chwilę potem zmaterializowało się również ohydne oblicze — szczęki wykrzywione w zwierzęcym grymasie rozwarły się szeroko, odsłaniając szkarłatny język i szkaradne, poczerńnięte zęby. Jednak najbardziej przerażające były oczy tej istoty, które niczym żarzące się piekielnym ogniem węgle, przepełnione nienawiścią i żądzą mordy, bez jednego mrugnięcia wpatrywały się w drżącego halflinga.

— Kim są złodzieje, pragnący ukraść skarby będące własnością Ketherylla? — Potężny głos przetoczył się niczym grzmot wewnątrz przestronnej komnaty, a Pawldo odniósł wrażenie, jakby niewidzialny piorun przyspawał go do podłogi. Włosy zjeżyły mu się na karku i natychmiast wyczuł unoszącą się w powietrzu, jedyną w swoim rodzaju aurę magii.

W chwilę potem uświadomił sobie kolejny, przerażający fakt — głos widma zdawał się dochodzić ze wszystkich stron naraz! Obracając się gwałtownie na pięcie, zobaczył wokół; siebie tuzin jednakowych, równie mrocznych, przerażających i niewyraźnych postaci. Niemniej jednak każda z nich miała; takie same, pałające nienawiścią, piekielne oczy i długie za-ł krzywione szpony, które wyciągała chciwie w jego kierunku gotowa w każdej chwili rozerwać go nimi na drobne kawałki.!

— Kim Wy jesteście? — wykrztusił halfling, kiedy w końcu już odzyskał głos.

— Jam jest księżę Ketheryll. — Znów ten sam głos, ja odgłos burzy przetaczającej się nad odległą doliną.

Towarzyszący Pawldowi Pół-Ucha warknął i przykucnął, jego ślepia migotały w blasku lampy, gdy niespokojnie wodził wzrokiem od jednej potwornej postaci do drugiej.

— Stefanik! — krzyknął Pawldo.

Głowa z czupryną rozwichrzonych włosów poruszyła jakby młodzieniec bezskutecznie próbował się odwrócić, dawało się, że Stefanik usiłował spojrzeć na swego towarzysza, ale nie miał w sobie dość siły. Pół-Ucha ponowi warknął; w odgłosie tym można było wyraźnie wyczuć ni] strachu.

— Oszczędź sobie oddechu — syknął Ketheryll. — Podobnie jak ty, jest on teraz moim więźniem.

— Co z nim zrobiłeś? — zapytał Pawldo obracając się powoli, by zlustrować wszystkie otaczające go, złowieszcze postacie. Co ja z nim zrobiłem? — dorzucił bezceremonialnie głos jego sumienia. Doskonale pamiętał, jak Stefanik go, by opuścili to złowrogie zamczysko i swój własny upór, by kontynuować poszukiwanie nieuchwytnego skarbu.

— Nic nie zrobiłem, ale zamierzam uczynić z niego jeden z moich skarbów... moich bibelotów — rzekł Ketheryll. — Domyślam się, że poświęciłeś większą część nocy na zbieranie ich.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie mogłem Uczyć na nikogo — otaczali mnie sami głupcy i zdrajcy. Nawet żołnierze z mojego nieustraszonego Legionu... wszyscy byli tacy sami, jak ten zdrajca Garius. — Ketheryll uśmiechnął się przerażająco. — Umknął z mego pałacu wtedy, gdy go najbardziej potrzebowałem, lecz nie uchroniło go to przed moim gniewem.

Głos stał się bardziej donośny, piekielny, ochrypły, złowieszczy.

— Jak wszyscy, których zwabiła tu obietnica bogactw i przywiodła do zguby chciwość, tak ty i twój przyjaciel pozostaniecie już na zawsze w murach mego zamczyska. Tak jak wszyscy ci, którzy usiłowali mnie okraść bądź okłamać, staniecie się przedmiotami o wymyślonej wartości — ulotnymi świecidełkami mamiącymi wyobraźnię.

— Widziałem tu sporo cennych przedmiotów i wydawały się całkiem solidne — rzucił buńczucznie halfling, choć natychmiast pożałował swego nieroztropnego wybuchu.

— Tak uważasz? Więc może powinieneś przyjrzeć się im ponownie.

Pawldo, który poczuł nagle, że żołądek podchodzi mu do gardła, nieoczekiwanie stwierdził, iż platynowy sztylet, który trzymał w ręku, stał się niewiarygodnie lekki. Spuściwszy wzrok zobaczył, czym naprawdę był „sztylet” — tanią metalową zabawką w kształcie noża, wysadzaną okrągłymi kawałkami szkła.

Jednocześnie uświadomił sobie, że pozostałe „skarby”, jakie zebrał w swojej sakwie, okażą się równie bezwartościowe.

Pawldo w dalszym ciągu usiłował opanować drżenie kończyn. Rozpaczliwie starał się obmyśleć jakiś plan działania. Rozejrzył się? nerwowo dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby stać się dlań źródłem inspiracji.

Pół-Ucha stanął obok halflinga, przyglądając się otaczającym ich złowieszczym postaciom. Sierść na karku wilka zjeżyła się, a nos zmarszczył, gdy drapieżnik obnażył białawe kły w groźnym grymasie.

Pawldo uniósł lampę, widział wyraźnie migoczący płomień i niewielki zbiornik nafty nasycającej knot. Gliniane naczynie było dość ciężkie, pozostała w nim jeszcze ponad połowa zapasu paliwa.

— Stefanik! — zawołał ponownie. Młody halfling raz jeszcze drgnął, uwikłany w pojedynek umysłów, ale w dalszym ciągu nie był w stanie się odwrócić ani nawet przemówić.

— Głupcze! — ryknął Ketheryll. Jego głos znów zdawał się dobiegać zewsząd.

Migoczący płomyk lampy Pawłda zadrgał, gdy halfling na próżno usiłował opanować drżenie dłoni. Dostrzegł swoją szansę, wprawdzie wątplą, rozpaczliwą i ryzykowną, niemniej j jedyną przedstawiającą jakąkolwiek nadzieję ucieczki.

Jeżeli jego przypuszczenia okażą się słuszne.

Cisnął sztylet na podłogę i głośno wypowiedział słowo — nie nazwę owego koszmarnego miejsca, bo, jak się domyślił, punktem orientacyjnym dla broni nie był bynajmniej sam Pałac Czaszek. Miast tego zakrzyknął głośno jedno nazwisko. I gdy to się stało, sztylet rozplómił się niczym tarcza słońca. <

— Ketheryll! — wrzasnął Pawldo.

Ostrze okręciło się na podłodze i zatrzymało gwałtownie.-Wskazywało w stronę jednej z postaci, stojącej nieco dalej J od Pawłda aniżeli pozostałe i niemal niknącej wśród otaczających ją cieni. W tej samej chwili, gdy jego prawdziwa tożsamość została zdemaskowana, widmo dało nura do przodu, wyciągają lodowate szpony w kierunku swego wroga. Zabójcze z zatrwającą prędkością mknęły ku twarzy Pawłda.

Pół-Ucha warknął gardłowo. Ochrypy dźwięk przetoczył się jak grzmot po przestronnym wnętrzu komnaty. Zwierzę sprężyło się do skoku, zmarszczyło nos i skoczyło. Z warkotem przeradzającym się w dziki ryk Pół-Ucha zacisnął szczęki na jedne z wijących się kończyn Ketherylla. Przeklęty księżę zamachnął się z całej siły, odrzucając wilka w bok, ale odważny atak drapieżnika dał Pawldowi chwilę potrzebną, by mógł unieść dłoń, w której dzierżył zapaloną lampę, wysoko nad głową.

Z głośnym chrząknięciem cisnął prowizoryczny pocisk przed siebie. Gliniane naczynie rąbnęło w posadzkę u stóp księcia roztrzaskując się w drobny mak i zbryzgując syczącą kreaturę naftą. Gdy knot dotknął śliskich, kamiennych płyt, pomarańczowy płomień wystrzelił w górę, by w mgnieniu oka ogarnąć całe ciało Ketherylla, od stóp do głów.

— Nie!

Głos brzmiał jak przeciągłe, jęklive zawodzenie, jak ryk huraganu przedzierającego się przez szeroki wąwóz, wrywającego drzewa, głązy, a nawet całe płaty ziemi. W tej samej chwili drgania stały się bardziej realne niż podmuch nienaturalnej wichury.

Pawldo o mało nie stracił równowagi, gdy podłoga pod jego nogami zatrzęsa się. Księżę rzucił się ku niemu, ciągnąc ze sobą snop płomieni.

Pawldo podniósł tani sztylet, który sprowadził go do tego pałacu. Teraz wiedział, iż była to jedynie nic nie warta błyskotka, ale z jedną, kolosalną różnicą. Mianowicie sztylet jako jedyny z bibelotów znajdował się poza murami Pałacu Czaszek. Legion Przeklętych i inni poszukiwacze skarbów zostali przemienieni w tanie cacka, ale każdy z nich uległ

transformacji wewnątrz fortecy. To oznaczało, że sztylet, ów magiczny artefakt, mógł być pozostałością po jednym tylko człowieku.

— No, dalej, Gariusie — wyszeptał Pawldo, unosząc ostrze przed sobą. — Masz teraz okazję powrócić do swego pana.

Cisnął sztyletem w księcia i zobaczył — lub być może, wydawało mu się, że zobaczył, jak oczy Ketherylla rozszerzają się w wyrazie przerażenia. Ostrze pogrzyżyło się głęboko w piersi upiora, który niezdarnie runął do tyłu w chmurze gęstej, syczącej pary. Pawldo nie czekał, by zobaczyć, co stało się później. Rzucił się naprzód, chwytając Stefanika za kołnierz i obracając go gwałtownie. Rudowłosy młodzieniec, mrugając oczyma i otwierając usta ze zdumienia, przyglądał się przez chwilę agonii Ketherylla.

— Chodź! — ryknął Pawldo.

— Jesteście Moi! — wrzasnął przekłety książę, zbliżając się powoli, jakby z wysiłkiem, wyciągając płonące ramiona w stronę dwóch halflingów.

Pół-Ucha rzucił się naprzód w zaciekłym ataku i ignorując płomienie zatopił zęby w torsie czarnej postaci.

Istota będąca Ketheryllem smagnęła z całej siły długimi szponami, ale wilk w ostatniej chwili uchylił się przed zamaszystym ciosem. W migoczącym świetle Pawldo dostrzegł rany na boku Pół-Ucha i zrozumiał. To było stworzenie, mogące uśmiercić całe wilcze stado i o mały włos nie zabiło tego dzielnego zwierzęcia, które, powodowane pragnieniem zemsty, w odwecie sprowadziło tu dwóch halflingów. W komnacie czarny kształt i warczący wilk, zaciekle walczyli, zapominając na krótką chwilę o dwóch intruzach.

Stefanik upadł na kolana, gdy podłoga pod jego stopami zapadła się nieoczekiwanie, ale natychmiast zdołał się podnieść. Doszedł do siebie w momencie, gdy monstrum utraciło zdolność koncentracji. Pawldo popchnął go w kierunku drzwi i młodzieniec co sił w nogach wybiegł z komnaty, a w chwilę później to samo zrobili lord burmistrz i gnający wielkimi susami wilk.

Ogarnięci przejmującą do szpiku kości grozą biegli korytarzami Pałacu Czaszek, uciekając przed zagrożeniem, które bardziej wyczuwali, niż byli w stanie dostrzec. Pokonawszy kolejne korytarze, zbiegli po długich, stromych schodach i pomimo że zaczynało brakować im oddechu, żaden z nich nie odważył się zwolnić kroku. Pawldo pędził ile sił, a z jego sakwy wysypywały się kolejne świecidełka. Szklane bibeloty i tanie metalowe figurki odbijały się z brzękiem, bądź roztrzaskiwały o kamienną posadzkę za jego plecami, ale halfling nawet się nie odwrócił, by spojrzeć na utracone skarby.

Wreszcie na wprost nich pojawiły się otwarte szeroko wrota okolone framugą z trzech ogromnych kości. Z płucami gorączkowo domagającymi się tlenu i strużkami łez płynącymi z oczu dwaj halflingowie wybiegli za bramę zamczyska i ciężko opadli na leśne poszycie, pośród szarych mgieł nadchodzącego świtu.

Wilk również wybiegł na zewnątrz, ale nagle odwrócił się gwałtownie i zaczął warować przy bramie, wpatrując się żółtymi ślepiami w głąb pałacu. Ściskając obolałe boki halflingowie łypali z niepokojem w stronę warowni, ale nie dostrzegli żadnych oznak ruchu czy zbliżającej się pogoni. Ich oddechy z wolna powróciły do normy, a miękkie w kolanach nogi odzyskały dawną siłę. Pawldo, ogarnięty gniewem i frustracją, chwiejający się jeszcze i przytrzymujący drzewa, cisnął skórzaną sakwę na ziemię.

— Wszystkie były bezwartościowe? — zapytał Stefanik.

— Iluzje — mruknął zde gustowany Pawldo — omamy mające wciągnąć intruzów w głąb pałacu — aby koniec końców mogli spotkać się tam z Ketheryllem.

— Spójrz! Tu jest coś, co nie zmieniło się w tandetny złom — zawołał Stefanik. Wyjął z mieszka dwa złote pierścienie ozdobione symbolem Wielkiego Niedźwiedzia — jedyne przedmioty, na których widniały ślady kurzu w chwili, kiedy znalazł je Pawldo.

— Pierścienie — zamyślił się lord burmistrz. — One jedne były prawdziwe. Były własnością pary królewskiej zamordowanej przez księcia, a nie zaczarowanymi pachołkami Ketherylla.

— Proszę — rzekł Stefanik wręczając Pawldowi dwie obrączki z cennego kruszcu. — Ty powinieneś je wziąć.

— Nie, młodzieńcze. Przysporzyły nam zbyt wielu kłopotów.

Stefanik uparcie nalegał, dlatego Pawldo przypomniał sobie właściwy powód, dla którego wybrał się na poszukiwanie miejsca, skąd wziął się tajemniczy, platynowy sztylet — chciał znaleźć prezent na rocznicę ślubu królewskiej pary.

Pierścienie nosiły symbol królewskiego rodu z Moonshaes, symbol, który wywodził swój początek od pary władców z rodu ludzi, zamordowanych dawno, bardzo dawno temu przez szalonego księcia.

Pawldo wsunął oba pierścienie do kieszeni. Nareszcie — stwierdził w duchu — znalazł odpowiedni prezent dla Tristana i Robyn.

ELMINSTER NA MAGOWISKU

Ed Greenwood

Cóż może być bardziej niebezpiecznego nad maga pragnącego zawładnąć całym światem? Naturalnie, mag uprawiający czary dla zabawy...

Simbul, królowa Czarodziejek z Aglarond

Ostrzeżenia

Rok Ciemnego Smoka (1036 DR)

Zaledwie zdążył przejaśnić różowy blask wczesnego poranka, zapowiadając nadejście słonecznego dnia, lecz bard i jej chudy jak tyka towarzysz siedzieli w siodle już od dłuższego czasu.

Storm Silverhand, bard Shadowdale, była słynną i doświadczoną poszukiwaczką przygód. Była również starszą i cieszącą się wielkim szacunkiem członkinią Harpersów, owej tajemniczej grupy działającej zawsze dla dobra świata. Weteranka wielu niebezpiecznych wypraw, stale czujna, przez cały czas lustrowała okolice, a jej dłoń nigdy nie oddalała się zanadto od rękojeści miecza. Podczas tej podróży jego ostrze niejednokrotnie spłynęło krwią. W czasie jazdy Storm podśpiewywała cicho. Radował się, że znów może siedzieć w siodle — mimo iż zdawaj sobie sprawę z niebezpieczeństw grożących podczas tej wyprawy. Już od dwudziestu dni towarzyszyła w podróży owemu równie wysokiemu jak ona, lecz o wiele chudszeemu, siwowłosemu mężczyźnie. Miał on już swoje lata i był raczej niezdarnym jeźdźcem. Nosił proste, połatane odzienie pokryte plamami jadu, i wszędzie, gdzie się udawał, ciągnął za woń fajkowego dymu. Pomimo iż wcale na to nie wyglądał, starzec był postacią sławniejszą nawet niż Storm — był to bowiem stary Elminster z Shadowdale.

Ponad pięćset zim ubarwiło jego długą brodę śnieżną bielą. Jego żywe niebieskie oczy oglądały dni chwały i upadki imperiów, jak również rozległe, dziwne światy znajdujące poza Torilem. Znał więcej tajemnic niż większość magów — a także prostszych i bardziej szczerych ludzi — mogłaby nawet domyślać. Lata wyostrzyły temperament i język Elminstera, zaś jego zdolności czynienia czarów urosły do rozmiarów o jakich większość czarnoksiężników mogła jedynie marzyć.

Ów wielki mag nosił stare, rozchodzone skórzane a na jego twarzy gościł zwykle wyraz głębokiej irytacji. Nocami, gdy kładł się na spoczynek z dala od

ogniska chrapał jak cierpiący syren, ale zdawał sobie z tego sprawę i przy pomocy czarów uciszał ów hałas, przez wzgląd na swoją przyjaciółkę i towarzyszkę podróży. Storm darzyła głębokim uczuciem, nawet pomimo tego że chrapał, i że traktował ją zwykle jak małą dziewczynkę.

Niemniej jednak, niezależnie od łączącej ich więzi przyjaźni, fakt, iż Storm jechała obecnie u boku starego maga, był rzeczą raczej niezwykłą. Gdy Elminster opuszczał Shadowdale udając się na długą wyprawę, swoim zwyczajem powierzał zwykle bezpieczeństwo doliny, bardowi-wojownicze. Tym razem jednak, tuż przed jego wyjazdem, agentka Harpersów dostarczyła Storm pochodzącą od jednej z jej siostr propozycję „nie do odrzucenia” — czy nie zechciałaby strzec Elministra podczas jego wyjazdu na magowisko?

Przez wszystkie lata swego awanturniczego życia Storm nigdy dotąd nie słyszała o magowisku, ale nazwa ta wydała się jej odrobinę złowieszcza. Zdziwiła się, że stary mag przyjął jej słowa z wyraźnym zadowoleniem, gdy oświadczyła, że tym razem zamierza mu towarzyszyć. Prawdę mówiąc, podejrzewała, że zdecydował się na dotarcie do celu konno, a nie przy użyciu czarów, co trwałoby niewątpliwie krócej, tylko dlatego, by jak najdłużej móc się cieszyć jej towarzystwem.

Każdego wieczoru Elminster z fajką w zębach zasiadał przy ognisku, by słuchać dźwięcznych tonów jej harfy i śpiewanych melodyjnym głosem starych ballad. On z kolei, gdy Storm kładła się przy ogniu i wbijała wzrok w obsypane migoczącymi gwiazdami niebo, opowiadał jej półgłosem o starym Faerunie i mówił tak długo, póki nie zmorzył jej sen.

Po latach przemierzania pustkowi u boku zahartowanych w boju, twardych i zimnych wojowników, Storm ze zdumieniem stwierdziła, że towarzyszenie w podróży temu dziwnemu staruszkowi sprawiało jej niewysłowioną przyjemność. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, iż dotarli do punktu przeznaczenia, choć miejsce owo nie wyglądało tak, jak Storm je sobie wyobrażała.

— Dlaczego tutaj? — zapytała Storm Silverhand z tolerancyjną dobroduszością w głosie, zatrzymując swego wierzchowca obok Elministra, na wzgórzu, daleko za Shadowdale.

Jasne promienie słońca powodowały, iż otaczające ich karłowate drzewa i krzewy rzucały drugie, mroczne cienie. Jak okiem sięgnąć, wokół nich rozciągały się dzikie, nie tknięte ludzką dłonią ostępy.

— Musimy być już chyba w połowie drogi do Kara-Tur.

Stary Mag podrapał się po nosie.

— Dalej — odparł z ewidentną niewinnością. — A tutaj, ponieważ to czego szukamy, jest tuż-tuż.

Gdy to powiedział, przed nimi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się wiszący w powietrzu mężczyzna, a spłoszone konie zaczęły parskać i niespokojnie przebierały nogami.

Elminster zmarszczył brwi.

Mężczyzna unosił się w powietrzu — jego obute stopy wisiały dobrych kilka metrów nad ziemią. Pociągła, okrutna blada twarz patrzyła na nich z góry czarnymi jak serce no oczyma. Mężczyzna unoszący się nad nimi miał na sobie drogą ciemną tabardę, ozdobioną połyskującymi mistyczny symbolami i wykończoną wysokim, postawionym sztywno kołnierzem. W upierścienionym ręku dzierżył rzeźbioną, nabitą klejnotami laskę, pulsującą słabym migoczącym światłem.

— Stójcie! — zwrócił się do nich z zimną, formalną powagą w głosie, unosząc pustą dłoń w powstrzymującym

— Odpowiedzcie, lub nie przejeździecie dalej!

— Elminster z Shadowdale — odparł łagodnym tonem stary mag — i gość.

Oczy tamtego zwięzły się i jeszcze bardziej lodowaty tonem dorzucił:

— Dowiedz tego.

— Wątpisz w me słowa? — zapytał wolno Elminster

— Czemuż to, Dhaerivusie — pamiętam twe pierwsze magowisko! — Skinął głową w zamyśleniu, po czym dorzucił oschłym tonem — wyczarowałaś doprawdy najponętniejszą ropuchę. Dhaerivus zaczerwienił się.

— Znasz zasadę — rzucił oschle, wymachując laską. Wzdłuż jej długości przemknęły snopy światła i w chwilę póź zdołająca laskę kryształowa kula rozjarzyła się silnym blask. Wiszący w powietrzu mężczyzna groźnym gestem opuścił woli laskę, kierując jej świecący koniec w głowę starego maga.

— Dobra, dobra — odrzekł Elminster. Następnie pomachawszy palcem w przód i w tył, rzucił półgłosem — Szczęściarz

Wymierzona w ich stronę groźna laska, pod wpływem Elminstera gwałtownym ruchem skierowała się w górę. Dzierżący ją strażnik zaś jeszcze przez chwilę patrzył na nich z mieszaniną zdumienia i lęku, aż nagle mięśnie jego twarzy zaczęły falować i przegrały pojedynek z kolejną porcją magii starego maga.

Czary te sprawiły, że Dhaerivus mimowolnie chichotał krótką chwilę, po czym zakłęcie prysło. Jego uśmiech gwałtownie zmienił się w złowieszczy grymas.

Elminster zdawał się tego nie zauważać.

— Proszę uprzejmie! — rzucił, popędzając swego wierzchowca. — Zakłęcie szczęścia!

Gdy dotarli na szczyt kolejnego wzgórza, Storm obejrzała się za siebie, w stronę rozwścieczonego strażnika. Jego laska błyskała i migotała, jakby tryskały z niej pioruny, a strażnik zgrzytał zębami i gniewnie deptał stopami powietrze. Storm spojrzała na Elminstera i zapytała z ciekawością.

— Rzuciłeś cantrip! Aby dowieść, kim jesteś, przyprawiłeś go o atak śmiechu?

Elminster pokiwał głową.

— Czarnoksiężnik musi udowodnić strażnikowi magowiska tylko to, że potrafi rzucać czary. No, wiesz, żeby nie dopuszczać tam hołoty.

Wywrócił oczyma, by dać jej do zrozumienia, co o tym myśli i spokojnie ponaglił konia, zjeżdżając w dół usłanego kamieniami i porośniętego wysoką trawą zbocza.

— Goście jak ty, są zwolnieni z próby, ale każdy mag może zabrać ze sobą tylko jedną osobę towarzyszącą. Żadnemu magowi nie wolno wejść na teren magowiska bez uprzedniego sprawdzenia jego kompetencji. Zazwyczaj młodzi zapaleńcy powodują silne eksplozje itp. albo wywołują niezwykle i — ehem — zmysłowe fatamorgany, ale w tym przypadku... no cóż... poczułem się urażony.

Storm zmarszczyła brwi.

— Rozumiem — zauważyła ostrożnie. — Wygląda na to, że na tym magowisku będę musiała bardzo uważać. Elminster machnął ręką.

— Ee, nie, nie — odrzekł — muszę jedynie odebrać pewien magiczny klucz od kogoś, o kim sędzi się, że jest na tyle szalony, aby go tu przynieść — lub że w ogóle nie ma z nim nic do czynienia — a potem trochę się rozerwę. Pewni Harpersi zwrócili się do mnie z prośbą, abym zjawił się tu, by ochronić owego przyjaciela, z którym miałem się spotkać. Nie dziwota, że poproszono również ciebie, byś towarzyszyła mi w tej wyprawie — i dopilnowała, by stary mag nie wpakował się w jakąś kabałę.

Zmierzył ją spojrzeniem. Storm uśmiechnęła się i pokiwała ponuro głową.

Stary mag zachichotał.

— Te magowiska to bardzo prywatne małe zgromadzenia. Nie bywałem na nich od lat: jest wielce prawdopodobne, że moja twarz nie będzie powszechnie znana, zwłaszcza iż znajdujemy się raczej z dala od rodzinnych stron. Tych, którzy przybywają, obowiązują pewne reguły — rozumiesz, nie można dopuścić, by doszło do tego, że ni stąd, ni zowąd, jeden drugiego, zaczną popisywać się czarami — zrobiłby się z nielichy pasztet — ale nie wolno ci zapominać, że prawie wszyscy tutaj potrafią — i to nawet całkiem nieźle,

posługiwać rozmaitymi zaklęciami. Stąpaj ostrożnie. Jeżeli ktoś zaproponuje ci coś do picia, rób to tylko w mojej obecności i dobrze się nad tym zastanów. Magicznego miecza dobywaj wyłącznie w ostateczności. Niektórzy przybywają tu, by zdobyć nowe zaklęcia, większość chce się po prostu popisać tym, co umie, jak spragnione zabawy dzieci. Bo większość z nich to po prostu okrutne dysponujące mocą, której nie są w stanie opanować. Podrapał się po brodzie z wyrazem zamyślenia.

— Co się tyczy tych, którzy działają przeciwko nazwiska i twarze ich sług na magowisku są mi nie

— Nagle się uśmiechnął. — Jak zwykle, podejrzewaj każde a wszystko będzie dobrze.

— A co to za klucz, którego szukamy? — spytała Storm

— I czemu jest taki cenny? Elminster wzruszył ramionami.

— Jest cenny z powodu tego, co otwiera. A co się tyczy wyglądu i zastosowania, dowiesz się tego niebawem — krótko mówiąc, chcę powiedzieć, że po prostu nie pamiętam już, jak wygląda i nie mam zielonego pojęcia dlaczego, po tylu latach, klucz nabrał nagle tak kolosalnego znaczenia. — Spojrzał na nią z ukosa i dodał — dostatecznie tajemnicze, złociutka?

Storm odpowiedziała spojrzeniem, które w przeszłości prawilo niejednego mężczyznę o dreszcz przerażenia.

Mag przyjął to zgoła beznamytnie i uśmiechnął się do gdy pokonywali porośnięte wrzosami zbocze kolejnego pagór

— Przykro mi, moja droga, ale po ostatnim wykładzie od ciebie, o ile mnie pamięć nie myli, dotyczącym zbytniego zagłębiania się w szczegóły spraw, które powinny być zachowywane w sekrecie, postanowiłem postąpić zgodnie z twoją dobrą radą i jak najmniej kłapać jadaczką, ale przede wszystkim zachowywać się tak, jakbym tylko ja znał największą tajemnicę od której zależy bezpieczeństwo całego świata, i stąd to wszystko. Nie potrafię nic na to poradzić. Kiedy przez całe stulecia tylekroć borykasz się z przeróżnymi intrygami i raz po raz ratujesz świat, naprawdę trudno jest zachować śmiertelną powagę. Na czym to ja skończyłem?... Ach, tak...

Mogło mi się przytrafić coś gorszego — stwierdziła Storm, uśmiechając się w duchu — niż podróż przez pół Faerunu w towarzystwie Elminstera. Dla dodania otuchy sięgnęła pamięcią, by przypomnieć sobie coś takiego.

Pogrążeni w mrocznej zadumie pokonali kilka porośniętych skrubem wzgórz i dotarli do skraju głębokiej, przypominającej kształtem misę, doliny. Po prawej w głąb kotliny prowadziła wąska, kręta ścieżka, niknąca na wprost nich wśród kępy wysokich drzew. Ich

nie przesłaniały dwójce jeźdźców widok na pozostałą część doliny. I wtem ich oczom ukazał się mężczyzna w ciemnofioletowej szacie. Bardziej adekwatnym stwierdzeniem byłoby „nadpłynął”, gdyż siedział sztywno, jakby kij połknął, na falującym niczym wąż dywanie, sunącym w powietrzu wzdłuż widocznej poniżej ścieżki. Bard i mag przyglądali mu się przez chwilę, aż wreszcie mężczyzna zniknął wraz ze swym latającym dywanem wśród drzew. Liście błyskawicznie zmieniły barwę z jasnozielonej na miedzianą, a zaraz potem kilka podniesionych głosów radośnie powitało nowo przybyłego.

Najwyraźniej dotarli już do magowiska.

W oddali, na wzgórzach po drugiej stronie, w dalszej części niewidocznej kotliny, Storm zauważyła "wypryskujące w niebo ogniste kule. Elminster podążył za jej spojrzeniem i rzekł:

— A, tak, zawody w miotaniu piorunów kulistych — zauważyłaś? Są tacy, którzy to uwielbiają... wiesz, to robi wrażenie na widzach. Niebawem, jak sądzę, też do nich dołączymy. Pozwolono im wyzywać nas, starych weteranów, aby przez pokonanie doświadczonych wygów mogli udowodnić swoją mądrość i dojrzałość. Ee... to znaczy kobiecość również, tyle że większość dziewczek ma dostatecznie dużo oleju w głowie, by wystrzegać się równie wulgarnych manifestacji siły.

Storm uniosła brwi.

— Jakim cudem jeden piorun kulisty może wyrzeć kimś większe lub mniejsze wrażenie? Przecież, jak mówi porzekadło — większy piorun czy niniejszy, skutek jest taki i

Stary mag pokręcił głową.

— Jeśli zmienić kilka słów inkantacji, zaklęcie staje trudniejsze do rzucenia, a to odzwierciedla doświadczenie i moc tego, który je rzuca. Tym samym jeden mag może chlępić się, że jego czary są silniejsze od czarów drugiego. Ogniosfera arcymaga naprawdę robi duże wrażenie.

Przerwał znacząco, po czym dodał:

— Zamierzam tam po prostu wejść i wyjść — rozumiesz, aby zminimalizować ryzyko. Miotać ognistych kul to przede wszystkim zajęcie dla żółtodziobów i tumanów. Postaraj nie wplątać w żadną kabałę i nie wdawaj się z nikim w swadę. Trzymaj się blisko mnie, a język za zębami. Tak będzie bezpieczniej.

Wypowiedziawszy owe melodramatyczne słowa, stary mag dźgnął wierzchowca piętami i koń wzbijając tumany pyłu ruszył szaleńczym galopem w dół zbocza. Dotarłszy na dno kotliny, Elminster skierował rumaka w tłum roześmianych, rozgadanych magów.

Storm niemal depcząc mu po piętach, zdążyła rzucić zaledwie jedno krótkie spojrzenie, i wjechała w ciżbę magów i czarodziejek.

Wnętrze kotliny wypełniał zbity tłum ludzi, stojących niemal ramię przy ramieniu. Ich szaty tworzyły falujące morze dzikich barw, a gwar głosów był prawie ogłuszający. Byli tu mężczyźni i kobiety różniący się wiekiem, wyglądem i wzrostem, a także kilka osób, których płci Storm nie była w stanie określić.

Można było dostrzec sporo tradycyjnych, ciemnych, powłóczystych szat o szerokich rękawach, ale większość nosiła dziwniejsze, bardziej kolorowe odzienie. Storm, podczas swych licznych wędrówek dowiedziała się sporo temat strojów, rozglądała się ze zdumieniem. W Faerunie " rzeczą powszechnie wiadomą (w każdym razie wśród że parający się Sztuką są, w większym lub mniejszym niepoczytalni. Pod względem ekscentryczności ubioru, o mogła przekonać się na własne oczy — stwierdzenie to jak najbardziej słuszne.

Wokół siebie dostrzegała wszelkie możliwe rodzaje nakryć głowy i szat, które migotały, skrzyły się, świeciły, a w kilku przypadkach również zmieniały kształt łagodnymi, płynnymi ruchami. Jedna z kobiet nie miała na sobie nic prócz gigantycznego pierzastego węża, który przez cały czas powoli przesuwiał swe grube sploty wokół jej smukłego ciała. Mężczyzna opodal zdawał się być przyodziany jedynie w tańczące płomienie. Czarodziej, z którym rozmawiał, przyozdobił swe ciało poruszającym się, fosforyzującym grzybem, z którego wyrastały liściaste paprocie i osty. Tuż przy nich stała dziewczyna-półelf w powłóczystej szacie z błyszczących, wypolerowanych klejnotów zawieszonych na niezliczonych jedwabnych niciach. Dyskutowała o czymś z długowłosym karłem noszącym odzienie z futer i skór, po którym przez cały czas pełzały dwie owadożerne jaszczurki, badając przestrzeń przed sobą rozdwojonymi językami.

Storm wychwyciła fragmenty toczących się opodal niej rozmów.

— No i co wtedy zrobił Thayan?

— Obrócił w perzynę cały zamek, ma się rozumieć. A cóż by innego? Inne głosy zagłuszyły poprzednią rozmowę.

— Co to było? Fioletowe zombi? Dlaczego fioletowe?

— Chyba się nudziła. Powinieneś był widzieć twarz księcia następnego ranka. Wywołała w powietrzu tuzin małych czerwonych rączek, które zaczęły go szczypać w tych samych miejscach, w których on ją podszczypywał... i to na oczach całego dworu!

Elminster śmiało przedzierał się przez tłum. »Zdawał się wiedzieć, dokąd zmierza. Storm jadąc za nim minęła mężczyznę, który balansując na końcu perkatego nosa pełną

butelką czegoś ciemnego i czerwonego, zduszonym głosem zarzekał się wobec wszystkich widzów, że nie pomaga sobie przy tym żadnymi czarami.

Odwróciła wzrok na chwilę przed tym, jak butelka prze-wróciła się i oblała go od stóp do głów, ale nie mogła oprzeć się pokusie, by zobaczyć mokry rezultat. Była na tyle rozważna, że powstrzymała uśmiech cisnący się jej na usta.

— Ile razy mam ci powtarzać? Najpierw całujesz, a potem wypowiadasz zaklęcie, w przeciwnym razie na zawsze pozostanie żabą!

Storm pokręciła głową usiłując skupić się na Elminsterze i zignorować dochodzące ją strzępki rozmów. Tłum rozbrzmiał przeraźliwym gwarem głosów, dziwną muzyką, brzęczeniem i tajemniczymi, niezbyt głośnymi trzaskami. Czarodzieje wymachiwali rękoma, pomagając sobie gestami w rozmowach a różnokolorowe świecące kule nad ich głowami kołysały posłusznie albo wykonywały gwałtowne ewolucje.

Czarodziejskie ptaki nuciły złożone trele, a kilka z nich dało iście mistrzowski popis napowietrznego baletu.

Storm rozglądała się to w jedną, to w drugą stroi wypatrując zagrożenia. Otaczający ją ludzie rozmawiali, dyskutowali, śmiali się lub ubijali interesy, z kubkami i dzbanami o rozmaitych rozmiarach i zawartości, trzymanymi bądź w rękach, bądź też unoszącymi się na dogodnej wysokości w powietrzu.

Storm domyślała się, iż jakieś prawo powstrzymywało samych magów przed unoszeniem się w powietrzu, lataniem teleportacją. W większości stali w luźnych grupkach, mawiając. Storm ostrożnie prowadziła swego rumaka między nimi. Nagle, spod kaptura mijanego właśnie maga wysunęły się trzy oliwkowego koloru macki. Na ich końcach otworzyły się małe, błyszczące oczy, zlustrowały ją od stóp do głowy po czym zamrugały. Usiłowała powstrzymać mimowolne drżenie i pojechała dalej, mijając mężczyznę o jasnych włosach i brodzie który zonglował w powietrzu kilkunastoma płonącymi kulami wielkości dłoni. Czarodziejka, której starał się zaimponować z trudem powstrzymywała ziewnięcie.

Następną grupkę stanowiły stare pomarszczone wie o zimnych, ciemnych oczach, odziane w złowieszczo wyglądają czarne szaty. Chichotały i pociągały piwo z przezrocz szklanych kufli, w których najwyraźniej nie było dna.

— To pierwsze dziecko jakie widziałam, które urodziło ze skrzydłami — rzuciła jedna z nich z ukontentowaniem

— Fruwało po całej izbie, chichocząc, nicpoń jeden! Po wam, król o mało nie połknął swojej korony!

Storm zostawiła je w tyle i minęła niewielką otwartą przestrzeń, gdzie słup bijącego w niebo dymu i kupka popiołu zdawały się świadczyć, iż niedawno przydarzył się tu nader gorący i fatalny w skutkach wypadek. W chwilę potem, znów znalazła się wśród tłumu magów.

— Musisz zrozumieć, stara przyjaciółko, iż przybranie postaci smoka jest przeżyciem, które zmienia cię na zawsze. Wierzaj mi, że to co mówię, to prawda. — Mag w kraciatej różowo-fioletowej szacie, ozdobionej na mankietach i kołnierzu delikatnymi koronkami, na poparcie swych słów wysunął z ust długi, rozdwojony na końcu język. Ramiona i wierzchnią stronę dłoni czarodziejki, z którą rozmawiał, pokrywało gęste, białe futro. Jej skóra miała ciemniejszy odcień fioletu niż szata dotrzymującego jej towarzystwa maga. W odpowiedzi na jego dywagacje dotyczące przemiany w smoka wydała nader wymowne prychnięcie.

Następnie Storm napotkała na swej drodze sześć olśniewająco pięknych półelfów, czarodziejek, które z pochylonymi nisko głowami rozprawiły o czymś potajemnie. Jedna czujnie uniosła wzrok, ale na widok barda natychmiast się rozluźniła, a na jej ustach wykwitł promienny uśmiech. Inne, pochłonięte prowadzonymi interesami, w ogóle nie zwróciły na nią uwagi.

— Cóż, wystarczy tylko zmienić imię i sposób, w jaki je rzucasz, a w ogóle się nie zorientuje. Takie zaklęcie może rzucić każdy. Naucz mnie tego, a ja pokażę ci tę sztuczkę z Tlaerune, która sprawia, że mężczyźni mdleją i...

Kręcąc głową Storm popędziła swego rumaka, by przedrzeć się szybciej przez ciżbę i dogonić Elminstera. Gdzie on się podział? Rozejrzała się uważnie wokoło — w kotlinie były chyba setki magów!

Mimo to dzięki swemu czujnemu wzrokowi zdołała ponownie go wypatrzeć. Czarodziej, nie zwalniając ani nie schodząc z siodła, brnął wśród tłumu magów, aż w końcu dotarł do ocienionego przez rozłożyste drzewo zakątka przy skalistej ścianie kotliny.

Tam, w cętkowanym półmroku, niska, acz olśniewająco piękna czarodziejka rozmawiała z piątką lub szóstką ewidentnie nią zauroczonych adeptów Sztuki.

Storm dostrzegła roześmiane ciemne oczy, kaskadę czarnych włosów i suknię, której przód zdawały się zdobić połyskujące bez przerwy, zmieniające się kwiaty. Następnie stary mag zsiadł lub raczej spadł z konia wprost w objęcia damy ze słowami:

— Duara! Moja droga! Tyle lat! To już tyle lat!

Ciemne, wypełnione iskierkami oczy spojrzały w głąb jego źrenic, a gorące powitanie starego maga zostało chwilowo przerwane żarliwym pocałunkiem. Smukłe ręce oplotły jego szyję, mierzwiąc gęste, siwe włosy, po czym przesunęły się niżej, w silnym, namiętym

uścisku. Po radosnym powitaniu Elminstera i długim pocałunku Storm usłyszała ciepły, mrużący głos, odpowiadający entuzjastycznym tonem. Na twarzach otaczających czarodziejkę mężczyzn dostrzegła zdumienie, potem gniew lub zdegustowanie, a w końcu zrezygnowaną obojętność.

Storm zauważyła smukłe palce Duary poruszające się zwinnie u pasa maga.

Inni również to zobaczyli, przede wszystkim zaś wysoki mężczyzna o haczykowatym nosie, odziany w ciemnozielony J welwetowy dublet z rozciętymi, bufiastymi rękawami. Przyglądał się z uwagą namiętnemu przywitaniu starego maga, a wyraz jego twarzy przesłaniał dym z długiej, wąskiej, glinianej fajki.

Kiedy Elminster ostentacyjnie i głośno pożegnał się w kom z uśmiechniętą pięknotką, czarodziej o krogulczym nosie, pozostawiając dużą fajkę, by zawisła w powietrzu, postąpił naprzód i wykonał drobny ruch dłonią. W odpowiedzi sakwa Elminstera uniosła się w górę i otworzyła powoli. Wśród stojących opodal magów zapadła cisza. Z ich wyrazu twarzy wynikało niezbitnie że postępek zielono odzianego czarnoksiężnika stanowił poważne naruszenie etykiety.

Storm zaczęła wysuwać swój miecz z pochwy, ale kościstą dłoń Elminstera powstrzymała ją w pół gestu. Radosnym tonem zapytał:

— Czyżbyś utracił swą magię, kolego? Chcesz pożyczyć szczyptę tego czy owego?

Czarnoksiężnik w zieleni zmierzył go wzrokiem i zlustrował długi przedmiot wewnątrz sakwy — była to gałązka.

— Gdzie to jest, starcze?

— Szukasz potężnej magii, tak? A gdzie ma być — tutaj to oczywiste — odparł Elminster stukając się palcem w głowę.

Storm, zakłopotana, spojrzała na niego. Głos maga wydawał się grubszy, jakby zniekształcony, ale jego oczy były czyste i żywe jak zawsze.

— Ale, rozumiesz, nie uda ci się jej osiąść w jednej chwili, jednym zaklęciem. Lata długich studiów zabrało mi opanowanie do mistrzostwa nawet...

Zielony mag lekko skinął ręką. Gałązka pofrunęła ku jego otwartej, czekającej dłoni. Nim na niej wylądowała, Elminster pstryknął palcami i poruszył brwiami. W rezultacie gałązka wyprysnęła w górę i gładkim łukiem zawróciła w stronę starego maga.

Elminster skłonił się pobladłemu na twarzy, dygoczącemu czarodziejowi i spokojnym głosem stwierdził:

— Ale jeśli pragniesz tej magicznej laski — gałązka natychmiast zmieniła się w potężną, grubą, trzymetrową, gładką czarną laskę z mosiężnymi okuciami na końcach, ozdobionymi grawerunkiem przedstawiającym węże — proszę uprzejmie.

— I laska smyrgnęła w powietrze, by znaleźć się w rękach osłupiałego maga.

— Ale... twoja laska? — spytała zdumiona Storm, patrząc jak spocony, kompletnie zbity z tropu czarnoksiężnik w zieleni, oddalony o zaledwie półtora metra od niej, niezdarnie chwyta laskę. — Jak ją zastąpisz?

— Wytnę sobie nową — odparł z powagą stary mag.

— One rosną na drzewach.

Ściskając w rękę laskę i lekliwie spoglądając da Elminstera, odziany w welwetowy strój mag nerwowym ruchem sięgnął po swoją fajkę, wymamrotał coś pod nosem i uczynił gwałtowny gest. W jednej chwili i on, i laska zniknęli, jakby rozplynęli się w powietrzu. Elminster z dezaprobatą pokręcił głową.

— Złe maniery — rzucił posepnie — bardzo złe. Teleportować się na magowisku! Za moich czasów to było nie do pomyślenia, powiadani ci...

— A kiedyż to było, starcze? Pewien jestem, że jeszcze przed założeniem Waterdeep — prychnął ironicznie posepny, acz przystojny młodzieniec stojący opodal. Storm odwróciła się w siodle.

Mag miał na sobie drogie jedwabne odzienie z wstawkami z futra. Jego czarnobrewy, pociągłe oblicze zdawał się przez cały czas wykrzywiać kpiący uśmiezek. Storm rozpoznała go jako jednego z czarnoksiężników, rozmawiających z Duarą przed przybyciem Elminstera. Jego głos i zachowanie emanowały v chłodną, pogardliwą mocą, gdy odchyliwszy w lekceważącym j grymasie nieco wyżej górną wargę, stwierdził:

— A propos, siwobrody, możesz mi mówić — „Mistrzu”. Ściskając w dłoni swą magiczną laskę, mierzącą dobre trzy i pół metra, i wykonaną z lśniącego czerwonego metalu, zdobionego złotymi ornamentami, ciemnobrewy mag sięgnął po wodze puszczonego luzem wierzchowca Elminstera.

Storm, wciąż siedząc w siodle, wymierzyła mu siarczyste! kopnięcie. Czubek jej buta trafił go w palce i odbił mu rękę w bok. Przystojny czarnoksiężnik odwrócił się wściekle w jej stronę... by spostrzec o kilka cali przed swoim nosem trójkątny koniec lśniącego miecza.

— He, he — zarechotał Elminster grubym, och głosem — brak ci jeszcze obycia z damami, co, Młody Mistrzu?!

Mag zaczerwienił się po cebulki włosów i odwrócił od mię Storm, by znów stanąć twarzą w twarz ze starym magiem^

— Ależ skąd, staruszk — rzucił sarkastycznie — wydaje się oczywiste, że ty obywasz się bez nich już od wielu

Jawna zniewaga wywołała zduszony chichot u kilku młodszych magów stojących nieopodal — dźwięk ten zmieszał z głuchymi sapnięciami i gwizdami oburzenia i zdumienia strony starszych czarodziejów, którzy najwidoczniej znali ~ stera. Hałas przybrał na sile, gdy jedni magowie przesuwać się bliżej, chcąc być świadkami nieuchronnej konfrontacji, podczas gdy inni, pod pretekstem, iż przypomnieli sobie nieoczekiwanie o rozmaitych pilnych sprawach do załatwień wycofywali się na z góry upatrzone, bezpieczniejsze pozycje

Elminster ziewnął:

— Schowaj miecz — rzekł półgłosem do Storm. Po głośniejszy i niemal radośnie stwierdził — wygląda na to, nadal chętni młodzieniaszkowie przybywają na magowisko tylko po to, by znieważać lepszych od siebie. — Stary westchnął teatralnie, po czym dodał — przypuszczam, koguciku że teraz pójdziesz za ciosem i wyzwiesz mnie, co? Nie, nie, to nie byłoby uczciwe. Wszak dysponuję mądrością całych stuleci, która pomaga mi w podejmowaniu właściwych decyzji, ty zaś masz po swojej stronie tylko żarliwy wigor młodości... ha, dobre określenie, podoba mi się..., a zatem, aby wyrównać szansę, proponuję następujące rozwiązanie — to ja wyzwę ciebie Konkurs miotania ognistych kul — co ty na to? No, co o tym myślisz?

Rozległa się owacja. Pokraśniały na twarzy mag zaczął, aż ucichnie, po czym mruknął pogardliwie:

— To sport dla dzieci i, jak przypuszczam, dla starych przyków.

Elminster uśmiechnął się, przypominał teraz kota igrającego ze schwytaną ofiarą, i odparł:

— Być może. Ale, być może, mówisz tak, bo boisz się przegrać?

Twarz maga poczerwieniała jeszcze bardziej. Zlustrował krąg otaczających go zafascynowanych twarzy i rzucił krótko:

— Przyjmuję.

Następnie przybrał ostentacyjną pozę i zniknął.

W chwilę później pojawił się w kłębach szkarłatnego dymu na krawędzi wąwozu i wykonał obraźliwy gest w stronę starego maga. Elminster zachichotał, machnął leniwie ręką w odpowiedzi i niezdarnie wsiadł na grzbiet swego cierpliwego wierzchowca.

Storm zobaczyła, jak odjeżdżając porozumiewawczo mrugnął do Duary.

Następnie spojrzenia jej i Duary spotkały się i wyczytała malujące się w nich błaganie, tak wyraźne, jak gdyby młoda czarodziejka wyszeptala je wprost do jej ucha: — Miej na niego baczenie, pani — proszę cię.

Zanim wyjechali z kotliny, by dotrzeć na skraj rozciągającej się za nią olbrzymiej łąki, zebralo się tam już wielu magów, pragnących obejrzeć pojedynek.

Zapalczywi młodzi czarodzieje przez cały dzień miotali ogniste kule, ale wszechobecna cisza towarzysząca wyczekiwaniu zdawała się świadczyć, że mag z czerwoną laską zdobył sobie nie lada reputację wśród nich, lub że wielu starszych pamiętało Elminstera, a być może i jedno i drugie.

Raczej pospiesznie aniżeli z gracją Elminster zsunął się z siodła. Potknąwszy się, grzmotnął o ziemię, podniósł się chwiejnie i prędko otrzepał z kurzu. Zauważywszy przeciwnika, co było dlań wyraźnie miłym zaskoczeniem, stwierdził:

— No, to... zaczynaj, chłopcze!

— Na bok, starcze — rzucił posepnie młody mag, machaj] laską — a może nie lękasz się zginąć w kuli płomieni? Elminster pogładził palcami brodę.

— Tak, tak — rzekł pospiesznie, błędząc myślami gdzie indziej. — Doskonale pamiętam! Ho, ho, to były czasy... wielkie kule ogniste na niebie...

Młody mag wyminął go obcesowo.

— Ale jak to szło... hę? A tak, chyba sobie przypominam — mamrotał Elminster grubym głosem, wzrok miał mętny jakby nieobecny.

Młody czarodziej pogardliwym ruchem oparł swoją w zagłębieniu łokcia, po czym cicho, tak aby stary mag usłyszał jego słów, wymamrotał krótką inkantację i wyko obiema dłońmi kilka płynnych, szybkich ruchów towarzyszących zaklęciu. W chwilę później w powietrzu ponad łąką wyk płomyk, który w mgnieniu oka rozrósł się w ogromną czerwono-fioletową kulę. Jej powłoka wrzała, kipiała i fałów Kula wykonała w powietrzu pojedynczy obrót i eksplodowała nad łąką feerią pomarańczowych płomieni, zraszając trakt deszczem ognistych kropel. Żar omiótł twarze widzów, a ziemia zadygotała.

Gdy przejmujący ryk ucichł, znów można było mamrotanie starego maga, paplającego o triumfach z przeszłości. Przerwał na chwilę swój monolog, by zapytać łagodnym ton

— Słabiutko, mój drogi, oj, słabiutko... Nie potrafisz zdobyć się na nic większego? Młody człowiek prychnął:

— A ty niby potrafisz? Elminster spokojnie skinął głową.

— O, tak.

— A wiec, czy byłoby możliwe zobaczyć choć twych przerażających możliwości? — rzekł młodzieniec zjadliwą wytwornością, naśladując z przesadną pompatycznością gruby, niewyraźny głos Elminstera.

Stary mag zamrugął.

— Młody człowieku — rzucił z dezaprobatą — osiągnięcie najwyższego mistrzostwa w posługiwaniu się magią polega na tym, iż wie się, kiedy nie używać mocy, bo w przeciwnym razie te ziemie już dawno przemieniłyby się w dymiące zgliszcza.

Jego przeciwnik ponownie prychnął pogardliwie.

— A zatem nie zamierzasz uraczyć nas próbką swych znamienitych czarów, o Najpotężniejszy z Magów? Czy to właśnie chcesz zasugerować?

— Nie, nie — mruknął Elminster i westchnął. — Zawarliśmy umowę, ty pokazałeś próbkę swoich umiejętności, zatem... — ponownie westchnął — kolej na mnie.

Wykonał dziwny, niezbyt czytelny gest, po czym głośno chrząknął.

— Hmmm — mruknął — no właśnie., jak brzmiała ta rymowanka... he?

Z tłumu dobiegł zduszony chichot, gdy Elminster, wyraźnie skonfundowany, rozejrzał się wokoło i podrapał po brodzie. Przeciwnik za jego plecami skrzywił się pogardliwie, po czym odwróciwszy się, łypnął na Storm lekceważąco. Ona zaś stojąc nieopodal i nie spuszczać dłoni z główki miecza, odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem.

Nagle Elminster zebrał się w sobie i zawołał:

Przez język gacka i siarki fetor

Słowa zaklęcia mówiąc jak retor

Niech tu i teraz, na me życzenie

Z czystego nieba buchną plamienie!

W odpowiedzi powietrze zadrgało jakby od rozdzierającego uszy krzyku. Nad łąką pojawiła się nagle spadająca w dół gigantyczna kula płomieni, a bijący z niej żar osmałił twarze zgromadzonych tam widzów.

Zupełnie jakby słońce runęło z nieboskłonu.

Gdy magowie z głośnym wrzaskiem poczęli zakrywać oczy, ognista kula niemal w ostatniej chwili zmieniła tor lotu, oddalając się od przerażonego tłumu. W chwilę potem wybuchła w oślepiająco białym błysku, przekształcając zgromadzoną w swym wnętrzu energię w długą smugę ognia, która z zastraszającą prędkością pomknęła ku odległemu horyzontowi.

Ziemia zatrzęsła się, jakby poderwana w górę, co spray że wszyscy, prócz starego maga, padli na kolana.

Gdy drgania ustały, Storm ocknęła się leżąc na ziemi koni. Zanim się podniosła i przestało jej dzwonić w dym rozwiął się i wszyscy na własne oczy mogli się przekonać co czary Elminstera zrobiły z łąką. A raczej z miejscem gdzie wcześniej była łąka. Tam gdzie zaledwie przed par minutami rozciągała się połać wypalonego ogniem pastwisku ział teraz olbrzymi, głęboki i nader imponujący krater.

— Ładniutki, nieprawdaż? — spytał jakby mimochodem Elminster. — Już zapomniałem, jaka to frajda! To jeszcze raz powtórzmy zaklęcie?

Tym razem stary mag ledwie poruszył palcem.

Jego młody przeciwnik ściskając czerwoną laskę — poobijaną i wygiętą w sześciu miejscach, podnosił się właśnie na kolana, gdy nad dawną łąką pojawiła się, równie jaskrawa jak poprzednia, kula ognia. To wystarczyło, by ponownie przewrócił i wylądował na leżącym plackiem, kompletnie otumanionym czarodzieju Calishicie. Gdy mag odzyskał ostrość spojrzenia, ujrzał dymiący nieopodal drugi krater.

Z tłumu wyrwał się lękliwy pomruk.

— A teraz — rzekł łagodnie Elminster pomagając oszołomionemu młodzieńcowi, aby się podniósł — o czym miałbyś ochotę ze mną pogawędzić? O przenoszeniach? o kulach pryzmatycznych... to niezwykle cacka, czyż Zawsze je lubiłem. A może o rzemieślniczym tworzeniu artefaktów? Nie? No cóż... a zatem życzę d powodzenia w i zgłębianiu Sztuki, Młody Mistrzu Ciętego Języka, i przy okazji więcej oleju w głowie, abyś potrafił ją mądrze wykorzystywać. Do następnego spotkania.

Elminster radośnie poklepał młodego maga po ramie pstryknął palcami i zniknął. W chwilę potem pojawił ponownie u boku zaniepokojonej Storm.

— Na koń — rzucił pogodnie. — Dziś w nocy mu jeszcze odwiedzić wiele krain.

— Krain? — spytała Storm. Gdy wjeżdżali na wzgórza, pozostawiając magowisko w tyle, nawet się obejrzała.

— Myślałam, że masz klucz, a może to była ta gałązka? Czyżby tamten mag odebrał ci klucz?

— Och, nie — odrzekł wesoło Elminster. Podjechał bliżej i dotknął jej przedramienia.

Nagle otaczający ich krajobraz znikł, zastąpiony w jednej chwili przesuwaną się cienistą szarością. Wędrowcy zdawali się wisieć w powietrzu, ale konie stąpały jak po solidnym gruncie. Zanim Storm zdążyła wstrzymać oddech, nastąpił kolejny wstrząs i znaleźli się gdzieś indziej — w mrocznym miejscu, gdzie rozmaitej wielkości głazy bez końca zderzały się ze sobą, wirowały, spadały, odbijały jeden od drugiego i ulatywały w pustkę.

Grzmot rozbijających się o siebie kamieni nie cichł ani na chwilę, a całą scenę rozświetlały błyski fosforescencji towarzyszące każdemu potężnemu zderzeniu.

Ujrzawszy to Storm w mgnieniu oka zdarła z pleców płaszcz i zarzuciła na łeb swego wierzchowca, aby się nie spłoszył i nie zeskoczył z raczej niewielkiego płaskiego głazu, na którym się pojawili. Rumak starego maga — zapewne wskutek czarów, stał w kompletnym bezruchu, zupełnie spokojny.

Storm rozejrzawszy się wokoło zlustrowała feerię nie kończącej się zagłady i odruchowo pochyliła głowę, gdy zobaczyła mknący w ich stronę wielki, postrzępiony głaz. Był czterokrotnie większy od ich wierzchowców i nadlatując obracał się wolno wokół osi.

Elminster jakby od niechcienia wykonał drobny ruch ręką i głaz odbił w bok, by roztrzaskać się o inną, większą skałę nieopodal. Powietrze przepchnął przeraźliwy, ogłuszający huk i Storm od stóp do głów skapał deszcz drobniotkich skalnych odłamków. Czymkolwiek było owo miejsce, na pewno nie znajdowali się już w Faerunie.

— Ten zielono odziany głupek myślał, że zdobył naszą nagrodę — ciągnął spokojnie stary mag. — Podejrzewał, że Duara mogła mi przekazać klucz, ale do tej pory zorientował się już, że jego magiczna laska to w rzeczywistości tylko zwykła gałązka. Teraz przez resztę magowiska nie spuści Duary z oka, usiłując wy badać, czy przekaze klucz komuś innemu. Będzie podejrzewał każdego — sądząc, skądinąd słusznie, że mogę zjawić się przy niej pod zmienioną postacią. Już ona z nim zatańcuje. Lubi obściskować urodziwych młodzieńców i w ogóle... — Zachichotał. — Jak sama wiesz, nawet z najbardziej błyskotliwych planów często wychodzą nici.

Tuż przed nimi przemknęły dwa wielkie głazy i zderzywszy się rozbiły w drobny mak. Storm przygryzła dolną wargę, by stłumić mimowolny okrzyk, zakryła oczy przed deszczem odłamków i spytała:

— Duara? Przekazała ci klucz, prawda? Widziałam, jak manipulowała dłońmi przy twoim pasie. Elminster pokiwał głową.

— Tak, dała mi go. Cała trójka naszych wrogów, obecna na magowisku, też to zauważyła — mam na myśli dwóch, którzy wyzwali mnie na pojedynek, i trzeciego, który niej odważył się ujawnić. — Zmienił tor lotu sześciu sunących w ich kierunku głazów. — Trzeci mag był tam niewątpliwie tylko po to, by obserwować, co się wydarzy i określić, dokąd się udajemy. Użyłem czarów, by go oślepić — podobnie jak Młodego Mistrza od Miotania Ognia — pozorem stworzenia drugiej ognistej kuli. Obaj mają szczęście, że reguły rządzące magowiskami zabraniają używania czarów, które osłabiają rozum, w przeciwnym razie jeszcze przez długi czas wpatrywaliby się w pustkę.

Kiedy odzyskają wzrok, stwierdzą, że już nas tam nie ma, a wraz z nami, ma się rozumieć, również klucza.

— Czym — i gdzie jest ten klucz? — zapytała cierpliwie! Storm, sięgając do juków po kawałek sera. — Dlaczego tamci nie widzieli, gdzie go ukryłeś?

— Widzieli, ale nie zobaczyli — odrzekł stary mag używając czarów, by wyjęty przez nią kawałek sera zwinnie przeniósł w powietrzu w stronę jego ust.

— Nie widzieli, że Duara i ja byliśmy starymi przyjaciółmi ani też, jak bardzo potrafi być bystra.

Sięgnął do ust i wyjął niewielki wrzecionowaty kawałek metalu zakończony sporym szmaragdem.

— Klucz — oznajmił pompatycznie, a jego głos nagle dawne czyste, nieznośne brzmienie. — Był tam chwili, gdy Duara mnie pocałowała. — Oblizał wargi w zadumie i dodał — nadal lubi migdały. Czekał na kawałek sera wśliznął się do jego ust. Przeżuł go, uśmiechnął z aprobatą, po czym ujął Storm za rękę. W tej samej chwili krajobraz wokół nich ponownie się zmienił.

W mgnieniu oka ciemność i roztrzaskujące się głązy zniknęły. Obecnie ich wierzchowce stały na zmurszałym kamiennym moście pośród smrodliwych bagien, okolonych drzewami o gałęziach oplecionych pędami winorośli. Z nieruchomej czarnej toni po obu stronach sterczały oblepione mułem, kamienne posągi. Storm doszła do wniosku, że most ów, stanowiący część sporej alei, musiał znajdować się w samym środku miasta, spoczywającego obecnie na dnie cuchnącego bagniska.

Kiedy obejrzała się za siebie, dostrzegła, iż z mrocznych, atramentowych wód wynurzyło się naraz leniwie kilka błyszczących, czarnych macek i jakby od niechcienia, oplotło grubymi splotami jedno z kamiennych przęseł.

Jeszcze przez chwilę ohydne macki kołysały się w przód i w tył, jak gdyby węszyły — po czym wolno, wręcz majestatycznie na powrót pograżyły się w odmętach.

Storm wskazała na chmurę bąbelków, zdających się znaczyć ślad czegoś ogromnego, co poruszało się w ich kierunku tuż pod powierzchnią wody. Elminster skinął głową, uśmiechnął się, wykonał drobny ruch ręką — i ponownie znaleźli się gdzieś indziej.

Tym razem konie stały na starej, zarosniętej drodze w sercu mrocznego lasu.

Storm westchnęła.

— Harpersi chcieli, abym cię chroniła? — spytała niepewnie.

Ale gdy dostrzegła mętne błyski wielu par oczu obserwujących ich z mrocznych zakamarków pod drzewami, błyskawicznie sięgnęła po miecz.

Elminster chrząknął i ciężko uniósł się w siodle, po czym łagodnie położył rękę na nadgarstku dłoni, którą zacisnęła na mieczu.

— Nie — rzekł miękkiem głosem — bardziej prawdopodobne, że chcieli, byś strzegła innych przede mną.

Storm wywróciła oczami. Gładko zeskoczyła z konia.

— Nie powinnam tu być — stwierdziła. — Klucz czy nie klucz... To przeskakiwanie z miejsca na miejsce, ze świata do świata, nie jest ani bezpieczne, ani mądre.

Elminster uśmiechnął się.

— A przybycie ze mną na magowisko było? Robię wszystko tylko dlatego, by wymknąć się magom, którzy ewentualnie mogą podążać naszym tropem. Tylko kilku dostatecznie szeroki umysł, by móc równie często jak przenosić się z jednego świata do drugiego. — Stary poklepał ją po ramieniu. — Dzięki za twą cierpliwość, droga. Już niebawem to wszystko dobiegnie końca i mogła pogawędzić ze starym przyjacielem.

Gdy Elminster ruszył pieszo wzdłuż nierównej ścieżki między drzewami, nad starym, nieznanym lasem właśnie wstawał świt Różowa poświata zdała się przypomnieć o czymś sta magowi. Odwrócił się i skinął głową. Storm obejrzawszy za siebie stwierdziła, że ich wierzchowce zniknęły. Spojrzała na Elminstera. Odpowiedział na jej milczące pytanie radosny uśmiechem i ruszył w dalszą drogę.

Storm w ponurym milczeniu podążyła za nim. I nie dowierając słowom starego maga dobyła miecz z pochwy; znając Elminstera wspomnianym „przyjacielem” mógł być niebieski smok albo coś o wiele gorszego.

Ścieżka wiodła między dwoma starymi, porośniętymi me głazami. Gdy podeszli bliżej, Elminster wyciągnął rękę i dłoń Storm. Razem weszli między głązy i poczuła dziwny, powodujący mrowienie chłód.

Znów znaleźli się w innym miejscu. Wydawało się znajome. Storm prawie natychmiast zorientowała się, że do Shadowdale.

Elminster puścił jej dłoń i oddalił się, gmerając w fałdach swej szaty w poszukiwaniu fajki. Storm przez chwilę we za nim wzrokiem. I nagle dwoma szybkimi krokami zbliż się do niego. Kładąc silną dłoń na ramieniu Elminstera, obróciła go w swoją stronę.

— Ani kroku dalej — ostrzegła — dopóki nie powie mi co tu się dzieje! Gdzie są nasze konie? I właściwie mieliśmy przejechać przez pół Faerunu, aby kac ten klucz? Czy ta Duara nie potrafi się teleportować Dlaczego ...

Elminster przyłożył jej palec wskazujący do ust i powie

— Nie musimy się już teraz spieszyć. Wątpię, aby ktokolwiek zdołał przebyć tę samą co my drogę w równie szybkim tempie. Wierzchowce odesłałem do stajen w Krzywej Wieży. Pójdź do mego domu. Tam spotkasz naszego wspólnego przyjaciela — Lhaeo.

Elminster zapalił fajkę i nie odezwał się słowem, dopóki idąc ścieżką wyłożoną płytami z piaskowca nie dotarli do drzwi jego walącej się kamiennej wieży.

Otworzyły się szeroko, gdy tylko się zbliżył. Stary mag zaś odwrócił się i powiedział:

— Odłóż swój miecz, Storm, i witaj w mych progach. Gdy weszli do środka, jego skryba Lhaeo zawołał z kuchni.

— Zaraz będzie herbata, o Czcigodny!

— Zrób też dla Storm — rzucił półgłosem Elminster. Dzięki jakiejś czarodziejskiej sztuczce, Lhaeo usłyszał słowa swego pana i odkrzyknął:

— Witaj, o Pani Storm!

— Bądź pozdrowiony, Lhaeo — odparła Storm, spoglądając z rozbawieniem na starego maga. Elminster ze stoickim spokojem zrzucił beztrąsko na podłogę pokazną stertę jakichś papierzysk i bez słowa przysunął jej wolne już krzesło.

Chmura gęstego, dławiącego kurzu uniosła się w powietrze.

Elminster wymamrotał coś pod nosem, machnął ręką i kurz zniknął.

— Wydaje mi się, że jest tu trochę za ciemno — nie widzę twarzy mego pięknego gościa — mruknął stary mag, po czym wyciągnął rękę, by dotknąć mosiężnego kosza koksownika. Cmoknął i w tej samej chwili pojawił się płomień, rzucając ciepłą, migotliwą poświatę na krzesło.

Elminster szarmanckim gestem zaprosił Storm, by usiadła. Ona zaś z zakłopotaniem wpatrywała się w ogień w koszu koksowym.

— Jak to może się palić bez żadnego oparu?

— Dzięki czarom, ma się rozumieć — Elminster odwrócił się, wzbijając następną chmurę kurzu podczas przeciskania się pomiędzy wysokimi, nierównymi stosami pożółkłych ze starości pergaminów.

— Oczywiście. — Storm wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. — Elminsterze — rzuciła lodowatym tonem — mów. — Jej głos był zimny jak chłód stali.

Stary mag usiadł swobodnie w powietrzu, zaczął pyk fajeczkę i uśmiechać się do niej przez chmurę unoszącego się dymu.

— Zaslługujesz na to, by wiedzieć, sikoreczko. A zatem zacznijmy od początku — Duara była niegdyś bardzo krótko moją uczennicą. Obecnie mieszka w Telflann, a ubiegłego przyłączyła się do Harpersów.

Ponownie pyknął z fajeczki, a ku nisko sklepiionemu mrocznemu sufitowi uniósł się wolno z lulki krąg niebiesko-zielonego dymu.

— Nie potrafi jeszcze używać zaklęcia teleportacji, bo nie posiada dostatecznie dużej mocy. Jak wszyscy młodzi, zapale magowie zaczęła podróżować, by jak najszybciej poznać możliwie jak najwięcej zaklęć i w przeciwieństwie do większości magów natknęła się na smoczy skarb.

Kolejny krąg fajkowego dymu uniósł się z fajki. Stary mag przez chwilę śledził go wzrokiem, pokiwał głową, czym podjął swoją opowieść.

— Hm..., naturalnie do skarbu tego był również do smok — sztuk jeden — ale to już inna historia. Wśród rozmaitych cacek i bibelotów natknęła się na mój klucz i przysłała mi przez umyślnego wiadomość, że znajduje w jego posiadaniu i, jeżeli jestem zainteresowany, przyniesie go na najbliższe magowisko.

— Kim są zatem twoi tajemniczy wrogowie? Jakim sposobem utraciłeś ten klucz? — zapytała Storm. — I dlaczego Duara zdecydowała się przesłać ci zwykłego listu? Po co tyle zacie

Elminster wzruszył ramionami.

— Nie miała pojęcia, że ktokolwiek, prócz mnie, mógł tym zainteresowany, a przede wszystkim wiedzieć, o przedmiocie traktował ów list. Gdy dostałem od niej wiadomość za pomocą czarów porozumiałem się z nią na odległość i potwierdziłem, że przybędę na zjazd. Powiedziała mi, że czasu wysłania listu kilkakrotnie ją atakowano, dwukrotnie przetrząsnęto jej dom, a którejś nocy, gdy leżała w sypialni, jakiś tajemniczy szepczący głos groził jej, żądają wydania klucza.

Storm wywróciła oczami:

— A więc czym jest ten klucz? Co on otwiera?

— Moją szafę, ma się rozumieć — odrzekł ze spokojem Elminster, sięgając długą ręką za siebie w zakurzony półmrok. Klucz błysnął w jego dłoni, gdy wsuwał go w otwór wrytej w ścianie głowy uśmiechniętego smoka. W kamieniu wokół niewielkiej płaskorzeźby pojawił się zarys drzwi. W chwilę potem sekretne drzwi same się otworzyły.

Elminster wyjął klucz z otworu i machnął nim w stronę Storm.

— Ukradł mi go dawno temu pewien pozbawiony skrupułów człowiek, który, aczkolwiek bardzo krótko, był moim uczniem. Pamiętam go, to był ambitny Calishita, nazywał się Raerlin. Przypuszczam, że skończył w paszczy smoka Duary.

— A co ty tam trzymasz, że ci magowie tak pragnęli dostać ów klucz w swoje ręce? — zapytała Storm, spoglądając na zakurzone drzwi szafy.

— Stare magiczne księgi, zbierane przez lata moich wędrówek po świecie — odrzekł Elminster, gdy drzwi rozwarły się na oścież.

Storm zobaczyła nierówno ułożony stos opasłych, cuchnących stęchlizną tomisk.

Nagle za jej plecami rozbłysło dziwne, biało-zielone światło. Kiedy jego blask omiótł oblicze starego maga, zauważyła jego zdziwienie i odwróciła się gwałtownie, przewracając krzesło.

Tajemnicze światło biło z migoczącego ognistego kręgu. Unosił się on w powietrzu pośrodku małej, zagraconej izdebki. Jego obecność zdawała się drwić z potężnej magii strzegącej wieży Elminstera, czarów, które, o czym Storm doskonale wiedziała — chroniły to miejsce przed Arcymagami złego Zhentarimu, Czerwonymi Magami z Thay i innymi, jeszcze od nich gorszymi. Nikt nie powinien być w stanie otworzyć wrót wewnątrz Wieży.

Niemniej jednak, płomienny owal był ewidentnie Bramą, jak uznała Storm. Kiedy zajrzała w głąb magicznego, migoczącego przejścia, dostrzegła długi, okolony murami korytarz, niknący daleko w ciemności. I w tym mrocznym korytarzu coś się poruszało...

Elminster podszedł bliżej, zmarszczył brwi, a jego dłonie wykonywały gesty antyzaklęcia.

— Niemożliwe — burknął pod nosem.

Posepna sylwetka szła wolno w ich stronę, wylaniając z mroków skapanego w głębokich cieniach widmowego korytarza. Istota była wysoka i bardzo chuda. Jej oczy były dwoma zimnymi, skrzącymi się punkcikami światła tonącymi w mrocznych oczodołach.

Gdy postać podeszła bliżej, Storm dostrzegła, że szaty, które miała na sobie, zwisały w strzępach, przeżarte do cna zgnilizną.

Storm poczuła, że serce zamiera jej w piersi. To mógł być lich, czarnoksiężnik, którego magia była tak potężna, że żył dalej, nawet po przekroczeniu granicy śmierci. Niewielu mogło stawić czoła tej istocie z nadzieją na zwycięskie wyjście ze starcia, a wśród nich było jedynie kilku spośród wielu arcymagów Faerunu.

Lich podszedł jeszcze bliżej i Storm poczuła na sobie jego spojrzenia. W czarnych, pustych oczodołach zamigotały jasne iskierki, gdy zmierzył ją wzrokiem, a potem pogardliwie odwrócił się od niej w stronę Elminstera.

— Śmierć przychodzi dziś w końcu po ciebie, stary — wyszeptał lich, a jego syczący głos okazał się nadszpiewanie silny. Wciąż jeszcze miał do pokonania spory fragment korytarza.

— Wiesz, jak często słyszałem te słowa? Każdy ogłuszony żądzą mordy głupiec w Faerunie częstował mnie nimi przynajmniej mniej raz — Elminster uniósł brew — lub, jak w twoim przypadku, Raerlinie — dwukrotnie.

Jedną ręką mag wykreślił w powietrzu świecący symbol.

Lich obdarzył go upiornym uśmiechem, wyszczerzając zęby i w dalszym ciągu się zbliżał. Druga brew Elminstera powędrowała w górę. Jego dłonie poruszyły się szybko, wykonując kilka skomplikowanych gestów.

Nagle przed otworem bramy pojawiła się migocząca, falują bariera światła. W odpowiedzi Raerlin uniósł dłonie i zasłona rozprysła się w drobny mak lub raczej w tym przypadku, w drobiny światła, które rozsypały się wokół niczym strzelające z ogniska i w chwilę potem zgasły.

Jakimś cudem naga, koścista czaszka zdołała wykrzywić się w ironicznym grymasie.

— Uważałeś, że jesteś sprytny, skoro na magowisku udało ci się oszukać dwóch z mych poddanych, Elminsterze — rozległ się ponownie świszczący szept. — Ale mnie nie zdołasz tak łatwo oszukać, ani pokonać.

Czaszka zdawała się uśmiechać.

— Ja również byłem na magowisku. Twoje oślepiające zaklęcie naturalnie na mnie nie podziałało, a dzięki czarowi kamuflażu nie zdołałeś mnie rozpoznać. Czyżby takie drobne zaklęcia przekraczały obecnie twą zdolność pojmowania?

Z kuchni dobiegł gwizd imbryczka, w którym zaczęła gotować się woda, stłumiony przez zapórę grubych, zamkniętych drzwi.

Dłonie Elminstera ponownie się poruszyły. Storm zobaczyła nitki potężnej energii formujące się między jego palcami na chwilę przed tym, jak stary mag cisnął w nadchodzące monstrum piorunem. Kiedy kula energii wyprysnęła z jego rąk, rzucany przez nią blask oświetlił wyraz narastającego zatroskania malujący się na twarzy Elminstera.

Lich zaśmiał się głucho, gdy piorun sypiąc iskrami zataczał kręgi wokół jego upiornego, trawionego zgnilizną ciała. Drobne błyski i wyładowania raz po raz strzelały w jego kierunku, ale najwyraźniej nie czyniły mu najmniejszej szkody.

Nagle uniósł kościstą rękę i rzucił własne zaklęcie.

Zaniepokojona Storm przeniosła wzrok na Elminstera i zobaczyła, jak jedna z książek w otwartej szafie za plecami starego maga zaczyna jarzyć się tym samym zielonkawobiałym blaskiem, co utworzone przez monstrum magiczne wrota.

Kiedy zaś powróciła wzrokiem do potwora, on rzucił jej triumfalne spojrzenie.

Od nieumarłego maga w kierunku Storm i Elminstera wysuwały się z korytarza upiorne szare macki energii. Raerlin był teraz bardzo blisko — od wejścia do izby dzieliło go zaledwie kilka kroków.

— Uciekaj, Storm! — rzucił Elminster. — Nie jestem w stanie uchronić cię przed tym, co nastąpi! — Jego dłonie poruszały się, wykonując gesty kolejnego zaklęcia.

Storm pokręciła głową, ale wycofała się.

Z palców starego maga strzeliły strugi migoczącego, ostrego światła i przy wtórze szaleńczych trzasków otaczały i odcinały każdą kolejną wysuwającą się ku nim mackę.

Lich widząc to ledwie wzruszył ramionami, a jego kościste palce splotły się w kolejnym bezgłośnym zaklęciu. Książka w otwartej szafie ponownie pojaśniała.

Storm dostrzegła krople potu perlące się na czole Elminstera, gdy sięgnął dłonią do fałd swej szaty po znajdujący się tam talizman. Nagle talizman w dłoni starego maga zniknął, jak gdyby rozpląnął się w powietrzu. I, niejako w odpowiedzi, z ramion nieumarłego wystrzeliła czerwona struga energii, gdy upiorna postać przestępując przewrócone krzesło przekroczyła granicę magicznej bramy i znalazła się w izbie.

Monstrualne magiczne ramię złowieszczo wysunęło się do przodu.

Nagle w powietrzu przed starym magiem zawisła migocząca, srebrzysto-niebieska, ochronna tarcza mocy. Czerwona ręka ominęła ją z łatwością, niemal leniwie, sięgając nie w stronę Elminstera, lecz w stronę szafy za jego plecami.

Lich chce zdobyć książkę — stwierdziła Storm i cięła z całej siły, mierząc w magiczne ramię. Od strony bramy rozległ się nagle przeraźliwy wrzask, a Storm zewsząd otoczyła czerwona poświata.

Czarodziejska ręka nieumarłego szarpała zaciekle, próbując ją powstrzymać, skórzany pancerz został zdarty, a Storm, poczuła, jak jej pierś przeszywa nagle ostry, palący ból. Przed oczyma dostrzegła przesuujące się cienkie i ciemne strużki własnej krwi, unoszone w powietrzu mocą otaczającego ją magicznego ramienia.

Zagryzła zęby i cięła na odlew swym magicznym mieczem, usiłując uwolnić się z karmazynowego pierścienia energii, pojawił się oślepiający błysk, po którym nastąpił głośny, dojmujący ryk. Trysnął snop iskier. Przed oczyma Storm rozbłysły srebrzyste odłamki jej magicznego miecza, a w chwilę potem ona sama runęła tyłem na stos opasłych ksiąg. Krew zalała jej oczy, a pierś zdawała się płonąć żywym ogniem.

Jak przez mgłę usłyszała jęk Elminstera. Mrugając gwałtownie, by przejrzeć na oczy, niezdarnie podniosła się z ziemi. Stary mag leżał bezwładnie na podłodze, a z jednej z jego desperacko wyciągniętych ku niej rąk wypływał cienki strumyczek światła. Lich stał

triumfalnie za jego plecami, okolony płomienną karmazynową aurą. Wsparłszy dłonie na biodrach, zaśmiał się donośnie.

Światło zaklęcia Elminstera dosięgło Storm, która poczuła, że jej ciało przepełnia fala świeżych, gorących sił. Końce palców przeszło jej ostre mrowienie, a krew nieoczekiwanie znikła, zarówno z oczu, jak i z czoła.

Nieumarły wykonał gwałtowny gest i otaczająca go czerwona chmura przeobraziła się w las macek, które w mgnieniu oka pochłonęły ciemniejszą magiczną tarczę, za którą schronił się stary mag. Storm widziała, jak tarcza powoli zaczyna się kruszyć, aż w końcu znika — a potem smugi karmazynowej energii spowijają ciało Elminstera. Stary mag wykonał jeszcze jeden słabiutki gest, po czym upadł na twarz i znieruchomiał.

Błękitno-biała energia ostatniego zaklęcia Elminstera została wchłonięta w czerwoną chmurę. Mistyczna aura pojaśniała, gdy lich przestąpił nad ciałem starego maga i ruszył w kierunku barda. Raerlin wysączał magię z Elminstera, by nadać moc swym własnym, mrocznym zaklęciom.

Następne karmazynowe ramię wystrzeliło z otaczającej go chmury, zmiatając barda na bok z bezlitosną, okrutną siłą.

Storm wylądowała ciężko na kolejnym stosie książek. Zobaczyła czerwone ramię, sięgające leniwie po tom znajdujący się w sekretnym pomieszczeniu.

Storm, najszybciej jak potrafiła, wygrzebała się spod sterty porozsypywanych woluminów. Była zdyszana, w nozdrzach czuła drażniącą woń własnych osmalonych włosów. Krew nadal ściekała jej ze zranionej piersi i w dalszym ciągu dźwżyła w ręku poczerniałą, wygiętą rękojeść miecza. Drżąc na całym ciele, wciągnęła głęboko powietrze i cisnęła w Raerlina ułomkiem miecza, po czym rzuciła się szczupakiem po księgę, dla której nieumarły podejmował tak wielkie ryzyko.

Wokół niej kłębiły się czerwone opary, ale zdołała zacisnąć dłonie na cennym woluminie.

Głos Raerlina zmienił się w głuchy, pełen przerażenia wrzask, gdy Storm przycisnęła opasłe tomisko do swej okrwawionej piersi.

- A niech cię Myrkul, dziwko! - ryknął - Zniszczysz ją!

I w tej samej chwili Storm wiedziała już, co musi zrobić. Drżącymi palcami zaczęła wrywać kolejne stronicę i zwijając je w kule, ciskać w płomienie magicznego kosza koksowego. Buchnął ogień, lecz ona mocno trzymała palący się pergamin, nie bacząc na przeszywający ból w dłoni.

Raerlin zaatakował. Czerwone, magiczne szpony zaczęły szarpać i rozrywać jej ciało. Storm zacisnęła zęby i walczyła o utrzymanie swojej pozycji, obejmując jedną ręką płonący kosz koksowy.

Płomienie chciwie lizały pomarszczone stronice, które trzymała w dłoni.

Storm poczuła, jak coś chwytą ją za włosy i szarpiąc z całej siły odciąga jej głowę do tyłu. Oślepią łzami poczuła, że coś - jej własne włosy, kontrolowane zaklęciem nieumarłego - zadzierzgnęły się wokół jej szyi.

Bard z Shadowdale zagryzła zęby, aby powstrzymać okrzyk cisnący się jej na usta, uniosła w górę opasy wolumin, z trudem przeciwstawiając wątłą siłę własnych ramion magicznej mocy Raerlina.

A potem cisnęła księgę w ogień.

Rozległ się wściekły, ochrypły ryk i Storm została odrzucona w bok.

Jak przez mgłę widziała jeszcze unoszące się w powietrzu kości i mosiężny obracający się kosz koksowy, oddalający się od rozszalałej, choć wiszącej nieruchomo kuli jasnych płomieni.

Zaraz potem wyrznęła boleśnie w krzesło Elminstera. Włosy na chwilę przesłoniły jej widok. Storm odgarnęła je niecierpliwie i wbiła wzrok w kulę ognia.

Wisiała kilka stóp nad podłogą pracowni i wydawała ostre, przenikliwe trzaski. W jej sercu, czerniejąca i wciąż jeszcze pulsująca blaskiem księga buchała wielobarwnymi płomieniami. Na oczach Storm opasłe tomisko zmieniło się w kupkę popiołu i znikło. Po lewej jej stronie rozległ się głośny ryk.

Odwróciła głowę, by zobaczyć jak czaszka nieumarłego rozsypuje się na kawałki. Czerwona poświata magii Raerlina przygasła, aż w końcu znikła zupełnie. W chwilę potem całe ciało obróciło się w proch. Gdy zapadła cisza, przymknęła powieki, zastanawiając się, kiedy jej poparzone dłonie przestaną drżeć.

Nagle z prawej strony dobiegło ją głośne kasznięcie. Storm zamruwała i otworzywszy oczy spróbowała się podnieść. Elminster wstał powoli, kręcąc głową i klepiąc dłońmi osmalone dymiące placki na połach swej szaty.

- Przypomnij mi, moja droga - rzekł z powagą - bym w przyszłości podziękował ci, jak należy, za to, że po raz kolejny uratowałaś mi życie.

Mimo bólu Storm zachichotała.

W chwilę potem, mocno objęci, śmiali się już otwarcie, a ich oczy błyszczały radością.

Gdy tak trwali w mocnym, gorącym uścisku, drzwi otworzyły się i do wnętrza zdewastowanej pracowni napłynęły dźwięki z kuchni.

Najpierw rozległ się brzęk naczyń, a później pogodny głos Lhaeo, mówiącego:

- Herbata gotowa! Strasznie tam hałasowaliście, co ... - sposepniał nagle i zamrugał powiekami na widok dwojga poparzonych i poranionych przyjaciół - c-c-co się stało?

Elminster odsunął od siebie Storm z zadziwiającą, jak na kogoś w jego wieku, zręcznością wykonał dłońmi serię szybkich gestów.

W mgnieniu oka Storm znalazła się znowu na swoim krześle, odziana w przepiękną suknię. Dojmujący ból w piersi i dłoniach zniknął. Naprzeciw niej, przy zastawionym do herbaty stole siedział Elminster, noszący wspaniałą jedwabną szatę, ozdobioną haftami w kształcie smoków. Uśmiechał się pogodnie, trzymając w dłoni swoją fajkę.

- Nic takiego - odparł ze spokojem stary mag - ot, po prostu, wizyta starego przyjaciela.

Gdy taca z herbatą znalazła się na stole, Elminster puścił oko do barda. Storm pokręciła głową i mimowolnie się uśmiechnęła.

OSTATNI ŁYK

Christie Golden

Podporucznik Rhynn Oriandis siedziała w siodle swej białej klaczy, strzegąc głównej bramy miasta Mistedale. Jak zawsze, tak i tego wieczoru wrota stały radośnie otworem. Kamienny mur okalający około dwóch tuzinów budynków nie wydawał się trudny do sforsowania dla zdecydowanego na wszystko intruza, lecz senne Mistedale nie byłoby chyba warte takiego zachodu.

Znajdowała się tu tylko jedna główna ulica, wijąca się kretko przez całe miasto.

Był środek Marpenothu. Wiatr mierzwiący błękitnawe włosy Rhynn niósł w sobie zapowiedź nadciągającej zimy. Chłód mroził białe policzki księżycowego elfa, lecz było jej dość ciepło, gdyż miała na sobie czarną, skórzaną zbroję i gruby płaszcz. Czuła wyraźnie drzenie klaczy. Moonmaid nie miała takiej ochrony, a podczas nocnych wart, tak jak tego wieczoru, Rhynn musiała stać przy bramie w uciążliwym bezruchu. Rhynn wymamrotała do ucha zwierzęcia, które było jej przyjacielem przez ostatnie piętnaście lat, kilka pozbawionych przepaszających i pocieszających słów, po czym dłonią w rękawicy pogładziła białą szyję starej klaczy. Moonmaid prychnęła z cicha, odwracając łeb, by spojrzeć na swego jeźdźca. Jej oczy błyszczały w świetle a w ich wnętrzu migotały isierki czegoś, co zdaniem mogło być wyrazem ponurego niezadowolenia.

— Nie patrz na mnie w ten sposób — upomniała J^J gderliwym tonem. — Ja też nie lubię tych wart.

Moonmaid nieomal parsknęła. Rhynn roześmiała się, zaraz sposepniała, gdy klacz, zmęczona nawet tak niewielkim wysiłkiem, opuściła łeb prawie do samej ziemi. Dlaczego konie muszą starzeć się o wiele szybciej niż elfy?

Rhynn już od kilku dziesięcioleci należała do osławionych Jeźdźców z Mistedale. Więż jaka łączyła doświadczonych żołnierzy z ich białymi wierzchowcami, bardzo silna. Każdy Jeździec opiekował się swoim wierzchowcem od źrebaka i przez resztę jego życia nikt, oprócz niego z wyjątkiem krytycznych sytuacji, nie mógł dosiadać tego rumaka.

Gdy zwierzę się zestarzało i nie mogło już dłużej pełnić obowiązków, otrzymywało od swego pana ostatni słodko dar. Nazajutrz lub w przyszłym tygodniu, w każdym zdaniem Rhynn, zbyt prędko — nadejdzie pora, by skróciła; swej klaczy, wyświadczając jej tym samym przysługę i < jąć cierpień związanych nierozzerwalnie ze starością. A otrzyma kolejne

mlecznobiałe źrebie, by je szkolić, a koniec końców zabić. Rhynn służąc w oddziale Je przeżyła już wiele wierzchowców. Niemniej jednak, fakt ten nie czynił ostatniego rytuału ani trochę łatwiejszym.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, Moonmaid spłoszyła szarpiąc ostro wędzidło i stając dęba.

— Ho, hoo, maleńka. Uspokój się — powiedziała tonem Rhynn. Dotyk jej delikatnych dłoni sprawił, że poczuła się nieco raźniej. Mimo to nadal drżała, a rozejrzała się, by sprawdzić, co tak przeraziło starą. W chwilę potem dostrzegła stojącą nieopodal, przyglądającą się jej znajomą postać.

— Przykro mi, Rhynn — dał się słyszeć łagodny, miódopłynny głos. — Nie chciałem spłoszyć Moonmaid.

— Nie przejmuj się, Jander. Ma już swoje lata i łatwo ją zaskoczyć. A ty potrafisz się skradać jak mało kto.

Powiedziała to z niemal jawnym wyrzutem, ale promienny uśmiech, którym obdarowała Jandera Sunstara, zdradził prawdziwe uczucie, jakie żywiła wobec swego przyjaciela.

Złoty elf dorównywał wzrostem ludziom, a brązową barwę jego skóry podkreślały sięgające ramion włosy, złociste niczym kłosa zboża. Nosił kaptur zawiązany niedbale pod szyją. Jego poły rozchyłały się pod wpływem lodowatych podmuchów wiatru zapewniając niewielką raczej ochronę przed chłodem nocy. Oblicze Jandera było białym owalem w blasku księżyca, lecz Rhynn bez trudu zdołała dostrzec słodki uśmiech goszczący na jego ustach.

Wyglądało na to, iż bardziej niż zwykle cieszył się, że ją spotkał.

— Byłem pewien, że znajdę cię dziś na konkursie bardów — rzekł Jander.

Rhynn wzruszyła ramionami; jej skórzana zbroja zaskrzypiała głucho.

— Bo miałam tam być — stwierdziła. — Ale ona — po-klepała klacz po szyi — przed paroma dniami potknęła się i nie nadaje się już do niczego oprócz stacjonarnych wart. Poza tym, kapitan Theorn ochotniczo zgłaszał się do ich pełnienia przez ostatnie pięć lat, abym mogła radować się muzyką. Najwyższa pora, żeby ktoś go zastąpił.^

Jander rozejrzał się dokoła, skrzywił się.

— O, tak — stwierdził ironicznym tonem, przyglądając się spokojnym małym domkom i zagrodom, składającym się na Mistledeale — ktoś musi chronić niewinnych, skoro tyłu przestępców grasuje w okolicy.

Rhynn nawet się nie uśmiechnęła.

— Zwykle jest to nudny, rutynowy patrol, ale w tym roku... — Ton jej głosu stał się posepniejszy i Rhynn zgoła mimowolnie wyprężyła się w siodle. — Jesteś z zawodu wojownikiem, Janderze, więc chyba mogę d to powiedzieć. Dziś po południu znaleźliśmy zwłoki trojga ludzi — dwóch wieśniaków i ich dziecka. Mieli rozplątane gardła.

Wyraz twarzy Jandera był trudny do określenia w blasku księżyca. Elf błyskawicznie odwrócił głowę.

— Zasztyletowani?

— Nie. Wyglądało, jakby zostali zabici przez dzikie zwierzę.

— Może przez wilka?

Rhynn zmarszczyła brwi i ostrym tonem stwierdziła:

— Jesteś elfem. Powinieneś doskonale o tym wiedzieć. Wilki to z natury nieśmiałe stworzenia, które polują, by zaspokoić głód i chronią swoje młode. Nie atakują nawet zwierząt domowych, które tu hodujemy, no, chyba że zima jest wyjątkowo surowa. Ale przecież zimy jeszcze nie ma, a dziewczynki nie zamordowano, aby ją pożreć.

Jander łagodnym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

— Odkrycie tego musiało być doprawdy potwornym prze-życiem. Przykro mi. Naprawdę. Rhynn powoli pokręciła głową.

— W Mistedale miewamy do czynienia z pijackimi burdami, zaginionymi dziećmi i zabłąkanymi owcami, Janderze — nie z mordercami. Po prostu do tego nie przywykłam — to wszystko.

Nieprzyjemna cisza trwała przez dłuższą chwilę, po czym Jander odchrząknął.

— Zmieniając temat, cieszę się, że cię spotkałem. Bo ja... bo jutro już mnie tu nie będzie. Opuszczam Mistedale. Rhynn pochylila swą piękną głowę.

— Och, Janderze, dlaczego? — Jej oczy rozjaśnił nagle promyk nadziei. — Wracasz do Evermeet?

Rhynn słyszała o Evermeet, krainie baśniowych lasów i magii, prawdziwym rajem elfów, zanim spotkała Jandera. Owa samotna wyspa leżała daleko na zachodzie, a na jej terytorium jedynie ludzie byli mile widziani.

Złym czarnym elfom, znanym jako drowy — i elfom o mieszanej krwi nie wolno było postawić stopy na uświęconej ziemi Evermeetu.

Gdy Rhynn dowiedziała się, że tam właśnie urodził się jej przyjaciel, początkowo trochę się go obawiała. Jander dał jej do zrozumienia, że z jakiegoś powodu nie może powrócić na wyspę. Usłyszawszy o jego wyjeździe w pierwszej chwili pomyślała, że być

może zakaz czy klątwa, jaką nań nałożono, została wreszcie zdjęta. Okazało się, że się omyliła.

Jander ze smutkiem pokręcił głową.

— Nie, nie tam. Chciałbym móc wypić z tobą strzemiennego, podporuczniku Rhynn Oriandis. Cóż, muszę się zadowolić pożegnaniem cię tutaj. — Ścisnął mocno jej ramię. — Jestem ci wdzięczny za twoją przyjaźń. Nigdy cię nie zapomnę. Słodkiej wody i radosnego śmiechu.

To rzekłszy odwrócił się na pięcie i zamiatając długim czarnym płaszczem pomaszerował w kierunku oberży pod Czarnym Dzikim.

Rhynn otworzyła usta, by go zawołać, ale ostatecznie zrezygnowała. Nie ulegało wątpliwości, iż pożegnanie to było dla Jandera nader smutnym przeżyciem, a przedłużając je sprawiłaby go tylko w większe zakłopotanie. Ona również zasmuciła się na wieść o jego wyjeździe. Będzie jej brakowało tego złotego elfa, z jego wspaniałymi opowieściami, poczuciem humoru i słodkim uśmiechem. Rhynn westchnęła, poprawiła się w siodle i kontynuowała pełnienie warty.

Czas płynął, ale nie wydarzyło się nic, co mogłoby za-bić uciążliwą monotonną nudę patrolu. W ogóle niewiele się działo.

Przechodzący przez bramę mieszkańcy dalej wymieniali z nią pozdrowienia. Rhynn zatrzymywała tych, których nie знаła, poddawała rutynowemu przeszukaniu i z pełną uprzejmością konfiskowała znaną przy nich broń. Nikt nie protestował — wszyscy wiedzieli, że kiedy będą opuszczać niewielkie miasteczko, broń zostanie im zwrócona.

Mniej więcej w godzinę po wizycie Jandera, Rhynn dostrzegła znajomą sylwetkę, odzianą w czarny, skórzany pancerz, zmierzającą w jej stronę. Moonmaid ponownie się spłoszyła, prze-stępując nerwowo z nogi na nogę, póki Rhynn nie uspokoiła jej łagodnym gestem.

— Spokojnie, spokojnie, maleńka — powtarzała półgłosem, wpatrując się uważnie w zbliżającego się ku niej mężczyznę.

— Poruczniku Rhynn — jesteście zwolnieni z waszych obowiązków. Od tej chwili macie rozkaz udać się na konkurs bardów i do woli radować się śpiewem i muzyką.

Kapitan Theorn podparł się dłońmi pod boki i uśmiechnął do niej; jego zęby białły w półmroku.

— Ale, Theorn... dlaczego? I gdzie się podział twój wierzchowiec?

Jego uśmiech przygasł.

— Albo przypadek Moonmaid jest zaraźliwy, albo przydało-by się wymienić niektóre kostki bruku na głównej ulicy. Śnieżna Dama zwichnęła nogę.

Kiedy Rhynn zatroskana otworzyła usta, by spytać o coś więcej, Theorn dorzucił uspokajająco:

— Do rana wydobrzeje. Pomyślałem, że skoro i tak chodzi tylko o wartość, mogę ją odstać na własnych nogach. A teraz idźcie już pod Czarnego Dzika.

Delikatne, błękitne brwi Rhynn połączyły się w wyrazie zakłopotania i zatroskania.

— Theorn — rozmawialiśmy już o tym trzy dni temu.

— Mówicie mi, że nie chcecie tam iść?

— Oczywiście, że chcę, ale uczciwość to uczciwość i...

— To rozkaz, poruczniku. — Tubalny głos Theorna, zazwyczaj tak jowialny, stał się nagle lodowaty i bezosobowy. Rhynn wykonała zamaszysty salut dłonią.

— Tak, jest, kapitanie — oznajmiła chłodnym, rzeczowym tonem. Słowa Theorna dopiekły jej do żywego, ale wykonała rozkaz.

„Uczciwa” Rhynn zawsze była posłusznym żołnierzem.

Jander siedział przy barze z nietkniętym kuflem „ale” przed sobą. Myślni powracał do posepnego odkrycia dokonanego przez Rhynn. Wilki — zasugerował. Elf ironicznie parsknął do siebie. Gdybyż bogowie zechcieli sprawić, by był równie czysty i nie skomplikowany jak wilk.

Przenosząc uwagę na zatłoczone pomieszczenie oberży, smutnymi srebrnymi oczyma zlustrował rozgrywającą się przed nim radosną scenę.

Wnętrze „Czarnego Dzika” było oświetlone na tyle słabo, by mogło wydawać się przytulne i miłe, ale nie było tu \$\$\$•; tak ciemno, by człowiek czuł się zagrożony. Dymiące lampy•;; naftowe zwisały z krokwi, a w kominku przy końcu szynku radośnie buzował ogień.

Tam właśnie znajdowała się umowna scena. Obecnie stał na niej smukły dziki elf, grający na cymbałach.

Delikatne palce płynnie śmigały w powietrzu, gdy grajek przy pomocy drewnianej warząchwii wydobywał dźwięki z me-talowych strun instrumentu.

Czarny kot również przyglądał się muzykowi ze swego miejsca na obramowaniu kominka. Nosił imię Indygo, gdyż jego sierść była tak czarna, że wydawała się nieomal granatowa. Był maskotką oberży. Jak zawsze zasyczał na widok Jandera, gdy złoty elf wszedł do tawerny — obecnie zaś Jander uspokoił zwierzę przy pomocy łagodnego, mentalnego dotknięcia.

Uśmiechnięci m widzowie siedzący przy dziesięciu stolikach i barze przysłuchiwali się z uwagą, a gdy bard skończył i uklonił się, nagrodzili jego występ gromkimi brawami.

Nadszedł czas na krótką przerwę, a dziki elf i kilku innych uczestników konkursu wykorzystało tę okazję, by przepłukać gardła przed jego dalszym ciągiem. Jander nadał przyglądał się zebranym.

Kilku gości mogło okazać się groźnych. Paru z nich wyglądało na tęgich zabijaków, ale nie mieli broni oprócz noży, którymi posługiwali się przy posiłku.

Większość zebranych stanowili lokalni wieśniacy i muzycy. Jander zmierzył wzrokiem starca siedzącego przy barze, po prawej. Zbyt wąty jak na wojownika, roztaczał jednak wyraźną aurę spokoju i pewności siebie. Może być magiem — stwierdził elf.

— Wujaszku Pogg! — rozległ się nagle piskliwy głosik i do gospody wpadł zdyszany mały chłopiec. Kilka głów odwróciło się, kilku ludzi z zaciekawieniem przyjrzało się intruzowi.

— Trevys! — ryknął tęgi oberżysta, a jego gęste, brązowe brwi połączyły się w wyrazie zakłopotania. — Co w imię... zbliż się no tu, chłopcze!

Zadyszany chłopak o zmierzwionej czuprynie szybkim krokiem podszedł do swego wuja.

— Wujku, znaleźliśmy klacz jednego z Jeźdźców i papcio kazał, żebym tu przyszedł i powiedział ci o tym. Uważa, że najlepiej będzie, jak odprowadzimy ją do jej pana i...

— Tak, tak. Możemy to uczynić rano. Czy twój ojciec nie pamięta, że dziś wieczorem odbywa się tu konkurs?

— Pogg westchnął ciężko i wywrócił oczami. — Nie, Shomar nigdy nie pamięta o takich rzeczach.

— Ale Jeździec...

— Rano, Trevys. Jest już ciemno, a ja mam dużo, bardzo dużo zajęć.

Starszy mężczyzna siedzący obok Jandera obserwował tę scenę z rozbawieniem.

— Twój wuj ma rację, Trevys — rzekł, włączając się do rozmowy. — Masz, weź to i zapomnij o wszelkich kłopotach.

Wykonał delikatny ruch palcami prawej dłoni i nad głową chłopca pojawiły się trzy jaskrawo świecące kule.

Trevys wstrzymał oddech, wyciągając z wahaniem dłonie w stronę pulsujących jasnym blaskiem piłek.

— Podrzucić je delikatnie, a opadną miękko i wolno jak płatki śniegu — rzekł mag, uśmiechając się.

Oczarowany wspaniałą magiczną sztuczką, Trevys posłusznie oddalił się i przycupnął w odległym kącie oberży, podrzucając przed sobą świecące piłeczki.

— Eech, być znów tak młodym i móc cieszyć się z byk powodu — westchnął Jander. Mag odwrócił się w jego stronę? a złoty elf spojrzał głęboko w bladoniebieskie oczy starca.

— Jak cię zwa, dobry czarnoksiężniku? Tamten zamrugał, usiłując oderwać wzrok od przenikliwego spojrzenia Jandera.

— Pakar — wymamrotał w końcu, poddając się pozbawionemu słów rozkazowi wydanemu przez elfa.

Jander bezgłośnie ocenił moc czarodzieja. To potężny mag

— stwierdził w duchu, ale nie dość silny, by mógł mi ag oprzeć. Głośno natomiast powiedział:

— Jam jest zaś Jander Sunstar. Uczony Pakarze, mniemam, iż gdybym kiedyś potrzebował skorzystać z twych umiejętności, mogę na ciebie Uczyć.

Kompletnie obezwładniony Pakar patrzył na niego.

— Oczywiście.

Złoty elf uśmiechnął się.

— Aluise, jeszcze jeden kufelek dla mego przyjaciela — zwrócił się do barmanki, gdy podeszła do szynku, by napełnić kilka kubków. Dziewczyna nie była piękna, ale miała pełną, kształtną figurę i filuterne, roześmiane oczy. Lekko zadarty nossek jeszcze bardziej pogłębiał wrażenie jej figlarnej natury.

Mrugnęła przyjaźnie do Jandera, gdy położył monety na barze i ponownie przeniósł swoją uwagę w stronę sceny.

Obecny wykonawca jak najbardziej zasługiwał na jego uwagę. Głos miał słodki, melodyjny i czysty, zaś bogato zdobiona harfa oparta o jego ramię sugerowała, iż musiał być wyjątkowym bardem.

Ten to dopiero ma za sobą drugą drogę — pomyślał Jander.

Jasnożółta tunika korelująca z jego jasnymi włosami, w połączeniu z różową barwą bryczesów, wyraźnie świadczyły, że młodzieniec był cudzoziemcem. Ludzie z Mistledale, zwłaszcza o tej porze roku, nosili odzienie w bardziej stonowanych kolorach.

Oczy Jandera zwięziły się. Pieśniarz nosił coś na szyi, na skórzanym rzemieniu. Przedmiot ów zniknął wśród fałd jego tuniki, ale górne guziki pod szyją były nie zapięte. Gdy bard pochylił się nieco do przodu, by dosięgnąć dolnych strun i wydobyć z nich niższy ton, przedmiot zawieszony na rzemieniu wysunął mu się zza koszuli. Jander widział go tylko przez chwilę, zanim ponownie zniknął w fałdach tuniki barda, ale to mu wystarczyło.

Był to drewniany dysk, bez ozdób szpecących jego naturalne piękno, pomalowany na jasnoróżowy kolor. Jander doskonale znał ów symbol. To wyjaśniałoby również strój pieśniarza, odcienie żółci i różu.

W sercu Jandera pojawiło się nagle bolesne uczucie ironicznej radości. Bard był kapłanem Lathandera, Pana Świtu, boga, którego niegdyś czcił również Jander. W głębi duszy zapragnął, by młody grajek wybrał jakieś — jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie mógłby spędzić dzisiejszy wieczór. Jego obecność w oberży niewątpliwie spowoduje poważne kłopoty.

— Nareszcie choć raz udało mi się ciebie podejść — rozległ się kpiący głos Rhynn. Jander odwrócił się gwałtownie i zdumiał się widząc ją zajmującą pusty stołek obok niego, po lewej stronie. Nadal odziana w czarną skórzaną zbroję, z mieczem u boku, przedstawiała sobą dziwny obraz, gdy wybuchnęła śmiechem na widok zdumionej twarzy elfa.

— Rhynn, co ty tu robisz? Dziś w nocy miałaś stać u warcie przy bramie!

— No, no, pięknie witasz swoją przyjaciółkę — ucięła, wyraźnie urażona. — Myślałam, że...

— Nie możesz tu zostać.

Rhynn skrzyżowała ręce na piersiach.

— Dalibóg, żaden cywil nie będzie mi rozkazywał. To oberża i wyprosić może mnie stąd jedynie Pogg. Poza tym miałaś postawić mi kielicha, pamiętasz?

— Zakładacie, że podtrzymuje swoją ofertę, poruczniku?

— wtrąciła Aluise, zawsze gotowa, by przyjąć zamówienie.

— Tak, Aluise, podaj mi kielich wina — postanowiła Rhynn, po czym dodała kpiąco — dobrze jest posiedzieć sobie nad kieliszkiem wybornego wina, nieprawdaż?

— Och, tak. A co mam podać dla was, paniczu Jander?

— Nic, dziękuję — odrzekł złoty elf. Aluise skinęła głową i uzbrojona w napełnione kufle, oddaliła się, by dostarczyć je do właściwych stolików.

Rhynn zasepiła się, a Jander poczuł pod sercem ukłucie niepokoju. Czyżby się domyślała?

— To fakt. Nigdy ze mną nie wypiełeś, nawet kufelka. Coś jest nie w porządku — powiedziała powoli, a jej niebieskie oczy lustrowały oblicze Jandera. — Mówisz, że jest ci przykro, żegnając się ze mną, gdy pełnię wartę, ale kiedy Theorn postanawia mnie zluzować i zjawiam się tutaj, okazuje się, że wcale nie chcesz mnie widzieć. Co się dzieje, Jandera*? Nie jestem głupia, widzę, że coś jest nie tak.

Musiał ją stąd wyprowadzić i to jak najszybciej.

— Rhynn, proszę, zaufaj mi, nie pytaj o nic, tylko wyjdź stąd natychmiast. Powtarzam, musisz stąd zaraz wyjść.

— Wypiję tylko jeden, ostatni kieliszek i zaraz sobie pójdę.

— stwierdziła Rhynn. Uśmiechnęła się figlarnie.

— Ale zanim skończę, wszystko z ciebie wyciągnę.

— Proszę wybaczyć — rozległ się cichy głos, na wysokości jej łokcia. Rhynn spuściła wzrok i zobaczyła spoglądającego na nią Treysa. Trzy świecące kule płynęły łagodnie w powietrzu w ślad za nim.

— Mój wujek Pogg powiedział, że należycie do Jeźdźców. Rhynn skinęła głową.

— Znaleźliśmy białego konia. Pappio mówi, że to klacz Jeźdźca. Może moglibyście zaprowadzić ją do jej właściciela?

— Chyba się pomyliłeś — odparła Rhynn. — Wszyscy Jeźdźcy zostaliby powiadomieni, gdyby któryś zaginął. Chłopiec wyglądał na strapionego.

— Proszę was, pani — to czysta, mlecznobiała klacz z czarnym skórzanym siodłem i...

— Czarne skórzane siodło? Zaprowadź mnie do niej — powiedziała Rhynn, natychmiast podrywając się z miejsca. Kiedy mijała Jandera, złoty elf wyszeptał jej wprost do ucha:

— Proszę, zabierz chłopca i uciekaj stąd!

Rhynn odwróciła się gwałtownie, jej usta wykrzywił gniewny grymas, ale Jandera nie było już przy barze.

Skonfundowana, ścisnęła mocno drobną rączkę Treysa i zaczęła przeciskać się przez tłum w kierunku wyjścia.

Zanim dotarła do drzwi, te otworzyły się gwałtownie z głuchym trzaskiem. Indygo miauknął przeraźliwie, zjeżył się i dał nura w ciemności. Rhynn instynktownie zasłoniła sobą Treysa i sięgnęła po miecz przytroczony do biodra.

Treys nie czekając dłużej pognął w stronę szynku i wujaszka Pogga. Nagle Rhynn poczuła, jak czyjaś dłoń zamyka się chłodnym, stalowym uściskiem na jej ramieniu.

— Bądź cicho i módl się, by cię nie zauważyli. — Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, iż słowa te padły z ust Jandera. Pociągnął ją do tyłu, w kierunku spowitego w mroku kąta szynku.

Do oberży wszedł młody mężczyzna. Był nader urodziwy, miał gęste włosy o barwie miedzi i wysokie, blade czoło. Jego zmysłowe usta wykrzywiły się w grymasie zawierającym w sobie całe zło tego świata. Odzienie, jakie miał na sobie, zdradzało, iż młodzieniec musiał

być bogaty, aczkolwiek jego bluza i szarawary pamiętały lepsze czasy i wydawały się nieco niemodne.

Tuż za nim podążały dwie młode kobiety — blondynka i brunetka. Były równie urodziwe jak on, a złowroga aura zdawała się otaczać je niczym woń trujących perfum. Poruszały się bez typowej dla mężczyzny nonszalancji i bezzwłocznie przeszły do tylnej części pomieszczenia.

Nie odrywając wzroku od tłumu, który zachowywał pełne napięcia milczenie, przybysz zdjął płaszcz i cisnął go niedbale na drewniany kołek w ścianie. Płaszcz kołysał się na nim przez kilka sekund niczym wisielec.

Na drodze, Inianej koszuli mężczyzny widniały rdzawe zacieki i kilka całkiem świeżych szkarłatnych plam niedawno przelanej krwi. Rhynn odruchowo ponownie sięgnęła po miecz i znów elf przeszkodził jej w tym, unieruchamiając jej rękę w bolesnym uścisku.

Rozległy się zduszone jęki. Jander usłyszał szuranie od-suwanych pospiesznie ław i pełne frustracji krzyki tych, którzy poniewczasie przypomnieli sobie, że wjeżdżając do Mistledeale przekazali swą broń Jeźdźcom. Elf spojrział w stronę barda i maga.

Kleryk Lathandera, z mieszającym się na twarzy wyrazem strachu i determinacji, odłożył harfę i wolno zaczął się podnosić. Pakar zamaszystym ruchem odrzucił swój płaszcz i wstał, by stawić czoła jednej z emanujących brutalnym pięknem kobiet.

Jander przymrużył powieki i skupił się, pragnąc przesłać magowi mentalny rozkaz. Gdyby zdołał przejąć nad nim kontrolę, zapobiec jego atakowi, może mógłby ocalić mu życie. W porządku, Pakarze — pomyślał Jander — Już czas, abyś...

Nagle jego koncentracja prysła, gdy Rhynn podjęła kolejną, gwałtowną próbę uwolnienia się z krępującego ją uścisku. Zdekoncentrował się zaledwie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło. Ignorując nieformalny rozkaz od złotego elfa, Pakar wyciągnął przed siebie ręce i złączył oba kciuki. Z końców jego palców buchnął płomień i omiół atakującą go kobietę, wypełniając wnętrze obojczy smrodem palonego mięsa. Jasno-włosa napastniczka zawyła z bólu, ale nie zaprzestała ataku. Jej delikatne dłonie o nieludzko ostrych pazurach wyżłobiły głębokie krwawe bruzdy w twarzy i szyi Pakara. Mag krzyknął przeraźliwie i runął na podłogę, przewracając dwa stojące obok niego krzesła.

Kobieta wrzasnęła, a jej sylwetka poczęła migotać, stając się nieomal przezroczysta, po czym zmieniła się w zwierz przypominające ogromnego, szarego wilka. Rzuciła się na wciąż jeszcze drgające ciało maga i ostrymi kłami uciszyła go na zawsze.

Spod ciała zabitego wypłynęła powiększająca się z każdą chwilą kałuża szkarłatu, a przypominający wilka stwór zaczął ją chciwie chleptać, wymachując radośnie ogonem.

Jander miał już zawołać ciemnowłosą kobietę, by zwrócić jej uwagę na kapłana, gdy zauważył, że młody bard ponownie zajął swoje miejsce. Uniósł ukradkiem prawą dłoń i poklepał się po piersi, by mieć pewność, że święty symbol Lathandera był bezpiecznie ukryty. Tchórz — pomyślał w pierwszej chwili Jander, ale gdy zauważył wyraz determinacji w jasnoniebieskich oczach barda, zrewidował swoje zdanie. To nie było tchórzostwo, lecz mądrość.

Kapłan oczekiwał na swoją szansę.

Jander uśmiechnął się pod nosem. Po kapłanie Lathandera, Pana Świtu nie mógł spodziewać się niczego innego.

W tym samym czasie gdy jej towarzyszka uśmiercała czarnoksiężnika, druga kobieta zabiła dwóch najpotężniejszych mężczyzn, jacy znajdowali się w obozowisku. Gdy wysysała krew tryskającą z oderwanej głowy jednego z nich, Jander uświadomił sobie, że w pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Szok i zgroza sparaliżowały na krótką chwilę zebranych tu biesiadników. Ale nie trwało to długo.

Jakiś ogarnięty paniką młodzian rzucił się w kierunku drzwi. Mężczyzna w koszuli zbryzganej krwią w schwycił go z nienaturalną łatwością, po czym złamał mu kark jak spróchniałą gałąź. Ciało z głuchym łoskotem runęło na podłogę.

— Och, nie wychodźcie jeszcze. — Przybysz uśmiechnął się. — Przyjęcie dopiero się zaczyna.

W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Theorn. Z ust biesiadników dobył się okrzyk ulgi, a Jander poczuł, że Rhynn pod wpływem nagłej nowej fali nadziei drgnęła gwałtownie. Złoty elf błyskawicznie zatkał jej usta dłonią, aby nie zdołała zawołać swego towarzysza. Potężny kapitan Jeźdźców podszedł do obcego, który z rozbawieniem przyglądał się jatce i skłonił się.

— Co dalej, panie mój, Cassiarze?

— Czujesz ich? — odparł młodzieniec. Theorn gwałtownie przełknął ślinę i zdecydowanie pokiwał głową. — Słodki, bardzo słodki zapach — ciągnął Cassiar. Uniósł dłoń i poklepał Theorna po zarośniętym policzku. Był to dziwnie zażyły, a jednocześnie nader protekcyjny gest.

— Uśmiechnij się do mnie. Pokaż, żeś dobrym kompanem.

Usta kapitana rozchyliły się w upiornym uśmiechu. Siekacze Theorna powiększyły się co najmniej trzykrotnie.

Wśród biesiadników rozległy się głośnie jęki i zawodzenia. Tłum zaczął się cofać. Jander poczuł, że ogarnia go smutek. Byli to w głównej mierze wieśniacy i muzykanci, nie

wędrowni czarodzieje czy najemni wojownicy. On, Cassiar, Erith i Marys byli tu niczym wilki w zajęcej norze.

— Musisz być spragniony — ciągnął Cassiar. Theorn ponownie skinął głową. — Cóż, jako że to twój pierwszy posiłek w naszym gronie, możesz sobie wybrać ofiarę.

Wykonał szeroki gest szczupłą bladą dłonią, a w jego brązowych oczach zamigotały złowrogie iskierki. Spojrzenie nieumarłego Theorna, pałające nienaturalnym ogniem, padło na Rhynn.

Nie bijące już serce Jandera wypełnił strach.

— Nie, Cassiarze. Ona jest moja. Mistrz wampirów wyduł wargi.

— Ale Theorn chce właśnie jej, a okazał się nad wyraz pomocny.

— A ja nie? Jesteśmy razem już od blisko stulecia. Prawie w każdym mieście prowadziłem dla ciebie zwiady, wybierałem najlepszy czas i miejsce na zaspokojenie głodu, a gdy rzeź dobiegała końca, to ja zacierałem za nami wszelkie ślady. Przerwał, mierząc Cassiara przeciągłym spojrzeniem. — Czy wcześniej prosiłem cię o jakąś konkretną ofiarę?

Cassiar z rozdrażnieniem zmarszczył brwi.

— Nie — przyznał po chwili.

— A więc daj mi ją.

Brązowe oczy zwęziły się i Cassiar zapytał:

— Ale dlaczego właśnie ją? Dlaczego teraz? Mając nadzieję, iż okaże się dostatecznie przekonujący, Jander odparł:

— Bo pochodzi z mego rodu. Jest elfem. — Przesunął podbródkiem po jej ciemnych włosach. Rhynn skuliła się, a strach emanował z niej w postaci zapachu, który był wyczuwalny jedynie dla wampirów. — Wydaje mi się atrakcyjna.

Cassiar jeszcze przez chwilę przyglądał mu się z uwagą, po czym niemal niedostrzegalnie skinął głową.

— W porządku. Raduj się nią. A tymczasem — oznajmił, podnosząc głos — O ile mnie pamięć nie myli, miał tu miejsce konkurs bardów. Nie widzę przeszkód, byśmy nie mieli go kontynuować. Zaczniemy zatem.

Biesiadnicy okazali się jednak zbyt przerażeni, by wykonać jego polecenie. Jeszcze nie tak dawno radośni i weseli, teraz wpatrywali się tępo i w milczeniu w krew zabitych, wsiąkającą w deski podłogi. Cassiar zmarszczył brwi, rozdrażniony ich brakiem posłuszeństwa, po czym skinął na Theorna.

Jeździec wplótł palce okrytej rękawicą dłoni w splety drugich, prostych włosów znajdującej się tuż obok niego kobiety — nieszczęśnicą tą była jedna z barmanek Pogga, i

gwałtownym ruchem odchylił jej głowę do tyłu. Jander poczuł, że Rhynn zaczyna wrywać się z jego uścisku, ale okazał się od niej silniejszy. Nie puścił.

Z przeciągłym jękiem Theorn wgrzył się niezdarnie w odsłoniętą szyję — a jego zęby, miast wbić się w ciało, rozszarpały je na strzępy. Buchnęła krew, zbryzgując twarz wampira oraz pierś i gorset kobiety.

Theorn zaczął chciwie chleptać, Erith zaś, wampirzyca, która zachowała swój ludzki kształt, nagrodziła go oklaskami.

Jander oblizwał suche wargi. Czuł gorący zapach, przyprawiający o silny ból, a jednocześnie przypominający mu, że już od dawna nic nie jadł.

— Jeżeli zaraz nie usłyszę tu muzyki — ostrzegł Cassiar — wszyscy skończą tak jak ona.

Podszedł do sceny. Goście cofnęli się przerażeni ustępując mu miejsca. Wampir usiadł.

— Ty — rzekł Cassiar do kobiety-półelfa, która trzymała w dłoniach flet niczym laskę — chyba chciałbym posłuchać ciebie.

Drżąca kobieta podniosła się powoli i podeszła do sceny. Kapłan odsunął się, by zrobić jej przejście. Jander otworzył usta, chcąc przestrzec Cassiara o prawdziwej profesji młodzieńca, ale coś go powstrzymało. W jego mózgu zaczął z wolna kiełkować pomysł — tak śmiały, że w pierwszej chwili złoty elf stracił dech w piersiach.

Smukłe palce flecistki wyraźnie drżały, a jej oddech był za słaby, by mogła pokazać, na co było ją stać. Słodkie dźwięki fletu wydawały się słabe, pełne wahania i Jander, choć w głębi duszy napawało go to odrazą, wiedział, co wydarzy się za chwilę.

Cassiar zmarszczył brwi.

— Neeee! Uuuu! Fatalne! — Poderwał się z miejsca, by schwycić kompletnie bezradną kobietę. Następnie gwałtownym ukąszeniem rozplątał jej nadgarstek i upił łyk tryskającej z rany krwi.

Wampir śmiejąc się w głos odwrócił umazane szkarłatem oblicze w stronę Erith.

— Doskonała czerwień, delikatny bukiet i pełny, mocny smak!

Cassiar puścił kobietę, nie wysysając jej krwi do końca. Zadowolił się tylko spróbowaniem. Flecistka, jęcząc i ściskając mocno zranioną dłoń odczołgała się pod ścianę.

Rhynn ponownie zaczęła się szarpać, ale tym razem jej ruchy były inne. Jander, posługując się językiem elfów, syknął do jej spiczasto zakończonych ucha.

— Tylko nie wymiotuj. Zwróci na ciebie uwagę i zmusi mnie, bym rozdarł ci gardło. Nie chcę tego czynić, ale masz; być mu posłuszny. Jeżeli zachowasz spokój, zabiorę rękę. Mogę ci zaufać?

Skinęła głową, a Jander z rozpaczliwą nadzieją, że Rhynn dotrzyma słowa, zdjął rękę z jej ust. Rhynn jęknęła bezgłośnie i zadrżała gwałtownie wciągając powietrze.

Elf wampir pragnął ją przytulić i ukoić w mocnym uścisku, ale wiedział, że taki gest z jego strony byłby przez nią w obecnej chwili raczej niemile widziany.

Gdy Rhynn doszła wreszcie do siebie, syknęła.

— Jesteś zdrajcą własnego rodu, Janderze, i nienawidzą cię za to!

Jander wbrew sobie skrzywił się, urażony.

— Nie bardziej niż ja sam siebie nienawidzę — wyszeptał półgłosem, wciąż posługując się ojczystym językiem.

Uniosła wzrok, by na niego spojrzeć i dostrzegł trwającą na jej delikatnej, cudownej twarzy wojnę uczuć. Kapłan właśnie zaczął swój występ. Jego głos był zadziwiająco silny, a palce pewnie pieściły struny instrumentu, pomimo faktu, iż śmierć stała zaledwie o metr od niego i patrzyła mu prosto w twarz. Cassiar był zadowolony i w żaden sposób nie starał się przerwać pieśni.

— Ten bard jest kapłanem — wyszeptał Jander wprost do ucha Rhynn.

— Dlaczego więc nie...

— Bo nie jest głupcem. Gra na zwłokę...

— Zabijesz go?

W spojrzeniu Jandera pojawił się płomyk gniewu.

— Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz, o Uczciwa Rhynn. Poznaj najpierw wszystkie fakty, a potem będziesz mogła mnie osądzić. — Przerwał, gdyż zorientował się, że mimowolnie podniósł głos, więc ponownie zniżył go do szeptu. — Nie chciałem, abyś tu była, ale cóż, może tak jest lepiej. Mam pewien pomysł, może w ten sposób uda mi się uratować choć część mieszkańców miasteczka.

— Dlaczego miałabym ci zaufać?

— Właśnie, dlaczego? — Puścił ją. — Sięgnij po broń, skoro tego chcesz. Albo mi zaufaj.

Z jednej strony spodziewał się, że dobędzie miecza. Jej dłoń podążyła w kierunku rękojeści broni, ale w ostatniej chwili Rhynn zacisnęła palce w pięść. W chwilę potem z wyraźnym wysiłkiem opuściła rękę do boku. Jander pozwolił sobie na delikatny uśmiech. Bard skończył swą pieśń, a Cassiar zaklaskał donośnie.

Nie doczekawszy się reakcji pozostałych biesiadników, od-wrócił się w stronę milczącego tłumu. Bezlitosne brązowe oczy ogarnęły błyskawicznie całą scenę: Pogg i Trevys skuleni za barem; cztery trupy leżące bezwładnie na podłodze; półelf ściskająca kurczowo rozplataną rękę i blednąca z każdą chwilą coraz bardziej; nasyciona, zadowolona z siebie wampirzyca; przewrócone stoły, skonsternowani mężczyźni i kobiety o twarzach wykrzywionych zgrozą siedzący przy sąsiednich stolikach.

— Dajcie spokój — mruknął śpiewnie Cassiar. — Czyż to nie było cudowne? Nie uważacie, że zasługuje, by nagrodzić go brawami? — Wampir odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, gdy przerażeni biesiadnicy zareagowali gromkim aplauzem. Bard uprzejmie skłonił głowę i wrócił na swoje miejsce.

Jander patrzył, wiedząc, co będzie następną figurą tego upiornego tańca. Cassiar wstał i zaczął przyglądać się biesiadnikom, dopóki nie natrafił na kobietę odpowiadającą jego gustom. Jander poczuł pod sercem ukłucie smutku, gdy stwierdził, iż była to Aluise.

— Cóż to za piękna istota — rzekł Cassiar. Wyciągnął ręce i pomógł jej się podnieść. — Podobają mi się twoje oczy — oznajmił, ruszając w stronę schodów.

Aluise zaczęła szlochać i nagle krzyknęła przeciągle, usiłując wyrwać się wampirowi. Ten zatrzymał się w połowie schodów, odwrócił i spojrzał jej prosto w oczy. Aluise również od-powiedziała spojrzeniem. Jej płacz zmienił się w ciche pochlipywanie, które w chwilę później ucichło zupełnie. Cassiar rozejrzał się wokoło i odnalazł spojrzeniem Theorna.

Wskazał palcem na Jeźdźca.

— Nasyciłeś się i przez pewien czas nie będziesz odczuwał głodu. Możesz zająć się pilnowaniem drzwi. — Skrzywił się nieznacznie na widok skąpanej we krwi brody Jeźdźca. — Zapaskudziłeś się przy jedzeniu, co? Dobrze, załóż tylko hełm, a nikt tego nie zauważy. Jesteś członkiem milicji. Nie zapominaj o tym, a zdołasz uspić wszelkie podejrzenia w razie gdyby ktoś się pojawił.

Odnalazł spojrzenie świeżo upieczonego wampira i przez chwilę świdrował go wzrokiem.

— Nikt nie wchodzi. Nikt nie wychodzi.

— Nikt nie wchodzi. Nikt nie wychodzi — powtórzył posłusznie Theorn.

Cassiar odwrócił się w kierunku Erith i Marys.

— Mieście oko na Jandera, moje drogie. Ma trochę zbyt miękkie serce do sportu, któremu my oddajemy się z rozkoszą.

— Tak, panie — stwierdziła posłusznie Erith uśmiechając się pod nosem. Wilczyca Marys prychnęła. Cassiar znów ruszył schodami na górę. Jander śledził go wzrokiem, a jego oblicze wykrzywił grymas nienawiści.

Głos Rhynn wyrwał go z ponurych rozmyślań.

— To ci się nie uda. Jeżeli któryś z Jeźdźców zauważy, że nikt nie stoi na warcie przy bramie...

— Theorn odeśle ich, by szukali wiatru w polu — przerwał oschłym tonem Jander. — Wasi Jeźdźcy nie dowiedzą się, że tu jesteś aż do jutra, gdy natkną się na twoje zwłoki.

Skrzywiła się, słysząc brutalną nutę w jego głosie — ale Jander nie złagodził swych słów. Musiała uświadomić sobie prawdziwą grozę sytuacji i przyłączyć się do niego, jeżeli miał zrealizować swój plan.

— Posiądzie Aluise — na każdy możliwy sposób — a gdy skończy, porzuci ją. To nie potrwa długo. A potem wróci na dół, po czym wszyscy biesiadnicy zostaną wyrżnięci w pień, a oberża podpalona. My zaś uciekniemy jak ścigane boską klątwą istoty nocy — którymi notabene jesteśmy — i przeczekamy gdzieś w spokoju, aż cała sprawa ucichnie. A potem udamy się do kolejnego miasta i zrobimy to samo. Znowu i znowu.

— Przestań!

— Tylko jeśli mi w tym pomożesz.

— Proszę o wybaczenie — rozległ się drżący, nieśmiały głos. Jander spojrział w stronę człowieka, który je wypowiedział i ze zdumieniem stwierdził, iż był to młody kapłan. Albo jest odważniejszy, albo głupszy niż myślałem — pomyślał Jander.

— Czy możemy opatrzeć rannych? — zapytał kapłan. Na twarzy Jandera pojawił się wyraz współczucia.

— Ależ naturalnie, zajmijcie się rannymi — rzekł, nieznacznie unosząc głos.

Erith podsłuchiwała go i odsłaniając purpurowe wargi wyszczerzyła zęby.

— Cassiar ma rację. Jesteś mięczakiem, elfie.

Jander jęknął. Przez chwilę mierzyli się wzajemnie spojrzeniem, aż wreszcie cofnęła się o kilka kroków, spoglądając na swoją towarzyszkę i szukając w niej wsparcia. Marys wruszyła potężnymi wilczymi barkami. Nie wyglądała na przejętą. Erith zmarszczyła brwi, ale nie zaprotestowała. Po-wróciła wzrokiem do Jandera i ucięła kwaśnym tonem.

— Niech będzie po twojemu. Okaż swoją dobrą wolę i zajmij się trzodą. Niedługo Cassiar zejdzie na dół, ale nie zdradzę cię przed nim.

Jander zignorował ją.

— I oczyścić podłogę — zwrócił się do kapłana. — Ta woń... — przerwał i odwrócił się.

— Czyżby wampiry nie lubiły tego zapachu? — zapytała skonfundowana Rhynn.

— Bogowie, kobieto, czyś ty wzrok postradała? — zawołał w języku elfów. — Odkąd się spotkaliśmy, nie posmakowałem ludzkiej krwi! Głoduj przez miesiąc, a potem pozwól, by ktoś zamknął cię w piekarni. Może w ten sposób wyobrazisz sobie, aczkolwiek mgliście, jak ja się teraz czuję. Od prawie tygodnia jedynym moim posiłkiem był niewielki szczur!

Jego gniew osłabł i elf wampir pozwolił sobie nawet na mały żart.

— Pogg zdecydowanie zbyt dobrze sprząta w tej oberży!

— Nie posiłłeś się — rzekł kapłan w idealnym elfijskim. Oboje, Jander i Rhynn odwrócili się, by na niego spojrzeć. Jedynie kilku ludzi w Mistledale posługiwało się tym językiem.

— Pozwalasz nam zająć się rannymi, a nawet wydajesz się zmartwiony tym, co się tu dzieje. Nie jesteś taki jak tamci. Dlaczego?

Jander również odpowiedział w języku elfów, uśmiechając się przy tym promiennie.

— To oczywiste, że kleryk Pana Świtu musi znać mój język. A teraz ty mi odpowiedz, kapłanie, dlaczego nas nie zaatakowałeś?

Zielone oczy młodzieńca rozszerzyły się. W końcu odrzekł:

— Nie sądziłem, że tak bardzo rzucam się w oczy. Zwą mnie Frajen. Byłem bardem dłużej niż kapłanem, a obecnie sytuacja nie przedstawiała się dla mnie zbyt korzystnie. Czekałem, obserwując cię. Powiedz mi, co powstrzymuje cię przed czynieniem tego samego co twoi towarzysze?

— Jestem Jander Sunstar z Evermeet. Ja... Przerwało mu ostre syknięcie.

— Nie mów nic, czego nie mogę zrozumieć, elfie — ucięła Erith.

— Cassiar może mi rozkazywać, jeśli chodzi o czyny, nie o mój język. Jeżeli zechcę, będę posługiwał się moją ojczystą mową. Chyba że chcesz mnie zmusić, bym przestał.

Erith знаła granice odwagi i umilkła. Jander ponownie skupił swoją uwagę na Frajenie — jego głos złagodniał.

— Oddawałem cześć temu samemu bogu, co ty, kapłanie, i tak długo, jak pamiętam piękno poranka, z własnej woli, świadomie, nie poddam się złu. Jeżeli ty i Rhynn mi zaufacie, może zdołacie ocalić tej nocy życie.

Frajen bez wahania pokiwał głową. Rhynn wolno zrobiła to samo. Jander rozluźnił się.

— Potrzebuję czasu do namysłu. Frajenie, bądź ostrożny, trzymaj swój symbol starannie ukryty i nie używaj żadnych czarów. Nasz gatunek potrafi je wyczuwać. A, i każ Poggowi zmyć tę krew. Coraz trudniej jest mi się jej oprzeć.

Kapłan skinął głową i podszedł do oberżysty. Jander obserwował Pogga, który przyniósł wiadro wody i trzy ręczniki. Wraz z Trevysem zaczął zmywać kałuże posoki wsiąkającej z wolna w deski podłogi, podczas gdy Frajen i Rhynn zajęli się rannymi. Skaperowali również pozostałych gości, bardziej, by dać im jakieś zajęcie, niż z powodu efektywności, jaką obecnie przedstawiali sobą przerażeni biesiadnicy.

Jander spojrzął na Marys i Erith. Wiedział, że go obserwowały. Z początku miały zamiar śledzić każdy jego ruch, ale były młode i niedoświadczone, toteż praktycznie przestał zwracać na nie uwagę. Ponownie skupił swoją uwagę na Frajenie i jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy zobaczył, czym zajmował się kapłan.

Frajen ukląkł obok Pogga i Trevysa udając, że chce pomóc im w zmywaniu podłogi. Przypadkowemu obserwatorowi rzeczywiście mogło się wydawać, że to robił, jako że kapłan jedną dłoń opierał o drewniany cebrzyk z wodą, w drugiej zaś trzymał mokrą szmatę, którą zamasyżuje ścierał z podłogi ślady krwi.

Jander dostrzegł jednak, że kleryk miał wpół przymknięte oczy, a jego wargi poruszały się nieznacznie.

Konsekrował wodę.

Dlaczego nie wyczuwam magii? — zastanawiał się przez chwilę Jander i nagle uświadomił sobie, że konsekracja wody nie należała stricte do arkanów magii i była zaledwie świętym błogosławieństwem. Bardzo sprytnie, Frajen! — przyznał w duchu.

Spojrzenie elfa powędrowało ku Erith i Marys. Erith wyraźnie szukała jakiejś nowej rozrywki, a Marys, wciąż pod postacią wilczycy, leżała zwinięta w kłębek obok trupa maga, ale oczy miała stale otwarte i czujne. Niebawem obie zorientują się w poczynaniach kapłana. Jander potrzebował czegoś, co od-wróciłoby ich uwagę.

Sytuacja nigdy dotąd nie przedstawiała się lepiej — Jander miał po swojej stronie wytrawną wojowniczkę i kleryka, a cała trójka wampirów była nieumarłymi od niedawna. Jedynie Cassiar mógł być niebezpieczny... śmiertelnie niebezpieczny. Jander zdawał sobie sprawę, iż nie był jeszcze gotowy do tej konfrontacji, nie teraz, gdy był głodny i osłabiony.

Niemniej jednak, musiał spróbować.

— Dość tego. Nigdy więcej — powiedział cicho do siebie.

— Wystarczy. Aluise jest ostatnia.

Podszedł do ściany z drewnianymi kołkami i zrzucił wiszące na nich płaszcze. Ruch ten przyciągnął uwagę tak śmiertelników, jak i nieumarłych. Poczuli ich wzrok, ich napięcie, gdy zastanawiali się, co zamierzał uczynić ów dziwny złotoskóry wampir. Kołki do ubrań miały około dziewięciu cali długości — wystarczająco jak na potrzeby Jandera. Elf ułamał kilka z nich i obejrzał się przez ramię, by stwierdzić, jaka będzie reakcja wampirzyc.

Marys poderwała się na czworaki, a sierść na jej grzbiecie zjeżyła się. Zaczęła cicho powarkiwać. Oczy Erith zwięzły się.

— Strzeż się, elfie — rzuciła złowieszczo. Jander spojrzał ukradkiem na Frajena. Kapłan niemal niedostrzegalnie uniósł głowę. Elf wampir przeniósł wzrok na Rhynn i dostrzegł, że jej twarz stężała, zmieniając się w maskę lodowatego zrozumienia.

Jednym szybkim ruchem Jander rzucił dwa kołki — dla Rhynn i Frajena, trzeci zaś zostawił dla siebie. Erith równie błyskawicznie poderwała się, oderwana głowa spadła z jej podółka i z głuchym stukotem potoczyła się po podłodze.

Jander nie był już przyjaznym drapieźnikiem. Przekroczył granicę i od tej chwili stał się ofiarą.

— Zrób to, Trevys! — zawołał Frajen. Chłopiec podniósł się, chwycił cebrzyk i chlusnął różową od krwi, święconą wodą prosto w twarz Erith. Poświecony płyn zareagował jak kwas w zetknięciu z nieczystym ciałem wampirzycy. Jej twarz zaczęła się topić, spływając strugami niczym podgrzany płomieniem wosk. Krzyk Erith był piskliwy i ostry; wampirzyca rozpaczliwie szarpała długimi szponami przeraźliwie zniszczoną, buchającą dymem twarz. Gdy upadła na podłogę, nie była już olśniewającą piękną, lecz upiorem, rodem z najgorszego koszmaru.

Frajen zakrzyknął, używając imienia Lathandera i rzucił się na Erith. Raz po raz dźgał wijącą się pod nim nieumarłą w klatkę piersiową.

Próbowała go schwycić i na oślep smagała pazurami; jeden z nich rozorał mu policzek, ale kapłan mimo to nie spasował. W końcu zdołał wbić zabójcze ostrze drewnianego kołka dostatecznie głęboko, by przeszło na wylot serce wampirzycy.

Tymczasem Marys w niewiarygodnej zabójczej ciszy rzuciła się na Rhynn. Nawet Jander nie do końca zdawał sobie sprawę, jak szybko potrafiła poruszać się wilczyca, i już w chwili, gdy zaatakowała, wiedział, że nie zdoła dobiec do wojowniczkę na czas, by ją osłonić. Rozpaczliwym gestem cisnął drewniany sztylet w kierunku szarego kształtu Marys. Zaostrzony kołek wbił się w tylną nogę wampirzycy.

Marys w pół skoku wygięła się w łuk i zawyla czując pogrążające się w jej ciele drewniane ostrze, po czym ciężko opadła na Rhynn.

Wojowniczką runęła na ziemię, przygnieciona ciałem wilczycy. Gorący oddech omiół jej twarz, ale nim Marys zdążyła zacisnąć zabójcze szczęki na gardle wojowniczką, zjawił się przy nich Jander. Wbił złociste palce w gęste kudły na szyi wilczycy i silnym szarpnięciem odciągnął jej łeb do tyłu. W tej samej chwili Rhynn, która doszła już do siebie, pchnęła z całej siły ku górze zaostrzonym kołkiem i wbiła drzewce głęboko w szeroką pierś wilczostwora.

Ryk wściekłości wampirzycy zmienił się nagle w zduszony skowyt. Spomiędzy krawędzi kołka trysnęła krew. Rhynn nie rozluźniła uchwytu i pchała coraz głębiej, krzywiąc się, gdy w pewnej chwili kropla krwi Marys, piekąca żywym ogniem wpadła jej do oka. Mrugnęła powieką, aby ją usunąć. Wreszcie Marys przestała stawiać opór i opadła równie ciężko co bezwładnie na leżącą na ziemi, smukłą wojowniczkę. Jander odciągnął zwłoki wilczycy na bok.

— Nic ci nie jest? — zapytał wampir.

Rhynn, drżąca, zaczerpnęła głęboki oddech, po czym skinęła głową i pozwoliła, by Jander pomógł jej wstać. Frajen podszedł do nich powłócząc nogami. Od stóp do głów był zbryzgany posoką i ciężko dyszał.

— Janderze — wyszeptał kapłan — Pogg mówi, że w oberży jest drugie wyjście — przez piwnicę. Możemy iść?

— Naturalnie. Ale lepiej się pospieszcie. — Jander uniósł wzrok, spoglądając w stronę pokoju, gdzie Cassiar zabawiał się na swój sposób z barmanką. — Ja zajmę się trzecim. Ty tymczasem wyprowadź stąd wszystkich. Pierwszy powinien pójść chłopiec. Bądź ostrożny, Frajenie.

Kleryk uśmiechnął się pod nosem.

— Niech Lathander cię błogosławi, Janderze Sunstarze

— rzucił półgłosem, po czym przeszedł do kuchni i pomógł Poggowi i Trevysowi podnieść ciężką klapę wejścia do piwnicy.

— Ja też muszę iść — rzuciła oschle Rhynn. Była teraz sobą, czyli profesjonalną wojowniczką, a jej oblicze stało się zimne i bezlitosne. — Należę do Jeźdźców — mieszkańcy miasteczka mnie potrzebują.

Jander uśmiechnął się, ale w jego srebrzystych oczach malował się smutek.

— Oczywiście, Rhynn. Pospiesz się.

Skinęła głową — w jej błękitnych oczach nie pojawił się jednak nawet ślad cieplejszych emocji, po czym bez słowa podbiegła, by dołączyć do Frajena.

Złoty elf pomaszerował w kierunku drzwi, zatrzymując się po drodze, by ułamać kolejny kołek, po czym szybkim ruchem otworzył ciężkie, dębowe drzwi.

Theorn natychmiast odwrócił się ku niemu — w jego głosie brzmiał nie skrywany gniew.

— Nikt nie wchodzi...

— Nikt nie wychodzi — dokończył szybko Jander wbijając prowizoryczny oścień w grubą, skórzaną zbroję.

— Ja nie wychodzę.

Theorn wydał krótki, zduszony dźwięk. I nagle jego pierś uniosła się, a z ust dobyło się przeciągłe wołanie:

— Cassiarze!

Jego przedśmiertny okrzyk zlał się w jedno z donośnym dźwiękiem dzwonu i Jander zdał sobie sprawę, że był to ostrzegawczy dzwon Mistledeale. Pozostali Jeźdźcy zostaną zaalarmowani. Jander mógł mieć tylko nadzieję, że nim przybędą, dokończy rozpoczęte przez siebie krwawe dzieło. Elf odwrócił się na pięcie, podczas gdy ciało Theorna z głuchym stukotem osunęło się na drewnianą framugę drzwi.

Nagle przy szynku coś się poruszyło. Jander dostrzegł ów ruch kątem oka. Skoczył, obnażając zęby i sycząc.

— To ja — rozległ się uspokajający głos Frajena, gdy kapłan wyszedł z piwnicy i opuścił za sobą klapę. — Rhynn zajmie się miejscowymi. Ja zostaję. Możesz potrzebować pomocy.

— Nie! — zawołał Jander. — Nie wiesz, czym on jest. Nie wiesz, co może...

— Co się tam dzieje, na Dziewięć Piekieł! — rozległ się nagle wysoki, pełen zdenerwowania głos. Elf i kapłan unieśli wzrok, by zobaczyć wyraźnie rozwścieczonego Cassiara schodzącego spiesznie po schodach. Zdjął kamizelkę, a gdy biegł, poły jego rozpiętej koszuli zdawały się falować. Włosy miał w nieładzie. Gdyby nie krew, plamiąca jego nagą pierś, Cassiar bardziej przypominałby teraz libertyna niż wampira.

— Kto mnie wzywał? Jander, co się... na czarne Serce Bane'a! Gdzie się wszyscy podzieli?

— Odeszli, Cassiarze — rzekł Jander i nagle wybuchnął śmiechem. — Nie będziesz torturował ani ich, ani nikogo innego — nigdy więcej. Dzisiejszej nocy umrzesz, łajdaku. A to — uniósł do góry swoje złote dłonie — to narzędzia, które zadadzą ci śmierć.

Cassiar zmarszczył brwi.

— Przestań, Janderze. Źle postąpiłeś, pozwalając im odejść, i zostaniesz ukara... Co z nimi zrobiłeś? — wykrzyknął, zauważywszy zwłoki wampirzyc.

Jander nadal uśmiechał się złowieszczo, ukazując długie kły. Czuł narastające podniecenie, wzmagane zabójczą wściekłością i dojmującym głodem.

— Spoczywają w spokoju.

Cassiar pałając gniewem odwrócił się w stronę elfa wampira.

— Na kolana!

Był to rytuał, który już wcześniej odbywali. Za każdym razem, gdy Jander starał się popsuć szyki Cassiarowi, zmuszał go do okazania litości, żalu lub zwyczajnie mu się przeciwstawiał, władca wampirów przywoływał złotego elfa do okazania mu w ten sposób swego posłuszeństwa. Jander zaś, oplakując krwawymi łzami swą bezsilność, nie był w stanie jej zaradzić i musiał mu się podporządkować. Padał na kolana i odsłaniał szyję. Następnie Cassiar sycił się jego krwią, do chwili gdy stwierdził, że jego chwiejny niewolnik został należycie ukarany. Dla wampira wysysanie krwi przez innego nieumarłego jest procesem wyjątkowo bolesnym i Jander przez wiele kolejnych dni był potem słaby jak dziecko.

Jander skrzywił się, czując moc umysłu Cassiara, ale zdołał przetrzymać pierwszy atak.

— Kiedy żyłeś, byłeś zgniłym, aroganckim małym arystokratą, a teraz jesteś już tylko zgniłym, aroganckim, małym arystokratą. Nie zamierzam dłużej ci się podporządkowywać

— warknął, zagryzając zęby.

Twarz Cassiara spąsowiała z wściekłości. Jego smukłe brwi połączyły się ponad pałającymi, bezlitosnymi oczyma w pojedynczą wąską kreskę.

— Klękaj!

Jander nie mógł już dłużej zdzierżyć. Z przeciągłym jękiem bólu ukląkł na drewnianej podłodze. Mimo to wciąż jeszcze nie stracił nadziei. Cassiar był teraz wściekły, a gdy wpadał w gniew, stawał się nieostrożny.

— Pobłażalem ci, gdyż byłeś dla mnie czymś nowym — ciągnął władca wampirów, stając przed klęczącym Janderem — ale już nie jesteś.

Jander wbrew swojej woli wyciągnął rękę w kierunku jednego z prowizorycznych ościeni. Zgrzytnął zębami, starając się przewyciężyć moc mentalnego rozkazu, a jego smukłe, złote palce zamknęły się wokół kawałka drewna. Ręka Jandera wolno zbliżyła się ku jego piersi, koniec drewnianego ościenia mierzył prosto w serce złotego elfa.

— Twoje dłonie są narzędziami, które przyniosą śmierć tobie, a nie mnie — rzucił szyderczo Cassiar.

— Nie! — rozległ się zduszony okrzyk. Frajen wyciągnął rękę, w której trzymał święty symbol swego zakonu w stronę twarzy Cassiara.

— W imię Lathandera, Pana Świtu...

Cassiar był starym wampirem, zdecydowanie zbyt potężnym, by mogły go zniszczyć rozpaczliwe poczynania młodego, niedoświadczonego kapłana.

Wywrócił oczyma i mruknął przez zęby:

— Och, proszę...

Wyciągnął jedną bladą jak płótno rękę, by przyciągnąć kleryka do siebie. Drugą jednym zamaszystym ruchem rozplątał Frajenowi gardło.

Jander krzyknął przeciągle. Miodopłynny głos Frajena już nigdy nie wypełni oberży śpiewem. Kapłan stanął po jego stronie. Zrobił to z własnego wyboru. A teraz nie żył. Oczyma duszy elf ponownie dostrzegł wyraz obrzydzenia na twarzy Rhynn — tej, która jeszcze nie tak dawno nazwała go swoim przyjacielem — i rozszarpane zwłoki małej dziewczynki, która padła ofiarą Cassiara w wiejskiej chudobie za miastem. Przy-pomniał sobie dziewczęcy perlisy śmiech Aluise, której gardło wypełniała teraz jej własna krew. Zobaczył przerażonych, bez-radnych wieśniaków i muzyków. I to właśnie on sprowadził na nich zgubę — na nich i na dziesiątki innych, wspomagając Cassiara w jego krwawych wypadach.

Cassair zdekoncentrował się na chwilę, przenosząc uwagę ze złotego elfa na Frajena. Jander przez sekundę lub dwie dysponował własną wolą, ale nie wykorzystał tej okazji na podjęcie walki.

Miał tego wezwał pomoc — przywołał Indygo. Czarny kot niczym bezszelestny cień wyłonił się z ciemności i ogarnięty morderczym szałem jednym zwinnym susem rzucił się na Cassiara. Jego ostre, zakrzywione pazury mierzyły w kierunku brązowych oczu władcy wampirów i dosięgnąwszy celu, rozorały je.

Cassiar ryknął przeraźliwie, gdy strugi krwi trysnęły z jego zranionych oczu. Gwałtownym ruchem wyciągnął ręce, usiłując pochwycić kota. Indygo w dalszym ciągu atakował drapiąc i szarpiąc, dopóki Cassiar swoimi pazurami nie przeszył obu boków zwierzęcia. Kot wydał jeszcze jedno długie, spazmatyczne miauknięcie, targnął konwulsyjnie całym ciałem i skonał.

Oślepiiony Cassiar nie mógł już skupić swego zabójczego spojrzenia na Janderze, a tym samym jego władza nad zło-tym elfem znacznie osłabła. Jander rzucił się na swego pana. Dwa wampiry runęły na stół, rozrzucając na wszystkie strony kubki i kufle. Pomimo ślepoty Cassiar błyskawicznie do-szedł do siebie. -

Gdy Jander szeroko otworzył usta i pochylił głowę, by zagłębić kły w gardle władcy wampirów, Cassiar podźwignął się. Gwałtownym ruchem przetoczył się w bok, przyciskając drobniejszego elfa całym ciężarem do ziemi.

Elf wampir zdołał unieść jedną rękę, by osłonić szyję i krzyknął, gdy Cassiar zatopił kły głęboko w jego ciele. Ostre zęby wampira zetknęły się na przedramieniu Jandera, a Cassiar, targnąwszy gwałtownie głową do tyłu, wyrwał mu spory kawał mięsa.

Elf wypuścił trzymany w ręku kołek.

— Ty niewdzięczny łajdaku — warknął władca wampirów przez okrwawione zęby — jeden dzień odpoczynku i wyzdrowieję. A potem znajdę sobie innego elfa — kto wie, może nawet tę małą dziewczkę, którą sobie upodobałeś.

Nie Rhynn. Nie ja. Nigdy. Jander nie mógł pozwolić, by jeszcze jeden z ludzi został skalany przez Cassiara. Gniew dodał mu sił do ostatniego desperackiego ataku, ale Cassiar przyszpilił go do ziemi swoim ciężarem. Władca wampirów rechocząc otworzył usta, a jego kły przybliżyły się do szyi elfa.

Naraz Cassiar wyprężył się, obnażając ociekające szkarłatem kły. Odwrócił się gwałtownie, sięgając na osłep szponiastą dłońią w stronę swego barku.

Jander zauważył strzałę tkwiącą w plecach wampira, ale nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, kto okazał się jego niedoszłym wybawcą. Miast tego schwycił kołek i z całej siły wbił go w pierś Cassiara.

Pchana nienawiścią Jandera i jego wampiryczną mocą drewniana broń po prostu znikła w strudze czerwieni, jaka chlusnęła z klatki piersiowej władcy nieumarłych. Cassiar, aczkolwiek bez powodzenia, smagnął jeszcze pazurami, usiłując rozorać twarz Jandera, a potem opadł ciężko na ciało elfa. Jander zrzucił go z siebie, po czym uniósł wzrok, by sprawdzić, kim był jego nieoczekiwany sprzymierzeniec.

W gruncie rzeczy wcale się nie zdziwił, zobaczywszy przed sobą piękną młodą kobietę odzianą w czarną jak noc, skórzaną zbroję. Stała oparta plecami o zamknięte frontowe drzwi. Rhynn ścisnęła w ręku nie napięty łuk, ale nie próbowała odnaleźć jego wzroku. Patrzyła ponad ramieniem Jandera, a jej usta wykrzywiały grymas obrzydzenia. Elf po-dążył za jej spojrzeniem. Ciało Cassiara zaczęło się rozkładać z zadziwiająco szybkością. Dwoje elfów przyglądało się temu z przerażającą fascynacją. Zwłoki zgniły, po czym wyschły na wiór, a następnie same już tylko kości rozsypały się w proch.

Jander spojrział na Rhynn.

— A jeźdźcy?

— Na zewnątrz. Po śmierci Theorna ja nimi dowodzę. — Zawahała się, po czym dodała — nakazałam im czekać.

Jander był zakłopotany, ale nie podjął tego tematu. Słabym gestem skinął w stronę ostatniego prowizorycznego ościenia. Było ich w sumie pięć — pięć kołków dla pięciu wampirów.

— Skończ to.

Rhynn wolno pokręciła głową, nie odrywając wzroku od jego bladej twarzy.

— Dzisiejszej nocy ocaliłeś nam życie. Zasłużyłeś na jeszcze jedną szansę.

Roześmiał się ochryple.

— Po co? Co mi jeszcze pozostało?

— Evermeet.

— Nie kpjij ze mnie, Rhynn. Nie teraz.

— Nie kpię. Uwolniłeś się od niego, Janderze. Teraz możesz się udać, dokąd zechcesz — powiedziała z narastającym drżeniem w głosie.

Podeszła do niego, zawahała się przez moment, po czym pogładziła go po policzku.

— Może uda ci się znaleźć kogoś, kto cię uleczy. Uśmiechnął się pod nosem, ale w uśmiechu tym nie było ani krzty ciepła.

— Uleczyć wampira?

— Nie próbowałeś tego zrobić, więc nie wiesz. W każdym razie nie zasługujesz, by umrzeć tak jak tamci. Jesteś spragniony, więc będziesz tego potrzebował — dodała po chwili przerwy.

Rhynn wstała, podeszła niepewnie do drzwi i wróciła, niosąc cebrzyk, wypełniony do połowy ciemnoczerwonym, przypominającym wino płynem.

Jander pokręcił głową.

— Nie piję ludzkiej krwi.

— To nie jest ludzka krew. — Jej głos zadrżał. — To krew mojej klaczy.

Oczy elfa rozszerzyły się. Dopiero teraz dostrzegł jej podkrążone, zaczerwienione oczy i ślady łez na pokraśniałych policzkach.

— Należysz do Jeźdźców i...

— Kiedy wierzchowiec jest już stary, obowiązkiem Jeźdźcy jest go zabić. Czas Moonmaid był już bliski. Jeszcze dzień, dwa i musiałabym... — Zatrzymała wzrok na lśniących, srebrzystych oczach Jandera. — Weź to. Wyzdrowiej. Przemierz świat, a potem wróć do swego ojczystego Evermeet. Uczciwość to uczciwość, Janderze. Uratowałeś mi życie. Niechże będę mogła ci się odwdziaczyć.

Podala mu szaflik i uśmiechnęła się pod nosem.

— Tym razem to ja stawiam.

Elf wampir zawahał się. Jedyne elf był w stanie pojąć, jak wspomniał i drogim miejscem było Evermeet. Rhynn dostrzegając w nim elfa ukrytego pod maską potwora, zabiła swą ukochaną Moonmaid, by pomóc mu w zrzućciu ciężącego na nim jarzma.

Ale czy ktoś taki jak on mógł w ogóle mieć jakąkolwiek szansę?

Czy gdzieś tam daleko w jakiejś krainie istnieje mędrzec — mężczyzna bądź kobieta, wiedząca jak można uleczyć kogoś z wampiryzmu?

Jander usiadł powoli. Rhynn sięgnęła oburącz, aby go podtrzymać, kiedy ostrożnie wyciągnął rękę po leżący obok niego kubek.

— Który mamy rok? — zapytał nieoczekiwanie. Gdy Rhynn, słysząc jego dziwne pytanie, zmarszczyła brwi, wyjaśnił z uśmiechem — zapomniałem, rozumiesz. To trwa już od tak dawna...

— Wedle kalendarza w Daleś mamy obecnie rok osiemset dziewięćdziesiąty drugi — odparła uprzejmie Rhynn.

— Osiemset dziewięćdziesiąty drugi — powtórzył Jander. — Rok mojej wolności. — Skinął nieznacznie głową. — No, to strzeżniennego. Ostatni łyk.

To rzekłszy, przekłęty elf zanurzył kubek w cebrzyku, zasalutował swojej przyjaciółce i podniósł do ust wypełnione krwią naczynie.

DOBRY INTERES

Elaine Cunningham

Arilyn Moonblade spośród wszystkich rzeczy najbardziej nie znosiła, gdy ją śledzono.

— Ale skąd wiesz, że ktoś cię śledzi? — spytał towarzysz Arilyn, schludnie odziany szlachcic, ruszając wolno wzdłuż zatłoczonego nabrzeża Port Kir.

— Skoro w zasadzie niczego nie zauważyłaś, ani nie słyszałaś, jakim cudem możesz mieć pewność?

Arilyn z pełnym frustracji westchnieniem zczesła kosmyk czarnych, 'kręconych włosów za jedno ze swych spiczastych uszu. Jak miała wyjaśnić Danile Thannowi coś, co dla niej było kwestią zarówno sztuki, jak i instynktu? Po prostu WIEDZIAŁA. Śledzenie miało w sobie bezgłośny rytm, znany tylko najlepszym myśliwym, obieżyświatom i najemnym zabójcom — asysynom.

— Czarodziej potrafi wyczuć czary — powiedziała powoli, odganiając jakby od niechcenia natrętnego kupca, próbującego spryskać ją jaśminowymi perfumami.

— I wydaje mi się, że paladyn często wyczuwa czające się w pobliżu niebezpieczeństwo.

— Ach — w oczach Danila pojawiło się ciepłe zrozumienie, J gdy uważnie przyglądał się stojącej obok niego kobiecie półelfowi — przyjmuję, że ten „spokój” — z braku lepszego słowa, ma specyficzną aurę, tak?

Arilyn uśmiechnęła się bez odrobiny wesołości.

— Mniej więcej.

— Od jak dawna to trwa? Wzruszyła ramionami.

— Od Imnescar.

— Od... — Szlachcic urwał gwałtownie i syknął z rozdrażnieniem — Arilyn, moja droga, twierdzisz, że ktoś podąża naszym śladem przez dwa królestwa i nawet mi o tym nie wspomniałaś? Nie mogłaś choćby zasugerować tego w rozmowie?

— Pierwszy raz jesteśmy naprawdę sami — odparła Arilyn.

Danilo ostentacyjnie rozejrzał się wokoło, lustrując tętniące życiem targowisko. Za przystanią Morze Mieczy błyszczało srebrzyście w słabnącym świetle, a horyzont barwiły ostatnie smugi promieni zachodzącego słońca.

Większość kupców składała swoje jasne, jedwabne namioty i zwijała maty, na których mieli rozłożone naczynia, przedmioty rękodzielnicze i egzotyczne ingrediencje. Nadal było tu sporo ludzi, aczkolwiek ci wieczorni nabywcy mieli na uwadze towary nieco innego rodzaju.

— Powiadasz, że jesteśmy sami? Dziwne — zasepił się Danilo — często bywałem sam na sam z pięknymi kobietami i raczej nigdy nie było ani tak rojno, ani tak gwarno. W każdym razie na początku.

— Wiesz, o co mi chodzi — ucięła ostro. Przez wiele dni raczej rzadko miała okazję rozmawiać z Danilem na osobności. Wyruszyli w podróż wraz z karawaną kupiecką, wędrującą z pomocnego miasta handlowego Waterdeep, do jego odpowiednika na południu — Calimport. Kupcy byli jedynymi mile widzianymi gośćmi z północy w tych częściach Tethyru, a Danilo i Arilyn, wmieszawszy się w tłum handlarzy, pokonywali niezauważeni kolejne krainy południa. Dziś mieli rozpocząć swą prawdziwą misję.

Arilyn i Danilo zostali wysłani przez Harpersów — samozwańczych strażników wolności i sprawiedliwości w Faerunie, by zawieźć ostrzeżenie paszy, władcy Tethyru. Nie było to łatwym zadaniem, jako że pasza Balik nie chciał „zadawać się” z barbarzyńcami z Północy. Uparcie odmawiał przyjęcia posłańców czy pism Harpersów, zaś próby pozyskania przychylności kogoś z jego najbliższego kręgu okazały się równie bezowocne. Danilo otrzymał zadanie znalezienia bądź utworzenia „tylnej furtki” na dworze paszy. Misja Arilyn polegała na strzeżeniu życia młodego szlachcica.

Znając Danila, Arilyn wiedziała, że zadanie będzie trudne, nawet bez dodatkowych atrakcji w postaci śledzącego ich cienia.

Pomijając inne kłopoty, jakie on lub ona sobą przedstawiali, zaczęła żywić w stosunku do niego lub niej pewien respekt.

W gruncie rzeczy, śledzenie karawany kupieckiej wzdłuż głównego szlaku handlowego — północ-południe, nie było żadnym sprawdzeniem nabytych umiejętności. Co innego, jeśli chodzi o takie ukrywanie się, by nie zostać wykrytym. Żaden inny członek wyprawy nie zdawał sobie sprawy, że byli śledzeni, nawet towarzyszący jej potężny mag — Harpers.

Arilyn spojrzała z ukosa na Danila, który leniwie pogwizdywał jakąś niemelodyjną balladę. Raczej niewielu ludzi, którzy go znali, mogłoby domyślić się, iż ów młodzian był Harpersem, a do tego czarodziejem. Danilo Thann miał opinię dandysa, maga amatora, którego zaklęcia w komiczny sposób zawodzą, wymuskanego dyletanta, pozującego na barda. Jego arogancki uśmiech i ekstrawaganckie odzienie zdawały się świadczyć o bogactwie, ogólnym luzie i przywilejach. Prawdę powiedziawszy, było to wrażenie, które Danilo

kultywował z pełną premedytacją. Jego ametystową jedwabną bluzę zdobił rzucający się w oczy herb szlacheckiego rodu z Northland. Nogawki luźnych spodni miał wpuszczone za cholewy zgoła niepraktycznych, zamszowych kamaszy, zaś fałdziste rękawy jego jedwabnej bluzy zdobiły haftowane złotą i fioletową nicią runiczne symbole.

Odzienie szlachcica było luźne i lejące, by zatuszować jego smukłą, muskularną sylwetkę, podobnie jak błysk klejnotów na rękojeści jego miecza odrywał wzrok od ostrej i nieźle zużytej klingi. Dzięki swemu image'owi Danilo był nader efektywnym agentem Harpersów, ale właśnie tego Arilyn najbardziej w nim nie znosiła.

— Robi się późno — powiedziała nagle. — Znajdźmy jakieś ustronne i ciche miejsce, aby tam zaplanować nasz następny ruch. Nie zaszkodziłoby przy tym czegoś przekąsić.

Na te słowa oblicze szlachcica rozpromieniło się.

— Znam idealne miejsce. Lokalny koloryt i w ogóle.

— Wziął Arilyn za rękę i poprowadził przez labirynt uliczek do niskiego, drewnianego budynku, równie uroczego i gościnnego jak opuszczony magazyn.

— Lokalny koloryt — jak obiecałem — rzucił Danilo z entuzjazmem, otwierając szarmancko uchylne drzwi. Zdjął z głowy kapelusz z piórkiem i wcisnął go pod pachę, po czym przygładził włosy i spojrzał na Arilyn.

— Czyż tu nie jest uroczo?

Była to niewątpliwie oberża — przestronny, wielki szynk, który faktycznie mógł robić wrażenie. Ale wcale nie wyglądał uroczo. Może gdyby trochę tu zamieciono i przewietrzono, wrażenie byłoby nieco lepsze.

Wnętrze gospody zajmowała cała masa stolików stojących luźno, bądź przegrodzonych parawanami, z których większość była zajęta. Sądząc po smagłych twarzach i niebiesko-fioletowych szatach noszonych przez mieszkańców Tethyru, była to zwyczajnie lokalna mordownia.

Tłum gości składał się z mężczyzn w różnym wieku, należących do rozmaitych klas społecznych. Sami mężczyźni

— zauważyła Arilyn, aczkolwiek rząd drzwi wzdłuż pomocnej ściany szynku sugerował, że kobiety nie były zupełnie wykluczone z tego towarzystwa.

Danilo pchnął Arilyn, zmuszając ją, by weszła do środka. Goście siedzący przy drzwiach zmierzyli nowo przybyłych powłóczystymi spojrzeniami, stanowiącymi mieszankę zainteresowania i wrogości.

Jedynie trzech dobrze ubranych miejscowych przy stoliku opodał, zlustrowawszy Arilyn badawczo, zaczęło zawzięcie o czymś dyskutować.

— A, Lord Thann! — rozległ się nosowy głos. Arilyn odwróciła się, by spostrzec niskiego, grubego, odzianego w ciemne szaty mężczyznę, drepczącego w ich stronę z rozłożonymi szeroko, tłustymi ramionami.

Danilo powitał oberżystę po nazwisku, zapytał o zdrowie jego żony i dzieci, po czym zażądał swego tradycyjnego stolika. Mężczyzna zaprowadził ich do stolika w ciemnym kącie gospody — okazało się, że był już zajęty, więc w kilku ostrych słowach, posługując się lokalnym dialektem, wyprosił siedzących przy nim mniej ważnych gości. Z radosnym uśmiechem wytarł blat stołu rękawem szaty, obiecał wino, którym nie pogardziłby sam pasza Balik, po czym oddalił się.

— Czy jest gdzieś na świecie oberża, w której by cię nie znano? — spytała ostro Arilyn.

Danilo wydał wargi i zamyślił się. Zanim zdążył odpowiedzieć, do ich stolika podszedł odziany w niebieskie szaty mężczyzna.

— Jestem sługą Akima Nadira -- zwrócił się do Danila i skinął na trzech mężczyzn, którzy wcześniej przykuli uwagę Arilyn. — Mój pan pragnie kupić twoją kobietę.

Danilo uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu Arilyn.

— Pozwól mnie się tym zająć — powiedział. I zwracając się do służącego, zapytał:

— Ile oferuje twój pan?

— Dwadzieścia sztuk złota.

— Danilo, nie czas na głupawe...

— Skłonny byłbym się zgodzić — wtrącił Danilo. Sięgnął ręką nad stołem i poklepał po dłoni zaciśniętej na mieczu, jakby ją pocieszał. — Ale powiedziałbym, że jesteś warta wiele więcej.

— Puść mój nadgarstek i spław tego człowieka — rzuciła przez zaciśnięte zęby.

— I miałbym zaprzepaścić okazję podszlifowania moich umiejętności kupieckich?

— Dwadzieścia pięć? — zasugerował sługa. Danilo. posmutniały, pokręcił głową.

— Te oczy, które mogą zawstydzić pustynne niebo — rzucił pochlebny tonem.

— Trzydzieści sztuk złota. Nie więcej.

— Spójrz na nią — rzucił z naciskiem Danilo zgrabnie przesuwając się na krześle, by jego gołonie znalazły się poza zasięgiem obutych stóp Arylin.

— Widziałeś kiedy taką skórę? Toż to istny blask na powierzchni pereł! I sto sztuk złota byłoby za mało.

— Może pięćdziesiąt — ciągnął sługa. — Czy posiada jakieś szczególne talenta?

— No cóż, niegorzej włada mieczem — rzucił w zamyśleniu Danilo — ale wątpię, byś to właśnie miał teraz na myśli.

— Dość tego — Arilyn wyrwała rękę z uścisku Danila. Podnosząc się, przeszła służę wzrokiem. — Odejdź!

Mężczyzna zamrugał, skonfundowany. Nie zawołana kobieta w takim miejscu z całą pewnością musiała być na sprzedaż.

— Komu mam złożyć ofertę? — zapytał rozglądając po izbie.

Arilyn dobytek miecza.

— Temu.

Światło rozbłysło na starym, księżycowym ostrzu, zagłębiając się w wyrytych na całej długości klingi elficznych runach

Czarne oczy mężczyzny rozszerzyły się i cofnął się tak gwałtownie, że potknął się o skraj własnej szaty i rymnął jak długi. Arilyn wsunęła miecz do pochwy i ponownie usiadła zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Danilo pokręcił głową.

— Przydałoby się trochę doszlifować twoją technikę handlowania.

— Nie przyszło ci do głowy, że on może mówić serio? - zapytała, wskazując palcem oddalającego się służę. — Powiedzenie mówi: „Kupca spotkać, to znaczy ubić interes”. Co byś zrobił, gdyby przystał na twoją cenę?

— Poprosiłbym go, aby dorzucił jeszcze ze dwa wielbłądy.

— Wiel... — Arilyn urwała i pochyliła głowę. — W porządku, rozumiem, ale dlaczego wielbłądy?

— Dla mojej matki, ma się rozumieć. Niezlomna lady Cassandra prosiła mnie, bym sprowadził coś ciekawego do jej stajen — odparł spokojnie Danilo.

Arilyn tłumila w sobie śmiech, ale gdy wyobraziła sobie elegancką waterdhaviańską szlachciankę na grzbiecie wielbłąda po prostu nie wytrzymała.

— Naprawdę powinnaś częściej się śmiać. Z uśmiechem ci do twarzy. Och, dziękuję — rzekł Danilo, gdy przy ich stoliku pojawił się oberżysta, niosący dwa spore kubki.

Szlachcic upił łyk wina i przesadnie wyraził swój zachwyt nad jakością trunku.

— Winogrona z moich własnych winnic — rzekł skromnie oberżysta. — To zaszczyt, że wino przypadło wam do gustu.

— Jesteśmy zachwyceni — rzekł Danilo. — Jak wiesz, moja rodzina zajmuje się handlem przednimi winami. Może gdybyśmy przyłączyli się do twojej gildii, moglibyśmy rozślawić twoje wino i twe imię na Północy.

Uśmiech oberżysty momentalnie przygasł.

— Bardzo bym tego pragnął, lordzie Thann, ale wątpię, by to było możliwe. Proszę o wybaczenie. — Skłonił pospiesznie głowę i oddalił się.

— Co się stało? — szepnęła zaniepokojona Arilyn. Danilo wyłowił ze swego wina kawałek korka.

— Być może zauważyłaś, że to miejsce nie należy do moich ulubionych lokali. Niemniej jednak, właśnie tu spotykają się przedstawiciele gildii. Nie widziałaś szyldu oberży? „Sztylet Gildensterna”. Gildia — Gildenstern, kiepska gierka słowna, ale cóż...

— No dobrze. I co z tego?

— Gildie kontrolują każdą gałąź handlu w Tethyrze, dzięki czemu są one raczej wpływowo. Jeżeli pasza Balik odmawia udzielenia audiencji Harpersom, może zechce wysłuchać reprezentanta jednej z lokalnych gildii. — Danilo upił kolejny łyk wina. — To znaczy mnie.

Arilyn zachłysnęła się winem i z gwałtownym stuknięciem odstawiła kubek.

— Danilo, gildie spiskują, by obalić paszę Balika. Jesteśmy tu, by go ostrzec, a nie przyłączyć do strony przeciwnej.

— Członkostwo gildii da mi dostęp do dworu paszy — odparował Danilo. — Poza tym jako członek gildii mógłbym zdobyć dowody, które zmuszą Balika, by nas wysłuchał.

Plan nie był zły, ale Arilyn nie miała dobrego nastroju.

— Do jakiej gildii chcesz się przyłączyć? Stręczycieli? — spytała kwaśnym tonem.

— Niezła myśl — odparował Danilo z uśmiechem. — Daj spokój, Arilyn. Nie mów mi, że jesteś na mnie zła za ten nieszkodliwy, mały handelek. Chodzi ci o to, że jak na początek, zaproponowałem za ciebie zbyt niską cenę?

— Nielatwo jest tu dostać się do gildii — powiedziała ignorując jego słowa. — Członkostwo przechodzi z ojca na syna, lub jest uzyskiwane dzięki długotrwałej nauce. Przypuszczam, że mógłbyś się także wkupić, ale domyślam się, iż na tych ludziach większe wrażenie zrobiłaby sprytnie przeprowadzona transakcja niż stos klejnotów i złotych monet. Masz jakiś plan?

— Jeszcze nie — przyznał Danilo — ale chyba coś wymyślę.

— Jeszcze jedno — Arilyn pochyliła się bliżej i wyszeptala pospiesznie — gdyby gildie dowiedziały się, że jesteś Harpersem, domyśliłyby się, że przybyłeś tu, by ingerować w związek z...

— Słuszne przypuszczenie — wtrącił.

— W tej sytuacji mógłbyś od razu pożegnać się z życiem. Lepiej trzymaj się od nich z daleka.

— W Waterdeep próbowano niegdyś wprowadzić rządy gildii — przypomniał jej Danilo, głosem nagle pełnym powagi. — Skończyło się to, łagodnie mówiąc, katastrofą. Pasza Balik ma z pewnością swoje wady, ale jest najpotężniejszym władcą w Tethyrze i najlepszą ostoją przeciwko politycznemu chaosowi w tym rejonie. Nawet gdybym musiał przeniknąć wszystkie gildie, by otrzymać posłuchanie u paszy, zrobię to.

Arilyn, aczkolwiek z pewnym wahaniem, poparła plan Danila, choć w myślach rozważała nader ponurą ewentualność. Może sprzymierzeńcy gildii, pragnący obalenia Balika — w tym również potężna Gildia Asasynów — zdołali już ich zdemaskować.

To wyjaśniałoby sprawę tajemniczego prześladowcy i jego biegłość w technikach śledzenia; południowi asasyni byli bezlitosnymi zabójcami szkolonymi w sekretnej placówce znanej jako Szkoła Skrytości. Oznaczało to również, iż „Sztylet Gildensterna” był najniebezpieczniejszym miejscem, do którego mogliby zawitać na kieliszek wina.

— Wyjdźmy już stąd — mruknęła i szybko podzieliła się z nim swymi obawami.

Szlachcic milczał przez chwilę, po czym sięgnął ponad stołem i wziął jej dłonie w swoje.

— Arilyn, nie zostaliśmy zdemaskowani jako Harpersi. Jeśli ktoś faktycznie cię śledzi, to bez wątpienia ze względu na twoją niesławną reputację jako...

— Wiem, o co chodzi — przerwała cicho. Pomimo iż od lat pracowała dla Harpersów, dopiero niedawno weszła w ich szeregi i mało kto mógł o tym wiedzieć. Była znana jako wprawnie władający mieczem najemnik i zabójca. Zważywszy na polityczne niepokoje w tym regionie, nagłe pojawienie się znanego zabójcy mogło niejednego przyprawić o ból głowy. Każdy z zagrożonych władców mógł chcieć mieć ją na oku. Danilo szybkim, zdecydowanym ruchem uścisnął jej dłonie, po czym skinął w stronę wejścia.

— Jak sądzisz, kim jest ten człowiek?

Wdzięczna za zmianę tematu, Arilyn spojrzała w kierunku drzwi, by spostrzec, jak oberżysta chyli głowę w głębokim ukłonie.

Powitany tym gestem samotny młodzian nosił ciemnofioletową szatę, którą z uwagi na nocny chłód mocno się opatulił. Światło odbiło się jasnym błyskiem od złotego pierścienia na jego wyciągniętym ręku.

— Nie mam pojęcia. Czy to ważne? — spytała.

— Może być. Spójrz, gdzie go prowadzi oberżysta.

Arilyn patrzyła, jak nowo przybyły został zaprowadzony do najwspanialszej kabiny odgradzonej od reszty szynku grubą zasłoną. Zanim oberżysta zaciągnął za nim kotarę w ostrym, krzykliwym kolorze, Arilyn zdążyła przyjrzeć się twarzy przybysza.

Był zaledwie gołowąsem, liczącym zapewne nie więcej niż czternaście, piętnaście lat i odpowiedział na spojrzenie Arilyn z przenikliwością, zadziwiającą jak na młodzieńca w jego wieku.

— Znow się zaczyna — zauważył spokojnie Danilo. Arilyn podążyła za jego spojrzeniem i natychmiast zapomniała o młodziku. Do ich stolika zbliżał się brodaty człowiek-góra. Jego gęsty, czarny wąs zjeżył się w wyzywającym grymasie.

— A więc chcesz kupczyć swoim mieczem, co? — rzucił ironicznie. Wyjął swój scimitar — szeroki miecz był wzdłuż górnej krawędzi ząbkowany, uśmiechnął się kpiąco do Arilyn. — No, to dobijmy targu, kobieto z elfów.

— Znasz reguły, Farig! — rzucił ostro oberżysta podchodząc do stolika. Zamachał rękoma w stronę osiłka, jakby odganiał kurczaki. — Na zewnątrz, na zewnątrz.

Kiedy Arilyn wstała od stołu, wyszeptała do Danila:

— Tak lubisz się targować? Chcesz spróbować i tym razem? Danilo rozpromienił się.

— Gdy w grę wchodzi dyskusja słowna, owszem. Ale gdy trzeba przemówić komuś mieczem do rozumu, ty nie masz sobie równych. — Szlachcic zdjął z palca ogromny złoty pierścień z ametystem i uniósł go w rękę. — Idę o zakład, że kobieta-elf zwycięży — rzekł głośno.

Rozległ się głośny śmiech i niebawem wokół stolika zrobiło się tłoczno — goście kłócili się między sobą i obstawiali zakłady.

Arilyn stłumiła śmiech cisnący się jej na usta, wychodząc za potężnym, knajpianym osiłkiem na ulicę. Wiedziała, co postawiła druga strona przeciwko sygnetowi Danila i jej umiejętnościom fechtunku — pełne członkostwo gildii.

Oberża „Sztylet Gildensterna” opustoszała, gdy wszyscy jej bywalcy wyszli po kolei na zewnątrz, by obejrzeć pojedynek. Arilyn zauważyła, że wśród tłumu był również ów dziwny młodzieniec o przenikliwym spojrzeniu. Wydawał się zakłopotany i dziwnie rozczarowany.

Jednak w chwili obecnej jej uwagi domagały się inne sprawy, toteż nie zwlekając odwróciła się w stronę swego przeciwnika. Dobywszy miecza, stanęła w pozycji obronnej. Jeżeli to możliwe, postara się zranić jedynie dumę tego człowieka.

Olbrzym zrzucił bluzę, obnażając swe masywne ramiona i gruby tors, który poniżej klatki piersiowej zrobił się raczej miękki.

— Jakiej ceny domaga się twój miecz? — zapytał, najwidoczniej świetnie się bawiąc.
— Mam mu pozwolić przelać pierwszą krew?

Słyszając jego żarty, tłum zarechotał chrapliwie.

— Zaproponuj mieczowi nową pochwę i skończ to, Farig! — zawołał jakiś mężczyzna. — Po co męczyć tego elfa pojedynkiem?

Ponownie rozległ się rubaszny uśmiech, który jednak ucichł z chwilą, gdy miecze walczących skrzyżowały się po raz pierwszy. Przez kilka chwil Arilyn jedynie parowała ciosy, dając Danilowi szansę podwyższenia stawek przyjmowanych przezeń zakładów.

Strategia ta okazała się słuszna — niebawem na ciemnej skórze mężczyzny zaperlił się pot, a jego oddech stał się przyspieszony i ciężki. Gdy ironiczny uśmieszek do reszty znikł z jego warg, zebrany wokoło tłum zaczął szemrać.

Zapominając o grze Farig wkładał teraz w każde uderzenie scimitara całą swoją siłę. Żądza krwi malująca się w jego oczach świadczyła, że Arilyn nie była już nagrodą do wygrania, lecz śmiertelnym wrogiem, który musi umrzeć. Z przeraźliwym okrzykiem południowiec rąbnął na odlew, uderzając Arilyn płazą miecza w przedramiona. Ból spowodowany siłą uderzenia przeszył ją na wskroś i wytrącił miecz z odrętwiałych dłoni. Farig ponownie krzyknął, tym razem triumfalnie, unosząc scimitar, by zadać ostatnie cięcie.

Zręcznie odtoczyła się w bok, unikając śmiercionośnego ostrza. Dobywszy ukryty w bucie nóż, dźgnęła z całej siły ku górze. Ostrze prześlizgnęło się gładko między żebrami i odnalazło serce. Arilyn bardziej poczuła niż usłyszała słaby metaliczny zgrzyt, gdy jej nóż napotkał inne ostrze. Z zakłopotaniem zmarszczyła brwi i wyszarpnęła swoją broń. Wielkolud runął twarzą na bruk.

Kątem oka Arilyn dostrzegła, że Danilo stał się centrum rozkrzyczanego, gestykulującego tłumu. Nie zauważona przez bywalców tawerny przestąpiła nad ciałem Fariga. Tak jak podejrzewała, był tam drugi nóż, wbity między trzecim a czwartym żebrzem. Wyjęła go i jej oczy rozszerzyły się. Na rękojeści widniał ornament w kształcie calishickich runów. Arilyn widziała już wcześniej ów symbol. Był to zaszczytny znak, wryty na broni, którą posługiwali się asasyni ze Szkoły Skrytości.

Gdy odwróciła broń, dostrzegła wiele małych wcięć w rękojeści — każde z nich, jak wiedziała, oznaczało ludzkie życie, odebrane przez właściciela noża.

Arilyn wsunęła broń do buta i pospiesznie przebiegła wzrokiem pobliskie ciemne uliczki. Pomimo iż nie dostrzegła nigdzie swego sekretnego „wybawiciela”, czuła, że był niedaleko. Zdecydowana go dopaść, Arilyn szybkim krokiem podeszła do Danila i schwyciła go za rękę.

— Idziemy.

— Jeszcze nie teraz — odburknął. — Właśnie targuję się o członkostwo w gildii. Może gdybym miał trochę więcej czasu, mógłbym wyhandlować ze dwa wielbłądy dla lady Cassandry.

— Natychmiast — rzuciła ostro i pociągnęła go z całej siły.

Leniwy uśmiezek ani na chwilę nie opuścił kącików jego ust, gdy Thann pokręcił głową i uwolnił swoją rękę z jej uścisku. Następnie ujmując jej dłoń oburącz, ucałował ją i delikatnie na krótką chwilę dotknął nią swej piersi na wysokości serca. Ów szarmancki gest miał jeden zasadniczy cel — przez materiał bluzy dandysa Arilyn poczuła kształt szpilki Harpersów.

— Pamiętaj, po co tu jesteśmy — mruknął półgłosem.

Zanim Danilo został zaprzysiężonym członkiem Gildii Handlarzy Wina z Tethyru i postawił swym druhom po fachu kilka kolejek, Arilyn do reszty porzuciła myśl o wyruszeniu w pościg za tajemniczym człowiekiem, który najpierw ją śledził, a później próbował ocalić jej życie. Nie miała możliwości opowiedzieć magowi o tym wszystkim, dopóki ostatni gość oberży chwiejnym krokiem nie oddalił się w mrok nocy.

Danilo przyznał, że powinni spróbować pojmać ich prześladowcę, możliwie jak najdyskretniej, aby nie zdradzić głównego celu swej misji. Najlepszym na to sposobem, zakładając, że wyszkolony tropiciel nadal będzie podążał szlakiem Arilyn, było odciągnięcie go od zatłoczonego, gwarnego Port Kir.

Pospiesznie wrócili do obozowiska, które ich karawana rozbiła na obrzeżach miasta. Przeprosiwszy przywódcę karawany, odebrali swe wierzchowce i ruszyli przez knieje Puszczy Tethyr na południe.

Noc była ciemna, a błądy sierp księżycy w niewielkim tylko stopniu rozpraszał półmrok panujący na leśnym trakcie. Pomimo iż droga była dostatecznie szeroka, by mogły nią przejeżdżać kupieckie wozy, grube gałęzie sąsiadujących ze sobą drzew łączyły się wysoko w górze, tworząc gęsty, zielony baldachim. Trakt po obu stronach zarośnięty był kępami winorośli i gęstych krzewów.

Karawany kupieckie odważały się przemierzać knieje Puszczy Tethyr jedynie za dnia, z obawy przed dzikimi bestiami i bandytami, którzy przemierzali leśne ostępy po zmierzchu.

Zdawali sobie z tego sprawę, jechali więc w milczeniu i rozglądali się czujnie wokoło w poszukiwaniu najmniejszych nawet oznak zagrożenia.

Zbliżał się świt, gdy Arilyn dostrzegła nagle swego prześladowcę. Czując się bezpieczny za zasłoną liści, podszedł dostatecznie blisko, by mogła mu się przyjrzeć.

Ścisłej mówiąc, nocny wzrok półelfa wykrył jedynie ciepłość ciała prześladowcy. Dzięki skomplikowanym wzorcom kolorowego światła emanowanego przez konia i jeźdźca, Arilyn zdołała określić, że asasyn był smukły i gibki, i nosił się z dumą. Jego wierzchowiec, sądząc po wyglądzie amnianin — zdawał się podzielać wyniosłość swego pana, sunąc na owiniętych grubymi szmatami nogach przez spowity w głębokim półmroku las. Wzrok Arilyn ujawnił również inne szczegóły: grubość odzienia mężczyzny, długość jego włosów. Nawet mały nóż ściskany dłonią asasyna jarzył się w rękojeści przejętym ciepłem, zaś w pobliżu ostrza przybierał chłodniejszą barwę jaśniejszego odcienia błękitu.

Nóż wprawił ją w zakłopotanie. Dlaczego ów człowiek miałby starać się uratować jej życie w oberży, by teraz próbować ją zaatakować? Postanowiwszy pojmać nieuchwytnego prześladowcę i uzyskać od niego odpowiedzi na dręczące ją pytania, sięgnęła do juków i wyjęła mały nóż do rzucania, z przymocowanym do rękojeści zwojem niemożliwej do rozerwania linki z pajęczej nici. Na końcu linki znajdowała się mała pętla; opasała nią łąk siodła. Jedno szarpnięcie i pętla zadzierzgnęła się wokół łąku.

Dzierżąc w dłoni nóż „na uwięzi”, Arilyn wyjęła z juków mały, okrągły metalowy dysk wielkości dłoni. Nałożywszy niewielką tarczę na lewą rękę, zważyła mały nóż do rzucania na dłoni, by przypomnieć swym mięśniom jego ciężar i wyważenie. Jej ruchy były tak zdawkowe i niezauważalne, że Danilo nawet nie zorientował się, że cokolwiek robiła.

Arilyn kątem oka dostrzegła, że jej prześladowca ześlizgnął się z konia. Nisko pochylony, przemykał bezszelestnie w jej stronę przez gęste, skapane w mroku nocy krzewy.

Kiedy od ścieżki dzielił go jedynie wąski pas listowia, wyprostował się i przygotował nóż do rzutu. Arilyn również sprężyła się, oczekując ataku.

Asasyn chybił. Nóż szerokim, zbyt szerokim torem pomknął w stronę boku wierzchowca Danila. Arilyn gwałtownie wyrzuciła lewą rękę i nóż odbił się nieszkodliwie od niewielkiej tarczy, jaką miała przypiętą do dłoni.

W tej samej chwili cisnęła własnym ostrzem. Ze świstem pomknęło ku swemu celowi rozciągając za sobą cienką linkę. Czujne uszy półelfa wychwyciły jedwabisty szept rozwijanego sznura, szelest liści rozcinanych przez pocisk, a potem zapadła cisza.

— No, wiesz! Co się dzie...!

Gwałtowny wybuch Danila został przerwany widokiem wściekłości malującej się na twarzy jego towarzyszkii. Arilyn dała szlachcicowi znak, by pozostał na miejscu, po czym zeskoczyła z konia.

Była pewna, że jej nóż dosięgną} celu, niemniej jednak jej ofiara nawet nie krzyknęła. Zważywszy na rodzaj użytej przez nią broni, było to doprawdy bardzo dziwne.

Nóż był wykonany tak przemyślnie, że w chwili trafienia w cel ostrze rozszczerpiało się na cztery zakrzywione haki.

Powstająca w ten sposób rana była płytka, ale bolesna i wyglądała wyjątkowo paskudnie. Jako iż wyjecie go było prawie niemożliwe, nóż był efektywnym sposobem na zatrzymanie i pochwycenie kogoś z niewielkiej odległości.

Arilyn bezszelestnie rozsunęła krzewy winorośli i spojrzała na swego napastnika. Stał na niewielkiej polanie, odwrócony do niej plecami. Widziała jego profil, gdy szarpał ostrze wbite w biodro. Z usytuowania rany domyśliła się, dlaczego jego rzut okazał się niecelny — musiał wykonać zbyt szeroki obrót, kiedy się zamachiwał. Powinien się tego nauczyć, jeżeli zamierza kiedykolwiek w coś trafić.

Arilyn przyglądała się, jak asasyn rezygnuje z dalszych prób wyjęcia haczykowatego ostrza. Dobywszy krótkiego myśliwskiego noża, zaczął zaciekle ciąć przymocowany do ostrza sznur z pajęczej nici.

Uniosła wzrok w stronę jego twarzy i drgnęła zaskoczona. Jej jeńcem był młodzieniec, którego widziała wcześniej w oberży.

Miał głębokie, czarne oczy, krogulczy nos i smagłą cerę typową dla mieszkańców sąsiedniego Calimshanu. Od opuszczenia „Sztyletu Gildensterna” zdążył się już przebrać. Teraz miał na sobie luźne, jedwabne odzienie w ciemnym, nieokreślonym kolorze, które kojarzyło się jej z jakimś uniformem. Jeżeli młody asasyn był uczniem Szkoły Skrytości, jego umiejętności podkradania się i wytrzymałość na ból dawały doskonałe świadectwo jego mistrzom. Mimo to przydałoby się, żeby jeszcze trochę potrenował rzucanie.

Arilyn wyszła bezszelestnie na małą polankę. Stanąwszy za plecami młodzieńca, poklepała go lekko po ramieniu. Zaskoczony, odwrócił się gwałtownie, upuszczając nóż. Zręcznym kopnięciem posłała broń w pobliskie krzaki. Na twarzy młodzieńca przez chwilę widniał grymas zdumienia, ale zaraz ponownie zmieniła się ona w nieruchomą, pozbawioną uczuć maskę.

— Jak cię zwą? — spytała spokojnie Arilyn. Jej pytanie zupełnie zbiło chłopaka z tropu.

— Hasheth — odparł bez zastanowienia. Spoglądał na nią z mieszaniną młodzieńczej brawury i wściekłej dumy. Wygląda na to, pomyślała, że schwytałam w pułapkę młodego jastrzębia.

— Trzeba wyjąć to ostrze — powiedziała. Nawet w słabym świetle księżyca widziała, że Hasheth robi się coraz bledszy. Uśmiech współczucia wykrzywił kąciki jej ust.

— Nie jest tak źle, jak ci się zdaje. Ukryty mechanizm w rękojeści zwalnia haki, a gdy się je wyjmuje, ponownie składają się w pojedyncze ostrze. Boli tyle co przy zwykłej, płytkiej ranie. — Przerwała i uniosła brew. — W Szkole Skrytości uczą cię wytrzymywać ból?

— Oczywiście — odparł zuchwale. A więc miała rację co do chłopaka, stwierdziła w myślach Arilyn. Był uczniem szkoły Asasynów. Zrobiła krok do przodu.

— Będziesz musiał się odwrócić — zasugerowała. Chłopak cofnął się.

— Żaden mężczyzna nie odwraca się plecami do wroga — oświadczył.

— Doprawdy — Arilyn splotła ręce na piersiach. — A więc lepiej przygotuj się na powrót do Szkoły Skrytości na piechotę. Nie uda ci się wsiąść na konia z nożem wbitym w...

— Dość! — Młodzieniec uciszył ją władcym gestem. Duma i ból walczyły o prymat na jego mrocznym obliczu. W końcu odwrócił się tak, by nie zobaczyła jego oczu. — Szybko

— rzucił przez zaciśnięte zęby — nie mam zamiaru stracić tu całej nocy.

— A co... masz jeszcze na dziś zaplanowanych parę skrytobójczych zamachów? — zapytał pogodnym tonem Danilo, wjeżdżając na polanę.

— Nie kazałam ci tam zaczekać? — spytała Arilyn.

— Przepraszam — odparł bynajmniej nie skruszony Danilo — umierałem z ciekawości. Rzućmy no okiem na tego twojego niedoszłego zabójcę...

Szlachcic wyjął z sakwy u pasa krzemień i wyszeptał pod nosem słowa starego zaklęcia. Błysnęło i pośrodku polany pojawiło się niewielkie ognisko.

— Ho, ho, to musi boleć — mruknął Danilo, widząc paskudną ranę na ciele chłopaka. Czarne oczy młodzieńca zlustrowały jedwabne odzienie szlachcica i dostrzegły wyraz konsternacji na jego twarzy. Chłopak prychnął i odwrócił się, uznawszy Danila za niegodnego uwagi czy choćby słowa komentarza.

— Nóż? — przypomniał, zwracając się do Arilyn.

Wybrała cienki sztyft z niewielkiej sakwy na narzędzia, zawieszonyj przy pasie. Włożyła jego koniec do sekretnej otworu w wymyślnej rękojeści noża. Gdy jej czujne uszy wychwyciły słaby szczęk, wyjęła ostrze. W odpowiedzi chłopak tylko wciągnął gwałtownie powietrze.

Danilo wykonał znacznie przesadzony gest współczucia, po czym wyjął ze skórzanej torby buteleczkę i podał ją młodzieńcowi.

— Wywar uzdrawiający — wyjaśnił w odpowiedzi na podejrzliwe łypnięcie Hashetha.

— Nie zamierzam korzystać z waszej barbarzyńskiej magii — rzucił pogardliwie niedoszły zabójca.

— Zazwyczaj uważam, że to dobrze o kimś świadczy — stwierdziła Arilyn. Zmierzyła go wzrokiem i rozkazała, by wypił. Raz jeszcze łypnąwszy spode łba na Danila, młody asasyn wykonał polecenie. Krwawienie zmniejszyło się, a jego twarz zaczęła odzyskiwać kolory. Arilyn złożyła ręce na piersiach.

— Śledziłeś mnie od Imnescar. Dlaczego?

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł beznamiętnie. Wyjęła z buta nóż asasyna i uniosła w dłoni.

— A może zechciałbyś wyjaśnić mi, dlaczego zabiłeś tego osiłka w oberży?

— To czysty nonsens — rzucił pogardliwie Hasheth. — To nóż, którym rzuciłem w ciebie przed chwilą.

— Nie. To nie ten sam nóż — rzekł Danilo wyjmując identyczny nóż z sakwy przy pasie. — Twój podniosłem z ziemi, zanim wjechałem na tę polanę. A propos, czy zdajesz sobie sprawę, jak niewiele brakowało, byś zadrasnął mego wierzchowca?

Arilyn wzięła nóż od maga i porównała je. Na obu rękojeściach widniały znaki Szkoły Skrytości, niemniej broń różniła się nieznacznie pod względem wagi i wyważenia.

Odwróciła je. Rękojeść tego, który pozbawił życia osiłka z tawerny, była pokryta tuzinami małych nacięć, podczas gdy nóż należący do Hashetha był nieskazitelnie gładki.

Jeśli wierzyć historii opowiedanej przez rękojeść, młody asasyn nigdy dotąd nikogo nie zabił.

Podniosła wzrok na Danila.

— Jest dwóch asasynów — rzuciła półgłosem.

— Cudownie — stwierdził cierpko szlachcic — podróżuję w towarzystwie najpopularniejszej kobiety w Tethyrze.

Zignorowała jego uszczypliwą uwagę i zwróciła się do Hashetha:

— Gdzie jest twój współnik?

— Nie mam współnika — odparł. — Jeżeli nawet spotkałaś dziś wieczorem innego asasyna, to cóż z tego? Oni często kręcą się w pobliżu tawern.

— Ale takich noży nie spotyka się często — upierała się Arilyn. — Ktoś ze Szkoły Skrytości chciał, abym tam, przy oberży pozostała przy życiu. Dlaczego?

— Tego nie mogę ci powiedzieć, niemniej jestem mu bardzo wdzięczny — odparł otwarcie Hasheth. — Gdybyś zginęła z rąk tego pijanego kretyna, szansa zdobycia piaskowego pasa przeszłaby mi koło nosa.

Arilyn i Danilo wymienili zdumione spojrzenia.

— To czysty nonsens — rzuciła Arilyn, w nadziei, że w ten sposób zdoła wyciągnąć od chłopaka więcej informacji.

Oczy Hashetha rozbłysły — połknął rzuconą mu przynętę.

— Ignorancy barbarzyńcy! Nie wiem, jak asasyni z północy określają swoją hierarchię ważności, ale tutaj każdy poziom umiejętności określa się pasem innego koloru. Aby awansować, musisz wysledzić i zabić asasyna z wyższego szczebla. Wówczas jego ranga staje się twoją. Naturalnie, ty byłaś moim celem.

Jedynie Danilo dostrzegł wyraz bezgranicznego zdumienia, który przez ułamek sekundy widać było w oczach Arilyn.

Dawno temu zyskała sobie reputację asasyna, reputację, która okazała się tyleż niebezpieczna, co nie zasłużona. Arilyn długo i usilnie starała się zerwać z mroczną przeszłością, ale ta wracała do niej uparcie, raz za razem.

— Bez urazy, Hashethcie — wykrztusił Danilo — ale czy nie przyszło ci do głowy, że w tym przypadku mógłbyś przeskoczyć nie jeden, lecz kilka szczebli naraz?

— To absurd — mruknął buńczucznie Hasheth. — Mistrzowie szkoły nie ośmieliliby się zadrwić ze mnie w ten sposób.

— Nie ośmieliliby się, co? — Arilyn zamyśliła się przez chwilę i zapytała. — Skąd się wywodzisz, Hashethcie?

— Dom mój znajduje się w Zazesspurze, jeśli o to właśnie ci chodzi.

— Ale nie wyglądasz na calishitę — zauważyła. — Może twoja matka pochodziła z Calimport?

— Co to, uroczysta wieczerza, że zaczęliśmy tak sobie gawędzić? — spytał ostro Hasheth. — Jestem waszym więźniem. Zabijcie mnie, jeśli chcecie, ale oszczędźcie tego babskiego gadania.

— Czarujący dzieciak — mruknął Danilo. — Miło z jego strony, że sugeruje nam tak atrakcyjne rozwiązanie. Zrobimy, jak mówi?

Arilyn pokręciła głową.

— Hasheth pojedzie wraz z nami do Zazesspuru. Trudno było nie dostrzec ulgi malującej się w czarnych oczach chłopaka.

— Przykro mi, Hashethcie, ale będziesz musiał znaleźć jakiś inny sposób, by zdobyć swój pas.

— Człek roztropny wie, kiedy walka jest przegrana — przyznał chłopak.

Danilo uważnie przyjrzał się jeńcowi, bez trudu zauważając delikatny złowieszczy grymas w kącikach ust i nutę nieszczerości w jego głosie. Ponownie przeniósł wzrok na

Arilyn. Jej piękne oblicze było nieprzeniknione, ale najwyraźniej coś szykowała. Jako że Danilo nie znał jej zamiarów, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko robić dobrą minę do złej gry. Niemniej wcale nie był z tego powodu zadowolony.

— Cudownie — mruknął, na tyle głośno, by czujne elfie uszy Arilyn zdołały to wychwycić. — A więc mamy nowego pomocnika i towarzysza podróży.

— Jeżeli naprawdę chcecie dotrzeć do Zazesspuru — rzekł Hasheth do Arilyn — byłoby roztropnie, gdybyśmy niezwłocznie ruszyli w drogę. Po pokonaniu lasu Tethyr dotrzemy do Gór Księżycowych. Droga wiodąca przez te góry to pustkowie, nagie i rozpalone jak każda pustynia. W upalny dzień wasza północna skóra zacznie schodzić niby wylinka węża — stwierdził z uśmiechem.

— Uroczy dzieciak — powtórzył Danilo.

— Mimo to niewątpliwie ma rację — skomentowała Arilyn. — Słońce wzejdzie w ciągu godziny. Jeżeli narzucimy sobie dostatecznie ostre tempo, zdołamy przebyć przełęcz przed największym upałem.

Dandys westchnął głęboko.

— Czy nie moglibyśmy zatrzymać się tu na tyle długo, by zjeść śniadanie? Ja przygotuję. Ognisko już mamy.

Arilyn zgodziła się z wahaniem i cała trójka zasiadła wokół ogniska Danila. Szlachcic zaczął przeszukiwać swój worek, wyjmując najpierw mały kociołek, szczelnie zapakowany talerz surowych ryb, paczkę suszonych grzybów, paczkę ziół i wielką srebrną butelkę z wodą oraz drugą, zawierającą wytrawne wino do przygotowywania potraw. Hasheth patrzył z otwartymi szeroko ustami, jak mag wyjmuje z małego worka kolejne przedmioty.

— To czary — wyjaśnił Danilo, zręcznie mieszając po-szczególne ingrediencje. — Worek zawiera więcej, niż mogłoby to wynikać z jego wyglądu.

Młody asasyn błyskawicznie ukrył swoje zdumienie.

— Nie ma porcelany? Ani obrusów, czy świecznika? Widzę, że dobrze się zaadaptowałeś do trudów podróży — zauważył z ostrym sarkazmem.

— Staram się zachować chociaż odrobinę cywilizowanej natury — rzekł pogodnym tonem Danilo. — Zważywszy na okoliczności, może to nie być łatwe.

Arilyn wychwyciła ostrzeżenie ukryte w słowach jej przyjaciela.

— Zostało ci jeszcze trochę tej kawy, Dań? — zapytała szybko.

Hasheth rozpromienił się na wzmiankę o wszechobecnym południowym napoju.

— Z przyjemnością ja zaparzę. Żaden człek z północy nie potrafi dobrze zaparzyć kawy.

— To bardzo miło z twojej strony — mruknął oschle Danilo.

Ponownie przeszukał wnętrze swego worka, znalazł imbryk o dziwnym kształcie, z wieczkiem u góry, oraz paczkę z kawą, po czym podał je chłopcu. Hasheth wziął również butelkę z wodą i zabrał się do dzieła.

Kiedy kawa była już gotowa, Hasheth napełnił kubek Arilyn i podał jej, z lekkim, acz zdecydowanym skinieniem głowy. Potem, jakby po namyśle, napełnił kubek Danila.

Kawa nie była powszechnie znana w krajach pomocnych, ale Arilyn zdążyła ją polubić podczas swoich wędrówek na południe. Napar Hashetha był czarny i gęsty jak syrop — identyczny jak kawa, którą piła na tuzinach amniańskich bazarów.

Zaciągnęła się głęboko jego wonią i jej wyostrzone elfie zmysły błyskawicznie wyczuły obcy ton pośród aromatycznego zapachu. Wychwyciła spojrzenie Danila i przeniosła wzrok na jego kubek, po czym niemal niedostrzegalnie pokręciła przecząco głową. Mag uniósł brwi, a wyraz jego twarzy zdawał się mówić ironicznie — „A nie mówiłem?”

— Czy będzie to obrazą, jeżeli nie wypiję pierwsza? — zwróciła się do Hashetha.

— Oczywiście, że nie. Tylko ostrożni dożywają starości — odparł kwiecście młodzieniec. Sięgnął po jej kubek, uniósł — pozwól, że ja pierwszy spróbuję.

Spodziewała się takiej reakcji, a słaby błysk w oczach Hashetha potwierdził jej przypuszczenia. Bez wątplenia był uodporniony bądź miał odtrutkę na truciznę, której zdecydował się użyć. Była to jedna z mniej znanych i bardziej subtelnych sztuczek w repertuarze wyszkolonego asasyna.

— Ależ nie mogłabym uczynić ci takiego dyshonoru — rzuciła Arilyn z posępną powagą w głosie. — Prawdę mówiąc, zamierzałam dać tę kawę do spróbowania twemu wierzchowcowi.

Filuterny uśmiech znikł z twarzy Hashetha, zmieniając się w wyraz niepohamowanej frustracji i świadomości porażki; młody asasyn z wściekłością zaczął tłuc obiema pięściami w ziemię.

— Dlaczego? — rzucił ostro — dlaczego bogowie przysłali ciebie, abyś mnie dręczyła?

Zaczekała, aż chłopak się uspokoi.

— Dlaczego twoi mistrzowie mogliby chcieć twej śmierci, Hashetcie?

— Naturalnie pomijając oczywiste powody — dorzucił Danilo.

Hasheth przeniósł pałający wściekłością wzrok na Thanna i Arilyn.

— Nie słyszeliście? Moi mistrzowie oświadczyli, że musisz umrzeć, kobieto z rodu elfów. A wówczas ja otrzymam awans i pas będący oznaką wyższego stopnia w hierarchii mojej Szkoły.

— Wróćmy na chwilę do rzeczywistości, dobra? — rzucił leniwie Danilo, przeciągając zgłoski. — Nasz dom leży daleko stąd, na północy. Nie przyszło ci do głowy, że asasyn, którego reputacja sięga tak daleko, może okazać się trochę za dobry jak na kogoś w twoim wieku? Poza tym, ta dama nie nosi pasa.

Wzrok dandysa spoczął na prostym, podróżnym odzieniu Arilyn — miała na sobie spodnie, bluzę i długi, ciemny płaszcz.

— Ani jakichkolwiek ozdób, jeśli chodzi o ścisłość — dorzucił ponuro.

Zanim młodzieniec zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrąciła się Arilyn.

— Jak sądzisz, ile mam lat?

Hasheth zamrugał, wyraźnie zaskoczony jej pytaniem. Błądził wzrokiem po delikatnych rysach jej twarzy, kędzierzawych, kruczoczarnych włosach, smukłej figurze.

— Trzy i dwadzieścia deszczów — rzucił niepewnie. Arilyn pokręciła głową.

— Trzy i czterdzieści — poprawiła.

— To niemożliwe — zaprotestował Hasheth, marszcząc brew z niedowierzaniem. — Jesteś taka młoda i olśniewająco urodziwa.

Odgarnęła gęste kosmyki włosów, by pokazać spiczaste uszy, których końce miały lekko niebieskawe zabarwienie.

— Jestem półelfem, pamiętasz? Prawdopodobnie przeżyję twoje wnuki. Gdy rozpoczęłam naukę szermierki, twoja matka zapewne była jeszcze dzieckiem. Ile miała lat, gdy trafiła do haremu twego ojca?

— Czternaście — odparł obojętnie.

— Przez tyle lat, ile wspólnie z matką przeżyłeś, byłam najemnikiem. Walczyłam po stronie Sojuszu w wojnie przeciwko tuigańskim barbarzyńcom. Zdobyłam zaszczytne miejsce wśród Harpersów. Skoro wiesz już to wszystko, czy nadal uważasz, że wysłano cię, byś zmierzył się z równą sobie? — Arilyn uśmiechnęła się, by złagodzić ton tych ostrych słów. — Za kilka lat to się może zmienić. Masz ogromny talent, Hashecie, i któregoś dnia, być może, spotkamy się jak równy z równym. Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł. — Przerwała, a jej oblicze stężało. — Nikt nie wykorzysta mnie ani mego miecza wbrew mojej woli. Nie zamierzam stać się narzędziem twojej śmierci, pomimo iż tak zamyślili sobie twoi mistrzowie.

— Kłamiesz — rzekł Hasheth, ale jego oblicze zdradzało wyraźną niepewność.

— Ktoś chce twojej śmierci — powtórzyła półgłosem Arilyn. — Zresztą łatwo to udowodnić. Jako że ja tego nie zrobię, będzie się tym musiał zająć ktoś inny.

Hasheth przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

— Przemyślę to, co powiedziałaś.

Troje wędrowców skupiło swoją uwagę na gulaszu Danila. Hasheth odmówił przyjęcia łyżki i wybierał kawałki ryb i grzybów z potrawy kawałkami płaskiego, twardego podplomyka. Młodzieniec jadł z apetytem, ale dostojnie, co wydało się Danilowi dziwnie znajome. Nie podzielił się jednak z Arilyn swymi podejrzeniami, aż do chwili, gdy mogli porozmawiać sam na sam.

Po posiłku, pod wpływem nalegań Danila, Arilyn zadzierzgnęła pętlę z linki na kostce młodzieńca, a drugi jej koniec przywiązała do łąku swego siodła. Chłopak przyjął ze spokojem ten afront, ale nie odezwał się do niej słowem, dopóki nie wyjechali z lasu.— Słyszałem o Harpersach — oznajmił, choć z tonu jego głosu jawnie wynikało, iż nie było to nic dobrego. Zjechał na bok i od tej pory trzymał się od nich na dystans, na tyle, na ile pozwalala mu opasująca kostkę linka.

Danilo podjechał nieco bliżej do kłaczy towarzyszeki.

— Przy swoim następnym występie Jego Wysokość bez wątpienia pokaże nam język. Arilyn uśmiechnęła się.

— Daj spokój, Dań. To tylko chłopiec.

— Czyżby? — mruknął ironicznie Danilo. — Wydaje się być kimś więcej niż tylko przeciętnym uczniem szkoły najemnych morderców.

— Tak? A dlaczegoż to?

— Szlachta w Tethyrze rzadko posługuje się łyżkami czy widelcami. Twierdzą, iż jest to dziwaczny nawyk, niegodny ich stanu. Jeszcze jeden przyczynek do twierdzeń paszy o barbarzyńskości ludów północy, jak mi się zdaje. A poza tym, ten koń — stwierdził Danilo, wskazując rumaka Hashetha. — Znam się na wierzchowcach i jestem pewien, że na rumaka takiej krwi mogą sobie pozwolić jedynie najbogatsi. A zwróciłaś uwagę na pierścień chłopaka?

— Zastanawiałam się, kiedy o tym wspomnisz — rzuciła Arilyn. — A zatem Hasheth jest bogaty.

— To nie wszystko. Nie ulega wątpliwości, że jest on szlachetnie urodzony i zamożny, ale gardzi tymi cechami u innych. Pogardza tym, co dostrzega we mnie...

— A czy do tego potrzebny jest powód? Danilo wyciągnął rękę i ujął w palce podbródek Arilyn, odwracając jej twarz do siebie.

— Twoje żarty stają się niesmaczne. Zbyt wiele sobie pozwalasz — rzucił oschle.

— Przyzwyczaj się do Hashetha, Dan — powiedziała, powiększając nieco dzielący ich dystans. — Jest naszym łącznikiem z dworem paszy Balika.

Danilo mrużąc powieki spojrział na tarczę słońca wyłaniającego się ponad krawędzią najwyższego szczytu Gór Księżycowych. Już teraz rzucało na nich prażące promienie, niczym łypiące wściekle, czerwone ślepie. — Moja droga, obawiam się, że ten upał ci nie służy.

— Dlaczego? Doszedłeś do wniosku, że Hasheth jest szlachcicem. Twierdzi, że pochodzi z Zazzesspuru. Pasza pochodzi z Tethyru, niemniej wiadomo, iż nałożnice do swego haremu sprowadza właśnie z Południa. Hasheth przyznaje, iż urodził się w haremie. Czy jego niechęć do ludzi z pomocy nic ci nie podpowiada? Z nikim ci się nie kojarzy?

— W porządku, możliwe, że to syn paszy — skonstatował Danilo. — Możliwe. Nie możemy mieć pewności.

— Moglibyśmy go zapytać.

— To mi się podoba — zamyślił się Danilo. — Prosto. Bezpośrednio. Młodzieniec lubi rozmawiać, więc faktycznie może się udać. — Przyłożył dłonie do ust i zawołał.

— Powiedz mi, Hashetcie, jak się czuje pasza Balik mając w rodzinie asasyra?

— Prędzej twój ojciec wyparłby się ciebie niż mój mnie

— odrzekł cierpko chłopak. — Lepszy asasyn niż kretyn. Arilyn zachichotała.

— Czy to dostateczna odpowiedź na twoje pytanie?

— Może być — mruknął ostentacyjnie Dań. — Wygrałaś. Ale dlaczego uważasz, że Hasheth zechce z nami współpracować?

— Zechce, jeśli przekonamy go, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo.

Oblicze szlachcica rozpromieniło się złowieszczym blaskiem.

— Jestem w stanie wymyślić kilka doskonałych sposobów, by go o tym upewnić.

— Nie trudź się. Niebawem uderzy drugi zabójca. Musi, jeżeli zamierza zrzucić winę za śmierć Hashetha na barbarzyńcę z północy.

— Ach — Danilo zaczerpnął głęboki oddech — już chyba rozumiem. Mistrzowie Hashetha wysłali go twoim śladem, przekonani, że go zabijesz. W ten sposób jednocześnie chcieli się go pozbyć, jak i zachować czyste ręce. A wiedząc co myśli pasza Balik o „barbarzyńcach z pomocy”, spodziewają się zapewne, iż śmierć Hashetha rozwścieczy staruszkę do żywego.

— Otóż to. Tak właśnie uważam — przyznała Arilyn.

— Śmierć jego syna mogłaby nakłonić Balika do ograniczenia kontaktów handlowych z Pomocą — i odwrócenie się od niego ludu Tethyru. Tym sposobem sojusz gildii mógłby gładko przeprowadzić swój ruch.

— Sprytnie pomyślane — mruknął z cicha szlachcic.

— A drugi asasyn, ten, który śledził nas od Imnescar, miał, jak sędzę, dopilnować, żebyście ty i Hasheth się spotkali.

— Prawdopodobnie. Jeżeli ja nie zabiję Hashetha, on to zrobi. I możesz być pewny, że mimo to wina i tak spadnie na mnie.

Danilo milczał przez dłuższą chwilę.

— I co teraz zrobimy?

— Musimy zachować Hashetha przy życiu — odparła posępnie Arilyn.

Gdy wędrowcy wjechali nieco dalej na przełęcz, upał zrobił się wręcz nie do wytrzymania, a krajobraz stał się bardziej jałowy i odpychający. Fale żaru były z nagrzanego piasku i otaczających ich skał. Jedyne oznaki życia były kolonie jaszczurek wygrzewających się na skalistych półkach.

Stworzenia te zdawały się być wszędzie, zaś Danilo nie mógł się nadziwić, jak cokolwiek mogło radować się tak upiornym upałem.

— Spójrz na tę ogromną formację skalną — powiedziała półgłosem Arilyn. Przełęcz przed nimi zwiężała się, po lewej stronie traktu znajdowała się płaska skalna półka, a drogę ucieczki blokowały z prawej liczne, potężne, postrzępione głazy.

— Czy nasz asasyn leży tam teraz i czeka? — zapytał Danilo.

— Mógłbyś wybrać lepsze miejsce? — rzuciła. — Gdy wykonam swój ruch, miej oko na Hashetha.

Jechali dalej i dotarli prawie do płaskiej skalnej półki.

Nagle Arilyn zeskoczyła z konia i gwałtownym szarpnięciem pociągnęła linkę uwiązaną do kostki ich jeńca. Hasheth, kompletnie nie przygotowany, runął ciężko na kamienisty grunt.

Arilyn podniosła się w mgnieniu oka, i z księżycowym mieczem w dłoni ruszyła naprzeciw komuś, kogo Danilo do tej pory nie zdążył wypatrzeć. Spoza skał wyskoczył nagle wysoki, ciemnobrody mężczyzna; promienie słońca odbiły się od ostrzy dwóch scimitarów. Danilo zauważył, że napastnik miał na sobie identyczny, ciemny, ściśle dopasowany strój jak Hasheth.

Tymczasem syn paszy, obolały, chwiejnie podniósł się z ziemi. Gdy zobaczył rozpoczynający się tuż przed nim pojedynek, jego serce przepełniło uczucie złowrogiej

radości. Ta przeklęta kobieta umrze, i to z ręki jego brata — asasy! Na tę myśl Hasheth zmrużył lekko powieki i pochylił się, by podnieść leżący u jego stóp ostry skalny odłamek w kształcie klina. Być może jednak bogowie dali mu szansę, by mógł wykonać powierzone przez mistrzów zadanie.

— Nie radziłbym — rozległ się twardy niczym stal głos. W tej samej chwili czubek ostrego miecza wpił się w nasadę karku Hashetha. — Odwróć się powoli.

Hasheth wykonał polecenie, przeklinając sam siebie w duchu, że dał się zaskoczyć temu barbarzyńskiemu pawiovi. Do tego stopnia ignorował tego durnia Danila, że zupełnie o nim zapomniał.

— Obejrzyj się i spójrz na skalną półkę — rozkazał szlachcic z pomocy, opuszczając miecz tak, że czubek ostrza mierzył teraz w serce chłopaka. — Może to zdoła zmienić twoje nastawienie.

Hasheth, zbity z tropu, odwrócił się i to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Wszystkie, prócz jednej, spośród rozkoszujących się promieniami słońca jaszczurek, uciekły w popłochu. Ostatnie pozostałe na skale stworzenie wilo się i skręcało, przebite na wylot długim, wąskim ostrzeni znajomego noża. Jaszczurka targnęła konwulsyjnie całym ciałem i w błyszczącej srebrzyście trójkątnej klindze odbił się promień słońca. Gdy chłopak przyglądał się temu z otwartymi szeroko ustami, gadem wstrząsnęły ostatnie, konwulsyjne drgawki. Jeszcze przed chwilą Hasheth znajdował się dokładnie pomiędzy martwym teraz stworzeniem i kryjówką, w której czał się jego „brat asasyn”.

— Arilyn zrobiła to praktycznie w ostatniej chwili, no nie? — zauważył Danilo zgryźliwie.

— Kobieta z elfów mówiła prawdę — rzucił półgłosem Hasheth. Odwrócił się i z ukosa spojrzął w oczy Danile Thannowi.

— Oddaj mi nóż — rozkazał — ona uratowała mi życie. Teraz ja pomogę jej.

Szlachcic zachichotał i opuścił miecz.

— Jeśli choć trochę cenisz sobie swoją skórę, nie zrobisz tego.

— Skinął w stronę skalnej półki. — Siadaj! To nie potrwa długo.

— Ale...

— Jeżeli będzie miała kłopoty, pomożemy jej. Zgoda?

Pochłonięty rozgrywającą się przed nim walką, Hasheth mógł jedynie skinąć głową. Wspiął się na skałę, prawie nie zauważając leżącej obok niego martwej jaszczurki ani komicznego grymasu maga z pomocy, który wziął ją skrzętnie w dwa palce i jakby ze wstrętem cisnął precz.

Arilyn Moonblade walczyła jak nikt, kogo Hasheth miał okazję oglądać podczas pojedynków. Trzymała swój prastary miecz oburącz, a mimo to uderzała błyskawicznie niczym pustynna żmija. Ze stoickim spokojem radziła sobie z oboma śmigającymi i migoczącymi w słońcu scimitarami calishity.

Nie minęło kilka chwil, gdy mężczyzna runął do tyłu, chwytając się oburącz za rozplątane od ucha do ucha gardło.

Kobieta-półelf pochyliła się i oczyściła swój miecz w piasku. Hasheth jak lunatyk zsunął się ze skalnego występu i podszedł bliżej, wpatrując się z przeraźliwą fascynacją w leżącego na ziemi trupa.

Danilo stanął przy Arilyn.

— Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości co do twego zdania na temat Hashetha, wystarczyło mi jedno spojrzenie na jego twarz w tej chwili, aby je rozproszyć. Byłbym gotów postawić całą moją kolekcję klejnotów, że ten chłopak jeszcze nigdy nie był świadkiem śmierci — aż do teraz, ma się rozumieć.

— Żył pod kloszem — odparła półgłosem Arilyn. — W haremie ludzie umierają raczej rzadko.

— A jeżeli już, to umierają szczęśliwi — mruknął młody mag.

Hasheth ukląkł obok trupa nie zwracając kompletnie uwagi na rozmowę Harpersów. Sięgnął pod bluzę mężczyzny, zawahał się, po czym delikatnie rozsunął poły ciemnego materiału. Biodra asasyna ozdobił gruby, miękki jedwabny pas, bladoszarego koloru.

Hasheth uniósł wzrok, wpatrując się w Arilyn.

— Ten człowiek nosił pas cienia — wyszeptał — a ty zabiłaś go z taką łatwością.

Odgarnęła z wilgotnego czoła kilka czarnych kosmyków i wzruszyła ramionami.

— Był lepszy w śledzeniu i podkradaniu się niż w ucziwej walce.

— Jeżeli nawet, szary pas świadczy, iż ten kto go nosił, był asasynem dysponującym najwyższą rangą i umiejętnościami — stwierdził szybko chłopak, ani na chwilę nie odrywając wzroku od trupa.

— Oho, ho — mruknął Danilo, w skrytości ducha domyślając się, co nastąpi za chwilę.

Hasheth odzyskał regularny oddech i szybko odwiązał węzeł pasa, po czym zdjął go z ciała martwego asasyna. Wstał i dostojnym, pełnym powagi i formalności gestem podał go Arilyn.

— Przyjmij ten pas. Odtąd zarówno on, jak i wiążący się z nim stopień należą do ciebie.

Arilyn zmierzyła wzrokiem ofiarowywany jej pas i gwałtownie przełknęła ślinę.

— I co mam z tym zrobić?

— Noś go z dumą — odparł z powagą Hasheth. — Dzięki niemu zyskasz ogromny szacunek w tych stronach i wielu ludzi, dysponujących bogactwem i władzą będzie o ciebie zabiegać. Pas cieni zapewni ci również wstęp do Gildii Asasynów oraz poczesne miejsce w zarządzie Szkoły Skrytości, gdyż z całą pewnością na nie zasłużyłaś.

Arilyn kompletnie zwątpiła. Przez większość życia usilnie starała się, by poznano ją jako kogoś więcej aniżeli tylko najemną zabójczynię. A teraz, jak na ironię, zdobyła zaszczytny symbol, który na nowo przywoływał jej fałszywą tożsamość.

— Dwie gildie — rzekł półgłosem Danilo. — Pomiędzy Gildią Asasynów i Gildią Handlarzy Wina z całą pewnością zdołamy zdobyć potrzebne nam informacje.

Arilyn spojrzała smutno na współczujące, przystojne oblicze Danila i skinęła głową potakująco. Ostrożnym gestem wyjęła z rąk Hashetha pas i szybko przewiązała go sobie wokół bioder.

— Nie byłem gotów wysłuchać waszych słów — stwierdził Hasheth przeproszającym tonem. — Czy powiecie mi teraz, co sprowadza Harpersów na nasze ziemie?

— Chcielibyśmy, by pasza Balik pozostał u władzy — zaczął Danilo.

Młodzieniec uśmiechnął się.

— Już pozyskaliście moje zainteresowanie. Jest to również moim życzeniem.

Słuchał cierpliwie słów Danila, a jego oblicze spochmurniało wskutek szoku i gniewu na wieść o planowanym przez gildie spisku przeciwko paszy. Gdy mag skończył swoją opowieść, chłopak przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu.

— Co się stało, Hashethcie? — spytała Arilyn. Młodzieniec poruszył się niespokojnie.

— To oczywiste, że jeżeli chcę pozostać przy życiu, muszę opuścić Szkołę Skrytości, ale czyn ten zostanie mi poczytany za porażkę. Gildia nie zawaha się rozpuścić fałszywych pogłosek o moim tchórzostwie, co okryje hańbą zarówno mnie, jak i mego ojca. To coś więcej aniżeli sprawa dumy — dodał natychmiast Hasheth. — Chciałbym dopomóc memu ojcu, ale czyż zgodzi się on wysłuchać słów człowieka bez honoru?

— Możesz opuścić Szkołę Skrytości bez okrywania swego imienia hańbą — stwierdził z zamyśleniem Danilo.

— Nie rozumiem, w jaki sposób — odrzekł chłopak z mar-sową miną.

Szlachcic uśmiechnął się.

— Potrafisz się targować, Hashethcie?

— Jest to generalnie zajęcie dla kupców i sług, ale znam ogólne zasady. Jedna ze stron zaczyna od podania ceny maksymalnie zawyżonej, której strona druga przeciwstawia inną, w równie absurdalny sposób zaniżoną. Koniec końców, obie strony ustalają cenę pośrednią.

— Dokładnie — stwierdził Danilo. — I tak właśnie zrobisz. Ty i twój sługa przewiezicie ciało tego zabójcy do siedziby gildii asasynów. O ile dobrze zrozumiałem zasady, jego śmierć nie tylko da ci pas, oznaczający wyższy stopień w hierarchii, ale również członkostwo gildii i wysoką pozycję w Szkole Skrytości; to zawyżona cena.

— Ale to nie ja go zabiłem — zaprotestował Hasheth.

— To tylko interes. Targowanie się — pamiętasz? Gdzie w interesach jest miejsce na uczciwość?

W oczach chłopaka rozjarzyły się figlarne iskierki.

— Mów dalej.

— Mistrzowie gildii zaproponują cenę zaniżoną, najprawdopodobniej zaoferują ci pogłównie za zabitego. Ty w odpowiedzi jedynie prychnij pogardliwie, bawiąc się od niechcienia swoim skarabeuszem — zasugerował Danilo, rzucając pożądlive spojrzenie na pierścień na palcu młodzieńca. — Następnie, po stosownej przerwie zasugeruj, że w zasadzie jesteś skłonny zrezygnować z wysokiego stanowiska w Szkole Skrytości.

— Mistrzowie gildii nie będą z tego tytułu usatysfakcjonowani — zaprotestował Hasheth. — To prawda, że niechętnie awansowaliby kogoś tak młodego na mistrza asasynów, ale jeżeli rzeczywiście knują spisek przeciwko memu ojcu, nie pozwolą mi wstąpić w szeregi gildii.

— Otóż to — rzekł cierpliwie Danilo — zasadniczym celem jest członkostwo gildii i głównie na tym skupiona będzie większość ich uwagi. Kiedy zrzekniesz się stanowiska w Szkole Skrytości, będą myśleć o tobie w kategoriach potencjalnego mistrza asasynów, nie zaś niewydarzonego ucznia, któremu się nie udało.

— Mów dalej — ponaglał Hasheth, a kąciki jego ust uniosły się w kpiarskim uśmiešku.

— Zwolnią cię ze szkoły i złożą kontrpropozycję. Jako że nie mogą pozwolić, abyś wtykał nos w interesy gildii, jedyne co mogą ci zaoferować, to sam pas cieni. Udasz, że musisz to przemyśleć, po czym, niejako mimochodem, napomkniesz, że asasyn tak wysokiej rangi musi otrzymać członkostwo gildii, aby jej działalność mogła być należycie kontrolowana, a z zapłat pobierane stosowne daniny. Podkreśl delikatnie słówko — „jej”.

— Aach! — twarz Hashetha z wolna rozjaśnił promienny uśmiech — i to ich zbije z tropu. Danilo uśmiechnął się.

— Właśnie. Zmienisz gwałtownie tok negocjacji i dzięki działaniu z zaskoczenia, uzyskasz nad nimi przewagę. Przedstawisz swego sługę — to znaczy ciebie, Arilyn, jako kobietę, która pokonała asasyna z pasem cieni. Powtórzysz swoje żądania co do jej rangi i członkostwa gildii, po czym dasz im do zrozumienia, że przez cały czas prowadziłeś negocjacje właśnie w jej imieniu. Jest spore prawdopodobieństwo, iż przyjmą fakt pozbycia się ciebie z tak wielką ulgą, że powitają Arilyn z otwartymi ramionami. I to dosłownie, moja droga

— zapewnił pospiesznie Danilo, zwracając się do Arilyn.

— Ale co z moim zadaniem? Przecież jakby nie było, miałem ją zabić, a nie stawać po jej stronie — zauważył celnie młodzieniec.

Szlachcic uniósł brwi.

— Gdyby mistrzowie gildii zwrócili ci na to uwagę, przypomnij im, że zostałeś zwolniony ze szkoły. Znasz to powiedzenie

— „Kupca spotkać, to znaczy ubić interes”. Transakcja dokonana, czyli sprawa zamknięta. Przechytrzysz ich i najprawdopodobniej będą cię za to podziwiał.

Hasheth odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął donośnym, pogodnym śmiechem.

— Myślisz jak południowiec, jesteś podstępny i subtelny zarazem. Wygląda na to, że źle cię oceniłem.

— Jak wszyscy — stwierdziła oschle Arilyn. — Właśnie dlatego jest tak efektywnym agentem.

— Lord Thann również jest Harpersem? — Zastanawiając się nad tym, młodzieniec mocno zmarszczył brwi. — Czy szlachcic także może się przyłączyć do tej grupy?

— Nawet syn paszy — stwierdziła z uśmiechem Arilyn. — W swoim czasie.

Hasheth w zamyśleniu pokiwał głową.

— To mogłoby mi się spodobać.. Danilo skrzyżował ramiona na piersiach i uśmiechnął się pogodnie.

— A więc może teraz ja zaproponuję ci pewną transakcję. Opowiedz swemu ojcu o wszystkim, co się wydarzyło. Powiedz mu, że Arilyn i ja będziemy poszukiwać dowodów na istnienie spisku gildii mającego doprowadzić do jego obalenia. Poproś go, by zechciał wysłuchać, co mamy mu do powiedzenia, by sam mógł to potem osądzić.

— To twoja cena? Ma być zawyżona? — rzucił ironicznie Hasheth.

— Za szybko mi przerwałeś — stwierdził ze stoickim spokojem szlachcic. — Chciałem również poprosić o twój pierścień.

Ciemne oczy chłopaka rozbłysły.

— To absurd! Ten pierścień jest oznaką królewskiego rodu. A teraz posłuchaj mojej oferty. Tak jak prosiłeś, przekażę wasze ostrzeżenie memu ojcu. Nie dostaniesz tego pierścienia, ale będę waszymi oczyma i uszami w Tethyrze. Od dzisiaj będę przekazywał Harpersom wszystkie informacje, docierające na dwór paszy.

— Dorzuć jeszcze ze dwa wielbłądy i umowa stoi — za-proponował Danilo.

— Zgoda.

Młodzieniec przystał na ofertę z taką powagą, że żadne z Harpersów nie miało serca wyjaśnić mu, iż Danilo żartował.

— Moje gratulacje, Danilo — mruknęła Arilyn, z trudem powstrzymując śmiech, cisnący się jej na usta. — Wypełniliśmy naszą misję wobec Harpersów, a ty zdobyłeś w końcu tę swoją upragnioną parę wielbłądów.

PATRONAT

David Cook

— Mistrzu Koja, czyżbyś zapomniał? Dziś wieczorem ksiązę Piniago wydaje wieczerze. Przyjdiesz, nieprawdaż?

Piskliwie skrzywienie mego pióra urywa się, gdy cień sekretarza pada na rozłożony pergamin, nad którym pracuję. Światło jest bezcenne w tej ciasnej klitce wieży, którą przydzielili mi kapłani, a teraz mój szeroki w barach pomocnik, również wyznaczony przez tych samych kleryków Deniera, ustawił się dokładnie na wprost jedynego okna.

Unosząc wzrok mrugam, podczas gdy jego sylwetka jest skąpana we wpadających przez okno promieniach słońca. Drażni mnie jego obecność, gdyż przerywa mą samotność, ale nie mogę zignorować jego pytania. Poza tym mój sekretarz jest dobrym kapłanem, toteż biorę się w karby, odsuwam od siebie stos pergaminów i pogrążam w zadumie.

— Jestem niezdecydowany, Pierworodny Foxe. — Nie jestem w stanie wymenić jego prawdziwego imienia, obcego mi, acz w tym mieście dość popularnego, toteż z racji urodzenia nazywam go Pierworodnym. — Słyszałem od ciebie plotki o jego wieczerzach, smakowitych potrawach, jakie serwuje — najprzedniejszych w całym Procampurze. A jeżeli będzie ich zbyt wiele, jak na mój skromny żołądek? Poza tym nie znam waszych zachodnich dworskich manier i mógłbym go obrazić. Wszak jestem tylko prostym lamą.

Foxe nie daje za wygraną — zbiera pergaminy i basem, stosownym do jego postawnej sylwetki, stwierdza:

— Prostym lamą, dobre sobie — mamrocze pod nosem, sądząc zapewne po raz kolejny, że z moją ogorzałą twarzą i ogoloną głową muszę być stary, a tym samym również przygłuchy. — Jesteś słynnym historykiem. Byłeś gościem króla Cormyru i napisałeś dla niego historię wojen tuigańskich.

— Z jednej z półek zastawionych książkami wyjmuję plik bibuły i przecina szpagat.

— To nie była historia, Pierworodny Foxe, tylko kilka niekompletnych notatek na temat tuigańskich zwyczajów; nic, w porównaniu z kompletnym studium Goodmana Reaversona na temat wojen. — Przypominam sobie cierpliwe tłumaczenie i pomoc przy sporządzaniu tych zapisków, jakiej udzielił mi bard Reaverson. Z uwagi na czas, jaki mi poświęcił, było to tyleż jego dzieło, co moje.

— Ksiązę ma pieniądze i jest miłośnikiem sztuk — przypomina mi Foxe, przyglądając mi się z irytacją. Wciska mój manuskrypt w ręce czekającego skryby. Chłopak kiwa głową i

wolno zaczyna schodzić po schodach; najwyraźniej nie chce stracić nawet jednego naszego słowa. Macham ręką, nakazując mu odejść. Nie ulega wątpliwości, że dziś już nic więcej nie napiszę.

— Książę ma wszystkie maniery cudzoziemca. — Moja obelga, najgorsza, jaką można obdarzyć urodzonego na wschodzie, bynajmniej nie zrobiła na Foxe'm najmniejszego wrażenia.

— Nie jest to zbyt miły człęk — wyjaśniam — a ze mnie jest kiepski ambasador, Foxe. Powiem coś nie tak i rozgniewam go. Musi być jakiś inny sposób na podniesienie funduszy na opłaty dla skrybów i introligatorów, jak również tańszy sposób kopiowania ksiąg. Może mag mógłby tworzyć duplikaty? — Prawie nie patrzę na mego sekretarza. Może jeśli nie będę na niego patrzył, zniknie tak, jak to powinno stać się ze wszystkim — zgodnie z tym, co twierdzi epistemolog, Brat Ulin — to czego nie postrzegamy, nie istnieje.

— Ha! Większość magów uważałaby tego typu czynność za ponizającą. Zbyt kojarzy się z kupczeniem — prycha Foxe — ale przecież wiesz, mistrzu, że to nie jest konieczne. Możesz zostać tu z nami, w świątyni i pisać. Dopilnuję, aby najwyższy skryba wysłał kopie twojej historii Tuiganu do wszystkich świątyni Deniera w całym Heartlands.

Potrząsam głową. Dyskutowaliśmy już o tym wcześniej i zna niektóre z moich odczuć, ale zarówno Foxe, jak i ja jesteśmy zbyt uparci, aby ustąpić.

Problem wynika po części z mojej dumy, gdyż zbyt długo byłem gościem w tej świątyni Władcy Glifów, odkąd opuściłem dwór króla Azouna w Suzail.

Co ważniejsze, i o czym nie powiedziałem Foxe'mu to to, iż w każdej z tych świątyń kapłani ukryją moje księgi o historii Tuiganów głęboko w podziemnych sekretnych komnatach i już nikt nigdy ich nie ujrzy.

Nie jestem aż takim bohaterem, by stać mnie było na podobne puste gesty.

Zmęczony dysputą wyglądam przez maleńkie okienko wieży dając Foxe'mu znak, iż pragnę, by się oddalił. Z mojej komnaty, wysoko na szczycie wieży, mogę podziwiać rozległą panoramę Procampuru, poprzez okolone murami dzielnice, aż do brzegów morza przy drugim końcu miasta. Dym unosi się leniwie ponad kolorowymi dachami — całe dzielnice wyłożone są różnokolorowymi dachówkami, oznaczającymi poszczególne kwartały — niebieskie — marynarzy, morskozielone — kupieckie oraz żółte — tawern i innych podobnych placówek.

Wszystkie dachy pokryte są splachetkami śniegu — brudnobiałymi i szarawymi, upstrzonymi drobinkami sadzy. Lubię tę osobliwość u mieszkańców Procampuru, odzwierciedlającą się w barwach dachów ich domostw i czuję się tu lepiej niż w Suzail, gdzie spędziłem moje pierwsze lata na Zachodzie.

W stolicy króla Azouna, zwycięzcy krucjaty przeciwko Tuiganom, zawsze miałem wrażenie, iż jestem zdobyczą wojenną, uczonym dziwadłem z podbitego dworu Yamuna Khahana — niezależnie od tego, jak uprzejmie mnie traktowano i jak fascynujące wydawało mi się miasto. Kiedy kapłani Deniera złożyli mi propozycję podróży, przyjąłem ją z radością. Teraz, przyglądając się miastu, cieszę się, że tak postąpiłem.

Procampur ze swoimi otoczonymi murem dzielnicami, dzielącymi miasto na kwartały — szlachty, kupców, kapłanów, przypomina mi typowe khazarskie miasto — moje rodzinne strony. Czuje się tam harmonię i porządek, którego tak brakuje w Suzail.

Być może — uświadamiam sobie nagle, pozostając tutaj, gdyż w głębi serca pragnę powrócić do domu.

Głęboki głos Foxe'a dobiega od strony kamiennych schodów, gdzie bez wątpienia natyka się na wciąż stojącego tam chłopaka.

— Przygotuj na dzisiejszy wieczór pomarańczową mnisią szatę mistrza. Potem zajmij się dzisiejszymi stronicami. Masz je przepisać do rana.

— Kolejne stronicie — jęczy chłopak z rezygnacją w głosie.

— Mistrz Koja nie czyni krucjaty Azouna dostatecznie heroiczną. Nie ma tam smoków ani niczego takiego.

— Idź już — pada nagle burkliwa odpowiedź Foxe'a.

— Bierz się za kopiowanie.

Młodzieniec zdaje się go nie słyszeć. Cieszę się, że Foxe nie może widzieć mego uśmiechu.

— Gdyby to było, wiecie, jak „Pieśń Fioletowych Smoków”, którą śpiewa ten bard, no, jak mu tam... ee... Talamie, pod „Pazurem Gryfa”. To wspaniała opowieść o krucjacie, pełno w niej rycerzy i magii. Najbardziej podoba mi się ta część, gdzie bogowie objawiają się królowi Azounowi i błogosławią krucjatę. Mistrz Koja powinien o tym napisać.

— Idź! — warczy Foxe, tak gniewnie, jak tylko potrafi kapłan. Słysząc szuranie stóp, gdy akolita wykonuje polecenie.

Na schodach zapada cisza, ja zaś ponownie usiłuję zabrać się do pracy — przesuwam nieznacznie pulpity, by lepiej padały nań promienie słońca. Nogi szurają o kamienną posadzkę, ale dźwięk ów tonie szybko, pochłonięty przez ustawione wzdłuż ścian spleśniałe od morskiej wilgoci woluminy.

Ponownie biorę do ręki pióro.

W okresie letnim popularnym sportem wśród Tuiganów było polowanie na śnieżne bestie z gór...

Przez nieuwagę robię kleksa i muszę odłożyć pióro, aby starannie zetrzeć plamę z karty. Cieszę się, że chropowaty pergamin wolno pochłania atrament, który wycieram skrzętnie kawałkiem papieru — prawdziwego papieru, jaki Foxe przyniósł mi do obejrzenia. Jest to tania ulotka z napisem wykonanym dużymi kanciastymi literami: Mistrz Drukarski Kleks i jego cudowna maszyna drukarska są do waszych usług! Dalsza część napisu jest zamazana atramentem. Usiłując odczytać kolejne słowa, brudzę sobie palce na czarno.

— Pierworodny Foxe!

W odpowiedzi na moje przepełnione ekscytacją wołanie słyszę gwałtowny tupot kroków na schodach.

— Co się stało, mistrzu Koja? — sapie mój pokraśniały na twarzy sekretarz, wspiąwszy się po kamiennych stopniach na szczyt wieży.

— Kim jest Mistrz Drukarski Kleks? — Nie mogąc po-wstrzymać swej ciekawości, wstaję od pulpitu i podchodzę do Foxe'a, który wchodzi, cały zdyszany i czerwony na twarzy, do mojej małej komnaty. Macham trzymaną w dłoni kartką tuż pod jego nosem.

— Nigdy dotąd nie widziałem tak czarnych i tak dokładnie nakreślonych liter.

Foxe wygląda na zdumionego, gdy bierze ode mnie ulotkę i unosi bliżej do twarzy, mrużąc oczy, by przeczytać jej treść, w słabym świetle.

— To jeden z tych tak zwanych drukarzy, panie.

— Drukarz... to coś w rodzaju skryby? Foxe wydyma tłuste policzki, usiłując wyjaśnić mi nowe pojęcie.

— To taki skryba, panie, tyle że używa pewnego rodzaju maszyny do kopiowania stronic.

— Jak czarodziejski kopista siostry Deary?

Siostra pracowała w jednej z piwnic, usiłując stworzyć z gliny idealnego skrybę, stworzenie zwane golemem. Podczas jednej z prób, której byłem świadkiem, jej ogromny brutalny twór zniszczył pulpit do pisania, przebijając jego drewniany blat piórem. Stwór stoi teraz niemo na straży w holu głównym, pełniąc wobec niektórych gości rolę portiera.

— Niezupełnie, panie. — Foxe pozwala sobie na uśmiech — Odbija stronicę, wykonując wiele kopii naraz.

— Bardzo chciałbym zobaczyć tę maszynę. Mógłbyś znaleźć to miejsce?

Foxe ponownie mrużąc oczy wpatruje się w kartkę.

— Jest tu napisane, że warsztat znajduje się w Alei Skrybów. To dosyć proste.

— Zatem, Foxe, proszę cię, byś zaprowadził mnie do Mistrza Kleksa. Jeżeli się pospieszymy, zdążymy jeszcze na wieczerzę. Musimy dowiedzieć się czegoś na temat tego druku i jego kosztów.

Foxe jest wyraźnie poruszony, gdy prześlizguję się obok niego i schodzę po schodach.

— Koszty druku? A po co? — woła Foxe, zbiegając w dół; jego wielki kałdun kołysze się z boku na bok. — Kościół ma już jeden egzemplarz twego dzieła, zszytego razem z traktatem historycznym Goodmana Reaversona, i z radością skopiujemy twe następne dzieło. Mistrzu Koja, po co tracić pieniądze na drukowanie ich w większej ilości?

Zatrzymuję się u podnóża schodów i wbrew niezłomnym zasadom uprzejmie kłaniam się memu sekretarzowi.

— Możesz to nazwać próżnością, ale byłoby dobrze, gdyby więcej ludzi poznało prawdę o wojnie. Nie uważasz?

— Mistrzu Koja, przecież bardzo niewiele dusz umie czytać.

— Być może moja pokorna praca będzie dla nich inspiracją do nauki. — Ruszam dalej, nie chcąc już dłużej zwlekać. — Poza tym może dzięki temu ominie mnie wieczerza u księcia Piniago.

Foxe pospiesznie rusza w ślad za mną, gdyż zna mnie aż nazbyt dobrze.

— Pozwól przynajmniej, że wezmę mój płaszcz — mówi z rezygnacją.

Idziemy do Mistrza Kleksa; jest zimno, ale nie sucho jak w mojej górskiej ojczyźnie, wieje wilgotna, mroźna bryza od zatoki. Przywykłem już do tego chłodu. Droga, którą podążamy, znana jako Wielka Droga, jest cicha, ale to tylko pobudził we mnie niepokój. Powiększające się cienie, gdyż słońce chyli się już ku spienionym wodom Wewnętrznego Morza, jedynie pogłębiają wrażenie pustki i osamotnienia. Nigdy nie przepadałem za samotnością — pomimo, a może raczej z powodu bezbarwności i posepności mego rodzinnego Khazari.

Odczuwam ulgę, gdy opuszczamy główną aleję i Foxe przepuszcza mnie przez bramę Dzielnicy Kupców, gdzie wąskie uliczki po obu stronach zastawione są zielonodachymi kramami i sklepikami. W powietrzu unosi się woń typowa dla wszystkich miast, od Khazari po Cormyr. Procampur cuchnie dymem palonych bierwion, ściekami, zgniłymi rybami i maślanym ciastem. Dziwnym trafem to ostatnie przywodzi mi na myśl dni, gdy popijałem herbatę z dodatkiem masła, przy ognisku opalonym wielbłądzim nawozem, w namiocie mego pana, Yamuna, na otwartym stepie.

— Pospiesz się, mistrzu. Przeziębimy się. — Foxe owinał sobie twarz grubym szalem tak, że ledwie widzę jego małe oczy. — Dziś jest okropnie zimno.

Prawie wybucham śmiechem, choć byłoby to nieuprzejmością, gdyż idę obok niego z gołą głową, odziany w cienkie, wiosenne szaty.

— Pierworodny Foxe, gdybyśmy byli w mojej ojczyźnie w Khazari, wtedy rzeczywiście byłoby zimno. O tej porze roku szlaki na Czerwoną Górę, gdzie byłem lama, były praktycznie całkiem zasypane. To tylko łagodna bryza, niczym wiosenny wietrzyk na stepie.

— Tęsknisz za ojczystymi stronami?

— Co?

— Powiedziałeś, że opuściłeś je przed dziesięcioma laty — najpierw przebywałeś u Tuiganów, a potem tu, na Zachodzie. Nie tęsknisz za ojczyzną?

Myszę o Khazari, strzelistych górach pokrytych lodowcami i odizolowanych klasztorach dla tych, którzy poszukują oświecenia. Widziałem, jak Yamun Khahan podbija mą ojczyznę; towarzyszyłem mu wówczas trwając wiernie u jego boku. Teraz mój pan, Yamun, nie żyje, a jego imperium przestało istnieć. Wybacz mi, o Furo, ale bardziej niż Khazari brakuje mi właśnie Khahana.

— Wstyd przyznać, ale brakuje mi właściwego jadła, Pierworodny Foxe. Chyba nigdy nie przywyknę do waszych procampurskich potraw. Za dużo w nich smażonego mięsiva i surowych jarzyn. Mam wielką ochotę na odrobinę kumysu, ryżu i herbaty.

— Błę, kumys — skwaśniałe kobyle mleko. Twój żołądek jest bardziej wytrzymały, niż ci się zdaje.

— Ach, Pierworodny Foxe, w Vanitsavie powiedziane jest, że wszystko musi być w równowadze. Kumys rozpala krew i oczyszcza ciało z chłodzących płynów. Te pieczenie, które tu jadacie, powodują zachwianie równowagi między silnymi i słabymi stronami wnętrza twego organizmu. — Patrę znacząco na wydatny kałdun Foxe'a.

Foxe odpowiada mi podobnym spojrzeniem.

— Posiadam dostatecznie dobrą równowagę, mistrzu Koja. Jakby nie było, każdego dnia noszę twoje księgi w górę i w dół po schodach wieży. Uważaj, błoto.

Omijamy kałuże na nie wybrukowanych ulicach Procampuru — woda jest jeszcze świeża po wczorajszym zimowym deszczu. Gdy zostawiamy za sobą błotnistą drogę, do naszych uszu dochodzi nagle łoskot pracujących maszyn. Dobiega ze starego warsztatu z łukowato sklepionym wejściem, znajdującego się w sąsiedniej alejce.

— Oj, uważaj, niezguło, na ten kubeł, więcej mam z ciebie kłopotów niż pożytku, niedojdo jeden, półgłówku zatracony! Poczekaj no, i tak niewiele zarabiasz, ale jak tak dalej pójdzie, w ogóle nie dostaniesz ani grosza. Co ty na to?

Mistrz Kleks jest w środku.

Warsztat jest ni mniej, ni więcej tylko przybudówką przy-legającą do ściany stajni. Papierowy szyld, postrzępiony i za-wilgotniały, wisi przypięty przy drzwiach. Czarny atrament spływa z liter na kartce aż na chropowate sosnowe deski. Niezbyt to zachęcające, ale przez szczeliny między deskami dochodzi przejmujący łoskot i zgrzyt metalu, który kończy się mocno wytłumionym łupnięciem. Zupełnie jakby w po-mieszczeniu krzątała się gromadka gości w zardzewiałych zbrojach.

Wyraz zakłopotania w oczach Foxe'a mówi mi, że on również jest zaskoczony.

Trwający wewnątrz metaliczny hałas utrzymuje stałe tempo.

Jego źródłem jest niska, kanciasta masa metalu i drewna stojąca pośrodku szopy, otoczona kubłami i różnokolorowymi belami papieru ze szmat.

Opodal władczy krasnolud stoi na skrzyni i łaje swego ucznia, ogra. Potężne, włochate plecy ucznia pochylają się i napinają w rytm pracującej maszyny, gdy pociąga grubymi, mocarnymi łapskami za długą dźwignię, wprawiającą w ruch koła zębate urządzenia. Stalowe ramiona unoszą się i opadają, metalowe szpony zgarniają kolejny arkusz papieru z pliku i wsuwają go w paszczę maszyny.

— Nie pchaj tak mocno, ty półgłówku! Dobrze, przerwij teraz i dolej oliwy do trybów! Ja... — Krasnolud dostrzega nas kątem oka.

— Panowie, jestem zaszczycony, że zechcieliście odwiedzić mój maleńki warsztat — woła schodząc ze swego podwyższenia. — Jam jest Kleks, Mistrz Drukarski. Aguul, wyłącz maszynę, żeby wielmożni panowie mogli cokolwiek usłyszeć.

Obawiam się, że patrzę nań nieco nachalnie — nigdy nie miałem wiele do czynienia z krasnoludami, stworzenia-mi z Zachodu. Mistrz drukarski ani trochę nie przypomina brutalnych i bezwzględnych władców żelaza, którzy dowodzili krasnoludami w armii króla Azouna. Imię doskonale do niego pasuje, gdyż Kleks zdaje się być jedną, wysoką na metr dwadzieścia plamą atramentu. Jego skórzany fartuch i nakrochmalona lniana koszula są pokryte czarnymi smugami. Sądzę, że jego broda jest siwa, choć teraz, wciśnięta — gwoli bezpieczeństwa, za szeroki pas, wydaje się raczej szara. Jedyne czubek jego łysej głowy jest nieskalany i lśniący.

— Przywiozłem ją z samej Głębiny — mówi z dumą krasnolud, kiedy w końcu metaliczny zgrzyt maszynerii cichnie zupełnie. Aguul oddała się leniwym krokiem, ledwo przeciskając się przez wąskie wejście do szopy.

— Z głębiny?

— Z Głębiny Krasnoludów, ojczyzny mojej rasy. A więc, czymże mogę wam służyć, mości panowie?

Foxe zabiera głos w mym imieniu, wsuwając swe korpulentne ciało między nas.

— Mistrzu Kleksie, moim mistrzem jest Koja z Khazari, lama z Czerwonej Góry, emisariusz Tuiganu i wielki historyk Yamuna Khahana, byłego cesarza stepów. Przybywa tu, by omówić warunki druku.

Nie lubię całego tego tytułowania, ale Foxe wyjaśnił mi wcześniej, że należy wyrzucić na krasnoludzie właściwe wrażenie. Uważałem, że to nic nie da i okazało się, że miałem rację. Kleks przyjmuje słowa mego sekretarza z absolutną obojętnością.

— Druku — czego?

Pozwalam Foxe'mu prowadzić negocjacje.

— Mój mistrz kończy właśnie „Obserwacje na temat historii Tuiganu; życie Yamuna Khahana, od dnia jego narodzin do śmierci w Krainach Zachodu, / zapisków sporządzonych dla króla Azouna z Cormyru”.

— Tytuł ciut przydługi.

— Możemy skrócić nazwę — wystarczy Historia Tuiganu — stwierdza, moim zdaniem zbyt gorliwie, Foxe.

Mistrz Kleks przygryza paznokcie, aż w końcu oczyszcza róg zawalonego szpargałami stołu, który pełni rolę jego biura.

— Zatem, ile ma być kopii? Jaki gatunek papieru? Jakies ilu-minowania? Ilustracje? Oprawa zwykła czy luksusowa, powiedz-my, ze skóry smoka albo wyverna? Jesteście świątobliwymi ludźmi — nie chcecie umieścić w księdze żadnych magicznych wersetów? — pyta Mistrz Kleks, a w jego głosie pojawia się nagle nuta podejrzliwości.

— Na początku będzie sutra, inwokacja do łaskawości Furo — mówię.

— Magiczna? — Twarz krasnoluda wykrzywia dziwny grymas.

— Nie, tylko werset z Vanitsavy.

— Ach tak, no to dobrze — mówi krasnolud, ponownie się uśmiechając. — Widzicie, wielmożny panie, po prostu nie można drukować magicznych symboli. Papier nie przyjmuje.

Reszta szczegółów nie należy do mnie, toteż siadam w rogu pozwalając, by Foxe przejął rolę negocjatora. Każdy punkt wydaje mi się dłużyć w nieskończoność — nie pozostaje mi nic innego, jak pogрузić się w medytacji, ale nie jestem w stanie oczyścić swego umysłu. W pustkę wdzierają się wspomnienia — topiącego się śniegu na połaci trawiastego stepu, cierpkiego smaku kumysu w namiocie Yamuna, wiatru omiatającego granitowe turnie Khazari.

Nawet niepowodzenie pograżenia się w medytacji przywołuje kolejne wspomnienia moich nauczycieli z Czerwonej Góry. Ostatnimi czasy coraz częściej rozmyślam o miejscach z mojej przeszłości, jakby teraźniejszość była pustą, wymagającą wypełnienia muszlą.

Wreszcie Foxe kończy negocjacje. Na jego twarzy maluje się wyraz goryczy i widzę, że nie poszło mu najlepiej. Krasnolud postępuje krok naprzód — nie uśmiecha się już, jest śmiertelnie poważny.

— Cóż, wielmożny panie, wasz sługa określił cenę na nie więcej niż dziesięć tysięcy złotych lwów albo — przeliczmy — osiem w monecie procampańskiej, która to cena obejmuje koszt przygotowania płyt i wszystkiego, czego potrzeba do wydrukowania jednej książki. Potem, powiedzmy, po pięćset złotych lwów za każdy egzemplarz. Czy te warunki są dla was do przyjęcia, wielmożny panie?

Dziesięć tysięcy sztuk złota to więcej niż mam, więcej niż wartość wszystkich darów Yamuna, które nadal posiadam. Bezradne spojrzenie Foxe'a mówi mi, że ceny nie da się obniżyć. Patrząc na ściany obwieszane cienkimi arkuszami papieru, pokrytymi rzędami rozmazanych, czarnych, drukowanych liter.

Papier jest szorstki i postrzępiony, ilustracje toporne, arkusze, na jakie patrzę, są niczym w porównaniu ze starannymi iluminowaniami wykonywanymi w świątyni czy cynobrowymi zwojami, które otrzymałem od Shou Lunga, kosztą są zbyt duże, jak na tak marną jakość.

— Mistrzu Kleksie — odpowiadam z ukłonem, w nadziei, że wyjdę z tego z twarzą — rozważę twoje warunki. Chodź, Pierworodny Foxe, musimy już iść.

Wychodzę pospiesznie z warsztatu, zanim krasnolud zdąży zaprotestować. Cała ta przygoda wprawia mnie w zakłopotanie, czuję się źle, że Kleks wie, iż nie mogę mu zapłacić, ba, że w ogóle brałem coś takiego pod uwagę.

Foxe biegnie za mną.

— Mówiłem ci, że to nie było potrzebne, mistrzu — mówi.

— Maszyna tego krasnoluda to jedynie zabawka, dobra do drukowania ulotek. Poza tym Kleks nie spuści ze swojej ceny ani miedziaka. Zrozum proszę, mistrzu Koją, że zrobiłem dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

— Nie wątpię w to — odpowiadam, by go ułagodzić. — Zmarnowałem twój czas przez swoją niemądrą ideę. Nie mam wyboru...

— Pójdiesz dziś wieczorem na wieczerzę do księcia Piniago? Wszystko będzie przygotowane. Nie martw się, mistrzu.

Czuję wstręt, że muszę zwrócić się z moją prośbą do księcia, ale wstyd mi polegać dłużej na hojności kapłanów. Czy to duma przeze mnie przemawia? Kiedy tylko wieczerza dobiegnie końca, muszę poświęcić więcej czasu medytacjom i odzyskać utracony kontakt z centrum mojej jaźni.

Teraz jednak czekają mnie ważne obowiązki. Odkąd opuściłem mój klasztor, u boku Yamuna byłem obserwatorem wojen i zrad. Obecnie, jak wszystko na to wskazuje, zmuszony jestem marnować swą wiedzę dla arystokratów. Skoro tak się sprawy mają, jest to oczywistym dowodem} iż w moim poprzednim życiu musiałem solidnie zbroczyć ze Ścieżki Oświecenia.

— Dobrze więc, pójdę. Miejmy nadzieję, że twój akolita zrobił wszystko, co mu kazałeś. — Obserwując Foxe'a dostrzegam, że na dźwięk moich słów mięśnie jego szczęk rozluźniają się. Jest zadowolony, że w końcu się zdecydowałem.

Wahanie spowalnia me kroki, punktualność ponagla, aż w końcu przybywam do pałacu księcia Piniago — ani nie za późno, ani nie za wcześnie. Posesja znajduje się na tyłach Dzielnicy Szlachty, gdzie srebrzyste dachy tego kwartału skrzą się w nie migoczącym świetle magicznych lamp ulicznych. Gdy wędruję wybrukowanymi alejkami, trąby mgielne posępnie ostrzegają o nadchodzącej na miasto mgle — ostateczna zachęta, by się pospieszyć, nim nadejdzie front wilgotnego chłodu.

Pałac księcia otoczony jest murami, wysokimi i pokrytymi rzeźbami przedstawiającymi groteskowe postaci o twarzach wykrzywionych złowieszczyimi grymasami. Pomiedzy posągami sterczą ostre szpikulce, które najwyraźniej mają powstrzymać zewnętrzny świat — włącznie ze mną — przed dostaniem się do środka.

Gdy zbliżam się do bramy dziedzińca, tragarze palankinu obcesowo każą mi usunąć się z drogi. Z mijanych okien zamkniętych pudełek patrzą na mnie z niedowierzaniem uperfumowane, upudrowane twarze. Nikt ważny nie przemierza uliczek Procampuru, a tym bardziej w pojedynkę. Nie uważam tej przechadzki za nieprzyjemną, nawet pomimo iż noc jest chłodna i wilgotna. Nocne powietrze orzeźwia mnie. Poza tym palankin byłby źle widzianym ustępstwem na rzecz próżności — muszę być wobec siebie bardziej wymagający.

Podobnie jak goście, strażnicy przy bramie dziedzińca przyglądają mi się. Foxe miał rację co do mego doboru odzienia. W pomarańczowych szatach lamy i z wygoloną głową nie wyglądam jak jeden z typowych gości księcia. Mimo to noszę wyblakłą bawełnianą szatę ze względu na związek z przeszłością.

Wewnątrz pałacu upudrowany sługa w lśniącej liberii prowadzi mnie przez wyłożone kobiercami zewnętrzne komnaty, gdzie w salach rozbrzmiewa magiczna muzyka, zaś temat

muzyczny i tempo zmieniają się, by nadać specyficzny ton każdemu z pomieszczeń. Goście zajęli już miejsca w sali bankietowej, tłocząc się przy stole zastawionym talerzami z jadłem i oświetlonym dziesiątkami cienkich, migoczących świec. Moje krzesło, oddalone o dwa miejsca od księcia, jest jedynym nie zajęтым spośród dwudziestu dwóch, jakie naliczyłem przy długim stole. Liczę z przyzwyczajenia — należy znać liczby, powody »i przyczyny.

— Pozdrowienia dla naszego cudzoziemskiego gościa — wita mnie od stołu ksiązę Piniago. Podnosi się ciężko, jest wysoki, potężnie zbudowany, a jego gęsta czarna broda lśni od wina. Wymachując kielichem tak, że rozlewa wino na ramię siedzącej obok niego pulchnej kurtyzany, stwierdza:

— To nader rzadka okazja dla wszystkich, gdyż udało mi się wyciągnąć tego znakomitego anachoretę z jego leża.

Uderza kielichem w stół rozlewając wino na biały obrus. Ozdobione wykwintnymi koafiurami głowy przy stole odwracają się, by spojrzeć najpierw na niego, potem na mnie. Inni goście nie ukrywają swego zdania na temat mojej pokornej osoby.

Książę mówi dalej, ale nie potrafię określić czy jest podchmielony, czy z natury tak grubiański.

— Szanowni lordowie, dostojne panie, mości panowie, przed-stawiam wam szczególnego gościa na dzisiejszej wieczerzy... ee... uhm...

— Lamę, Wasza Lordowska Mość.

— Lamę Koja. Z całą pewnością zna wiele ciekawych i zajmujących historii na temat Tuiganów, tych dzikusów, którym zdawało się, że mogą podbić Zachód. Lama Koja, widzicie, był skrybą wodza barbarzyńców, Yamuna.

A zatem mam być wydarzeniem dzisiejszego wieczora.

— Tak, to prawda, byłem głównym historykiem na dworze Yamuna Khahana — usiłuję łagodnie poprawić jego określenie mojego stanowiska. Na próżno.

— Usiądź przy naszym stole. Niechaj dziś nikt nie mówi, żeś nie podjadł do syta. — Książę opada ciężko na przypominający tron fotel.

Gdy tylko zajmuję swoje miejsce, podają wieczerzę. Pieczenie, sosy i ciasta z całą pewnością utwierdzają reputację księcia jako smakosza, ale ja ledwie ich kosztuję, bardziej przyzwyczajony do prostego chleba i jarzyn. Obok mnie, chudy starzec z siwą, rzadką brodą nakłada na swój talerz kopę jada. Zauważywszy moje spojrzenie uśmiecha się z przesadną łaskawością i wrzuca na mój talerz drgający, krwisty kawałek wołowiny.

— Czy zwyczajem waszego ludu jest nie jeść i nie pić? — rzuca bełkotliwie ksiązę, zauważywszy mą powściągliwość.

— A może należycie do ras, które, jak powiadają, żywią się powietrzem?

— Jest niewątpliwie dostatecznie chudy, Jozul — chichocze siedząca obok niego małżonka.

— Wybaczcie mi, Wasza Lordowska Mość. Zapewniam was, że wymagam jedła i napitku jak wszyscy śmiertelnicy. Tyle tylko że od przybycia do Procampuru usiłowałem żyć zgodnie z zaleceniami sutry, to znaczy nauk potężnego Furo.

— To znaczy?

— Zgodnie z prawami Furo należy unikać mięs i mocnych trunków.

— Bzdury i nonsens — przerywa ksiązę, machając ręką i przywołując służbę, by przyniósł mu więcej wina. Jego czarne brwi łączą się w grubą kreskę, twarz wykrzywia grymas.

— Ludzie powiadają, że barbarzyńcy jedzą insekty.

— Być może, w czasach wielkiego głodu, szlachetny panie. Nie słyszałem o podobnych praktykach wśród Tuiganów. Jednak prawdą jest, iż jarzyny były Tuiganom nieznane, toteż musiałem złamać nauki Furo i zasady klasztoru Czerwonej Góry. Niemniej jednak — dodaję pospiesznie, przyjmując talerz z parującymi korzeniami warzyw — jadło, jakie podajecie na swoich wieczerzach, jest cywilizowane, toteż nie muszę głodować, i jednocześnie mogę dotrzymać moich ślubów.

Książę wydaje się ułagodzony moją odpowiedzią.

— Nie wyobrażam sobie, jak można żyć wśród tych dzikusów

— stwierdza siedzący obok mnie starzec, jak sądzę kapłan świątyni Tymory. Książę Piniago kiwa potakująco głową i odrywa skrzydełko pieczonej gęsi.

— Mędrcy w mojej ojczyźnie mówią, że bogowie określają ludzkie życie z chwilą jego narodzin. Naszym obowiązkiem jest dowiedzieć się, jakie życie zostało nam wyznaczone. Nie sądzę, by wielu wojowników Yamuna wyobrażało sobie, że mogłoby siedzieć teraz tutaj.

— Ale my, ludzie Zachodu, pokonaliśmy tych złodziei koni, nieprawdaż? — mówi książę Piniago półgłosem. Wiem, gdyż mówił mi o tym Foxe, że książę Piniago brał raczej niewielki udział w wojnie, zajmując się dostawami zaopatrzenia dla prowadzącej krucjatę armii. Ci rozpieszczeni i wypielegnowani parowie w niczym nie przypominali zahartowanych w boju, stoickich wojowników, którzy stawili czoła hordom Tuiganów. Pamiętam równinę Thesk, gdzie król Azoun spotkał się z moim panem Yamunem i zabił go, aczkolwiek moje wspomnienia są nieco inne niż wspomnienia ludzi starających się uwznioślić w nich glorię księcia.

Odpowiadam wolno, acz dobitnie:

— Faktycznie. Jak mówi wielki mędrzec, Chih: Prawdziwe zwycięstwo królestwa dzielone jest przez cały jego lud, od szlachcica po prostego kmięcia.

— Dokładnie — każdy mieszkaniec Procampuru jest z tego dumny — rzuca bełkotliwie książkę, unosząc kieliszek do toastu.

— Szkoda, że ludzie myślą, że walczyliście tylko z plemieniem bandytów, Wasza Lordowska Mość. Czyż nie byłoby rozsądniej wydrukować historii Tuiganów, aby inni mogli poznać ich prawdziwą potęgę?

— Taką historię jak twoja, kapłanie?

— Rozszerzyłem zapiski sporządzone dla księcia Azouna w niewielki wolumin. Waham się, by go zaproponować. Książę Piniago pochyla się nad swoim talerzem.

— Nieśmiały z ciebie człek, kapłanie. Ile to będzie kosztowało? — pyta przenikliwym szeptem, który mogą usłyszeć tylko ci siedzący tuż obok nas.

Uprzejmość w rozmowie z tym bezczelnym, tępym bucem mija się z celem.

— Dziesięć tysięcy złotych lwów, Wasza Lordowska Mość.

— Dziesięć tysięcy! Za jedną książkę? — Książę ciska psom ogryzioną kość. Nie mówi już cichym głosem.

— To niezbędne koszty, aby przygotować odbitki do druku — jak mi się wydaje. Dodatkowe książki będą kosztować po pięćset lwów.

Wygląda na to, że wszyscy przy naszym końcu stołu umilkli oczekując na odpowiedź księcia.

— Dodatkowe kopie? — pyta książę. Zwraca się do siedzącego przy mnie kapłana. — Od kiedy to skrybowie wykonują liczne kopie ksiąg po zanizonych cenach, prze-wielebny?

— Nigdy, Wasza Lordowska Mość. Przeplukuję gardło odrobiną podanego mi owocowego nektaru.

— Książki zostaną wykonane przez maszynę drukarską, nie kopistów, wielmożny panie. Kapłan prychnął, zdegustowany.

— Maszyny drukarskie, ha! Są dobre jeno do robienia ulotek. Nie sposób nawet wydrukować na nich dobrego modlitewnika — na papier nie można nanieść magicznych znaków.

— Książka nie jest magiczna — protestuję.

— Nieważne. Skryba może zrobić to równie dobrze — wtrąca książkę. — Po co mi więcej książek? Wystarczy jedna, do mojej biblioteki.

Jestem zbity z tropu, nie potrafię znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi.

— Z całą pewnością znaleźliby się ludzie pragnący przeczytać moją książkę.

— Oczywiście, głupcze — rzuca ironicznym tonem krzykliwa małżonka księcia, przecierając oczy. — Uważasz, że Jozul wydałby tyle pieniędzy tylko dlatego, by ludzie mogli mieć własne egzemplarze tej książki? Przechowuje w bibliotece jedyny egzemplarz, aby każdy, kto chce ją przeczytać, musiał prosić go o pozwolenie.

Patrzę na księcia w nadziei, że ją poprawi, ale na jego ustach wykwita jedynie filuterny uśmiech. Określiła to aż nadto dobrze.

Brak mi słów. Przez tyle lat pracowałem jako historyk, zbierając starannie listy, jakie udało mi się ocalić po śmierci Yamuna, prowadziłem rozmowy z tuigańskimi jeńcami, którzy zawitali do Procampuru na pokładach niewolniczych galer i ślęczałem nad mapami przewodników karawan, które docierały na Wschód. Tyle pracy, a książkę chce zatrzymać to wszystko tylko dla siebie. To niemożliwe.

Podnoszę się ciężko z krzesła, nie umiając wymyślić żadnej uprzejmej formy, by słowami wyrazić swą odmowę. Skłaniam się zebrany, dwóm rzędom arystokratów i ich pochlebców, błyszczącym w świetle kandelabrow i żyrandoli. Wszyscy milczą i przyglądają mi się niczym duchy w zło-wróźbnym śnie, gdzie złowieszcze twarze obserwują cię z za każdego węgla.

— Jestem pod wrażeniem wystawności tej wieczery. Wybacz mi, książę Piniago. Na mnie już czas — mówię niezręcznie. Nie czekając na czyjąkolwiek reakcję odchodzę od stołu, kierując się wolno ku wyjściu.

Książę nie próbuje mnie zatrzymać. Gdy opuszczam salę bankietową, dochodzi mnie echo nie pohamowanego śmiechu. A więc przynajmniej jako wydarzenie wieczora nie zawiodłem. Lokaj wyprowadza mnie z pałacu. Przy bramie zdumieni strażnicy przyglądają mi się z uwagą. Nikt — jak mi się zdaje — nigdy nie opuszczał tak wcześnie przyjęcia u księcia Piniago.

Od strony portu napływa chłodna, zimowa mgła, moje cienkie odzienie nasiąka wilgocią, gdy opuszczam Dzielnicę Szlachty, by znaleźć się na Wielkiej Drodze i ruszyć w stronę domu. Opary rozrzedzają światło lamp sprawiając, że mury budowli i brukowane ulice lśnią tłustą, oleistą czernią.

Srebrne dachy połyskują jakby same z siebie. Psy szczekają, gdy przechodzę obok nich, a strażnicy przyglądają mi się podejrzliwie — mnie, samotnemu cudzoziemcowi w dziwacznych, obcych szatach, wędrującemu pośród nocy.

Zanim opuszczam Dzielnicę Szlachty, moja awersja wobec księcia narasta, nasycona wilgocią nocy i frustracjami dnia. Powraca fala tęsknoty za ojczystymi stronami, a moje serce

bardziej niż kiedykolwiek rwie się do górskich, omiatanych rześkim, chłodnym powietrzem szczytów Khazari. Pragnienie wzmagają wspomnienia z młodości — owsianki tsampo, herbaty z masłem, zabaw na polach pokrytych świeżo spadłym śniegiem, a także hałaśliwego zawodzenia obracających się nieustannie kół modlitewnych.

Moje nagłe pojawienie się u bram zaskakuje strażników z Dzielnicy Świątyń, podobnie jak ich nagłe wyłonienie się z mroku wyrywa mnie z chwilowego zamyślenia. Witają mnie przyjaźnie, otwierając bramę. Nie odpowiadam — nie mam nastroju do rozmów.

Wewnątrz wznoszą się strzeliście w opary mgieł kamienne świątynie o czarnych, niewidocznych wśród nocy dachach. Jest cicho, na dziś zakończono już pracę nazywaną powszechnie ratowaniem dusz. W moim ojczystym Khazari klasztor rozbrzmiewałyby echem śpiewanych sutr i brzękiem cymbałów łamów czuwających pośród nocy i utrzymujących porządek we wszechświecie.

Czy wśród tych cudzoziemców nie ma dla mnie miejsca? Tylko kilku pragnie się uczyć, ale nie mają oni zielonego pojęcia o wewnętrznej harmonii. Foxe należy do tych nielicznych, którzy kiedykolwiek okazali jakąkolwiek chęć zrozumienia.

Byłby dobrym lama, gdyby nie podejmował tak pochopnych osądów. Niemniej w tym mieście książąt i drukarzy krasnoludów, pośpiech jest raczej w cenie...

Właśnie wtedy stwierdzam, że zbyt długo przebywałem z dala od centrum mej jaźni. Postanawiam wrócić do domu. Wchodząc bocznymi drzwiami do świątyni Deniera przechodzę boso przez główną komnatę, kierowany światłem ustawionego na ołtarzu tysiąca wotywnych świec. Czuję się winny, zabierając jedną z nich, by oświetlić sobie drogę na piętro mojej celi, niedaleko od pracowni, w której piszę. Tam zaczynam zbierać swe rzeczy, usiłując nie obudzić Foxe'a śpiącego w celi naprzeciwko. Muszę zostawić świątyni jakiś podarunek za życzliwość, kopię mego manuskryptu i być może — jeśli się zdecyduję — złoty paitza Yamuna. Wątpię, czy ów glejt od Khahana, teraz, po jego śmierci, mógłby mi pomóc bezpiecznie przebyć rozległe stopy.

Szelest moich papierów budzi Foxe'a. Drzwi jego celi otwierają się ze skrzypnięciem i wchodzi do mego pokoju; poły nocnej koszuli owijają się wokół jego chudych nóg. Jest zaspany, a gdy mnie dostrzega, mruga oczyma w zapuchniętych oczodołach.

— Mistrzu, wróciłeś! Co powiedział książę?

— Szlachetny książę zażyczył sobie tylko jednego egzemplarza książki — mówię, nadal sortując papiery.

— Och, nie — Foxe zauważa, że się pakuję — nie zamierzasz... — W jego jaśniejących oczach pojawia się wyraz zarzutu; wygląda teraz jak nauczyciel rozczarowany swoim uczniem.

— Najkrócej mówiąc, Foxe, uczony książkę nie wydrukuję mojej książki. Zrobiłby tylko jedną kopię i zatrzymałby ją dla siebie. Nie napisałem tej książki jedynie dla niego, lecz dla wszystkich, którzy sądzą, że pieśni takie jak Pieśń Fioletowego Smoka i opowieści snute przez starych wojowników przy ognisku mówią prawdę o waszej „krucjacie”. Yamun Khahan nigdy nie nazywał jej krucjatą. Nigdy nie starał się uczynić jej czymś więcej, aniżeli była — to znaczy „wojną”. Podobnie jak król Azoun. On zna cenę wojny.

Przestaję się pakować. Jestem zmęczony i nie chcę już nic robić tej nocy. Zamykając oczy nucę modlitwę do Furo, błagając o siłę.

— Napisałem, co wiem i nikt nie chce tego przeczytać.

— Ja przeczytam twoje dzieło, mistrzu, jako kapłan Deniera. Wiesz o tym. — Być może sądząc, że zmieni moją decyzję, Foxe zaczyna rozpakowywać moje rzeczy.

— Aby ukryć je w jednym z waszych pomieszczeń, gdzieś w piwnicach, wraz z innymi woluminami, zebranymi przez kapłanów.

— Nasze biblioteki są otwarte dla wszystkich. — Foxe usiłuje bronić swego kościoła, ale wyraźnie traci rezon. Wydaje mi się, że bardziej troszczy się o mnie i dlatego będzie mi go brakowało.

— Oprócz księcia są jeszcze inni.

— Foxe, jestem już zmęczony chodzeniem po prośbie od jednego miasta do drugiego. Nic tu po mnie. Wracam w ojczyste strony. — Szoruję dłonią po głowie, na której pojawił się już drobnutki zarost.

Dłonie Foxe'a zatrzymują się w powietrzu. Trzyma w nich ryzę zapisanego atramentem pergaminu.

— Wyjeżdżasz? Kiwam głową.

Foxe odkłada papier i delikatnie wygładza nocną koszulę. Mówi z wielkim smutkiem.

— Nie musisz wyjeżdżać. Wszyscy w świątyni to potwierdzą. Nawet największy skryba chwali twą mądrość i wiedzę.

— Nie, Pierworodny Foxe, naprawdę nic tu po mnie.

Widzi, że jestem zdecydowany i rezygnuje. Przez chwilę po prostu mi się przygląda, aż w końcu z wielkim wahaniem podaje mi wypakowane rzeczy. Pracujemy w milczeniu, czując więź, jaka może niekiedy połączyć uczonego i jego sekretarza.

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, uznałem go za gruboskórnego i oschłego, ale on w ten sposób tylko starał mi się pomóc. Dowiedziałem się od niego wielu rzeczy na temat Zachodu — mniej na temat królów i pospólstwa — więcej, niż kiedykolwiek miałem okazję dowiedzieć się w Suzail. W zamian próbowałem nauczyć go właściwych manier, ale Foxe nie może być kimś innym niż jest, zgodnie ze swoją karmą — mój wpływ jest już w to wliczony. Ja również muszę pogodzić się z losem, jaki został mi wyznaczony na podstawie moich poprzednich żywotów.

Ledwie poskładaliśmy sterty pożółkłych pergaminów i po-wiązaliśmy niektóre z nich w paczki, gdy nagle od schodów dobiega nas odległe dudnienie kołatki u drzwi. Czuję zimny, irracjonalny dreszcz przeszywający mnie na wskroś. Czyżbym obraził księcia Piniago bardziej, niż mi się wydawało — na tyle iż zdecydował się wysłać przeciwko mnie swoich oprawców? Myśl pryska tak szybko, jak się pojawia — asasyni nigdy nie stukaliby do głównych wrót.

— Szybko, zobaczmy kto to, nim obudzi wszystkich w wieży — spoglądam na Foxe'a; nawet choć senny i z podwójnym podbródkiem, widać wyraźnie, iż jest zaciekawiony.

— Przez całą noc nic, tylko kłopoty i niespodzianki — jęczy mój towarzysz, patrząc na swe gołe palce stóp wystające spod rąbka nocnej koszuli i wraca spieszenie do swojej celi, by nałożyć bardziej stosowne odzienie.

Ubrawszy się pospiesznie, Foxe schodzi za mną po krętych schodach, zawiązując pas. Pukanie rozbrzmiewa ponownie, gdy przemierzam główny hol, wciąż jeszcze oświetlony palącymi się przy ołtarzu świecami. Przy drzwiach stoi ogromna postać. W pierwszej chwili myślę ją z naszym gościem, ale zaraz stwierdzam, iż jest to ni mniej, ni więcej, tylko nieudany kopista siostry Deary. Na rozkaz Foxe'a skrzypiący golem otwiera ogromne drzwi, by wpuścić gościa do środka.

Mężczyzna wchodzi bez słowa i skłania się nisko Foxe'emu i mnie. W blasku świec jego odzienie błyszczy jedwabiście, ciemnoniebiesko, ale krój szaty jest taki jak mój — khazarski. Włosy ma czarne i splecione w warkocz. Nie nosi herbu ani godła, ale sądząc po ubiorze, nie ulega wątpliwości, że musi być czyimś sługą.

— Lamo Koja z Czerwonej Góry — mówi uprzejmie sługa. Jego głos ma znajomy akcent z moich rodzinnych stron.

— Moja pani słyszała o twoich kłopotach dzisiejszego wieczoru. Ma nadzieję, że zechcesz zaszczyścić ją swą obecnością na późnej wieczerzy.

Jak to możliwe, by ktoś dowiedział się o tym, co się wydarzyło i zadziałał tak szybko? Może dzięki czarom, ale kto zadawałby sobie trud stosowania wobec mnie podobnych czarów?

— Wieczera? Pani? Sprecyzuj — mówię ostrożnie. Sługa uśmiecha się.

— Nie ma powodu do obaw, Lamo Koja. Moja pani jest przyjaciółką uczonych. Chodź szybko, gdyż nie zabawimy w mieście długo.

— Nie robiłbym tego, mistrzu — radzi niedyskretnie Foxe.

— To może być złodziejska sztuczka.

Foxe może mieć rację. Nie powinienem iść, niemniej jestem zbyt zaintrygowany, by odmówić. Poza tym doskonale potrafię sam się obronić. Podczas lat spędzonych wśród żołnierzy Yamuna nie tylko ich obserwowałem, a lamowie z klasztoru Czerwonej Góry nauczyli mnie doskonale, jak radzić sobie z duchami. Zabrawszy ze sobą kilka fetyszy będę bezpieczny. — Moje proste szaty będą afrontem dla twojej pani. Pozwól mi się przebrać, a potem zaprowadzisz mnie do niej.

Sługa ponownie się uśmiecha. W jego oczach pojawia się koci błysk, a ostrość jego zębów zadziwia mnie. Na górze znajduję ochronne fetysze, które zamierzam zabrać ze sobą. W drodze powrotnej na dół odmawiam modlitwę i odczyniam uroki mające uchronić mnie od złego.

Znalazłszy się poza świątynią otacza nas mgła, tak że ledwo widzę mego przewodnika. Idzie żwawym krokiem, ale zawsze pozostaje w zasięgu mego wzroku. Mijamy bramę Dzielnicy Świątyń, a mgła jest tak gęsta, że strażnicy nawet nie pytają nas — kto idzie — nigdy nie widziałem strażników, którzy byliby tak niedbali. Szybko recytuję sutrę Czystej Myśli, aby wzmocnić swe siły przeciwko złu. W bezmyślnej brawurze nie ma za grosz mądrości.

Na Wielkiej Drodze skręcam automatycznie w kierunku Dzielnicy Szlachty, sądząc, że tam właśnie zatrzymała się moja gospodyni.

— Nie tędy, szlachetny lamo — woła pośród mgieł sługa, skręcając ku nabrzeżu. — Jak powiedziałem, moja pani jest w mieście jedynie przejazdem.

Mijamy kolejne bramy wzdłuż Wielkiej Drogi — Dzielnice Kupców, Dzielnice Poszukiwaczy Przygód, z dachami wymalowanymi na czerwono, a następnie kiepsko strzeżoną Dzielnice Biedoty. Na końcu Wielkiej Drogi ścieżka prowadzi nas bliżej ku sercu morskiej mgły, mijamy ogromne wieże określające granicę nabrzeża. Nie zatrzymywani przez nikogo — choć przecież powinno się tak zdarzyć — wchodzimy do portu. Dachy są tu różnokolorowe, jakby na znak niewielkiego wpływu, jaki na nie uregulowane nabrzeże ma thultyr Procampuru.

Przechodzimy szybko głównymi ulicami i wkraczamy w labirynt alejek, których nigdy dotąd nie odwiedziłem. Mijamy obskurne winiarnie i pokoiki, służące do niedwuznacznych celów. Mija nas kołyszący się na nogach, pijany marynarz zawodzący pieśń bojową śpiewaną, jak słyszałem, przez żołnierzy w Thesku.

Ginie w cieniu smukłej pary półelfów, które przyglądają mi się ze zdecydowanie podejrzanym zainteresowaniem. Jedno spojrzenie mego przewodnika odbiera im odwagę i znikają wśród nocy. Przyspieszam, by dotrzymać mu kroku, gdyż ruch na ulicach jest większy, niżbym sobie tego życzył.

Pokonawszy więcej zakrętów i uliczek, niż mógłbym spaścić, sługa zatrzymuje się przy bramie. Otwierając pchnięciem skrzypiące drzwi odstepuje na bok i daje mi znak, bym wszedł.

— Moja pani oczekuje cię w ogrodzie.

Nie znam całego Procampuru, ale wiem, że nabrzeże jest zatłoczonym, smrodliwym miejscem, gdzie z całą pewnością nie ma żadnych ogrodów. A już z całą pewnością nigdzie w tym miejscu nie widziałem takiego ogrodu, jaki właśnie ukazuje się mym oczom.

Mgła spowijająca port rozrzedza się tu, odsłaniając starannie wypielegnowany krajobraz. Nie migoczące płomienie pochodni oświetlają ogrodową ścieżkę wijącą się pośród kwitnących krzewów i zielonych traw. Wiosenna bryza ogrzewa me zbolące kości.

Pocieram moje fetysze, spodziewając się mrowienia w palcach, oznaczającego obecność złych mocy. Kiedy nic się nie dzieje, podążam oświetloną ścieżką, która prowadzi mnie do kręgu kobierców rozpostartych pod obsypaną liśćmi wierzbą.

Kobierce są tuigańskie — nigdy nie pomyliłbym tego splotu z żadnym innym — a pośrodku nich stoją starannie ułożone talerze i tace. Czuję wyraźnie zapach kaszy tsampou doprawionej masłem herbaty. Stoją tu skórzane worki, wypełnione — o czym jestem przekonany — kumysem, i parujące talerze pełne zieleniny i korzeni, których nie widziałem, odkąd byłem dzieckiem. To zadziwiające, ale właśnie dlatego, że dziwne, nie odważam się skosztować. Słyszałem od cudzoziemców opowieści o zaczarowanym jadle, pułapkach zastawianych przez zdradzieckich mieszkańców Krainy Umarłych. Nie widząc wokoło nikogo, recytuję ochronną sutrę, by oczyścić jedzenie. Zadowolony, żwawo zagłębiam palec w najbliższej misie.

— Mędrze Koja — nie zamierzam cię skrzywdzić. Usiądź proszę i posil się, jeżeli zechcesz zaszczycić mnie obecnością przy mym stole.

Jestem zaskoczony, słysząc te słowa i ze zdumienia zatrzymuje wilgotny palec tuż przy ustach. Czuję się jak nowicjat przyłapany na drzemce podczas medytacji. Głos jest

melodyjny, dźwięczy jak odgłos gongu rozlegający się wysoko pośród górskich zboczy, nawołujący do porannej modlitwy. Gałęzie wierzby szumią, a z ciemności wylania się kobieta w stroju khazariańskiej szlachcianki. Jedwabie jej błyszczącej sukni falują łagodnie, gdy się porusza — podobnie jak zdobiące jej szatę kwiaty i chmury. Nosi naszyjnik z nanizanych na nici srebrnych monet, niemniej zachowuje postawę pełną spokoju i swobodności.

Pomimo swojego ubioru nie jest ciemnowłosa, niską khazarianką. Jest wysoka i silna. Jej pociągłe, blade oblicze okalają złote włosy, tak długie, że zakrywają fragmenty naszyjnika ze srebrnych monet. Małe usta, szerokie oczy i nos, odrobinę za długi, nadają jej obliczu nieziemskiego wręcz uroku, nieporównywalnego z pięknem czysto fizycznej natury. Nie czekając na mnie siada ze skrzyżowanymi nogami na matach i zaczyna się posilać. Gdy je, kosztując jadła z różnych talerzy, ja, zdumiony jej przybyciem, sprawdzam ją sutrą Stu Lotosów, która z całą pewnością sprawiłaby ból złemu duchowi. Nucę półgłosem słowa, ona zaś sprawia wrażenie, jakby w ogóle tego nie zauważyła. Być może nie jest duchem, jak w pierwszej chwili przypuszczałem. Moja gospodyni może być potężną czarodziejką — aczkolwiek nie mniej groźną od złego upiora.

Siadam naprzeciw niej, nie chcąc być nieuprzejmy, ale w taki sposób, by nie znaleźć się jednocześnie zbyt blisko. Nalewam sobie owsianki do małej miski i jem wraz z nią. Smak jest pełniejszy niż ten z moich wspomnień — przepelnia go obraz jesiennych poranków, gdy siadałem przy palenisku i patrzyłem, jak moja matka miesza w buchającym parą kociołku. Rozkoszuję się tym smakiem wiedząc, że jadło zostało oczyszczone przez moją sutrę. Głód — zarówno ten fizyczny, jak i ten za fragmentami z mojej przeszłości, zaczyna być zaspokajany, gdy nabieram rażno kąski z innych ustawionych przede mną półmisków. Są tu słodkie melony, jakich nie widziałem od czasu, gdy znalazłem się wśród cudzoziemców, i kapusta rosnąca jedynie w kotlinach wśród wzgórz poza Manass. Moja gospodyni przygląda mi się w milczeniu.

— Szanowna pani, muszę to wiedzieć. Jakim sposobem udało ci się zdobyć takie delicje? Tego typu jadło byłoby godne stołu khazariańskiego księcia.

Chyli delikatnie głowę, przyjmując mój komplement.

— Podróżowałam przez wiele różnych krain. Kiedy wiesz, że takie jedzenie istnieje, nietrudno jest je zdobyć.

Wiem, że to nieprawda, gdyż próbowałem zrobić to samo, ale bezskutecznie. Potrzeba potężnej magii, by sprowadzić tego typu ingrediencje ze Wschodu tak, aby zdołały zachować świeżość. Pytam więc dalej:

— Niegodzien jestem, by cię o to pytać, ale muszę wiedzieć, kimże jesteś, że zasłużyłem sobie na tak wielką życzliwość z twojej strony?

Uśmiecha się i wiem już, że jej odpowiedź nie będzie szczera.

— Jestem po prostu dobrodziejką uczonych. Słyszałam o tobie nawet w odległych stronach.

— Jakim imieniem mam cię zwać?

— Żadnym, gdyż po dzisiejszej nocy już nigdy mnie nie zobaczysz.

— Dlaczego mnie tu przywiodłaś?

Jej łagodny ton głosu sprawia, że drzę, ale nie z zimna czy strachu, lecz z podniecenia, nasyconego odrobiną zaniepokojenia.

Moja gospodyni podnosi się spokojnie, jakby nie chciała mnie tym przestraszyć.

— Przez wiele lat pracowałeś nad historią jeźdźców ze wschodu, Tuiganów — a teraz ukończyłeś swe dzieło. Mam sucho w ustach i nie mogę przełykać. ^

— Jest prawie ukończone.

— Obecnie szukasz mecenasa, aby wydrukować swoją księgę. Dziś wieczorem złożyłeś wizytę księciu Piniago.

Moja odpowiedź brzmi nieco łagodniej, gdy mówię ostrożnym tonem:

— Popeliłem błąd, że to uczyniłem. Książę nie był zainteresowany moją pracą.

Śmieje się, a dźwięk ten przypomina szum wody spływającej po kamieniach.

— Rozumiem, że był aż zanadto zainteresowany, i że to ty powiedziałeś nie. Niektórzy mówią, że zachowałeś się wobec księcia grubiańsko, ale o ile wiem co nieco na temat tego gbura, musiały być po temu powody.

— Posiadasz pani szybkie i dokładne źródła informacji — odpowiadam, zwilżając usta łykiem herbaty. — To prawda, że odmówiłem księciu, ale tylko dlatego, że pragnął ukryć moje dzieło przed innymi. Zawiodłem przez swą dumę, pani. Nie mogłbym przyjąć jego warunku, wiedząc, że inni ludzie nie będą mieli większego pożytku z mego dzieła.

Słyszając te słowa, unosi lekko jedną brew.

— Tak gorąco pragniesz propagować swoje nauki, a jednocześnie jesteś gotów zaprzestać pracy i powrócić do swej ojczyzny.

— Skąd o tym wiesz? — odsuwam się od niej powoli. Wełniany kobierzec ciągnie poły mojej szaty, gdy się po nim przesuwam.

— Mój człowiek słyszał, jak rozmawiałaś ze swoim sługą, gdy go po ciebie posłałam.

Nie wierzę jej, zwłaszcza teraz, siedząc w tym wiosennym ogrodzie, spowitym bujną zielonością jak żadne inne miejsce w Procampurze. Fakt, iż o tym wie, świadczy tylko o ogromie jej mocy. Mimo to, powodowany rozsądkiem, nie zarzucam jej kłamstwa.

— Koja z Khazari, są ludzie, którzy sądzą, że świat potrzebuje nauki, ale tych, którzy będą jej szukać, jest bardzo niewielu. Niebawem nie będzie już prawdziwych uczonych, tylko ludzie tacy jak księżę Piniago.

Nagle ni stąd, ni zowąd przypominam sobie o zaklęciu sprawiającym, że można postrzegać rzeczy takimi, jakie są naprawdę. Pamiętam wersy i rytuał, ale potrzebuję czegoś, co uaktywniłoby sutrę.

— Przybyłam — ciągnie moja gospodyni — by złożyć ci ofertę. Jestem skłonna zostać twoim mecenasem, doprowadzić do wydania twojej książki — za pewną przysługę. Ja również interesuję się wiedzą. — Jej usta rozchylają się i dostrzegam błysk białych zębów, gdy oczekuje na moją odpowiedź.

Kumys, zauważam bezgłośnie. Mógłbym uaktywnić je odrobiną kumysu.

— Co miałbym dla ciebie uczynić, o wielka czarodziejko? — Usiłuję poprzez uhonorowanie tym tytułem oszacować jej reakcję.

Ponownie wybucha śmiechem; lodowe sople łamiące się na skutym lodem stawie.

— Zwracasz się do mnie swymi zaszczytnymi tytułami, lamo, jestem jedynie damą.

Przesuwa się bez trudu po dywanach, by ponownie usiąść obok mnie.

— Chodzi mi o przysięgę — wiążącą i nie do przełamania. Uczynisz to? — Jej oczy rozplomieniają się ognikami ożywienia.

— Przysięga? — Sięgam do stojącej przede mną misy z kumysem i zamaczam palec w białym płynie. — Czy w tej przysiędze nie będzie nic grzesznego?

— Sama w sobie przysięga nie przyniesie szkody tobie ani nikomu innemu. Poza tym, twój los należy tylko do ciebie.

Jestem gotowy. Niemal przerażony tym, co ujrzą me oczy, przyskam kilkoma kroplami kumysu w stronę kobiety intonując sutrę Światło Słońca po Burzy — która oczyszcza umysł z iluzji. Moja gospodyni, zaskoczona, cofa się nieznacznie. I naraz, gdy przyglądam się jej, zdumiony do tego stopnia, iż nie jestem w stanie się poruszyć, jej złote włosy stają się kruczoczarne, przyozdobione złotym diademem. Jej ciało poczyną falować, a twarz zmienia się, gdy spada z niej maska kobiecości. Biała poświata, niczym piec, z którego nie bucha żar, oślepia mnie na krótką chwilę. Gdy me oczy przyzwyczajają się do blasku, widzę stojącego w centrum światła mężczyznę; jest krępy i sztywno wyprostowany, przyodziany w tunikę najczystszej bieli.

— Na wielkiego i potężnego Furo! — szepczę, błyskawicznie odwracając wzrok. Nie mam przed sobą czarodziejki ani nawet ducha, lecz moc potężniejszą niż ta, którą dysponują śmiertelnicy, żywi czy umarli.

— Koja z Khazari, widzisz teraz, czym jestem. — Głos brzmi donośnie, w słowach słyhać silne, dźwięczne akordy. — Wiedz, że cię nie skrzywdzę. Jam jest Denier, władca Glifów, sługa Oghmy, boskiego patrona bardów. Jam jest Denier, w którego świątyni pracowałeś. A teraz, lamo, czy jesteś gotów złożyć mi przysięgę?

Głos płynący z ognia jest silny, acz kojący, toteż nawet w obliczu Boga nie odczuwam lęku. Przysłaniając lekko oczy przed spowijającą go aureolą światła, jestem w stanie ponownie spojrzeć na ducha.

— Nieśmiertelna świetlistości, czego żądasz ode mnie, niegodnego uczonego?

Denier bez słowa wskazuje ręką w stronę wciąż jeszcze mrocznych murów Procampuru.

— Pisz dla cudzoziemców, aby zachęcić ich do czytania. Pozostań na Zachodzie i stań się muzą dla mieszkańców tych stron. Uczyni tak, a nigdy nie zaznasz rozpacz.

W tym momencie mu przerywam.

— A zatem nie mógłbym powrócić w ojczyste strony.

— Nie, dopóki nie będziesz gotów, by umrzeć, lamo. Pozwoliłem ci zaznać smaku ojczystych stron, za którymi tak tęskniłeś. Czy teraz powrót tam byłby dla ciebie równie słodki i cudowny, jak go sobie wyobrażałeś?

Patrzę na jądło, stojące przede mną na kobiercach i skąpane w jego blasku.

Po śmierci Yamuna Tuigani nie miałoby powodu, by powitać mnie w swym kraju z otwartymi ramionami. A czego mogłem oczekiwać po powrocie do Khazari, podbitego przez Yamuna w czasach, gdy mu wiernie towarzyszyłem?

Ze smutkiem przyznaję to, o czym w głębi duszy zawsze wiedziałem — moje wspomnienia stały się iluzjami, ulotnymi snami o miejscach, których nie mogę już określać mianem domu.

— Zgadzam się.

— A zatem załatwione. — Pojawia się potężny błysk światła i zostaję oślepiiony. Robię chwiejnie krok naprzód, moje zmysły umykają w czerń i chłód. Oczy me płoną, a czaszkę przeszywa pulsujący ból. Miękkie kobierce pode mną znikają i spadam nagle na zimne i mokre kamienie.

W końcu migoczące mroczki przed moimi oczami rozplywają się i znów mam przed sobą spowitą we mgle noc. Ogród i miękkie dywany zmieniły się w nagie, bezlistne drzewa i

chłodne kamienne płyty. Obok mnie, na jednej z nich leży mały woreczek. Biorąc go do ręki, rozsypuję sznurki i wysypuję na dłoń niewielką strużkę migoczących oślepiającym blaskiem klejnotów, wartych, jak sędzę, nie mniej niż dziesięć tysięcy złotych lwów.

— Mistrzu! — to głos Foxe'a. Odwracam się, gdy mgła się rozwiewa, by odsłonić przede mną portyk świątyni Deniera. Foxe szybko zbiega po schodach, nadal ubrany w tę samą pospiesznie narzuconą na siebie szatę, tak jak zostawiłem go godzinę czy więcej temu. Czuję się nagle głupio, siedząc wśród ciemności, w pomiętych, kompletnie przemoczonych szatach.

— Mistrzu, co się stało? Ostrzegalem cię, byś nie szedł. Jesteś bezpieczny?

Co mam mu powiedzieć? Z całą pewnością pomyślałby, że zostałem opętany lub zaczarowany. Gdyby nie te kamienie, również nie dawałbym wiary w to, co mi się przydarzyło, niemniej coś jednak musiałem mu odpowiedzieć.

— Byłem w domu, ale już wróciłem.

— Co?

— Później, Pierworodny Foxe. Jestem zmęczony. Pomóż mi wrócić do świątyni. Możemy się spakować jutro. Rozglądam się, by nabrać pewności, że jestem tam, gdzie myślę, że jestem.

— Nadal chcesz nas opuścić? — mówi smutnym tonem, wsuwając swą silną, wielką dłoń pod mój łokieć, aby pomóc mi wstać. Podnoszę się nieco chwiejnie, nadal zdezorientowany moim nagłym pojawieniem się przy wejściu do świątyni.

— Tak i nie, Foxe. Myślę... — Obracam w dłoni kilka kamieni, usiłując stwierdzić, ile książek mógłbym za nie nabyć. — Sędzę, że zanim zrobię cokolwiek, mam tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia. A potem... Czy mówiłem ci już, jak bardzo chciałbym odwiedzić Waterdeep? — Wchodzimy wolno po kamiennych stopniach świątyni. — Gdybym »zdecydował się wyruszyć w podróż, potrzebowałbym dobrego sekretarza, aby mi towarzyszył. Nie wiesz, gdzie mógłbym znaleźć kogoś odpowiedniego?

ZŁAMANE SERCE

Scott Ciencin

Penn Othmann nie potrafił wyjaśnić, dlaczego był tak zdenerwowany zamykając swój mały, ekskluzywny sklepik. Dzień minął spokojnie i, zgodnie ze zwyczajową rutyną, pracował do późna, katalogując antyki. Mimo to gdy Othmann miał zamknąć za sobą drzwi, przekreślić klucz i wypowiedzieć słowo uaktywniające magiczny system ochronny, ogarnęło go dojmujące, przeszywające do szpiku kości przerażenie. Chciał wrócić do środka i ukryć się.

To byłoby dziecinne — powiedział do siebie. W tak cywilizowanym mieście, jak Arabel nocą, nie ma się czego obawiać. Zupełnie niczego.

Nagle z ciemności wyłoniła się postać. Othmann poczuł eksplozję bólu w ramieniu i krzyknął. Został zraniony. Na próżno pragnął zaufać swym instynktom, ale było już za późno na obwinianie siebie. Jedyne co się obecnie liczyło, to przetrwanie.

Zanim Penn Othmann zdążył wydać kolejny dźwięk, dłoń napastnika zatkała mu usta. Othmann został szarpnięty w tył z przerażającą i niewiarygodną brutalnością; głową uderzył w ścianę. Przed oczyma wybuchła mu feeria świetlnych mroczków.

Napastnik chwycił go za ramię i przemówił cichym głosem wprost do ucha Othmanna. — Uciekaj! Jeżeli krzykniesz, wypruję ci flaki.

Kupiec rozpaczliwie chciał powiedzieć mrocznej, zdeformowanej postaci, że jest gotów zapłacić każdą cenę za darowanie mu życia, ale ton groźby wyraźnie dał mu do zrozumienia, że jego prośby na nic by się nie zdały.

Penn Othmann rzucił się do ucieczki, jak mu kazano. Biegł mrocznymi uliczkami miasta, pokonywał wąskie zaułki, przeskakiwał nad bramkami i pędził wśród opustoszałych alejek. Złotowłosy kupiec modlił się, by nie wysiadło mu serce. Chciał się zatrzymać, zaczerpnąć tchu i odpocząć, ale jego prześladowca pozostawał stale zaledwie o kilka kroków za nim. Zaprawa, jaką odbył trenując do cotygodniowego miejskiego biegu, sprawiła, iż ciało miał silne i smukłe, ale zimne, nocne powietrze boleśnie wgryzało się w krwawiącą ranę na jego rękę.

Dumna, przystojna twarz Othmanna wykrzywiona była grymasem bólu i wysiłku. Jego błękitne jak niebo oczy lustrowały bezustannie rozciągający się przed nim labirynt.

Nie zdawał sobie sprawy, że biegł z góry wytyczoną ścieżką, ku szczególnemu celowi — uświadomił to sobie dopiero, gdy pokonał kolejny zakręt i znalazł się na wprost

ciemnozielonej ściany zieleni. W gęstwinie krzewów ziała koszmarna, czarna szczelina, mroczne, łukowato sklepione wejście do cudownych ogrodów cytadeli. Dwaj strażnicy leżeli na brzuchu. Być może nie żyli, aczkolwiek Othmann nie mógł być tego pewien.

I nagle zrozumiał, dlaczego tu go sprowadzono. Zatrzymał się, a odgłos kroków za jego plecami ucichł. Ogarnęła go świadomość, że ucieczka nigdy naprawdę nie była możliwa, ale zaraz zastąpił ją strach, groza jakiej nigdy dotąd nie zaznał.

Drżąc, Penn Othmann odwrócił się i spojrzał w oblicze swego kata.

Mroczna postać uśmiechnęła się z rozkoszą i podeszła bliżej.

Delikatny szept przeniknął przez materiał snów Myrmeen Lhal sprawiając, iż smukła, zmysłowa brunetka drgnęła i obudziła się. — Myrmeen — powiedział głos mocnym, melodyjnym tonem — czas rozpocząć dzień, moja droga.

Jej ciemnoniebieskie oczy, usiane drobnymi złotymi plamkami, otworzyły się z trzepotem rzęs. Był ranek. Głos powtórzył wiadomość, a Myrmeen sięgnęła ręką do ozdobnego nocnego stolika przy łożu i zatrzymała dłoń przy cudownym, kryształowym feniksie.

— Myrmeen, już czas...

Głos umilkł nagle, gdy jej palce musnęły małą figurkę. Feniks był podarunkiem od adoratora, magicznym urządzeniem potrafiącym chwytać dźwięki, a następnie uwalniać je ponownie, o wybranej przez nią porze. Głos, który ją obudził, był jej własnym.

Myrmeen usiadła na łóżku i odwróciła się, by ocenić jakość światła wpadającego do komnaty przez ogromne okno po lewej stronie. Blask — delikatny i łagodny, przechodził przez jasnyniebieskie zasłony, które pomimo iż okna były zamknięte i nie było wiatru, poruszały się leciutko.

Myrmeen uśmiechnęła się pod nosem. Zasłony zostały nasycone kilkoma ochronnymi zaklęciami — podobnie jak wiele przedmiotów w ogromnej, przestronnej komnacie sypialnej, i przepływająca w nich energia powodowała ich falowanie. Gdyby jakimś sposobem intruz zdołał wybić szybę, zasłony owinęłyby się wokół nieszczęśnika i rozdarłyby go na strzępy.

Brutalne, to fakt, ale tego typu procedury ochronne należały do często spotykanych i koniecznych, jeżeli było się władcą któregoś z większych miast w Cormyrze.

Pułapki i zaklęcia ochronne mogły być ukryte praktycznie w każdej części pokoju. Ścianę za łożem zdobiła płaskorzeźba przedstawiająca półnagich wojowników splecionych w rozmaitych pozach walki na śmierć i życie. Metal rozbrzmiewał cichym, rytmicznym dudnieniem, nie przypominającym ani trochę bicia ludzkiego serca. Opodal znajdowała się wmurowana wanna, wypełniona spienioną, nasyconą wonnościami wodą. Na ścianach

między przykuwającymi wzrok wspaniałymi obrazami wisiała kolekcja różnego rodzaju broni. Każdy z tych przedmiotów mógł okazać się czymś więcej aniżeli dziełem sztuki.

Myrmeen zmarszczyła brwi i ponownie położyła się na łóżku, usiłując zasnąć. Dręczyły ją koszmary, które jednak zaczynały już blaknąć, i martwiła się, że efekty niespokojnej nocy będą dawać się jej we znaki przez cały dzień. Gdyby mogła odpocząć godzinę lub dwie, mogłaby przetrwać dzień nie ziewnąwszy prosto w twarz jakiemś dygnitarzowi.

Śniła o swym trudnym dzieciństwie, nieudanym pierwszym małżeństwie i śmierci jej drugiego, ukochanego męża, Haverstroma Lhala. Wiedziała, że powinna przywyknąć do koszmarów, niemniej jednak każdej nocy dręczyły ją od nowa z jednakowo wielką siłą.

Nie była już pewna, czy kiedykolwiek zdoła się od nich uwolnić.

Ciepła, dająca ukojenie fala spowiła jej ciało, gdy usiadła na łóżku, odsłaniając nagie plecy pokryte siateczką blizn — pamiątką po czasach, gdy pędziła swobodny żywot poszukiwaczki przygód. Nagle poczuła dłoń chwytającą ją za ramię — twardą i zimną jak z brązu. Obudziła się natychmiast i spojrzała na znajdującą się za nią płaskorzeźbę. Wojownicy trwali niezmiennie w swoich stałych pozycjach.

Figurka feniksa przy jej łożu zadrgała i przekazała kolejną wiadomość.

— Już czas, milady. Delegacja przybyła. Z jednej strony, nie zazdrozczę ci. Z drugiej, jedyne o co musisz się martwić, to aby dobrze się wyspać. Powodzenia i przyjemnych chwil przy podejmowaniu delegacji.

— Jeszcze jedna delegacja — mruknęła Myrmeen. — Chyba umrę. — Nagle rozległo się pukanie do drzwi. — Chwileczkę!

Myrmeen wyciągnęła rękę przed siebie, jakby rozsuwała nie-widzialne zasłony. W powietrzu pojawiła się lśniąca szczelina, wyfrunęła z niej migocząca czarna suknia, i znalazłszy się na jej ciele dopasowała wręcz idealnie do jej wąskiej talii, pełnych piersi i wspaniałych krągłych bioder.

W chwilę potem za suknią podążył diadem, po czym rękawiczki, biżuteria i buty. Podarunek ten otrzymała od innego maga — była to wspaniała toaletka, istniejąca na poły w tej, na poły zaś w innej przestrzeni. Mogła również wykorzystać szczelinę międzywymiarową, by pospiesznie opuścić swą komnatę, w razie gdyby Cytadela została zdobyta przez atakujące wojska nie-przyjaciela. Zadurzony w niej czarnoksiężnik zapewnił ją, że tylko ona może otwierać lub zamykać Bramę.

— Wejść! — zawołała.

Drzwi otworzyły się i Myrmeen odwróciła się, by zobaczyć Evona Stralanę, ministra obrony Arabel. Wysoki, chudy, ciemnowłosy mężczyzna sprawiał wrażenie strapionego. Jego i tak już blada twarz stała się idealnie biała.

— Delegacja — powiedziała Myrmeen, uśmiechając się. — Jestem spóźniona.

— Nie o to chodzi — stwierdził posepnie.

Jej postawa zmieniła się gwałtownie. Nie chodziło o błahą sprawę — czuła to. Stało się coś złego, coś bardzo złego, coś, co przełamało opokę spokoju i rezerwy Stralany.

— Powiedz mi — ucięła Myrmeen.

— Miało miejsce morderstwo.

— Kto został zabity?

— Kupiec. Penn Othmann. Nie wydaje mi się, bym widział jego nazwisko wśród osób, którym udzielałaś audiencji.

— Nie. Nie kojarzę tego nazwiska. — Odczekała chwilę. Musiało być coś więcej. Stralana nie przejąłby się tak zwykłym morderstwem. Arabel było wielkim miastem i gwałtowna śmierć nie należała tu do rzadkości. — Co jeszcze?

— Ciało znaleziono w ogrodach. Jej dłonie zacisnęły się w pięści, a paznokcie aż do krwi wbiły we wnętrza dłoni.

— Zabito go na miejscu, czy ciało zostało tam podrzucone?

— Umarł w ogrodach.

Myrmeen poczuła, że jej skóra staje się coraz chłodniejsza.

— A co ze strażnikami?

— Znaleziono ich dziś rano — unieszkodliwiono ich czarami, ale są cali i zdrowi. Nie pamiętają, co się wydarzyło.

— Zakłęcia chroniące ogrody?

— Zdjęte.

— Chcę to zobaczyć.

— Tak — rzekł Stralana. — Myślę, że powinnaś.

Palące języki słonecznego światła przenikały wśród listowia wysoko nad centralnymi ogrodami w pobliżu Cytadeli. Altanki, łukowate sklepienia porośnięte różami i rzeźby artystycznie poprzycinanych krzewów, przedstawiające bogów i półbogów otaczały dwie postaci stojące pośrodku ogrodów, gdzie odnaleziono głowę Othmanna. Żołnierze pełnili tam wartę, by odstraszać ciekawskich.

— Na wszystkich mieszkańców Otchłani — wyszeptala Myrmeen zwracając się do Stralany. — Szczątki tego człowieka zaścielają cały ogród od jednego końca do drugiego. Ktokolwiek lub cokolwiek to było — musiało go nienawidzić z całego serca.

— Tak — rzekł półgłosem Stralana.

Przyglądając się efektom rzezi, Myrmeen zaczęła drżeć — ogrody były niegdyś osobistym azylem, cichą przystanią dla niej i jej męża.

— Chcę wiedzieć, kto to zrobił.

— Rozumiem. Śledztwo trwa, ale ciało opiera się wszelkim formom przywołań i magii duchów. Jego dusza odpłynęła i nie sposób jej przywołać.

— Więc należy podjąć inne kroki. Czy nasi łowcy zbadali już ślady?

— Oczywiście. Oznajmili, że morderca — bądź mordercy — zatuszowali wszelkie ślady, jakie mogli pozostawić. Nie sposób określić, ilu ich było, czy byli to mężczyźni, czy kobiety i czy w ogóle byli to ludzie. Myrmeen zasepiła się.

— Powiadasz, że był kupcem?

— Tak. Sprzedawał artefakty. Jedne magiczne, inne nie. Jego sklepik znajdował się obok Towarów Egzotycznych Elhazir.

— Słyszałam rozmowy służących na temat tej Elhazir. Obnoszą się z nabytą tam fałszywą biżuterią z taką dumą, jakby była prawdziwa. Elhazir sprzedaje kopie moich najwspanialszych sukien. Handluje błyskotkami, które, jak twierdzi, zostały obdarzone przez bogów przerażającą mocą. — Myrmeen przerwała. — Czy Othmann rywalizował z Elhazir? Czy możemy mieć do czynienia z przypadkiem zawodowej rywalizacji?

Stralana pokręcił głową.

— Szczerze w to wątpię. Podobnie jak w przypadku wszystkich innych rzeczy, magiczne artefakty sprzedawane przez Elhazir to tanie imitacje. Othmann handlował prawdziwymi dziełami Sztuki. — Minister chrząknął i dodał: — Jak nam doniesiono, nocą kilku młodzieńców weszło przez otwarte drzwi do sklepiku Othmanna. Weszli do środka, nie zdając sobie sprawy ze znajdujących się tam pułapek zabezpieczających. Dwóch chłopców zostało poparzonych, ale wyjdą z tego. Trzeci pod względem umysłowym został zredukowany do poziomu niemowlaka, a jeszcze inny zmienił się w blade, kruche stworzenie, dla którego najlżejszy ruch może się skończyć strzaskaniem kończyn i uszkodzeniem organów. W ten właśnie sposób dowiedzieliśmy się o zaginięciu Othmanna. Usiłowaliśmy go zlokalizować, aby ustalić rodzaj pułapek znajdujących się w sklepie, by magowie wynajęci przez rodziców dzieci mogli odwrócić wiążące ich zaklęcia. Chcieliśmy również dowiedzieć się, dlaczego zostawił otwarte drzwi, w tak. bądź co bądź, kuszący sposób. Chłopcy postąpili

źle wchodząc do środka, niemniej praktycznie zostali tam zaproszeni. Jeden ze strażników, któremu podano opis Othmanna, był również jednym z pierwszych, którzy przybyli dziś rano do ogrodów. Dlatego ofiarę tak szybko zidentyfikowano. Stralana wskazał na strażnika stojącego w pewnej odległości od pozostałych.

— Poprosiłem go, by zaczekał, aż skończysz, w razie gdybyś chciała z nim porozmawiać.

Kiedy Myrmeen pokręciła głową, wzruszył ramionami i dodał:

— Kiedy tylko zidentyfikowaliśmy zwłoki, wysłałem dwóch naszych najlepszych czarnoksiężników i kilku śledczych do sklepu Othmanna. Elhazir zjawiała się tam błyskawicznie. Miała całą masę pytań, a kiedy dowiedziała się, że Othmann nie żyje, wydawała się szczerze zasmucona. Powiedziała naszym ludziom prawie wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć — że Othmann specjalizował się w drogich artefaktach, magicznych i nie tylko. Otwierał swój sklep tylko, gdy był z kimś umówiony. Elhazir podsyłała mu swoich klientów, gdy stwierdzała, że wiedzieli, czego chcą i nie dawali się skusić jej gładką kupiecką gadką. W zamian za to Othmann sownie się jej odpłacał.

— Czy Othmann był magiem? — spytała półgłosem Myrmeen.

— Nikt tego nie wie.

— Ale handlował przedmiotami posiadającymi magiczną moc. Mogłabym się założyć, że jeżeli nie był praktykiem sztuki, musiał pozostawać w bliskiej przyjaźni z kimś, kto parał się magią. Właśnie ten ktoś mógł unieszkodliwić naszych strażników, znieść zaklęcia chroniące ogrody i zabić Othmanna.

Stralana pokiwał głową.

— To całkiem możliwe, ale Elhazir nie wspomniała nic o żadnym wspólniku. Wydaje się, że Othmann prowadził swój interes w pojedynkę.

— A zatem kłamie albo jest źle poinformowana. Co powiedziała twoim ludziom o uczuciowych związkach Othmanna?

— Tylko tyle, że utrzymywał je w ścisłej tajemnicy. Co do niej, stosunki między nimi układały się wyłącznie na płaszczyźnie handlowej i nic poza tym.

Myrmeen zamyśliła się przez chwilę.

— Nie chcę, by ktokolwiek wchodził do sklepu Othmanna, dopóki nie skończę podejmować tę nieszczęsną, spóźnioną delegację. Zaraz potem tam przyjdę. Aha, i chciałabym osobiście pomówić z Elhazir.

Bladolicy mężczyzna czekał cierpliwie na jej kolejny rozkaz.

— Evon, chciałabym pójść do altanki. Najlepiej byłoby, gdybym poszła tam sama.

— Oczywiście, ale...

Myrmeen zmierzyła swego ministra wzrokiem.

— Co, ale?

— Nic, milady — mruknął. Opuszczając wzrok z szacunkiem, Stralana oddalił się i powrócił do swoich ludzi.

Myrmeen szła samotnie przez ogród, aż w oddali przed nią pojawiła się elegancko urządzona altanka. Na przeciwległej ścianie był wyrzeźbiony feniks, symbol jej zmarłego męża. Pomyślała o jego stosie pogrzebowym i próżnej, śmiesznej nadziei, którą się ludziła, że Haverstrom jakimś cudem powstanie z popiołów. Powstał tylko w jej sercu, gdzie jakaś jego część pozostanie już na zawsze.

Te posępne myśli błyskawicznie zastąpiło uczucie szoku. Ściany altanki zbryzgane były krwią, posoka barwiła rdzawo płaskorzeźbę feniksa. Ktokolwiek zamordował Othmanna, pozostawił jego ciało w ogrodzie jako wiadomość dla niej. Nie mogło być innego powodu dla tego bezsensownego aktu wandalizmu.

Gniew dodał jej sił. Od dnia śmierci jej męża wielokrotnie trudno jej było dźwigać na swych barkach ciężar sprawowania rządów nad Arabel. Potrzebowała miejsca, które byłoby jej przystanią, gdzie zawsze czułaby się bezpieczna. Ogrody, a zwłaszcza to miejsce, pełniło rolę owego sanktuarium. Stojąc w tej altance, Myrmeen zawsze mogła przywołać w pamięci radość, miłość i zadowolenie, jakie znajdowała w ramionach swego męża.

W jej myślach przemykały jeden po drugim rozmaite obrazy. Przypomniała sobie poranek po próbie zdobycia miasta przez najeźdźców. Haverstrom został ranny, a jego uzdrowiciele powiedzieli, że to cud, iż udało mu się przeżyć. Nieomal słyszała jego głos, gdy uniósł w górę dłoń w metalowej rękawicy i zakrzyknął gniewnie do swych wrogów, obiecując, że doświadczą mrocznego cudu jego zemsty. A teraz również i ona pragnęła tego mrocznego cudu.

Krzyknęła przeciągle z wściekłości — był to okrzyk żadnej pomsty wojowniczkii.

Gdy odzyskała nad sobą kontrolę, oparła się jedną ręką o ścianę. To właśnie w tej altance Haverstrom się jej oświadczył. To w jej chłodnym cieniu wymieniali pierwsze pocałunki...

Widok tego co się stało, sprawił, że sama Myrmeen za-pragnęła przelać czyjaś krew. Tłumiąc w sobie najlepiej jak potrafiła te mroczne myśli, wyszła z altanki i podeszła do swoich ludzi, po czym rozkazała trzem z nich zdjąć napierśniki i oddać jej pikowane dublety, jakie mieli na sobie. Wykonali jej polecenie bez chwili wahania.

Wracając do altanki, Myrmeen podarła bluzy na pasy i zatrzymała się przy niewielkiej fontannie, gdzie zamoczyła przygotowane naprędce szmaty. Dotarłszy ponownie do altanki przyjrzała się uważnie karmazynowym rozbryźniętym śladom. Stralana był tu już wcześniej — wyczuła to po jego wahaniu. I skoro nic nie powiedział, można było przypuszczać, iż na podstawie tych śladów nie zdołano uzyskać żadnego znaczącego tropu.

Myrmeen zaczęła zmywać krew plamiącą białe ściany. Niebawem cała ociekała potem, a jej suknia zmieniła się w łach. Kilkakrotnie wracała do fontanny, ale nawet całą wodą z Wewnętrznego Morza nie zdołałaby przywrócić altanki do jej poprzedniego, nieskalanego stanu. A gdyby nawet udało jej się zmyć krew, miejsce to nie byłoby już takie samo, gdyż nigdy nie pozbyłaby się okropnych wspomnień.

— Brakuje mi ciebie, Haverstrom — powiedziała, muskając lekko palcami ściany — ale wiem, że gdziekolwiek jesteś, pomścisz to.

Odwróciła się i bezszelestnie wyszła z ogrodów.

Godzinę później Myrmeen stała w swojej sali tronowej otoczona z dwóch stron przez strażników. Evon Stralana i kilku jego żołnierzy obserwowało scenę ze stoickim spokojem z drugiego końca sali. Dwóch mężczyzn, kobieta i blisko tuzin kotów, zarówno domowych, jak i dzikich, znajdowało się przed tronem. Delegacja przedstawiła się jako reprezentująca rasę rzadko objawiającą się śmiertelnikom — władców kotów.

Myrmeen zeszywniała, zaniepokojona, że jej lęk przed jaguarem, którego przyprowadzili ze sobą, może zostać wykryty przez zwierzę. Otaczali ją strażnicy i ochronne zaklęcia, ale była dość obeznana z szybkością i zaciętością tych zwierząt.

Żeński koci władca uśmiechnął się, najwyraźniej wyczuwając dyskomfort Myrmeen. Kobieta poruszyła palcami w rękawiczkach i jaguar ułożył się u jej stóp. Myrmeen patrzyła nerwowo na zwierzę, myśląc o rozdartych na strzępy zwłokach Penna Othmanna.

— Nazywam się Siobhan — powiedziała kobieta. — Są ze mną Niccolo i Sauveur.

Myrmeen skinęła głową, wodząc wzrokiem po twarzach kolejnych kocich władców.

Nie sposób było określić wieku Siobhan. Wydawała się raczej młoda, ale w jej ruchach była jakaś niezgrabność, nietypowa dla ludzi z tej rasy. Być może to te wysokie, skórzane buty, które nosiła — wyglądały na raczej niewygodne.

Niemniej jednak nie sposób było zaprzeczyć urodzie Siobhan. Czarne włosy spływały jej kaskadą aż do pasa i niemal nikły na tle ciemnego, acz eleganckiego odzienia. Przenikliwe, szaroniebieskie oczy wpatrywały się w Myrmeen, a jej usta wykrzywił enigmatyczny uśmiech. Gdy pochyliła głowę na powitanie, amulet w kształcie serca, który nosiła na szyi, zakółsał się. Jedna strona złamanego serca była krwistoczerwona, druga zaś czarna.

Stojący za Siobhan Niccolo powiódł dłonią po gęstej, kasztanowej czuprynie, a Sauveur zakręcił głową tak, że srebrna kaskada włosów omiotła jego ramiona. Obaj mężczyźni byli olśniewająco przystojni.

Po wymianie uprzejmości Myrmeen zwróciła się do Siobhan, by przedstawiła swą prośbę.

— Nie mogę — odparła Siobhan. — Nie ma z nami naszego lorda dominanta. Coś go zatrzymało.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wkroczył urodziwy zielonooki mężczyzna. Miał ostre rysy, zmysłowe i kuszące, a oczy barwy najciemniejszego szmaragdu, jaki Myrmeen zdarzyło się widzieć. Miał na sobie czarną szatę w złote i jasnoniebieskie pasy. Jego koszula była jasnoczerwona.

Myrmeen zasiadła na tronie, a delegacja podeszła nieco bliżej. Siobhan skinęła na ciemnowłosego mężczyznę.

— Pragnę przedstawić lorda Zachariusza.

Zielonooki mężczyzna postąpił naprzód, ujął dłoń Myrmeen i polizał ją delikatnie. Myrmeen zdumiała się, on zaś tylko mrugnął do niej i rzekł.

— Ludzie zawsze spodziewają się po mnie czegoś takiego. — Ujął powtórnie jej dłoń, ucałował delikatnie, po czym cofnął się.

— Lordzie Zachariusie...

— Zaz, proszę. Nazywam się Zachlas Alandovos Zacharius. Zaz to skrót. Utarło się tak już od lat. Ludzie uważają, że Zaz brzmi właściwiej. Łatwiej wymówić.

— Jak sobie życzysz.

— Masz coś, co chcemy odzyskać. Coś, co należy do nas, ściślej mówiąc. Przybyliśmy, aby to odzyskać. Niemniej, aby powiedzieć ci, po co przyjechaliśmy do Arabel i co chcemy tu znaleźć, muszę najpierw powiedzieć ci kilka słów na temat naszej rasy. Dawno temu różne plemiona kotów prowadziły między sobą wojny. Atakowali je również naturalni wrogowie. Rzeź trwała wiele stuleci.

— Przez „koty” masz na myśli władców kotów. Twój lud. Zacharius zawahał się.

— Tak. Oczywiście.

Siobhan roześmiała się i przyklękła, by podrapać za uszami leżącego u jej stóp jaguara. Pół tuzina innych kotów zamiauczało zazdrośnie. Jaguar ziewnął, po czym wywrócił łbem i odwrócił się do Myrmeen. W oczach drapieżnika malowała się zdumiewająca inteligencja, spojrzenie było niemal hipnotyczne...

Trans został przerwany, gdy mały szary kotek odłączył się od stada i zaskakując Myrmeen, wskoczył jej na podolek.

— Strzeż się, o pani! — rzucił ze śmiechem Zacharius. — To nasz najzacieklejszy wojownik.

Kot uniósł wzrok spoglądając na Myrmeen i zamiauczał żałośnie. Podrapała go po bokach, a zwierzątko przymknęło ślepią i zadowolone zwinęło się w kłębek na jej podoleku.

Lord Zacharius powiedział:

— Satsuma, wielki wódz naszego ludu, oddał swe życie, by zjednoczyć wojujące plemiona przeciwko wspólnemu wrogowi. Wróg ów, choć pokonany, zdołał jeszcze zagrać swą ostatnią straszliwą kartą. To co uczynił, było okrutne i podłe. Wrodzy żołnierze ukradli kości Satsumy i rozproszyli po całym Faerunie. Mamy powód przypuszczać, iż jedna z tych sekretnych komnat grobowych znajduje się pod siedzibą uniwersytetu. Pozwól nam odzyskać szczątki naszego nieżyjącego przywódcy, aby jego dusza mogła wreszcie zaznać zasłużonego spokoju, a zaskarbisz sobie naszą wdzięczność po wsze czasy.

— Pod uniwersytem? — spytała Myrmeen. — Dokładnie pod budynkiem?

— Nie wiemy. Naturalnie trzeba go będzie zburzyć.

— Rozumiem.

Lord Zacharius przekrzywił głowę.

— Czy to będzie dla was problemem?

— Chyba tak. Kapłani Tymory, którzy tam rezydują, raczej lubią ten gmach. Podobnie jak studenci. — Myrmeen zmarszczyła brwi. — Skąd macie te informacje? Z jakiego źródła? Kto wam powiedział, że szczątki Satsumy znajdują się akurat tam?

— Nie mogę ci tego powiedzieć — odparł pospiesznie Zacharius. — Powiedziałem ci i tak więcej o naszej rasie, niż wie przeciętny śmiertelnik.

— Czuję się zaszczycona — mruknęła znużonym tonem Myrmeen. — Niemniej znalazłam się w niewątpliwie niekorzystnym położeniu. Wzniesienie gmachu uniwersytetu i uczynienie tej uczelni słynną zajęło wiele lat. Rozumiem twe potrzeby, lordzie Zachariusie, i sercem jestem po twojej stronie, ale prośba, jaką mi przedstawiłeś, jest raczej trudna do spełnienia.

W normalnych okolicznościach, Myrmeen odrzuciłaby prośbę Zachariusza bez dalszej dyskusji. Nie mogła wszakże wyrzucić z pamięci obrazu zmasakrowanych zwłok Penna Othmanna. Wizja powracała za każdym razem, gdy jej wzrok padał na leżącego u stóp Siobhan jaguara.

— Będę potrzebowała czasu, by rozważyć twą prośbę — stwierdziła ostatecznie.

— Rozumiem. — Zacharius poruszył palcami. Szary kotek zeskoczył z podłoka Myrmeen i podbiegł do niego. Zacharius zatrzymał się przy drzwiach, czekając aż Siobhan, Niccolo, Sauveur i wszystkie koty opuszczą salę. — Wezwij mnie, kiedy podejmiesz decyzję. Nietrudno będzie mnie znaleźć.

Z dziwnym, enigmatycznym uśmiechem odwrócił się i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Evon Stralana odłączył się od żołnierzy i podszedł do Myrmeen.

— Co o tym myślisz?

Twarcz władczyni skrzywiła się w groźnym grymasie.

— Jeżeli na ciebie kupca znajdziecie choć jeden koci włos, chcę, aby lord Zacharius i cała jego świta została sprowadzona na przesłuchanie. Tak czy inaczej dowiedzcie się możliwie jak najwięcej na jego temat i niech twoi ludzie śledzą całą jego grupę. Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymali, z kim się kontaktują — wszystko.

— Możesz uznać to za załatwione. A może tymczasem dowiedzielibyśmy się czegoś więcej o ofierze?

Niedługo potem Myrmeen zatrzymała się przed wejściem do sklepu Othmanna. Magowie niebawem skończyli pracę potwierdziwszy, iż można już bezpiecznie wejść do sklepu i pozwolili Myrmeen, aby podążyła za nimi. Nie było tu okien ani pochodni, które można było zapalić.

Wewnątrz sklepu na ścianach znajdowało się kilka półek, kilka przeszklonych szafek, stół z trzema krzesłami — jednym za i dwoma ustawionymi przed nim, oraz mały kantorek na zapleczu, gdzie ustawiono stos pustych skrzyń, by zasłonić sporej wielkości czarne pudło.

Podeszli do niego ostrożnie, gdyż chroniły je trzy zaklęcia. Były dość proste i łatwe do zdjęcia przez wprawnych czarnoksiężników. Wewnątrz znaleźli kilka mieszkań ze złotem i garść drogich kamieni.

Magowie przejrzeni kilka artefaktów znajdujących się w sklepie i potwierdzili, że każdy z nich był przedmiotem najwyższej jakości. Moc znajdująca się w nich była jak najbardziej prawdziwa. Sceptycznie odnieśli się jedynie do zniszczonej Harfy z Myth Drannor.

Pierwszy mag, zmęczony, starszy mężczyzna nazwiskiem Yolney, zwrócił się do swego partnera.

— W porządku, Walcott, zapisz to — pierścień niewidzialności, pięć fiolek płynu uzdrawiającego, dwa małe słoiczki maści przywracającej młodość i zapewniającej długowieczność oraz kielich, z którego napiwszy się, możesz zobaczyć przyszłość. Dość standardowy towar.

Walcott sprawiał wrażenie znudzonego i kompletnie obojętnego w porównaniu z pochłoniętym sprawdzaniem stanu towarów w sklepie Yolneyem. Mimo to pokiwał głową, po czym zwrócił się do Myrmeen.

— Posiada amulety, które eksplodują po gwałtownej śmierci ich właściciela. W formie zemsty eksplozja takiego amuletu może obrócić w perzynę połowę dzielnicy. Są tu przedmioty, dzięki którym można uwięzić zmiennokształtnego w jego obecnej formie i sporo innych. Wydaje mi się nieprawdopodobne, że został zabity z taką łatwością.

— Co mówisz? — spytała Myrmeen. Walcott wzruszył ramionami.

— Ten człowiek wiedział, że nocami na ulicach może być niebezpiecznie, a jednak nigdy nie towarzyszył mu żaden strażnik. Najwidoczniej uważał, że jest bezpieczny. Nie bał się doczesnych zagrożeń.

— To prawda — stwierdziła Myrmeen, przypominając sobie zeznania właścicieli kilku innych sklepików, których przesłuchała, czekając, aż magowie zakończą swoją pracę. — Chyba że nosił przy sobie jakieś magiczne artefakty, aby w razie napaści móc się bronić. — Przerwała. — Ale kiedy prze-szukaliśmy zwłoki, ani na ciele, ani przy ubraniu niczego nie znaleźliśmy.

— Może tego właśnie szukał zabójca — rzekł Yolney, starając się odzyskać słabnący autorytet. — Jakiś przedmiot, który Othmann nosił przy sobie.

— Jeżeli miał broń, dlaczego jej nie użył? — spytała Myrmeen.

— Może nie dano mu szansy — zauważył ponuro Walcott. — Zwłaszcza jeżeli morderca był potężnym magiem.

Myrmeen poczuła, że w sklepiku jest bardzo ciepło. Otarła pot ściekający jej po czole.

— Uważasz więc, że w grę mógł wchodzić napad rabunkowy? Dlaczego zatem sprowadzono Othmanna do ogrodów? Zakłęcia strzegące tego miejsca zostały już zdjęte. Czemu nie zaciągnięto go tam z powrotem i nie zamordowano tutaj? Mogli przy okazji oczyścić cały sklep.

— Jeżeli morderca był prawdziwym mistrzem Sztuki — rzekł Walcott — większość znajdujących się tu przedmiotów w ogóle by go nie zainteresowała. Jak już mówiliśmy, to raczej standardowy towar.

Yolney ponuro pokiwał głową.

— A dla potężnego czarnoksiężnika uporanie się z zaklęciami w ogrodach byłoby raczej dziecinną igraszką.

Całą trójkę zaskoczyło nagle pukanie do drzwi. Pojawił się w nich Evon Stralana i wprowadził do pokoju atrakcyjną kobietę. Myrmeen wysłała swego ministra obrony, aby sprowadził na przesłuchanie Elhazir, właścicielkę sklepu z towarami egzotycznymi. Kobieta miała miodowoblond włosy, oczy lśni i zacięte, niemal nie pasujące do niej usta. Ubrana była z raczej kiepskim gustem. Jej garderoba zdawała się niknąć pod nawałą tanich błyskotek, którymi handlowała. Suknia, jaką miała na sobie, była mamą kopią ostatniej sukni urzędowej Myrmeen.

Za kobietą szła młoda dziewczyna o szerokich, przerażonych oczach, ubrana w prostą, białą sukienkę. Dziecko spojrzało spoza swej pani na Myrmeen i jego oczy rozszerzyły się.

— Milady Lhal — powiedziała pierwsza z kobiet — jestem Elhazir. To moja asystentka, Andreana.

Dziewczyna ukloniła się i otworzyła usta chcąc coś powiedzieć, ale Elhazir nie pozwoliła jej.

— Czym mogę wam służyć, milady Lhal?

Myrmeen spojrzała w czerwone, podpuchnięte oczy Elhazir. Kobieta niedawno nakładała sobie makijaż, ale nie zdołało to ukryć faktu, iż przez ostatnich kilka godzin sporo płakała.

— Może gdybyś mogła odpowiedzieć mi na kilka pytań.

— Oczywiście.

— Skąd znałaś Penna Othmanna?

— Wpadał czasami, aby porozmawiać. Podobnie jak wielu innych kupców. Interesy ostatnio nie szły najlepiej.

— Miałaś z nim również układy finansowe?

— Owszem, ale raczej rzadko, gdy zdarzało mi się podesłać Pennowi jakiegoś mojego klienta.

— Czy zeszłej nocy widziałaś albo słyszałaś coś podejrzanego?

— Nie. Nic.

— Czy wydawał się ostatnio czymś zaniepokojony?

— Nie. Zachowywał się raczej normalnie.

Myrmeen położyła dłoń na ramieniu młodej dziewczyny.

— A ty, czy widziałaś coś albo słyszałaś? Andreana wzruszyła ramionami.

— Nigdy nie zwracam na nic większej uwagi.

— Tak — ucieła Elhazir — to twój problem. Nigdy na nic nie zwracasz uwagi, ty mała kretynko.

Myrmeen patrzyła, jak włosy wpadają dziewczynie do oczu, gdy spuszczała wzrok. Nie zdołało to zamaskować wyrazu bólu, który w nich dostrzegła. Zwracając się do Elhazir, Myrmeen zapytała:

— Czy miałabyś coś przeciwko, gdyby moi ludzie przeszukali twój dom i sklep?

— Proszę robić, co zechcecie — powiedziała Elhazir. — Ni-czego nie ukrywam.

— Oczywiście, że nie, ale może przeoczyłaś coś istotnego. Jeszcze jedno. Z kilku źródeł dowiedzieliśmy się, że Othmann miał romans z rudowłosą kobietą, mniej więcej mojego wieku — skłamała Myrmeen. — Wiesz może coś na jej temat?

Elhazir była kompletnie oszołomiona. Cofnęła się, po czym przygryzła dolną wargę.

— Nie, nic nie wiem.

— Miał również żonę w Suzail — dodała Myrmeen. — Uważamy, że może być pierwszą podejrzaną.

— Żonę — wyszeptowała Elhazir. — To ciekawe.

— Jeżeli żona dowiedziała się o kochance — lub kochankach — mogła wynająć maga, aby go zabił.

— Maga? On został zabity przez maga?

— Tak. Nie wiedziałaś?

— Nie.

Myrmeen pokiwała głową.

— Rozumiem. A o żonie?

— Nigdy mi nie mówił, że jest żonaty.

— Dziękuję ci za pomoc — powiedziała nagle Myrmeen. — Obie możecie odejść.

Kobieta skinęła głową, wzięła swoją asystentkę za rękę i obie wyszły ze sklepu. Towarzyszył im jeden z żołnierzy Myrmeen. Ciemnooka władczyni zwróciła się do Stralany.

— Othmann i Elhazir byli kochankami.

— Zdołałem się tego domyślić, dzięki twemu hmm... twór-czemu śledztwu.

— Chciałabym, abyś zlecił swoim najlepszym ludziom prze-szukanie domu i sklepu Elhazir. Idź, zajmij się wszystkim.

— Masz nadzieję znaleźć jakiś namacalny dowód związku Elhazir z Othmannem? Ustalić jej motywy?

— Poniekąd — stwierdziła Myrmeen. — Szczerze mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby okazało się, że sama jest czarodziejką albo zna tożsamość maga, który zabił Othmanna. Niemniej, nie możemy jej bezpodstawnie aresztować.

— A jeżeli moi ludzie niczego nie znajdą?

— W tej sytuacji niech obserwują ją dzień i noc. Historyjka o żonie i innych kochankach Othmanna zbiła ją z tropu do tego stopnia, że może popełnić błąd. Miejmy nadzieję, że się zdradzi albo doprowadzi nas do tego, kogo szukamy.

Nagle z ulicy dobiegł głośny wrzask, który sprawił, że Myrmeen, Stralana i jeden z żołnierzy wybiegli ze sklepika. Magowie i jeszcze jeden żołnierz pozostali w pomieszczeniu.

— Dochodził stamtąd — rzekł młody, jasnowłosy żołnierz, nazwiskiem Kynan Tofte, wskazując na alejkę po drugiej stronie ulicy. Dotarłszy tam zobaczyli staruszkę kucającą na stercie śmieci. Wymachiwała miotłą jak mieczem, broniąc się przed stadem syczących, atakujących ją pazurami kotów. Koty otoczyły ją i najwyraźniej przygotowywały się do ataku.

— Nie wróży to najlepiej — rzekł Stralana, gdy żołnierze pospieszyli kobiecie z pomocą. — Nieprawdaż?

Myrmeen patrzyła przez chwilę na koty uciekające w głąb alejki, po czym pokręciła głową.

— Nie. Obawiam się, że nie.

Przez kolejne trzy dni liczba incydentów związanych z kocią populacją w Arabel zwiększyła się. Pierwszego popołudnia dwa tuziny ludzi zostało zaatakowanych przez swych domowych ulubieńców. Jeszcze tej nocy liczba doniesień o konfrontacjach powiększyła się dziesięciokrotnie. Nikt nie został poważnie ranny, choć wielu mieszkańców stwierdziło, że wręcz umierało z przerażenia.

Włóczące się stado kotów, w sile kilkuset zwierząt, w samym środku dnia napadło na rybny kram i poważnie uszczupliło zapasy handlarza, zanim zdołano je odegnąć. Zniszczone zostały piekarnie i mleczarnie. Najznakomitszy krawiec w Arabel przyszedł do Myrmeen i zalewając się łzami donosił, iż cały skład odzienia, jaki przechowywał w swym magazynie, rozdarty został na strzępy małymi pazurami. W kilku przypadkach nie ulegało wątpliwości, iż odpowiedzialne były za to ręce ludzkie lub przynajmniej od czasu do czasu ludzkie.

Pół tuzina ulicznych przedstawień trup dramatycznych zostało przerwanych, a jeden ze spektakli, podczas którego w dużym stopniu posiłkowano się magią, pospiesznie zawieszono, gdyż aktorzy obawiali się, że koty rzucają im się do twarzy.

Jak w prawie całym Cormyrze, również w Arabel uważano koty za oczy i posłańców bogów. Zabicie kota było poważnym przestępstwem i wielu wołało przecierpieć w pokorze atak rozwścieczonych zwierząt, aniżeli ryzykować ściąganie na siebie gniewu któregoś z potężniejszych bóstw. Jedni ukrywali się po kątach i modlili o radę, podczas gdy ich sklepy były obracane w perzynę. Błagali o oświecenie, przerażeni, że w jakiś sposób obrazili swych bogów.

Z kolei inni poczuli się zmęczeni całą tą dziwną sytuacją i zbrojnie stawili czoła bestiom. Kilka kotów zostało zabitych, kilka okaleczono. Ci, którzy zabili choć jednego kota, stali się później ofiarami tajemniczych wypadków — w miejscach, gdzie ich znalezione, natrafiano zwykle na strzępki futra — niekiedy zakrwawionego.

Drugiej nocy nastąpiła eskalacja doniesień o napaściach — tym razem ucierpieli również kupcy, którzy rozbili swe kramy pod miejskimi murami. Opowiadali oni o potwornych stworzeniach przemykających pośród ciemności. Towary kupców zostały zniszczone. Inni kupcy skarżyli się, że ich towary stały się podobnym celem dla bezlitosnych wandalii, kiedy usiłowali opuścić Arabel.

Przez cały ten czas ludzie Stralany nieustannie obserwowali lorda Zachariusa, Niccola, Siobhan i Sauveura. Miejsce pobytu władców kotów było wiadome. Ani na chwilę nie spuszczano ich z oka.

Żaden z nich ani razu nie zbliżył się do miejsca, w którym wydarzył się choćby najbłahszy konflikt. Mimo to Zacharius nie zasypiał gruszek w popiele. Wykorzystując swój status dyplomaty z powodzeniem wykorzystywał hojność Myrmeen, odwiedzając lokalne bary i oberże, gdzie spożywał najwykwintniejsze posiłki na koszt władczyni; złożył także kilka wizyt w miejscowym zamtuzie.

Za każdym razem zostawiał krótki liścik:

Najdroższa Myrmeen, nigdy nie potrafiłem się oprzeć przedniej zabawie — Twój oddany Zaz

Powszechnie wierzono, że to właśnie Zacharius był odpowiedzialny za rosnącą liczbę dziwnych wypadków z udziałem kotów. Pomimo iż nie brał w nich udziału bezpośrednio, niewątpliwie była to jego sprawka.

Na przekór incydentom mającym miejsce w całym mieście, ludzie wyraźnie polubili lorda Zachariusa i nie miało to nic wspólnego z jego łajdackim wdziękiem. Myrmeen sprawdziła starannie każde z doniesień o napaści i stwierdziła, że władca kotów oraz jego ludzie wybrali sobie za cel osobników, o których wiadano, że oszukują klientów, źle

traktują swoich sąsiadów lub też tych, którzy w inny sposób zasłużyli sobie na ogólną antypatię u większości mieszkańców miasta.

Myrmeen chciała zamknąć go pod kluczem, ale dopiero trzeciego dnia owego dziwnego oblężenia nadarzyła się po temu okazja. Ktoś potajemnie struł całą nocną straż — aczkolwiek obyło się bez wypadków śmiertelnych. I choć nie-przytomnych mężczyzn i kobiet nie odnaleziono wcześniej niż o świcie, ich sromotna porażka nie przeszła nie zauważona; tuziny ludzi Zachariusza jakimś sposobem dowiedziały się o zdarzeniu i przejęły na siebie funkcję patrolowania miasta przez całą noc.

Wszyscy władcy kotów zachowywali się ogólnie przyjaźnie i wykonywali swoje obowiązki tak sumiennie i skutecznie, że zamianę zauważono dopiero o wschodzie słońca, gdy miała nastąpić zmiana patroli.

W niecałą godzinę później Myrmeen i Evon Stralana za-trzymali lorda Zachariusza przed popularną oberżą. Został odprowadzony do Cytadeli i uwięziony. Przez całą drogę jakby nie dostrzegał wściekłości osób, którego go pojmały, ani najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy ze swojej sytuacji. Na ulicach niektórzy ludzie pozdrawiali go przyjaźnie.

— Kocham to miasto! — wołał. — Arabel to zadziwiające i przyjazne miejsce. Zamierzam polecić je całemu mojemu ludowi.

Myrmeen zamknęła lorda Zachariusza w celi na najniższym poziomie pałacu żądając, by powstrzymał dalsze ataki przeciwko mieszkańcom Arabel, ale Zachariusz oznajmił, że jest niewinny i nie ma nic wspólnego z żadnymi złymi uczynkami — za wyjątkiem incydentu ze strażnikami, ma się rozumieć. Był to, jak stwierdził z filuternym uśmiechem, jedynie nieszkodliwy żart.

Koci władca nie pozostawił wątpliwości co do jednej rzeczy

— jego obecność była pośrednio przyczyną powstałego w mieście chaosu. Dlatego też, im szybciej dostanie to, czego chce i odejdzie, tym będzie lepiej dla wszystkich.

Gdy minął pierwszy dzień od chwili uwięzienia lorda Zachariusza w Cytadeli, Myrmeen zrozumiała, dlaczego przyjął on ów fakt z taką obojętnością i nonszalancją.

Zielonooki władca kotów raz po raz uciekał ze swojej celi w lochach, ale nawet Stralana nie był w stanie stwierdzić, jak tego dokonywał. Przez cały czas byli przy nim wartownicy — wyznaczono również czarnoksiężników, którzy mieli za-pobiec jego ucieczkom. Bezskutecznie. Lord Zachariusz zniknął i pojawiał się, kiedy tylko miał na to ochotę. Niezależnie od podejmowanych środków ostrożności władca kotów po prostu rozpływał się w powietrzu, by odnaleźć się gdzieś w mieście, zjeść tam wykwinny posiłek,

umilić sobie czas w towarzystwie słodkiej damy, po czym powrócić do pałacu z istic królewskim entree.

Zapadła noc, a Myrmeen Lhal siedziała w sali tronowej rozmyślając nad sprawą morderstwa Penna Othmanna. Śledztwo jak na razie utknęło w martwym punkcie, przeprowadzone przez Strafenę przesłuchanie lorda Zachariusa, dotyczące jego poczynań od czasu przybycia władcy kotów do Arabel — nie , przyniosło żadnych dowodów na to, iż był on w jakikolwiek sposób związany z Pennem Othmannem.

Zgodnie z doniesieniami, Zacharius zjawił się rankiem, następnego dnia po zabójstwie, bezpośrednio na umówioną audiencję. Co więcej, Zacharius pamiętał prawie każdą minutę spędzoną poza celą i opowiadał o tym, co wówczas robił, z pasją urodzonego gawędziarza.

Śledztwo Myrmeen, dotyczące jej drugiego podejrzanego również stanęło w miejscu. Ludzie Stralany nie odkryli w domu lub sklepie Elhazir żadnych dowodów mogących świadczyć o jej romansie z Othmannem. Jeśli zaś ta kobieta była czarodziejką, nie przechowywała u siebie żadnych czarodziejskich artefaktów, magicznych ksiąg ani posiadających prawdziwą moc talizmanów. Nie odnaleziono listów ani niczego, co wskazywałoby, że Elhazir pozostawała w bliższych stosunkach z jakimiś w miarę potężnymi magami. Myrmeen w nadziei, że władający czarami morderca może skontaktować się z Elhazir, postanowiła odczekać jeszcze kilka dni.

Nagle drzwi do sali tronowej Myrmeen otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Kynan Tofte. Młody żołnierz zawołał:

— Znowu to zrobił! W jednej chwili lord Zacharius był w swojej celi, zadowolony jak zawsze, pałaszując supę, którą mu przynieśliśmy, a w następnej po prostu zniknął!

— Przeszukajcie jadalnię i zamtuzy — rzuciła Myrmeen. — Pojawi się tam... wraz ze słonym rachunkiem. Kynan Tofte pochylił głowę i skinął.

— Oczywiście, milady. Proszę wybaczyć mi to wtargnięcie.

— Nie musisz przeproszać.

Żołnierz skierował wzrok ku talerzowi z nie tkniętym posiłkiem, stojącemu obok tronu. Rozmyślała o sprofanowaniu swoich ogrodów i tak się tym zdenerwowała, że nie była w stanie niczego przełknąć.

Żołnierz zastanawiał się czy nie spróbować jej w jakiś sposób zachęcić, ale koniec końców zrezygnował.

Wyszedł pospiesznie, zostawiając otwarte drzwi. Myrmeen korciło przez chwilę, by go zawołać — jego lub któregoś ze służących, aby je zamknął, ale skarciła się w duchu za swoje lenistwo. Przeszła przez salę tronową i zamknęła drzwi.

Nagle zimny dreszcz przebiegł jej po plecach i odwróciła się gwałtownie na dźwięk gryzionego jabłka.

Lord Zacharius siedział na tronie. Jedną nogę zwiesił przez poręcz, jedną rękę przerzucił ponad oparciem. Przystojny gość obdarzył Myrmeen olśniewającym uśmiechem, po czym upuścił nadgryzione jabłko na tacę zawierającą resztę jej posiłku.

— Lordzie Zachariusie — powiedziała Myrmeen, starannie ukrywając zaskoczenie — czy to pora ćwiczeń dla więźniów? Jeżeli nie, przypuszczam, że masz poważny powód, by się tu znaleźć. A skoro już tu jesteś, mógłbyś również zdradzić mi, jak tego dokonałeś.

Wzruszył ramionami.

— Powód mej wizyty jest prosty. Chciałem po prostu podziękować ci z całego serca za twą serdeczną gościnę i staroświeckie, gorące przyjęcie. Jestem pod wrażeniem, do prawdy. Nieczęsto miałem okazję otrzymywać darmowy wikt i zakwaterowanie. — Obliznął wargi. — A co do jego jak... no cóż, pozostanie to moją słodką tajemnicą.

— Lordzie Zachariusie, zostałeś zamknięty w lochu. Gościna, o której mówisz, była zwyczajnym aresztowaniem i uwięzieniem.

— No cóż, skoro tak uważasz. Niemniej, jak widzisz, raczej trudno jest utrzymać mnie w zamknięciu. Może powinnaś dać sobie z tym spokój, nie uważasz?

— Zamknięto cię w lochu między innymi z uwagi na twoje bezpieczeństwo. Wielu mieszkańców miasta uważa cię za odpowiedzialnego za incydenty spowodowane przez twoich ludzi. Mogliby próbować cię skrzywdzić.

— Albo wynagrodzić za odpłacenie z nawiązką tym opasłym, podłym zdziercom, którzy ich oszukiwali. Zdajesz sobie sprawę z obecności manifestantów, protestujących pod murami Cytadeli, prawda? Nawet gdy teraz rozmawiamy, oni tam...

— Wiem, że oni tam są — ucięła oschle Myrmeen.

— Twój lud jest przerażony i rozwścieczony sposobem, w jaki zostałem potraktowany. Sądzą, że to sprowadzi na miasto gniew bogów. Uważają, że „incydenty”, jak je określiłaś, są rezultatem działań wyższych sił broniących mojej rasy.

— Ci ludzie to zawodowi zeloci — stwierdziła Myrmeen.

— Nie przepuszczą żadnej okazji.

— Akurat ja im się trafiłem. Myrmeen zmrużyła oczy.

— Nie wiedzą, czym jesteś naprawdę, lordzie Zachariusie. Wątpię, czy popieraliby cię równie gorąco, znając twoją zwierzęcą, brutalną naturę.

— Groźby zupełnie ci nie przystoją — stwierdził przeciągłym tonem — i proszę, mów mi Zaz.

— Lordzie Zachariusie. To poważna sprawa. Twój gatunek ma moc hipnotyzowania i rzucania uroków. Czy w taki właśnie sposób przez ostatnie dziesięć dni udawało ci się prawie każdego wieczoru opuszczać swoją celę? Czy w taki właśnie sposób dostałeś się tutaj?

— Nic równie prostackiego. Myślałem tylko, że spędzimy razem miły wieczór.

Władca kotów przeciągnął swe smukłe ciało i wstał z tronu Myrmeen. Ruszyła rozwścieczona w jego stronę i spotkali się pośrodku sali.

— A potem, sądziłem, że będziemy mogli ponownie porozmawiać o mojej propozycji.

— Odmawiam ponownego rozważenia twojej prośby, dopóki nie ustaną ataki na mieszkańców miasta.

— Czemu uważasz, że mógłbym mieć z tym coś wspólnego? — zapytał, jakby mimowolnie ocierając się o jej ramię.

Myrmeen odsunęła się i z trudem stłumiła w sobie chęć, by go uderzyć.

— Znieważyłam cię. Obraziłam twe religijne wierzenia i od-mówiłam spełnienia prośby odkopania szczątków twego przodka. Zeloci często zabijali z o wiele bardziej błahych powodów.

— Czy twoim zdaniem wyglądam na zelotę?

Myrmeen odwróciła się od jego hipnotycznego spojrzenia.

— Nie wiem, co mam o tobie myśleć.

— Oczywiście, że wiesz. Zaufaj swoim instynktom. Słuchaj tego, co ci mówią.

— W obecnej chwili mówią mi, że pomimo twego statusu dyplomatycznego powinieneś zostać przesłuchany w związku z morderstwem popełnionym w ogrodach.

— Podejrzewasz mnie o morderstwo? — zapytał, szczerze rozbawiony.

Myrmeen skinęła głową.

— Ciebie lub któregoś z twoich ludzi. Dar znikania i pojawiania się w doskonale strzeżonych miejscach bynajmniej nie przemawia na twoją korzyść, a wręcz przeciwnie. Sposób, w jaki zamordowano tego człowieka, zdaje się wskazywać na przedstawiciela twego gatunku.

— Naturalnie wzięłaś pod uwagę, iż mogło się tak stać, aby rzucić podejrzenie na jakiegokolwiek dzikie zwierzę, nie tylko na moje koty. I sprawcy najwyraźniej udało się

odwrócić twoją uwagę od prawdziwego zabójcy, skoro poświęciłaś tyle czasu, aby zajmować się mną.

— Wszystko jest możliwe.

— Nawet nie znałem tego człowieka, który został zamordowany.

— To ty tak twierdzisz.

Uśmiechnął się, a w jego zielonych oczach rozbłysły iskierki.

— Myrmeen, nigdy bym cię nie okłamał. Ogarnął ją gniew.

— Wydaje ci się, że możesz wszystko osiągnąć dzięki swojemu urokowi osobistemu.

— Do tej pory zawsze mi się udawało.

— Zrozum jedno, lordzie Zachariusie. Nawet gdybym była tobą zauroczona — a nie jestem — mogłabym dziś się z tobą kochać, a jutro skazać cię na śmierć.

— Rozumiem — mruknął władca kotów. — No cóż, mając to w pamięci, sądzę, że owa czynność nie byłaby nazbyt podniecająca. Dobranoc.

Podszedł majestatycznym krokiem do drzwi.

— Żądam, abys ukrocił poczynania swoich ludzi — zawołała za nim Myrmeen.

Lord Zacharius odwrócił się i rozłożył ręce w geście otwartości.

— Nawet jeżeli moi ludzie są odpowiedzialni za chaos, jaki obecnie panuje w mieście, jestem przekonany, iż oni tylko żartują. To po prostu taka zabawa. Podoba się im tutaj. Nie sądzę, abym był w stanie nakłonić ich do wyjazdu. I jeżeli mogę cokolwiek powiedzieć w tej sytuacji, to tylko tyle, że to jeszcze nie koniec.

— Nie radziłabym, moim zdaniem to niezbyt rozsądne.

— Nie sądzę. My, koci władcy, potrafimy się dobrze bawić. Ożywimy trochę to miejsce. — Wzruszył ramionami. — Och, czy byłabyś tak uprzejma i wezwała dla mnie eskortę? Wydaje mi się, że zapomniałem drogi powrotnej do mojej celi...

Myrmeen nie mogła tej nocy zasnąć. Pod strażą wyszła z pałacu i zmierzała ku ogrodowi, kiedy usłyszała krzyk. Ona, która w przeszłości niejednokrotnie zetknęła się ze śmiercią, знаła wrzask umierającego człowieka. Zanim przeszła przez labirynt budynków okolonych ogrodami i natknęła się na zwiotczone ciała strażników pełniących wartę, wiedziała, co znajdzie wśród gęstwy krzewów i kwietników.

W ogrodach leżał drugi zamordowany mężczyzna. Jego ciało zostało rozdarte na strzępy. Wszędzie była krew, zwłaszcza zaś w altance. Myrmeen z niedowierzaniem podeszła do trupa, dusząc w sobie krzyk wściekłości. Usiłowała zrozumieć, jak coś takiego mogło wydarzyć się po raz drugi.

Myrmeen prawie nie zauważała tego, co ją otaczało, gdy jej żołnierze otoczyli rozszarpane zwłoki. Niebawem Kynan Tofte odkrył głowę ofiary, po czym skierował Myrmeen do miejsca, w którym leżała. Z zaskoczeniem stwierdziła, iż rozpoznaje twarz zabitego. Był to Yolney, starszy mag, którego Evon Stralana wyznaczył do zabezpieczenia i zbadania sklepiku Penna Othmanna przed kilkoma dniami. Stralana zjawił się w ogrodach i wydawał się w pierwszej chwili wstrząśnięty widokiem zwłok maga. Ochryplym szeptem powiedział:

— Yolney i Walcott nadzorowali inwigilację Elhazir.

— Może dowiedział się czegoś, co uczyniło go niebezpiecznym dla ściganego przezeń maga. Stralana, odzyskaj Walcotta. Albo jemu również grozi niebezpieczeństwo, albo jest w zмовie z mordercą.

— Powinnaś wiedzieć coś jeszcze — rzekł minister. — W ostatnim raporcie Yolneya znalazła się wzmianka, że koty obserwowały również Elhazir.

— Gdzie jest lord Zacharius?

— W swojej celi, gra w kości ze strażnikami. To wydaje się raczej niegroźne, a ludzie byli znudzeni.

— Sprowadź go. Chce, aby był z nami, gdy skonfrontujemy się z Elhazir.

Stralana oddalił się, aby wypełnić otrzymane polecenia. W przeciągu dziesięciu minut Myrmeen, Stralana i lord Zacharius wyruszyli w kierunku sklepiku Elhazir. Towarzyszyła im drużyna żołnierzy, a nim dotarli do dzielnicy handlowej, ich śladem podążała już spora gromadka kotów. Myrmeen zauważyła jaguara i rozejrzała się wokoło w poszukiwaniu Siobhan, ale kobiety nigdzie nie było widać.

Drzwi do sklepu Elhazir były otwarte, a z wnętrza biła ciepła pomarańczowa poświata płonących pochodni. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, dwa koty wślizgnęły się do środka — jeden z kasztanowym, drugi z jasnosrebrzystym futrem.

Myrmeen odwróciła się do żołnierzy i wskazała na lorda Zachariusza.

— Niech na razie tu nie wchodzi.

— To może nie być rozsądne — rzekł władca kotów.

Ignorując go, Myrmeen i Stralana weszli do środka; panował tam niemożliwy do opisanego bałagan, a ozdobne kobierce na ścianach wisiały w strzępach. Półki wypełniała podarta na pasy odzież. Szklane szafki zostały roztrzaskane, a znajdujące się w nich przedmioty rozsypane. Podłogę zaścielała tania, połyskująca biżuteria, ozdoby do kostiumów.

Dwa koty już tam były, gdy Myrmeen odnalazła dziewczynę, Andreanę, skuloną w kącie kantorka na zapleczu. Elhazir leżała u jej stóp. Włosy starszej kobiety były w nieładzie, wzrok dziki. Miała płytki oddech.

Andreana płakała. Kiedy uniosła wzrok i zobaczyła pod-chodzące koty, zawołała coś w języku, którego Myrmeen nigdy dotąd nie słyszała. Nagle z jej dłoni buchnął czerwono-czarny jezor płomieni, w mgnieniu oka pokonując dystans dzielący ją od kotów. Zwierzęta uskoczyły na boki, gdy ognisty pocisk uderzył w ścianę.

Andreana wstała — jej pięści pulsowały czerwono-czarną energią, koty zaś pierzchły w popłochu.

— Dlaczego tu jesteś? — rzuciła płaczliwie do Myrmeen. — Aby wyśmiewać się z półgłówka?

Szlachcianka spojrzała na dziecko. Oto miała przed sobą zaginionego maga. Elhazir nie musiała opuszczać sklepu, by skontaktować się z czarnoksiężnikiem — był on stale u jej boku.

— Andreano? Kto zabił Penna Othmanna?

— Był złym człowiekiem. To dobrze, że nie żyje. Robił różne rzeczy. Złe rzeczy.

— Tobie?

Łzy zalały jej twarz. Rękawy szaty podwinęły się ukazując siateczkę blizn na jej przedramionach.

— Tak. I Elhazir też mi to robiła. Bili mnie i przypalali. Chcieli utrzymać mnie w korbach.

— Zabiłaś go?

— Nie — warknęła — ale chciałabym to zrobić. Myrmeen spojrzała w przerażone oczy stojącej przed nią upodlonej dziewczyny.

— Jesteś potężną młodą kobietą. Dlaczego z nimi zostałaś?

— Moja rodzina jest biedna. Potrzebowała złota, które jej wysyłałam.

— To jedyny powód?

— Nie. Elhazir powiedziała, że moim rodzicom stanie się krzywda, jeśli nie będę jej posłuszna lub jeśli w jakiś sposób ją zranię.

Myrmeen przygryzła wargę.

— Co tu się stało tego wieczoru? Czy to była sprawka kotów? Zaatakowały cię? A może to była Elhazir?

Stralana usiłował podejść bliżej, ale młoda czarodziejka zmierzyła go dzikim spojrzeniem, więc znieruchomiał nieco z tyłu za Myrmeen. Nagle z drugiego końca

pomieszczenia powiało chłodem i wszyscy odwrócili się, by zobaczyć lorda Zachariusa stojącego w drzwiach i trzymającego na rękach czarnego kota. Kot miał przenikliwe, szaroniebieskie oczy. Na szyi nosił amulet, który Myrmeen już wcześniej widziała — złamane serce. Kiedy widziała je ostatnio, jedna połówka była krwistoczerwona a druga czarna. Teraz obie połówki były karmazynowe.

Kotem była Siobhan.

— Straże? — zawołała Myrmeen.

Lord Zacharius pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie przyjdą. Unieszkodliwieni tym samym czarem, który poprzednio uspił żołnierzy pełniących straż w ogrodach. Jesteśmy tu sami, za wyjątkiem mego ludu.

Myrmeen spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła solidne, postawne sylwetki Niccola i Sauveura. Za nimi tłoczył się tuzin innych kocich władców. Evon Stralana sięgnął po swój miecz. Myrmeen zmierzyła go wzrokiem unosząc jedną rękę. Z wyraźnym wahaniem odsunął dłoń od rękojeści.

— Ty zabiłeś Penna Othmanna — powiedziała spokojnie Myrmeen.

— Niezupełnie — rzekł Zacharius, unosząc nieznacznie kota. — To była ona.

— Siobhan — stwierdziła Myrmeen.

— Tak — lord Zacharius spojrział na dziewczynę. — Witaj, dziecko — rzucił półgłosem.

Myrmeen patrzyła, jak Andreana cofa się przed nim.

— Nie masz się czego obawiać. Wiesz o tym — zaczął Zacharius. — Odwiedzałem cię wielokrotnie. Powiedziałem, że cię uratujemy, jeżeli dasz nam to, czego chcemy. Wypełniliśmy naszą część umowy. Czy ty wypełnisz swoją?

— Moi rodzice — wychlipiała Andreana.

— Nic im nie jest. Groźby Elhazir były bez znaczenia. A gdyby ta kobieta mimo wszystko mówiła prawdę, mój lud chroniłby twoich rodziców nawet w Daggerdale. Musisz w to wierzyć. Widziałaś dziś na własne oczy, co oni potrafią.

Kiwając głową, zalana łzami Andreana sięgnęła do kieszeni i wyjęła zmumifikowane szczątki małej nogi kończącej się kocią łapką.

— Szczątki Satsumy — wyszeptał Evon Stralana.

Myrmeen patrzyła na amulet wokół szyi Siobhan, gdy w jej myślach pojawiło się echo słów męża. Moim będzie mroczny cud pomsty.

— Kości Satsumy to był fortel — powiedziała obojętnym tonem. — Zwyczajne kłamstwo. Chodziło o zemstę.

— Tak — odrzekł lord Zacharius pochylając się nisko i pozwalając czarnemu kotu zeskoczyć na ziemię. Wylądował na swoich trzech łapkach, po czym rzucił szybkie spojrzenie w kierunku drzwi.

Podążając za jego spojrzeniem, Myrmeen zobaczyła młodego maga, Walcotta, stojącego między Niccolem a Sauveurem. Po jego oczach, błyszczących nawet w ciemnym pokoju, poznała, że był jednym z nich. W sklepiku Othmanna usiłował nakierować śledztwo na fałszywy tor w postaci morderczego maga, a tym samym oddalić je od kocich władców i prawdy.

Gdy Myrmeen odwróciła wzrok od maga i spojrzała na okaleczonego kota, usiłowała zrozumieć, co właściwie widziała. Tym kotem była Siobhan. Co do tego nie miała wątpliwości. Ale co się stało z jej nogą? Kocia władczyni, która przedstawiła się jako Siobhan podczas audiencji... Myrmeen pomyślała o jej wysokich skórzanych butach, jej pozbawionych gracji ruchach i wreszcie zrozumiała.

Kot podszedł do młodej dziewczyny i stanął przed nią. Andreana położyła nogę przed okaleczonym zwierzęciem i cofnęła się. Kocia władczyni zaczęła rosnąć, jej rysy poszerzyły się, futro znikło. Niebawem na ziemi przed nimi siedziała kompletnie naga Siobhan, w ludzkiej postaci. Jej lewa noga poniżej biodra kończyła się kikutem. Wyciągnęła rękę po kocia łapkę i przycisnęła ją do piersi, z trudem tłumiąc szloch.

— Co się tu dzieje? — spytał Stralana stanowczym tonem. Myrmeen zdjęła pelerynę i owinęła ją wokół ramion Siobhan.

— Mroczny cud.

Piękna władczyni kotów przeniosła na Myrmeen spojrzenie swych zaczerwienionych oczu i spytała:

— Ile się domyśliłaś?

— Trochę — odparła Myrmeen — ale byłoby lepiej, gdybyś mi powiedziała.

Siobhan spojrzała na lorda Zachariususa.

— Ufasz jej?

— Tak — powiedział. Skinęła głową.

— Przed dwunastoma laty zostałam zaatakowana przez dwóch mężczyzn. To się stało w twoich ogrodach, w tej altance. Nie wiem skąd, ale wiedzieli, że jestem władczynią kotów. Uważali mnie za kogoś gorszego od ludzi: potraktowali mnie w ten sposób. Mag wykorzystał amulet, aby uwięzić mnie w mej ludzkiej postaci, a potem on i ten drugi mężczyzna zniewolili

mnie. Następnego dnia wróciłam, aby ich ukarać, ale Othmann dysponował wówczas bardzo potężną bronią. Odciął mi nogę, gdy byłam pod postacią kota i zadał mi tuzin ran klutych. Sądził, że wykrwawiłam się na śmierć i wrzucił moje ciało do śmieci. Zatrzymał moją nogę na pamiątkę. Myrmeen zadrżała.

— Przeżyłaś i pragnęłaś się zemścić.

— Pomógł mi lord Zacharius. Sama nigdy bym go nie znalazła, gdyż obaj mężczyźni po zabójstwie zmienili nazwiska i przy pomocy czarów zmienili również swój wygląd. — Uśmiechnęła się złowieszczo, a jej oczy rozbłyły. — Może sądzili, że mam tylko jedno życie i mogłabym wrócić po śmierci, aby ich nawiedzać.

Zacharius zmarszczył brwi, spoglądając na kobietę, po czym ponownie przeniósł wzrok na Myrmeen.

— Jakiś czas temu Othmann dowiedział się o naszych poszukiwaniach szczątków Satsumy — gdyż opowieść ta, mogę ci zaręczyć, jest jak najbardziej prawdziwa. Oznajmił, że posiada kilka informacji, których poszukiwaliśmy, ale odmówił podzielenia się nimi z nami za stosowną cenę. Prawdę powiedziawszy, usiłował nas oszwabić. Gdy negocjacje wymknęły mu się spod kontroli, zagroził mojemu wysłannikowi, używając nogi Siobhan jako przykładu, w jaki sposób w przeszłości traktował przedstawicieli naszej rasy. Wieści o tym dotarły do mnie, a ja z kolei dodałem dwa do dwóch. Resztę widziałaś już sama.

— A co z Yolneyem? — spytał Stralana.

— Yolney i Othmann rozstali się skłóceni przed kilkoma laty — odrzekł Walcott. — Przez blisko rok prowadziłem w Arabel poszukiwania, zanim zdołałem odnaleźć czarnoksiężnika, który nosił na sobie zapach krwi Siobhan.

— Nie rozumiem — powiedziała Myrmeen. — Od napaści minęło wiele lat. Jej krew już dawno została zmyta z jego ciała. Walcott chrząknął.

— Z ciała tak. Ale nie z jego duszy.

— Walcott potrafi wyczuwać takie rzeczy. Jest jednym z naszych najpotężniejszych magów — rzekł Zacharius. — Za-przyjaźnił się z Yolneyem, po czym polecił go do służby u ciebie, aby mógł potem zatrudnić go do pomocy przy śledztwie w sprawie zabójstwa Othmanna. Pomimo iż przybycie władców kotów przyprawiało go o zdenerwowanie, Yolney nie miał pojęcia, że zamordowanym był jego dawny partner. Przecież jakby nie było, obaj zmienili swój wygląd. Gdyby wszystko poszło tak, jak zaplanowano, udowodnilibyśmy, że to Yolney był sprawcą morderstwa.

Stralana z zamyśleniem potarł brodę.

— A zatem, co się stało? Odpowiedzi udzieliła mu Siobhan.

— Równie mocno jak zemsty, pragnęłam odzyskać moją nogę. Widzisz, Walcott zna czar, który mnie uzdrowi. — Potarła z lubością posępne trofeum. — Tak czy inaczej, Othmann umarł nie powiedziawszy nam, gdzie znajduje się łapka. Mieliliśmy nadzieję, że wie to Yolney. Gdy okazało się, że nie wie, zabiliśmy go i wróciliśmy do Elhazir.

— Stwierdziła, że nie wie — mruknął lord Zacharius — ale używała mocy dziecka, aby ukryć przed twoimi ludźmi niektóre przedmioty — włącznie z łapką — ukradzione ze sklepu Othmanna. Domyślała się, że łapka musi być warta fortunę, skoro tak gorączkowo jej szukaliśmy, ale później uznała, iż jest ona niebezpieczna. Przypuszczam, że sądziła, iż dopóki będzie przechowywać ją u siebie, nie grozi jej nic złego. Dzisiejszego wieczoru, kiedy kilku moich ludzi przetrząsnęło jej sklepik w poszukiwaniu łapki, załamała się. Za bardzo się bała.

Myrmeen spojrzała na medalionik Siobhan.

— Jest jeszcze coś, nieprawdaż? Powód, dla którego ciała opierały się wszelkim formom przywołań i magii duchów?

— Tak — odparła Siobhan bawiąc się medalionem. — Jak mogłaś nawiązać kontakt z ich duszami, skoro były zamknięte w bezpiecznym miejscu?

Myrmeen spojrzała na świecące czerwono połowki medalionu w kształcie złamanego serca. Zdawały się nieznacznie pulsować, niczym żywe, bijące serce.

Lord Zacharius ukląkł przed Andreaną.

— Jesteś wolna, wiesz o tym. Jeśli chcesz, możesz przez jakiś czas podróżować wspólnie z nami. Dopilnujemy, abyś wróciła do swoich rodziców.

— A co ze złotem, które otrzymywałam od Elhazir? Moich rodziców nie interesowało nic oprócz niego. Oni mnie nie chcą.

Przystojne oblicze Zachariasza spochmurniało z zakłopotania.

— Myślałem, że chcesz do nich wrócić. Andreaną przygryzła wargę.

— Nic z tego. Najwyżej wyślą mnie gdzieś indziej. Znowu miałabym harować dla kogoś takiego jak Elhazir. A może nawet dla kogoś gorszego.

— Ale przecież ci na nich zależy...

— Nie chciałam, aby coś im się stało. I nadal nie chcę. Ale to nie znaczy, że pragnę do nich wrócić. Walcott postąpił krok naprzód.

— Przydałby mi się ktoś do pomocy. Mogłaby zostać moją uczennicą.

Lord Zacharius uniósł jedną brew.

— Co ty na to?

— Jeżeli będę otrzymywała zapłatę — wyszeptwała. — I jeżeli nikt nie będzie mnie nazywał kretynką ani półgłówkiem.

— Wymagająca, nieprawdaż? — rzekł uśmiechając się Zacharius. — Doskonale. Twoje umiejętności prowadzenia negocjacji dowodzą, że jesteś dziewczyną o wybitnej inteligencji, Andreano.

Twarz dziewczyny rozpromieniła się.

Myrmeen spojrzała na tłum władców kotów przed drzwiami, po czym wbiła wzrok w szmaragdowe oczy Zachariususa.

— Być może nie zdołam cię powstrzymać przed opuszczeniem Arabel dzisiejszej nocy, ale nie łudź się, iż ujdzie ci to na sucho. Wielu z was przyznało się do popełnienia morderstwa z premedytacją. Prawa należy przestrzegać.

— Tak — rzekł lord Zacharius. — Jest sprawiedliwość i jest prawo. Czasami jedno i drugie to nie jest to samo. Wybór należy do ciebie, Myrmeen. Możesz uczynić nas ściganymi albo utajnić to, co wydarzyło się w tym pomieszczeniu. Uczyniliśmy to, co powinniśmy byli uczynić już dawno temu. Nie żałuję tego, co się stało.

Myrmeen spojrzała na Stralanę. Wpatrywał się w szaro-niebieskie oczy Siobhan.

— Evon?

— Gdybyśmy pojмали Othmanna i Yolneya — czy jak się tam nazywali — na gorącym uczynku, podczas napaści, zostaliby skazani na śmierć — stwierdził Stralana. — Dostali to, na co zasłużyli.

Siobhan w milczeniu pokiwała głową. W jej oczach malowała się wdzięczność.

Stralana zlustrował kobietę leżącą u stóp Andreany.

— Co się tyczy Elhazir — zauważył chłodno — zbyt często przyzywano mnie, by moi ludzie zabierali z ulicy ciała dzieci, pobitych, a potem wyrzuconych z domu przez kobiety takie jak ta. Wcale jej nie żałuję.

— Moje odczucia są dokładnie takie same — stwierdziła Myrmeen. — Lordzie Zachariusie, jesteś wolny i możesz odejść, ale pod jednym warunkiem. Nie życzę sobie, abyś kiedykolwiek powrócił do tego miasta. Czy to jest zrozumiałe?

— Niech to! — syknął — a już zamierzałem polecić Arabel jako idealne miejsce na wakacje dla mojego ludu. Wbrew sobie, Myrmeen nieomal się uśmiechnęła. Lord Zacharius spuścił wzrok.

— Chciałbym przeprosić cię za ból, jaki musiał sprawić ci ten dramat.

— Ja również — stwierdziła Myrmeen.

Świadomość i dzielony ból dramatu Siobhan skalały wspomnienia o jej niegdyś ukochanej altance. Niczym krew na feniksie Haverstroma, wiedziała, iż uczucie to nigdy nie odejdzie w zapomnienie, nigdy nie wyblaknie do końca. Jej Sanktuarium przestało istnieć.

W drodze powrotnej do pałacu, gdy Zacharius i jego ludzie odeszli, Myrmeen zobaczyła kota, który złapał ptaka i powoli zamęczał go na śmierć. Zatrzymała się i patrzyła na ponury spektakl. Idący obok niej Evon Stralana dotknął jej ramienia.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Myrmeen pomyślała o cierpieniach, jakich Siobhan doznała z rąk swych napastników i przypomniała sobie słabiutką poświęcę w obu połówkach amuletu kobiety. Penn Othmann i Russka Yolney nie tylko zranili władczynię kotów, ale pozbawili Myrmeen czegoś osobistego, intymnego i wyjątkowo cennego.

Nie czuła względem nich nic prócz nienawiści.

— To dziwne — powiedziała Myrmeen, obserwując jak kot powoli wydusza resztki życia ze swej zdobyczy — ale dodaje mi otuchy świadomość, że wszystkie koty lubią bawić się swoimi ofiarami.

KRÓLEWSKA ŁZA

Mark Anthony

Duchy trzech mędrców wiły się w migoczących, trujących zielonych płomieniach, strzelających z miedzianego koksowego kosza. Nekromantka Kelshara uwijała się wokół nich miękko jak kot, w najwyższej komnacie swej wieży stojącej wśród mrocznych, postrzępionych szczytów najdalej wysuniętego na południe pasma Gór Zachodzącego Słońca.

Proszę, czarodziejko, nie znamy odpowiedzi, której pragniesz! — jęknęło jedno z widm.

Błagamy cię! — rzuciło zawodząco drugie — uwolnij nas od cierpień!

— Doskonale — syknęła Kelshara. Jej twarz była blada i gładka, długie włosy ciemne jak polerowany onyks, mimo to nie wydawała się urodziwa. Gniew nigdy nie był piękny.

— A oto nagroda za waszą bezwartościową pomoc. Wrzuciła garść ciemnego proszku do koksownika. Migoczące iskierki, czerwone jak rubiny, buchnęły wysoko, a blade widma zawyły w agonii. Magiczne płomienie strzeliły do sufitu, po czym przygasły w kłębie kwaśnego dymu.

Duchy znikły, a ostatnie echo ich zawodzeń odbiło się od chłodnych, kamiennych murów.

Kelshara uśmiechnęła się z okrutną satysfakcją, ale jej wyraz twarzy zmienił się w mgnieniu oka. Nadal nie знаła rozwiązania zagadki. Ze złotej skrzynki na stole wyjęła dwa niewielkie przedmioty. Znajdowały się tam klejnoty w kształcie łez, przezroczyste niczym zimowy lód. Kamienie nosiły nazwę Królewskich Łez. Legenda głosiła, że były to łzy prastarego króla, zmienione wskutek czarów w kamienie. Legenda mówiła również, że jeśli spojrzalesz w samo serce królewskiej łzy, mogłes zobaczyć to, co prastary król kochał najbardziej. I legendy były prawdziwe.

Nawet teraz widziała obrazy migoczące wewnątrz kamieni: pergaminy pokryte dziwnymi glifami i księgi w oprawach inkrustowanych klejnotami.

Wewnątrz klejnotu widziała bibliotekę króla Everarda Farseera. Władał on niegdyś krainą rozciągającą się na wiele mil wzdłuż brzegów wielkiej rzeki Chionthar. Jednak jego królestwo obróciło się w pył na wiele stuleci przed tym, jak lud Cormyru przekroczył Góry Zachodzącego Słońca i wznosił Miasta Karawan, lśniące niczym klejnoty nanizane na naszyjnik rzeki. Mimo iż Kelshara godzinami wpatrywała się w kamień, nie była w stanie

dostrzec tego, czego szukała, księgi, którą Everard cenił ponad wszystko, Księgi Północy. Na jej kartach ukryty był klucz do wiecznego życia.

— Toż! — zawołała nekromantka — TOŻ! Kelshara usłyszała za plecami zgrzyt pazurów na kamiennej posadzce.

— Pani? — rozległ się ochryply drżący głos.

Odwróciła się, by zobaczyć małą, zdeformowaną kreaturę wchodzącą niezdarnie do komnaty na dwóch koślawych, gruzłowatych nogach. Kreatura zamrugała czerwonymi, wylupiastymi oczyma i poruszała włochatym, psim nosem, jakby węszyła.

— Podejź, Toż — powiedziała lodowatym tonem Kelshara. — Przepowiesz mi przyszłość. I nie waz się kłamać, bo przyrzekam, tym razem stracisz coś więcej niż tylko ogon.

— Tak, pani — kobold z unizieniem zbliżył się do stołu. Rysy jego twarzy wykrzywiały ironiczno-drwiący grymas, wylupiaste oczy wpatrywały się w podłogę.

Roztaczał wokół siebie fatalny odór, a nadzarty przez szczury jutowy worek, który nosił na sobie w formie tuniki, był tak przegniły, że w każdej chwili mógł odpaść od jego pokrytego łuską grzbietu.

Niegdyś kobold był człowiekiem, wróżbitą posiadającym moc przepowiadania przyszłości cesarzom i królowym. Jednak Kelshara chciała mieć go tylko dla siebie. Zaaranżowała jego zabójstwo. Później zaś, dzięki swym mrocznym mocom, spowodowała jego reinkarnację w tej właśnie nowej, ohydnej postaci i sprawiła, że związany czarami musiał wykonywać wszystkie jej polecenia.

Kobold niezdarnie otworzył małe pudełko z kości słoniowej, wyjął talię ozdobnych kart owiniętych w czarny jedwab i prze-tasował je.

— Musisz wyciągnąć trzy — polecił nekromantce ochryplym głosem, a Kelshara szybko to zrobiła.

Zdeformowaną dłonią Toż odwrócił pierwszą kartę.

— Trzy kamienie — oznaczają serce twych poszukiwań. Symbolizują wielkie bogactwo, ale niektóre z nich zaginęły.

— Oczywiście — rzuciła śpiewnie Kelshara — jej fiołkowe, upstrzone złotymi plamkami oczy rozbłysły zrozumieniem. — Byłam głupia, Toż. Obrazu Księgi nie ma w dwóch łzach, którymi dysponuję, a zatem odpowiedź może być tylko jedna. Trzy kamienie. Musi być Trzecia Łza. Mów dalej.

Kobold odwrócił następną kartę.

— Kapłan — odwrócona. Oznacza siły twoich sprzymierzeńców. — Toż sięgnął po ostatnią kartę. — A ta oznacza siły, które będą stawiały ci czoła podczas twych poszukiwań. Odwrócił kartę. Wojownik — również odwrócony.

— Co one znaczą? — spytała Kelshara.

Spiczaste uszy Toza zadrgały w wyraźnym zakłopotaniu.

— Nie jestem pewien, pani. Jakimś trafem kapłan, który nie jest kapłanem, pomoże ci zdobyć kamień. Ale na twojej drodze stanie wojownik, który nie jest wojownikiem.

— Wojownik, który nie jest wojownikiem? — rzuciła drwiąco Kelshara. — Nie brzmi to zbyt groźnie.

— Ale, pani — zaprotestował, a jego pysk zadrgał gwałtownie — karty mówią o potężnych mocach, które są w to wmieszane. Musisz...

— Milcz! — ucięła Kelshara, uderzając kobolda tak, że runął na kamienną posadzkę. Zapiszczał przeraźliwie, ale nie zwróciła na stworzenie większej uwagi.

— Teraz muszę już tylko dowiedzieć się, gdzie ukryta jest trzecia łąza — wyszeptała z przejęciem nekromantka. — A potem stanę się nieśmiertelna.

W opactwie Everarda zawrzało i Tyveris wiedział, iż stało się tak z jego przyczyny. Wbiegł po spiralnych schodach, a jego sandały zadudniły głucho na zniszczonych, kamiennych stopniach. Ksieni posłała po niego, więc nie mógł pozwolić, by Melisende czekała. Zawahał się przez kilka uderzeń serca, stając przed mahoniowymi drzwiami jej komnaty, po czym tak delikatnie, jak tylko potrafił, zastukał swą ogromną ręką w ciemne drewno. Dźwięk zabrzmiał niczym huk gromu. Tyveris skrzywił się.

— Wejść — dobiegła krótka sucha odpowiedź zza drzwi.

Tyveris zaczerpnął głęboki oddech, i otworzywszy drzwi, wszedł do środka, aczkolwiek musiał ustawić się nieco bokiem, by przecisnąć swe rozłożyste bary przez wąskie wejście.

Nie był wysokim mężczyzną, ale obdarzony był imponującą wręcz muskulaturą. Cienka brązowa szata z samodiału nie była w stanie ukryć potężnych, grubych jak postronki mięśni, nadających jego sylwetce mocarnego wyglądu, zaś po ciemnej karnacji jego skóry można było domyślić się, iż nie pochodził z tych stron. Krótko mówiąc, rzucał się w oczy w niewielkim, dość zapuszczonym opactwie Everarda. I w tym był właśnie cały problem.

— Nie stój już tak w tych drzwiach, wejdź i usiądź wreszcie — powiedziała matka Melisende typowym dla siebie, energicznym tonem. Ksieni była niską kobietą o żywych, ciemnych oczach i długich, siwych włosach. Siedziała przed kominkiem odziana w prostą,

acz elegancką szatę z miękkiego, szarego materiału. Pomimo iż drobna i chuda, zdawała się nosić na swych wątłych barkach ciężar ogromnego autorytetu.

— Tak, matko Melisende. — Chociaż starał się mówić cicho i łagodnie, jego głęboki głos wprawił w drzenie szyby we wszystkich oknach. Usiadł. Ogień płonący w kominku trzymał na dystans dokuczliwy jesienny chłód. Melisende nalała gorącej herbaty do dwóch delikatnych porcelanowych filiżanek i podała jedną Tyverisowi. Spojrzał na kruche naczynie z za-troskaniem, i ujął je z przesadną delikatnością w swą potężną dłoń. Siorbnął głośno.

Melisende upiła łyk herbaty, obserwując Tyyerisa z powagą.

— Nie zamierzam ukrywać tego przed tobą — stwierdziła po chwili milczenia. — W ostatnim czasie złożyło mi wizytę kilku ojców opatów. Prosiłi, bym wydalila cię z opactwa.

Ciemne oczy Tyyerisa rozszerzyły się za szklami okularów w druczianych oprawkach.

— Czy uczynilem coś złego, matko Melisende? Ksieni westchnęła.

— Nie, Tyverisie, nie uczyniłeś nic złego. — Uśmiechnęła się leciutko. — Prawdę mówiąc, śmiem twierdzić, że jeszcze nigdy nie mieliśmy w opactwie równie zdolnej złotej rączki, który jak ty byłby równie użyteczny. Sufit w kaplicy już nie przecieka, nowe zawiasy przy bramie otwierają się bez najmniejszego piśnięcia, a rury w kuchni pierwszy raz od chyba stu lat nie są pozapychane. — Jej uśmiech przygasł, zastąpiony przez gniewny grymas. — Nie, opatom nie chodziło, że uczyniłeś coś złego. Nosisz teraz szaty mnicha, ale obawiam się, że to nie zmieni tego, kim jesteś w głębi serca i w głębi oczu — najemnikiem, człowiekiem oddanym nie wiedzy, lecz przemocy.

— Ale oni nie muszą się niczego obawiać z mojej strony, matko Melisende — huknął donośnie. — Potrafię się kontrolować. Przysięgam!

Rozległ się wyraźny, delikatny trzask i trzymana przez Tyyerisa filiżanka pękła. Spojrzał ze zgrozą na popękane fragmenty porcelanowego naczynia.

— Zepsułem twoją filiżankę — rzucił z rozpaczą w głosie.

— Zapomnij o filiżance, Tyverisie — powiedziała Melisende, wyjmując odłamki z jego dłoni i odkładając je na bok. — To tylko przedmiot. Nie jest niezastąpiony. — Ujęła jego wielkie łapska w swoje drobne, kruche dłonie. Zaskoczony chciał się cofnąć, ale przytrzymała go mocno. — Spójrz na nie, Tyverisie. Co widzisz?

Niepewny o co jej chodziło, spojrział na swoje dłonie. Były ogromne, o wielkich kłykciach — ciemną skór? przecinały jeszcze ciemniejsze blizny i pręgi. To były dłonie wojownika. Dłonie, które odebrały życie większej liczbie ludzi, niż potrafił zliczyć. I tak też jej odpowiedział.

— Naprawdę? — odparła Ksieni. — To dziwne. Bo ja dostrzegam dłonie, które pomimo drżemiej w nich siły są nad wyraz łagodne. Widzę ręce, które przytulały dzieci, pomagały potrzebującym i po raz pierwszy trzymały książkę, gdy ich właściciel właśnie w tym pokoju nauczył się czytać. Nie, Tyverisie, nie wierzę, że to dłonie wojownika. Absolutnie w to nie wierzę.

Odsunął się od niej.

— Ale opaci są innego zdania, zgadza się?

— Niektórzy nie — odparła ponuro Melisende. — Kilku. Najgłośniejszą wśród nich zabiera głos opat Orven. Sądzę, iż obawiają się, że któregoś dnia nie zdołasz się pohamować i doprowadzisz do rozlewu krwi.

— Może mają rację — odparł Tyveris głosem, w którym pobrzmiwała nuta gorzkości.

Dlaczego nie? — pomyślał. Zdarzało mu się to niejednokrotnie w przeszłości, gdy był zarówno niewolnikiem jak żołnierzem i jedyną rzeczą, jaka się dla niego liczyła, było uśmiercenie przeciwnika, aby sam mógł pozostać przy życiu.

Oczy Melisende rozbłysły gniewem.

— Nie chcę słyszeć więcej z twoich ust podobnych bzdur! Wiesz, że do mojego opactwa nie wpuszczam byle kogo. Jesteś tu, ponieważ uwierzyłam, że tu jest twoje miejsce. I nie zmieniałam przekonania. — Ponownie podniosła swoją filiżankę. — Porozmawiam z tymi, których krępuje twoja obecność. Może uda mi się ułagodzić ich obawy.

Tyveris poczuł, że serce podskoczyło mu w piersi.

— Naprawdę? — ryknął z wdzięcznością w głosie.

— Czyż tego nie powiedziałam? — ucięła Melisende. Ksieni nie lubiła się powtarzać.

— Ale co z opatem Orvenem? — zapytał niepewnie.

— Zajmę się nim. Odejdź już. Zabierz się do pracy.

Tyveris wiedział, że kiedy Ksieni uznaje rozmowę za zakończoną, nie należy zwlekać. Podniósł się gwałtownie i skłoniwszy głowę, wyszedł z komnaty.

— A, Tyverisie, jeszcze jedno — zawołała za nim Melisende — postaraj się trzymać z dala od kłopotów.

Tyveris przez resztę dnia zalepiał szczeliny w zewnętrznym murze opactwa. Kiedy skończył, udał się do mrocznej, pachnącej kurzem biblioteki, aby móc w ciszy oddać się lekturze. Zmierz-chało, a dźwięk odlanego z brązu dzwonu ogłosił porę nieszpórów.

Skąpane w cieniu równiny rozciągały się na południe, w fioletową dal, ku jednemu widocznemu na horyzoncie światelku. Klejnotem tym było Iriaebor, Miasto Karawan.

Gdyby Tyveris nań spojrział, mogłoby mu przypomnieć jego przeszłość, dni gdy Iriaebor był jego domem, a miecz narzędziem jego profesji. Skupił się jednak na innym, bardziej spokojnym fragmencie swojej przeszłości. Przeglądał leniwie kolorowo iluminowany manuskrypt leżący przed nim na stole, traktat historyczny dotyczący założenia Kościoła Oghmy. Nie mógł sobie wyobrazić, że kiedyś nie umiał czytać, a przecież nauczył się tego zaledwie przed kilkoma miesiącami.

Biblioteka nie była zbyt dużym pomieszczeniem, ale od podłogi po sufit wzdłuż ścian wypełniały ją książki, na prze-czytanie których — jak sądził Tyveris, potrzeba byłoby kilku żywotów. Opactwo poświęcone było Bogu Oghmie, nauczycielowi, który był strażnikiem wszelkiej wiedzy, a biblioteka stanowiła jego największą dumę i chlubę. Księgozbiór wziął swą nazwę od imienia Everarda Farseera, króla prastarej, zapomnianej krainy, który — jak głosi legenda — oddał swe życie, by ochronić bibliotekę przed mordercami, którzy pragnęli spalić znajdujące się w niej woluminy.

Tyveris skrzywił się na wspomnienie niezliczonych budynków, które on sam podpalił w czasach, gdy do walki zaganiano go ciosami bata. Ile cudownych ksiąg pochłonęły płomienie?

Aby odpokutować za swe dzieło zniszczenia, Tyveris przez ostatnią dekadę należał do grupki poszukiwaczy przygód, składających się zarówno mężczyzn, jak i kobiet, stacjonujących w Iriaeborze, którzy walczyli przeciwko tyranii w Miastach Karawan, pomiędzy Waterdeep na dalekim zachodzie a Cormyrem na wschodzie. Jednak nawet wówczas był po prostu doskonale wyszkolonym najemnikiem i szermierzem. A gdy rok temu oddział rozwiązał się, Tyveris stwierdził, że utracił cel w życiu. Nie było nikogo, kto powiedziałby mu z kim, kiedy i gdzie miałby walczyć. Ponownie sam stwierdził, że wszystkie jego dobre uczynki nie zdołały stłumić dręczącego go poczucia winy. I któregoś wiosennego, deszczowego dnia, ogarnięty czarną rozpaczą, przybył do tego opactwa...

Gniewny grymas przemknął po twarzy Tyverisa, gdy odegnał od siebie wspomnienia. Nie pozwoli, by ktokolwiek zmusił go do opuszczenia opactwa Everarda. Ani opat Orven, ani nikt inny.

Pozostanie w opactwie było jedyną rzeczą, o którą Tyveris byłby jeszcze w stanie walczyć.

Ponownie pochylił głowę nad opasłym woluminem, pogrążając się w lekturze. Za oknem zapadał zmierzch — noc z wolna rozpinała swój hebanowy szal nad klasztorem wznoszącym się na szczycie wzgórza, ponad skąpanymi w księżycowym blasku równinami.

— Czytanie zakurzonych starych ksiąg nie wydaje się zajęciem godnym wojownika — powiedział głos, zaskakując Tyverisa. Rozbłysło żółte światło, gdy ktoś przytknął zapaloną świecę do knota naftowej lampy.

Tyveris odwrócił się, obawiając się, że zobaczy stojącego w drzwiach opata Orvena. Miast tego jednak spojrzął w przenikliwe, szare oczy z wyglądu zgryźliwego, chudego jak tyka patriarchy Alamrica.

Tyveris chrząknął głośno.

— W tych murach nikt nie jest wojownikiem, patriarcho Alamricu — rzucił donośnie.

— To zdanie ksieni — stwierdził ostrym tonem Alamric. — Szkoda.

Tyveris z niepokojem i zakłopotaniem patrzył, jak przypominający szkielet Alamric zasiadł przy stole naprzeciw niego. Od czasu swego przybycia do opactwa nie miał zbyt wiele do czynienia z tym człowiekiem. Alamric był patriarchą kościoła Oghmy, drugim w hierarchii po samej Melisende. Niemniej Tyveris często miał niepokojące wrażenie, że Alamric go obserwuje. Wyglądało na to, iż jego przecucia były słuszne, gdyż patriarcha wręcz przeszywał go wzrokiem, a w jego przenikliwych, szarych oczach błyszczały iskierki zainteresowania.

— Nie wszyscy czciciele Oghmy drżą nieroztropnie na widok wojownika jak nasz nieszczęsny opat Orven — ciągnął Alamric. Jego głos był świszczący niczym dźwięk noża przesuwanego się po jedwabiu. Tyveris spojrzął na niego podejrzliwie.

— Wątpisz w me słowa, ale to prawda — rzekł Alamric, a jego wargi złączyły się w wąską kreskę, w grymasie, który mógł przypominać uśmiech. — Jestem potężnym człowiekiem, Tyverisie. W tym opactwie jest wielu podporządkowujących się moim rozkazom. Ale muszę przyznać, że cię podziwiam. Nie, zazdroszczę ci. — Jego oczy pałały dziwnym, dzikim światłem. — Od czasów mej młodości chciałem przewodzić innym, sprawić, by moja mądrość i wola stały się ich mądrością i wolą. Śniłem o dowodzeniu armiami podczas chlubnych pamiętnych bitew i wznoszeniu mego miecza dla sprawy dobra.

— Przerwał i westchnął głęboko. — Obawiam się jednak, iż bogowie zakpili sobie ze mnie, umieszczając mą duszę w tym wątłym ciele. Musiałem zatem zadowolić się jedynie duchowymi bitwami. Szczęściarz z ciebie, Tyverisie.

— Nie — rzekł Tyveris, kręcąc głową. — Nie masz mi czego zazdrościć, Patriarcho. Oddałbym wszystko, aby zmienić to, czym jestem. — Z namaszczeniem dotknął leżącej przed nim księgi. — To coś o wiele wspanialszego niżli bitwy czy miecze.

Alamric schwycił księgę w swą kościstą dłoń i cisnął precz, a jego posępne oblicze wykrzywił grymas pogardy. Tyveris spojrzął na niego wstrząśnięty.

— Wiedza nie jest dla Oghmy jedyną świętą rzeczą! Nie, jest coś bardziej świętego, to prawda! Wiedza pochodzi z ksiąg, ale jest tylko jeden sposób, aby nieść prawdę ludowi — a mianowicie czynem. — Policzki Alamrica zapłonęły rumieńcem.

Wydawało się, że nie patrzy już na Tyverisa — miał tego utkwilił wzrok w pociemniałym oknie i w nim dostrzegał niewidoczną dla oczu śmiertelników, chwalebna wizję.

— Niewierzący zbyt łatwo mogą odrzucić książki precz — ciągnął śpiewnie Alamric — ale gdybyśmy uzbroili naszych kapłanów — i to nie w pergaminowe zwoje, ale w miecze, nic nie przeszkodziłoby nam w zanieśieniu Prawdy do wszystkich krain Faerunu!

Tyveris poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach.

— O jakiej Prawdzie mówisz, Patriarcho? — ośmielił się zapytać.

Alamric wbił pałający wzrok w Tyverisa.

— O Prawdzie. Nie rozumiesz? Ludzie nie będą już musieli czytać ksiąg, aby wiedzieć, jak należy myśleć. My będziemy myśleć za nich, my powiemy im to, co muszą wiedzieć.

— Znajdą się ludzie, którzy stawiają wam opór — rzekł ostrożnie Tyveris. — Zawsze tak bywa. Alamric obojętnie machnął ręką.

— Nie wszystkie dusze można zbawić, Tyverisie. Ale taka jest cena, którą musimy zapłacić dla dobra ogółu. Matka Melisende i tacy jak ona mogą nie być dostatecznie dalekowzroczni, aby pojąć tkwiące w moich planach ogromne dobro, niemniej są w tym kościele ludzie, którzy to rozumieją. Ja będę tym, który przekaże im wieść. — Schwycił Tyverisa za nadgarstek. Jego palce były zadziwiająco ciepłe. — Ale będziemy potrzebować świętych wojowników, którzy staną się Zwiastunami Prawdy. Możesz być jednym z pierwszych.

Tyveris cofnął dłoń, pocierając nadgarstek, jakby się oparzył.

— Przykro mi. Nie sądzę, abym mógł stać się... tym, kim byś chciał.

Uniesienie Alamrica ani trochę nie osłabło.

— Doskonale, Tyverisie. Przyjmijmy to jako twoją od-powiedź... na razie. Wierzę jednak, że wkrótce ujrzysz światło i przyłączysz się do mnie. Głęboko w to wierzę.

Gdy Alamric wyszedł, Tyveris stwierdził, iż zupełnie ode-chciało mu się czytać. Odłożył książkę i ruszył do stajni, gdzie na poddaszu miał swój pokój. Przez dłuższy czas leżał w ciemnościach, sądząc po gwiazdach za oknem musiało już być dobrze po północy, ale nie mógł zasnąć. Wciąż słyszał w myślach echo dziwnych słów Alamrica.

Koniec końców zrzucił z siebie koc i gmerał w ciemności, aż znalazł niewielki ogarek. Zapalił go przy pomocy hubki i krzesiwa. Ciepła, złotawa poświata rozświetliła stryszek. Sięgnął pod posłanie ze słomy i wymacał dłonią deski podłogi.

Jedna była obluzowana. Wyjął ją, odsłaniając skryte w cieniu wgłębienie. Wydobył zeń długi przedmiot, zawinięty w grubą szmatę. Odwinął ją powoli. W blasku świecy zabłysnął miecz, ostry i czysty. Tyveris przez dłuższą chwilę wpatrywał się w srebrzyste ostrze, usiłując przywołać twarze wszystkich ludzi, których zabił i roztoczyć je wokół siebie niczym magiczną tarczę przeciwko słowom patriarchy. Po godzinie ponownie owinął miecz w szmatę i ukrył pod podłogą.

Wyjął z niszy kolejny przedmiot. Niegdyś przedstawiał ptaka, ale obecnie jego kształt był wygładzony i zatarty wskutek długotrwałego dotykania i obracania w mocarnych dłoniach. Mimo to Tyveris pamiętał doskonale piękno tej małej figurki. Wyrzeźbiła ją dla niego jego siostra, Tali, dawno temu. Przed laty, gdy on i Tali byli jeszcze zuchwałymi nastolatkami, często wspólnie wplątywali się w rozmaite tarapaty.

Kiedy do brzegów dżungli Chultu przybiły statki z za morza, on i jego siostra zignorowali błagania rodziców. Urzeczeni opowieściami o bogactwach i niezwykłych cudach, zaokrętowali się, pragnąc zostać wojownikami w odległych krainach na północy. Ale zostali oszukani.

Rodzeństwo miast poszukiwać bogactw zostało zakute w łań-cuchy. Los jaki im zgotowano, nie był losem wojownika, lecz posepną niedolą niewolnika. Okręt był koszmarem cuchnącej ciemności i chorób. Tali nie przeżyła rejsu, a Tyveris przetrwał tylko po to, by jego kostki spętano łańcuchami, a w rękę wciśnięto miecz.

Jadeitowa figurka była jedyną pamiątką po jego siostrze. Jej żywe oczy, zuchwały, słodki uśmiech pozostały już tylko w jego wspomnieniach.

Nie wszystkie dusze można zbawić... przerażające słowa Alamrica paliły jego umysł niczym trucizna. Ścisnął mocniej w rękę małą figurkę. Po jego ciemnym policzku spłynęła pojedyncza łza, czysta niczym diament.

— Czy stale ktoś musi umierać, nie można położyć temu kresu, Tali? — wyszeptał w noc. Odpowiedzią była jedynie cisza.

Było późne, posepne jesienne popołudnie, gdy do wrót opactwa Everarda zawitał gość. Tyveris znajdował się wówczas w wielkiej sali, nakładając w miejsce skruszałej nową zaprawę wokół okna, w obawie przed spodziewanymi, chłodnymi wichrami nadchodzącej zimy. Usłyszał krystaliczny dźwięk dzwonka przy wejściu i wyrzwał na zewnątrz. Przez szybę dostrzegł postać odzianą w ciężki granatowy płaszcz podróżny, dosiadającą delikatnej czarnej

klaczy. Gdy tak się przyglądał, matka Melisende i patriarcha Alamric wyszli, by powitać gościa. Tajemniczy jeździec uniósł dwie ręce w rękawicach, by zsunąć kaptur ciężkiego płaszcza.

Była piękna. Jej włosy, ciemne i lśniące jak jej klacz, opadały kaskadą na ramiona karmazynowej szaty do jazdy. Białe rysy były tak idealne, że wydawały się nieomal egzotyczne. Ta kobieta musi być szlachcianką — pomyślał Tyveris, zastanawiając się, kim może być.

W opactwie plotki powtarzane były niemal równie często, jak modlitwy i przed nieszporemami Tyveris usłyszał rozmaite, intrygujące informacje na temat tajemniczej damy.

Nazywała się Kelshara i była beneficjentką kościoła. Nie-którzy powiadali, że od miesięcy wysyłała złoto do opactwa, a obecnie odbywała pielgrzymkę do klasztoru.

Inne plotki mówiły o jej pragnieniu zobaczenia najświętszej relikwii opactwa, Łzy Everarda. Krystaliczny klejnot przechowywany w niewielkiej komnacie za nawą kaplicy był w rzeczywistości łzą uronioną przez imiennika i patrona opactwa, obróconą dzięki czarom w kamień. Przed kilkoma stuleciami znalazła się w posiadaniu kapłana Oghmy, który założył opactwo, aby strzec Łzy. Nawet teraz przybywali tu pielgrzymi z odległych krain pragnący zobaczyć Łzę i odmówić modlitwę do Oghmy.

Echa wieczornych pieśni wciąż jeszcze rozbrzmiewały wśród spowitych blaskiem świec sklepień kaplicy, gdy z komnaty ksieni dobiegło wezwanie na wieczerzę. W przeciągu kilku chwil opactwo zatętniło życiem, a Tyveris pomógł w przygotowaniu wielkiej sali. Wraz z kilkoma braciszkami zamieśli podłogę świeżymi miotełkami z gałązek i wystawili długie, drewniane stoły. Przez cały czas ze swoich cel do pomieszczenia schodziły się siostry niosące w dłoniach świeczniki z zapalonymi świecami. Niebawem wewnątrz sali wręcz buchało pomarańczowo-żółtym blaskiem.

Po zakończeniu przygotowań do wieczerzy Tyveris starał się, jak mógł trzymać na uboczu. W ciągu kilku dni, jakie minęły od czasu jego rozmowy z Melisende, usiłował nie robić nic, co mogłoby zaniepokoić opata Orvena lub któregośkolwiek innego rezydenta opactwa.

Jak dotąd, jego wysiłki zakończyły się sukcesem.

Zanim rezydenci klasztoru zajęli miejsce w wielkiej sali, stoły zostały zastawione tacami z pieczonymi gęsiami, misami bulgoczącego gulaszu, talerzami kandyzowanych owoców i górami ciepłego jeszcze chleba. Przez kilka chwil Tyveris miał wrażenie, że znajduje się w raju, dopóki siedzący obok niego opat nie wyjaśnił mu uprzejmie, iż miał zająć się tymi delicjami, powinien raczej podać je dalej.

Gdy wszyscy nałożyli już jedzenie na swoje talerze i odmówiono modlitwę, matka Melisende wstała ze swego miejsca u szczytu stołu. Przedstawiła przyjezdną jako lady Kelsharę i wyjaśniła, że tajemnicza dobrodziejka opactwa rzeczywiście zjechała do klasztoru na pielgrzymkę, aby móc zobaczyć osławioną Łzę Everarda.

Następnie wstała Kelshara i przemówiła.

— Zgotowaliście mi doprawdy przewspaniałe powitanie — stwierdziła Kelshara jedwabście gładkim tonem. — Nie mogę się doczekać, by zobaczyć ów cudowny, drogocenny klejnot, którego z taką nieustępliwością strzeżecie. — Uniosła kielich z winem, uśmiechnęła się i skinęła głową. — Niechaj Oghma w swej łaskawości obdarzy nas wszystkich wiedzą, której poszukujemy.

Tyveris wstał wraz z innymi, aby podobnie jak oni unieść swój kielich, ale nieoczekiwanie coś go zaniepokoiło. W uśmiechu Kelshary było coś dziwnego, coś bardzo intymnego i dogłębnego.

W latach, gdy prowadził żywot wojownika, Tyveris nauczył się czytać z wyrazu twarzy swych towarzyszy niedoli i swoich wrogów. Jedno spojrzenie w oczy wystarczało mu, by stwierdzić, kiedy kłamali, a napięcie mięśni szczęk ostrzegało go przed mającym nastąpić atakiem.

Nie był zupełnie pewien, co oznaczał uśmiech Kelshary, ale ni stąd, ni zowąd lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach.

Przez resztę wieczoru prawie nie tknął swojej porcji jadła, obserwując kątem oka Kelsharę. Była pochłonięta ożywioną dyskusją z Alamrikiem.

Oczy patriarchy pały wewnętrznym ogniem, a Tyveris nie wątpił, że kapłan improwizował na temat swoich marzeń o przekształceniu kościoła Oghmy w bardziej wojujący zakon. Kelshara zdawała się przysłuchiwać z uwagą jego słowom, ale matka Melisende siedząca tuż obok przyglądała się im z cierpkim wyrazem twarzy.

Tyveris zauważył wówczas, że uśmiech Kelshary nieznacznie się zmienił. Widać w nim było wyraźnie grymas triumfu. Co chwilę przerywała wysłuchiwanie żarliwego monologu Alamrica, a jej chłodne spojrzenie wędrowało poprzez morze twarzy wypełniających wielką salę.

Znalazła coś, czego szukała, ale nadal szuka jeszcze czegoś

— pomyślał Tyveris. Nie był pewien dlaczego, ale osunął się na krzesło tak bardzo, jak tylko był w stanie z uwagi na swoją potężną sylwetkę. Im mniej rzucał się w oczy, tym lepiej. Koniec końców matka Melisende wstała, by życzyć rezydentom opactwa dobrej nocy. Szybko odeszła od stołu, ale przechodząc przez salę, minęła krzesło Tyverisa.

— Przez ostatnich kilka dni bardzo starałem się nie rzucać w oczy — stwierdziła rzeczowo.

Tyveris uśmiechnął się z głupia frant.

— Staralem się. Wiesz, to nie takie proste. Rok temu sądziłem, że określenie „subtelne” oznacza użycie sztyletu zamiast topora bojowego.

Matka Melisende skrzywiła się nieznacznie, po czym uśmiechnęła się i poklepała go po masywnym ramieniu.

— Staraj się tak dalej. Wygląda na to, że opat Orven nieco się uspokoił. Prawdę mówiąc, zwołuję na jutro zebranie, aby przedyskutować propozycję pozostawienia cię tu na stałe. Mam powód, by wierzyć, że opaci poprą moją decyzję.

— W jej oczach rozbłysły iskierki. Uśmiech Tyverisa poszerzył się.

— Dziękuję, matko Melisende.

— Podziękuj mi nie czyniąc niczego, co udowodniłoby, iż moje zdanie na twój temat było mylne — stwierdziła rezolutnie Melisende.

Ksieni odwróciła się, by odejść, ale Tyveris wyciągnął rękę i schwycił ją za ramię.

— Nie lubisz jej, prawda? — wyszeptał.

Melisende zawahała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

— Nie. Nie lubię — odparła półgłosem. — Ale wygląda na to, że znalazła bratnią duszę w Alamricu.

— Chce, aby została beneficjentką jego zakonu, nieprawdaż? Za jej pieniądze zamierza kupić armię wojowników, by szerzyli jego prawdę na całym terytorium Heartlands.

Zwykle promieniujące ciepłem oblicze Melisende stało się nagle twarde i zimne jak stal.

— Trzymaj się z dala od patriarchy Alamrica, Tyverisie. Może potrzebować cię do wypełnienia swego planu, ale ty z całą pewnością nie potrzebujesz nikogo takiego jak on. — To rzekłszy Melisende żwawym krokiem wyszła z sali.

Tyveris ponownie omiół spojrzeniem całą salę. Alamric wciąż jeszcze prowadził swój natchniony monolog, siedząc u boku Kelshary, ta jednak wcale na niego nie patrzyła. Jej fiołkowe, przenikliwe oczy były wpatrzone w przeciwległy koniec sali. Grymas triumfu w jej uśmiechu pogłębił się. Patrzyła ni mniej, ni więcej tylko na Tyverisa.

Po wieczery Tyveris ruszył do stajni na z dawna oczekiwany wypoczynek. Niemniej gdy księżyc pojawił się nad odległym horyzontem, jego srebrzysty blask wpływający przez otwarte okno stryszku odnalazł go wciąż czuwającego.

— Wiem, że pozwolą mi zostać, Tali — wyszeptał. — Czuję to. Tu jest moje miejsce.

Odłożył wygładzoną, jodeitową figurkę ptaka na odwróconą skrzynkę, która służyła mu jako stół. Następnie nasunawszy na nos okulary w drucianej oprawce, ponownie pochylił się nad czytana księgą. Dotyczyła prastarej wojny w imperium, które dawno temu znikło pod piaskami Anauroch, wielkiej pustyni na północy. Jego czoło zmarszczyło się, gdy skoncentrował się na słowach.

Było już późno, kiedy skończył, ale sen nadal nie przychodził. Niepokojące wizje armii Zwiastunów Prawdy Patriarchy Alamrica, finansowanej z pieniędzy Kelshary, nie dawały mu spokoju. Przez chwilę, krótką jak jedno uderzenie serca, widział siebie na czele krucjaty, niosącego bojowy proporzec z symbolem

Oghmy i wydającego głośne, triumfalne okrzyki, podczas gdy szlochający niewierni byli tratowani, wdeptywani w przesiąkniętą krwią, błotnistą ziemię kopytami jego bojowego, czarnego rumaka. Cała scena była mroczna i przesycala go dodającym otuchy wrażeniem mocy i potęgi. Gdyby sprawa Alamrica okazała się naprawdę godna, Tyveris wiedział, iż mógłby stanowić potężną siłę w tego typu świętej krucjacie. Ale jeśli Alamric mówił powodowany jedynie osobistą ambicją...

— Nie — wyszeptał zdecydowanie Tyyeris. — Nie będę już więcej pionkiem. Nigdy.

Zszedł szybko po drabinie. Skoro nie mógł zasnąć, równie dobrze mógł przynieść z biblioteki kolejną książkę. Przeszedł szybko przez skapany w księżycowym blasku dziedziniec i wszedł do gmachu klasztoru, schodząc po kamiennych schodach tak cicho, jak to tylko było możliwe. Mijając drzwi do kaplicy zatrzymał się. Jakieś poruszenie wewnątrz przykuło jego uwagę. Zaciekawiony zajrzał przez łukowato sklepione wejście. Wewnątrz znajdował się Alamric. Patriarcha stał w nawie kaplicy, bez wątpienia pogrąony w żarliwej modlitwie do Oghmy. Tyyeris czym prędzej wyszedł z kaplicy — serce dudniło mu w piersi jak szalone. Nie miał ochoty wysłuchiwać dalszych diatryb Alamrica. Wszedł zwawo po kamiennych stopniach i ruszył długim korytarzem w kierunku biblioteki.

Znajdował się w połowie korytarza, kiedy zauważył coś dziwnego. Ze szpary pod drzwiami do komnaty Alamrica biła dziwna, pomarańczowa poświata. W pierwszej chwili Tyyerisa w ogóle to nie zainteresowało i ruszył dalej w stronę biblioteki. Bez wątpienia patriarcha wyszedł, pozostawiwszy zapaloną świeczkę. Mimo to w jasnym blasku było coś dziwnego, a raczej nie tyle w blasku, co w sposobie, w jaki światło migotało i tańczyło. Wyglądało to zupełnie jak luna...

— Pożar — wyszeptał Tyyeris, a jego oczy rozszerzyły się. W myślach zobaczył obraz — świeczka wypalająca się na stole zawalonym pergaminami, ogień liżący żarłocznie papiery, zajmujące się sterty pism i płomienie strzelające wysoko, aż pod sufit. Zastanawiał

się, czy nie zbiec na dół, by sprowadzić Alamrica, niemniej opanowanie ognia, zanim wydostanie się spod kontroli, mogło być kwestią paru minut. Nie zastanawiając się wpadł jak burza do komnaty Alamrica.

I stanął jak wryty, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

W pierwszej chwili rzuciły mu się w oczy dwie zasadnicze rzeczy: Pierwsza — że nie było żadnego pożaru. Migoczące światło emanowało z przedmiotu stojącego na marmurowym stoliku — niewielkiego słoja wypełnionego dziwnym światłem, którego oszałamiające fale opływały go od stóp do głów.

Druga rzecz, jaką zauważył, to to, iż nie był w komnacie sam. Przyjezdna — Kelshara, siedziała opodal na fotelu o welwetowym obiciu, równie fiołkowym jak jej oczy.

Zaskoczony Tyyeris cofnął się o krok, ale ona zdawała się go nie zauważać. Wpatrywała się tępo w przestrzeń, z pobladłym, pozbawionym wyrazu obliczem. Gdyby nie regularne unoszenie się i opadanie jej piersi pod karmazynową szatą, pomyślałby, że kobieta nie żyje.

Tyyeris poczuł ciarki na karku. Bez namysłu sięgnął dłonią do biodra, ale nie było tam rękojeści miecza, którą mógłby uchwycić.

— Tu się dzieją jakieś czary, to pewne jak noc jest czarna — burknął. Nigdy nie przepadał za magią ani za ludźmi, którzy się nią parali. Magowie w większości byli zdradzieckimi kreaturami.

Jednakże dziwna scena w pokoju wprawiała go w zakłopotanie. Czy Alamric również parął się magią? Możliwe, że był w stanie zrobić wszystko, by ziścić swe krwawe marzenia o świętych podbojach. Możliwe, że rzucił urok na Kelsharę, aby dała mu złoto, którego potrzebował, by osiągnąć swój cel. Tyyeris potrząsnął głową z niedowierzaniem. Musiał znaleźć matkę Melisende.

Gdy odwrócił się, by wyjść, jego wzrok raz jeszcze padł na wypełniony światłem słoje. Przerażająca fascynacja nakazywała mu podejść bliżej, zajrzeć do środka słoja. Wewnątrz coś się poruszało.

Człowiek — a raczej, dokładniej rzecz biorąc, widmowa sylwetka człowieka była bezradnie pięściami w szklaną ściankę więzienia. Jego oczy były rozszerzone obłędem, usta otwarte w milczącym, nie kończącym się okrzyku. Mały duch drapał szkło palcami zakrzywionymi niczym szpony. Najgorsze było w tym wszystkim to, że Tyyeris rozpoznał mężczyznę uwięzionego w naczyniu. Był to Alamric.

— A wiec jednak przyszedłeś — rozległ się za jego plecami silny, okrutny głos. — Spodziewałam się ciebie, rzecz jasna. Toż czasami kłamie, ale karty nigdy. — Tyyeris obrócił

się na pięcie, przyjmując skuloną pozycję obronną. Wyciągnął przed siebie potężne dłonie, gotowy do walki. Jego nozdrza rozdymały się, czując w powietrzu woń zagrożenia.

Miał przed sobą patriarchę Alamrica.

Jednak w jakiś sposób jego wyostrzone w bojach zmysły powiedziały mu, iż nie wszystko było tak, jak się wydawało. Ciało mogło należeć do Alamrica, który przyglądał mu się szarymi oczyma. Niemniej jednak dusza patriarchy — jeżeli nie on sam — był uwięziony wewnątrz świetlistego więzienia. Został przez kogoś opętany, a filuterny, triumfalny uśmiech wykrzywający usta patriarchy zdradził mu tożsamość przeciwnika.

— Kelshara — wyszeptał. Ciało kobiety było sztywne, nieruchome, ale mimo iż siedziała na krześle, w jakiś sposób sprawowała kontrolę nad ciałem Alamrica.

Uśmiech poszerzył się.

— Jesteś spostrzegawczy — powiedziała śpiewnie nekromantka przez usta Alamrica. — Niemniej jednak sądzę, że już wkrótce pożałujesz, że jesteś taki sprytny. Zrządzeniem losu stanąłeś na mej drodze, wojowniku. A ja zrzadzę, że twoje życie dobiegnie końca.

Gwałtownym ruchem, który kompletnie zaskoczył Tyverisa, fałszywy patriarcha wyszarpnął spod poły swej szaty długi, zakrzywiony sztylet i rzucił się naprzód.

Reakcje zakodowane w mięśniach Tyverisa przez długie lata, gdy wiódł życie najemnika, w jednej chwili zmusiły go do działania. Zszedł z linii ciosu i kopnął z całej siły. Poczł jak pod jego stopą kości ręki patriarchy wyginają się i pękają. Sztylet wypadł Alamrikowi z dłoni.

Tyveris błyskawicznie wyciągnął rękę i schwycił nóż, zanim ten spadł na podłogę, po czym zadał gładkie, precyzyjne cięcie skierowane ku dołowi.

W przeciągu jednej sekundy było po wszystkim.

— Nie — wyszeptał ze zgrozą Tyveris wpatrując się błędnym wzrokiem w swoje dzieło. Ciało Alamrica osunęło się na niego, a na szatach patriarchy zaczęła powiększać się krwistoczerwona plama, niczym kwiat róży rozkładający swe płatki. Tyveris usiłował wyrwać sztylet, ale fałszywy patriarcha z niewiarygodną siłą chwycił go za rękę, wbijając ostrze jeszcze głębiej.

— Zatem zwyciężyłam — wyszczała triumfalnie Kelshara przez zęby Alamrica. Fala pomarańczowego ognia wystrzeliła ze szklanego słoja, na krótką chwilę oslepiając Tyverisa. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył, że Alamric spogląda na niego w niemym osłupieniu. I tym razem przez zamglone oczy patrzył na niego prawdziwy patriarcha. Wydał jeszcze jedno, ostatnie tchnienie, targnął konwulsyjnie całym ciałem i skonał. Tyveris pozwolił, by ciało osunęło się w rosnącą na kamiennej posadzce kałużę krwi.

— Jestem ci wdzięczna — rozległ się drwiący, lodowaty głos. Tyveris odwrócił się, by zobaczyć Kelsharę, podnoszącą się z fotela i wygładzającą swą jedwabną suknię.

— Skończyłam z Alamrikiem, a ty tak uprzejmię rozprawiłeś się z nim za mnie.

Podniosła ze stołu pusty już słój i wsunęła do kieszeni sukni.

Rozległo się skrobanie pazurów i Tyveris ze zgrozą zobaczył, jak niewielka, zdeformowana kreatura zeskokczyła z parapetu otwartego okna na podłogę komnaty i podeszła utykając do Kelshary. To był kobold. Stwór zmierzył go spojrzeniem wyłupiastych czerwonych oczu.

— No i proszę, Toż, są tu obaj, dokładnie jak przepowiedziały karty — powiedziała Kelshara. — Kapłan, który nie jest kapłanem. — Machnęła ręką i w jej palcach pojawiła się wymyślnie zdobiona karta. Przedstawiała świątobliwego człowieka. Karta była odwrócona. — W głębi serca był gwałtownym człowiekiem i umarł gwałtowną śmiercią. — Zmięła kartę w dłoni. Gdy ją upuściła, karta zapaliła się i spopieliała, nim zdążyła spaść na posadzkę.

— I wojownik, który nie jest wojownikiem — skrzeknął kobold.

— Tak — stwierdziła Kelshara, a jej fiołkowe oczy zabłysły z zamyśleniem — ale sądzę, że w głębi serca jest bardziej wojownikiem, niż mu się wydaje. Zabija z praktyczną łatwością. Ale cóż, ja również.

Tyveris zbyt późno zdał sobie sprawę z zagrożenia. Zanim zdążył rzucić się naprzód, w dłoni Kelshary pojawiła się kolejna karta, tym razem przedstawiająca rycerza w zbroi. Również była odwrócona. Gwałtownym ruchem rozdarła kartę na pół.

Tyveris krzyknął.

Nigdy dotąd nie krzyczał — ani razu podczas żadnej bitwy, w której miał okazję brać udział, przez całe swoje życie. Odnosił rany, które zabiłyby innych ludzi, wytrzymywał tortury, chłosty i przypalanie rozpalonym żelazem, nie dając swym oprawcom satysfakcji usłyszenia dobywającego się z jego ust syku bólu. Tym razem jednak krzyknął, agonია wyrwała zeń przeraźliwy wrzask, niczym szpon sięgający w głąb jego gardła, aby wydrzeć mu z piersi serce. W tej samej chwili jednak ogarnął go litościwy chłód. Upadł na podłogę; jego kończyny były lodowate i odrętwiałe, serce kołatało się w piersi.

Kelshara pochyliła się nad ciałem Alamrica i wyjęła coś z jego kieszeni.

Był to mały przezroczysty klejnot. Łza Everarda. — Mam to, po co tu przyszłam — zamruczała Kelshara. — Żegnaj, wojowniku. Ale nie lękaj się. Nie pożyjesz dość długo, by twoi braciszkanie wymierzili ci sprawiedliwość za to nieszczęsne morderstwo.

Ciemnowłosa nekromantka odwróciła się w stronę otwartego okna. Rozłożyła szeroko ręce i wydała przeciągły, dziwny, gardłowy dźwięk. Z nocnego nieba spłynął ogromny stwór i zawisł w powietrzu naprzeciw okna.

Za życia stworzenie to mogło być gryfem, zabójcą, acz szlachetną skrzydlatą bestią o ciele lwa i głowie orła. Jednak rumak Kelshary był istotą martwą. Gnijące ciało zwisało w strzępach odpadając od kości, a jego oczy pały chorobliwym nieziemskim blaskiem. Martwy stwór skrzeknął, ale dźwięk ten był stłumiony przez zalegające w dziobie gryfa grudy ziemi. Kelshara wskoczyła na grzbiet upiornego wierzchowca; w chwilę później kobold usadowił się z tyłu za jej plecami. Stwór rozłożył skrzydła, powodując falę smrodliwego, cuchnącego zgnilizną powietrza. Następnie wzbił się triumfalnie w niebo, pozostawiając Tyverisa samotnego i kompletnie pokonanego.

Jakiś czas później opat Orven natknął się na byłego najemnika, leżącego obok sztywniejącego już ciała Alamrica, wciąż ściskającego w lodowato zimnej dłoni rękojeść okrwawionego sztyletu.

Niebawem ciszę nocy rozdarł dźwięk dzwonów.

Był chłodny, szary poranek. W wietrze czuło się słaby zapach śniegu. Tyveris stał samotnie przed otwartą bramą opactwa. Nikt nie przyszedł, aby się z nim pożegnać, aczkolwiek nie było to specjalnie dziwne, gdyż wszyscy w klasztorze uważali go za mordercę. I przypuszczał, że mieli rację, choć nie tak, jak im się to powszechnie wydawało.

Narzucił poplamiony, brudny płaszcz podróżny na swe rozłożyste barki. Wymienił brązową szatę z samodziału na znoszony skórzany kubrak i bryczesy, które nosił przed przybyciem do opactwa. Nisko na biodrach miał zapięty pas z mieczem; płaza ostrza opierająca się o jego udo dodawała mu otuchy. Czuł się tak, jakby nigdy nie porzucił broni. Nawet nie powinien był próbować.

Rada opatów nie uwierzyła w jego opowieść.

— Nie potrzebuję magii, aby wyjaśnić ten podły czyn

— rzekł gniewnie opat Orven. — Zdrada jest dostatecznym powodem. Spiskowałeś z Kelshara, aby ukraść Łzę i zamordowałeś patriarchę Alamrica, by uchronić się przed zdemaskowaniem. Jednak kiedy Kelshara zdobyła klejnot, już cię nie potrzebowała. Jesteś mordercą i głupcem, Tyverisie, gdyż pozostawiła cię tu, byś został ukarany, podczas gdy ona cieszy się teraz wolnością.

Pozostali zgodzili się z nim. Tyveris nigdy się nie zmieni. Pozostanie na zawsze zabójcą.

Jedynie interwencja matki Melisende uchroniła go przed wyrokiem śmierci. Ostatecznie jednak wyrok był równie surowy — musiał niezwłocznie opuścić opactwo.

Tyveris spojrział ku odległemu horyzontowi. Świat za murami opactwa wydawał się pusty, jakby nie miał mu nic do powiedzenia. Dalsze zwlekanie miało się z celem.

Wyszedł przez otwartą bramę.

Zatrzymał się, słysząc za sobą ciche klap, klap, klap końskich kopyt. Odwrócił się. To co zobaczył, pomimo iż był w ponurym nastroju sprawiło, że się uśmiechnął.

— Myślałam, że będziesz wolał raczej jechać niż iść pieszo

— powiedziała pospiesznie matka Melisende. Podążała za nią kara palfrey, na której Kelshara przyjechała do opactwa.

— Śmiem twierdzić, że nikt inny nie dosiądzie tej klaczy, choć to może wydawać się nierozsądne. To dobra klacz i nie można jej winić za złe maniery jej pani. Pieszczotliwie poklepała czarną palfrey po szyi.

— Dziękuję — rzekł Tyveris, biorąc od niej wodze. Przez dłuższą chwilę stał w kompletnym bezruchu, nie wiedząc, co może jeszcze powiedzieć.

Ksieni przyglądała mu się ze znużeniem.

— Wiem, że powiedziałeś prawdę. — Sprawiała wrażenie nieobecnej, jej żywe oczy były mętne. — Przepraszam, że nie mogłam cię bronić lepiej, Tyverisie, ale inni mogliby uznać, że zostałam w jakiś sposób zauroczona. — Westchnęła.

— Czasami ludzie mogą być tak potwornie ślepi, nawet ci, którzy poszukują prawdy i wiedzy. Tyveris pokręcił głową ze zdumieniem.

— Naprawdę nie sędzę, żeby istniał ktoś inny, kto potrafi postrzegać równie dobrze jak ty, matko Melisende. Roześmiała się głośno.

— Dlaczego, nie sędzę. — Jej krągłe oblicze nagle spoważniało. — To dla ciebie — podała mu niewielkie zawiniątko, owinięte w ciemny gałgan.

Tyveris przyjął je skrzętnie.

— Co to takiego?

— To święta relikwia, bardzo stara. Należała niegdyś do mnicha — założyciela świątyni. Ochroni cię w nadchodzących mrocznych dniach. I będzie cię prowadzić.

— Prowadzić? Dokąd?

Ksieni z powagą pokiwała głową.

— Do Łzy Everarda. — Westchnęła ze znużeniem. — Przychodzę prosto z komnaty przeoryszy Antiry, Tyverisie. Na mą prośbę rzuciła zaklęcie wróżów, aby zobaczyć, co niesie dla nas przyszłość — przerwała złowieszczo. — Opactwo znajduje się w wielkim

niebezpieczeństwie. Łza była jego sercem, bez niego nie będziemy w stanie obronić się przed mocami ciemności. Istoty zła, które opisałeś jako sługi Kelshary, nigdy nie zdołałyby wdrzeć się poza te mury, gdyby nie zdobyła Łzy. Teraz, kiedy jej nie ma, wróżby mówią jasno. W przeciągu roku opactwo przestanie istnieć.

Tyveris spojrział na nią wstrząśnięty.

— Odnajdź Łzę Everarda. Udowodnij innym to, co ja już wiem o tobie.

Tyveris westchnął ponuro.

— Ale w jaki sposób mam pokonać Kelsharę? Całe lata mego wojowniczego rzemiosła są niczym w porównaniu z jej magią. Tajemniczy grymas napłynął na twarz Melisende.

— Tak, ale posiadasz coś innego, Tyverisie, coś czego ona nie ma.

— Nie powiesz mi co? Zastanawiała się chwilę.

— Sądzę, że sam musisz do tego dojść. — Zacisnęła mocniej jego palce wokół świętej relikwii. — Pamiętaj. To będzie cię chronić i wskazywać drogę.

To rzekłszy odwróciła się i szybko przeszła przez dziedziniec, by zniknąć w gmachu opactwa. Tyveris ponownie został sam, aczkolwiek nie czuł się już tak samotny, jak poprzednio. Zimny wiatr szarpnął gałganem, który Tyveris trzymał w ręku i odsłonił znajdujący się wewnątrz zawiniątka przedmiot. Było to pióro do pisania, pożółkłe ze starości i upstrzone plamami zaschniętego inkaustu.

Trzy dni później Tyveris dostrzegł wieżycę wznoszącą się niczym postrzępiony odłamek kości pomiędzy mrocznymi wzgórzami. Gdy lustrował zamczysko, słońce wślizgnęło się za zasłonę krwistoczerwonych chmur i z nieba zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu, twardego i piekącego niczym drobniutkie odłamki szkła. Po raz ostatni ostrożnie wyjął starożytne pióro otrzymane od Melisende. Tak jak to czynił tuzin razy podczas swej podróży, przywiązał pośrodku pióra cienki rzemyk. Ująwszy jego drugi koniec pozwolił relikwii zawisnąć w powietrzu. Pomimo zawodzącej wichury pióro obracało się przez chwilę, po czym znieruchomiało, skierowane końcem w stronę wieżycy.

Tyveris ponuro pokiwał głową, po czym schował relikwię. Po krótkiej chwili ponaglił swego wierzchowca do cwału.

Zbocze wzgórza było strome i usłane zdradzieckimi obluzowanymi kamieniami.

Tyveris zostawił klacz w bezpiecznej kotlinie i dalej ruszył pieszo. Poluzował miecz w pochwie, a jego mięśnie napięły się wyczekująco. Nagle lodowaty wicher ucichł i zrobiło się niewiarygodnie cicho. Zupełnie jakby obserwował go Cyric, władca umarłych, wstrzymując grobowy oddech i czekając na przybycie ofiary.

W końcu dotarł do bliźniaczych strażnic znajdujących się po obu stronach głównej bramy. Wysoko nad nim wznosiła się wieżyca, milcząca i pokryta cieniutką warstwą śniegu. Pchnął obite metalowymi pasami odrzwia. Otworzyły się przy wtórze głośniego skrzypnięcia zawiasów. Przebiegłszy przez dziedziniec znalazł się przy samej wieży — prostej, masywnej twierdzy zdającej się dosięgać wiszących wysoko na ciemniejszym niebie chmur.

Wnętrze wieżycy tonęło w mroku. Tyveris przeklął własną głupotę, gdyż nie miał przy sobie świecy ani lampy. Nagle dostrzegł słabą poświatę. Rozejrzył się w ciemności poszukując źródła światła i ze zdumieniem stwierdził, iż znajdowało się ono w jego kieszeni. Wyjął pióro. Lotka emanowała czystym, srebrzystym blaskiem.

— Dzięki ci, matko Melisende — wyszeptał z gniewnym uśmiechem Tyveris. Wsunął pióro za pas. Mogło się wydawać, jakby sam Oghma oświetlał mu drogę.

Pierwsze co zobaczył wewnątrz wieżycy, to szkielety. Kamienną posadzkę zaścielały chropowate kości i patrzące tępo w przestrzeń czaszki. Lodowaty odór zgnilizny, który czuł owej nocy w komnacie Alamrica, był tu wielokroć silniejszy. Miał nieomal wrażenie, iż fetor ten wdiera się przez skórę w głąb jego ciała. Niemniej jednak Tyveris przez większość swego życia miał do czynienia ze śmiercią. Zwyczajnie zatkał nos i przeszedł przez salę w stronę kolejnych drzwi. Pod jego stopami kości chrzęściły i obracały się w pył.

Po obu stronach tego łukowato sklepionego wejścia wznosiły się stosy czaszek. Tyveris ruszył dalej nie zwracając na nie większej uwagi.

Popelnił błąd. W pustych oczodołach czaszki spoczywającej na szczycie stosu rozbłysły drobne jak łebki szpilek, karmazynowe ogniki, a potem stwór zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Tyveris w mgnieniu oka dobył miecza i ciął z całej siły. Odłamki kości rozprysnęły się na wszystkie strony, a krzyk stwora urwał się w jednej chwili, niemniej temu, co się stało, nie można już było zapobiec. Istoty te nazywano czaszko-strażnikami. Zaklęcie, które je ożywiało, powstało bardzo dawno temu, stworzone przez księcia Ketherylla z Moonshaes. Był to jedynie drobny fragment mrocznej magii, która utworzyła koszmarny Pałac Czaszek Ketherylla, ale jeśli Kelshara potrafiła się nią posługiwać, to znaczy, iż była potężniejsza, niż Tyveris się spodziewał.

Co gorsza zaś, dzięki czaszko-strażnikowi wiedziała już, że w zamku był intruz.

Światło pióra ukazało, iż po drugiej stronie wejścia znajduje się obszerna, okrągła komnata, której sklepienie niknie wysoko wśród szarych cieni. W komnacie nie było nic prócz spiralnych schodów, wznoszących się przy przeciwległej ścianie.

Tyveris ostrożnie przeszedł przez pokój, a echo odbiło tupot jego obutych stóp na kamiennej posadzce. Był mniej więcej w połowie drogi do schodów, gdy usłyszał jakiś dźwięk.

Zaczął się niczym słaby szczeł, ale błyskawicznie zmienił się w ogłuszający klekot. Tyveris poczuł, jak coś ociera się o jego szyję, coś ostrego i kłującego. Zaraz potem strużka krwi pociekła mu po plecach. Dobył miecza i uniósł wzrok, a jego oczy rozszerzyły się w wyrazie osłupienia.

W powietrzu roiło się od nietoperzy — były ich setki, latały niepewnie po całej komnacie. Wszystkie były martwe. Pomiędzy chudymi, poźółkłymi kośćmi ich skrzydeł rozciągały się pajęczyny, a w ich pustych oczodołach płonęło to samo upiorne, czerwone światło, co w orbitach czaszko-strażnika. Otwierały pyszczki w bezgłośnym krzyku, a ich ostre jak igły zęby błyszcząły w magicznym świetle pióra. Tyveris zaklął i zamachnął się na nietoperza, który podleciał najbliżej niego. Inny zatopił zęby w jego przedramieniu.

Z grymasem obrzydzenia strącił z siebie upiorne stworzenie. Małe kreatury miały rozedrzeć go na strzępy, przy czym każde mogło zaatakować i ugryźć go tylko raz.

Zawył z wściekłości i okręcił się dziko na pięcie, zataczając swym mieczem zabójczy łuk. Tuzin szkieletonietoperzy zmienił się w chmurę kościstego pyłu, gdy dosięgło ich ostrze miecza.

Mimo to jednak nieumarłe nietoperze nadal zaciekle atakowały i latały wokół niego. Strużki krwi ściekały krewto po twarzy Tyverisa, a jego szyję i ramiona pokrywały niezliczone rany od ukąszeń. Z każdym kolejnym dęciem ginęło coraz więcej potworów, rozsypując się w chmurę pyłu i sproszkowanych kości. Powietrze było gęste od kurzu, dławilo, ale on ani na chwilę nie przerywał zadawania rytmicznych, potężnych, zamaszystych ciosów.

W końcu w komnacie zapanowała cisza — tylko jeden, ostatni nietoperz-szkielet miotał się bezradnie na ziemi. Tyveris zmiażdżył go pod butem i ruszył w stronę schodów.

Kusiło go, by zawołać: — Idę po ciebie, Kelsharo — ale nie było takiej potrzeby. Czarodziejka wiedziała. Ruszył na górę po szerokich, kamiennych stopniach, trzymając w prawym ręku uniesiony do ciosu miecz. U szczytu schodów zaczynał się długi korytarz, na końcu którego znajdowały się drzwi. Po obu stronach korytarza stały pionowo, odwrócone twarzami do siebie, z wyglądu stare, kamienne sarkofagi. W pokrywach trumien widniały płaskorzeźby masek śmierci — podobizny znajdujących się wewnątrz zmarłych. Oczy z lapis lazuli i onyksu wpatrywały się złowieszczo w wojownika. Kamienne usta wykrzywione w drwiącym, okrutnym grymasie zdawały się zeń szydzić. Odpowiedział im tym samym i ruszył wzdłuż korytarza. Gdy Tyveris mijał pierwszą parę sarkofagów, poczuł, że jedna z płyt ugina

się pod jego ciężarem. Głośne szczęknięcie odbiło się od ścian korytarza, gdy uruchomiony został jakiś niewidoczny mechanizm.

Na szczęście nie stracił ani chwili na zastanawianie się, co powinien zrobić w tej sytuacji. Rzucił się szczupakiem do przodu w tej samej chwili, gdy połyskujące ostrza wyprysnęły z ust dwóch masek śmierci po obu jego stronach. Ostrza zetknęły się z głośnym brzękiem tuż za jego głową.

Impet skoku pchnął go dalej, poza drugą parę sarkofagów. Spodiewając się, że kolejna para ostrzy wystrzeli z ust masek śmierci, skulił się. Ruch ten o mało nie kosztował go życie, gdyż tym razem ostrza wyłoniły się z otworów ukrytych na wysokości kolan. Tyveris ledwo zdążył przeskoczyć ponad nimi, zanim zderzyły się przy wtórze metalicznego szczęku.

Pognał przez korytarz, a kolejne ostrza przecinały powietrze tuż za jego plecami. Zabójcze pułapki zdołały jedynie poszatkować tył tuniki Tyverisa, gdyż trenował on dostatecznie długo i ciężko, by wiedzieć, jak należało sobie z nimi radzić. Kiedy jednak wojownik przeskakiwał nad ostrzami wypryskującymi z przedostatniej pary kamiennych trumien, potknął się i poszorował boleśnie kolanami po posadzce.

Opactwo przytępiło moją sprawność bardziej, niż przypuszczałem — pomyślał ponuro Tyveris, czekając na uaktywnienie ostatniej pułapki.

W korytarzu rozległ się metaliczny zgrzyt i pisk, ale z sarkofagów nie wyłoniło się ani jedno ostrze. Wyglądało na to, iż pułapka zacięła się.

Tyveris spojrział na maski śmierci i wystające z nich do połowy ostrza mieczy. Gdyby się poruszył, mógłby je uaktywnić. Naturalnie, gdyby tam został, Kelshara natknęłaby się na niego prędzej czy później.

Nie odważając się zaczerpnąć powietrza, wojownik zaczął przeczołgiwać się na brzuchu, aż w końcu znalazł się poza zasięgiem ostatniej pary mieczy. Jakby w odpowiedzi na odmawiane przez niego modły do Oghmy, ostrza pozostały nieruchome.

Tyveris jeszcze przez chwilę leżał przed zamkniętymi drzwiami, aby napełnić spragnione powietrza płuca i uspokoić rozkołatanę serce. Następnie podniósł się powoli. Za drzwiami natrafił na wąskie schody. Ścisnąwszy mocniej w dłoni rękojeść miecza, ruszył ku komnacie znajdującej się na szczycie wieży.

— Wiesz, powinieneś nie żyć.

Pośrodku pomieszczenia stała Kelshara, jej włosy skrzyły się w blasku księżyca wpadającym do komnaty przez otwarte okno. Uśmiechnęła się. Był to okrutny, tajemniczy grymas.

— Kiedy przedarłam kartę losu na dwoje, v twoje serce powinno było pęknąć. Do tej pory w przypadku innych ludzi to zawsze skutkowało.

— Nie boję się twoich czarów — skłamał Tyveris. — Nie mają na mnie wpływu. Patrzył, jak jej czujne oczy przyglądają się jego mieczowi. Pomimo z pozoru spokojnej postawy wyczuł w rysach jej twarzy drobne oznaki zaniepokojenia.

— Przyszedłem tu po Łzę Everarda.

— Tak też myślałam — odparła kwaśno Kelshara. — Toż, przynieś mój nowy skarb.

Kobold kuśtykając wyłonił się z mrocznej alkowy, niosąc niewielkie puzderko z czystego, kutego złota. Kelshara wyszarpnęła pudełko z pokrzywionych, zdeformowanych łap stwora.

— Jesteś jak zawsze powolny, Toż. — Niemal od niechcienia wskazała na kobolda palcem i wystrzelona zeń iskierka karmazynowego ognia trafiła stwora w pierś, ciskając go na ścianę komnaty. Kobold wrzasnął przeraźliwie, kuląc się na zimnych płytach posadzki, a jego oczy pulsowały bólem.

Kelshara zignorowała swego sługę. Otworzyła puzderko i wyjęła zeń czysty, migoczący klejnot. Łzę Everarda.

— Wszyscy mężczyźni zginą — syknęła. — Ale odnalazłam tajemnicę wiecznego życia. — Ścisnęła mocniej kamień. — Tej nocy umrzesz, wojowniku. Ale ja będę żyła wiecznie. Tyveris rzucił się naprzód, dzierżąc przed sobą miecz. Kelshara wydała krótki okrzyk zdumienia, cofnęła się o krok, ale już w chwili, gdy Tyveris uniósł miecz do zadania zabójczego ciosu, zdołała odzyskać równowagę. Wyciągnęła rękę w stronę serca wojownika, a z jej ust, niczym mroczna woda, popłynął potok dziwnych, gardłowych słów.

Niewidzialna dłoń zacisnęła się wokół Tyverisa. Stwierdził nagle, że nie może oddychać. Krew zdawała się zamarzać w jego żyłach, a przed oczyma zaczęły mu wirować różnobarwne mroczki. Powoli, dygocząc z zimna, osunął się na kolana. Zupełnie jakby z jego ciała odsączono całe ciepło. Widział je niczym snop iskier unoszący się w powietrzu, przepływający z jego ciała do ciała Kelshary.

Nekromantka roześmiała się, a jej policzki poczerwieniały. Wysączała energię jego życia i piła sycąc się nią.

Tyveris usiłował krzyknąć, ale z jego ust dobył się jedynie szept. Próbował się poruszyć, lecz odniósł wrażenie, jakby miał członki z ołowiu. Nagle jakiś głos syknął:

— Ostatni raz mnie uderzyłeś — mnie czy kogokolwiek innego.

Kelshara odwróciła wzrok i zdumiała się, zobaczywszy kobolda, ale magiczny strumień nadal płynął w jej stronę. Tyveris miał trudności z zachowaniem koncentracji. Komnata zaczęła się przechylać, a potem wirować przed jego oczyma.

Spomiędzy fałdów swojej brudnej, przepitej tuniki kobold wyjął ciemny nóż o ząbkowanym ostrzu.

— Niegdyś bytem silny i przystojny — jak on — rzucił Toż głosem ociekającym nienawiścią — a potem ty obdarzyłaś mnie tą... tą pokraczną powłoką. I ten ból... Zbyt długo znosiłem ból i cierpienie, służąc ci. — W oczach kobolda zapłonęły ognie tłumionego przez całe lata gniewu. — Ale nie zamierzam już dłużej cierpieć, Kelsharo. Nie zniosę ciebie dłużej. — Kobold uniósł nóż i zrobił pierwszy, złowrogi krok w kierunku nekromantki.

— Stój! — zawołała Kelshara, unosząc rękę.

Toż zadygotał i stanął. Chrząknął, usiłując zamachnąć się i zadać trzymanym w rękę sztyletem zabójcze cięcie skierowane ku dołowi, lecz jego dłoń tylko zadrżała nieznacznie. Wydawała się jak skamieniała albo obrócona w sopel lodu.

Nekromantka roześmiała się złowrogo.

— Toż, ty głupcze. Zapomniałeś o zaklęciu, które cię wiąże i zmusza, abyś był mi posłuszny? Pozwól zatem, że ci je przypomnę. — Wykonała tnący ruch dłonią. Toż zabelkotał z bólu. Niczym jakaś fantastyczna marionetka, kobold wykonał lustrzane odbicie ruchu nekromantki, wbijając ostrze noża we własną pierś.

Stwór raz jeszcze zawył w agonii, po czym znieruchomiał w kałuży rozlewającej się pod nim czarnej, obrzydliwie cuchnącej posoki. Kelshara spojrzała na swego sługę z dziką i złowrogą fascynacją. Ta krótka chwila dekoncentracji wystarczyła, by jej atak skierowany przeciwko Tyverisowi osłabł.

Magiczna więź wysączająca życie z wojownika zamigotała i znikła. Fala ciepła powróciła do jego ciała. Poczul się słaby, dziwnie pusty, ale żył. Kelshara odwróciła się do niego, a na jej twarzy pojawił się grymas zdumienia, gdy uświadomiła sobie, że czar prysnął. Uniosła dłonie, by ponownie rzucić zaklęcie, ale tym razem już nie dał jej szansy.

Rzucił się naprzód i gwałtownie pchnął czarodziejkę na ścianę. Wbił czubek miecza w płytkie zagłębienie na jej szyi.

— Oddaj mi Łzę!

Nienawiść skrzyła się w jej oczach niczym krople trucizny, ale koniec końców spuściła wzrok pokonana.

— Dobrze — syknęła. Wyciągnął rękę. Otworzyła zaciśniętą pięść nad jego odwróconą do góry dłonią.

Tyveris zaklął, gdy poczuł ostre ukąszenie w kciuk. Potrząsnął ręką i mały czarny żuk z żółtymi plamkami na pancerzu z głuchym plaśnięciem spadł na podłogę.

Uciekł, nim Tyveris zdążył zmiażdżyć go obcasem. Wojownik poczuł, jak w jego sercu rozpała się płomień wściekłości, karmazynowa chmura zaćmiła mu oczy. Uniósł groźnie swój miecz.

— Oddaj mi Łzę! — ryknął.

— Nigdy! — rzuciła Kelshara. Spomiędzy fałd swojej szaty wyjęła sztylet o ostrzu ociekającym trucizną. Wykonała zamaszyste cięcie w dół, ale Tyveris z łatwością zablokował je swoim mieczem. Nieomal zdołała się uchylić.

Nieomal. Miecz wyżłobił długą, krętą bruzdę na jej ramieniu. W tej samej chwili Tyveris poczuł palący ból, przeszywający jego rękę. Skonfundowany, spuścił wzrok i zobaczył ranę, będącą lustrzanym odbiciem tej, którą zadał nekromantce.

Słowa magicznego zaklęcia poczęły wypływać z ust Kelshary, lecz wojownik zaatakował ponownie, zanim zdążyła je dokończyć. Tym razem jego ostrze pograżyło się głęboko w jej ramieniu. Jęcząc zatoczyła się na ścianę.

Tyveris zaklął, gdy jego własne ramię eksplodowało dojmującym bólem. Krew spłynęła mu na pierś. Oparł się ciężko o stół — kręciło mu się w głowie. Kelshara obserwowała go, jej oblicze wykrzywiał grymas przeraźliwego bólu... a jednak na ustach gościł ten sam triumfalny uśmiech.

— Tak, wojowniku — wyszeptała — każda rana, którą mi zadajesz, zostaje zadana również tobie. Nasze żywoty zostały połączone ukąszeniem żuka — zwierciadła śmierci. Tyle że ja jestem silniejsza od ciebie. No, dalej! Tnij jeszcze raz. Ja przeżyję ten cios. Ty nie.

Tyveris potrząsnął głową, usiłując ustać na nogach. Wiedział, że ma rację. Krańce jego pola widzenia niebezpiecznie zasnuwała ciemność; jej magia osłabiła go, pozbawiła sił. Miał wrażenie, że jego mięśnie zamieniły się w wodę. Spuścił wzrok na miecz, który trzymał w dłoni — ostry i złowieszczy, śliski od krwi. Przez tak długi czas miecz był całym jego życiem, był dla niego wszystkim. A teraz go zawiódł. Nic mu już nie pozostało.

Nie — powiedział do siebie — to nieprawda. Przypomniał sobie słowa, których echo brzmiało wciąż w jego myślach. — Posiadasz coś innego, Tyverisie, coś, czego ona nie ma. Ale co miała na myśli matka Melisende? I nagle zrozumiał, a na jego piersi spoczęło mroczne, bezduszne brzemie strachu. Stłumił go w sobie, najlepiej jak potrafił.

Wiedział, co musi uczynić.

Miecz wyslizgnął się z jego palców i brzęknął o kamienną posadzkę. Tyveris osunął się na kolana przed Kelshara.

— Karty nigdy nie kłamią — zamruczała. — Naprawdę nie jesteś wojownikiem. Podniosła miecz oburącz.

— Jesteś niczym.

Tyveris nie spojrział na nią. Miast tego ścisnął w dłoni pióro, które nadal tkwiło za jego pasem. Niejednokrotnie słyszał, jak opaci z klasztoru proszą bogów, by obdarzyli ich swą mocą. Wiedział, że czasami w tych modlitwach zawarta była potężna magia. Niemniej jednak nie był kapłanem. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Oghma usłyszy jego słowa.

Z wyrazem niemal zwierzęcego uniesienia Kelshara uniosła miecz.

— Wszyscy mężczyźni umrą — powiedziała chłodno. Tyveris ujął świętą relikwię.

— Wierzę, że mi pomożesz, Oghmo. Obdarz mnie swą opieką.

Kiedy Kelshara uniosła miecz do ciosu, z relikwii w dłoni Tyverisa wypłynęła pulsująca, niebieskawa chmura energii. Poczul ciepło przenikające w głąb jego serca. Łagodna iluminacja otoczyła go niczym płaszcz. Wstał, a jego żyły zatętniły nowym wigorem.

Nekromantka spojrzała na niego, a w jej fiołkowych oczach pojawił się nareszcie nie skrywany lęk. Był potężniejszy niż sądziła.

— Zwyciężyłem, Kelsharo — stwierdził ze spokojem. — Oddaj mi Łzę, a...

Urwał, gdy rozbłysła otaczająca go błękitna poświata. Z magicznej aury wyprysnęła cienka widmowa macka, sunąc wolno w kierunku Kelshary.

— Nie! — zawołała czarodziejka cofając się, a jej głos drżał z obrzydzenia. Miecz wysunął się jej z ręki i z brzękiem spadł na podłogę. — Żuk miał nas połączyć wyłącznie bólem!

Zaczęła wycofywać się krok po kroku przed boską aurą, lecz błękitna poświata podążała za nią nieubłaganie. W końcu zatrzymała się pod ścianą przy krawędzi łukowato sklepionego okna. Macka świętego światła owinęła się wokół niej niczym całun.

— To mnie pali! — wykrzyknęła. — Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

— Ja ci pomogę, pani — rozległo się bulgoczące wilgotne skrzeczenie. Toż podniósł się powoli; nóż wciąż jeszcze tkwił w jego piersi. Uśmiechnął się; jego postrzępione zęby były ciemne od krwi. — Przecież, bądź co bądź, jestem twoim sługą.

Z okrzykiem, który równie dobrze co gniewem, mógł zostać wywołany smutkiem i żalem, kobold rzucił się na czarodziejkę, oplatając ją swymi sękatymi, zdeformowanymi rękoma. Objęci w śmiertelnym uścisku wypadli oboje do tyłu ponad krawędzią okna i runęli w dół.

Kelshara zawołała:

— Ale przecież ja mam żyć wie... — Jej krzyk urwał się jak ucięty nożem.

Życie nekromantki dobiegło końca. Ale jej magia nie zginęła wraz z nią. Macka lazurowego światła nadal łączyła ją z Tyverisem, sięgając w jego stronę spoza okna komnaty. Gdy na nią patrzył, po migoczącym paśmie światła poczęła pięć się smuga ciemności, niczym czarna jak noc żmija. To była ostateczna kulminacja jej zaklęcia. Śmierć dopadła Kelsharę. Teraz szła również po niego.

Ciemność wiła się ku niemu wzdłuż widmowej macki, była coraz bliżej, o niecałą długość ramienia. Jedno dotknięcie i umrze — Tyveris nie miał co do tego wątpliwości. Ale jak mógł walczyć z samą śmiercią?

To cię ochroni w mrocznych dniach, które nadejdą.

Nie było ani chwili do namysłu. Ściskając mocno w ręku pióro, Tyveris wymierzył pięść w kierunku pasma ciemności.

— W imię Oghmy, zgiń, przepadnij! — Jego donośny głos rozbrzmiał w ścianach komnaty niczym odgłos gromu.

Błysnęło błękitne światło, zagrzmiało, wieża zatrzęsała się w posadach. Czar został złamany. Lazurowe i onyksowe odłamki rozprysły się na wszystkie strony. A potem nastąpiła cisza. Tyveris zamrugał powiekami. Obie macki, jasna i ciemna, zniknęły. Starodawne pióro spoczywające w jego dłoni wyglądało na przytępione i całkiem zwyczajne.

Tyveris pokręcił głową ze zdumieniem. Całe ciało potwornie go bolało, ale żył i to było najważniejsze. Delikatnie wsunął pióro z powrotem za pas. Odwrócił się i wolno wyszedł z komnaty pozostawiając swój okrwawiony miecz tam, gdzie leżał, na kamiennej posadzce. Oręż go zawiódł. Jego wiara nie.

Zszedł po schodach i wyszedł z wieży w noc. Burza ucichła i na niebie znów pojawił się księżyc, rzucając srebrzysty blask na świeżą warstewkę śniegu przykrywającą ziemię i sprawiając, że jakimś sposobem wszystko wydawało się dziwnie nowe i czyste.

Odnalazł Kelsharę i Toza pośród skał, na opustoszałym dziedzińcu. Ich złączone, poskręcane ciała pokrywał śmiertelny całun wilgotnego białego puchu. Łza Everarda leżała na wyciągniętej otwartej dłoni nekromantki, nieskalana i doskonała.

Tyveris pochylił się i wyjął lśniący kamień spomiędzy lodowatych palców Kelshary. Ani mroczne czary nekromantki, ani upadek z wieży nie uszkodziły Łzy. Jeszcze jeden dowód boskiej obecności Oghmy na świecie — stwierdził Tyveris i wyruszył w powrotną drogę.

Kiedy w jasne, zimowe popołudnie dotarł w końcu do opactwa, zastał główną bramę klasztoru otwartą na oścież. Wyglądało na to, że wszyscy opaci zebrali się na dziedzińcu, aby

go powitać. Zsunął się z siodła rącej czarnej klaczy i uśmiechnął do zebranych. Najwyraźniej wieści o jego pojedynku z Kelshara — i odzyskaniu Królewskiej Łzy, zdołały go wyprzedzić.

— Witaj w domu, opacie Tyverisie — powiedziała matka Melisende, a w jej oczach skrzyły się radosne isierki. — Witaj w domu.

RODZINNY INTERES

James Lowder

— Zbliża się jeździec — syknął Shadowhawk, a w zimnym nocnym powietrzu jego oddech momentalnie zmienił się w parę. — Pamiętasz, co ci powiedziałem? Dostaniesz połowę tego, co skubniemy gościowi, jasne?

— Tak — odparł posłusznie chłopiec. Wyjął wystającą z małego plecaka u jego stóp kromkę czerstwego chleba i uniósł wzrok, by spojrzeć na swego ojca.

Szerokimi brązowymi oczyma prosił, by zwolniono go z przerażającego zadania, jakie miał niebawem wypełnić. W odpowiedzi Shadowhawk zmarszczył brwi i przepchnął syna przez splątane zarośla oddzielające ich od drogi.

Artus Cimber wypadł na łeb na szyję z gęstwiny kolcokrzewów, pozbawionych liści przez pierwsze surowe dni zimy. Kiedy się podniósł, otrzepał swą wyświechtaną tunikę i spodnie, po czym spojrzał w mrok wzdłuż bitego traktu. W jedną stronę na drodze jak okiem sięgnąć nie było żywego ducha — w oddali, prosto jak strzełił, ale stąd niewidoczna, znajdowała się spokojna osada Irath. W przeciwnym kierunku droga zakreślała łagodnym łukiem wokół okolonego drzewami pagórka, a potem skręcała na północ w stronę Waymoot. Nigdzie nie było widać śladu zbliżającego się jeźdźca.

Skąd ojciec mógł wiedzieć, że ktoś nadjeżdża? — zastanawiał się Artus. — O rzut kamieniem nikogo nie widać.

Chłopiec uniósł wzrok, by zobaczyć księżyc ukryty za zasłoną ołowianych, nabrzmiałych od śniegu chmur. Z jednej strony kupieckiego traktu za gęstwiną kolcokrzewów kuliły się drzewa, jak śpiące olbrzymy na wzgórzu. Po drugiej, na przestrzeni wielu mil ciągnęły się ugory. W oknach wieśniaczej chaty na szczycie odległego wzgórza paliły się światła, ale stąd wyglądały jak drobne, migoczące iskierki. Gdyby było lato, Artus pomyliłby je z robaczkami świętojańskimi.

— Za mało światła, aby choć cokolwiek zobaczyć — wyszeptał i podciągnął dłonią maskę. Poprawiwszy postrzępiony gałgan wokół oczu, zmrużył powieki i ponownie zaczął wpatrywać się w ciemność.

Ciekawość bardzo szybko przemogła lęk chłopca, gdy usiłował określić, w jaki sposób jego ojciec zdołał wykryć zbliżającego się jeźdźca. Przekrzywił głowę, wyteżył słuch, spodziewając się i lada chwila wychwycić tętent nadjeżdżającego wierzchowca. Sowa siedząca na gałęzi drzewa gdzieś na zboczu wzgórza zahukała donośnie. Przy wiejskiej chacie

jakiś pies rozszczeekał się, rozdrażniony, warcząc i skowycząc jak oszalały. Były to jedyne odgłosy rozlegające się wzdłuż tego traktu — choć serce chłopca waliło tak szybko, iż zastanawiał się po dziecinnemu, czy ktoś, uważnie się wsłuchawszy, nie zdołałby wy-chwycić tego dźwięku.

Artus przyłożył dłoń do piersi mając nadzieję, że stłumi rozkołatanę serce. Naturalnie, jego wysiłki okazały się bez-skuteczne. Przeklął w myślach swój strach, ale słowa nie chciały przejść mu przez usta — gdyby sfuszerował całą robotę tylko dlatego, iż zachowywał się zbyt głośno, ojciec na pewno sprawiłby mu tęgie lanie. Shadowhawk niczym tak się nie przejmował, jak swoją robotą, a Artus nieoczekiwanie zastygł jak skamieniały, przerażony możliwością sprawienia ojcu zawodu.

Scoril Cimber, znany jako Shadowhawk, był najslawniejszym rozbójnikiem w królestwie Cormyr. Jeżeli wierzyć samemu Scorilowi, sława ta sięgała rozlicznych krain i państw-miast, składających się na Heartland, ale nawet siedmioletni Artus wiedział, kiedy jego ojciec, delikatnie mówiąc, „naginał” prawdę. I choć Shadowhawk był w dużej mierze zręcznym kłamcą, nie ulegało wątpliwości, iż wielu ludzi w Cormyrze uważało go za mistrza w jego profesji. Tuziny członków Gildii Złodziei w mieście-stolicy Suzail regularnie zwracało się do niego z prośbą, by mogło u niego terminować.

Scoril nie przyjmował żadnego z nich; jeśli jego umiejętności miały zostać komuś przekazane, to tylko jednemu z jego dwóch synów.

Owej zimnej uktarskiej nocy przyszła kolej Artusa, aby sprawdził się w zawodzie. Jego starszy brat Oric okazał się dużo biegłyjszy w rabowaniu ludzi. Był zwinny i silny jak dwudziesto-latek, pomimo iż widział dopiero dziesięć zim. Jednakże Oric raz po raz dawał dowody swej niemal bezdennej głupoty, to zapominając rozbroić napadniętego, to znowu ni stąd, ni zowąd zwracając się do ojca po imieniu podczas rabunku. Shadowhawk, który nigdy nie grzeszył cierpliwością, nie mógł znieść tego typu omyłek. Dlatego też zaszczyt podtrzymania chlubnej tradycji rozbójnika spoczął na barkach Artusa. I pomimo iż brzydził się tym, co miał uczynić, chłopiec starał się dać z siebie wszystko, aby oszczędzić swego ojca.

Tej nocy jak zwykle dał plamę.

— Jesteś takim samym nieudacznikiem jak Oric! — Rozległo się nagle z tyłu za Artusem i chłopiec poczuł silne uderzenie poniżej pleców.

Upadł na brzuch; w uszach mu dzwoniło, a serce trzepotało w piersi niczym strwożony ptak.

Shadowhawk prychnął:

— Masz szczęście, że nie ma żadnego jeźdźca.

— Nie ma jeźdźca? — powtórzył Artus.

— Oczywiście, że nie. — Rozbójnik cisnął chłopcu plecak. — To była próba. Oblałeś. Co ci mówiłem o staniu zbyt długo na drodze podczas wyprawy?

— Że to niebezpieczne — odrzekł Artus. Usiadł i zarzucił sobie plecak na ramiona, ale ani na chwile nie odrywał wzroku od wyświechtanych czubków swoich butów.

— I? — rzekł z naciskiem Shadowhawk, podnosząc chłopca z ziemi.

Artus zanurzył jedną rękę w kieszeni. Wyciągnąwszy ją, ponownie otworzył zabrudzoną ziemią i kurzem piąstkę ukazując błękitny kamień, który połyskiwał łagodnie magiczną poświatą.

— I żebym zawsze trzymał to w ręku.

— Kamień ochroni cię przed stratowaniem. Pamiętasz tego sztywniaka, którego pokazałem ci w Suzail, rabusia, który wpadł pod powóz?

Na twarzy Artusa pojawił się zboląły grymas i, pogłębiony jeszcze dziwnym blaskiem kamienia, w zupełności wystarczył za wszelką odpowiedź. Wciąż miał żywo w pamięci okrwawione zwłoki złodziejaszka.

— No cóż, wyglądałbyś równie paskudnie, gdyby przegalopował po tobie bojowy rumak. — Krzywiąc się Shadowhawk otarł samotną łzę spływającą kreto po policzku chłopca. — No, nic ci się nie stało — mruknął. — Jasne?

— Tak, ojcie — odparł pomiędzy kolejnymi chlipnięciami.

— Te wycieczki są wyłącznie dla twojego dobra. Bycie rzezimieszkiem to niebezpieczny fach, a widziałem w swoim życiu sporo gości, co stracili głowę przez swoją nieostrożność. — Sięgnął ręką i obciągnął chłopcu tunikę za pasek. — Ale ty masz coś, czego oni nie mają, nie? Masz kiepele. I dlatego jesteś lepszy niż te małe gnojki, objające się całymi dniami jak trutnie i stale tylko wymachujące tymi fikuśnymi kapeluszami i chusteczkami. Eleganciki z Suzail, i co z nich wyrośnie! Ty to co innego. Możesz być rozbójnikiem jak ja. Może nawet całkiem niezłym.

Chłopiec uniósł wzrok i spojrzał na swego ojca. Kaptur czarnego płaszcza ukrywał posępne rysy twarzy Shadowhawka. Długa, bezkształtna peleryna stała się swego rodzaju znakiem firmowym rozbójników, gdyż ukrywała zarówno ich twarze, jak i sylwetki. W jednostajnym blasku bijącym z kamienia Artus dostrzegł wyraźnie haczykowaty nos ojca i dziwny, drapieżny błysk w jego zielonych oczach.

Widział to spojrzenie wielokrotnie podczas poprzednich wypraw, a po raz pierwszy przed dwoma laty, kiedy jego ojciec pobił do nieprzytomności pewnego rzezimieszka przy drodze za rogatkami Suzail. Shadowhawk, któremu podczas walki zsunął się kaptur z głowy,

stał nad pobitym mężczyzną w pozie milczącego triumfu, przekonany, iż łotrzyk znajduje się całkowicie na jego łasce i niełasce. Tym razem jego spojrzenie odzwierciedlało dogłębną przekonanie Shadowhawk, że jego syn nie ma innych ambicji ani marzeń niż te, które osobiście mu wpoił.

Shadowhawk był tak pochłonięty Artusem, że nie usłyszał dziwnie stłumionych dźwięków dochodzących od strony traktu, dopóki nie było za późno.

Nie było słyhać tętentu kopyt ani brzęku upręży, mogącego ostrzec o zbliżaniu się rumaka bojowego; magiczne osłony na kopyta idealnie wytłumiły te odgłosy. Ledwo słyszalne skrzypie-nie skórzanych cugli i siodła na grzbiecie galopującego destriera — to wszystko, co ostrzegło rozbójnika o zagrożeniu zbliżającym się do niego z tyłu.

Uniósł wzrok w momencie, by zobaczyć pędzącego ku niemu potężnego białego wierzchowca. Jeździec nie widział przeszkody na środku leśnego traktu, gdyż akurat oglądał się przez ramię.

— Na oczy Tyra! — zaklął Shadowhawk i rzucił się na Artusa. W tej samej chwili połyskujący klejnot w dłoni chłopca załśnił silniejszym blaskiem. Z kamienia wypłynęła świetlna kula i otoczyła dwójkę nieszczęśników skulonych bezradnie na drodze rumaka.

Krzyk i eksplozja magii przykuły uwagę jeźdźca, ale było już za późno, aby mógł ominąć przeszkodę. Ściągnął cugle, lecz rumak bojowy na wpół skoczył, na wpół przetoczył się po rozbójniku i jego synu; kopyta wierzchowca głośno i groźnie zadudniły o powłokę magicznej kuli. Siła uderzenia odbiła czarodziejski bąbel, tak że przetoczył się kilkanaście jardów w głąb traktu.

Obracał się niczym szalona kula bilardowa z dwoma uwięzionymi wewnątrz rzezimieszkami.

Kiedy tylko zagrożenie minęło, klejnot wchłonął na powrót osłonę siłową, a poobijany duet oszacował swoją sytuację.

Shadowhawk zarobił kilka siniaków i tęgi ból głowy, ale Artus nie miał nawet jednego zadrapania.

Rozbójnik pokręcił głową, a jego surowy wyraz twarzy mówił chłopcu, iż kłopotliwa sytuacja wynikała wyłącznie z jego winy i że przyjdzie mu za to beknać.

Shadowhawk z całą pewnością wymierzyłby mu sprawiedliwość na miejscu, gdyby nie to, że na skraju drogi, naprzeciw gęstwiny krzewów leżeli w kompletnym bezruchu bojowy koń i jego jeździec.

— Sprawdzę go — rzekł Artus poprawiając na ramionach paski nieomal pustego plecaka. Jeżeli wypad będzie udany, plecak już niebawem wypełni się monetami i wszystkim, co posiada jakąkolwiek wartość, co potem mogli upłynnić w Suzail.

— Taa, dobra — Shadowhawk potarł mocno siniec na ramieniu — i jak się będzie za mocno ruszał, daj mu z raz po łbie.

Artus wzdrygnął się. Rabowanie podróżnych pod groźbą noża to jedno — walenie ich po głowach to coś zupełnie innego. Wiedział, że jego ojciec nie zabijał ludzi — „trzask, prask i chodu” — jak nazywali tę metodę działania złodzieje z gildii, niemniej Shadowhawk nigdy nie omieszkał przy lada okazji „pomacać” po głowie osiłka, który zbytnio się stawiał lub poborcę podatkowego, który groził, że wyśle za nim pościg.

Księżyc wyłonił się zza chmur, a jego słaba poświata spowiła trakt. Na szczęście jeździec nie wyglądał na chętnego do sprawienia komukolwiek kłopotów. Leżał twarzą do dołu, z rękoma przy bokach i oddychał spazmatycznie.

Wypadł z siodła — i w gruncie rzeczy dobrze, że się tak stało. Koń nie miał szczęścia. Wylądował niefortunnie. Jego szyja była groteskowo wykręcona, a z nozdrzy i z pyska spływała krew. Nogi destnera zdobiły głębokie szarpane bruzdy ran, których nie mógł się nabawić podczas upadku — niemniej jednak strzaskana kość wystająca ze złamanej przedniej nogi była niewątpliwie rezultatem niefortunnego zderzenia. Chłopiec cieszył się, że biedne zwierzę wyzionęło ducha. Jeździec i tak musiałby je dobić.

Artus wiedział, że ojciec go obserwował, toteż wziął się w garść i ruszył rażno ku nieprzytomnemu mężczyźnie. Czyniąc to zamienił połyskujący klejnot, który trzymał w ręku, na swój krótki sztylet. To z pewnością ucieszy Shadowhawk — był o tym przekonany. Poza tym obecność sztyletu w ręku pozwalała mu oderwać myśli od białych, zapatrzonych w przestrzeń oczu zdechłego konia i nieprzyjemnego odczucia, jakie wywoływało w nim spojrzenie ojca.

Jeździec był zamożny. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Gdy Artus go odwrócił, blask księżyca zatańczył na srebrnych ogniach jego drogiej kolczugi. Płaszcz mężczyzny był drogi i przy kołnierzu podbity futrem, aby skutecznie chronił przed zimowymi chłodami. Buty wykonano z najprzedniejszej skóry, podobnie jak rękawice i pas. W przeciwieństwie do złodziei młody rycerz niedawno brał kąpiel, a jego włosy były starannie przycięte.

Chłopiec niezdarnie odpiął pochwę z mieczem od pasa mężczyzny i cisnął ją na bok. Następnie dotknął ręką pofałdowanej wskutek wypadku tabardy jeźdźca. Materiał z drogiego shouańskiego jedwabiu nosił symbol Fioletowego Smoka. Godło króla Rhigaerda II i świątyni Obarskyr, Fioletowy Smok, noszone było przez wszystkich, którzy służyli w armii Cormyru.

Jednakże wojowie w służbie Rhigaerda nosili białe tabardy. Ta, którą miał na sobie jeździec, była szara. Artus widział dostatecznie dużo żołnierzy w okolicach Suzail, by o tym wiedzieć.

— Co tam tak zwlekasz, Art? — warknął Shadowhawk.

— To cholerny żołnierz, i co z tego, he? — Rozbójnik zlustrował ciepłe odzienie jeźdźca. — Bądź dobrym chłopcem i daj mi jego rękawice. Ręce mi zgrabiały.

Chłopiec zdjął rycerzowi rękawice i rzucił je Shadowhawkowi.

— Ojcze, ja...

— Nie grzeb się tak! Pożałujesz, jak się ocknie. Zostawię cię i sam będziesz musiał z nim walczyć. — Rozbójnik cisnął swoje nadgryzione przez szczury rękawice w krzaki i nałożył nowe. — Zgarnij jego świecidełka, jeśli jakieś ma, i zawartość tej wypchanej sakiewki, a potem sprawdź, czy w jukach są zapasy.

Artus szybko zdjął z lewej dłoni mężczyzny złotą obrączkę ślubną z wygrawerowanym wewnątrz drobnym napisem. W świetle księżyca chłopiec odczytał widniejące tam imię: Filfaeril. Wygląda na to, iż była damą serca tego rycerza.

Bez wahania wrzucił obrączkę do swojej kieszeni. Kiedy tylko zeszlifuje się napis, będzie można dostać za nią w mieście całkiem przyzwoitą cenę.

Następnie odciął sakiewkę przytroczoną do pasa mężczyzny. Była ciężka, więc Artus nie mógł oprzeć się pokusie, by zajrzeć do środka. Na wierzchu stosiku srebrnych monet leżał inny pierścień — złoty i inkrustowany klejnotami. Również i na nim widniało godło świątyni Obarskyr.

Artus zamarł. Lodowaty lęk w jednej chwili zmroził go od koniuszków palców, przez ręce, docierając w końcu do serca. Tylko jeden młodzieniec mógł nosić taki sygnet.

Chłopiec spojrzał na twarz rycerza. Był we właściwym wieku, nieco tylko starszy od Shadowhawa. I jak powiadano w Gildii Złodziei, często wypuszczał się z królewskiego zamku, w Suzail w przebraniu błędnego rycerza, najemnika wymierzającego sprawiedliwość, jednego z członków dzielnego oddziału znanego pod nazwą Królewskich Wojów.

— Książę Azoun — wyszeptał Artus.

Sakiewka wyslizgnęła mu się z ręki, odbiła od nogi i wy-lądowała na ziemi. Monety brzęknęły dźwięcznie, rozsypując się po traktcie.

— Książę — rzekł Artus, zwracając się do ojca. — Musimy... Ale coś innego przykuło uwagę Shadowhawa. Opadł na czworaki, z zaciekawieniem przekrzywiając głowę.

— Coś się zbliża — rzekł rozbójnik. Artus miał wrażenie, że słyszy nutę strachu w głosie swego ojca. — Ale chyba nie drogą. Raczej jakby... pod nią.

Grunt pod stopami Artusa zatrząsł się. Usiłował utrzymać \ się na nogach, ale ubita ziemia, na której stał, zafalowała i runął bezwładnie na ciało nieprzytomnego księcia.

Gorączkowo sięgnął do kieszeni po klejnot.

Gdy palce Artusa zamknęły się wokół błękitnego kamienia, coś wyprysnęło z ziemi tuż obok padłego wierzchowca. Chłopiec widział przez chwilę owo „coś” — miało kudłatą czuprynę i brodę, a jej rozwichrzone włosy pokryte były grudami ziemi. Włosy zdawały się pokrywać całą głowę i tors stworzenia, dopóki istota nagle nie wyciągnęła przed siebie krótkich, grubych rąk, przecinając powietrze długimi, czarnymi szponami. Stwór ponownie zniknął w ziemi, lecz w tej samej chwili drugi wyłonił się po przeciwnej stronie zdechłego wierzchowca. Dwie istoty zaczęły okrążać nieszczęsnego rumaka, a wokół trupa począł tworzyć się pas falującej ziemi. Zanim Artus zdążył krzyknąć ze zdumienia, wierzchowiec znikł w jamie, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się pośrodku traktu.

— Uciekaj! — usłyszał wołanie swego ojca, ale jego słowa zdawały się dochodzić z bardzo daleka.

Klejnot w dłoni Artusa rozjarzył się silniejszym blaskiem. Bijące z jego wnętrza promienie energii jak zwykle spowodowały, iż rozwarł palce i ochronna powłoka otoczyła zarówno chłopca, jak i księcia Azouna. Artus poczuł, że kula zaczyna coraz bardziej pograżać się w ziemi.

Spojrzał rozszerzonymi oczyma na nieruchomego Azouna i dalej na przezroczystą, niebieską ścianę kuli.

Lada chwila, a grunt pod nimi zapadnie się i znikną w podziemnej czeluści tak jak martwy rumak.

I nagle dygotanie pod stopami Artusa ustało. Przez chwilę panował kompletny spokój. Kula spoczęła w bezruchu na dnie płytkiego zagłębienia.

Opodal, z jamy, w której znikł wierzchowiec księcia, wylatywały pokaźne grudy ziemi. Spadały na trakt niczym brązowy deszcz. Shadowhawk przykucnął obok gęstwiny krzewów po drugiej stronie drogi, nie uciekając, ale i nie starając się w żaden sposób pomóc swemu synowi. Podobnie jak Artus, on również był sparaliżowany ze strachu.

— Cokolwiek będziesz robił, chłopcze — rozległ się przepełniony napięciem, cichy głos — nie wypuszczaj z ręki tego kamienia.

O mary włos, a tak by się stało — gdyż nieoczekiwane słowa księcia zupełnie zaskoczyły chłopca — Azoun jednak wyciągnął rękę i uspokajającym gestem położył na drżącej dłoni Artusa.

— C-czym one są? — wykrztusił Artus. Dotykając skwapliwie dłonią krwawiących ran na czole, księżę Azoun odparł:

— Asasyni z Zhentarim. Sądzę, że zmienione przy pomocy czarów krasnoludy. Żarłoczne małe bestie znane jako groundlingi. Jak... auu! — odsunął palce od rany — jak długo możesz utrzymać tę osłonę? Wydaje mi się, że ona blokuje wyczulone zmysły tych istot.

— Pojawia się sama, ale tylko kiedy jesteśmy w niebezpieczeństwie i tak długo, dopóki trzymam kamień w ręku. Nie potrafię kontrolować go w inny sposób.

— Jeden z groundlingów musi być dokładnie pod nami — zauważył księżę. — I to blisko, skoro uruchomiła się osłona. — Sięgnął po swój miecz, ale nie odnalazł go przy pasie. — Gdzie mój miecz?

Chłopiec wskazał ręką broń leżącą przy drodze daleko poza ich zasięgiem. Następnie skulił się gwałtownie, jakby spodziewał się, że zarobi w skórę za swoją omyłkę.

— W porządku — rzucił ciepłym tonem księżę — daj mi swój sztylet.

Księżę wziął od chłopca mały, raczej tępy nóż i przetoczył się na kolana. Jego ruch sprawił, że istota w ziemi pod kulą energii poruszyła się, a lej pogłębił, gdyż groundling natychmiast zaczął powiększać jamę. Kula magicznej energii zagłębiła się w ziemi tak, że Artus z trudem mógł teraz dostrzec swego ojca, skulonego za kępą krzewów.

Niebawem jednak chłopiec pożałował, że w ogóle cokolwiek widział.

Z szerokiej jamy, w której zniknął koń księcia, dobiegło echo ochryplego rechotu. Wkrótce rozległy się odgłosy cięcia, którym towarzyszył przyprawiający o mdłości trask łamanych wciąż jeszcze ciepłych kości. Kończyna po kończynie, jedno zebro po drugim, z dołu poczęły wylatywać szczątki destriera. Okrwawione pociski lądowały w trawie, odbijały się od osłony siłowej, a jeden trafił nawet w Shadowhawk.

Tego było aż nadto, by rozbójnik wpadł w panikę. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie w stronę syna, Shadowhawk zwrócił się ku zaroślom. Wbił spojrzenie swych zimnych oczu w znajdujące się za nimi wzgórza. Drzewa, odarte przez uktarski wiatr z liści, obiecywały schronienie na swych wysokich gałęziach. Gdyby tylko zdołał do nich dotrzeć...

Kiedy tylko rozbójnik się poruszył, w poprzek traktu pomknęły trzy bruzdy zoranej ziemi — dwie od strony dołu, gdzie spoczywały szczątki wierzchowca, trzecia spod Artusa i Azouna. Groundlingi przekopywały się pod ziemią jak oszalałe, ścigając Shadowhawk niczym rekiny w skalanej krwi wodzie. Dopadły go, nim zdążył dobiec do rzędu ciernistych krzewów na skraju drogi. Spod ziemi wyprysnęły szponiaste łapy i zacisnęły się wokół kostek mężczyzny.

Ostre niczym miecze pazury wyryły głębokie bruzdy w grubych butach rozbójnika i rozcięły do krwi skórę na jego nogach.

Shadowhawk krzyknął tylko jeden raz, zanim przepadł w czeluści dołu.

Oslona siłowa zniknęła z chwilą, gdy groundlingi wyruszyły w pościg za rabusiem. Książę Azoun z jękiem bólu wylądował na dnie jamy, po czym wyciągnął rękę, by zatrzymać chłopca, który najwyraźniej zamierzał dać drapaką.

Artus uchylił się zwinnie, wyskoczył z dołu i pognął na ratunek swemu ojcu.

— One go nie zabiją! — zawołał Azoun — To mnie ścigają!

Artus nie słuchał. Dotarłszy do jamy, w której znikł Shadowhawk, włożył błękitny kamień do kieszeni i ujął bardziej pożyteczną broń — kamień wielkości pięści, zwięzający się z jednej strony w ostry szpic.

Ukląkł obok jamy i wyszeptał:

— Ojczy?

Ledwie dotknął kolanami ziemi, gdy w czerni pojawiła się para czerwonych, zmrużonych ślepi. Artus nie czekał na reakcję groundlinga. Zamachnął się dziko kamieniem.

Shadowhawk szkolił chłopca w posługiwaniu się nożem, ale lata krążenia w ciemnych zaułkach Suzail nauczyły go również nieco mniej wysublimowanych, acz skutecznych technik walki. Kamień w jego ręku mógł równie dobrze być młotem bojowym używanym przez młodego krasnoluda z Earthfast.

Cios spadł na nasadę przypominającego pysk nosa asasy i roztrzaskał go z głuchym chrupnięciem. Groundling zawył i złapał się za twarz. Artus ponownie zaatakował — tym razem waląc kamieniem na odlew we włochaty łeb stwora. Wnętrze jamy rozbrzmiało echem pękającej czaszki.

Przez chwile Artus czuł przepełniającą go głęboką ulgę. I nagle groundling ponownie wyskoczył z jamy, oszalały z bólu i wściekłości. Dostrzegłszy błysk zębów stwora, chłopiec uświadomił sobie, jak potworny popełnił błąd.

Pogodziwszy się z losem, Artus mimowolnie przygotował się na atak. Nie zamknął oczu ani się nie odwrócił; strach sparaliżował jego ręce i nogi. Jedyne co przyszło mu na myśl, to to, jak był głupi, że schował magiczny klejnot do kieszeni.

Niczym spadający sokół, srebrzyste ostrze rozbłysło wśród nocy i przeszło plecy groundlinga, dokładnie pomiędzy łopatkami. Brudne od ziemi łapy groundlinga, zaciśnięte na ramionach Artusa, zwiotczały.

Stwór wydał ostatnie, cuchnące tchnienie i znieruchomiał.

Artus z przerażeniem i fascynacją wpatrywał się w groundlinga. Niski i gruby, w niewielkim stopniu przypominał krasnoludy, które od czasu do czasu przejeżdżały przez Suzail. Byli to przeważnie najemni wojownicy, górnicy bądź kowale. Niemniej jednak rysy twarzy stwora zostały zmienione zhentarimskimi czarami. Uszy — jeżeli to „coś” je mało, były ukryte wśród gęstej, zwichrzonej szczeciny włosów, a oczy przypominały wąziutkie szparki. Artus rozkwaśił długi, mięsisty nos — a sądząc po jego dziwnym zgięciu u nasady, najprawdopodobniej nawet go złamał.

Mimo iż stwór był martwy, sierść na końcu pyska wciąż jeszcze poruszała się spazmatycznie. Istota cuchnęła zgniłym mięsem i stęchlą wodą. Jego kudłate boki oraz czubek głowy pokrywały gnijące liście, gałązki, jak również wijące się i pełzające robaki i ryjkowce.

— Do drzew! — zawołał księżę Azoun.

Artus, wyrwany gwałtownie ze spowodowanego szokiem otępienia, uniósł wzrok, by zobaczyć księcia stawiającego odzianą w but ze smoczej skóry stopę na trupie groundlinga. •

Usiłował wyrwać swój miecz z rany. Ostrze przebiło asasyna na wylot przyszpilając go do ziemi. A teraz nie chciało wyjść z ciała.

Z czeluści jamy dobiegł głośny wrzask. Był to zwierzęcy ryk groundlinga, a sądząc po gniewnych warkotach, jakie rozległy się w chwilę później, Artus domyślił się, że pozostała para asasynów zorientowała się już, iż przez pomyłkę miast księcia Azouna porwała Shadowhawka.

Wściekła kakofonia wewnątrz jamy przybrała na sile — księżę ścisnął mocniej miecz w dłoni i pociągnął z całej siły — bez powodzenia. Po prostu zadał cios zbyt mocno.

— Brutalna siła powoduje drugie tyle kłopotów, co rozwiązuje — rzekł zgorzkniałym tonem, powtarzając ulubioną maksymę swego królewskiego nauczyciela Yangerdahasta.

Tak jak w przypadku większości powiedzeń sędziwego maga, Azoun pojął jego prawdziwe znaczenie poniewczasie.

Kiedy zobaczył Artusa stojącego w bezruchu przy skraju jamy, wpatzonego tępo w ciało asasyna, księżę puścił rękojęść zaklinowanego miecza. Chwytając chłopca za ramię przebiegł przez gąszcz krzewów i pognął w kierunku znajdującego się za nim pagórka. Zatrzymali się przy najbliższym drzewie z dostatecznie nisko rosnącymi i dostatecznie grubymi gałęziami, aby mogli się na nie wspiąć.

— Wejdz tak wysoko, jak tylko ci się uda — rzekł Azoun podsadzając Artusa na sękaty, koślawy konar — a potem znów wyjmij ten swój klejnot i trzymaj go z całej siły.

Chłopiec niemrawo zaczął się wspinać. Nie bał się wysokości, tyle tylko że nigdy dotąd nie wchodził na drzewo. W gruncie rzeczy nic w tym dziwnego — w Suzail drzewa rosły jedynie w szlacheckich majątkach i w dobrze strzeżonych małych parkach publicznych. Shadowhawk również patrzył nieprzychylnie na ukrywanie się na drzewach podczas zbójceckich wypraw, jako że skacząc na swą ofiarę, rabuś może zrobić większą krzywdę sobie niż napadniętemu.

Jedyny dobry rabuś na drzewie to ten, który na nim wisi — było jego ulubionym powiedzeniem.

Aby pokonać wzbierający w nim strach, Artus usiłował wyobrazić sobie, jak wspina się na piętro zniszczonej oberży, gdzie miał swoją sekretną bibliotekę. Wchodząc po rozchwierutanych drewnianych schodach, a później przeciskając się przez dziurę w suficie, mógł dostać się na piętro do swoich drogo-cennych ksiąg. W przeważającej mierze zwędził je z pulpitów skrybów na targowisku, ale kilka tekstów dotarło doń ze sterty rozmaitych śmieci, znajdującej się za murami miasta. Wchodzenie na drzewo nie różni się zbyt od wchodzenia na poddasze — stwierdził, i jednocześnie wspinaczka stała się dlań nieco mniej uciążliwa.

Gdy znalazł się wreszcie na bezpiecznej wysokości, na jednym z górnych grubych konarów drzewa, Artus spojrzał w dół, by zobaczyć Azouna podążającego mozolnie jego śladem. Przy każdym kroku płaszcz księcia zahaczał o gałęzie, a droga koleczuga zwieszała się ciężko na jego ramionach. Azoun zajął miejsce na grubej gałęzi poniżej Artusa. Dopiero wtedy zaczął odpinać skomplikowaną zapinkę przy swoim płaszczu.

— Postąpiłeś dzielnie — zauważył książę. Odetchnął z ulgą, ściągając z ramion swój płaszcz. — Owiń się tym. Kiedy trochę się uspokoisz, zrobi ci się zimno.

Artus mamrocząc pod nosem słowa podziękowania wziął od niego pelerynę.

— A co z moim oj... oj, z Shadowhawkiem? — zapytał. Książę zamyślił się.

— Z Shadowhawkiem, taak? No cóż, przynajmniej zostałem napadnięty przez najlepszego. — Na jego ustach wykwitł posepny, wymuszony uśmiech. — Nie martw się — dodał. — Groundlingi to zawodowi zabójcy — asasyni. Nie zrobią twojemu ojcu... to znaczy Shadowhawkowi krzywdy. Przypuszczam, że on miał na sobie moje rękawice. Właśnie dlatego ruszyły za nim w pościg. Wychwyciły na nim nawet tę odrobinę mojego zapachu, kiedy zaczął biec. Ale jak już powiedziałem, nie zrobią mu nic złego. Kontrakt, jaki mają wykonać, polega na zabiciu mnie. Zabicie kogoś innego byłoby wbrew zasadom gildii. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową, a jego brązowe oczy zasnuły się mgiełką zatroskania. Jeżeli te stworzenia były na tyle inteligentne, że postępowały zgodnie z przyjętymi zasadami Gildii Asasynów, to może jego ojciec zdoła je jakoś przekonać, aby puściły go wolno.

— Czy uwolnią go, kiedy przekonają się, że nie jest tym, o kogo im chodzi?

— Nie od razu. Na pewno nie, dopóki mnie nie dopadną. Teraz groundlingi...

Głośne chrobotanie przykuło uwagę Azouna. Odwrócił głowę w stronę traktu, by zobaczyć, jak ciało martwego groundlinga powoli pogrąża się w jamie.

Ostrze miecza wystające z jego piersi orało ziemię niczym lemiesz pługa, gdy groundlingi wciągały swego zabitego kompana w głąb ziemi. Niebawem trup i miecz znikły w czeluści dołu.

Azoun westchnął:

— Obecnie groundlingi budują kopiec, podziemny obóz. Na pewno zdają sobie sprawę, że jesteśmy w pułapce, jako że nic nie porusza się po ziemi. Zrobią wszystko, aby pozbawić nas broni, żywności i nadziei, a potem będą czekać, aż zejdziemy na dół. One jedzą praktycznie wszystko. Zdołałem wymknąć się im poza Waymoot wyrzucając na drogę moje racje — a poza tym miałem wyjątkowego rączego wierzchowca z magicznymi kopytami.

— Mam trochę chleba! — zaproponował skrzętnie Artus wskazując na swój plecak.
— To znaczy... gdybyś wymyślił jakiś sposób na wykorzystanie go przeciw groundlingom...

— Cóż, przynajmniej nie umrzemy z głodu — rzekł książę, starając się, aczkolwiek niezbyt skutecznie, by jego ton nie zabrzmiał protekcyjnie. — Jednak ponieważ nie mamy wierzchowca ani żadnego sposobu ucieczki, ciśnienie go asa-synom zbytnio nam nie pomoże.

Chmury ponownie zakryły księżyc, a wzgórze spowiły jeszcze głębsze ciemności. Zimna bryza sprawiła, że gałęzie kołysały się i skrzypiały. Chłopiec cieszył się, że ma na sobie płaszcz księcia, gdyż jego wyświechtane odzienie stanowiło raczej nie-wielką ochronę przed chłodnym wiatrem.

— Mam na imię Artus — zaczął półgłosem.

Jego słowa wyrwały Azouna z głębokiego zamyślenia.

— Co? No cóż, Artusie, możesz mi mówić Balin.

Chłopiec zamilkł, po czym wyjął z kieszeni klejnot. Jego niebieskie światło rzucało dziwne cienie na twarz Azouna. Patrzył przez chwilę na młodego mężczyznę, otwarcie lustrując go od stóp do głów.

— Ale to nie jest twoje prawdziwe imię — rzekł w końcu Artus.

— Oczywiście, że tak — zaczął Azoun, lecz dostrzegł zasepiony wyraz ust Artusa i nieufność zakradającą się do jego oczu. Spuścił wzrok, wpatrując się w swoje dłonie — na

śląd, jaki na jego palcu pozostawiła zdjęta zeń ślubna obrączka. Sakiewki również nie miał już przy pasie. — Poznałeś po imieniu księżniczki na obrączce czy po sygnecie w mojej sakiewce?

— Po jednym i drugim — odparł Artus. Wyjął z kieszeni złotą obrączkę i oddał księciu. — I po tabardzie. Niewielu najemnych wojowników nosi takie królewskie godło.

Azoun spuściwszy wzrok spojrział na podarty i brudny symbol Fioletowego Smoka.

— Mój nauczyciel zawsze powtarzał, że to raczej głupi pomysł, I by nosić rodowe godło, gdy podróżuje się w przebraniu. Mimo to udawało mi się oszukać wielu ludzi, dużo starszych od ciebie.]

— Ludzie nie dostrzegającego co oczywiste. Czy mam się do ciebie zwracać „Wasza Świętobliwość”?

— Nie — odrzekł Azoun usiłując się nie uśmiechnąć, gdyż rozbawiły go ostre słowa chłopca. — Walczymy teraz wspólnie,! a jako towarzysze broni nie musimy zachowywać dworskich I manier. Poza tym „Wasza Świętobliwość” to określenie odnoszące się do kleryków, a nie do książąt.

— Przepraszam, nigdy dotąd nie spotkałem księcia.

— A zatem skąd tyle o mnie wiesz?

Chłopiec bawił się niespokojnie futrzanym kołnierzem płaszcza.

— No cóż, czytałem o królu Rhigaerdzie i o tobie w królewskich proklamacjach, rozwieszonych wokół Suzail. I widziałem \ cię w dniu twojego ślubu, gdy przejeżdżałeś karetą przez j Promenadę. W zasadzie... ee... byłem za daleko, aby cię \ zobaczyć, ale widziałem twoją karete. Poza tym w Gildii Złodziei krąży wiele opowieści na twój temat...o tym, jak w przebraniu rycerza wędrujesz po kraju. Mówią, że...

— W porządku — rzekł Azoun, unosząc rękę, by przerwać monolog. Tym razem to on uważnie zlustrował od stóp do głów swego mimowolnego towarzysza niedoli — chłopca rozbójnika. Większość dzieci w Cormyr dorastała szybko, zwłaszcza biedne dzieci z miasta. Jednak ten chłopiec był czymś więcej niż tylko ulicznym cwaniaczkiem. Nie ulegało wątpliwości, że był sprytny i mądry. Co więcej, potrafił czytać, która to umiejętność należała do przywilejów szlachty, duchownych i kilku bogatych kupieckich rodzin.

— Ojciec nauczył cię czytać? Artus roześmiał się z goryczą.

— On nie lubi, kiedy czytam. Uczył mnie potajemnie kapłan Oghmy, aż któregoś dnia dowiedział się o tym mój ojciec. Ale to nieważne. Zanim kazał mi przestać, ja już wiedziałem, co mam robić. — Ścisnął mocniej w rękę kamień, bijący zeń blask był teraz

ledwo widoczny. Mimo to Azoun wyraźnie dostrzegł gniew w oczach chłopca, kiedy ten powiedział: — Nie chcę być rabusiem tak jak on.

Azoun uniósł rękę do chłopca.

— Jeżeli nie chcesz być rozbójnikiem, może dałbyś mi swoją maskę? Przydałaby mi się.

Przez chwilę Artus miał wrażenie, że książę zamierza nałożyć brudny gałgan na twarz, ale książę zaczął obwiązywać nim sobie czoło. Chłopiec zauważył, że krew płynąca z głębokiej rany na czole plamiła jego brązowe włosy i maskowała widoczne wśród nich pasemka siwizny.

— A zatem kim pragnąłbyś być — może kapłanem? Albo bardem? Wygląda na to, że masz pamięć do rozmaitych historii. Na ustach Artusa pojawił się uśmiech.

— Lubię opowieści. Ja... — spuścił wzrok wpatrując się w migoczący kamień i przerwał — wiem coś o tobie. Ludzie z gildii powiedzieli mi o Królewskich Wojach. Twierdzą, że nie będziesz dobrym królem, wiesz, bo za często podróżujesz, aby nieść ratunek ludziom, walczyć ze smokami i takie tam różne.

— Faktycznie — mruknął Azoun. — Może i mają rację. Ale wkrótce się przekonamy, nieprawdaż?

Artus pozostawił tę tajemniczą ripostę bez komentarza, aczkolwiek zimny ton głosu księcia odrobinę go zaniepokoił.

— I co teraz zrobimy? — zapytał po chwili.

— Sądzę, że zaczekamy — rzucił posepnie książę. — Nie zaatakują nas po wschodzie słońca. Zbytńo bolą je wówczas oczy. Poza tym za dnia na trakcie znów pojawią się wędrowcy.

Może uda nam się zebrać dość ludzi, by stawić czoła tym małym potworkom, naturalnie jeśli do tego czasu nie spaszują i nie wrócą do Darkhold.

Po tych słowach Artus i Azoun pograżyli się w ponurym milczeniu. Obaj zdawali sobie sprawę, że musiał istnieć jakiś sposób, by pokonać groundlingi, ale żaden z nich nie potrafił wymyślić nadającego się do zaproponowania planu.

Azoun zaczął zdzierać korę z drzewa przy pomocy noża Artusa, chłopiec zaś zaszępioty oparł się o pień.

Co pewien czas jeden z groundlingów pojawiał się u wylotu najbliższej jamy. Węszył nerwowo, mrużąc ślepia i wpatrując się w noc, po czym wracał w ciemność.

— Nie ma dla ciebie ucieczki, Azunie. — Głos stwora był przerażający, wysoki i skrzeczący jak zgrzyt podbitych butów na kamiennej posadzce.

Jednak niebawem nawet tego typu próby zastraszenia ich ustały. Artus łudził się, że asasyni zrezygnowali i jego ojciec niebawem wyczołga się z jamy, uwolniony. I nagle gwałtowny upadek drzewa znajdującego się niebezpiecznie blisko ich schronienia obrócił jego nadzieje w niwecz.

— Nie będą czekać, aż sami zejdziemy — zauważył zgorzkniałym tonem Azoun.

Zdjęci zgrozą patrzyli, jak kolejne drzewo zapada się nie-znacznie w głąb ziemi, po czym pada jak ścięte do przodu. Noc wypełniła się skrzypnięciami i trzaskami, gdy dąb rąbnął w pozbawiony liści klon i oba drzewa runęły na ziemię. Ziemię wokół powalonych drzew porwały ślady przemieszczających się groundlingów. Co parę stóp jeden z asasynów wylaniał się na powierzchnię i węszył zaciekle.

Nie znajdując śladu księcia pośród zwałowiska groundlingi zabrały się za powalanie kolejnych drzew. Hałas był potworny, gdy dęby i sosny przewracały się, zrywając i łamiąc gałęzie, które znajdowały się na linii ich upadku i zabijając wszystko, co znalazło się pod nimi. Ptaki, wiewiórki i inne zwierzęta uciekły w popłochu, gdy ich domy zaczęły się kołysać i prze-wracać. Każde zwierzę większe od szczura umykające w kierunku wzgórza, zostało pochłonięte przez jamy groundlingów. Jak zauważył książę, wyglądało na to, iż żarłocznicy asasyni byli w stanie zjeść praktycznie wszystko.

Koniec końców runęło jedno z drzew znajdujących się tak blisko, że musnęło swymi nagimi gałęziami Artusa i Azouna. Poskręcane, sękate konary śmignęły w ich stronę niczym kościste palce, żłobiąc bolesną, krwawą bruzdę na policzku księcia i zrywając ciężki płaszcz, który miał na sobie Artus. Chłopiec poczuł, że spada do tyłu. W tej samej chwili kamień w jego ręku otoczył go magiczną osłoną, ochraniając przed sunącą w jego kierunku gałęzią. Niemniej jednak kula nie uchroniła Artusa przez zsunieniem się z konaru. Chłopiec wiedział również, iż nie osłabi ona jego upadku, gdyby runął na ziemię. Z wyraźnym wahaniem wypuścił z dłoni kamień i wyciągnął dłonie usiłując desperacko uchwycić się pnia drzewa.

Jego zmarznięte, zgrabiałe palce pochwyciły powietrze. Wzywając pomocy, Artus runął w dół.

Ale nie spadł. Azoun ścisnąwszy mocno obiema nogami gałąź, złapał chłopca, gdy ten przelatywał obok. Na nieszczęście pochwycił skraj peleryny, która trzepotała za Artusem niczym złamane skrzydło wróbla.

Artus zatrzymał się gwałtownie. Dusząc się, usiłował postawić stopę na którymś konarze albo złapać się rękoma pnia. Wszystkie nadające się do tego gałęzie znajdowały się poza jego zasięgiem, toteż jedyne, co mógł zrobić, to kołysać się w przód i w tył. Zapinka płaszcza wrzynała mu się w szyję, a mniejsze gałęzie chłostały go po twarzy. Kiedy w końcu

Artus zdołał schwycić się oburącz płaszcz, poluzował go nieznacznie pod szyją, odetchnął z trudem i spojrzął w dół, na miejsce swej niedoszłej zguby.

Asasyni buszowali wokół zwalonego przez nich przed chwilą drzewa. Obwąchiwali niebieski, połyskujący klejnot leżący opodal, ale najwyraźniej kamień ich nie zainteresował.

Groundlingi były, bądź co bądź, w głębi serca krasnoludami. Pomimo że zmienione, podzielały pogardę, jaką ich lud żywił wobec nie znanej sobie magii.

Agenci Zhentarimu nie tracili wiele czasu na poszukiwania. Kiedy tylko upewnili się, że książę nie runął na ziemię wraz z ostatnio powalonym dębem, natychmiast zajęli się następnym.

Niebawem drzewem, na którym znajdowali się Artus i książę, poczęły wstrząsać gwałtowne drgania.

Z poczerwieniałą twarzą i ramionami drżącymi od przy-trzymywania obitej futrem pętli, chłopiec uniósł wzrok, spoglądając na Azouna.

— Puść mnie — wychrypiał.

Ignorując jego prośbę, książę zaczął ściągać płaszcz jak rybacką sieć. Artus wił się, usiłując się uwolnić.

— Mogę... nas uratować — zawołał chłopiec. Azoun skrzywił się.

— Nie wygłupiaj się — uciął. — Nie możesz... Kolejny wstrząs targnął dębem, gdy groundlingi przecięły główny korzeń. Książę sprężył się, czekając aż drgania ustaną. W tej samej chwili Artus skreślił ostro całe ciało, wrywając płaszcz z palców Azouna.

Chłopiec runął w dół, wykonując w powietrzu gwałtownego koziołka. Impet był wystarczający, by pchnął go ku grubemu konarowi. Uchwycił się go, na tyle długo, by spowolnić upadek, po czym ponownie runął, odbijając się od znajdujących się niżej gałęzi.

Wylądował na zboczu wzgórza na ugiętych nogach i rzucił się do ucieczki, zanim asasyni zdążyli zareagować.

Gdy Artus zaczął oddalać się od drzewa, jeden z groundlingów wynurzył głowę z jamy i w chwilę potem ruszył za nim. Usiłował dogonić uciekającego, ale uniemożliwiły mu to leżące na jego drodze pnie drzew i grube konary zwalonych jodeł. Świeże igliwie pokrywające glebę sprawiało, iż czujne zmysły słuchu i dotyku łowcy były nieomal bezużyteczne. Gdyby nie płaszcz, jaki miał na sobie, Artus mógłby zupełnie zgubić ścigające go stworzenie. Nawet na zamarzniętej ziemi groundling czuł słaby zapach księcia. I właśnie na to liczył Artus.

Głośny jęk ostrzegł chłopca, że drzewo, na którym ukrywał się Azoun, lada moment runie. Odwrócił się w chwili, gdy zaczęło się pochyłać. Jednak zamiast się od niego oddalić, chłopiec pognał w jego kierunku.

Dąb padał zrazu powoli i Artus widział, jak księżę usiłuje wspiąć się na wyższą gałąź, by móc z niej gładko zeskoczyć, gdy drzewo znajdzie się dostatecznie blisko ziemi.

Chłopiec chciał doń zawołać, ostrzec, aby jeszcze nie skakał, ale wiedział, że księżę go nie usłyszy. A nawet gdyby, najprawdopodobniej i tak by nie usłuchał, tak jak Shadowhawk...

Te gorzkie myśli pozwoliły Artusowi oderwać się na chwilę od tego, co zamierzał uczynić — i w gruncie rzeczy dobrze, iż się tak stało. Istniało spore prawdopodobieństwo, że jego plan spali na panewce, szansę powodzenia były raczej minimalne. Mimo to Artus pognał w kierunku linii upadku drzewa, ścigany przez niezmordowanego asasyna.

Gdy pas zrytej ziemi dotknął obcasów jego butów, Artus zerwał z ramion ciężki płaszcz i dał nura do przodu. Groundling, przekonany, że jego ofiara upadła, wynurzył się z jamy i schwycił pelerynę księcia na chwilę przed tym, jak pień dębu huknął o ziemię.

Niczym drewniany młot dzierzony ręką burzowego olbrzyma, dąb na powrót wbił niefortunne krasnoludostwora w ziemię, gruchocząc mu czaszkę i większość kości.

Ta część planu udała się idealnie. Reszta nie.

Artus odtoczył się od padającego drzewa i wylądował obok połyskującego łagodnie magicznego klejnotu. Chłopiec przez krótką chwilę łudził się, że wygrał. I nagle gruba gałąź spadła mu na nogę. Artus zdołał uwolnić się od konara, ale od uderzenia jego kolano zaczęło pulsować tęnym bólem. Zaciskając zęby, wyciągnął się jak struna na poszyciu z miękkich, sos-nowych igieł i zacisnął drżące palce na błękitnym kamieniu.

Księżciu również nie poszło lepiej. Gdy zeskakiwał z dębu, zarobił kilka silnych uderzeń jego gałęziami. Przetoczył się niezdarnie po ziemi, a ciężar jego kolczugi nie pozwolił mu się wyprostować. Azoun uderzył w zbocze wzgórza ramieniem i wślizgnął się do bruzdy w ziemi, pozostawionej przez przejście groundlinga. Pomimo iż wylądował o jedną końską długość od Artusa, księżę równie dobrze mógł być o sto mil od niego, gdyż w żaden sposób nie mógłby mu pomóc w walce z ostatnim asasynem.

Azoun podniósł się na kolana i oszołomiony rozejrzał wokoło. Prowizoryczny bandaż spadł mu z czoła i krew ponownie zaczęła spływać mu po twarzy. Zauważył Artusa i zaczął czołgać się ku rannemu chłopcu.

— Ratuj się — mruknął, po czym ogarnęła go czerń nieświadomości.

Ostatni groundling ostrożnie wynurzył się z ziemi o kilka-naście metrów od Artusa i Azouna, przyglądając się im wąskimi jak szparki czerwonymi oczyma.

— Już po tobie, książątko — wyskrzecztał i dał nura do jamy. W chwilę potem zaczął ryć pod ziemią w ich kierunku.

Asasyn ponownie pojawił się na powierzchni w pobliżu miejsca, gdzie wyczuł Azouna. Jedyne co tam zobaczył, to błękitną poświatę kuli energii, gdyż czary skutecznie ukryły księcia przed prześladowcą. Groundling zawył z frustracji i po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się nuta strachu. Czarnoksiężnicy z Zhentarim, którzy zlecili tę misję asasynom z Darkhold, nie tolerowali niepowodzeń. Nawet gdyby przeżył spotkanie z księciem i jego zdolnym, młodym obrońcą, groundlinga czekałoby dożywotnie uwięzienie w zatechłych, wilgotnych lochach twierdzy oraz tortury, takie jak łamanie kołem czy okrutne pocałunki gnilnych robaków.

Nawet dla tak ograniczonej umysłowo istoty było to dostatecznie mylnym bodźcem, by w jej mózgu pojawiła się oryginalna myśl.

— Nie możesz uciec! — zachrypiał asasyn, przepełniony nową świadomością. — Zwyciężyłem!

— Możemy ukrywać się w kuli — rzekł Artus, tak butnie, jak tylko rył w stanie, choć ból i strach sprawiały, iż głos wyraźnie mu się łamał. — To ty przegrałeś. Prędzej czy później zjaw -ą się tu szukający księcia królewscy czarnoksiężnicy. Do tego czasu będziemy bezpieczni.

Ostatnie słowa były czystym blefem, ale sprawiły, iż groundling zaczął zawzięcie kopać wokół magicznej kuli. Ziemia i kamienie sypały się jak deszcz na ochronną powłokę; poprzez hałas słychać było nieziemskie zawodzenie asasyna. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, stwór przerwał swe przeraźliwe dzieło i zaczął zniżać się do kuli. Asasyn spojrział na magiczny bąbel — płynące zeń blade światło nieomal go oślepiło, i powiedział:

— Znajdą tu tylko zwłoki. Mam twojego towarzysza, chłopcze. — Groundling przerwał i oblizął pysk długim, czarnym jęzorem. — Jeżeli nie oddasz mi mojej nagrody, otoczę twoją kulę jego nagimi kośćmi jak palisadą.

— Ale reguły gildii...

— Nic nie znaczą, jeżeli stracę księcia — uciał groundling.

— Najwyżej pozbawią mnie odznaki gildii, za to, że zabiłem niewłaściwego człowieka. I co z tego?

Artusowi obwisły ramiona. Nie miał wyboru, jeżeli asasyn groził śmiercią jego ojcu. A poza tym, kim był dla niego Azoun?

— Ubijmy interes — zawołał chłopiec. — Przekażę ci księcia Azouna, ale musisz przyprowadzić tu tego drugiego mężczyznę.

— A co z magicznym murem? — zaskrzeczał groundling.

— Zabierzesz tego drugiego, ukryjesz go w tej swojej kuli i nie oddasz mi księcia!

— A ty zabijesz mnie, gdy tylko dostaniesz Azouna! — uciał Artus.

Nastąpiła chwila nieprzyjemnej ciszy, gdy chłopiec i krasnoludostwór rozważali swe raczej ograniczone możliwości wyboru. Ostatecznie to Artus zaproponował możliwe do przeprowadzenia rozwiązanie.

Dzięki niemu istniała, mała, bo mała, ale jednak szansa, że zarówno on, jak i Shadowhawk ujdą z tej koszmarniej przygody z życiem, i być może uda mu się również uratować księcia.

— Jestem złodziejem, a więc paramy się bratnią profesją, nieprawdaż? — zaczął nieśmiało Artus. Prawdę mówiąc, groundling przypominał raczej jego brata Orica. — Dlatego też powinniśmy ubić uczciwy interes. Jeżeli — uhm — obiecuję, że schowam swój kamień i nie użyję go, dopóki nie przekażę ci księcia, sprawa powinna być prosta. Co ty na to? Przecież wystarczy ci, że dostaniesz Azouna, nie masz powodu, aby nas zabijać... My po prostu chcemy zgarnąć co nasze i wynieść się stąd jak najszybciej.

Tępy umysł groundlinga przez dłuższą chwilę rozważał szczegóły skomplikowanego dlań układu, ale koniec końców asasyn zgodził się. Wzbijając wysoko fontanny kurzu, ziemi i żwiru, stwór znikł w swojej jamie. Kiedy tylko stworzenie odeszło, kula znikła. Artus zdjął swój sponiewierany plecak i przygotował księcia Azouna na powrót groundlinga.

Shadowhawk miał spętane ręce i nogi, kiedy asasyn wyciągnął go z jamy. Płaszcz miał na plecach podarty, a kaptur zwiisał w strzępach na jego ramionach.

Strach przepelniał jego szerokie, zapatrzone w dal oczy. We włosach miał grudy ziemi i brudu, które pot i krew zmieniły w błotnistą maź.

Knebel wciśnięty w usta sprawił, że jego oblicze zastygło w grymasie przerażenia.

Artus w milczeniu pochylił się nad nieprzytomnym księciem Azounem, który leżał teraz opierając się głową o plecak chłopca. Oddalając się od szlachcica, podszedł wolno do swego ojca. Widział zaskoczenie malujące się w lodowatych zazwyczaj, zielonych oczach Shadowhawk, ale bardziej przejmował się grymasem triumfu wykrzywiającym i tak już przerażające rysy twarzy groundlinga. Asasyn przedzierał się przez grunt, z głową nad powierzchnią ziemi, sunąc w stronę Azouna.

Zatrzymał się przy boku księcia, po czym wyciągnął jeden ze swoich szponów.

Być może groundling spodziewał się, że Azoun okaże się mirażem, pomimo tego, co mówiły mu jego zmysły. Niezależnie od powodu, asasyn drgnął, gdy dotknął ciepłego ciała księcia. To było więcej, niżli się spodziewał — sprowadzenie Azouna do Darkhold żywego, zapewni mu poczwórne wynagrodzenie, a może nawet zdoła wykupić sobie możliwość powrotu do swej poprzedniej postaci — krasnoluda.

Stwór ostrożnie okrążył nogi księcia i zaczął wciągać go do jamy. Wraz z Azounem do dołu posypały się sosnowe gałązki, a także maryl plecak, który książę miał podłożony pod głowę. Groundling zdawał się nie zauważać drobnych gałęzi wpadających do lejka, ale znieruchomiał, gdy posypała się nań zawartość plecaka — kilka kawałków szminki kamuflażowej, mały zwój cienkiego czarnego szpagatu i kromka czerstwego chleba, którą Artus miał zjeść podczas długiej wędrówki do domu. Uwagę groundlinga przykuła owa ostatnia rzecz; stwór pociągnął nosem.

— Ej! — zawołał bez przekonania Artus — to moje!

Asasyn prychnął i włożył chleb do ust. Jednym kłapnięciem szczęk przełamał czerstwą kronikę na kawałki i przełknął łączywie. Następnie przeniósł otepiały wzrok na Artusa; już miał na końcu swego czarnego języka jakąś fałszywą odpowiedź, gdy stwierdził, że chłopiec stoi bardzo blisko krawędzi dołu.

— Puść księcia — rzekł lodowatym tonem Artus. Oparł dłonie na biodrach i wypiął pierś w — jego zdaniem — heroicznej pozie. — Jeżeli teraz odejdziesz, pozostawię cię przy życiu.

Groundling prychnął i napiął mięśnie nóg do skoku, ale dziwne uczucie w żołądku powstrzymało go. Jęknął i spojrzał w dół na swój palący brzuch. Czy chłopiec używał jakichś czarów? Może to ten jego świecący kamień? Asasyn przeklął sam siebie, że uwierzył temu ludzkiemu dziecku, zwłaszcza, że i tak zamierzał złamać daną mu obietnicę, gdy tylko książę zostałby związany i należycie przygotowany do drogi powrotnej do Darkhold.

— Mówię serio — rzekł Artus — lepiej się poddaj. Zostałeś pokonany.

Tego było już nadto dla groundlinga. Odrzucił głowę do tyłu, zawył, po czym rzucił się na chłopca.

Artus ze spokojem zacisnął jedną ze swych małych dłoni w pięść i zamachnął się, jakby chciał uderzyć szarżującego nań potwora. Ale groundling nie zdołał zbliżyć się dość blisko, by móc uczynić chłopcu coś złego. Klejnot, który połknął wraz z chlebem, odpowiedział na uniesioną pięść roztaczając wokół siebie tarczę ochronną. Magiczny mur bezmyślnie i metodycznie rozszerzył się, usiłując osłonić swego nowego pana. Groundling schwycił się za puchnący brzuch i runął twarzą na ziemię.

Artus pokuśtykał, by znaleźć się bliżej stwora.

— Ostrzegalem cię — powiedział.

W odpowiedzi asasyn zaklął, najzuchwalej, jak tylko potrafił, a potem eksplodował niczym przejrzały melon upuszczony na bruk.

Ciszę jaka potem nastąpiła, wypełniły niebawem typowe odgłosy uktarskiej nocy — pohukiwanie sów, odległe szczekanie psów i szum chłodnego wiatru wśród drzew. Artus stał przez dłuższą chwilę w bezruchu, rozkoszując się tymi drobnymi oznakami normalności, po czym zaczął uwalniać swego ojca z więzów. Shadowhawk nie odezwał się ani słowem — nie było okrzyków dumy, westchnień ulgi ani wyrazów wdzięczności. Rozbójnik rozcierał tylko zdętwiałe, obolałe kończyny i przyglądał się w milczeniu synowi, który wyciągnął księcia z jamy, ponownie zabandażował jego czoło i przeniósł go z traktu w bezpieczne miejsce wśród przydrożnych krzewów. Scoril Cimber widział, że jego syn się zmienił, ale nie potrafił określić, co konkretnie się z nim stało.

Kiedy skończył z Azounem, Artus odwrócił się plecami do Shadowhawa, który siedział wśród zwałów ziemi i ziejących dziur pokrywających ten fragment traktu.

— Ojcze — rzekł półgłosem — ktoś nadjeżdża.

Jeżeli Shadowhawk zdziwił się, że jego syn usłyszał odległy tętent kopyt wcześniej od niego, nie dał tego po sobie poznać.

Jeździec stanowił awangardę większego patrolu przeczesujące-go okolicę w poszukiwaniu zaginionego księcia. Kiedy żołnierze przystanęli, by rozejrzeć się wśród leśnego rumowiska, Artus cisnął kilka kamyków, by zwrócić ich uwagę na gęstwinę krzewów i nieprzytomnego następcę tronu. Nawet z uszkodzonym kolaniem chłopiec i jego ojciec z łatwością zdołali wymknąć się konnemu i ciężko uzbrojonemu oddziałowi patrolującemu leśne wzgórze.

Shadowhawk był wszak banitą i już niejednokrotnie uniknął schwytania przez królewskich wojów noszących godło Fioletowego Smoka.

Przez następnych kilka dni Scoril Cimber ustabilizował swoją — i tak już wysoką pozycję w cormyriańskim półświatku barwnymi opowieściami o swojej roli w uratowaniu księcia Azouna. Artus nie starał się w żaden sposób zaprzeczyć jego słowom.

W gruncie rzeczy chłopiec niejednokrotnie potwierdzał wersję zdarzeń opowiadaną przez Shadowhawa, jakoby w pojedynkę zabił on wszystkich trzech morderców z Zhentarim i uratował dziedzica tronu Obarskyr. Jako że pałac nigdy nie skomentował plotek dotyczących zamachu, gdyż tego typu informacje powodowały niepokoje wśród ludzi, Shadowhawk bez żadnych przeszkód stał się ważną osobistością w hierarchii Gildii Złodziei.

Jednakże tego typu sława bywa zwykle ulotna w mrocznych zaułkach Suzail, więc niebawem inne tematy przyćmiły śmiałą akcją uratowania księcia i walkę z kretopodobnymi zabójcami, wśród których najczęściej powtarzaną plotką było, że postępująca choroba jeszcze przed końcem roku ostatecznie pokona króla Rhigaerda. Niebawem księżę Azoun stanie się królem Azounem IV. Nikt nie był z tego powodu zbytnio zadowolony.

— Posłuchajcie — rzekł posiwiasty złodziej, na tyle głośno, by przekrzyczeć dziesiątkę innych podniesionych głosów rozbrzmiewających w głównej sali Gildii Złodziei — Rhigaerd był tyranem. Nikt się z tym nie spiera. Chcę tylko powiedzieć, że wiedzieliśmy, czego możemy się po nim spodziewać.

— Tak — wtrącił ktoś inny — stryczka; powieszeni na pierwszym lepszym drzewie, gdyby złapano nas na trakcie z pięcioma smoczymi miedziakami i nie moglibyśmy udowodnić, że te pieniądze należą do nas.

Siwowłosy złodziej zmarszczył brwi.

— Ale przynajmniej wiedzieliśmy, na czym stoimy. Rządził twardą ręką, to fakt, ale dzięki temu szlachta przeżywała doskonały okres — a rabusie dostatecznie sprytni, by postępować zgodnie z regułami gildii, i unikający patroli, mogli liczyć na obfite łupy.

Stojący pośrodku tłumu Shadowhawk chrząknął. W pokoju zapanowała cisza, po czym wzrok wszystkich spoczął na nim.

— Azoun nie chce być królem, racja? Może zatem będzie sprawował rządy śniąc na jawie o walkach z olbrzymami i da nam spokój. — Oparł obute stopy o blat stołu obok Artusa i zamyślił się przez chwilę. — Taak, myślę, że on raczej da nam spokój. Jakby nie było, facet zawdzięcza życie rozbójnikowi, no nie?

— Ale co z jego nauczycielem, tym Yangerdahastem? — za-pytał inny złodziej. — To okropny człowiek, podstępny i na-prawdę inteligentny. Jeżeli Azoun nie będzie sprawował rządów jak należy, sam weźmie władzę w swoje ręce, a on nie darzy gildii przyjaznymi uczuciami.

Kieszonkowiec, któremu u jednej ręki brakowało trzech palców, pokiwał głową ponuro.

— Magom nie można ufać — powiedział poruszając znacząco dwoma pozostałymi palcami. — Ale może to bez znaczenia. Mówią, że odkąd w zeszłym roku zmarł jego syn, Azoun się zmienił i zaczął bardziej myśleć o wszystkim jak na księcia przystało. Ta tragedia pozbawiła go młodszej fantazji. Nic w tym dziwnego, kiedy liczące sobie dwie zaledwie zimy dziecko umiera tak nagle. Zaczynasz się zastanawiać, co takiego uczyniłeś, że bogowie czują się urażeni, nieprawdaż?

Ktoś na drugim końcu sali uniósł kubek w ironicznym toaście.

— Za Azouna! — rzucił głośno. — Niechaj będzie choć w połowie tak dobrym królem, jak jego ojciec i w połowie tak dobry, jeżeli chodzi o łapanie złodziei!

Milczący przez cały ranek Artus pokręcił głową.

— Azoun będzie wielkim królem. I pożąają tego wszyscy asasyni i złodzieje w Cormyrze.

— Miejmy nadzieję, że nie, Art — rzekł zdumiony słowami syna Shadowhawk. — Przecież któregoś dnia przyćmisz swoimi wyczynami wszystkich innych rozbójników.

Chłopiec zmierzył ojca lodowatym spojrzeniem swych brązowych oczu, a Shadowhawk dostrzegł przez chwilę na jego twarzy ów dziwny wyraz, który zauważył po raz pierwszy w noc bitwy, na chwilę przed tym, jak Artus zabił ostatniego asasyna.

— Ale, ojcze — rzekł na tyle głośno, aby wszyscy mogli go usłyszeć — przecież powiedziałeś, że nie muszę być rozbójnikiem.

— Co takiego? — ryknął Shadowhawk — nigdy nie...

— Zaraz po walce, po tym jak sam jeden zabiłeś tych trzech asasynów — wtrącił błyskawicznie Artus — powiedziałeś, że walczyłem tak marnie, że nigdy nie będę dobry w rabowaniu podróżnych. Powiedziałeś, że powinienem być skrybą albo bardem.

Uwaga wszystkich spoczywała teraz na Artusie i Shadowhawk, a ci złodzieje, których w głębi serca zżerała zawiść i zazdrość — czyli najkrócej mówiąc, wszyscy znajdujący się obecnie w sali gildii — poczuli nagły przypływ nadziei, że oto za chwilę przechwałki Scorila Cimbera zostaną zdementowane i okażą się wierutnym kłamstwem. Wszyscy w pomieszczeniu zamarli na chwilę, zaś rozbójnik na próżno szukał sposobu na wydostanie się z przemyślnie zastawionej nań przez Artusa pułapki. Chłopiec pozwolił mu opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, zdobyć poklask, uznanie i zaszczytną pozycję w hierarchii Gildii Złodziei.

Wyglądało na to, iż teraz żądał od niego zapłaty.

Kiedy Scoril przyjrzał się uważnie Artusowi, zdał sobie sprawę, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Drapieżne spojrzenie w oczach syna było mu doskonale znane — błysk jak odbicie promienia słońca od zimnego ostrza sztyletu, lodowaty niczym zimowy chłód przenikający między tanimi deskami podłogi, którymi wyłożono podłogę w sali.

— Tak. Bądź zatem bardem — wymamrotał w końcu Shadowhawk.

Odwrócił się od Artusa, na którego ustach zagościł triumfalny uśmiech i wypił swoje ale. Nawet jeżeli nie będzie moim uczniem — pomyślał ze smutkiem rozbójnik — chłopak i tak wie teraz więcej, niż zamierzałem go nauczyć.

DZIADKOWE ZABAWKI

Jean Rabe

Druid zatrzymał się przed starymi, zniszczonymi dębowymi drzwiami wieży. Włosy koloru zboża przyklejały mu się do karku, a wilgotna ciemnozielona tunika przylegała ciasno jak druga skóra do jego muskularnego ciała. Zdobiony haftami płaszcz, jaki miał na sobie, sięgał aż do ziemi, a gdy mężczyzna odchylił głowę, by spojrzeć w górę poprzez strugi zacinającego deszczu, ozdobna zapinka boleśnie wpiła mu się w szyję.

Kamienne bryły wieży zlewały się z ołowianym wieczornym niebem, nie pozwalając druidowi dojrzeć krenelowych blanków na jej szczycie. Mrużąc oczy wyteżył wzrok, wpatrując się w szarość, i w końcu dostrzegł słabe światło, płynące z okna na najwyższym piętrze.

Druid spuścił wzrok i pochylił głowę tak, że niemal oparł podbródek o klatkę piersiową.

— Nie widziałem go od lat — rzekł półgłosem.

W odpowiedzi z fałd jego tuniki dobiegły głośne popiskiwanie i skrzeczenie.

— Tak. Zdecydowanie zbyt długo.

Druid delikatnie poluzował wiązania tuniki, rozchylając fałdy materiału pod szyją. W chwilę potem z rozcięcia w kształcie litery V wyłonił się lśniący, czarny nosek łasicy.

Zwierzątko ponownie zapiszczało.

— W porządku. Pospieszę się — odparł druid, postępując naprzód i stukając głośno i zdecydowanie do drzwi wieży.

Jakiś czas później wrota z jękiem otworzyły się do wewnątrz, a w progu pojawiła się postać odziana w płaszcz [z kapturem.

— Galvin, mój przyjacielu! — Mówiący te słowa zsunął z głowy kaptur odsłaniając krótkowzroczne, niebieskie oczy i skórę, bladą i pomarszczoną jak stary pergamin. Jego policzki i szczękę pokrywała krótka, siwa szpecina. — Musisz mi pomóc! Zgubiła mi się gdzieś w mojej wieży i nie mogę jej znaleźć. Bardzo się martwię.

— Kogo nie możesz znaleźć? Słaby uśmiech zagościł na popielatoszarych wargach staruszka.

— Mojej wnuczki — staruszek urwał — proszę, wejdź. Zaziebisz się na śmierć przy tej pogodzie.

Wyciągnawszy drżącą, pokrytą plamami wątrobowymi dłoń] schwycił druida za rękaw tuniki i wciągnął go do wieży.

— Och, Galwinie, tak się bałem, że Elias cię nie znajdzie.: Nie byłem pewny, gdzie mieszkasz. I do tego ta burza...

— Nie jest tak źle, Drollo — mruknął druid, wyjmując] spod tuniki łasicę — ale wygląda na to, że Elias niezbyt] przepada za deszczem.

Staruszek pospiesznie wziął od niego mokre zwierzątko i poskrobał je po łebku. Elias zaskrzeczał głośno i wyprężył się, przekrzywiając łebek, by Drollo podrapał go za uszami. Następnie rzucił gniewne spojrzenie na druida i pisnął głośno i przenikliwie.

Galwin skinął głową do zwierzątka i zamknął drzwi wieży, wytłumiając bębnienie kropel deszczu i zamykając dostęp słodkawemu zapachowi wilgotnej ziemi. Po długiej wędrówce na otwartej przestrzeni czuł, że wewnątrz wieży wyraźnie trąci stęchlizną. Druid zmarszczył nos z niesmakiem.

Wewnątrz nie było można dostrzec zbyt wielu fragmentów ścian z cyzelowanych kamiennych bloków. Przesłaniały je rywalizujące ze sobą obrazy przedstawiające strojnie odzianych mężczyzn i kobiety oraz przepięknie tkane gobeliny, ukazujące scenki rodzajowe znad brzegów pobliskiej Dragon Reach. W niektórych miejscach gobeliny i obrazy zachodziły jedno na drugie. Galwin zatrzymał wzrok na częściowo zakrytym gobelinie, gdzie kilku mężczyzn spychało na wody Reach ogromną łódź. Na rufie łodzi stał satyr, opierając dumnie zakończoną kopytem nogę o nadburcie; jego ludzki tors przesłaniała zdecydowanie zbyt duża kurta. Druid nie widział całej łodzi. Przesłaniał ją inny gobelin ukazujący dwa stojące dęba jednorożce.

Poniżej gobelinów i obrazów stały wzdłuż ścian rzędy oznakowanych i nie oznakowanych skrzyń, sięgające Galwinowi do piersi. Prześwity pomiędzy nimi zajmowały sterty złożonych ubrań, kolorowych glinianych mis, butów nie od pary, po-czernionych sadzą słoików wypełnionych szklanymi paciorkami, stosy książek, z trudem zachowujące równowagę piramidy skrzynek na zwoje i wiele innych przedmiotów, których druid nie był w stanie zidentyfikować.

Galwin w dalszym ciągu lustrował zakurzone zbiory, gdy dłoń położona na jego ramieniu sprawiła, iż ponownie skupił swoją uwagę na staruszkę.

— Moja wnuczka — zaczął Drollo — ma zaledwie pięć lat. Zajmowałem się właśnie spisem kolejnej dostawy, gdy gdzieś sobie poszła. Obawiam się, że nie poświęcałem jej dostatecznie dużo uwagi.

— Twoje wnuki są starsze ode mnie — zauważył druid. Kiedy Drollo nie odpowiedział, Galvin spojrzał na staruszkę.

Niegdyś Drollo był wysoki, barczysty i chodził dziarskim, energicznym krokiem, jednak nieubłagany czas wycisnął wyraźne piętno na jego sylwetce. Staruszek skurczył się, zgarbił, jego ramiona obwisły i zbliżyły się do klatki piersiowej. Skóra na kościach zwiotczała, jakby należała do kogoś większego, i obwisła niczym obszerne fałdy szat, jakie zazwyczaj nosił. Jego zmierzwione włosy przypominały barwę pajęczyny pokrywające niemal każdy zakamarek wieży. Jedynie w głębi oczu migotały żywe iskierki.

Z wyraźnym wysiłkiem Drollo schylił się i ostrożnie postawił łasicę na kilku płytkach podłogi, których nie zaścielały żadne rupiecie.

Zwierzątko otrząsnęło się gwałtownie, aby strząsnąć krople deszczu z futerka, po czym ominęło kałużę wody ściekającej z przemoczonego odzienia Galvina i wślizgnęło się za skrzynię oznaczoną napisem „Pióra Algudaira”. Staruszek sapnął i wyciągnął rękę, by oprzeć się o pobliską skrzynię. Wstał, podpierając się o jej kant.

Drollo gwałtownie zatarł ręce i rozejrzał się nerwowo, jakby czegoś szukał. W końcu zebrawszy myśli odnalazł spojrzenie druida.

— Bawiłem się z twoimi wnukami — rzekł Galvin nieco głośniejszym tonem. — Ganiałiśmy się po targowisku jakieś trzy dekady temu. Są o kilka zim starsze ode mnie.

— A ja powiedziałem wnuczkę? Ee... ona jest no, ten tego, córką jednej z moich wnuczek albo córką córki mojej wnuczki — mruknął staruszek, kręcąc głową. — Lata przemijają tak szybko, że sam już dobrze nie pamiętam. Mówi do mnie — dziadku. I to jest najważniejsze.

— Jesteś pewny, że ona tu jest?

Drollo jakby od niechcienia pokiwał głową.

— Gdzieś tu. Woląłem ją, ale nie odpowiada. Może chce się ze mną bawić. A może coś jej się stało.

— A jej matka? i

— Isaura. Jest teraz daleko. Sto mil stąd — odrzekł Drollo.

— Dziewczynka miała spędzić u mnie kilka miesięcy. Isaura doszła do wniosku, że towarzystwo małej dobrze mi zrobi. Ale gdy dowie się o tym, co się stało, nie będzie chciała mnie znać.

— I dlatego przysłałeś po mnie Eliasa. — W tonie Galvina i brzmiało współczucie. Widział, że staruszek jest przerażony, J a druid nie przypominał sobie, aby Drollo kiedykolwiek czymś się przejmował — za wyjątkiem szpargałów, które kolekcjonował.

— Jak dawno zniknęła?

— Przed dwoma dniami — odparł pospiesznie staruszek.

— No, może trzema. Ale chyba nie dłużej. Nie, raczej na pewno nie. Jak ten czas leci.

— Drollo spojrział w szmaragdowe oczy Galvina. — Wysłałem do ciebie Eliasa, kiedy tylko zauważyłem jej zniknięcie.

— Znajdziemy ją — stwierdził bezceremonialnie Galwin, mając nadzieję, że ton jego głosu pomoże choć trochę złagodzić zmartwienie Drolla.

Druid zdjął pelerynę i rozejrzał się w poszukiwaniu wieszaka. Wysoki, drewniany drzątek z kołkami stał z tyłu, za wielką skrzynią, ale nie sposób było doń dosięgnąć. Wzruszywszy ramionami położył ociekający wodą płaszcz na wysokiej, wąskiej pace z napisem „Stawjadź ostrożnie”. Potem przysła kolej na buty. Zdjął je przy wtórze głośnego siorbnięcia i wylał z nich wodę. Powiększająca się kałuża pod jego stopami zajmowała już pół posadzki w sieni; woda zaczęła wpływać pomiędzy skrzynie. Druid zdjął przez głowę tunikę i położył ją bezceremonialnie na płaszczu; jego mokra, naga pierś zabłysła w świetle wiszącej u sufitu naftowej lampy.

Elias wychylił łebek i zaświergotał gniewnie do druida.

— Podłoga wyschnie — rzekł do zwierzątka druid.

Bosy i drżący, gdyż wilgoć wieży dawała mu się we znaki, Galwin minął Drolla z łasicą nieomal depczącą mu po piętach.

Za plecami druida rozległo się szuranie, gdy staruszek powłócząc nogami ruszył jego śladem wzdłuż korytarza z obu stron zastawionego stertami rozmaitych pak i skrzyń. Miejscami sterty skrzyń miały sześć stóp wysokości, czyli dorównywały wzrostowi Galvina, a napisy na fizekch przy większości z nich były wyblakłe ze starości. Gruba warstwa kurzu pokrywająca paki zdawała się świadczyć, iż nie przesuwano ich już od dłuższego czasu. Mimo to niektóre z nich zostały ostatnio poruszone.

Druid zauważył małe okrągłe dziury, które wygryzły myszy, aby dostać się do środka.

Wchodząc do pomieszczenia, które było, jak pamiętał, salonem, Galwin zobaczył kolejne sterty gratów i staroci. Z podartych obić foteli i kanap wysypywała się wyściółka, której j strzępy zaścielały obecnie podłogę.

Drewniane poręcze i nogi krzeseł pokryte były rysami i nacięciami, a przecież Galwin pamiętał je jeszcze z czasów swojej młodości, kiedy były idealnie lśniące i wypolerowane na glans. Siedzenia i blaty stolików zasłane były j stertami papierów i rozmaitych większych i mniejszych artefaktów. Tylko jeden mebel, ogromny czarny fotel, stał j pusty.

— Ta kobieta musiała postradać rozum, że zostawiła tu j swoją córkę — mruknął pod nosem Galvin. Szuranie za jego! plecami ucichło.

— Och, wcale nie wyglądało to tak źle przed paroma] tygodniami, kiedy mała się tu zjawiała. — Drollo nerwowo] usiłował się bronić. — Pozbierałem z tej okazji to i owo, i, ee, ten tego, no, rzuciłem czar, aby ukryć wszystkie skrzynie i kurz.

Druid jęknął i ukląkł. Zajrzał pod meble. Wśród kotów] kurzu znajdowały się strzępki papieru i jeden papuś bez! palców, zbyt duży, aby mógł należeć do Drolla.

Elias gwałtownie wyminął druida i dał nurka w płataninę • pajęczyn. W chwilę później wyłonił się z niej ciągnąc za sobą chmurę lepkich szarobiałych nici, z przyklejonymi do nich wysuszonymi zwłokami pechowych owadów. Elias otarł się | o nogę od stołu, pozostawiając na niej większość pajęczyny, po czym zapiszczał do druida.

— Tak, wiem, że jej tam nie ma — odrzekł Galvin. Druid i podniósł się, by stwierdzić, że jego wilgotne legginsy były l pokryte ziemią i brudem. Próba otrzepania ich nie przyniosła,] spodziewanych efektów.

— Jak ma na imię? — Galvin zwrócił się do Drolla. Staruszek rozpromienił się:

— Isabelle. Po mojej drugiej żonie.

— I jesteś pewien, że ona nadal tu jest?

— O, tak. Jest za mała, aby móc dosięgnąć zasuwy] w drzwiach albo okna.

— I nie ma jej od dwóch, może trzech dni?

— Tak — oznajmił bezceremonialnie staruszek.

Galvin potarł dłonią podbródek.

— Kiedy byłem w jej wieku — rzekł, zastanawiając się głośno — całymi dniami buszowałem po twojej wieży. Ale po dwóch dniach powinna była się pojawić, żeby coś przekąsić — naturalnie jeżeli jest jeszcze w stanie. — Natychmiast pożałował swoich słów, wiedząc, że tylko pogłębiły niepokój staruszka.

— Kuchnia — rzucił pospiesznie druid — jeżeli nic jej nie jest, musi zacząć szukać czegoś do jedzenia. Rozpocniemy poszukiwania od kuchni.

Drollo zmarszczył brwi i zakołysał się na obutych w papucie stopach.

— Co się stało? — zapytał ostro Galvin.

— Nie musi być głodna — rzekł niepewnie Drollo. — Jedzenie można znaleźć w prawie każdym zakątku wieży. Wiesz, nie jestem już młodzieniaszkiem i często bolą mnie nogi. To już nie to co kiedyś. Dlatego zostawiam to i owo do jedzenia w różnych pokojach wieży, żebym — jak zgłodnieję — nie musiał za każdym razem schodzić do kuchni.

Druid westchnął.

— Czy ona lubi się bawić? Zdarzało się jej już kiedyś zniknąć w ten sposób?

— Uwielbia rozmaite gry i zabawy — odparł Drollo. — Jej ulubioną jest zabawa w chowanego.

Druid zlustrował panujący wkoło bałagan. W tym jednym pomieszczeniu znajdowały się tuziny kryjówek, w których mogła się schować mała dziewczynka, a wieża miała przecież siedem pięter i dwa poziomy piwnic.

— Użyłeś magii, aby ukryć ten nieporządek — zaczął Galvin — czy próbowałeś ją odnaleźć przy pomocy czarów? Na twarzy Drolla pojawił się zbolący grymas.

— Och, Galwinie, chciałbym umieć posługiwać się takimi czarami! Potrafię ukrywać rozmaite rzeczy, sprawiać, żeby wyglądały inaczej niż w rzeczywistości, tworzyć dźwięki z niczego lub uciszać, jeśli coś jest zbyt hałaśliwe. Moja magia nie ma w sobie nic rzeczywistego. Przykro mi. — Przygryzł dolną wargę. — A co z twoją magią?

— Jestem druidem — zauważył obojętnie Galvin — ja też tego nie potrafię.

— Ale rozmawiasz z Eliaszem. I widziałem, jak rozmawiałeś | z roślinami i kamieniami — wykrztusił Drollo.

— Nie rozumiem, jak tego typu zdolności mogłyby nam] pomóc w tej sytuacji. Drollo zbladł.

— I co teraz zrobimy?

— Znajdziemy ją starym sposobem, po prostu jej poszukamy — westchnął Galvin. — Ty zacznij stamtąd — wskazał ręką] fragment pokoju zasłany stertami pergaminów.

— Już tam szukałem. Wydaje mi się, że szukałem wszędzie — jęknął Drollo. — To moja wina.

Druid ponownie skinął ręką i staruszek wykonał polecenie, | zmierzając powłóczącym krokiem ku stosom pergaminów.

— Isabelle! — zawołał. Nikt mu nie odpowiedział, co było] łatwe do przewidzenia.

W godzinę później druid był już pewny, że każdy cali pokoju został starannie przetrząśnięty. Nigdzie nie było siadaj dziewczynki.

Ogarnięty frustracją, kichający jak z armaty Galvin wypadł! z pokoju i o mało nie wyrzwał w stos skrzyń ustawionych w korytarzu.

— Co jest we wszystkich tych skrzyniach? — zapytał. Staruszek wydał wargi.

— Och, rzeczy, które zbierałem całymi latami. Już zapomniałem, co się znajduje w większości z nich. Będziesz musiał; sprawdzić na fiskach. Który z pokoiów sprawdzimy jako J następny?

Druid w dalszym ciągu gapił się jak otepiały w stosy skrzyń i sterty ksiąg. Gdyby znajdowali się na wolnej przestrzeni! i tam przyszło im kogoś szukać, zachowywałby się jak myśliwy ścigający zwierzynę. Drogę wskazywałyby mu połamane gałęzie, ślady stóp w błocie, zgniecione źdźbła trawy.

A może — pomyślał Galvin — myliłem się co do mojej magii,! zwłaszcza jeśli potraktować całą tę graciarnię jak dziką knieję?

Druid rozejrzył się wokoło, szukając rozerwanych nici pajęczyn. Jego wzrok spoczął na podstawie okazałej skrzyni. Właśnie tam ukryta w głębokim cieniu mysz wciągała do swojej norki bladą różową wstążkę. Galvin przykląkł i zaczął popiskiwać do myszy, ale mały gryzoń był zbyt pochłonięty swoim zajęciem i zwyczajnie zignorował druida. Galvin wyciągnął rękę, wyrwał zwierzątku wstążkę i ponownie zapiszczał.

Mysz zadrżała przerażona, poruszyła nosem i dała nura do dziury.

Galvin potarł kciukiem jedwabną wstążkę; wciąż była lśniąca i nowa.

— Wstążka Isabelle? — zapytał.

Staruszek spojrzał na pasek jedwabiu i pokiwał głową.

— Jestem na tropie — rzucił ze spokojem druid. — Spróbujmy na następnym piętrze.

Jedynie wąski przesmyk pośrodku schodów prowadzących na górne piętra nie był zawalony różnymi gratami. Galvin zlustrował pobieżnie całą kolekcję nóg od krzeseł i starych naftowych lamp, gdy wtem wzrok jego padł na mosiężną wazę ustawioną ryzykownie na samym skraju marmurowego stopnia w połowie kondygnacji schodów.

Prześlizgnął się ostrożnie pomiędzy rupieciami i ukląkł obok wazy. Elias przemknął pod ramieniem Galvina i obwąchał ją — jego czarne, małe jak paciorki ślepia odbiły się ciepło w zakrzywionej ścianie naczynia. Łasica zapiszczała niepewnie.

— Tak, to niezwykle — odrzekł druid.

— Co? — wysapał Drollo, gdy wreszcie wdrapał się na schody. W prawym ręku ścisnął grubą świecę. — Znalazłeś coś?

Ujmując wazę za brzeg, druid odwrócił się i usiadł na stopniu, twarzą do staruszka.

— Ta waza — zaczął Galvin — jest niezwykła. Brwi Drolla wygięły się w bliźniacze łuki.

— Moją kolekcję obejrzysz sobie później, Galwinie. Moja wnuczka jest ważniejsza niż jakieś tam mosiężne naczynie.

— Nie widzisz? — ciągnął druid. — Ono nie jest stąd. Jest czyste. Nie ma na nim kurzu ani brudu. Staruszek pokręcił głową.

— Oczywiście, że jest stąd. Po prostu jest nowe. Dostałem je przed kilkoma dniami. Przyszło w paczce z Callidyrr — przerwał na chwilę, po czym dodał pospiesznie — ale ja tę paczkę otwierałem w mojej pracowni! Galwinie, to nie ja postawiłem tu tę wazę!

— Mogła to zrobić Isabelle — mruknął druid. Odstawiwszy wazę na stopień, wstał, odwrócił się i pognął ku najbliższemu podestowi. Elias popędził za nim zatrzymując się tylko chwilę, by spojrzeć na staruszka, który powoli ruszył ich śladem.

Na podeście Galwin zlustrował stosy gratów i rupieci, które w całej wieży były ogólnie bardzo podobne. Co opętało człowieka, że tyle tu chomikował? — zastanawiał się druid. Uznał, że Drollo przypominał najbardziej chciwe smoki. Gromadził wszystko, co zdawało się mieć jakąkolwiek wartość i a potem stawiał gdzieś w kącie, aby pokrywało się kur:

Cóż — przynajmniej pod jednym względem Drollo różnił się od smoków, z którymi Galwin miał okazję spotkać się podczas swych licznych podróży — ogromne gady utrzymywały swoje skarby we względnym porządku. I w ich jaskiniach raczej łatwo było się poruszać — naturalnie jeżeli byłeś proszonym gościem.

Druid położył się na podeście i rozejrzał wokoło. Łasic przywarła do jego ramienia i popiskiwała cichutko. Jej łebek obracał się to w jedną, to w drugą stronę, jakby zwierzątko naśladowało Galvina.

— Patrzę na wszystko z perspektywy dziecka — rzek druid, zwracając się do Drolla i odsuwając łasicę na bok.

— To sprytne posunięcie — mruknął Drollo zasapany! z trudem łapiąc oddech po wspięciu się na schody. — Ni[^] pomyślałem o tym.

Galwin wstał bez słowa i podreptał w kierunku znajdujących się nie opodal drzwi. Były zastawione stojakiem z ozdobniej rzeźbionymi łaskami inkrustowanymi złotem i srebrem, niemniej przez szparę pomiędzy nimi mogłoby przecisnąć się dziecko Galwin przesunął łaski i o mało nie wyrócił całego stojak kiedy jedna z nich zaczęła nagle migotać i drgać.

Tak jak podejrzewał, wszechobecne pajęczyny zostały niedawno pozrywane wokół drzwi.

Przeglądając się bacznie magicznej lasce, wyciągnął rękę w stronę zamka. Nagle znieruchomiał, zauważywszy drobne rozmazane smugi na klamce — ślady Isabelle.

— Nie taki zły ze mnie detektyw — rzucił uspokajają do Drolla, po czym przekreślił klamkę i wszedł do środka.

Druid musiał zasłonić oczy, gdyż w pokoju za drzwiami było jasno jak w dzień. Źródłem światła była jarząca się żółto kula zwisająca nisko tuż za progiem. Sufit splekany jak

koryto wyschniętej rzeki, pomalowany był na ciepły, zapraszający odcień różu. Ściany były o ton ciemniejsze, choć większość z nich przesłaniały stopy pak i skrzyń z rupieciami Drolla.

— Isabelle — zawołał Galvin — jestem przyjacielem. Jestem tu z twoim dziadkiem. Proszę cię, wyjdź.

Wszedł głębiej do pokoju i w nozdrza uderzyła go woń, jednocześnie kwaśna i słodka — nie ulegało wątpliwości, że gdzieś tam, pośród stosu gratów, zostały resztki jakiegoś jedzenia.

— Isabelle? — Dostrzegł jakieś poruszenie przy parapecie. Podchodząc bliżej, druid odgarnął ręką cienką siateczkę pajęczyny. Przy oknie stał mały drewniany stolik, pośrodku którego tańczyła syrenka z kości słoniowej — nie większa od dłoni Galvina. Figurka, wyrzeźbiona z zadziwiającą precyzją i dokładnością, unosiła się i opadała przesuwając po rzeźbionej fali z orzecha. Wzdłuż zakurzonej krawędzi stolika widać było rozmarzone ślady rączek.

Elias wspiął się po nodze Galvina i wskoczył na stolik. Łasica zapiszczała z wyraźnym podnieceniem.

— Isabelle tu była — odparł Galvin. — Próbowała sięgnąć po syrenkę.

— Isabelle? — zawołał Drollo, wchodząc wolnym, posuwistym krokiem do pokoju.

Druid zgarnął łasicę ze stolika i odwrócił się do staruszka.

— Była tutaj. Może wciąż jeszcze jest. Ślady dłoni są dosyć świeże, kurz jeszcze na nich nie osiadł. W oczach staruszka zabłyśły iskierki.

— Niech cię bogowie błogosławią, Galwinie. Ostrożność malująca się w spojrzeniu druida powiedziała Drollowi, aby na razie nie obiecywał sobie zbyt wiele.

— Wiedziałem, że postąpiłem słusznie posyłając po ciebie Eliasa. Doszedłem do wniosku, że nie ma nikogo lepszego od ciebie, kto mógłby odnaleźć moją Isabelle. Wiesz, że ludzie w okolicy uważają cię za bohatera, Galwinie. I pomyśleć, że...

— Cicho! — syknął druid. Przekrzywił głowę z boku na bok.

— Co się stało?

Galvin spojrział na staruszkę, po czym nagle rysy jego twarzy złagodniały.

— Usłyszałem coś — ponownie przekrzywił głowę i zawołał — Isabelle?

Jedyną odpowiedzią było dziwne chrobotanie.

Zmysły Galvina były bardziej wyczulone niż u większość ludzi, ale nienaturalny bałagan i natłok rozmaitych sprzętów znajdujących się w wieży znacznie je przytępił. Dlatego w tym przypadku namierzenie źródła hałasu kosztowało więcej czasu i wysiłku.

Mimo to udało mu się. Stawiają Eliasa na podłodze, podszedł ostrożnie do zacienionego kąta ukrytego częściowo przez ogromnych rozmiarów pakę.

Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt.

Galvin rozpoznał ten dźwięk jako chrobot metalu o kamień[^] ale gdy zbliżył się do skrzyni, odgłosy ucichły. Elias przycupnąwszy u jego stóp, obnażył zęby i zasyczał.

Druid potrzebował całych swoich sił, by przesunąć pak do przodu na tyle, by móc wcisnąć się do znajdując się za nią niszy. Łasica pozostała przed skrzynią — stanęła na tylnych łapkach, a przednimi przebierała gwałtownie w powietrzu.

Pomimo światła płynącego z magicznej kuli, za skrzynią było ciemno, Galvin z pajęczynami wplątany w włos zastanawiał się, co mogłoby skłonić dziewczynkę, aby ukryli się w takim miejscu jak to. Nie zdąży! jednak wyciągnął żadnych wniosków — coś wpiło mu się w prawą kostkę i wyrwało go z zamyślenia.

Druid zaklął przez zaciśnięte zęby, próbując się cofnąć. Ból ponownie przeszył jego kostkę i Galvin uświadomił sobie nagle, że nie jest w stanie się ruszyć — coś owinęło się wokół jego nogi — coś metalicznego, ostrego i bardzo silnego. Pochylając się do przodu na tyle, na ile pozwalała ograniczona przestrzeń niszy, sięgnął ręką, usiłując znaleźć swego napastnika.

Przypominająca bicz macka boleśnie oplotła jego lewy garstek. Galvin ponownie zaklął.

— Galwinie? — zawołał Drollo.

— Nie podchodź!

Uścisk bicza wokół nadgarstka Galwina zacieśnił się. Wyciągając naprzód prawą rękę zacisnął palce na macce i pociągnął z całej siły. Usłyszał trzask, a potem runął w tył, trzymając w ręku oderwane metalowe ramię. Druid błyskawicznie wyprostował się i sięgnąwszy ręką do kostki uwolnił ją od drugiej macki.

Wyczołgał się spoza skrzyni i zderzył z odzianymi w papucie stopami Drolla.

Zgrzyt Brzęk. Brzęk.

Druid odwrócił się dokładnie w chwili, gdy skrzynia zakolysała się i runęła do przodu, przewrócona przez metalowe szkaradzieństwo. Była to błyszcząca czarna kula otoczona tuzinem ramion — istota nie była żywa, niemniej jednak jej przypominające bicze kończyny wiły się niczym macki ośmiornicy. Z dziur po wyrwanych przez Galwina mackach tryskał olej. Stwór wciąż jeszcze miał ponad tuzin ramion i kilkoma z nich wymachiwał jak szalony, podczas gdy pozostałych używał do poruszania się; podpierając się nimi sunął po przewróconej skrzyni w stronę druida.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się głośny huk i rozbłysło ostre, błękitnobiałe światło.

Druid ponownie zasłonił oczy. Drugą ręką machnął przed sobą w żalostnej próbie obronienia się przed metalowym po-tworem. Ale atak nie nastąpił. Kiedy poświata znikła, opuścił dłoń i spojrzał na stwora.

Mechaniczne urządzenie leżało w bezruchu, rozłupane nieomal na dwoje. Z jego trzewi wypływał olej, rozlewając się po podłodze.

Zakłopotany druid przeniósł wzrok na Drolla. Staruszek opierał się na rzeźbionej lasce, którą zdjął ze stojaka — tej samej, która zaczęła iskrzyć i migotać, kiedy Galwin pierwszy raz usiłował ją przesunąć.

— Chciałem tylko pomóc — wyjaśnił z dumą staruszek.

— Teraz już sobie przypominam, dlaczego ten pokój był stale zamknięty. Mam tu parę urządzeń od pomów — jak ten łowca gryzoni, z którym walczyłeś i parę innych podobnych mechanicznych cacek. Niektóre z nich mogą być niebezpieczne.

— Wyraz paniki przemknął po jego obliczu, gdy zbliżył się wolno do zniszczonego mechanicznego stwora. — Moja Isabelle — wysapał — a jeżeli łowca gryzoni schwytał moją Isabelle? Galwin wstał powoli i obmacał obolałą kostkę. Spoglądając na nią, stwierdził, że krwawiła. Ostrożnie poruszył lewą ręką i upewnił się, że nie jest złamana.

— Tam jej nie ma.

— A jeżeli leży tam martwa? — zapytał gwałtownie Drollo, j usiłując precyzyjnie się za zwaloną skrzynię. Druid chwycił staruszkę za ramię.

— Wyczułbym jej krew — rzucił dobitnie, po czym wyszedł] z pokoju.

Galwin czekał na Drolla na podeście, po czym zamknął drzwi | do pokoju i ponownie przystawił do nich stojak z magicznymi j laskami. Krążył nerwowo w tę i z powrotem, rozcierając obolały] nadgarstek. Elias śmigał między jego bosymi stopami, a pazurki j łasicy przy każdym kroku ślizgały się na gładkich kamieniach, s

Wbił wzrok w wypolerowane kamienne stopnie i wąskiej przejście oczyszczone z kurzu stopami jego, Drolla i Isabelle. j

— Drollo, byłem głupi. Powinienem był to zrobić od razu, j kiedy tylko wszedłem do wieży.

Druid usiadł bezceremonialnie na pierwszym stopniu poniżej] podestu, wciskając się między stosem książek a zbiorem klepsydr.! Zamknął oczy, spłycił oddech i oparł ramiona o podest — pod palcami poczuł chłodną gładkość kamienia.

Galwin okrył się zimnym potem — jego ciało lśniło teraz niemal jak marmur, którego dotykał palcami. Jego oddech stał się jeszcze wolniejszy. Przywoływał umiejętności, nauczyli go potężni druidzi — zdolności rozmawiania z kamieniami i z samą ziemią.

Poczuł, jak jego palce nieruchomieją, sztywnieją niczym marmur — jego kończyny wyprężyły się, stając się twarde jak kamień. Język miał teraz obrzmiały i suchy. Pomimo jego usta poruszały się powoli, nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Mała dziewczynka — powiedział w myślach Galwin.

Mała! — zapytały kamienne schody. Słowo było przeciągnięte, brzmiało jak zgrzyt kamienia o kamień.

Osoba jak ja, tylko mniejsza. — Galwin poczuł, że je własne procesy myślowe zaczęły zwalniać ospale, słowa, jakie formułował w myślach, stały się prostsze, z chwilą gdy myśli

— jego i marmurowych schodów, zmieszały się. — Dziewczynka. O połowę mniejsza ode mnie

Mała — powtórzył kamień. Słowa dochodzące ze stopnia brzmiały egzotycznie, a nawet kojąco. — Dla nas wysoka. Zawsze nad nami. — Ciągnął wolno, sennie marmur. Kamień nigdy nie spieszył się z opowiadaniem swoich historii. — Zawsze patrz na nas w dół. My zawsze patrzymy w górę.

A więc dla ciebie wysoka — ciągnął Galwin — ale nie tak wysoka jak ja. — Druid ociekał teraz potem — rozmowa z kamieniami zawsze była dlań niewiarygodnie wyczerpująca.

— Pamiętasz ją?

Chrzęst w głowie druida stał się głośniejszy. Kamień zastanawiał się, mamrocząc do siebie.

— Pamiętam wiele stóp — jęknęły w końcu schody. — Stopy ludzi mniejszych od ciebie. Kamyki w porównaniu z kamieniami. Niedawno wiele, wiele stóp-kamyków.

Wiele? — jęknął druid.

Kamień zazgrzytał i wybrał określenie z umysłu Galvina.

Dzieci — odparł — wiele dzieci. W górę i w dół. W górę i w dół. Zawsze biegają po nas w górę i w dół.

Wiele?

Wiele — odrzekły schody. — Stopy szybko dorosły, stały się większe, jak twoje. A potem wszystkie, oprócz jednej pary, odeszły. — Kamień przerwał, po czym dodał — ale

wkrótce przybyły nowe kamyki. One również się powiększyły i zniknęły. Teraz znów została już tylko jedna para stóp — i twoje dwie stopy.

Druid był skonfundowany. Tylko jedna para stóp? Tylko stopy Drolla?

Nie — warknął Galvin — przypominasz sobie dzieci i wnuki Drolla. To było dawno temu.

Niedawno — poprawił kamień.

Galvin bezgłośnie złął się w duchu. Żywot kamieni był nieskończenie długi.

Dla nich życie ludzkie było jedną krótką chwilą.

Mysł — rzucił nieomal błagalnie Galvin. — Ostatnie dwie stopy-kamyki.

Zawsze w górę i w dół po nas.

Tak.

Gładkie jak my — ciągnął kamień — zawsze zatrzymują się by... by spojrzeć na leżące na nas rzeczy.

Rupiecie — poprawił Galvin, opisując stopy rozmaitych gratów ustawionych po obu stronach wzdłuż barierek schodów.!

Rupiecie — jęknął kamień. — Tak. Nic przez nie nie widzę. Chcę, aby je zabrano.

Galvin westchnął.

Zobaczymy, co się da zrobić — rzucił zachęcają — ale najpierw musisz mi pomóc. Te stopy-kamyki, dok poszły?

Parę chwil temu — zaczął kamień wybierając słowa z umysłu Galvina — stopy kamyki weszły na górę, wysoko wysoko. Prawie na sam szczyt, ale nie na szczyt. Nie zeszły na dół.

A więc nadal jest w wieży — skonstatował Galvin, być może ukrywa się na drugim lub trzecim piętrze od góry. Było mu lżej, że nie musi przetrząsać wszystkich piwnic wieży. Przy odrobinie szczęścia to już nie potrwa długo i dziewczynka bezpiecznie wróci do Drolla.

Druid podziękował kamieniowi i już miał zerwać z nim mentalny kontakt, gdy marmur nieoczekiwanie dodał:

W chwilę później... rzecz... zeszła po schodach i odeszła.

Rzecz?

Kamień jęknął tak głośno, że Galvin był przekonany, iż nawet Drolla musiał to usłyszeć. W gruncie rzeczy schody posługiwały się nader prostymi określeniami, wśród których nie było słów mogących opisać to, co zeszło po stopniach| niedługo po tym, jak dziewczynka weszła na któreś z górnych pięter.

Czy ta rzecz jest teraz tutaj? — ciągnął druid.

Nie. Odeszła jak wszystkie stopy-kamyki. Przychodzą i od chodzą. W górę i w dół. W górę...

— Galwinie? Galwinie? Nic ci nie jest? — Słowa padały z ust Drolla, który pochylił się nad druidem, potrząsając nim.

Galvin powoli otworzył oczy i jakby z wahaniem stwierdził, że jego kontakt ze schodami został zerwany. Była to najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbył z kamieniem, i z wysiłku stracił przytomność. Podniósł ciężką dłoń do pulsującej bólem głowy. Jego ramię było zeszywniałe, a bladeść poprzecinana smugami szarości.

— Galwinie?

— Nic mi nie jest, Drollo. Chodźmy na górę. Sądzę, że tam znajdziemy Isabelle.

Staruszek rozpromienił się i pomógł Galwinowi wstać. Wędrówka po schodach wydawała się druidowi niewiarygodnie długa; na każdym podeście zatrzymywał się na chwilę, aby odpocząć. Drollo i Elias bez trudu dotrzymywali kroku po-włóczącemu nogami Galwinowi. Mimo to druid miał problem, by nadażyć z udzielaniem odpowiedzi na pytania staruszka.

— A więc moje schody powiedziały ci, że ona jest na górze?

— Mniej więcej — odparł druid.

— Widziały ją?

— Zwracały większą uwagę na jej stopy.

— Galwinie, to naprawdę cudowne. Czy gdy już odzyskam Isabelle, nauczysz mnie rozmawiać ze schodami?

— Pomyślę o tym — odrzekł słabym tonem druid. Po chwili w kącikach jego warg zagościł uśmiech. — Ale wydaje mi się, że zanim zechcą z tobą porozmawiać, będziesz musiał usunąć z nich te wszystkie graty.

— Zrobię to.

Na szóstym podeście Galvin wyjrzał przez wąskie okno. Na zewnątrz było ciemno — deszcz przestał padać. Spomiędzy chmur przezierał wiszący wysoko na niebie księżyc. Zebrawszy w sobie siły, wspiął się na siódmy podest i stanął przed otwartymi drzwiami.

— Isabelle? — zawołał półgłosem druid — Isabelle? Bez odpowiedzi.

— A zatem znów będziemy musieli przetrząsnąć cały pokój — skonstatował druid. Łasica zapiszczała głośno, zmarszczyła nos, po czym skrzeknęła i zaczęła biegać wśród rozrzuconych wokół szpargałów.

— Tak, możesz nam pomóc jej szukać — westchnął Galvin.

W opinii druida pokój ten wyglądał jak wszystkie inne w wieży Drolla; wzdłuż ścian piętrzyły się stosy rozmaitych pak, zawierających kolejną porcję nie używanych i z dawna zapomnianych rzeczy. Galwin zauważył ślady, gdzie kurz został starty przez małe dziewczęce stopki. Ruszył przed siebie. Droll powłócząc nogami podążył za nim.

Kurz na wielu małych skrzynkach był powyciera i upstrzony drobnymi odciskami rącek. Z kilku pak zdjęli przykrywające je płachty, a zawartość — prawdziwy skarb bezużytecznych zgoła przedmiotów — rozsypano niedbale podłódze.

Druid zauważył, że skrzynie ozdobione były napisami w języku elfów.

Zaintrygowany zaczął uważniej przeszukiwać pomieszczenie tym razem zwracając baczniejszą uwagę na słowa zdobną każdą z pak.

Słyszał, jak Drollo krząta się z tyłu za jego plecami Elias również pochłonięty był poszukiwaniami. Żalodne pop kiwania łasicy nieomal całkiem nikły w hałasie, jaki czy staruszek.

W końcu wzrok Galvina padł na szczególnie dużą skrzyni) ze zdjętym wiekiem, ustawioną pod ścianą. W pobliżu nie, było raczej niewiele rozsypanej wyściółki, zatem to, co znajdowało się wewnątrz, musiało zajmować większość miejsca w skrzyni. Przesunął palcami po chropowatym drewnie i odczytał! napis w języku elfów.

— O, nie — wyszeptał druid.

— Isabelle — nawoływał Drollo.

— Drollo — zaczął druid — czy prowadziłeś interesy z morskimi elfami z Dragon Reach?

— Nie — rozległa się zduszona odpowiedź — w każdy razie nie w ostatnim czasie.

— Ale kiedyś tak?

— Owszem. Parę ładnych lat temu. Ostatnio nie schód zbyt często na brzeg. Morskie powietrze sprawia, że łan mnie w kościach.

Druid skrzywił się i ponownie odczytał napis na skrzyni.]

— Drollo, możesz przestać jej szukać — powiedział głosem. — Isabelle tu nie ma.

— A więc chodźmy do następnego pokoju.

— Nie. Jej już nie ma w wieży.

Twarz staruszka stała się szara jak popiół, a Galwin pospiesznie dorzucił.

— Ale wiem, dokąd poszła. Nie martw się. Sprowadzę ją z powrotem.

— P-p-pójdę z tobą — wykrztusił staruszek.

— Nie tam, dokąd się wybieram.

To rzekłszy Galvin zaczął zbiegać po schodach na dół. Elias pognął za nim. Kiedy druid dotarł do podnóża schodów, obejrzał się i stwierdził, że Drollo dopiero zaczął schodzić.

— Zostań tu — rzucił ostro do staruszka — wróć z Isabelle.

Galvin miał nadzieję, że jego ton był dostatecznie przekonujący, gdyż nie był pewny, czy zdoła odnaleźć dziewczynkę. Mimo to nie chciał, aby staruszek mu towarzyszył. Miałby wówczas dwie osoby, o które musiałby się martwić.

Otworzywszy gwałtownie na oścież drzwi wieży, wybiegł w chłodną, wilgotną noc.

— Twoje buty! — Usłyszał za sobą wołanie Drolla.

Ale druid biegł dalej nie zatrzymując się, tam dokąd się udawał, buty były ostatnią rzeczą, jakiej mógł potrzebować.

Wybiegłszy z wieży skręcił na południe. Słyszał dochodzący z oddali szum fal rozbijających się o brzeg plaży. Na niebie chmury zaczęły się przeredzać, rozganiane przybierającym na sile wiatrem. Zanim druid dotarł do plaży, księżyc był już wyraźnie widoczny, a jego blask oświetlał czarne jak noc wody Dragon Reach.

Galvin, czując się coraz mniej pewnie, powoli wszedł do wody. Chłodne fale omiotły jego kostki, a potem kolana. Nadciągnęła kolejna spieniona fala i zbryzgała go od stóp do głów. Przemoczone legginsy przylepiły mu się do ciała jak druga skóra. Wszedł głębiej do wody i zaczął się koncentrować.

Zmieniona siłą woli twarz druida stała się bardziej kanciasta. Jego nos i usta wydłużyły się, a skóra nabrała błękitnoszarego koloru. Dał nurka do wody, pomimo iż jego transformacja jeszcze się nie zakończyła. Ręce druida skurczyły się, stały chudsze, po czym przybrały kształt płetw. Ramiona spłaszczyły się, połączyły z płetwami i zbliżyły nieco bardziej do jego zmieniającego się torsu. Nogi druida przeobraziły się w mus-? kulamy ogon; jego silne, falujące, rytmiczne ruchy skierowały \ delfina, w którego przeistoczył się Galvin, ku głębinom Dragon: Reach.

Delfin przepłynął wiele mil, zaglądając do licznych pod-1 wodnych jaskiń, które ciągnęły się wzdłuż brzegów Reach.

Morski krajobraz był kamienisty, ostre, smukłe, spiczaste i głazy strzelały w górę, pokryte płatami przypominających wodorosty roślin. Poza obszarem jaskiń dno morskie stawało się równinne. Płaskość tego terenu zakłócały spoczywające tu i ówdzie ogromne głazy i wielkie muszle małży. Kolorowe 1 wodorosty unosiły się ku powierzchni i płynęły z prądem, i Nieco dalej w głąb Reach w dnie widniał stromy uskok • — morskie elfy nazywały go „Klifem”. Ścianę klifu tworzyła ogromna rafa koralowa, mieniąca się brylantowymi odcieniami i tętniąca życiem.

Galvin pływał w tę i z powrotem wzdłuż rafy, wypytując meduzy, żółtoogoniaste damsele i kępy wodorostów. Wypłynął na powierzchnię tylko, by zaczerpnąć powietrza. Królowa rekinów z gatunku ryb aniołów, wyrwana ze snu dała mu w końcu kilka wskazówek i wysłała Galvina z dala od Reach, ku głębszym, chłodniejszym wodom Morza Spadających Gwiazd.

Teren przypominał tu równinę, a ślady na piasku znaczyły kierunek zmian prądów morskich. Rośliny były tu rzadsze, wyższe i nie tak kolorowe, jak te rosnące wzdłuż rafy. Galvin płynął na dużej głębokości, trzymając się blisko piaszczystego dna.

Zauważył, że ryby zaczęły zbijać się w ławice — być może już się od tego odzwyczaiły lub w pobliżu znajdował się wielki drapieżnik. Zlustrował uważnie piach, szukając oznaki jakichś widocznych zaburzeń. Mimo to jedyne, co zdołał zauważyć, to zanikające, cienkie jak trzcina znaki przejścia homarów i innych skorupiaków. Prąd w ciągu kilku minut zacierał wszelkie ślady.

Druid kontynuował poszukiwania wypływając na wiele mil w morze. W końcu natrafił na ślady czegoś, co przypominało rozszczerzone kopyta: nie uczyniło ich żadne znane druidowi morskie stworzenie. Galvin podążył za szybko zanikającymi śladami w dnie oceanu. Wiedział, że zapuścił się na Podzwonne Umarłego, płyciznę na Morzu Spadających Gwiazd, niebezpieczną dla okrętów o głęboko zanurzonych kadłubach.

Rzadkie kępy wodorostów, niektóre nieomal wyrwane z morskiego dna, stanowiły dlań kolejne informacje.

Potwór, który przeraża wszystkie ryby — powiedziała jedna z kęp.

Rzecz, która wyrwa nas z ziemi i pozostawia, abyśmy umarli — zawołała następna.

Druid połączył otrzymane wskazówki i popłynął dalej — wiele minut później minął ogromną grządkę kelpu. Zamiótł ogonem i zanurkował w stronę dna. Wodorosty były posadzone rzędami i wszystko wskazywało na to, iż każda z roślin jest starannie dogładana.

Był to ogród — stwierdził — ale czyj? Może morskich elfów, choć ich społeczności zamieszkiwały bliżej Reach. Poza tym elfy potrzebowały dużo większych ogrodów, aby wyżywić swe plemiona.

Galvin płynął powoli, mniej więcej stopę ponad dnem morza. Tu, gdzie wodorosty łagodziły wpływ prądów morskich, istniała dużo większa szansa na odnalezienie śladów na dnie.

Przy drugim końcu ogrodu odnalazł dowody przejścia poszukiwanego przez siebie obiektu — dryfujące fragmenty wyrwanych z korzeniami kęp kelpu. Wyglądało, jakby wielki

pies grzebał w grządkach marchewek. W piasku można było dostrzec wyraźnie głębokie ślady kopyt.

W pół godziny później w polu widzenia druida pojawił się również sam obiekt poszukiwań.

Rzecz, która zdawała się być pochłonięta niszczaniem morskiego ogródka, przypominała skrzyżowanie nietoperza z pogońcem. Jego pękate cielsko miało pośrodku prawie trzy stopy, a okrągła głowa blisko stopę średnicy. Z dolnej zuchwy wystawały srebrne szczypcy, które z łatwością przecinały liście wodorostów. Do czegoś, co mogło uchodzić za barki, przy-mocowane były skrzydła, żebrowane jak u nietoperza. Urządzenie stało na dwóch krótkich, pękatych kozich nogach zakończonych kopytami — nogi na przemian balansowały baryłkowanym cielskiem i wrywały z morskiego dna rośliny.

Tył urządzenia, gdyż podobnie jak łowca gryzoni Drolla ta rzecz nigdy nie żyła naprawdę, ozdobiony był czerwony i niebieskimi gryzmołami. Pod skrzydłami znajdowały się malowane liczne zielone i żółte kręgi. Kopyta były jasnoczerwone, z seledynowymi obwódkami. Wewnątrz zaś, przez okrąg szklane oczy, Galvin dostrzegł uśmiechniętą twarzyczkę ma dziewczynki.

Urządzenie przemknęło nad liśćmi wodorostów jak rają po czym zatrzymało się, by wyrwać kilka roślin z rzędu znajdującego się na końcu grządki. Pękata głowa pająka odwróciła się w prawo i w lewo, po czym znieruchomiała dostrzegłszy delfina.

Galvin przepłynął za kępą wodorostów, a w jego głowi kłębiły się pytania. Czy Isabelle kontroluje to coś, czy to rzecz z nią ucieka? Jak mam ją sprowadzić na ląd? Jak?

Przerwał, pozwalając, by prąd morski zabrał ze sobą dręczącej go kłopotliwe myśli. Wyjdę mu naprzeciw — postanowił. W jego czarnych delfinich oczach pojawiła się determinacja gdy druid wypłynął spoza kępy wodorostów i... znieruchomiał gwałtownie.

Galvin nie był jedynym, który dostrzegł ogrodowego wandala. Ku kępom liściastych roślin i pajakonietoperzowi płynął pospiesznie kwartet sahuaginów, skrzelodysznych ludzi-ryb z głębin. Mieli toporne, humanoidalne sylwetki, wspaniale umięśnione, pokryte zielonkawą łuską ciała, drugie, spiczaste uszy i błony między palcami rąk i nóg.

Każdy z nich dzierżył w jednym ręku trójząb, a w drugim, obciążoną sieć.

Urządzenie i jego pasażer zdawali się nie dostrzegać zagrożenia i skupili się na wrywaniu z ziemi kolejnych roślin. Pękata pajęcza głowa odwróciła się w stronę sahuagina dopiero w chwili, gdy ciśnięty mocno trójząb wbił się w piach obok nogi zakończonej rozszczepionym, metalowym kopytem.

Ogarnięty paniką druid popłynął szybciej naprzód i zmusił się do odbycia kolejnej transformacji. Jego skóra przybrała ciemniejszy szary odcień i naciągnęła się, by przyjąć rozrastające się ciało. Delfinia płetwa na jego plecach powiększyła się i stała bardziej kanciasta.

Głowa poszerzyła się i spłaszczyła, płuca wypełniły wodą a usta, niegdyś o butelkowatym kształcie, rozciągnęły i pojawiły się w nich dwa rzędy ostrych, trójkątnych zębów.

Rekin pomknął ku sahuaginom, którzy dotarli już do pajako-nietoperza. Ludzie-ryby okrążyli urządzenie; trzech z nich dźgało rzecz trójzębami, czwarty zaś podniósł swoją broń z piasku. Przez wodę Galwin usłyszał ich dziwny bojowy zew, śpiewny i przeciągły. Pieśń przybrała na sile i osiągnęła kulminację w głośnym, walecznym zawroźdzeniu, gdy jeden z sahuaginów przebił ostrzem swego oręza skrzydło pajako-nietoperza, przyszpilając urządzenie do morskiego dna. Rzecz zaczęła krążyć w kółko jak oszalała, niczym brzęcząca, zraniona mucha.

Galwin dostrzegł przerażoną buzię Isabelle przez wypukłe, wielkie szklane oczy maszyny. Dopadł najbliższego sahuagina w chwili, gdy ten rąbnął trzonkiem swego trójzęba w głowę urządzenia. Krzywiąc się w duchu druid zobaczył, jak szklane oko pęka. Ta chwila zwłoki dała człowiekowi-rybie czas na działanie.

Sahuagin zaatakował rekina, mierząc trójzębem w twarz Galwina. Druid poczuł, że znajdujący się naprzeciw niego sahuagin wywiera nań dziwny hipnotyzujący wpływ — istota zaczęła przesuwac wolno swój trójzęb z boku na bok, mamroczac przy tym wyraźne, acz obce Galwinowi słowa. Być może była to odmiana jakiejś pieśni wojennej.

Czymkolwiek była, jej słowa wpłynęły kojąco na stargane nerwy Galwina i druid poczuł nagle, iż zaczyna go ogarniac senność. Sahuagin nucił dalej, pogrążając swego przeciwnika w stanie bliskim sennego odrętwienia, podczas gdy prąd znosił go coraz dalej od Isabelle i urządzenia.

Rekin poczuł wodę obmywającą całą jego skórę. Czuł się teraz taki spokojny, taki...

Brzęk!

Woda wytłumiła dźwięk trójzęba uderzającego o metalowe poszycie urządzenia. Hałas sprawił, że dryfujący rekin ocknął się w mgnienu oka. Zmusiwszy się do otwarcia zmęczonych oczu, druid zobaczył sahuagina dźgającego z całej siły trójzębem w korpus pajako-nietoperza. Na głowę urządzenia zarzucono sieci, aby rzecz nie mogła dosięgnąć ludzi-ryb swoi] szczypcami.

Brzęk! Brzęk! Brzęk!

Galvin zwalczył w sobie efekt działania zakłęcia snu sahuagina. Odzyskał trzeźwość umysłu i natychmiast uświadomił sobie że ludzie-ryby byli zagrożeniem dla Isabelle.

Popłynął przed siebie, zdecydowany rozgromić sahuaginów i nie dopuścić, by dokonali swego ponurego dzieła. G tak przecinał fale, wzięły nad nim górę naturalne instynkt przejętej przez niego formy.

Tym razem kiedy sahuagin zaczął wymachiwać trójzębem i nucić swą pieśń, rekin skupił myśli na zagrożeniu, w kim znalazła się mała dziewczynka i odciął się od dopływających doń dźwięków, zanim zmieniły się w senną kołysankę.

Sahuagin nie spodziewał się ataku. Rekin przepłynął po uniesionym trójzębem i wyrznął nosem w brzuch człowieka-ryb odrzucając go do tyłu na jednego z jego kompanów. Nieruchoma i oszołomiona para zaczęła dryfować w pewnej odległości na dnem oceanu.

Dwóch pozostałych sahuaginów zwróciło uwagę na rekina który zatoczył szeroki łuk i nabierał szybkości, przygotowują się do kolejnego ataku.

Galvin poczuł ostry ból, gdy jeden z trójzębów wbił się głęboko w jego bok poniżej płetwy. Krew zmieszała się z morską wodą. Usiłował zignorować ból, kontynuować atak i został nagrodzony, gdy poczuł, jak jego zęby zaciskają się na twardej skórze pokrywającej ciało człowieka-ryby. Targając głową jak dzikie zwierzę, rekin rozerwał twardy łuski pancerza sahuagina i wbił zęby głębiej w jego tors. Przez cały czas gwałtownie kręcił głową z boku na bok, a morze wokół niego stało się czarne od krwi. Człowiek-ryba usiłował uwolnić się z morderczego uścisku., bezskutecznie.

Kolejna fala bólu przeszła bok Galvina — tym razem jednak źródło bólu znajdowało się nieco bliżej ogona. Jeszcze! jedno dźgnięcie trójzębem — wrzasnął jego umysł, czując! zakrzywione ostrza wciąż jeszcze tkwiące w ciele. Rekin otworzył paszczę pozwalając umierającemu sahuaginowi opaść na dno oceanu. Galvin w przypiływie wywołanego bólem szału zaatakował ostatniego człowieka-rybę, który usiłował uciec. Rzucił się w pościg za sahuaginem, doganiając go dwoma gwałtownymi smagnięciami ogona. Czując przepelniającą go radość wyrzucił oczyma, przygotowując się do zabicia kolejnej ofiary.

Stój! — wrzasnął głos w umyśle Galvina. Druid walczył o odzyskanie nad sobą kontroli, musiał stłumić żądzę krwi ogarniającą jego duszę. Isabelle.

Uratować Isabelle.

Rekin zwolnił i zawrócił w stronę unieruchomionego urządzenia. Galvin starał się skupić wzrok na Isabelle i pająko-nietoperzu, miast na znajdujących się na jego drodze ciałach dwóch sahuaginów.

Jego myśli wypełniały słowa zaklęcia. Dla druida nie było rzeczą niezwykłą, że zwierzęce instynkty stworzenia, którego kształt przyjmował, brały nad nim górę, ale nigdy nie by! w stanie pogodzić do końca swojej miłości do życia z dziwnymi, dzikimi rzeczami, jakie zdarzało mu się czynić po odbyciu transformacji — nawet jeśli podobne akty przemocy były integralną częścią codziennego życia w kniei czy morskiej głębinie.

Zasmucony druid zacisnął szczęki na trójzębie przyszpilającym pająko-nietoperza do morskiego dna. Jedno szarpnięcie i wyrwał broń z podłoża. Następnie wyrwał trójzab tkwiący w jego własnym ciele. Potem szybkim ruchem zdarł z korpusu urządzenia obciążoną, grubą siatkę. Zagląając przez pęknięte szklane oko zobaczył przerażoną małą dziewczynkę. Do wnętrza urządzenia wlewała się woda — obecnie sięgała Isabelle do ramion.

Galvin zacisnął szczęki na nie uszkodzonym skrzydle pająko-nietoperza i z wysiłkiem zaczął holować urządzenie ku powierzchni. Jego rany, choć nie poważne, były bolesne i tylko myśli o staruszku i Isabelle nie pozwalały mu się zatrzymać.

W jakiś czas później głowa rekina-druida wyłoniła się nad powierzchnię wody, a jego oczy poraziły jasne promienie wiszące wysoko na niebie słońca.

Poszukiwania Isabelle zabrały mu sporą część dnia.

Hołując za sobą urządzenie, druid zaczął płynąć w kierunku odległego brzegu.

Galvin powrócił do swej ludzkiej postaci na mielizna Dragon Reach, w pobliżu wieży Drolla. Wciągnął pająko-nietoperza kilkanaście stóp w głąb plaży, po czym położył się na wznak, przygotowując się na nadejście fali wyczerpany. Bok przeszyty ciosami trójzębów pulsował tęnym bólem.

Odpocznę sobie chwilę — pomyślał, przymykając oczy.

Brzdęk, Zgrzyt, Trzask!

Dźwięki wyrwały Galvina z odrętwienia, a gdy otworzył oczy, zobaczył, jak pokrywa urządzenia unosi się i odpada. Z otworu wyłoniła się złotowłosa główka.

Twarz dziewczynki rozjaśniał szeroki, niewinny, promienny uśmiech.

— Cześć! — rzuciła wesoło Isabelle pomiędzy ziewnięciami. — A kim ty jesteś?

— Przyjacielem twojego dziadka — rzekł półgłosem Galvin, podnosząc się ociężale i wyciągając rękę do przemoczonej stóp do głów dziewczynki.

Ujęła jego dłoń i wydostała się z pająko-nietoperza.

— Będzie się na mnie gniewał? — zapytała cichutko wskazując grubym palcem na urządzenie. — Będzie się na mnie gniewał, że popsułam jedną z jego zabawek?

Galvin pokręcił głową.

— Nie. Ma całą masę innych.

Droga przez plażę do wieży Drolla wydawała się druidowi niewiarygodnie długa, a mała dziewczynka nie milkła ani przez chwilę.

— Isabelle! — zawołał Drollo, gwałtownie otwierając drzwi. Wybiegł na dziedziniec i porwał dziewczynkę w ramiona.

— Och, dziadku — zaświergotała dziewczynka — tak świetnie się bawiłam! Były tam wodne kwiaty i zieloni ludzie i wielki rekin! To ci dopiero była zabawa!

Galvin zmarszczył brwi i minawszy ściskającą się parę! wszedł do sieni, gdzie znalazł suchy już płaszcz. Narzuciwszy! go na ramiona zabrał swoją tunikę i buty, po czym odwrócił się, by zobaczyć Drolla wnoszącego zmęczoną dziewczynkę do wieży.

— Gdzie ją znalazłeś?

— Poza Dragon Reach — oświadczył bezceremonialnie druid, naciągając buty. Sięgnął po swój miecz i przytroczył go do pasa.

— Ale skąd wiedziałeś, że tam będzie?

— Powiedziałeś, że przed kilkoma laty handlowałeś z morskimi elfami — zaczął druid. — Zgodnie z napisem w języku elfów na wielkiej pustej skrzyni, na jaką natrafiłem na piętrze, pochodziła ona z Mercei. To miasto oddalone o parę tuzinów mil stąd — podwodne miasto. O ile zdołałem przetłumaczyć treść napisu na fiszce, zawartość została określona jako „wodny pajak — sztuk jeden”. Przeczucie podpowiedziało mi, że twoja Isabelle... ehm... pożyczyla sobie to urządzenie. Znając technologię wodnych elfów domyśliłem się, że urządzenie będzie działać i wykona, co ma do zrobienia, niezależnie czy dziewczynka będzie umiała je obsługiwać, czy też nie. A jako że merceańskie wodne pajaki mają wędrować po morskim dnie...

— Dzięki, Galwinie, że przecucie cię nie omyliło! — za-szczebiotał Drollo, stawiając Isabelle na kilku wolnych od rupieci płytkach podłogi i poklepując łagodnie dziewczynkę po główce. — Od tej pory masz być stale przy mnie — polecił surowym tonem.

Dziewczynka ziewnęła i posłusznie zacisnęła rączkę na skraju jego szaty.

— Jak mogę ci się odwdziżyć? — zapytał staruszek. — Muszę coś zrobić. Muszę ci coś dać.

Druid pokręcił głową. Nie potrzebował niczego, a zwłaszcza rupieci, które zagracaly wewnątrz wieży. Odwrócił się i już miał odejść, gdy wtem przyszła mu do głowy pewna myśl. Z błyskiem w oku obrócił się na pięcie w stronę Drolla.

— A może dałbyś mi kilka przedmiotów ze swojej kolekcji?

— Tak! To doskonały pomysł! — zakrzyknął Drollo. — Ile tylko zdołasz udźwignąć.

Przez następnych kilka godzin Galvin, zaopatrzony w nie-wiarygodnie wielki worek, krążył w górę i w dół po schodach wieży.

— Co to takiego? — zapytał druid, zatrzymując się na najwyższym piętrze i wskazując długi, cylindryczny przedmiot wystający za okno.

— Obserwator gwiazd.

— Nie. Tego nie potrzebuję. A to? — wskazał półkulisty przedmiot ozdobiony paciorkami i skrawkami metalu.

— Nie pamiętam.

— Świetnie. Wezmę to.

— A to? — zapytał Galvin, kiedy zeszli piętro niżej.

— Nazywa się hudabit. Importowany z Twierdzy Zhentil. Nie jestem pewien, do czego służy.

— Doskonale. Zabieram.

Druid przejrzał pospiesznie kolekcję rozmaitych urządzeń gnomów i wskazał na niewielkie pudełko ozdobione licznymi tarczami i podziałkami.

— Co to jest?

Staruszek wzruszył ramionami, a Galvin niezwłocznie włożył pudełko do swego worka.

Druid wędrował po kolejnych piętrach, zbierając skrzętnie wszystkie przedmioty, których staruszek nie był w stanie zidentyfikować. Zanim skończył, napelnił rupieciami kilka skórzanych toreb, sakw, worków i pak.

Uginał się pod ich połączonym ciężarem, więc Drollo musiał otworzyć przed nim frontowe drzwi.

— Dziękuję ci, Galwinie. Dziękuję ci za wszystko — rzekł.

— Dopóki miecze nas nie rozdziela — odparł formalnie druid — i życzę ci pogodnych dni, Isabelle.

Dziewczynka ziewnęła i pomachała do niego, a łasica, którą trzymała na rękach, zapiszczała z udawaną urazą.

— Tak. Niebawem wpadnę do was z wizytą — rzekł Galvin zwracając się do łasicy — niedługo. Obiecuję. Nie tak jak ostatnio.

Niczym uginający się pod ciężarem towarów domokrażca, Galvin oddalił się chwiejnym krokiem i przemaszerował wraz ze swym brzemieniem prawie dwa kilometry.

W końcu natrafił na zacienioną kępę drzew i położył worek ze swoimi zdobyczami na ziemi. Następnie odpiął pas z mieczem, przeciągnął się i opadł na czworaki.

Druid odbył kolejną przemianę. Tym razem jego ciało pokryło się ostrym, szarym futrem. Dłonie zmieniły się w łapy zakończone długimi, ostrymi pazurami.

Borsuk zaczął wykopywać jamę u podstawy masywnej, rozłożystej wierzby. W kilka godzin później, kiedy dół był dostatecznie głęboki, Galvin powrócił do swojej ludzkiej postaci. Złożył wszystkie rupiecie w dole, zasypał go i mocno ubił ziemię.

Następnie zebrał kilka rosnących wśród pobliskich drzew krzewów paproci, trochę darni i mchu, i zamaskował nimi miejsce, w którym zakopał bezwartościowe skarby Drolla. Niczym staranny ogrodnik posadził rośliny starając się, by w miarę możliwości miejsce to wyglądało na nie naruszone.

Zadowolony, że zabawki Drolla nie zostaną odnalezione, ruszył na południe, w kierunku Reach. Zamierzał rozmówić się z morskimi elfami z Mercei na temat sprzedawania wodnych pajaków ludziom, którzy nie mieli zielonego pojęcia, jak należy ich używać.

PRZEKLEŃSTWO TEGEI

Troy Denning

Sądząc z wyglądu oberża Wysoki Taras przeżywała trudny okres. Pomimo iż była już pora wieczery, weranda świeciła pustkami. Pośrodku każdego z topornie skleconych, drewnianych stołów leżał przewrócony do góry dnem koszyk na pieczywo i stała stara butelka po winie, z wetkniętymi weń zwiędłymi makami. Krzesła rozstawione były po patio niemal na chybił trafił, jakby ktoś, kto ostatnio tu sprzątał, nie pokwapił się, by ustawić je na właściwych miejscach.

— Wygląda na to, że nie macie tu zbyt wielu gości — zauważył Adon.

— Powiedzmy, że dziś wieczorem najlepszy stolik w gospodzie należy do was — burknął oberżysta, przechodząc przez patio. Myron Zenas, gdyż tak się właśnie nazywał, był krępy, muskularnym mężczyzną, owłosionym jak niedźwiedź, o paciorkowatych czarnych oczkach, wielkim, poprzecinanym czerwonymi żyłkami nosie i gęstej brodzie, sięgającej aż do piersi.

— Czy wasze kłopoty mają coś wspólnego z przekleństwem Tegei? — zapytał Adon. Myron stanął.

— To nie moja wina — uciał. — A kto wam tak powiedział?

— Nikt — stwierdziła Corene. Podobnie jak Adon młoda kobieta należała do Kościoła Mystry, chociaż była dopiero nowicjuszka, podczas gdy on — kapłanem wysokiej rangi.

Krótki cep o czarnych rączkach zwieszający się u jej dziwnie kontrastował ze złotowłosym pięknem dziewczyny, oczy łani, mały, lekko zadarty nosek i promienny uśmiech sprawiały, że wyglądała niczym bogini, i

— Prawdę mówiąc, słyszeliśmy raczej niewiele o nieszczęściu jakie dotknęło Tegeę. Wiemy jedynie, że potrzebujecie porno

— To lepiej, że nie wiecie nic więcej — stwierdził oberży! a na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Zaprowadził ich do rogu werandy, skąd można było zobaczyć całą panoramę miasteczka. — Kłopoty Tegei nie powinny was interesować

— Przebyliśmy długą drogę, aby wam pomóc — zaprotestował Adon.

— A zatem wędrowaliście na darmo — odrzekł Myron

— Nawet gdybyście mogli cokolwiek uczynić — a nie można — smutek wioski jest naszym własnym i nikomu nic do tego. Ostatnią rzeczą, jakiej pragniemy, jest para

przybyszów z daleka wtykających nos w nasze sprawy. — To rzekłszy oberżysta przystawił dwa krzesła do stołu i skinął na gości, by zajęli miejsca. — Zaraz podam wieczerzę.

Gdy Myron wrócił do kuchni, Corene wyszeptwała:

— Będzie trudniej, niż przypuszczaliśmy.

— Niezupełnie — rzekł Adon wyjmując maczugę z uchwytu przy pasie, aby móc wygodniej usiąść. — Lud Tegei będzie nam wdzięczny za naszą pomoc, jeśli tylko zdołamy zaskarbić sobie jego zaufanie.

— Jak zamierzasz tego dokonać? — spytała nowicjuszka.

— Wymyślę coś — rzekł Adon, lustrując powłóczyстым spojrzeniem miasteczko, któremu przybyli na ratunek.

Tegea, znajdująca się na południowych obrzeżach Gór Smoczoszczękich, wydawała się wręcz idyllicznym zakątkiem.

Otoczające ją wzgórza porastały strzeliste cyprysy, smukłe i trójkątne jak grotty włóczni. Terasowe zbocza nieco bliżej miasteczka pokryte były gajami dziwnie powykrzywianych drzew oliwnych. Sękate, gruzłowate gałęzie porastały srebrzyste liście, które tańcząc w podmuchach wieczornej bryzy zdawały się szeptać ciche, bukoliczne pieśni o sielankowym życiu. W samym miasteczku echo odbijało od czasu do czasu brzęknięcie koziego dzwonka, ale poza tym żaden inny dźwięk nie mącił ciszy panującej w wąskich alejkach biegnących wśród labiryntu bielonych chat.

Po drugiej stronie, na szczycie 300-metrowej skały, stało mroczne zamczysko lokalnego księcia. Niedostępne wieże rysowały się wyraźnie na tle odległych wód Smoczego Morza, którego fale wzdłuż horyzontu malowało barwą turkusu zachodzące właśnie słońce.

Zazwyczaj Adon zatrzymywał się w zamku, a nie w lokalnej gospodzie. Jako ważny duchowny Kościoła Tajemnic mógł spodziewać się sutej gościny ze strony większości notabli. Niemniej jednak ostrzeżono go, iż księżę Tegei nie cierpi kapłanów, i to bez wyjątków, toteż nie zadał sobie nawet trudu, by powiadomić zamek o swoim przybyciu.

Adon poczuł na ramieniu ciepłe dotknięcie Corene.

— Wieczerza... nareszcie — powiedziała.

Kapłan ponownie przeniósł swoją uwagę na werandę. Z kuchni wyszła właśnie służąca, niosąc w dłoniach ciężką tacę. Jej ponętne kształty podkreślał ciasno zasznurowany gorset, a falująca, acz dość dopasowana spódnica pozwalała się jedynie domyślać smukłości nóg, jakie skrywała.

Jej skóra miała barwę piernika, a czarne włosy opadały na ramiona jedwabistymi falami. Oczy o kształcie migdałów były brązowe niczym topazy i podkreślone czernidłem.

Nie sposób było dostrzec reszty jej oblicza. Od policzków do obojczyka twarz dziewczyny przesłaniał gruby, nieprzejrzysty woal. Opinając skórę tak urodziwej niewiasty, wydawał się wręcz nie na miejscu. Wykonany był z szorstkiej, czarnej wełny i przytrzymywany przeplecionym przezeń cienkim rzemykiem.

Młoda kobieta postawiła tacę na skraju ich stolika.

— Mam na imię Sarafina. Jestem córką Myrona — stwierdziła, stawiając kubek złocistego wina i parującą misę przed Corene. — Dziś wieczorem mamy śliwownicę i gulasz z jagnięcia. Mam nadzieję, iż będzie wam smakowało.

Gdy Sarafina odwróciła się, by podać jadło Adonowi, wzrok padł na lewą stronę jego twarzy i tam się zatrzymał. Pomimo iż patriarcha był mężczyzną przystojnym, o patrycjuszowskim nosie i rozszczepionym podbródku, często przyglądano mu się w ten sposób. W Trudnych Czasach, kiedy bogowie przemierzali Faerun w ciałach ziemskich awatarów jakiś zelota pozbawił go urody. Obecnie miał szpetną, czerwoną bliznę ciągnącą się wężowato od lewego oka aż do zuchwy. Adon z zażenowaniem odwrócił głowę, by młoda kobieta nie musiała patrzeć na jego skazę.

Postawiwszy przed patriarchą kubek z winem i misę z gulaszem, Sarafina spytała.

— Czy życzyście sobie jeszcze czegoś?

Adon nadal się nie odwracał i bez słowa pokręcił głową. Nie był zły na dziewczynę, że tak mu się przygląda, a jedynie na siebie za swój wygląd.

— Proszę, Wasza Łaskawość — powiedziała Sarafina — nie chciałam was urazić. Gdybyście mogli zajrzeć pod ten welon wiedzielibyście, że byłabym ostatnią osobą, szyczącą z czyichś blizn.

Adon odwrócił się, dotknięty szczerością w jej głosie.

— Właśnie o tym myślałem. Przecież w tych stronach kobiety raczej nie noszą woali — powiedział. — Może powinnaś, mi pozwolić rzucić okiem na twoje schorzenie. Być może byłbym w stanie cię uleczyć.

— Nie sądzę — Sarafina otarła łzy, które nagle pociek jej z oczu. — Wielu kapłanów próbowało, ale za każdy razem tylko mi się pogarszało.

— Ale ja nie jestem zwykłym kapłanem...

— Proszę, nie pytajcie już o nic — powiedziała nadal odwracając wzrok. — Czy mogę wam jeszcze coś przynieść?

— Parę kromek chleba, jeżeli macie chleb — powiedziała Corene.

Sarafina pokiwała głową.

— Moja matka właśnie wyjęła kilka bochenków z pieca. Przyniosę, jak tylko ostygnie na tyle, by można go było pokroić.

Gdy młoda kobieta wróciła do kuchni, Adon wyraźnie sfrustrowany pokręcił głową.

— Dlaczego ci ludzie tak niechętnie odnoszą się do pomocy, którą im oferujemy?

— Nie możesz winić dziewczyny za jej ostrożność — stwierdziła Corene, wskazując zygzakowatą bliznę szpecącą policzek Adona. — Dlaczego miałyby sądzić, że potrafisz ją uleczyć, skoro nie jesteś w stanie pomóc samemu sobie?

— Dzięki naszym wspólnym podróżom zaczęłaś zbytnio się spoufalać — uciął Adon.

— Nie zapominaj, kto jest patriarchą, a kto nowicjuszem.

Groźba nie zdołała zbić z tropu młodej kobiety.

— Dlaczego więc jej nie usuniesz? — naciskała.

— Myślisz, że nie próbowałem? — odparował Adon. — Modliłem się do Midnight... ee... Mystry... odkąd stała się Boginią Magii.

— I nie odpowiedziała?

— W tej sprawie nie — rzekł Adon upijając łyk mocnego wina, które postawiła przed nim Sarafina.

— Nie mogę uwierzyć, że Nasza Pani Tajemnic odmówiłaby czegoś takiego komuś, kogo niegdyś nazywała przyjacielem i kto walczył u jej boku w Trudnych Czasach.

— To było, zanim stała się boginią — rzekł Adon, po czym urwał. — Sądzę, że teraz musi się zachowywać jak na nieśmiertelną przystało. Nie lubi nawet, gdy nazywam ją Midnight. To imię mej awatar — powiada — Midnight, którą znałeś, jest już tylko wspomnieniem.

— Nazywa siebie Mystrą, aby uczcić swą poprzedniczkę, boginię magii i czarów — zauważyła dogmatycznie Corene.

— Powód, dla którego mnie nie uzdrowiła, jest bardziej skomplikowany niż okazjonalny wyłom w boskiej etykietce — mruknął w głąb kubka Adon.

— To znaczy?

— Że jest na mnie zła z poważniejszych powodów — odparł Adon, odwracając wzrok z zakłopotaniem. — W ostatnich dwóch latach jej kościół przestał się rozrastać, podczas gdy inne przeżywają rozkwit.

— Bo Mystra nie kupuje sobie wiernych, mając ich i ułudami o bogactwie i potędze tak jak inni bogowie — zaprotestowała Corene. — Nie ponosisz za to winy.

— Być może, ale to nie zmienia faktów — rzekł patriarcha. — Przed powrotem bogów do ich świata, najwyższy dał jasno do zrozumienia, że ich status i moc zależą od

od wiary oddających im cześć śmiertelników. Kościół Mystry jest mniejszy niż Cyrica. A to oznacza, że pozwoliłem najpodlejszemu wrogowi Naszej Pani, by uzyskał moc większą od niej.

— Ale zawsze twierdziłeś, że Bogini Magii jest szczególna...

— Wiem, co mówiłem, ale to nie zmienia faktu, iż zawiodłem... — odrzekł Adon. Odwrócił się bliźną w stronę Corene i dotknął jej palcem. — A to jest oznaka jej niezadowolenia.

— Jeśli to co mówisz, jest prawdą, co robimy w tym opuszczonym zakątku? — spytała Corene. — Powinniśmy być teraz w Arabel, odprawiając msze ku czci Naszej Pani.

Adon pokręcił głową.

— Nie taka jest wola Mystry — stwierdził. — We śnie jasno wyraziła mi swe życzenia. Muszę uwolnić miasteczko od ciężącej na nim klątwy, czymkolwiek by ona nie była.

Nowicjuszka pokręciła głową.

— Trudno jest pojąć wolę bogów.

— To prawda, ale wydaje mi się, że w tym przypadku rozumiem, co było zamiarem Naszej Pani — rzekł Adon. — Nie możemy rywalizować z kapłanami innych kościołów. Chauntea obdarza swych wyznawców żyznymi plonami. Hełm strzeże ich przed nieszczęściami. Lliira obiecuje wiernym życie pełne rozkoszy. Jako kapłani Mystry nie mamy do zaoferowania nic prócz długich i żmudnych studiów nad tajnikami magii.

— Ale w nagrodę...

— Trzeba na nią długo czekać i wydaje się ona nader ulotna — przerwał Adon. — Nie. Jeżeli można powiedzieć, że odkąd jestem patriarchą tego kościoła, zdołałem się czegokolwiek nauczyć, to tylko tego, że nie pozyskamy Mystrze nowych wyznawców poprzez rywalizację z innymi religiami. Miast tego musimy spróbować czegoś innego — czegoś jak to, co poleciła mi uczynić w Tegei Nasza Pani.

— Zdjąć klątwę? — spytała Corene.

— To dopiero początek — rzekł Adon. — Najważniejsze jest to, co stanie się później. Corene wydawała się zakłopotana.

— Teraz oprócz bogów mam również kłopot ze zrozumieniem ciebie. Adon uśmiechnął się.

— To dlatego, iż nie wyjawiałem ci najważniejszej części planu Mystry — stwierdził. — Kiedy już zdejmę klątwę, nawrócimy mieszkańców miasteczka na wiarę Kościoła Tajemnic. Wybrałem ciebie, byś była głową klasztoru, jaki tu założymy — jeżeli nam się uda.

Corene wydawała się przez chwilę mile polechtana, ale nagle uświadomiła sobie prawdziwe znaczenie jego słów.

— Mam tu zostać? — jęknęła — przecież do najbliższych siedlisk, które można by nazwać miastem, jest stąd dobrych pięćset kilometrów!

— Uspokój się — rzekł Adon. — Misja nie jest dożywotnia. Za parę lat przyślę kogoś, kto cię tu zastąpi...

— Za parę lat! — rzuciła ostro — Nie możesz mi tego zrobić!

— Już to zrobiłem — stwierdził Adon. — Nie ma sensu się kłócić. Nasza Pani właśnie tu cię potrzebuje i zostaniesz tutaj.

Corene jednym haustem opróżniła swój kubek.

— Robisz to, bo wspomniałam o twojej bliźnie? — spytała gwałtownie, ocierając usta rękawem szaty.

— To nie ma nic wspólnego z czymkolwiek, co powiedziałaś podczas naszej podróży, aczkolwiek niewątpliwie dałaś mi dostateczny powód, abym cię wychłostał — odrzekł Adon.

— Wybrałem cię do tego zadania, nim opuściliśmy Arabel.

Corene zmrużyła oczy.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

— Bo wiedziałem, jak bardzo kochasz to miasto — odparł — Skarżyłabyś mi się przez całą drogę, a może spróbowałabyś jakiegoś bardziej radykalnego rozwiązania?

— To możliwe — przyznała. — Rzucenie się do Starwater wydaje się całkiem rozsądną alternatywą.

— Jestem pewien, że nie muszę przypominać ci o twoich ślubach — rzekł Adon.

— Nie mogłabym o nich zapomnieć, nawet gdybym chciała, a nie chcę — westchnęła Corene, choć oboje wiedzieli, że nie mówi szczerze.

Pomimo swego rozczarowania nowicjuszka nadal była oszałamiająco piękna. Adon, którego serce zmiękło pod wpływem jej wzroku, usiłował ją pocieszyć.

— Wiem, że to zadanie będzie dla ciebie trudne — stwierdził — ale potrzebuję do tego kogoś o niezależnym duchu. Dlatego wybrałem ciebie.

Corene nie odpowiedziała, wbijając wzrok w przeciwny koniec werandy. Adon odwrócił się, by zobaczyć, co przykutej jej uwagę. U wejścia do gospody stał urodziwy przybysz. Mężczyzna był olśniewająco przystojny, miał wysoko osadzonej kości policzkowe, ciemne brwi i bujne, lekko zmierzwione kasztanowate włosy, które sięgały mu do kołnierza. Stał smukły i szczupły, z narzuconą na szerokie barki obszytą futrem peleryną, przewiązany pasem z najprzedniejszego fioletowego jedwabiu. Ignorując obecność Adona, gość

uśmiechnął się zalotnie do Corene. Następnie ruszył w kierunku tylnej części werandy. W tej samej chwili z kuchni wyszła Sarafina, niosąc zakryty koszyk. Kiedy tylko dostrzegła obcego, kosz wyslizgnął się jej z rąk i kromki ciemnego chleba posypały się naj podłogę. Cofnęła się do drzwi, wołając:

— Ojczy, przyjdź tu, szybko!

— Co się stało? — zapytał podnosząc się Adon. — Potrzebujesz pomocy?

Przybysz odwrócił się do niego i uśmiechnął szyderczo.

— Jeżeli wiesz, co jest dla ciebie dobre, lepiej zajmij się swoimi sprawami.

Myron gwałtownym krokiem wyszedł z kuchni i stanął zawiadaczająco pomiędzy swoją córką i obcym.

— Powiedz swemu panu nie, Broka — rzucił oberżysta. — Taka sama odpowiedź była wczoraj i taka sama będzie jutro.

— Muszę to usłyszeć z ust twojej córki — rzekł Broka. Pochylił się i zaczął zbierać rozsypane przez Sarafinę kromki chleba. — Czemu nie zanieziesz tego waszym gościom? Zdaję sobie sprawę, że w ostatnich czasach nie miewacie ich zbyt wielu, toteż lepiej byłoby nie kazać im długo czekać na posiłek.

— Nie skarżymy się — rzekł Adon. Podeszedł do urodziwego młodzieńca, celowo zostawiając swą maczugę przy stole. Gdyby przyszło mu interweniować w obronie Sarafiny, istniały dużo bardziej efektywne sposoby, niż sięganie po tradycyjną broń.

Myron uniósł rękę.

— Nie mieszaj się w to — powiedział. — Potrafię sam obronić swoją córkę.

Broka ponownie się podniósł i podsunął napelniony koszyk Myronowi.

— Obronić? Ale przed kim? — zapytał. — Przybyłem tu jeno, by zadać pytanie cnej Sarafinie.

— A zatem uczyn to i odejdz — rzekł Myron. Gwałtownie postawił koszyk na stole obok niego.

Broka uśmiechnął się złowieszczo do Sarafiny.

— Czy jesteś gotowa, by odpowiedzieć miłością na afekty mego pana?

— Nie! — wykrzyknęła. — Nigdy nie będę gotowa! Nawet, jeżeli przemieni mnie w harpię.

— Jesteś pewna? — zapytał Broka. Wyminął Myrona, jednocześnie sięgając do kieszeni i wyjmując niewielkie lusterko.

— Spójrz na siebie i pamiętaj, że wszystkie kobiety z Tegei spotka ten sam los.

Wyciągnął rękę do woalu Sarafiny, ale Myron odepchnął go brutalnie. Gdy Broka upadł na podłogę, lusterko wypadło mu z dłoni i roztrzaskało się o krzesło.

— Jak śmiesz mnie dotykać! — Broka poderwał się ze sztyletem w dłoni.

Kiedy postąpił krok w stronę Myrona, Adon uśmiechnął się. To była idealna okazja, aby mógł udowodnić swoją moc. Przywołując magię swojej bogini, patriarcha rzucił czar mający sprawić, że sztylet rozgrzeje się tak, iż nie sposób będzie utrzymać go w dłoni. Nic się nie wydarzyło.

Adon jak otępiały wpatrywał się w swoją dłoń. Coś nie tak. I to bardzo.

Broka schwytał Myrona i przytknął ostrze sztyletu do oberżysty.

— Może nie zapomnisz, gdzie twoje miejsce, jeżeli będzie wyglądał tak samo, jak twoja córeczka! — wysyczał.

— Zrób coś! — szepnęła Corene, stając obok Adona. Podobnie jak patriarcha, ona również zostawiła broń na stole.

— On zginie!

Podjmując rozpaczliwą próbę uratowania oberżysty, Ado rzucił kolejny czar. Tym razem z koniuszka jego palca popłynęła strużka zielonego światła, pozostawiając za sobą białą smugę gazów. Gdy promień dosięgnął ostrza, weranda rozbrzmiała przejmującym, ogłuszającym, metalicznym dźwiękiem. W chwilę potem sztylet pękł na tuzin kawałków.

Broka krzyknął zdumiony, po czym cisnął precz bezużyte rękojeść sztyletu i cofnął się, by stanąć poza zasięgiem Myrona.

— Zanim odejdziesz, sugeruję, abyś przeprosił Sarafinę i ojca — rzekł Adon.

Broka odwrócił się twarzą do kłeryka.

— Wiesz, kim jestem? — wychrypiał.

— Tępy osiłkiem, który dręczy kobiety i ukrywa się swoim sztyletem — stwierdziła Corene. — To doprawdy wstyd. Zanim zacząłeś się tak okropnie zachowywać, uważałam, że jesteś całkiem przystojny.

Broka zignorował przytyk Corene i wskazał zamek drugim końcu miasteczka.

— Jestem seneszalem pana tego zamku — oznajmił.

— A obecnie działam w jego interesach i w jego imieniu. Proponuję, byście się w to nie mieszała — w przeciwny razie będziecie mieli z nim do czynienia.

To rzekłszy ponownie odwrócił się do Myrona.

— Polecono mi obejrzyć liczko twojej córki — rzekł seneszał patrząc oberżysty prosto w oczy. — Jeżeli znów mi przeszkodzisz, każę wychłostać całą twoją rodzinę.

— Pozwól mi, ojciec — stwierdziła Sarafina, sięgając ręką by rozwiązać rzemyk woalu. — Niech zobaczy, przecież nie sprawi mi bólu.

Podczas gdy Myron z wahaniem odstał na bok, Broka uśmiechnął się ironicznie i stwierdził:

— Gdyby twojej córce tak zależało na kobietach z Tegei, jak na całej jej rodzinie, udałaby się wraz ze mną do zamku. Ale może twoi goście przebaczą ci upór i zaciętość Sarafiny.

— Nie zrobiła nic złego — rzekł Adon. Schwycił seneszala za rękę. — Kiedy już przeprosisz, wróć do swego pana i powiedz mu, że ma dać spokój Sarafinie.

— Z czyjego rozkazu? — prychnął Broka.

— Z rozkazu Adona od Mystry, patriarchy Sług Tajemnicy — dodała Corene. Seneszal tylko się roześmiał.

— Mój pan nie uznaje tu autorytetów żadnego z kościołów — stwierdził, powracając uwagą do córki oberżysty. — A teraz pozwól mi zobaczyć, co klątwa mego pana uczyniła z twą urodą.

Adon szarpnął Brokę do tyłu, ale seneszal obrócił się na pięcie wyprowadzając silny sierpowy. Kapłan, któremu walka nie była obca, z łatwością zablokował uderzenie. Skontrolował ciosem nasadą dłoni w szczękę i jednocześnie zahaczył stopą o kostkę Broki, zbijając go z nóg. Seneszal z hukiem gruchnął o ziemię, a okrzyk bólu, jaki dobył się z jego ust, nie pozostawił wątpliwości, iż upadek musiał być bolesny.

Adon wbił kolano w klatkę piersiową Broki.

— Przepraszam.

Jedyną odpowiedzią seneszala było barwne przekleństwo.

— Może byłbyś bardziej uprzejmy, gdybyś nie był tak urodziwy — mruknęła Corene. Nowicjuszka wyszeptwała zaklęcie i dotknęła czoła Broki. Jej czary zadziałały idealnie.

Twarz Seneszala pociemniała, przyjmując głęboki odcień czerwieni, po czym eksplodowała całą masą czyraków i ropiejących pryszczycy.

Z okrzykiem przerażenia odczołgał się na bok i podniósł fragment lusterka, które upuścił popchnięty przez Myrona.

— Moja twarz! — zaskowyczał Broka, wpatrując się w swoje odbicie w kawałku szkła.

— Nie masz się na co skarżyć — stwierdziła Corene — to lepiej pasuje do twojej osobowości.

Seneszal wstał i zmierzył wzrokiem nowicjuskę.

— Lord Gorgias dowie się o tym!

— O to mi właśnie chodzi — stwierdził Adon, postępu naprzód. — A teraz już idź!

Seneszał cisnął odłamkiem lusterka w Adona, ten uchylił się z łatwością.

Gdy Broka oddalił się pospiesznie, patriarcha odwrócił w stronę Myrona i Sarafiny.

— Może powiedzielibyście mi coś więcej o lordzie Gorgiasie i o tym, co uczynił z Sarafiną i waszym miasteczkiem — rzekł kapłan, przekonany, że tym pokazem odwagi zdoła zaskarbić sobie zaufanie gospodarzy.

— Jesteście szaleni! — ryknął Myron. — Opuśćcie gospodę, natychmiast!

Adon skrzywił się.

— Co się stało? — rzucił ostro. — Nie widzisz, że Correne i ja przybyliśmy tu, by wam pomóc?

— Chcecie nas pozabijać! — uciął Myron. — Obraziłeś zausznika księcia. Miejmy nadzieję, że lord Gorgias zadowolony jest tylko odebraniem życia wam, a naszą rodzinę pozostawi w spokoju.

— Nikogo nie zabije — stwierdził Adon.

— To miło z waszej strony, że oferujecie nam ochronę ale nie zdołacie powstrzymać księcia — powiedziała Sarafia

— Przynajmniej w Tegei. Tu żaden kapłan nie jest w stanie dorównać jego magii.

— Jego czary nie mogą być potężniejsze od czarów Mystry — mruknęła Corene. — Żaden śmiertelnik nie ma takiej mocy.

— Mystry tu nie ma — warknął Myron, popychając Adona i jego towarzyszkę w kierunku wyjścia. — I dopóki ponownie jej nie sprowadzicie, nie jesteście mile widziani w naszych progach. — Oberżysta zmusił ich, by zeszli z werandy po czym wraz z córką zniknął w kuchni.

— Co się tu dzieje? — spytała Corene wpatrując w drzwi, za którymi zniknęli Myron i Sarafina.

— Nie mam pojęcia — rzekł Adon, myśląc bardziej o nym zaklęciu niż o niewdzięczności Myrona. — Zauważyłaś, Mystra nie odpowiedziała, kiedy poprosiłem o pierwsze zaklęcie?

Corene przygryzła dolną wargę i wydawało się, że próbuje omijać spojrzenie Adona.

— Może znajdujemy się na obszarze szczególnie Burzliwej Magii — zasugerowała. — Od Trudnych Czasów praktycznie nikt nie pokwapił się, by nanieść na mapy wszystkie te miejsca, gdzie upadek bogów uczynił zaklęcia nieprzewidywalnymi. Tegea może być...

— Czyciele Mystry nie mają żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o rzucanie czarów w miejscach znanych z zaburzeń magii — rzucił pedantycznie Adon, po czym przeniósł wzrok na młodą kobietę. — Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Poza tym oboje domyślamy się, dlaczego moje pierwsze zaklęcie nie poskutkowało.

Nowicjuszka pokręciła głową.

— Musi być inne wytłumaczenie.

— Nie. To co się stało, jest wyraźnym znakiem, iż Mystra czuje się mną rozczarowana — stwierdził. — Jeżeli przed opuszczeniem Tegei nie zdołam odkryć, czym jej się tak naraziłem, obawiam się, że przyjdzie mi pozostać tu na zawsze.

Kiedy słońce weszło następnego ranka, jego promienie odnalazły Adona stojącego na środku głównego placu Tegei. Za jego plecami z górskiego zbocza spływał bulgoczący strumień, by napełnić kamienną sadzawkę zimną, czystą wodą. Na wprost znajdował się mały placyk, okolony kamiennymi murami kilku piętrowych budynków. Stały tam tuziny kobiet odzianych w białe bluzki i kolorowe spódnice, z twarzami zakrytymi przez czarne szale i woalki. W dłoniach trzymały puste drewniane szafliki, które co rano napełniały czystą źródlaną wodą.

— Magia Mystry ochroni was przed lordem Gorgiasem

— rzekł Adon, opierając luźno jedną dłoń na głowni maczugi.

— Potrzebuję jedynie kogoś, kto zaufa mi, abym mógł tego dowieść.

Gdy żadna z kobiet nie zgłosiła się na ochotnika, do gromadki kobiet podeszła Corene i dotknęła woalki chudej jak tyka kobiety.

— Czy chcecie nosić te maski przez resztę waszego życia?

— Co się stało, to się nie odstanie — stwierdziła kobieta.:

— Sarafina uważała, że jest zbyt urodziwa, by poślubić księcia,] a teraz wszystkie musimy żyć z konsekwencjami jej czynu.

— To nie wina Sarafiny! — huknął Adon. — Lord Gorgias przeklął miasteczko i tchórzostwem jest zrzucać winę na Sarafinę za to, że nie ugięła się przed jego żądaniami.

— Łatwo wam to mówić — zawołała postawna matrona. |

— Nie mieszkanie w Tegei.

Z tłumu odpowiedział jej zgodny chór głosów, po czym* inna kobieta dodała:

— Nawet jeżeli możecie nam pomóc, co się stanie, kiedy | odejdziecie?

— Powiem wam, co się stanie — stwierdziła chuda kobieta. \

— Lord Gorgias ukarze nas za to, że mu się sprzeciwiłmy.

— Nie, nie uczyni tego — powiedziała Corene stając obok patriarchy. Spojrzała uważnie na Adona, po czym dodała.

— Zostanę tu, aby dopilnować, żeby tak się nie stało.

— Dużo nam to pomoże — stwierdziła matrona, wbijając* wzrok w Adona. — Jeżeli w waszym rozumieniu odwaga! polega na pozostawieniu tu młodej kobiety, aby prowadziła walkę z księciem, to nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

— W przeciągu tygodnia będzie szorować podłogi w zamku j Lorda Gorgiasa i domagać się chłosty — zawołała inna.

— Nie! — zawołał Adon. — Z mocą Naszej Pani jest? dostatecznie silna, by pokonać każdego przeciwnika, nawet lorda Gorgiasa.

Z drugiej części placu dobiegł znajomy głos.

— Niech więc to udowodni. — Tłum rozstał się i w przejściu pojawiła się Sarafina niosąca w dłoniach puste szafliki.

Gdy dotarła do sadzawki, upuściła szafliki u stóp Corene, po czym uniosła ręce do woalu.

— Jeśli jesteś dość silna, by ochronić nas przed lordem Gorgiasem, to przywróć mi moją urodę.

— Nie, Sarafino! — zawołała matrona. — Jeśli zwrócisz się do przybyszów z prośbą o pomoc, wszystkie za to zapłacimy.

— Przynajmniej wciąż jeszcze mamy ręce, by móc nimi pracować — krzyknęła inna. — Nie rozwścieczaj bardziej lorda Gorgiasa, bo jeszcze je nam odejmie!

Chuda kobieta postąpiła kilka kroków w stronę Sarafiny.

— Czy nie dość nam już przysporzyłaś kłopotów?

— Cierpię tak samo jak wy — a prawdopodobnie nawet bardziej, zważywszy ciężkie chwile, jakie przeżywa nasza oherza z powodu waszego gniewu — odparła Sarafina — ale księżę jest zły i pierwiej umrę, niżli go poślubię.

— Są tortury i cierpienia gorsze od śmierci — stwierdziła chuda kobieta. — I doświadczymy ich przez twój upór.

— Jeżeli tak bardzo sobie cenisz swoją urodę, to wyjdź za niego — odparowała Sarafina zrywając z twarzy woal. — Ja wolę raczej jawnie obnosić swoją szpetotę wśród wszystkich mężczyzn z wioski, niż zaprzedać mą cnotę i oddać się księciu.

Adon wstrzymał oddech na widok tego, co klątwa księcia uczyniła z obliczem Sarafiny. Od linii oczu w dół wyglądała jak monstrum. Miała pomarszczoną, zielonkawą skórę, na-ciągniętą mocno na tuzin kostnych wyrostków sterczących z jej twarzy. Nos był

ohydnie spiczasty i pokryty czyrakami, podczas gdy usta, zastygłe w obrzydliwym grymasie, rozchylając się ukazywały krwiste dziąsła najeżone postrzępionymi, żółtymi zębami. Z podbródka wyrastał jej krótki, szary róg zakrzywiony do tyłu, w kierunku gardła.

Jednakże wszystkie te deformacje nie były w stanie ukryć wewnętrznego piękna Sarafiny. Trzymała głowę wysoko i od-powiedziała na spojrzenie Adona bez odrobiny wstydu; jej siła i determinacja odzwierciedlały się w nieruchomych, przenikliwych brązowych oczach.

Spokojnym głosem zapytała patriarchę.

— I kto się teraz gapi? Kapłan nie odwrócił wzroku.

— Jeżeli nawet tak patrzę, to tylko dlatego, iż jestem pod wrażeniem twego ducha — stwierdził bezceremonialnie, robiąc krok w jej stronę.

— Mimo wszystko mieszkańcy Tegei nie zaufają twojej nowicjuszcze, dopóki nie udowodni swojej mocy — powiedziała Sarafina, mierząc wzrokiem Corene. — Zwróć mi to, co ukradł lord Gorgias.

Corene rzuciła nerwowe spojrzenie na Adona. Patriarcha skinął do niej.

— Zdejmij klątwę — polecił. — Zawierz Mystrze. Ma więcej mocy, niżli potrzebujesz.

Corene omiotła spojrzeniem bliznę Adona i z trudem przełknęła ślinę.

— Skoro tak twierdzisz. — Położyła dłoń na zdeformowanej twarzy Sarafiny i wypowiedziała słowa inkantacji.

Z dłoni nowicjuszki popłynęło złote światło i przesunęła się po twarzy Sarafiny. Skóra młodej kobiety znów stała się śniada, a kostne wyrostki pokrywające jej lica zaczęły się zmniejszać. Wrzody na nosie znikły powoli, uleczone, a szary róg stał się miękki i począł znikać.

Tłum wydał głośny pomruk zdumienia.

— Widzicie? — zawołał Adon, zwracając się do kobiet! — Uzbrojona w moc Mystry, nawet nowicjuszka jest w stanie pokonać lorda Gorgiasa...

Przerwał gwałtownie, słysząc przeraźliwy okrzyk Corene. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że szary cień zaczął zastępować! złotą poświatę czarów Corene. Przesuwając się po twarzy! Sarafiny, powtórnie zmieniał odzyskaną piękność młodej kobiety! w ohydny maskę klątwy lorda Gorgiasa.

Kiedy cień dotknął palców Corene, krzyknęła i odsunęła! się w tył. Szarość przesunęła się szybko w górę jej dłoń! i po przedramieniu.

Przeżrana nowicjuszka włożyła rękę do wody i rozpaczliwie! usiłowała zmyć kalającą ją szarość, ale wszystkie wysiłki speszły! na niczym. Cień przemknął po jej ramieniu i dosięgnął twarzą. Pozostawał tam przez chwilę, po czym rozpląnął się równie | szybko, jak się pojawił.

Corene przez chwilę stała w bezruchu, wpatrując się w po-1 falowane wody sadzawki. Nagle z jej ust dobył się przeraźliwy f skowyt i rzuciła się na Adona.

— Wybacz mi! — zaskrzeczała, oplatając ramionami jego • pierś. — To przez twoją bliznę! Zwątpiłam w Naszą Panią! i

Adon odsunął ją od siebie i przyjrzał się uważnie. Od i policzków w dół jej skóra stała się pomarszczona i pofałdowana.; Mały zgrabny nosek powiększył się trzykrotnie i poczerwieniał; i nozdrza były teraz wielkie jak u świni. Jej usta porosła czarna szczecina, wargi odgięły się na zewnątrz, a poniżej linii szczęki pojawiła się rzadka, jedwabista biała bródka.

— Rozumiem — wyszeptał Adon. — Nie martw się. Na-prawie wszystko.

— W jaki sposób? — spytała rzeczowo matrona. — Sami tu zostaniecie?

Patriarcha pokręcił głową.

— Moje obowiązki w Arabel...

— A zatem sugeruję, abyście niezwłocznie powrócili do Arabel. Zostawcie nas z naszymi kłopotami — stwierdziła chuda kobieta przesuwając się naprzód — i odejdźcie na bok, chciałabym napęlić swój szaflik.

Corene zastąpiła jej drogę.

— Nie rozumiecie. To nie była porażka Mystry, lecz moja.

— Nasza Pani Tajemnic jest patronką samej magii — wyjaśnił Adon. — Żaden czar śmiertelnika nie może równać się z jej mocą. Nagle przez plac przetoczyło się echo tubalnego głosu.

— Ale waszej bogini tu nie ma, a ja jestem!

Z jednej z alejek wyłoniła się ogromna, odziana w skórzany strój postać. Pomimo że zeszpecona garbem i zdeformowana, była o połowę wyższa od przeciętnego mężczyzny.

Nogi miał chude i powyginane jak pałaki, tak że wydawało się, iż zamiast chodzić przelewał się z boku na bok. Jedna patykowata ręka zwisała tak nisko, że prawie szorowała o kocie łby, podczas gdy druga była wykrzywiona i przylegała pod dziwnym kątem do klatki piersiowej.

Adon jeszcze nigdy nie widział równie przerażającego oblicza. Było niewiarygodnie wychudłe i pokryte spękaną, poczerniałą skórą. Czoło miał wysunięte do przodu do tego

stopnia, że rzucało nieprzenikniony cień na oczy i policzki. Nos wąski jak ostrze sztyletu, a kości policzkowe groteskowo zdeformowane — obrazu dopełniały jeszcze dwa żółte kły zakrzywione ku górze spod odchylonej dolnej wargi.

Za postacią stał Broka, nadal odziany w obszyty futrem płaszcz i przewiązany fioletową szarfą. Jego twarz wciąż pokrywały wrzody i pryszcze, a napuchnięty nos i podkrążone oczy sugerowały, iż ubiegłego wieczora po powrocie do zamku Gorgiasa został mocno pobity.

Gdy kobiety zaczęły spieszenie rozchodzić się do domów, seneszał zawołał:

— Zostańcie! Książę pragnąłby, abyście zobaczyły, co tu stanie.

Tłum natychmiast zamarł w bezruchu, pozostawiając splacheć wolnego placu pomiędzy upiorną postacią a patriarchą. Adon odsunął się od Sarafiny.

— Lord Gorgias?

Książę potwierdził skinieniem głowy i podreptał bliżej.

— Przybyłem, aby podziękować ci za zmiany dokonane moim seneszalu — oznajmił, wskazując chudą ręką zeszpecone krostami oblicze Broki. — Teraz dużo ciekawiej jest zatrzymać na nim wzrok.

— Może w waszym mniemaniu — stwierdził Adon. Książę oddalił się nieznacznie.

— Teraz zaś, gdy wyraziłem wam swą wdzięczność, musicie odejść — powiedział. — Gdybyście powiadomili mnie o was przybyciu, moglibyśmy odbyć nader ciekawą dysputę na te Kościoła Tajemnic i mielibyście kilka godzin czasu, aby rozjaśniło się wam w głowach. W tej jednak sytuacji nie mogę pozwolić wam, byście szerzyli kłamstwa wśród mieszkańców mego miasteczka.

Adon pokręcił głową.

— Nie wyjedziemy, dopóki nie usuniemy klątwy ciężącej na Tegei.

— Klątwa! Myślicie, że mógłbym przekląć kobietę, którą miłuję? — rzucił książę, wskazując ręką w stronę Sarafiny — Poszerzyłem jedynie jej poczucie piękna, aby potrafiła dostrzec subtelną elegancję mojej postaci.

— To nie twa postać budzi we mnie odrazę! — ucięła Sarafina. — Brzydzę się tym, czym jesteś wewnątrz.

— A niby czym jestem — wewnątrz!

— Tyranem, równie okrutnym, jak próżnym — stwierdziła Sarafina. — Pierwej umrę, niżli cię poślubię!

Spomiędzy ust księcia wysunął się ruchliwy, rozdwojony język.

— Zastanawiam się, czy inne kobiety z Tegei dzielają twoje odczucia?

— Nie! — zawołało kilka kobiet stojących na placu.

— Idź z nim teraz, albo wszystkie przez ciebie zostniemy wdowami — rozkazała postawna matrona, robiąc krok w stronę Sarafiny. Inne również ruszyły w jej kierunku, ale Corene szybko dobiła zza pasa swój krótki cep i zastąpiła im drogę.

Adon wyjął z kieszeni płaszcza bryłkę żółtej siarki i zmówił cichą modlitwę do Mystry, błagając ją, aby przychylnym okiem spojrzała na zakłęcie, jakiego miał zamiar użyć, po czym powiedział

— Lord Gorgias nikogo nie zabije.

— Być może — jeśli opuścicie miasto przed zmierzchem — rzekł książę, skupiając spojrzenie swych zacienionych oczu na kapłanie — ale jeśli po wschodzie słońca nadal tu będziecie, wszyscy mężczyźni z Tegei umrą. Zapamiętaj moje słowa.

— Jeśli grozisz innym, nie mam wyboru, jak tylko zniszczyć cię w imię Mystry!

Gdy patriarcha uniósł ręce w górę, by rzucić zakłęcie, kobiety z krzykiem przerażenia czmychnęły z placu. Książę tylko się uśmiechnął, podczas gdy w niebie nad jego głową otworzyła się ognista szczelina. Wyprysnął z niej słup ognia i pomknął ku głowie Gorgiasa. Ten patrzył na sunącą ku niemu zgubę, rechocząc jak opętany.

Kiedy tylko pierwszy jęzor płomieni liznął jego czoło, ognisty słup zatrzymał się. Rozległ się syk płomieni i karmazynowa szczelina zamknęła się gwałtownie, nie pozostawiając po sobie nic prócz słupa szarego dymu. W chwilę później wiatr rozwiął bez śladu mroczne opary. Na niebie zaś nie pozostał najmniejszy ślad po zakłęciu Adona.

— On jest wyznawcą Cyrica! — jęknęła Corene. — Tylko ktoś znajdujący się pod opieką Boga Walki mógł stawić czoła magii Mystry i zrobić coś takiego z kobietą twarzą!

Dotknęła palcami zniekształconego policzka.

— Żarty na bok — prychnął książę podchodząc nieco bliżej do Adona i Corene. — Wasi pożałowania godni bogowie absolutnie mnie nie interesują. Jediną osobą godną pochlebstw jestem ja sam.

Corene rzuciła się naprzód, zamachując się cepem i mierząc w zębra księcia.

— Za kobiety z Tegei!

Lord Gorgias przyjął uderzenie. Pałka odbiła się od jego skórzanego pancerza. Następnie schwycił Corene za nadgarstek i wymamrotał inkantację. W mgnieniu oka całe jej ciało stóp do głów pokryło się gęstym, włóchatym futrem, i nogi dziewczyny wygięły się w stawach w przeciwną stronę zmieniając się w zdeformowane, poskręcane namiastki kończyn które nie były nawet w stanie utrzymać ciężaru jej ciała.

Upadła na ziemię, wyjąc z bólu.

Adon nie tracił czasu i przeprowadził kolejny atak, tym razem dobywając swej maczugi. Wzywając imienia Mystry rzucił się naprzód i zamachnął z całej siły, mierząc w twarz lorda Gorgiasa. Książę jak zahipnotyzowany patrzył na najeżoną szpikulcami głownię zbliżającą się w stronę jego nosa, patriarcha pozwolił sobie na cień nadziei, że zdoła powalić swego przeciwnika jednym uderzeniem.

Poruszając się tak szybko, że Adon zobaczył jedynie rozmazany kształt, lord Gorgias schwycił mknącą ku maczugę i wyrwał mu ją z ręki. Następnie cisnął ją i zacisnąwszy potężną dłoń na gardle patriarchy podniósł w górę tak, że podeszwy butów Adona oderwały się od ziemi.

— Dość już tych waszych wygłupów — syknął książę. Adon dostrzegł kątem oka smukłą sylwetkę Sarafiny podchodzącej do nich z boku. Trzymając cep oburącz zamachnęła się mierząc w nogę księcia. Pałka odbiła się od Gorgiasa, nie czyniąc mu najmniejszej szkody.

— Stajesz po stronie tego obcego, przeciwko swemu przyszłemu małżonkowi? — rzucił ostro, łypiąc spode łba.

Uniosła cep i uderzyła powtórnie. Książę prawie tego nie zauważył. Gorgias ponownie spojrzał na Adona.

— Jak to się stało, że Sarafina cię kocha?

— To co odczuwa względem mnie, to nie miłość — wydyszał, Adon. — To wdzięczność za to, że próbowałem jej pomóc. Książę ponownie przeniósł wzrok na dziewczynę.

— Czy to prawda?

Spojrzała na jego zniekształconą twarz.

— To co czuję wobec niego, to nie twoja rzecz.

Lord Gorgias zmierzył Adona wzrokiem.

— Zabiłbym cię już teraz, zaraz, ale obawiam się, że w ten sposób tylko stałbyś się droższy sercu Sarafiny — oznajmił — Daję ci czas do południa, abyś pokazał jej, jakim jesteś tchórzem. Jeżeli do tego czasu nie opuścisz miasteczka, Sarafina czy tego chce, czy nie, zostanie moją żoną, i przysięgam, że dotrzymam obietnicy i zabiję wszystkich mężczyzn z Tegei.

— Rzucę się do morza! — zagroziła Sarafina.

— Nie sądzę — odrzekł książę, przesywając ją wzrokiem.

— Tak czy inaczej kobieta z twojej rodziny zostanie moją żoną. Jeżeli nie ty, to twoja matka.

To rzekłszy lord Gorgias cisnął Adona do sadzawki. Zanim kapłan zdążył wstać, jego wróg był już w połowie placu. Oddany mu bezgranicznie Broka szedł o krok za nim. Sarafina pomogła patriarsze wydostać się z sadzawki, po czym wspólnie podeszli do miejsca na ulicy, w którym leżała Corene.

Z kończynami odgiętymi do tyłu, wpatrując się przepełnionymi bólem oczyma w niebo, nowicjuszka przypominała bardziej porośniętego futrem kraba, niż młodą kobietę.

Adon ukląkł przy niej i ponownie odmówił modlitwę do Mystry.

— Corene cię nie zawiodła — wyszeptał — jeżeli jesteś zła, wyładuj swój gniew na patriarsze Twego Kościoła! Pozwól mi odwrócić zło, jakie wyrządziłem tej nieszczęsnej kobiecie. Pozwól mi okazać temu miasteczku, że jestem Twym prawdziwym sługą!

Adon przymknął oczy, położył dłoń na drżącym ciele Corene i wypowiedział inkantacje.

Nowicjuszka pozostała w swej potwornej postaci.

Spoglądając w niebo, Adon zawołał:

— Dlaczego, Mystro? Czemu mnie tu przysłałaś, skoro zamierzałaś mnie opuścić?

— Twoja bogini cię nie opuściła — powiedziała Sarafina, przesłaniając twarz woalem. — Ona cię nie słyszy. Adon zmarszczył brwi.

— Oczywiście, że słyszy — stwierdził. — Jest patronką...

— Magii. Wiem — powiedziała Sarafina — ale mimo to nie słyszy cię, dopóki znajdujesz się w Tegei.

— O czym ty mówisz?

— Czy dasz nam spokój i odejdziesz, jeżeli ci powiem? — spytała. — Lord Gorgias jest w stanie spełnić swe groźby i nie zdołasz go powstrzymać. Nikt nie zdoła.

— Mystra nie przysłałaby mnie tutaj, gdyby to było prawdą.

— A jeżeli jest, odejdziesz?

— Przybyłem, by uratować Tegee, nie by ją zniszczyć — rzekł Adon. — Jeżeli nie podołam zadaniu, odejdę. Ale jeżeli uznam, że potrafię powstrzymać lorda Gorgiasa pomimo tego, co mogę usłyszeć od ciebie o jego potędze, musisz mi obiecać, że mi pomożesz, niezależnie o co cię poproszę.

— Zgoda — wyszeptała Sarafina. Podniosła swoje cebrzyki i zaczęła je napełniać, wykorzystując jednocześnie ten czas by opowiedzieć Adonowi historię lorda Gorgiasa. — Książę nie zawsze był tak szpetny, czy to zewnątrz, czy wewnątrz. Niegdyś był przystojnym młodym szlachcicem, któremu bardzo, zależało na poddanych.

— Co się stało? — zapytał Adon, biorąc w ramiona poskręcane, zdeformowane ciało Corene. Leżała w milczeniu w dającym ulgę i pocieszenie uścisku patriarchy.

— To było w Trudnych Czasach — powiedziała Sarafina.

— Przez pierwszych kilka dni oszczędzono nam zetknięcia z Burzliwą Magią i nienaturalnymi bestiami, które powstały wskutek upadku bogów. Ale któregoś dnia, gdy zbierałyśmy w gaju oliwki, okazało się, że Tegea nie została zupełnie oszczędzona. — Wzdrygnęła się. — Gdy zrywałyśmy oliwki, drzewa zaczęły krwawić. A potem zaczęły obrzucać nas głośnymi przekleństwami i próbowały chłostać gałęziami. Przybył lord Gorgias i rzucił zaklęcie, aby je uspokoić, ale coś poszło nie tak. Całą górę spowiła czarna mgła, tak gęsta, że na wyciągnięcie ręki nie było nic widać.

Sarafina ruszyła wąską alejką w kierunku oberży swego ojca i dała znak Adonowi, by poszedł za nią.

— Lorda Gorgiasa zobaczyliśmy ponownie dopiero, gdy mgły się rozwiały.

— Kiedy to było?

— W miesiąc po powtórnym wniebowstąpieniu bogów — stwierdziła Sarafina. — Stał się takim potworem, jakim go dziś widzieliście. I do tego jakimś sposobem uwierzył, że teraz jest bardziej urodziwy niż poprzednio. Co więcej, nadal w to wierzy.

— To niewątpliwie bardzo interesujące, ale nic z tego, co mi powiedziałaś, nie przekonuje mnie, że Pani Mystra nie jest w stanie nam pomóc — rzekł Adon zdyszany z wysiłku, jakim było dlań dźwiganie Corene w górę stromego zbocza.

— Jeszcze nie skończyłam — odparła Sarafina. W przeciwieństwie do kapłana nie wydawała się utrudzona dźwiganym ciężkim brzemieniem. — Kiedy mgła rozwiała się, Gorgias przeklął bogów za to, że przynieśli szkody jego poddanym i sprawili, że czary stały się nieobliczalne. Rzucił zaklęcie na miasteczko, aby ukryć nas przed niebiosami. Byliśmy bezpieczni, jeżeli chodzi o bogów, ale oni nie byli już w stanie usłyszeć naszych prośb. Zupełnie jak gdyby Tegea przestała dla nich istnieć.

Przerwała i zwróciła swe smutne oczy w stronę Adona.

— Mielśmy tu kościół Chauntei, ale kapłani zorientowali się, że nie są już w stanie kontaktować się z Wielką Matką. Utracili swój status w Tegei, więc odeszli. Mimo ich odejścia plony były w owym roku obfite, a Gorgias uznał to za znak, iż bogowie nic nam nie mogą zaoferować.

— A co to znaczyło dla ciebie? — spytał półgłosem Adon.

— Że kapłani nie byli zbyt świątobliwi — westchnęła smutno, a jej woal zafalował. — Chcieli jedynie być ważnymi osobami w miasteczku. Przejeżdżało tędy kilku wędrownych

kapłanów, ale odchodzili, kiedy tylko odkrywali, że nie są w stanie skontaktować się ze swymi bogami.

— Ale Corene rzucała czary, by ochronić miasteczko. Sama widziałaś, jak twarz Broki pokrywa się ropiejącymi wrzodami — zauważył Adon — a ja wywołałem słup ognia, który wystrzelił z nieba w stronę księcia.

— To prawda — przyznała Sarafina — jesteście jedynymi kapłanami, którzy byli w stanie zawezwać swą boginię, nawet jeżeli chodziło tylko o pomniejsze czary, ale...

— Mów dalej — stwierdził łagodnym tonem Adon.

— Wybaczcie mi, Patriarcho, ale wasze płomienie nie wyrządziły księciu nic złego. — Spojrzała na zdeformowane ciało kobiety, które Adon trzymał na rękach. — Poza tym czary lady Corene nie zdołały uratować mnie ani jej przed losem gorszym od mojego.

Adon zatrzymał się.

— Może i masz rację — rzekł półgłosem. — Zakłęcie księcia może utrudniać Mystrze odpowiedzi na nasze modlitwy, ale nie zamierzam się poddać.

Patriarcha położył Corene na ziemi i ponownie spróbował usunąć zakłęcie, które zmieniło ją w tak upiorną istotę. Tym razem wszakże Adon modlił się tylko o uzdrowienie Corene, nie myśląc o swoim udziale w doprowadzeniu jej do takiego stanu.

Ciało nowicjuszek zaczęło się jarzyć zielonkawym blask i świetlista aura w mgnieniu oka spowiła je od stóp, głów. Przez kilka chwil Adon czekał w milczeniu. Kiedy blask w końcu zniknął, kapłan stwierdził, że zakłęcie w mniejszym lub większym stopniu poskutkowało. Ciało Corene odzyskało dawny wygląd, jedynie jej twarz pozostała zdeformowana.

Corene podniosła się, wpatrując się w swoje ręce i nogi jakby widziała je po raz pierwszy.

— Uratowałeś mnie!

— Niezupełnie — stwierdziła Sarafina wskazując nieśmiało na jej oblicze — ale dzięki temu będzie wam łatwiej podróżować.

— Podróżować? — spytał Adon. — Zostajemy w Tegei. Widziałaś na własne oczy, że potrafię odczyniać czary księcia.

— A co z jej twarzą? — odparowała Sarafina, muskając dłonią białą bródkę poniżej szczęki Corene. — Jej przekleństwo nie różni się wiele od mojego. Nawet nie spróbowaliście tego usunąć.

— Skoro tylko w ten sposób mogę ci udowodnić, że mam rację i że powinnaś równie żarliwie jak ja wierzyć w moc Mystry... — rzekł Adon.

Żółta poświata wypłynęła z dłoni Adona i spowiła głowę, nowicjuski. Przez chwilę zdawało się, że jej rysy rozluźniają się, a ohydne kostne wyrostki zaczęły się zmniejszać. I nagle w chwili gdy Adon niemal uwierzył już w swoje zwycięstwo, szary cień ponownie zaczął napływać na twarz Corene.

Gdy wyrostki zaczęły się powiększać, Corene cofnęła się gwałtownie, przerywając kontakt z Adonem.

— Przystań, bo i ciebie spotka to samo!

Adon zacisnął dłoń i zwiesił głowę.

— To nic nie da, dopóki Mystra nie będzie w stanie usłyszeć naszych modlitw — stwierdził. — Teraz, gdy jestem odcięty od Naszej Pani, klątwa księcia sprawia, że jego czary są silniejsze od moich.

— Jedyne prawdziwa wiara, jaka istnieje w tym miasteczku, to ta, którą rozpropagował tu sam lord Gorgias i nie ulega wątpliwości, że nie jesteście w stanie w pojedynkę się jej przeciwstawić — powiedziała Sarafina. — Musicie dotrzymać obietnicy i odejść. Adon milczał przez kilka chwil. W końcu powiedział.

— A może jednak to ty będziesz zmuszona spełnić swoją obietnicę, Sarafino.

Córka oberżysty zmarszczyła brwi.

— Co macie na myśli?

Adon zwrócił się do Corene.

— Zakładam, że ostatnio zdołałaś nauczyć się zaklęcia „odbicia prawdy”?

— Oczywiście, ale...

— To dobrze — rzekł Adon. Przeniósł wzrok na Sarafinę i uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że w gospodzie twojego ojca znajdzie się jakieś lustro.

Jak się okazało, Sarafina miała idealne wręcz zwierciadło. Było dostatecznie duże, by zakryć przedramię Adona niczym puklerz i dostatecznie małe, by nie trzeba było przytrzymywać go drugą ręką.

Dzierżąc je niczym tarczę, patriarcha stanął przed dębowymi wrotami zamku Gorgiasa, trzymając w wyprostowanym ręku swoją maczugę. U jego boku stała Sarafina, ciepły wietrzyk poruszał woalem zakrywającym jej lico. Za nimi, na skraju brukowanej kocimi łbami ulicy, stali Corene i Myron. Oberżysta nie aprobował planu Adona, ale namówiony przez córkę zgodził się im towarzyszyć.

W oknie strażnicy pojawiła się krostowata twarz Broki.

— Wciąż jeszcze masz czas, by odejść, kapłanie — zawołał, spoglądając na rozpaloną tarczę słońca. — Do południa jest jeszcze trochę czasu.

— Przybyłem tu, by wyzwąć twego szpetnego pana na pojedynek o rękę Sarafiny — zawołał Adon. — Jeżeli nie jest tchórzem, jeszcze dziś może wygrać dla siebie żonę.

Broka uniósł brwi, spoglądając na Sarafinę.

— Czy to prawda?

— Tak — odrzekła — jeśli lord Gorgias zwycięży w tym pojedynku, mój ojciec odda mu moją rękę.

Ledwie skończyła mówić, gdy wrota zamczyska otwarły z głośnym trzaskiem. Lord Gorgias drepcząc wyszedł na i spojrzał na zwierciadło w ręku Adona.

— Naprawdę sądzisz, że to cię uchroni? — rzucił cynicznie.

— Nie możesz trafić w to, czego nie widzisz — odparował Adon.

Zmienił kąt ustawienia lustra tak, że odbite w jego tak by promienie słońca poraziły oczy księcia i rzucił się naprzód.

Sarafina pędem wróciła, by stanąć u boku ojca.

— To będzie krótka walka — obiecał księżę, a jego palce zaczęły się poruszać w gestach towarzyszących zaklęciu. Wskał na patriarchę, a jego głos zmienił się w gardłowy warkot.

Jednak gdy wzrok Gorgiasa padł na srebrzystą taflę zwierciadła, mimowolnie pomylił sylaby inkantacji.

Wykorzystując chwilową dezorientację przeciwnika, Adon wymierzył mu potężny cios. Maczuga trafiła księcia w głowę pozbawiając go przytomności. Jednocześnie uderzenie sprawiło że zaklęcie chybiło celu — czarny strumień z potężną mocą uderzył w mur strażnicy. Przedśmiertny krzyk Broki zginął wśród ogłuszającego huku pękających kamieni i walących się ścian, gdy wieża strażnicy w mgnieniu oka obróciła się w stertę gruzów.

Adon wymierzył tarczę w stronę twarzy lorda Gorgiasa.

— Przyjrzyj się dobrze, o szpetny księżę! — powiedzia — To twoje prawdziwe ja — wewnętrzne i zewnętrzne! Księżę odwrócił się.

— To nie ja! — warknął przez zęby, wymierzając cios oślepa. — To iluzja!

Adon uchylił się, po czym obszedł księcia, by ponownie skierować zwierciadło ku jego twarzy.

— To ty tworzyłeś iluzje, ale oszukiwałaś jedynie siebie i nikogo innego!

Lord Gorgias smagnął stopą, trafiając Adona w zebra.. Kapłan zatoczył się do tyłu, aż w końcu straciwszy równowagę runął na ziemię.

Przycisnąwszy zwierciadło do piersi z trudem walczył o odzyskanie oddechu.

Księżę wskazał na Sarafinę.

— Tej nocy będziesz spać w mej łożnicy! — stwierdził, zgrzytając z wściekłości długimi, pożółkłymi kłami. Adon poderwał się z ziemi i ostrożnie podszedł bliżej.

— Jedyne czar w tym zwierciadle to czar „odbicia prawdy” — rzekł i gwałtownym ruchem skierował posrebrzaną taflę zwierciadła w stronę twarzy lorda Gorgiasa. — Patrz!

Księżę spojrział, ale natychmiast odwrócił głowę, by nie oglądać swego odbicia. Adon rzucił się naprzód uderzając raz po raz swoją maczugą. Lord Gorgias jęknął z bólu. Po każdym ciosie na jego ciele wykwitwały ogromne, nabiegłe krwią pręgi i choć każde z uderzeń było dostatecznie silne, by zabić przeciętnego mężczyznę, księżę nadal trzymał się na nogach. Usiłował nawet kontratakować, kopiąc i wymachując na oślep rękoma. Tylko kilka ciosów, raczej muśnięć niż uderzeń, dosięgło celu, by ześlizgnąć się nieszkodliwie po pancerzu Adona. Kilkakrotnie lord Gorgias usiłował spojrzeć na patriarchę, ale za każdym razem odwracał wzrok, dostrzegając swoje odbicie w zwierciadle. Dwakroć usiłował dosięgnąć ciosami samego lustra, ale kapłan był przygotowany na taką taktykę i odbił jego rękę w bok potężnym uderzeniem swej maczugi.

Koniec końców lord Gorgias upadł na kolana.

— To ja! — zawołał, zakrywając twarz. — Przyznaję, to prawda. To ja.

Adon stał nad skulonym, kryjącym twarz w dłoniach, księciem.

— Nie musi tak być — powiedział. Jego głos wydawał się słaby i cienki, jakby zdyszany wskutek walki. — Możesz zmienić to, co tam widzisz.

Księżę uniósł głowę i spojrział w lustro.

— Myślisz, że nie próbowałem? — rzucił ostro, krzywiąc się na widok własnego odbicia. — To niemożliwe!

— Nieprawda — Adon nadal trzymał tarczę przed lordem Gorgiasem. — Musisz stawić temu czoła, tak jak to czynisz w tej chwili. A potem zwrócimy się z prośbą o pomoc.

— Pomoc? — spytał lord Gorgias. Brudnym, długim jak szpon paznokciem poskrobał swe odbicie w lustrze. — Kto może mi pomóc się od tego uwolnić?

— Nasza Pani Tajemnic.

— Nie!

Księżę silnym ciosem wytrącił Adonowi lustro, po czy zamaszystym kopnięciem podbił mu nogi.

— Bogowie to ze mną zrobili! — zawołał lord Gorgia rzucając się na Adona.

— Nie Mystra — wydyszał kapłan. — Ona jeszcze wtedy nawet nie była boginią.

Lord Gorgias trzasnął swym kościstym czołem w nos kapłana. Adon usłyszał chrupnięcie pękającej chrząstki i je policzki eksplodowały dojmującym bólem.

— Spójrz na siebie! — rzucił szyderczo ksiązę, unosząc lustro nad zalaną krwią twarzą Adona.

Patriarcha nie miał wyboru i musiał uczynić to, co rozkazał mu lord Gorgias. Jego nos był złamany i przekrzywiony że niemal dotykał policzka, a wokół oczu zaczęły już twóć się czarne sińce.

Nie to jednak go zdumiało. Paskudna blizna na jego lew policzku zniknęła. Mimo to kiedy uniósł dłoń, by dotkn tej strony twarzy, wyraźnie poczuł pod palcami pasemki szorstkiej skóry, pamiątkę po Trudnych Czasach. Po prostu w zwierciadle szrama była niewidoczna.

— Mystra? — wyszeptał kleryk.

Lord Gorgias zamachnął się trzymanym w rękach lustrem Adona ledwie zdążył osłonić ręką oczy i w tej samej chwili całe jego oblicze eksplodowało falą palącego bólu, gdy zwierciadło roztrzaskało się na jego twarzy.

Z drugiej strony ulicy, z miejsca gdzie Corene przygląda się walce wspólnie z Myronem i Sarafiną, pomknęła jaskrawa struga płomieni. Magiczna ognista strzała pograżyła się między żebrami lorda Gorgiasa. Płomienny pocisk palił się jeszcze przez chwilę po trafieniu w cel, wypełniając powietrze kwaśny smrodem palonego ciała. Ksiązę krzyknął, ale nawet nie odwrócił się, by spojrzeć, skąd nastąpił atak. Miast tego zacisnął palce na szyi Adona i zaczął go dusić.

Umysł Adona poczęła spowijać mroczna zasłona. Gwałtownym ruchem uderzył dłonią ku górze, wbijając palce w dymią dziurę wypaloną przez ognistą strzałę Corene. Lord Gorgias usiłował się wyrwać, ale Adon trzymał go mocno, jedne wypowiadając cicho słowa inkantacji. Fala niewyobrażalnego zimna spłynęła mu po rękę i stamtąd bezpośrednio do rany. Rozległ się syk i kłęb czerwonej pary buchnął z otwartej rany, a ksiązę zawył w agonii.

Stoczył się z kapłana i odpełził na bok, przyciskając dłonie do brzucha.

Adon podniósł się i otarłszy krew z oczu, chwycił największy odłamek zwierciadła, jaki udało mu się znaleźć. Był wielkości dłoni, trójkątny. Adon powoli zbliżył się do lorda Gorgiasa, jednocześnie rzucając na odłamek lustra jedno ze swych najpotężniejszych zaklęć. Ksiązę z wysiłkiem podniósł się na kolana i tytnął spode łba na patriarchę.

— Zżarła cię twa własna nienawiść — rzekł Adon, trzymając okrwawiony kawałek szkła wymierzony w stronę księcia. — To uczyniło z ciebie potwora, jakiego tu widzisz, nie bogowie.

— Ale oni mnie opuścili... i moje miasteczko! To oni mi to zrobili! Oni odmówili wysłuchiwania moich modłów!

Lord Gorgias skoczył.

Adon cisnął weń odłamkiem zwierciadła, wypowiadając jednocześnie magiczne słowo, powodujące uwolnienie zaklęcia, jakim go obłożono. Odłamek trafił księcia w rękę i pograżył się głęboko w ciele. Z rany buchnęło srebrzyste światło i posępne mury zamczyska odbiły echo przepełnionego udręką głosu lorda Gorgiasa.

W następnej chwili książę zniknął.

Trójkątny fragment zwierciadła z brzękiem spadł na ziemię.

Kiedy Adon podniósł odłamek, był on tak zimny, że dotkliwie mroził koniuszki palców. Nie przypominał już odłamka lustra, gdyż obecnie jego gładka, srebrzysta powierzchnia była twarda jak polerowany kamień. Zamiast odbicia Adona znajdował się na nim wizerunek twarzy lorda Gorgiasa, jego cieniste oczy patrzyły w przestrzeń, a zęby zastygły w gniewnym grymasie.

Patriarcha przez dłuższą chwilę przyglądał się fragmentowi zwierciadła. Czuł przepełniającą jego serce ulgę i nadzieję, ale również lęk i poczucie straty. Tego dnia pokonał potwora, ale jednocześnie zwyciężył coś o wiele straszniejszego — coś, czemu bał się stawić czoła już od wielu lat.

Na chwilę przed tym jak lord Gorgias roztrzaskał zwierciadło na jego twarzy, Adon zobaczył swoje odbicie blizny. I w tej samej chwili zrozumiał, dlaczego Mystra wys go do Tegei. Moc usunięcia blizny zawsze tkwiła w nim samym, podobnie jak moc potrzebna do pokonania księcia. — gdyby tylko przestał uważać siebie za główną ogniskę wszelkich działań i zdołał skupić myśli na czymś innym własne, błahe troski. Kapłani Chauntei, którzy odeszli z n teczka, uczynili to, bowiem własne, egoistyczne interesy wstrzymywały ich przed przerwaniem ciszy, jaką książę i na ich dusze. Co się tyczy ostatnich kilku nieudanych prób, Adona, stało się tak, ponieważ rzucał je nie po to, by pomóc innym, lecz by udowodnić samemu sobie, iż jest godnym sługą Mystry.

Zanim uświadomił sobie, gdzie się znajduje, wolnym krokiem powrócił na centralny plac miasteczka. Myron, Corene i Saraf, szły za nim, zachowując stosowny dystans od pograżone w zadumie młodego kapłana.

W końcu Myron wysforował się naprzód.

— Nie wierzyłem, że ktokolwiek jest w stanie pokon księcia, ale wam się to udało. — Przerwał na chwilę, w czym wskazał ręką na zamek Gorgiasa. — Corene i Sarafin mówią już o założeniu tam Świątyni Tajemnic.

— Otrzymacie stosowną pomoc — powiedziała Sarafiu stając przy sadzawce na środku placu, gdzie zebrał się tłum kobiet. — Kiedy nasi mężowie wrócą wieczorem z poli

tak się uradują widząc nas bez woalek na twarzach, w jedną noc wykonają dla was wszystkie konieczne prace zamku.

Na placu stały teraz tuziny kobiet. Żadna z nich nie miała zakrytego oblicza. Wszystkie uśmiechały się promiennie. Je miały wielkie nosy, niektóre podwójne podbródki, a jesi~. inne braki w uzębieniu bądź policzki tak szorstkie, jak skórczan siodła. Mimo to Adon nie uznałby ich za nieatrakcyjni W jego mniemaniu wszystkie były równie urodziwe jak Corei

— No cóż, Corene — rzekł Adon, zwracając się nowicjuszeki. — Nie możesz się już doczekać, by zobaczyć Arabel, nieprawdaż?

— Mam wrócić z tobą? — spytała Corene stając obok Adona.

— Niezupełnie — odrzekł kapłan, spoglądając na nią z góry. Jej mały okrągły nosek powrócił do swych zwykłych rozmiarów, a blade policzki jak dawniej pałały bielą.

— Zostanę tutaj. Nie sądzę, aby zakłęcie rzucone przez księcia, mające chronić miasteczko przed bogami, zostało cał-kowicie zniesione. Potrzeba kogoś z dużym temperamentem, by nawiązał kontakt z Panią Tajemnic, skoro już założyliśmy tu Jej kościół.

Corene pocałowała Adona w policzek. Po czym otarłszy krew z ust, powiedziała:

— Nie wiem, czy to poskutkuje, ale spróbuję uleczyć twój nos i wszystkie te zadrapania.

— Dobrze, ale zostaw bliznę tak jak jest — rzekł Adon. Sarafina, wciąż jeszcze z twarzą zakrytą woalem podeszła do Adona i objęła go smukłym ramieniem w pasie.

— Od początku uważałam, że nadaje twemu obliczu cha-rakteru.

— Może masz rację — rzekł kapłan, wybuchając śmiechem — ale nie zamierzam dłużej zaprzętać sobie nią głowy. Od tej pory najważniejsza jest dla mnie Tegea i to, w jaki sposób mógłbym jej pomóc.

Sarafina zdjęła woal i uśmiechnęła się do niego. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką Adon kiedykolwiek miał okazję oglądać.

MROCZNE ZWIERCIADŁO

R. A. Salvatore

Wschód słońca. Narodziny nowego dnia. Przebudzenie świata na powierzchni, przepełnione nadziejami i marzeniem milionów serc. A także — czego również mam bolesną świadomość, beznadziejną i żmudną pracą wielu innych.

W mrocznym świecie mojej spuścizny jako mrocznego elfa nie istnieje coś takiego jak wschód słońca. Nic w pozbawionym światła Underdark nie jest w stanie dorównać pięknemu widoku słońca wynurzającego się z wolna ponad wschodnim krańcem horyzontu.

Nie ma dnia, nocy ani pór roku.

To oczywiście, że duch musi coś utracić w niezmiennym cieple i pośród niezmiennych ciemności. Z całą pewnością w otchłani wiecznego mroku Underdark nie sposób doświadczyć ożywiającego przyływu nadziei — jakkolwiek by się on nie wydawał niedorzeczny, co zdarza się często w owej magicznej chwili, gdy horyzont połyskuje srebraowo, zwiastując nadejście świtu. Gdy ciemność trwa wiecznie, posępny nastrój zmierz. niebawem się zatracą, zaś ożywione tajemnice nocy na powierzchni zostają zastąpione faktycznymi wrogami i nadrealnymi niebezpieczeństwami Underdark.

Wieczność jest porą roku w Underdark. Na zima jest czasem refleksji, porą rozmyślań o śmiertelne i o tych, którzy odeszli. Jednakże jest to tylko jedna z roku i melancholia nie zakorzenia się zbyt głęboko. Widzia zwierzęta rodzące się wiosną, niedźwiedzie budzące się ze zimowego i ryby uparcie płynące pod prąd na miejsce. Widziałem ptaki szybujące z gracją po niebie, pierwszy nowo narodzonego żrebięcia...

Zwierzęta z Underdark nie potrafią się cieszyć. Wydaje mi się, że cykle świata na powierzchni są dziej żywe i radosne. Nie panuje tam jeden, nie p< gający zmianom nastrój, ani zbyt beztroski, ani zbyt ^ nury. Wyżyna emocjonalna osiągnięta z nastaniem świt przed wieczornym zniknięciem ognistej kuli za krawędź horyzontu na zachodzie może się przerodzić w gwałtowną depresję.

I tak jest lepiej. Lęki niechaj należą do nocy, by __, mógł być pełen słońca, a co za tym idzie, pełen nadziei. Płomienie gniewu niechaj zostaną ostudzone przez zim o w śniegi, a następnie zapomniane podczas pierwszego wiosennego ocieplenia.

W niezmiennym Underdark gniew pełni się, póki żąd zemsty nie zostanie zaspokojona.

Ta niezmiennosc wpływa również na religię, która je tak ważna dla mego rodu, mrocznych elfów. Miaste mych narodzin władają kapłanki, a wszyscy pospołu kor się pod rządami okrutnej pajęczej królowej Lloth. Jeż^ chodzi o religię drowów, jest ona jedynie sposobem osiąga-; nią praktycznych korzyści, zdobywania władzy i pomimo! wszelkich ceremonii i rytuałów mój lud jest duchowo mart-| wy. Albowiem uduchowanie to huragan emocji, kontrast między nocą a dniem, którego drowy nigdy nie poznają To popadanie w rozpacz i wspinanie się na najwyżs wyżyny.

A z im głębszego upadku przychodzi się wydobyć, tym wyższa wydaje się góra.

Nie mógłbym wybrać lepszego dnia na opuszczenie Mithril Hali, gdzie ponownie sprawował rządy mój przyjaciel, krasnolud Bruenor Battlehammer. Przez dwa stulecia ojczyzna krasnoluda znajdowała się w rękach złych szarych krasnoludów, duergarów, i ich potężnego wodza, smoka cieni Shimmergloom. Obecnie smok nie żył, zabity własnoręcznie przez Bruenora, a szare krasnoludy zostały wyparte z krainy.

W górach wokół warowni leżał gęsty śnieg, ale przejaśniające się coraz bardziej błękitne niebo było czyste, a gwiazdy wypalały się do końca, póki noc nie wycofała się ustępując miejsca świtowi. Moje wyczucie czasu mnie nie zawiodło, toteż zasiadłem twarzą ku wschodowi na płaskim kamieniu, oczyszczonym przez wiatr ze śniegu, na kilka chwil przed codziennym spektaklem, którego, o co zawsze modłę się w duchu — nie chciałbym nigdy przeoczyć.

Nie potrafię opisać mrowienia w piersi i fali uczuć roz-dzierających me serce w tych ostatnich chwilach, nim żółty rąbek słońca Faerunu wyłoni się spoza pałającej linii horyzontu. Wędrowałem po powierzchni od blisko dwóch dekad, ale oglądanie wschodu słońca nigdy mnie nie znudziło. Stało się dla mnie antytezą kłopotliwych chwil w Underdark, symbolem mej ucieczki od pozbawionego światła świata i złych dróg, jakimi podążali moi bliźni. Nawet gdy to się kończy, a tarcza słońca wyłoniwszy się spoza linii horyzontu rozpoczyna swą wędrówkę po niebie, czuję, jak jego ciepłe płomienie przenikają moją hebanową skórę i to przepelnia mnie witalnością, jakiej nigdy nie zaznałem w czeluściach świata.

Tak samo było i owego zimowego dnia, na najbardziej wysuniętym na południe grzbiecie masywu Gór Świata. Opuści-łem Mithril Hali zaledwie przed kilkoma godzinami i miałem przed sobą jeszcze sto mil drogi do Silverymoon, które musiało być jednym z najwspanialszych miast na świecie. Bolesnym było dla mnie pozostawienie Bruenora i innych, skoro w kopalniach tyle jeszcze zostało do zrobienia. Przejeliśmy sztolnie wcześniej, oczyszczając je tej zimy z duergarów i rozmaitych innyc potworów, jakie zagnieździły się tam podczas dwusetletnie nieobecności klanu Battlehammera.

Ponad górami znów pojawiły się strzelające w niebo kolumny dymów z rozpalonych pieców, a wśród skał rozległ się stuk krasnoludzkich młotów, nieustannie poszukujących złóż cenne mithrilu.

Dzielo Bruenora dopiero się rozpoczęło, zwłaszcza, że jego adoptowana córka z rodu ludzi, Catti-brie, zaręczyła się z barbarzyńskim osiłkiem, Wulfgarem. Bruenor nie posia się ze szczęścia, choć jak większość ludzi, których poznał nie mógł w pełni przeżyć tej radości, pochłonięty szaleńczo przygotowaniami zbliżającego się ślubu i rozprowadzając prawo i lewo niestworzone historie, jakoby nadchodząca uroć miała przyćmić wszystkie inne, jakie kiedykolwiek odbyły się w Northland.

Nie powiedziałem o tym Bruenorowi. To nie miało sensu aczkolwiek natłok zajęć Bruenora osłabił nieco moje pragnienie opuszczenia Hallu. Niełatwo wszakże zignorować zaproszenia od Alustriel, przewspaniałej lady z Silverymoon, zwłaszcza otrzymuje jej wyrzutek, ciemny elf, szukający rozpaczliwiej akceptacji wśród ludzi lękających się przedstawicieli jego rodu.

Pierwszego dnia podróży szedłem różnym krokiem. Chciałem przebyć rzekę Surbrin i zostawić za sobą najwyższe góry i właśnie na brzegu rzeki, mniej więcej pod wieczór, napotkali te ślady. Jakaś liczna, około dwudziestosobowa mieszana grupa przechodziła tędy całkiem niedawno. Największe ślady należą do ogrów. Jako że te stworzenia były dość często spotykane na tym obszarze, wcale mnie to nie zdziwiło; najbardziej natomiast zmartwiły mnie najmniejsze ze śladów. Sądząc wielkości i kształcie domyśliłem się, że musiały należeć ludzi, a niektóre z nich nawet do ludzkich dzieci. Zastanowił mnie, że jedne ślady butów były częściowo zatarte ślad potworów, inne zaś same zacierały ślady potworów. Wszystkie powstały mniej więcej w tym samym czasie.

Kto zatem był więźniem, a kto oprawcą?

Nietrudno było podążać śladami grupy. Moje obawy je bardziej przybrały na sile, gdy na ścieżce dostrzegłem kilkanaście plam, rozprysniętych kropeł jasnoczerwonej barwy. W

sytuacji dodała mi otuchy obecność jednego z przedmiotów, jaki zabrałem ze sobą. Catti-brie pożyczyła mi na pierwszą wyprawę do Silverymoon, Taulmaril, znany również jako Od-najdywacz Serc. Dzierżąc w dłoni ów potężny magiczny łuk ruszyłem w dalszą drogę z przeświadczeniem, iż jestem przygotowany na spotkanie z każdym możliwym niebezpieczeństwem.

Stąpałem ostrożnie, trzymając się w miarę możliwości w cieniu, a naciągnięty głęboko kaptur ciemnozielonego płaszcza niemal idealnie przesłaniał moje oblicze. Mimo to

zdawałem sobie sprawę, iż ścigana przez mnie grupa jest coraz bliżej. Trzymając się brzegu rzeki, nie mogli mieć nade mną więcej niż godzinę przewagi.

Nadszedł czas, aby przywołać mego najbardziej zaufanego sprzymierzeńca. Wyjąłem figurkę pantery, owo ogniwo łączące mnie z Guenhwyvar, z sakwy przy pasie i postawiłem na ziemi.

Przywołanie nie było głośne, ale wcale nie musiało, gdyż Guenhwyvar z pewnością rozpoznała mój głos. Niebawem pojawiła się charakterystyczna szara mgła, a w chwilę później wyłoniła się z niej czarna pantera, sześćset funtów idealnej sprawności bojowej.

— Będziemy chyba musieli uwolnić kilkoro jeńców — po-wiedziałem do wielkiego kota, wskazując na ślady. Jak zawsze pomruk zrozumienia, jaki wydała Guenhwyvar, dodał mi otuchy i wyruszyliśmy w drogę, mając nadzieję odnaleźć wroga przed zapadnięciem zmierzchu.

Pierwsze oznaki jakiegoś poruszenia dostrześliśmy zgoła nieoczekiwanie na drugim brzegu rozległej Surbrifl. Przycup-nąłem za kamieniem, z Taulmarilem gotowym do strzału w rękę. Reakcja Guenhwyvar była podobnie defensywna — pan-tera ukryła się za głazem przy brzegu, przebijając nerwowo tylnymi łapami. Wiedziałem, że Guenhwyvar może z łatwością jednym susem pokonać trzydziestostopową odległość dzielącą 'J'A od przeciwległego brzegu. Mnie przebycie rzeki zajęłoby więcej czasu, a obawiałem się, że z tej strony rzeki nie mógłbym jej wiele pomóc.

Dobiegające z przeciwległego brzegu odgłosy zdawały się świadczyć, że my również zostaliśmy zauważeni, moje obawy potwierdziły się w chwilę później, gdy pierzasta strzała ze świstem przemknęła tuż nad moją głową. Zastanawiałem się, czy nie odpowiedzieć w ten sam sposób. Łucznik skrył za skałą, ale wiedziałem, że strzała wypuszczona z Taulma mogłaby przeszyć na wylot ową wątłą kamienną opokę. Mimo to wstrzymałem się i nakazałem Guenhwyvar, , pozostała na miejscu. Jeśli była to grupa, którą ścigał* czemu nie zasypano mnie całym gradem strzał? I czemu gi ogry nie wydawały, jak to miały w zwyczaju, przeciąg okrzyków wojennych?

— Nie jestem wrogiem! — zawołałem, skoro i tak mo obecność nie była już dla nikogo tajemnicą.

Odpowiedź jaką otrzymałem sprawiła, że zwoleńcem cięćiv

— Jeśli nie wrogiem, to kim?

W tym momencie znalazłem się w kłopotliwej sytta którą może pojąć jedynie mroczny elf, wędrujący po powierzchni Naturalnie, nie byłem wrogiem owych ludzi, wieśniaków, ja przypuszczałem, którzy ruszyli w pościg za oddziałem najeźc ców. Nie wiedząc o sobie

nawzajem, dążyliśmy ku ten« samemu celowi, ale co mogą sobie pomyśleć ci prości ludkowie gdy zobaczą przed sobą mrocznego elfa?

— Jam jest Drizzt Do'Urden, pogranicznik i przyjadę króla Bruenora Battlehammera z Mithril Hali! — zawołał Zsunąłem kaptur i wyszedłem z za skały oczekując, aż pierwsze, jak zawsze przesycone napięciem spotkanie, dobieg wreszcie końca.

— Cuchnący drow! — usłyszałem czyjś okrzyk, ale innj mężczyzna, około pięćdziesiątki, powiedział do niego i pozostałych, aby nie strzelali.

— Ścigamy bandę orków i ogrów — wyjaśnił sta^ mężczyzna, który, jak się potem dowiedziałem, nosił imif Tharman.

— A zatem znajdujecie się po niewłaściwej stronie rzei — odkrzyknąłem. — Ślady prowadzą wzdłuż tego brzegiŁ. Domyślam się, że wiodą do pobliskiego traktu. Możecie pr "*" na tę stronę?

Tharman przez chwilę dyskutował z pozostałymi — byt ich w sumie pięciu — po czym dał mi znak, abym pozosta« tam, gdzie stałem. Przeszedłem przez zamarzną rzekę w niezbytj dużej odległości od miejsca, gdzie z jej nurtu wystawa sporych rozmiarów głazy — i w kilka minut później wieśniacy dołączyli do mnie. Ich odzienie było liche, broń marna, ot, prości wieśniacy, najprawdopodobniej nie mogący się równać z bezlitosnymi orkami i ogrami, które niedawno przemierzały ten szlak. Tharman jako jedyny z całej grupy widział w swym życiu więcej niż trzydzieści zim. Dwóch wieśniaków wyglądało, jakby nie widziało nawet dwudziestu, jeden zaś był nieledwie gołowąsem, choć lica pozostałych czterech mężczyzn zdobił tradycyjny gęsty zarost.

— Na łyzy Ilmatera! — zawołał jeden z nich zdumiony, gdy podeszli bliżej. Jeżeli widok mrocznego elfa nie wytrącił ich z równowagi, z pewnością stało się tak, gdy zobaczyli Guenhwyvar.

Głośny okrzyk wieśniaka zaskoczył Guenhwyvar. Pantera musiała uznać, iż prośba do Boga Cierpienia jest w jakimś stopniu zagrożeniem, gdyż stuliła uszy i obnażyła poźółkłe kły.

Mężczyzna omal nie zemdlał, a stojący obok niego towarzysz niepewne sięgnął po łuk.

— Guenhwyvar to przyjaciel — wyjaśniłem — podobnie jak ja.

Tharman przeniósł wzrok na mężczyznę w łachmanach, o połowę odeń młodszego, dźwigającego młot, który bardziej pasowałby do kuźni niż jako broń na bojową wyprawę. Młodszy mężczyzna natychmiast gwałtownie odepchnął dłoń nerwowego łucznika od jego łuku. Zorientowałem się już, że krępy brutal był przywódcą grupy i to zapewne on zmusił pozostałych, by rozpoczęli poszukiwania od lasu.

Pomimo iż najwyraźniej przyjęto moje słowa, napięcie ani trochę nie zelżało. Czułem strach i niepokój emanujące z ciał tych mężczyzn, włącznie z Tharmanem. Zauważyłem, że młodzi wieśniacy mocniej ściskali broń w rękach. Wiedziałem, że mnie nie zaatakują — wynikało to z posępnej reputacji, stanowiącej dziedzictwo mojej rasy. Mało kto miał ochotę na stoczenie bitwy z mrocznymi elfami. Zresztą nawet gdybym nie był egzotycznym drowem, wieśniacy nie zaatakowaliby, gdy u mego boku warowała potężna czarna pantera. Zdawali sobie sprawę, że szansę nie były wyrównane i co więcej, wiedzieli, że potrzebują sojusznika, jakiegokolwiek sojusznika, aby przyłączyć się do ich pościgu.

Pięciu ludzi, kiepsko uzbrojonych i praktycznie nie noszą pancerzy wieśniaków.

Co, na Dziewięć Piekieł, zamierzali począć przeciwko działowi dwudziestu potworów, wśród których były równie ogry? Mimo to podziwiałem ich odwagę i nie mogłem wiedzieć, iż ludzie ci byli głupcami. Wszystko wskazywało to, że najeźdźcy wzięli jeńców. Jeśli ci nieszczęśnicy by członkami rodzin owych mężczyzn — jak już wcześniej wspomniałem, znajdowały się wśród nich dzieci, ich desper była całkiem zrozumiała, a działania godne podziwu.

Tharman zbliżył się, wyciągając pobrudzoną ziemią ręk Muszę przyznać, że powitanie, nerwowe, acz szczerze ciepło poruszyło mnie. Tak często spotykałem się z drwinami, obelgą i obnażoną bronią!

— Słyszałem o tobie — zauważył.

— A zatem masz nade mną przewagę — odparłem uprzejmie ściskając jego nadgarstek.

Stojący za nim krzepki, krępy mężczyzna gniewnie zmrużył powieki. Trochę mnie to zdziwiło — moja łagodna uwaga najwyraźniej zraniła jego dumę. Czyżby uważał się za sławne wojownika?

Tharman przedstawił się, a twarde, krępy wódz natychmια postąpił kilka kroków naprzód, aby uczynić to samo.

— Jestem Rico — oświadczył buńczucznie — Rico Pengalle z osady Pengallen, piętnaście mil na południowy wschód(— Na brzmienie jawnej dumy w jego głosie Tharman skr się, a ja poczułem, że kiedy już dogonimy potwory, Ric może napytać nam wszystkim biedy.

Słyszałem o Pengallen, choć była dla mnie jedynie czarnymi światłami, widzianymi z oddali. Wedle map Br nora osada ta składała się z kilku wieśniaczych chat, otoczonych drewnianą palisadą. Tym samym mogłem porz nadzieję, że niebawem przybędzie tu oddział zorganizował milicji.

— Zostaliśmy zaatakowani wczoraj wieczorem, tuż po zmiechu — ciągnął Rico, brutalnie odpychając starszego mężczyzny na bok. — Orkowie i ogry, jak już mówiliśmy. Wzięli kilkoro jeńców...

— I moją żonę i syna — stwierdził Tharman z niepokojem w głosie.

— I mego brata — wtrącił inny.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad posępnymi nowinami, usiłując znaleźć jakieś pocieszenie dla zdesperowanych mężczyzn. Nie chciałem jednak budzić w nich fałszywych nadziei, nie gdy ich bliscy znajdowali się w rękach orków i ogrow, a nasze szanse przedstawiały się raczej mizernie.

— Mają nad nami niecałą godzinę przewagi — wyjaśniłem.

— Miałem nadzieję dogonić ich przed zmierzchem. Sądzę, że mając u boku Guenhwyvar, potrafię ich odnaleźć zarówno w dzień, jak i w nocy.

— Jesteśmy gotowi do walki — oznajmił Rico.

Mój wyraz twarzy — być może mimowolnie protekcyjny

— najwyraźniej nie przypadł mu do gustu, bo uderzył główką młota w swą otwartą dłoń i skrzywił się szczerząc zęby w złowieszczym grymasie.

— Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do walki — powiedziałem.

— Mam pewne doświadczenie odnośnie ogrow i orków. Oni są raczej niedbali, jeżeli chodzi o wystawianie wart.

— Masz zamiar wślizgnąć się do ich obozu i uwolnić naszych?

Ledwo hamowany gniew Rica nadal mnie zdumiewał, ale gdy obróciłem się do Tharmana, milcząco prosząc go o jakieś wyjaśnienia, ten ukrył dłonie w połach swego* znoszonego podróżnego płaszcza i odwrócił wzrok.

— Zrobimy, co będzie konieczne, by uwolnić jeńców — stwierdziłem.

— I powstrzymać potwory przed powrotem do Pengallen

— dodał obcesowo Rico.

— Z nimi można rozprawić się później — odparłem, usiłując go przekonać, że należy rozwiązywać jeden problem na raz. Wystarczyłoby, abym szepnął słówko Bruenorowi, a ten natychmiast przysłałby tu kilka setek krasnoludów, twardych, spragnionych walki wojów, którzy nie przerwaliby polowania, póki zagrożenie nie zostałoby definitywnie wyeliminowane.

Rico zwrócił się do swoich czterech towarzyszy lub, byłoby bardziej trafne, odwrócił się ode mnie plecami.

— Chyba pójdziemy za tym przebrzydłym drowem — stwierdził.

Nie uraziło mnie to. Przydarzały mi się dużo gorsze rz od obrzucania obelgami, a ta grupka desperatów, za wyjątkie Rica, wydawała się raczej zadowolona z pozyskania nowego sprzymierzeńca i nie zwracała uwagi na barwę mojej skór

Obozowisko wroga nietrudno było zlokalizować. Napotka śmy je po naszej stronie rzeki tuż po zapadnięciu zmierzchu Dla wygody lub — rzekłbym raczej — z głupoty, potwo rozpalily wielkie ognisko, aby odegnać zimowy chłód

Blask ogniska pozwolił mi przyjrzeć się uważnie obozowisku Nie było ani jednego namiotu, tylko ognisko i kilka kłó drzewa, ustawionych na kamieniach w charakterze ław. Te był raczej płaski, usłany wygładzonymi przez fale rzeki głazan Rosło tu również kilka rachitycznych drzew i rzadkich krzewów. Orkowie o świńskich pyskach zajmowali pozycje : północ i południe od ogniska, dzierząc w brudnych łapska toporny, acz złowieszczo wyglądający oręż. Przypuszczałem, podobne stráže wystawiono od zachodu przy brzegu rzek Jeńcy — z wyglądu cali i zdrowi, siedzieli stłoczeni opod ogniska, oparci plecami o wielki głaz. Było ich nie dwójki lecz czworo — dwóm chłopcom i żonie wieśniaka towarzys: zaskakująco dobrze ubrany goblin.

Z początku jego obecność bynajmniej mnie nie zdziwił Bardziej interesowało mnie wymyślenie najprostszego sposób na wejście i wyjście z obozowiska.

— Rzeka — wyszeptalem w końcu — Guenhwyvar i możemy przedostać się przez rzekę nie zauważeni. Wślizgnie się do obozu z drugiej strony powinno być dużo prostsze. |

Rico w pewnym sensie myślał o tym samym.

— Nadejdiesz od wschodu, od brzegu rzeki, a my uderzymj| na nich z flanki.

Gdy pokręciłem głową, posępny wyraz jego twarzy głębił się. Ten Rico najwyraźniej nie potrafił zrozumieć, zamierzałem wydostać więźniów bez wdawania się w krwafl jatkę.

— Przejdziemy razem z Guenhwyvar przez rzekę — usi-łowalem wyjaśnić — i spróbujemy uwolnić jeńców, kiedy ognisko trochę już przygaśnie.

— Powinniśmy ruszyć na nich, dopóki jest jasno — za-protestował Rico. — Nie jesteśmy tacy jak wy, drowy. — Ostat-nie słowo wypowiedział z wyraźnym obrzydzeniem. — Nie widzimy w ciemnościach.

— Ale ja tak — uciąłem dość ostro, gdyż Rico coraz bardziej mnie niepokoił. — Mogę dostać się do obozu, uwolnić jeńców i uporać się ze strażnikami, mając nadzieję, że uda mi się to zrobić bez alarmowania ich kompanów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy daleko stąd, nim potwory w ogóle zorientują się, że ich jeńcy zniknęli.

Tharman i trzej pozostali mężczyźni, wysłuchawszy mego prostego bądź co bądź planu, pokiwali głowami, ale Rico upiera! się przy swoim.

— A jeżeli coś nie wypali?

— Guenhwyvar i ja powinniśmy zająć potwory dostatecznie długo, byście wy i wasi uwolnieni ziomkowie mogli bezpiecznie uciec. Nie wierzę, aby potwory próbowały was ścigać, gdy stwierdzą, że ich jeńcy zostali porwani przez mroczne elfy.

Ponownie zobaczyłem, jak Tharman i trzej pozostali rażno kiwają głowami, a kiedy Rico ponownie usiłował zaprotestować, starszy mężczyzna położył rękę na jego ogorzałym ramieniu. Rico strząsnął ją gwałtownym gestem, ale nie powiedział już więcej ani słowa. Jego milczenie bynajmniej nie napawało mnie optymizmem, zwłaszcza gdy dostrzegłem grymas nienawiści, złością głębokie brudy na jego zarośniętej twarzy.

Przebycie na wpół zamarznętej rzeki było stosunkowo proste. Guenhwyvar po prostu przeskoczyła jednym susem na drugi brzeg. Ruszyłem jej śladem, sunąc wolno, ostrożnie po lodzie. Nie chciałem być w pełni uzależniony od tego kruchego mostu, toteż wybrałem na przeprawę miejsce, gdzie z rzeki wystawały największe kamienie.

Patrząc na obozowisko wroga z innej perspektywy, z drugiego brzegu, stanąłem w obliczu paru potencjalnych problemów — ściślej mówiąc gigantycznych ogrów, dwakroć wyższych ode mnie. W migoczącym świetle ich szorstka skóra lśniła ciemnawo, sterczące narośle jeszcze ciemniej, a długie, zmierz-1 wionę włosy wydawały się czarnogranatowe. Było ich co najmniej dwóch; kucali wśród kamieni na północ od jeńców,?! Sami jeńcy, zwrócenie twarzami w kierunku rzeki i moim,; opierali się plecami o gład. W chwili później zauważyłem! pilnującego ich orka, siedzącego przy tej samej skale, tak| samo o nią opartego, tyle że od pomocnej strony.

Na jego podołku spoczywał obnażony miecz. Często byk świadkiem brutalnego postępowania orków i domyśliłem że ork ów otrzymał rozkaz, by w razie ewentualnych kłopotó uśmiercił wszystkich jeńców. Uznałem go za potencjalnie bardziej niebezpiecznego. To jego gardło poderżnę jako pier tej nocy.

Teraz nie pozostało mi już nic innego, jak przyczaić si| i czekać, aż ognisko przygaśnie, a cały obóz spowie wywoła znużeniem senność.

Zaledwie pół godziny później usłyszałem napływające zna rzeki, ociekające wściekłością szepty. Nie dochodziły jednak strony obozowiska. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom; Ric i jego kompani kłócili się. Na szczęście dwaj orkowie strażnic znajdujący się najbliżej ich kryjówek, nie zareagowali natycli miast. Mogłem mieć jedynie

nadzieję, że ich uszy, nie wyczulone jak moje, nie zdołały wychwycić żadnego odgłosu sprzeczeki.

Minęło kilka chwil i na szczęście głosy ponownie umilkły! Nie rozluźniłem się jednak. Instynkt ostrzegał mnie, że niebaw wydarzy się coś drastycznego, a cichy warkot Guenhwy potwierdzał moje odczucia.

W tej krytycznej chwili nie chciałem uwierzyć, że może być tak niewiarygodnie głupi, ale mój instynkt i zmy wojownika przyjmowały to, w co nie chciał uwierzyć i odr mój umysł. Zdjąłem z ramienia Taulmaril, nałożyłem str na cięciwę i ponownie odnalazłem najdogodniejsze przejście na drugi brzeg.

Dwaj orkowie przy południowym stanowisku zaczęli kr się nerwowo i dyskutować między sobą gardłowo. Przygląda im się bacznie, ale większą uwagę poświęciłem orkowi dującemu się najbliżej jeńców. Obserwowałem również moim zdaniem najbardziej niebezpiecznych przeciwników z tej grupy. Wążący osiemset funtów, mierzący dziesięć stóp ogr może nie paść łatwo ani zbyt szybko pod ciosami moich scimitarów, ale by go powalić wystarczyłaby jedna dobrze wymierzona strzała z Taulmarila. Mimo to podstawowym założeniem mego planu było wydostanie jeńców z obozu w taki sposób, by ogry nawet się nie zorientowały; walka z tymi brutalnymi monstrami kosztowałaby mnie więcej czasu, niż mieliśmy zarówno ja, jak i jeńcy.

I nagle na moich oczach cały plan obrócił się wniwecz.

Jeden z orków coś krzyknął. Drugi, stojący obok niego, posłał strzałę w gąszcz krzewów, gdzie ukrywali się wieśniacy. Co było do przewidzenia, strażnik z mieczem poderwał się błyskawicznie, stając tuż obok bezradnych jeńców.

Ogry przy głazie poruszyły się niespokojnie, ale wydawały się bardziej zaciekawione niż zaniepokojone. W dalszym ciągu miałem cichą nadzieję, że sytuację jeszcze da się uratować — do chwili gdy usłyszałem wołanie Rica, wzywającego do ataku.

W każdej bitwie jest taki czas, kiedy wojownik musi porzucić świadome myśli i pozwolić, by jego poczynaniami kierował instynkt, musi z całego serca wierzyć w ów instynkt i nie może marnować czasu na kwestionowanie jego decyzji. Miałem tylko jedną szansę, by powstrzymać wymachującego mieczem orka przed zabiciem pierwszego jeńca, którym była żona Tharmana. Miecz stwora uniósł się wysoko w górę, a ja zwolniłem cięciwę; strzała, ciągnąc za sobą srebrzystą smugę rzuconego na nią czaru, błysnęła przelatując nad zamarzniętymi wodami Surbrinu.

Wydaje mi się, że trafiłem go w oko, ale niezależnie od tego, gdzie konkretnie wbiła się strzała, cała głowa orka najzwyczajniej w świecie rozleciała się na kawałki. Stwór runął

do tyłu w mrok, a ja ruszyłem przez rzekę, starając się pozostać możliwie jak najdłużej niezauważalny.

Orkowie znajdujący się najbliżej wieśniaków ponownie wystrzelili z łuków, po czym dobyli broni użytecznej w bezpośrednim starciu. Pomimo iż nie obejrzałem się, by to sprawdzić, wiedziałem, że to Rico prowadził natarcie. Trzej orkowie strzegący obozu od północy wydali głośny okrzyk i spojrzeli w kierunku rzeki, usiłując stwierdzić, co ząb jednego z ich kompanów. Jakże czułem się tam odsłonię mając wokół siebie jedynie pustkę i powoli, z najwyższą ostrożnością przesuając się ku przeciwnemu brzegowi. Me obawy okazały się uzasadnione, jako że orkowie wypatrzyli mnie prawie natychmiast. Zobaczyłem, jak unoszą łuki kolejnego strzału.

Być może strażnicy nie widzieli mnie wyraźnie albo z ich celnością było gorzej niż z moją. Niezależnie od powo pierwsze strzały chybiły. Zatrzymałem się, przerywając śnię natarcie, i sam wypuściłem dwie strzały. Jedna dosięgła — jej potężna siła rzuciła środkowego z trzech orków tyłu i na ziemię. Usłyszałem, jak strzała ze świstem przelatu o kilka cali nad moim uchem. Przypuszczam, że Guenhv która wyminęła mnie potężnym susem, przyjęła następną, gdy jej nie usłyszałem ani, szczęśliwym zrządzeniem bogów, poczułem w swym ciele.

Guenhwyvar wylądowała na brzegu przede mną i w jedu chwili wytraciła impet skoku, a jej giętkie mięśnie napręży się jak postronki. Setki razy widziałem Guenhwyvar wykonują podobne manewry, mimo to, jak zawsze, zaparło mi de w piersiach. Wielki kot wykonał skok w kierunku zachód ale gdy tylko dotknął łapami ziemi, bez choćby jedne dodatkowego kroku naprzód wykonał niewiarygodny skręt północ i rzucił się na łuczników, zanim zdążyli wypuścić kolejne strzały z napiętych cięciw.

Z prawdziwą ulgą powitałem dochodzące od południa głosy bitwy, gdy Rico i inni starli się z orkami. Dobrze, się nie wycofali, skoro już zamieszali w tym gnieździe szeni.

I wtedy zobaczyłem wstające ogry — nie dwa, lecz i wypuściłem kolejną strzałę. Trafiłem ich potężnego przywó w pierś, strzała przeszła brudne skóry, jakie gigant nosił sobie i zagłębiła się w niej po srebrzyste lotki. Ku me zdumieniu i przerażeniu, cuchnąca kreatura szła nadal. Pr: parę kroków, po czym opadła na kolana, oszołomiona, nie martwa. Gdy osunęła się na ziemię, rozejrzała się z ciekawieniem, jakby nie zdawała sobie sprawy, co ją zatr

Zanim dotarłem do drugiego brzegu, miałem czas na oddanie jeszcze jednego strzału i chciałem rozpaczliwie zabić kolejnego ogra. Jednak z tyłu za jeńcami pojawił się ork, a jego

złowieszcze intencje stały się oczywiste, gdy uniósł swój potężny, okrutny miecz nad główkami dzieci.

Ork odwrócił się do mnie bokiem. Strzeliłem mu w bark; strzała przeszła całe jego ciało do przeciwległego ramienia. Ork żył jeszcze, gdy upadł na ziemię, rzucając się bezradnie, z kompletnie bezwładnymi górnymi kończynami.

Teraz wydaje mi się to dziwne, ale przypominam sobie, że gdy w końcu dotarłem na drugi brzeg, upuszczając łuk i dobywając scimitarów, byłem poważnie zaniepokojony, że mogę stracić Taulmarila. Pomyślałem nawet, jak złałaby mnie Catti-brie, gdybym wrócił do Mithril Hali bez jej drogocennej broni. Były to jednak ulotne wizje, konieczny temat zastępczy, dopóki ponownie nie rzuciłem się w wir walki.

Błysk, miecz w moim prawym ręku, płonął wściekłym błękitem, idealnie odzwierciedlając gorejący we mnie ogień. Drugi scimitar jarzył się niebieskobiałym blaskiem, hołdem złożonym zimowym chłodom, gdyż miecz ów rozbłyskał wyłącznie w największe mrozy.

Trzy pozostałe ogry ruszyły na mnie hurmem — zawsze gdy przychodzi mi ścierać się z tak potężnymi, acz głupimi bestiami, myślę sobie, jak mogłyby być potężne, gdyby tylko zdołały przemóc tak naturalny dla nich chaos i opracować pewien konkretny porządek walki.

Jeśli chodzi o natarcie, najwyraźniej się nie zrozumieli, gdyż pierwszy ogr wysforował się znacznie przed swoich kompanów. Zaatakowałem szybciej, niż monstrum się tego spodziewało, tnąc nisko. Błysk z chrzęstem wgryzł się w rzepkę kolanową stwora, a mój drugi miecz wyrył głęboką bruzdę w udzie, gdy przemknąłem między jego wielkimi nogami i rzuciwszy się szczupakiem naprzód przetoczyłem po ziemi.

Ogr próbował zatrzymać się gwałtownie — zbyt gwałtownie, i przeszorował ostro ciałem po gładkich wypolerowanych kamieniach.

Usiadł ciężko na ziemi, a w tej samej chwili ja, znalazłszy się za jego plecami, byłem już na nogach. Rzadko kiedy zdarza się podobna okazja do zadania ogrowi ciosu w głowę toteż niezwłocznie ją wykorzystałem, tnąc Błyskiem z siły w czaszkę bestii i rozcinając nieomal na pół je z jego uszu.

Cięcie nie uśmierciło gigantycznego monstrum, ale je szyło. Zanim ogr zdążył dobiec do siebie, wybiłem się w postawie stopę na jego ramieniu i skoczyłem wyżej, zamasyżując w twarz drugiego stwora. Moje działanie zup go zaskoczyło. Jego ogromna, straszliwa maczuga przeznaczona była do obrony przed ciosami zadawanymi nisko. Nie szansa, by zdążyć unieść swój oręż do bloku.

Błysk rozplątał bok grubej szyi ogra, a drugi miecz wg się w jego policzek, odcinając gruby płat skóry i tkanek, że w świetle gwiazd rozbłysły czarne zęby potwora. Jedną ranę nie była śmiertelna i obawiałem się, że wpadnę w poważne tarapaty, gdy stworzyciel oplótł wolną ręką moje plecy i przycisnął z całej siły do swej potężnej, szerokiej piersi. szczęście prawą rękę trzymałem skierowaną pod kątem i udało mi się ułożyć ją tak, że trzymany w niej scimitar mierzył ter poziomo w klatkę piersiową ogra. Pchnąłem z całej wiedzy, że muszę uśmiercić ogra jednym szybkim cio — aby ocalić życie zarówno swoje, jak i jeńców.

Magiczne ostrze zanurzyło się w ciele ogra, zahaczyło o jedno z żeber, które musiało być grube niczym pień roś drzewa, po czym wślizgnęło się głębiej.

Poczułem wyraźne pulsowanie, gdy Błysk odnalazł ogra, silne, brutalne skurcze o mało nie wyrwały mi z dłoni rękojeści miecza.

Chciałem zabić go szybko i dokonałem tego. Ogr westchnął przeciągle, po czym obaj runęliśmy na ziemię. Natychmiast odtoczyłem się w bok, a umierający ogr zainkasował potężny cios maczugą, który ostatni z jego kompanów przeznaczył dla

Bitwa nie była jednak wcale wygrana. Do końca było jeszcze daleko. Ostatni trzymający się na nogach ogra przy niską pozycję defensywną, sprężony i gotowy do walki, gorsza, obaj giganci, ten, którego postrzeliłem strzałą i któremu rozplątałem ucho, nie wyzionęli ducha. Uparcie próbowali się podnieść, by powrócić do walki.

Sprawiło mi niejaką ulgę, gdy Guenhwyvar ponownie przebiegła obok mnie, dokładnie między mną i moim najnowszym przeciwnikiem. Sądziłem, że wielki kot zamierza dobić któregoś z rannych ogrów, ale Guenhwyvar kilkoma susami minęła wijące się na ziemi potwory i przeskoczyła nad przerażonymi, skulonymi jeńcami.

Zrozumiałem, czemu to zrobiła, gdy usłyszałem brzęknięcie cięciw — to przybyli orkowie pilnujący obozowiska od zachodu. Rozległ się przypominający grzmot ryk pantery, a w chwilę później — co było do przewidzenia, przepełnione zgrozą wrzaski. Potrzeba czegoś więcej niż kilku orkowych strzał, aby zatrzymać potężną Guenhwyvar.

Kiedy spojrzałem w bok, zauważyłem również, że jeńiec — ów dobrze odziany goblin, podniósł się z ziemi i rzucił do ucieczki, by w chwilę później rozpląnąć się w ciemnościach nocy. Prawie nie zwróciłem na niego uwagi, nie zdając sobie sprawy, jak radykalny wpływ ów szczególnie goblin wywrze na moje życie.

Myśli o tchórzliwych goblinach pierzchły, gdy jedyny ogra, który nie był ranny, zmusił mnie do ponownego podjęcia walki. Zamachnął się szeroko, raz, drugi, trzeci. Przyjąłem postawę czysto defensywną, zgrabnie uchylając się przed każdym ciosem. Tak jak się

spodziewałem, frustracja ogra narastała z każdym chybionym uderzeniem. Jego ataki stały się bardziej zaciekle, bardziej otwarte na kontry. Trafiłem olbrzymia cztery razy, otwierając bolesne, acz niezbyt poważne rany na jego skórze, gdy wtem zauważyłem, że ogr z rozplatanym uchem zaczyna się podnosić.

Mój przeciwnik raz po raz zadawał zamaszyste ciosy, zmuszając mnie do uników. Zaatakowałem jak burza, zadając trzymanymi w obu rękach scimitarami całą serię błyskawicznych bolesnych cięć; ogr cofnął się gwałtownie na swych wielkich stopach, o mały włos nie tracąc przy tym równowagi. Ja tymczasem odwróciłem się i skoczyłem ku oszołomionemu przeciwnikowi.

Bestia żałośnie dźwignęła swą ogromną maczugę, nie odzyskała jeszcze dość sił, by móc unieść ją wysoko w górę. Zamachnęła się, wolno i niezdarnie, ja zaś z łatwością zszedłem z linii ciosu. Gdy maczuga przemknęła obok, rzuciłem naprzód, tnąc jak oszalały oboma scimitarami. Nie pojęcia, ile krwawych bruzd wyryłem na obliczu ogra. W L.O niu oka twarz monstrum zmieniła się w niemożliwą rozpoznania krwawą miazgę.

Gdy martwy ogr osunął się na ziemię, zlustrowałem oboz,, sko i me serce przepełniło się radością, gdy stwierdziłem, ogr ze strzałą w piersi zrezygnował z walki, podobnie zresztą ze wszystkiego innego. Leżał twarzą do ziemi, w i bezruchu, że nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż być martwy.

Został tylko ten jeden, za moimi plecami, lekko Wiedziałem, że jestem w stanie pokonać każdego .. w równej walce, wiedziałem również, iż gdybym osią odpowiedni stopień koncentracji, monstrum nie zdoła,, nawet zbliżyć się do mnie na tyle, aby mnie zranić. Ja iż zawsze byłem spragniony walki z tymi obrzydliwymi j dłymi kreaturami, odwróciwszy się, przyznaję, z prawd wym żalem stwierdziłem, że jedyny pozostały przy ży ogr czmychnął w noc.

Uczucie żalu prysło, kiedy przypomniałem sobie o jeńc. Z prawdziwą ulgą przyjąłem fakt, iż orkowie z pohid zostali pokonani przez pięciu wieśniaków, przy czym ty najmłodszy z nich odniósł lekkie obrażenia. Rico uśmie się filuternie i przyznaję, że miałem ogromną chęć mu ten uśmiech z jego zarośniętej gęby.

W chwilę później do obozu powróciła krocząca ._ Guenhwyvar, oznajmiając tym samym, że obozowisko strony zachodniej zostało zabezpieczone. Pantera odniosła le rany od strzał orków, ale żadna nie była poważna. Tak .. walka dobiegła końca — trzy ogy i ośmiu orków nie ży a jeden ogr i może z pół tuzina orków salwowało się uciec Absolutne zwycięstwo, zważywszy, że po naszej stronie było żadnych ofiar śmiertelnych.

Niemniej jednak w dalszym ciągu dręczyła mnie świadome że ta bitwa wcale nie musiała mieć miejsca. Myśli o udziale Ricowi ostrej reprimendy prysły bardzo szybko na wid radosnego powitania między Thannanem i jego rodziną, jeszcze jednym wieśniakiem, któremu najeźdźcy porwali młodszego brata.

— Gdzie Nojheim? — rzucił ostro Rico. Jego gruboskórny ton zdumiał mnie. Gdyby stracił kogoś z rodziny, dziecko lub krewnego, spodziewałbym się raczej smutku. Jednak w zadany przezeń pytaniu nie było smutku, a jedynie desperacki gniew, jakby został w jakiś sposób znieważony.

Wieśniacy wymienili pełne zakłopotania spojrzenia i koniec końców ich wzrok zatrzymał się na mnie.

— Kim jest Nojheim? — spytałem.

— Goblinem — wyjaśnił Tharman.

— Wśród jeńców był jeden goblin — powiedziałem. — Wymknął się podczas walki i uciekł kierując na pomocny zachód.

— Ruszamy — rzucił Rico bez żadnego wahania, nie zwracając najmniejszej uwagi na uwolnionych jeńców. Uznałem jego żądanie za absurdalne; czy jeden goblin mógł być wart bólu tego mężczyzny, kobiety i chłopca, którzy dopiero co przeszli przez piekło?

— Noc jest jeszcze młoda — powiedziałem niezbyt uprzejmym tonem. — Rozpalcie ognisko i opatrzcie rannych. Ja wyruszę w pogoń za tym zbiegłym goblinem.

— Chcę go mieć! Chcę go z powrotem! — ryknął Rico. Najwyraźniej zdał sobie sprawę z mego zakłopotania i narastającego gniewu, gdyż niespodziewanie ochłonął i spróbował udzielić mi stosownych wyjaśnień.

— Nojheim był przywódcą oddziału goblinów, który zaatakował Pengallen przed kilkoma tygodniami — powiedział i powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych. — Goblin jest wodzem i z całą pewnością powróci tu z posiłkami. Uwięziliśmy go, aby urządzić mu proces, gdy naszą osadę zaatakowali nowi najeźdźcy.

Nie miałem powodu, by nie uwierzyć słowom Rica, tyle tylko iż wydało mi się dziwne, że wieśniacy z niewielkiej osady, tak często obleganej przez rozmaite monstra z dzikich stepów, trudziliby się przeprowadzaniem procesu schwytanego goblina. Wahanie (a może strach?) malujące się na twarzach pozostałych wieśniaków — a przede wszystkim Tharmana, również wzbudziły we mnie wątpliwości, ale złożyłem to na karb niepokoju, iż Nojheim mógłby powrócić ze spór posiłkami i spustoszyć ich bezbronną osadę.

— Nie spiesz mi się do Silverymoon — zapewniłem k — Schwytam Nojheima i przywiozę go jutro do Pengalle

Już miałem ruszyć w drogę, gdy Rico schwycił mnie ramię i odwrócił w swoją stronę.

— Żywego — warknął. Ten dźwięk wcale mi się i spodobał. Nigdy nie miałem oporu przed wymierzaniem go linom sprawiedliwości przy pomocy mych mieczy, ale okrutni ton głosu Rica zdawał się zdradzać płonąca w jego sen żądę zemsty. Mimo to nie miałem powodu, by wątpić w sło? ogorzałego wieśniaka, ani spierać się z prawami przyjęte] w osadzie Pengallen kodeksu sprawiedliwości. Guenhwyvar i wyruszyliśmy niezwłocznie na pomocny zachód, z łatwością odnajdując ślad uciekającego Nojheima.

Pościg trwał nieco dłużej, niż się spodziewałem. Podążając tropem Nojheima natrafiliśmy w pewnym momencie na przycinające się z nim ślady kilku zabłąkanych orków. Uznałem za konieczne nie dopuścić, by powrócili do swej kryjówek gdzie mogliby wezwać posiłki. Odnaleźliśmy ich niedługo potem

Było ich w sumie trzech. Z pomocą Taulmarila, który zaiste cudownym łukiem, uśmierciłem wszystkie trzy trzema precyzyjnie posłanymi strzałami.

Następnie wraz z Guenhwyvar zawróciliśmy, ponownie „należliśmy trop Nojheima i raz jeszcze wyruszyliśmy w mroźny Nojheim okazał się inteligentnym przeciwnikiem, co zdawało się potwierdzać słowa Rica, iż był on wodzem wśród ynikzemnej rasy. Goblin raz po raz zawracał, wspinał się rozłożyste gałęzie drzew i schodził na ziemię z dala od swego poprzedniego szlaku, zupełnie zmieniając kierunek marszruty. Koniec końców ruszył w stronę rzeki, jedynej jego ostoi, która mogła spowodować, iż pościg zakończy się fiaskiem. | Potrzebowałem całego zakresu swoich umiejętności jak<| tropiciela i pomocy wszystkich kocich zmysłów Guenhwyvar| aby dopaść goblina, zanim zdoła znaleźć się na bezpiecznym terytorium.

Szczerze przyznaję, że gdyby Nojheim nie był tak zmęczony» ostatnimi przeżyciami w niewoli bezlitosnych najeźdźców, najprawdopodobniej by się nam wymknął.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do brzegu rzeki, wykorzystałem moją wrodzoną zdolność — typową dla mieszkańców Underdark — by postrzegać obiekty dzięki emanowanemu przez nie ciepłu, a nie odbijanemu światłu. Niebawem dostrzegłem ciepłą poświatę sylwetki przesuwanej się wolno, krok za krokiem, po kamienistym mostku.

Nie ufając jawnym ograniczeniom infrawzroku, gdzie kształty są niewyraźne, a szczegóły jawią się jedynie jako plamy ciepła, podniosłem Taulmaril i wypuściłem gromostrzałę. Odbiła się od kamienia i plusnęła w wodę o parę stóp przed goblinem. Ten, zaskoczony, stracił równowagę i wpadł jedną nogą po udo w lodowaty nurt rzeki. Srebrzysty błysk niczym blask pioruna oświetlił sylwetkę goblina, tak że bez trudu go rozpoznałem. Pobiegnąłem w kierunku kamiennego przejścia.

Guenhwyvar minęła mnie. Znajdowałem się w połowie mostku, biegnąc co sił w nogach, kiedy z ciemności dobiegł mnie warkot pantery i zaraz potem głośny, przerażony okrzyk goblina.

— Zostaw, Guenhwyvar! — zawołałem, nie chcąc, by pantera rozdarła stwora na sztuki. Kiedy do nich dotarłem, drobny, żółtoskóry Nojheim leżał na ziemi, przyszpilony potężnymi łapami pantery. Rozkazałem Guenhwyvar, aby się cofnęła, a gdy wykonała polecenie, Nojheim podczołgał się do mnie i objął mój but długimi, wrzecionowatymi rękoma. Zauważyłem, że na nadgarstkach wciąż jeszcze miał rozerwane skórzane pęta.

Mało brakowało, a dałbym mu po łbie rękojęścią mego scimitara, ale zanim zdążyłem zareagować, żalony Nojheim zaczął niezdarnie zasypywać moje buty pocałunkami.

— Proszę, mój dobry panie! — jęknął drażniącym, piskliwym, wysokim głosem, tak typowym dla goblinów. — Proszę, och, proszę. Nojheim nie uciekać. Nojheim bać się, bać się wielkie, brzydkie ogry z duże maczugi. Nojheim się bać.

Dłuższą chwilę trwało, nim w końcu doszedłem do siebie. Następnie podniosłem goblina na nogi i rozkazałem mu zamil-knąć. Gdy tak tam stałem, patrząc na szpetne, płaskie oblicze goblina, spadziste czoło, błyszczące, żółte oczy i gąbczasty nos, z trudem powstrzymałem się przed użyciem broni. Jestem pogranicznikiem, obrońcą miłujących pokój ras przed licznymi złymi istotami zamieszkującymi Faerun, spośród których moi najbardziej znieawidzonym wrogiem były właśnie gobliny. — Proszę — powtórzył żałośnie. Schowałem miecze do pochew, a szerokie usta Nojheim wykrzywiły się w wymuszonym uśmiechu, ukazując jego lic małe, acz ostre zęby.

Świt był już bliski, więc natychmiast chciałem wyruszyć w drogę powrotną do Pengallen, ale Nojheim był na w zamarznięty po niefortunnym obsunięciu się do rzeki, skrzywionej pozycji, w jakiej stał, domyśliłem się, że zup albo prawie zupełnie stracił czucie w zamoczonej w rzece no-*. Jak już mówiłem, nie przepadam za goblinami i zwyzi nie mam wobec nich litości. Gdyby Nojheim najechał moją osadę, wypuściłbym drugą strzałę, zanim by jeszcze zdążył wyjąć nogę z rzeki, i w ten sposób definitywnie zakończyłby całą sprawę. Wiązała mnie jednak obietnica złożona wieśniako* z Pengallen, toteż czym prędzej rozpałem ognisko, pozwalając goblinowi, aby rozgrzał zdrtwiałą kończynę.

Poczynania Nojheima od chwili, gdy go schylałem, nie przestawały mnie zadziwiać i budziły w moich myślach coraz więcej wątpliwości. Następnego ranka, tuż po tym, jak odesłałem Guenhwyvar na Płaszczyznę Astralną, zacząłem go wypytywać. Goblin uparcie milczał. Siedział w milczeniu, z wyrazem rezygnacji na twarzy, odwracając wzrok, kiedy tylko

próbowałam zagajać rozmowę. Niech i tak będzie — powiedziałem sot w duchu — to nie moja sprawa.

Nieco później tego popołudnia przybyliśmy do Pengalle, sioła składającego się z około tuzina niskich drewnianych chat, ustawionych pośrodku zupełnie wykarczowanej z drze polany, otoczonej wysoką palisadą z bali. Pozostali przyby do osady kilka godzin wcześniej, a Rico najwyraźniej uprzedził* dwóch strażników przy bramie o moim rychłym przybyciu. « Nie wpuścili mnie od razu, aczkolwiek nie zachowywali! się niegościnnie, toteż czekałam. Rico zjawił się w kilka! chwil później. Widocznie polecił, by wezwano go niezwłocznie,| gdy tylko się pojawię.

Wyraz twarzy krzepkiego, tęgiego mężczyzny znacznie się zmienił od poprzedniej nocy. Jego kwadratowej szczęki niej wykrzywił już złowieszczy grymas, lecz wyraz radości z powodu zakończenia całej sprawy. Nawet jego szeroko rozstawione, niebieskie oczy zdawały się uśmiechać, gdy zmierzył wzrokiem mnie i mego jeńca — wszystkie bruzdy na jego rumianym obliczu uniosły się w górę.

— Szlachetnie postąpiłeś, oferując nam swoją pomoc — zwrócił się do mnie, zarzucając na szyję Nojheima pętlę ze sznura, jak smycz, na których wieśniacy z osady prowadzali swoje psy. — Wiem, że masz pilne sprawy w Silverymoon, pozwól zatem, iż raz jeszcze upewnię cię, że w Pengallen ponownie panuje spokój.

Miałem dziwne, ulotne uczucie, że zostałam bezceremonialnie splawiony.

— Posil się, proszę, w naszej gospodzie — dorzucił po-spiesznie Rico, dając mi ręką znak, bym wjechał do Pengallen przez otwartą już teraz bramę. Czy moje zakłopotanie było aż tak ewidentne? — Posil się i napij — dorzucił radośnie.

— Powiedz oberżystcie, Aganisowi, że to na mój rachunek.

Zamierzałam przekazać im jeńca i natychmiast wyruszyć w drogę, aby jak najszybciej dotrzeć do Silverymoon. Nie mogłam się już doczekać zobaczenia cudownego miasta nad rzeką Rauvin, spacerów za przyzwoleniem i z błogosławieństwem władczyni, wzdłuż przewspaniałych, krętych bulwarów, wizyt w muzeach oraz nie mającej sobie równych bibliotece. Jednak instynkt podpowiadał mi, bym udał się na ten posiłek. Coś w całym tym scenariuszu wydawało się nie w porządku.

Aganis, pękaty jak baryłka brodacza, na którego ustach często gościł uśmiech, był rzeczywiście zdziwiony widząc mrocznego elfa w progach swojej oberży, sporego, piętrowego budynku, stojącego na wysokości środka tylnego wału palisady okalającej wioskę.

Miejsce to pełniło funkcję gospody, placówki wymiany towarowej i wiele innych. Gdy tylko zdołał przemóc swą pierwszą reakcję — przypuszczam, że śmiertelne przerażenie jest jedynym określeniem na to, co zobaczyłem na jego obliczu — zajął się pełnieniem swych obowiązków i, jak sędzę, aby mi dogodzić, postawił przede mną porcję jadła i napitku, dużo większą niż ta, która stała przed wieśniakiem zajmującym miejsce przy końcu baru. Pozostawiłem ten jawny przypochlebiania się bez komentarza. Noc była długa, a ja byłem głodny.

— A więc ty jesteś Drizzit Do'Urden? — zapytał wieśnia siedzący przy końcu baru. Był to starszy mężczyzna o p] rzędzonych siwych włosach i pomarszczonej twarzy, kt musiała oglądać niezliczone wschody słońca.

Aganis słysząc to pytanie wyraźnie pobladł. Czy uważał, uznam to za zniewagę i obrócić jego interes w perzynę?

— Drizzt — poprawiłem, spoglądając na mężczyznę.

— Jak Timberline — rzekł mężczyzna. Wyciągnął rękę,] czym cofnął ją, otarł o koszulę i ponownie podał mi dło

— Słyszałem o tobie, Drizzt. Zauważyłem, jak bardzo starał, by wymówić me imię poprawnie i przyznaję, że ogrom mi to pochwiliło.

— Mówią, że jesteś pogranicznikiem.

Ucisnąłem mocno jego dłoń, i — o czym jestem przekonana

— mój uśmiech znacznie się poszerzył.

— Nie będę ukrywał, Drizzt — znów moje imię, wymówios powoli a dokładnie — nie obchodzi mnie czyjś kolor skóry Słyszałem o tobie, słyszałem sporo dobrego o tym, czego i twoi przyjaciele dokonaliście w Mithril Hali.

Jego komplement był odrobinę protekcyjalny i biec Aganis ponownie przybladł. Nie odebrałem jednak tego jak zniewagi, składając niezręczność Jaka na karb jego niedoświadczenia. Powitanie było wszak całkiem taktowne w porów naniu z wieloma innymi, z jakimi się spotkałem, odki znalazłem się w świecie na powierzchni — tyle razy mia dłoni wyciągano w mym kierunku obnażony miecz.

— To dobrze, że krasnoludy odzyskały sztolnie — pr znalazłem.

— I dobrze się złożyło, że spotkałeś się z grupą — dodał Jak.

— Tharman od rana nie posiada się ze szczęścia — dorz zdenerwowany oberżysta.

To wydawało mi się całkiem normalne, gdyż musicie zro zumieć, że w mych kontaktach z rasami zewnętrznego świat przywykłem do wszelkiego rodzaju nietypowych zachowań.

— Przyprowadziłeś Ricowi jego niewolnika? — spytał ob-cesowo Jak.

Ostatni kęs stawy nieoczekiwanie utkwił mi w gardle.

— Nojheima — wyjaśnił Jak — goblina.

Widziałem niewolnictwo w całej jego brutalności w Men-zoberranzan, mieście mych narodzin. Mroczne elfy przetrzymywały niewolników z wielu ras, wykorzystując ich brutalnie, a gdy przestawali być użyteczni, poddawały ich torturom, łamiąc ich ciała tak, jak wcześniej łamały ich dusze. Zawsze uważałem niewolnictwo za odrażające, nawet gdy praktykowano je w odniesieniu do tak niewydarzonych ras, jak gobliny i orki.

Skinąłem w odpowiedzi do Jaka, ale widząc mój nagły grymas mężczyzna umilkł. Aganis nerwowo czyścił kilkakrotnie ten sam talerz, przez cały czas patrząc na mnie i raz po raz ocierając fartuchem spocone czoło.

Do końca posiłku prawie nie rozmawiałem, dowiedziałem się tylko mimochodem, która z chat należała do Rica. Nie chciałem odpowiedzi od tych dwóch ludzi. Chciałem na własne oczy zobaczyć, co uczyniłem.

O zmierzchu stanąłem przy płocie otaczającym dom Rica. Chata była prostą budowlą z desek i bali, ze szczelinami zalepionymi błotem, aby wiatr nie dostawał się do wewnątrz, i spadzistym dachem, mającym zapobiegać osadzeniu się na nim śniegu.

Nojheim wykonywał swoją pracę — jak zauważyłem, nie miał na sobie okowów, ale w pobliżu niego nie było nikogo. Zauważyłem, że zasłony pojedynczego okna w ścianie chaty poruszyły się kilkakrotnie. Najwidoczniej Rico albo ktoś z jego rodziny pilnował goblina.

Kiedy Nojheim skończył oporządzać kozę przywiązaną do palika przy ścianie domu, spojrzał na ciemniejące niebo i wszedł oddalonej nieznacznie od chaty niewielkiej stajni, przypominającej bardziej komórkę. Przez liczne szczeliny w jej kanciastych ścianach dostrzegłem w chwilę później blask rozpalonego wewnątrz ognia.

Co się tu stało? Nie mogłem tego pojąć. Jeżeli Nojheim rzeczywiście najechał Pengallen na czele swego oddziału, dlaczego pozwalano mu na taką swobodę? Przecież w każdej chwili mógł wziąć zapaloną żagiew, choćby tak jak teraz, z ognis i podłożyć ogień pod chatę Rica.

Stwierdziłem, że nie zapytam o to Rica — w głębi du odgadłem, co się stało i zdawałem sobie sprawę, iż uzyskam od niego szczerych odpowiedzi.

Kiedy tylko wszedłem w głąb cieni słabo oświetlonej Nojheim znów zaczął swoje żałosne zawodzenia.

— Proszę, och proszę — rzucił zawodzącym, skrzekliw głosem goblinów, a jego gruby język z młasińciem przesunął się po wargach.

Odepchnąłem go, a mój gniew musiał być oczywisty, go nagle zamilkł i usiadł przy ognisku naprzeciw mnie, wpatruj się w pomarańczowe i żółte płomienie.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? Uniósł wzrok spoglądając na mnie z zaciekawieniem, jego twarzy malowała się jawna rezygnacja.

— Czy prowadziłeś najazd na Pengallen? — naciskałem.!!

Ponownie przeniósł wzrok na płomienie, a jego oblica wykrzywił grymas niedowierzenia, jakby to pytanie w ogoli nie wymagało odpowiedzi. I całkowicie mu uwierzyłem.

— A więc dlaczego? — spytałem ostro, wyciągając rękę, schwycić go za ramię i zmusić, by spojrzał mi w oczy. — Dlaczego mi nie powiedziałeś, czemu Rico chciał cię z powrotem?

— Powiedzieć ci? — wykrztusił, w jednej chwili stracił swo gobliniński akcent. — Goblin opowiadający Drizztowi Do'Ur denowi o swoich kłopotach? Goblin szukający wspóli u pogranicznika?

— Znasz moje imię? — Na bogów, nawet zdołał wypowiedzieć je poprawnie.

— Słyszałem wiele chwalebnych opowieści o Drizzicie Do'Urdenie, Bruenorze Battlehammerze i walkach o odzyskanie Mithril Hali — odparł i ponownie zdumiała mnie poprawność jego wymowy. — To znane historie, często opowiadane wśród wieśniaków z nizin, którzy mają nadzieję, że nowy król krasnolud będzie hojnie gospodarował swym ogromnym bogactwem.

Cofnąłem się. Goblin opuściwszy wzrok nadal wpatrywał się tępo w płomienie.

Nie wiem, jak długo trwało to milczenie. Nie wiem nawet, o czym myślałem. I Nojheim był spostrzegawczy. On wiedział.

— Pogodziłem się z moim losem — rzekł w odpowiedzi j na nie zadane przeze mnie pytanie, choć w jego głosie i brzmiało raczej słabe przekonanie.

— Nie jesteś zwykłym goblinem.

Nojheim splunął w ogień.

— Nie wiem nawet, czy w ogóle jestem goblinem — odparł. Gdybym w tej chwili coś jadł, z pewnością znów bym się zakrztusił. — Nie jestem takim goblinem, z jakimi się dotąd spotykałeś — wyjaśnił z bezradnym smutnym chichotem.

Zawsze zrezygnowany, pomyślałem, to takie typowe dla jego beznadziejnego położenia.

— Nawet moja matka... zamordowała mego ojca i moją młodszą siostrę. — Pstryknął palcami, aby nadać dalszej części swej wypowiedzi ironicznego tonu, podkreślając sar-kazm

brzmiący w jego głosie. — Zasłużyli na to w kategoriach goblinów, gdyż nie podzielili się z nią sprawiedliwie wieczerzą.

Nojheim zamilkł i pokręcił głową. Fizycznie rzeczywiście był goblinem, ale ton szczeroci w jego głosie sprawiał, iż pod względem temperamentu wydawał się diametralnie różny od typowych przedstawicieli swej parszywej rasy. Ta myśl jeszcze bardziej mną wstrząsnęła. Pełniąc od wielu lat funkcję pogranicznika ani razu nie poddawałem w wątpliwość żadnej z mych akcji przeciwko goblinom, nigdy nie wstrzymywałem moich scimitarów dostatecznie długo, by stwierdzić, czy którykolwiek z nich mógł być inny niż typowy przedstawiciel gatunku tych z reguły złych istot.

— Powinieneś był mi powiedzieć, że byłeś niewolnikiem — powtórzyłem.

— Nie jestem z tego dumny.

— Czemu tu siedzisz? — spytałem, pomimo iż natychmiast sam odpowiedziałem sobie na to pytanie. Ja również byłem niewolnikiem, jeńcem bezlitosnych niszczycieli umysłów spośród najbardziej okrutnych mieszkańców Underdark. Żaden stan nie jest równie paraliżujący, żadne cierpienie równie dojmujące.

W mojej ojczyźnie widziałem kontyngent setki orków, utmywanych pod całkowitą kontrolą nie więcej niż pół wojowników drowów.

Gdyby tylko zdobyli się na odwagę, bez trudu mogli rozprawić się ze swymi strażnikami. Jeśli jednak odwaga jest pierwszą rzeczą, której pozbawia się niewolnika, to z pewnością należy do najważniejszych.

— Nie zasługujesz na taki los — powiedziałem nie łagodnie.

— Co ty o tym wiesz? — rzucił ostro Nojheim.

— Wiem, że to jest złe — odparłem — i że trzeba z tym zrobić.

— Ja wiem, że gdybym spróbował uciec, zostałbym powieszony — stwierdził bezceremonialnie goblin. — Nigdy nikog nie skrzywdziłem. I nie chcę nikogo skrzywdzić. Ale cóż, już mój los. Takie jest moje życie.

— Nie jesteśmy związani naszą rasą — powiedziałem i 0 przypomniałem sobie moją własną, długą wędrówkę z mroczny czeluści Menzoberranzan, w moim głosie zabrzmiała wreszt nuta przekonania. — Powiedziałeś, że słyszałeś o mnie rózi rzeczy. Czy mogłeś się spodziewać takich opowieści doty mrocznego elfa?

— Jesteś drowem, nie goblinem — powiedział, jakby wszystko tłumaczyło.

— Sam stwierdziłeś, że jesteś takim samym odmieniu-wśród goblinów, jak ja wśród drowów — przypomniałem ma

— A kto to wie? — odparł wzruszając ramionami, jego gest bezradności uraził mnie do żywego. — Mam powie dzieć Ricowi, że w sercu i czynach wcale nie jestem goŁ linem, lecz ofiarą bezlitosnego losu? Sądziś, że by uwierzył? Uważasz, że ci prości wieśniacy potrafiliby zrozumieć?

— Boisz się spróbować? — zapytałem.

— Tak!

Zdumiałem się, słysząc intensywność jego głosu.

— Nie jestem pierwszym niewolnikiem Rica — stwien_ — Niegdyś więził gobliny, orków, a nawet bugbeara. Ba« go, rozumiesz, zmuszanie innych do wykonywania jego pr

Ale ilu innych niewolników widziałeś w obejściu Rica, Drizzcie Do'Urdenie?

Wiedział, że nie widziałem żadnego i jego wyjaśnienie wcale mnie nie zdziwiło. Zacząłem coraz bardziej nienawidzić tego Rica Pengallena.

— Rico skończył z nimi — ciągnął Nojheim. — Utracili zdolność przetrwania. Przestali być użyteczni. Zauważyłeś wysoki słup z poprzeczką przy frontowej bramie?

Wzdrygnąłem się, wyobraziwszy sobie, do czego mógł on być używany.

— Ja żyję i przetrwam — oznajmił Nojheim. I właśnie wtedy, po raz pierwszy, ogarnięty determinacją goblin odkrył nieznacznie swe prawdziwe odczucia, a w jego słowach za-brzmiała wyraźna nuta smutku.

— Pragnąłeś, aby te ogry cię zabiły — powiedziałem, a goblin nie zaprzeczył.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, a cisza wydawała się nam obu niewiarygodnym brzemieniem. Wiedziałem, że nie mogę pozwolić, by ta jawna niesprawiedliwość trwała nadal, nie mogłem odwrócić się plecami, gdy ktoś — choćby nawet i goblin, tak ewidentnie potrzebował mojej pomocy. Zacząłem się zastanawiać nad możliwościami działania i doszedłem do wniosku, że by ukrócić tę niesprawiedliwość, muszę użyć wszelkich moich wpływów.

Podobnie jak większość wieśniaczych osad w tym regionie, Pengallen nie było niezależnym siółem. Mieszkańcy znajdowa-li się pod protekcją, a tym samym podlegali prawom obo-wiązującym w okolicznych większych miastach. Mógłbym zwrócić się do Alustriel, władającej Silverymoon i do Brue-nora Battlehammera, najbliższego króla i mego najdroższego przyjaciela.

— Może któregoś dnia odnajdę w sobie siły, by przeciwstawić się Ricowi — rzekł nieoczekiwanie Nojheim, wrywając mnie z zamyślenia. Jego następne słowa wryły mi się głęboko w pamięć. — Nie jestem odważnym goblinem. Wolę żyć, choć często zastanawiam się, ile naprawdę jest warte moje życie.

Te słowa mogły paść z ust mego ojca. Mój ojciec, Zak'nafein również był niewolnikiem, choć nieco innego rodzaju. Wiódł dostatni żywot w Menzoberranzan, ale gardził zarówno mrocznymi elfami, jak i obieraną przez nich drogą złą.

Mimo to nie był w stanie uciec, nie potrafił znaleźć sposobu na wydostanie się z miasta drowów. Z braku odwagi żył jak na wojownika drowów przystało, pozostając przy życiu tylko dlatego, iż posługiwał się zasadami kodeksu, którym tak bardzo się brzydził.

Próbowałem raz jeszcze przypomnieć Nojheimowi, że umknąłem podobnego losu i udało mi się wybrnąć z rozpaczliwej sytuacji. Wyjaśniłem, że wędrowałem wśród ludzi, którzy niewątpliwie darzyli mnie nienawiścią i lękali się mnie ze względu na moją reputację i spuściznę.

— Jesteś drowem, nie goblinem — powtórzył i tym razem zrozumiałem sens ukryty w jego słowach. — Nigdy nie zdołają i pojąć, że w głębi serca wcale nie jestem zły jak inne gobliny. | Nawet ja niezupełnie to rozumiem!

— Ale wierzysz w to — stwierdziłem z naciskiem.

— Mam im powiedzieć, że akurat ten goblin wcale nie jest zły?

— Właśnie! — skonstatowałem. W moim przekonaniu było i to całkiem racjonalne. Wydawało mi się, że znalazłem furtkę, J której poszukiwałem.

Nojheim natychmiast skrzętnie ją zamknął, ucząc mnie przy tym czegoś o sobie i o świecie, nad czym się dotąd nie zastanawiałem.

— Jaka jest między nami różnica? — naciskałem, w nadziei, że zdoła pojąć moje rozumienie prawdy.

— Uważasz się za prześladowanego? — spytał goblin. Jego J żółte oczy zwęziły się i domyśliłem się, że uważał się za sprytnego.

— Nie akceptuję już tego określenia, podobnie jak nie akceptuję już prześladowania — oznajmiłem. Moja duma nie pozwoliła mi zrozumieć, do czego zmierzał ów nieszczęsny stwór. — Ludzie mogą mnie osądzać, ale ja nie zamierzam dłużej akceptować ich niesprawiedliwych wniosków.

— Będziesz walczył z tymi, którzy są wobec ciebie nie-sprawiedliwi? — zapytał Nojheim.

— Będę zaprzeczał ich słowom, ignorował je, i w głębi serca czuję, że to, w co wierzę, jest słuszne.

Uśmiech Nojheima odzwierciedlał zarówno szczere zadowolenie, że odnalazłem dla siebie właściwą drogę i jeszcze głębszy smutek, żal wobec samego siebie — co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości.

— Nasza sytuacja nie jest taka sama — stwierdził z naciskiem. Usiłowałem zaprotestować, ale przerwał mi uniesieniem ręki. — Jesteś drowem, istotą egzotyczną dla większości ludzi, z którymi przyszło ci się spotkać.

— Prawie wszyscy na powierzchni słyszeli potworne opowieści o drowach — próbowałem polemizować.

— Ale nie przyszło im zetknąć się bezpośrednio z drowami z rodu elfów! Nigdy tak naprawdę nie mieli z nimi do czynienia — odparował ostro Nojheim. — Jesteś dla nich ciekawostką, dziwaczną piękną nawet w ich kategoriach pojmowania piękna. Masz piękne rysy twarzy, Drizzcie Do'Urdenie i oczy o przenikliwym spojrzeniu. Nawet twoja skóra, tak czarna i lśniąca, dla ludzi z powierzchni może wydawać się piękna. Ja zaś jestem goblinem, szpetnym goblinem, jeżeli nawet nie duchem, to ciałem...

— Gdybyś pokazał im prawdę o tym duchu... Nojheim bezceremonialnie wyśmiał moje pełne zatroskania słowa.

— Pokazać im prawdę? Prawdę, która mogłaby zakwestionować to wszystko, co wiedzieli i w co wierzyli przez całe swoje życie? Miałbym się stać mrocznym zwierciadłem ich sumień? Ci ludzie włącznie z Rikiem zabili wielu goblinów — prawdopodobnie słusznie — dorzucił spieszenie i to wyjaśnienie sprawiło, że zrozumiałem, co próbował mi uświadomić:

Otworzyły mi się oczy.

Gdyby ci wieśniacy, spośród których wielu częstokroć walczyło z goblinami, i inni, którzy trzymali gobliny jako swych niewolników, natrafili na choćby jedno stworzenie, nie pasujące do ich definicji złej rasy, choćby jednego goblina obdarzonego sumieniem i współczuciem, intelektem i duchem tak jak ich ziomkowie, mogłoby to zagrozić całemu ich istnieniu. Wszystko, w co wierzyli, co znali, pogrążyłoby się w chaosie. Jeżeli chodzi o mnie, kiedy poznałem prawdziwą naturę Nojheima, poczułem się tak, jakby ktoś wymierzył mi siarczysty policzek.

Tylko dzięki rozległym doświadczeniom z moimi ziomkami, mrocznymi elfami, spośród których znaczna większość zasługiwała na swą złą reputację, zdołałem stłumić wzbierającą we mnie ekscytację i poczucie winy.

Jednak ci wieśniacy mogli nie zrozumieć Nojheima. Z całą pewnością obawiali się go, a jeszcze bardziej nienawidzili.

— Nie jestem odważny — powtórzył Nojheim i choć się z nim nie zgadzałem, zachowałem tę myśl dla siebie.

— Wyjedziesz ze mną — powiedziałem. — Dziś w nocy. Udamy się na zachód, do Mithril Hali.

— Nie!

Spojrzałem na niego, bardziej urażony niż zakłopotany.

— Nie będą mnie już więcej ścigać — wyjaśnił i widząc jego zamyślane, nieobecne, przepełnione bólem spojrzenie, domyśliłem się, że powracał myślami do dnia, gdy Rico ścigał go po raz pierwszy.

Nie mogłem zmusić Nojheima, aby postąpił wedle mego | życzenia, ale nie chciałem, by ta jawna niesprawiedliwość trwała choć chwilę dłużej. Czy miałem otwarcie przeciwstawić się Ricowi? Tego typu działanie pociągało za sobą poważne, niekiedy zgubne w skutkach, konsekwencje. Nie wiedziałem, czyim konkretnie lennikiem była osada Pengallen. Jeżeli sioło •« podlegało protektoratowi miasta znanego z nietolerancji, takiemu jak Nesme, leżące na południowym zachodzie, jakiegokolwiek otwarte działania przeciwko jego mieszkańcom mogły spowodować zatarg między owym miastem a Mithril Hali, jako że w gruncie rzeczy byłem emisariuszem Bruenora Battlehammera.

W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak opuścić Nojheima. Rankiem wypożyczyłem w osadzie ręczego wierzchowca i wyruszyłem jedyną drogą, jaka była dla mnie otwarta. Postanowiłem, że najpierw udam się do Silverymoon, jako że Alustriel należała do cieszących się największym szacunkiem władców w całym kraju. Następnie — gdyby zaszła taka potrzeba, mógłbym próbować przemówić do silnego poczucia sprawiedliwości Bruenora.

Zdecydowałem również, że gdyby ani Alustriel, ani Bruenor nie ujęli się za Nojheimem, przejmę sprawę w swoje ręce — niezależnie, ile miałyby mnie to kosztować.

Dotarcie do Silverymoon zajęło mi trzy dni ostrej jazdy. Powitanie przy Moorgate, zachodniej bramie miasta, było niezwykle uprzejme; strażnicy przywitali mnie serdecznie w imieniu lady Alustriel.

Powiedziałem im, że właśnie z Alustriel chciałem się widzieć i w odpowiedzi usłyszałem, że władczyni Silverymoon opuściła miasto, udając się w interesach do Sundabaru na wschodzie. Nie wróci wcześniej niż za dwa tygodnie.

Nie mogłem czekać tak długo, toteż pożegnałem się ze strażnikami, wyjaśniając, że wrócę za około dwadzieścia dni. To rzekłszy, wyruszyłem w powrotną drogę. Bruenor będzie musiał zadziałać.

W drodze powrotnej odczuwałem jednocześnie radość i cierpienie. Powitanie w Silverymoon, tak różne od tego, jakiego się spodziewałem, nieomal napełniło mnie złudną

nadzieją, że zło tego świata mimo wszystko może zostać pokonane. Jed-nocześnie miałem wrażenie, jakbym opuścił Nojheima w po-trzebie, a pragnienie postąpienia w tej sytuacji zgodnie z obo-wiązującą etykietą wydało mi się zwyczajnym tchórzostwem. Powinienem był nalegać, aby goblin mi towarzyszył, powinienem był uwolnić Nojheima od jego cierpień, a dopiero potem spróbować dyplomatycznymi środkami załagodzić całą sprawę.

Popełniłem w swym życiu wiele omyłek i wiedziałem, że również i tym razem nie postąpiłem właściwie. Miał udać się na dwór Bruenora w Mithril Hali, zawróciłem w kierunku Pengallen.

Odnalazłem Nojheima powieszzonego na słupie szubienicznym, opodal głównej bramy sioła.

Pewne drobne szczegóły na zawsze wryły mi się w pamięć

— odczucia, które sprawiają, że cały obraz staje się pełniejszy, bardziej dojmujący i głębszy, a wspomnienie żywsze i nie przemijające.

Pamiętam wiatr w owej przerażającej chwili. Dzień był zadziwiająco ciepły jak na tę porę roku, niebo zasnuwane zwieszającymi się nisko chmurami, ale wiał dość silny wiatr, jego chłodne poddmuchy niosły ze sobą drobniutkie, żądłące ukh zalegającego na zboczach gór śniegu.

Wiatr wiał mi w plecy, rozwiewał moje dhigie białe włc i otulał szczelniej grubym płaszczem, gdy siedząc na grzbiet wierzchowca wpatrywałem się bezradnie w słup szubienicy.

Porywisty wiatr obracał również nieznacznie zeszywni' obrzmiałe ciało Nojheima — hak, na którym zawieszcu konopną linę, skrzypiał w żalobnym, bezradnym proteście.

Takim będę go miał zawsze przed oczami.

Nie zdążyłem nawet odciąć nieszczęsnego goblina, gdy i kilku jego odzianych w łachmany kompanów — ko«. z bronią w ręku, wyszli z chaty i ruszyli w moim kierunku — domyślałem się, że tylko czekali, abym dał im pretekst do ataku.

Obok nich dreptał Tharman — nie był uzbrojony, a jego twarzy malował się głęboki smutek.

— Ten przeklęty goblin próbował mnie zabić! — wyjaśn Rico i przez jedną trwającą mgnienie oka chwilę uwierzył mi, obawiając się, że swoimi słowami nakłoniłem Nojheima do popełnienia fatalnego w skutkach błędu. Jednak gdy R* w chwilę później oświadczył, że goblin zaatakował go w bia dzień, na oczach tuzina świadków, zrozumiałem, iż było starannie opracowane kłamstwo. Świadkowie nie byli nic więcej, jak tylko współnikami nieuczciwego spisku.

— Nie ma powodu się denerwować — ciągnął Rico, a jego filuterny uśmiech jasno dał mi do zrozumienia, że miał do czynienia z morderstwem.

— Zabiłem wielu goblinów — i zmieniając nieznacznie akcent, dodał pospiesznie — prawdopodobnie słusznie.

Dlaczego Rico tak szczególnie zaakcentował słowo „praw-dopodobnie”? Nagle uświadomiłem sobie, że już raz słyszałem te same słowa, wypowiedziane dokładnie w ten sam sposób. Padły z ust Nojheima i, jak wszystko na to wskazywało* Rico również je usłyszał! Obawy wyrażone przez goblina tamtej nocy w starej stajni, stały się posępną rzeczywistością.

Miałem chęć dobyć swych scimitarów, zeskoczyć z koń' i rozplatać Rica na dwoje, a potem bezlitośnie uśmiercić każdego, kto odważyłby się stanąć po stronie tego mordercy.

Tharman spojrział na mnie; w mgnieniu oka domyślił się, co zamierzałem uczynić i pokręcił głową, bezgłośnie uświadamiając mi, iż rozlew krwi nikomu nie pomoże, a z całą pewnością nie przywróci też życia Nojheimowi.

Rico mówił dalej, ale już go nie słuchałem. Cóż mi pozostało w tej sytuacji? Nie mogłem się spodziewać, że Alustriel czy nawet Bruenor podejmą jakieś kroki przeciwko Ricowi. W gruncie rzeczy Nojheim był tylko zwyczajnym goblinem i nawet gdyby w jakiś sposób udało mi się udo-wodnić co innego, przekonać Alustriel lub Bruenora, iż goblinów był istotą o pokojowym nastawieniu, którą niesprawiedliwie stracono, żadne z nich nie byłoby w stanie nic uczynić.

Zamiar jest determinantem przestępstwa, a dla Rica i mieszkańców Pengallen Nojheim pozostał zwykłym goblinem.

Żaden sąd w tym regionie, gdzie krwawe bitwy z goblinami są nadal na porządku dziennym, gdzie prawie każdy stracił przez te istoty kogoś bliskiego, nie mógłby uznać owych ludzi winnymi i skazać za to, że powiesili Nojheima — za to, że powiesili potwora.

I ja też miałem w tym swój udział. Osobiście schwytałem Nojheima i oddałem go w ręce podłego Rica — pomimo iż wyraźnie czułem, że coś tu jest nie w porządku. A później ponownie wdarłem się siłą w życie goblina i nasączyłem jego duszę niebezpiecznymi myślami.

Rico wciąż jeszcze mówił, kiedy zsunąłem się z siodła wypożyczonego w osadzie wierzchowca, zarzuciłem sobie Taul-maril na ramię i wyruszyłem w drogę powrotną do Mithril Hali.

Zmierzch. Kolejny dzień poddaje się nocy, podczas gdy ja siedzę na szczycie góry, niedaleko od Mithril Hali. Rozpoczyna się tajemnica nocy, ale czyż Nojheim nie zna teraz

prawdy związanej z o wiele większym sekretem? Często rozmyślam o tych, którzy odeszli przede mną, którzy odkryli to, o czym ja dowiem się dopiero w chwili mojej śmierci. Czy Nojheimowi jest teraz lepiej niż wówczas, gdy był niewolnikiem Rica?

Jeśli w życiu po śmierci istnieje sprawiedliwość, to jest pewien, że tak.

Muszę wierzyć, że to prawda, ale nadal nie daje mi spokoju świadomość roli, jaką odegrałem przyczyniając się do śmierci niezwykłego goblina, zarówno przez to, że go schwytałem jak i przez to, że później do niego przyszedłem, aby obdać go złudnymi nadziejami, których nie był w stanie zatrzymać. Nie mogę zapomnieć, że go wtedy zostawiłem, niezależnie, tego jak szczerze i szlachetnie mogły się wydawać moje intencje. Wyruszyłem do Silvermoon i pozostawiłem go, całkiem lekko bronnego, trawionego bólem krzywdy i niesprawiedliwości.

I tyle nauczyłem się na tym błędzie.

Od tej pory już nigdy nie będę ignorował podobnej sprawiedliwości. Jeżeli zdarzy się, że spotkam na swej drodze istotę taką jak Nojheim, której grozić będzie podobne niebezpieczeństwo, niechaj jej podły, okrutny pan ma się na baczności! Niechaj lokalni przedstawiciele prawa rozważą mój czyn i uwolnią mnie od zarzutów, jeśli uznają taki tok postępowania stosowny. Jeżeli nie... Nieważne. Uczynię to, co nakazuje mi serce.

POSŁOWIE

Powszechnie (nie) znana historia Zapomnianych Krain. Jeff Grubb

Zapomniane Krainy to świat będący dziełem wielu bogów. Nie mam tu na myśli tradycyjnych, pospolitych bogów, o któ-rych zwykle czytacie w powieściach z gatunku fantasy. Nie, istoty te to sekretne bóstwa, poruszające się za kulisami, tworzące, opracowujące i prezentujące świat Torilu szerokiej rzeszy czytelników na całym świecie.

Noszą nazwiska: Greenwood, Salvatore, Niles, Denning, Lowder i wiele innych, i dysponują potężną mocą. To pisarze, którzy połączyli siły, by stworzyć Zapomniane Krainy takimi, jakimi je znacie i kochacie obecnie.

Kim są jednak ci ludzie i jak doszło do tego, że zjednoczyli się pod jedną twórczą egidą? Skąd pochodzi i dokąd zmierza ów cudowny kraj? To sekretna historia Zapomnianych Krain.

Zapomniane Krainy narodziły się w płodnym umyśle Eda Greenwooda, zanim jeszcze powstała gra role playing pod nazwą „Dungeons and Dragons”.

Jeszcze będąc dzieckiem, Ed rozczytywał się w powieściach i opowiadaniach fantasy takich twórców, jak Lord Dunsany czy Fritz Leiber. Edowi podobało się, że w większości książek fantasy Leibera występują te same postacie, zaś akcja rozgrywa się w jednym świecie. Z każdą kolejną powieścią pojawiali się znajomi bohaterowie i miejsca, tworząc obraz rozległego, w pełni rozwiniętego, tętniącego życiem świata.

Ed, który od dzieciństwa przejawiał aspiracje twórcze, po-stanowi) nadać swoim opowieściom podobny ton i obraz. Akcja jego pierwszej próbki pisarskiej (którą spłodził licząc sobie zaledwie osiem wiosen) rozgrywała się — jak twierdzi — na Wybrzeżu Mieczy, a opowiadanie nosiło tytuł „One Comes, Uhheralded to Zirta”. Był to, jak mówi obecnie, straszliwy przykład pisarstwa w stylu „barbarzyńca i miecz”, i zarówno opowiadanie, jak i Zirta dawno przestały istnieć (przy czym ta ostatnia zapadła się w głębiny morza). Działo się to w roku 1967, na długo przed fenomenalnym boorem na gry role playing, fantasy.

Ed rozwijał obraz Zapomnianych Krain w opowiadaniach, ale jego świat uczynił wielki krok naprzód dopiero po zaistnieniu na rynku gry „Dungeons and Dragons”.

W przeciwieństwie do solowej twórczości, jego pomysł stał się podstawą do zebrania grupy przyjaciół i współpracowników, którzy dołożyli swoje dwa grosze i poprowadzili stworzone przez siebie postaci w kierunkach, których Ed nie był w stanie przewidzieć ani tym bardziej kontrolować. Wysiłki kompanii Szalonych Poszukiwaczy Przygód i Rycerzy z Myth Drannor pomogły w opracowaniu początkowego okresu Zapomnianych Krain i przetworzeniu ich w to, czym są obecnie.

Następne stadium Zapomnianych Krain jest zasługą maga-zynu „Dragon”. Ed był i jest w głębi serca druidem, zręcznym rzemieślnikiem, któremu sprawia niewysłowioną przyjemność tworzenie całej masy nowych, dopracowanych jak w zegarku postaci, potworów, czarnoksięskich przedmiotów, sekretnych przejsć, lochów itp. Ed znalazł zbyt dla swoich wyrobów na łamach pisma „Dragon”, począwszy od 1979 r. Aby przedstawić kolejne swoje dzieła, wybrał potężnego maga, którego wszyscy gracze znają jako „rzecznika” Zapomnianych Krain. Elminster pojawił się publicznie po raz pierwszy w 1981 r. i od tej pory osiągnął status nader znanej, popularnej i ogólnie lubianej postaci z gatunku fantasy. Wykonano kolejny wielki skok naprzód.

Zapomniane Krainy szły dalej tym torem istniejąc głównie jako świat, gdzie rozgrywała się akcja wszystkich kampanii Eda i do 1986 r. pojawiając się w artykułach „Dragona”.

W tym czasie nastąpił rozkwit Świata „Dragonlance”, którego epicki rozmach odzwierciedlał się zarówno w powieściach, jak i w grach. W świętych kulturach TSR zawrzało. Padały hasła, że powinniśmy stworzyć i ożywić inny świat, który przyćmiłby świat „Dragonlance'u” (ale wszystko jeszcze przed nami).

Po długich dyskusjach pewien zamilowany twórca gier fantasy (uniżony autor niniejszego posłowania) wpadł na pomysł, by skontaktować się z Edem Greenwoodem i sprawdzić, czy za jego artykułami rzeczywiście kryje się opracowany świat. A jeżeli tak, czy będzie on zainteresowany stworzeniem z Zapomnianych Krain, podstawy nowego cyklu gier i książek z nimi związanych?

Okazało się, że odpowiedzi na wszystkie pytania były twierdzące. Pomiędzy Lake Geneva i Colborne, Ontario, roz-poczęła się korespondencja. Wskutek wymiany ogromnej ilości folderów i opracowań utworzono te najbardziej znane obszary Zapomnianych Krain, prawdziwe serce podzielonego świata.

Zapanował radosny chaos, gdy grupka zapalonych twórców zabrała się do opracowania struktury, której efektem miały być Zapomniane Krainy. Ich praca nie była szczególnie planowa-na ani sterowana, a każdy z nich nastawiony był przede wszystkim na stworzenie użytecznego i intrygującego świata. Tak jak Ed w latach 60., pisarze ci szukali miejsca, gdzie mogliby opowiadać swoje historie. Pod tym względem Zapomniane Krainy różnią się od podlegających ścisłym regułom i ograniczeniom powieści z cyklu „Dragonlance”. Fragmenty układanki tworzącej obraz nowo narodzonego świata, jak to często ma miejsce, pojawiały się tyleż przypad-kowo, co zamierzenie. Doug Niles miał na wpół napisaną powieść z silnymi akcentami celtyckimi, toteż na mapy Zapomnionych Krain

naniesiono łańcuch wysp i tak narodziły się Moonshaes. Bob Salvatore zaproponował kontynuację pierwszej powieści Moonshaes, ale później zmienił miejsce akcji i wprowadził nowych, własnych bohaterów z osiągniętym obecnie szczyty popularności Drizztem Do'Urdenem na czele. Obeznanym w realiach Krain i wolnym od ich tworzenia, które powierzono -j wydziałowi gier, Ed odwiedził w „Spellfire” Shadowdale, podczas gdy Kate Novak i ja przedstawiliśmy światu Aliasa i Dragonbait. |

Jednocześnie Zapomniane Krainy zaczęły się rozrastać. Pod koniec rozgrywki blisko tuzin osób pracowało nad zbadaniem, opracowaniem i rozwojem Krain. Na Dalekim Wschodzie pojawiło się Kara-Tus. Opracowano gry komputerowe na bazie powieści Jima Warda i Jane Cooper Hong, a następnie Jima Warda i Annę Brown. Rozpoczęto prace nad komiksami, figurkami i grami planszowymi.

Nadeszła pora epickiego rozwoju, który miał objąć swoim zasięgiem cały obszar Zapomnianych Krain. Do tej pracy zwerbowano nową generację sekretnych bogów. W 1989 r. opublikowano Trylogię „Awatar”, dzieło wybitnych pisarzy — Scotta Ciencina, Jima Lowdera i Troya Denninga. Owi trzej błyskotliwi twórcy ukryli się pod pseudonimem literackim „Richard Awlinson” (Richard All-in-one), ale od tej pory każdą kolejną książkę firmują własnymi nazwiskami.

„Awatar” był kolejnym krokiem naprzód dla Krain, krokiem w głąb epickiej, osadzonej w należycie ugruntowanym świecie, przygodowej fantazy.

Jednocześnie, niejako w formie konkurencji czy raczej cie-kawego uzupełnienia dla trylogii „Awatar”, opublikowano drugie wydanie „Advanced Dungeons and Dragons”, której zmodyfikowana i poprawiona wersja mogła rozgrywać się w Zapomnianych Krainach. Pomysł awataru w cyklu powieści był dla nas idealną okazją do wytłumaczenia zmian w Krainach, bez uciekania się do żmudnych i pokrętnych wywodów, choć taki obrót sprawy nie był wcześniej planowany. Trylogia po prostu zaistniała. I znów zrządzenie losu, czy też może przypadek zdołały zjednoczyć różnorodne elementy oraz talenty na obszarze Zapomnianych Krain.

Obecnie nasz umiarkowanie podzielony światek stał się azylem utalentowanych twórców pałających żądzą pisarstwa. Był i pozostaje domem zbudowanym przez piętnastu inżynierów, z których każdy kontynuuje prace wg własnych planów, koryguje je w razie potrzeby z innymi, zachowując przy tym wszakże indywidualną wizję.

Zapomniane Krainy były rozległym terytorium, a ich obszar stale się powiększa. Drizzt Do'Urden Boba Salvatore doczekał się własnego cyklu. Doug Niles odkrył Mazticę.

Jim Lowder, Troy Denning i kolejny nowy bóg, David Cook zapełnili kraje między wschodem a zachodem hordami Tuiganów, którzy natychmiast przeprowadzili wielką inwazję.

Postacie z Zapomnianych Krain wniknęły w nowy wymiar Raevenloftu. Powstał cykl Harpersów oraz indywidualne wizje świata, tworzone zarówno przez doświadczonych pisarzy, jak i nowicjuszy.

Narodziła się nowa generacja bogów — Jean Rabę, Elaine Cunningham, Mark Anthony — wszyscy oni przydali Krainom nowego blasku.

W naszej wielkiej układance pojawiły się kolejne elementy, wzniesiono następne mury i otwarto nowe furtki, wykrojono nowe okna ukazujące nowe marzenia; położono nowe sufity i zdjęto je, w miarę dalszego rozwoju Krain.

Każdy pisarz, każdy twórca, każdy z tych nowych bogów dodał swój głos do wielkiego, epickiego dzieła znanego pod nazwą Zapomnianych Krain i niniejsza antologia jest najlepszym przykładem panujących tam różnicowań. Są tu opowieści żartobliwe i mroczne. Autorzy, którzy solidnie posiłkują się historią i d, którzy postanowili wypuścić się na niebezpieczne i dziewicze terytoria.

Są tu pisarze, dla których podstawą pracy była przede wszystkim gra stanowiąca już od tylu lat integralną część świata i ci, którzy sięgają nowych wyżyn wyobraźni, wędrując innymi, nie wydeptanymi dotąd ścieżkami, jakże odległymi od tych, które znane są miłośnikom gier związanych z Zapomnianymi Krainami.

Wydaje się to może nieco nieskładne, ale wbrew pozorom jest to nieład, którego efektem jest solidny, zwarty, uporządkowany świat. Ma on swoich przywódców, a edytorzy przypominają bardziej policjantów z drogowki niż surowych bogów; każdy z nich zna swoje miejsce i usiłuje do minimum zmniejszyć ryzyko ewentualnej kraksy. W 1967 r. miody Ed Greenwood nie zdawał sobie sprawy, że jego Krainy osiągną taką popularność.

Grupka pisarzy, rozpoczynających w 1986 r. prace nad nowym cyklem nie miała pojęcia, że Zapomniane Krainy staną się tak wielkim sukcesem i inspiracją dla tylu ludzi, którzy zechcą wziąć udział w kształtowaniu tego niezwykłego świata.

Zapomniane Krainy są podzielonym światem, w najczystszyim tego słowa znaczeniu. To prawda, iż każdy z poszczególnych fragmentów działa pod auspicjami bogów „wyższej rangi” (czytaj „zarządu”), niemniej bardzo często ich wpływ jest minimalny i pozwalają oni twórcom na czynienie cudów.

Na rzecz Zapomnianych Krain pracuje nadal ponad tuzin utalentowanych rzemieślników, mistrzów w swoim fachu.

Tworzą oni przewspaniałe dzieła sztuki.

Opowiadają fascynujące historie.

I świetnie się przy tym bawią.

O AUTORACH

Mark Anthony — odwiedza zarówno Krynn (jako współ-twórca „The Kindred Spirits”) i Krainy (jako autor „Crypt of the Shadowking”), ale na stałe mieszka w Colorado. Naturalnie kocha góry, ale lubi również książki, przyjaciół, celtycką muzykę i piwo.

Scott Ciencin — mieszka na Florydzie ze swoją żoną Denise. Pisuje horrory i powieści dla młodzieży, choć nie kwapi się, by wyjaśnić związek między tymi dwoma nurtami twórczości. Pod pseudonimem Richard Awlinson wydał powieści „Shadowdale” i „Tantras”. Najnowszą książkę z cyklu „Zapomniane Krainy” — „The Night Parade” — wydał pod własnym nazwiskiem.

David Cook — unika „prawdziwej pracy” mając się takich zajęć, jak opracowywanie gier i pisanie. Jego dorobek twórczy obejmuje powieści „Horselords”, „Into the Void” i najnowszą z cyklu Zapomniane Krainy — „Soldiers of Ice”. Kocha ogromne potwory, roboty i swoją żonę.

Elaine Cunningham — ostatnio przeprowadziła się do południowej Kalifornii, gdzie wychowuje dzieci i kontynuuje studia doktorskie. Uwielbia muzykę, pieczenie ciast, nawiedzone księgarnie i wymyślanie nowych przygód Arilyn Moonblade i Danilo Thanna, bohaterów jej pierwszej powieści ze znanego cyklu „Elf Shadow”.

Troy Denning — powrócił do chłodnych lasów Faerunu, po ostatniej uciążliwej wizycie na pustyniach Athas. Obecnie pracuje nad „Prism Pentad”, pierwszą powieścią z nowego cyklu „Dark Sun”. Jego dotychczasowy dorobek zawiera takie powieści, jak „Waterdeep” (pod pseudonimem Richard Awlinson), „Dragonwall” i „The Parched Sea”.

Pomimo iż bardziej swojsko czuje się w mrocznych lochach zamczyska Ravenloft, Christie Golden postanowiła powrócić do Zapomnianych Krain, aby opowiedzieć nową historię z udziałem Jandera Sunstara, elfa-wampira, bohatera „Yampire of the Mists”. Kolejna powieść Christie, „Dance of the Dead” również rozgrywa się na mrocznych obszarach Ravenloft.

Ed Greenwood — twórca Zapomnianych Krain, bardziej niż się do tego przyznaje, przypomina czarnoksiężnika Elminstera. Oprócz tego, iż opracował wiele wspaniałych gier, jest również autorem powieści „Spellfire” i jej kontynuacji — „Crown of Fire”. Mieszka w Kanadzie, wraz ze swoją panią, Jenny, i całą masą książek.

Jeff Grubb — jeżeli chodzi o Krainy, jest nie lada fachowcem, gdyż od wielu lat pełni funkcję architekta, współ-konspiratora i gliniarza z drogówki dla tego podzielonego świata. Poza tym jest twórcą licznych gier i wraz ze swoją żoną, Kate Novak, współautorem trylogii „Finder Stone”.

Wydawca i autor James Lowder napisał dwie książki z cyklu „Zapomniane Krainy” — „Crusade” i „Ring of Winter” i nie ukrywa swego zadowolenia, że znalazł sposób, by w nowym opowiadaniu, przeznaczonym do niniejszego zbioru, umieścić głównych bohaterów z obu tych powieści. Obecnie pracuje nad „Prince of Lies”, gdzie główną rolę odgrywa Cyric, Bóg Wojen i Tyranii — bez powiązań, pomimo tego co twierdzą inni autorzy tego cyklu.

Douglas Niles — był twórcą pierwszej powieści z cyklu Zapomnianych Krain — „Darkwalker on Moonshae”. Do tej pory stworzył trylogię „Moonshae”, „Maztica” i „Druidhome”, których akcja rozgrywa się w Krainach. Napisał również kilka powieści z cyklu „Dragonlance” oraz wiele opowiadań.

Była łowczyni sensacji, Jean Rabę obecnie pracuje dla TSR jako koordynator RPGA, międzynarodowego stowarzyszenia entuzjastów gier typu „role playing”. Jest także wydawcą pisma POLY HEDRON, autorką oficjalnych publikacji sieci oraz gier „role playing”. Akcja jej pierwszej powieści „Red Mage” rozgrywa się w krainie bardzo złych Czerwonych Magów z Thay.

R. A. Salvatore — zgodził się na współpracę przy tej antologii, mając możliwość napisania opowiadania z punktu widzenia swej ulubionej postaci, Drizzta Do'Urdena. Ów słynny drow pojawiał się w wielu powieściach z cyklu Zapomnianych Krain, takich jak trylogia „Iceland Dale”, trylogia „Dark Elf” oraz najnowszej powieści „The Legacy”.

Bob obecnie pracuje ciężko nad zakończeniem pięcioksięgu „Cleric Quintet”, którego akcja również rozgrywa się w Zapomnianych Krainach.